

Williamson Penelope

Pewnego razu przy księżycu

Weteran spod Waterloo, porucznik Trewlany i Jessalyn, "dzika dziewczyna" z wybrzeża Kornwalii, toczą przez długie lata walkę z przeciwnościami losu. Dla niej celem życia jest odbudowa rodzowego majątku, dla niego - pokrycie Anglii siecią dróg żelaznych. Długo trwa, nim odkryją, że swoje marzenia mogą zrealizować tylko wspólnie.

CZESC PIERWSZA

I

Huk wybuchu wstrząsnął powietrzem. Przetoczył się nad posepnymi wrzosowiskami, odbił echem od czarnych klifów i zadudnił nad powierzchnią morza. Przez chwilę panował spokój. A potem ziemia zadrżała i uniosła się niczym pierś powstrzymującego kaszel starca.

Hałas przestraszył dwie kozy, które pasły się przy ciernistym krzewie głogu. Na moment znieruchomiały, zastrzygły uszami, poruszały długimi brodami i czmychnęły stromą ścieżką pod górę. Lawina drobnych kamyków spod ich kopyt obsunęła się na głowę dziewczyny, która zastygła na plaży w bezruchu.

Jessalyn Letty od dłuższego czasu szukała jakiejś zdobyczy wzdłuż brzegu, dokąd sięgały największe fale. Ostatniej nocy jęczący sztormowy wichur bez opamiętania smagał brzegi Kornwalii. Jakaś zdobycz musiała się trafić. Przy odrobinie szczęścia mógł to być drobiazg zdalny do użytku albo, jeszcze lepiej, coś na wymianę. Gdyby zaś mogła za to dostać prawdziwą twardą monetę, wtedy los okazałby się rzeczywiście łaskawy.

Właśnie miała podnieść pękniętą belkę, kiedy nagły wybuch sprawił, że wyprostowała się, zakręciła w miejscu i ze strachu zakryła dłonią usta. Grad kamyków posypał się na jej głowę. Znowu się odwróciła. Spojrzała do góry, przysłaniając oczy przed promieniami popołudniowego słońca. Para kóz zdążyła jeszcze pomachać jej ogonami, nim zniknęła nad krawędzią urwiska.

Na plaży zaległa cisza. Zamilkły nawet rybitwy i wieszczki. Na tle jasnoblękitnego nieba wznosiła się spiralnie ledwie widoczna, cienka wstęga dymu. Jessalyn podniosła spódnicę i zaczęła biec, pozostawiając w kleistym piasku odciski nagich stóp.

Biegła po stromej ścieżce równie szybko i pewnie jak kozy. Zawahała się dopiero przy wyrwie w kamiennym murze. Minęło

już wiele lat od chwili, gdy po raz ostatni ośmieliła się przekroczyć granicę posiadłości hrabiów Caerhaysów. Od tamtego pamiętnego lata, kiedy stróż celował w nią ze starej strzelby i zagroził, że wypali, gdyby próbowała wejść:

- Prosto w ten rudy łeb. To będzie tak samo, jakbym trafił w dojrzałą dynię - warknął, ściągając usta i odsłaniając spróchniałe zęby. - Dokładnie jak w dojrzałą dynię. Plask! - Roześmiał się, uderzając dłonią w łożo strzelby. Jessalyn uciekała stamtąd co sił w nogach.

Wróciła zaraz następnego dnia. Zakradła się, rozglądając przezornie za dozorcą i jego wiekową strzelbą. Jej serce biło szybciej niż rozkołysane fale o brzeg, ale nie czuła strachu, była raczej podekscytowana. Spodziewała się ujrzeć przemytników toczących pod górę baryłki brandy albo piratów zajętych zakopywaniem w piasku skrzyń ze złotem. Wszyscy wiedzieli, że hrabiowie Trelawny często zbaczali z drogi prawa. Niewiele zobaczyła, jedynie chwasty, zarośnięte stawy i wielką, ale bardzo zaniedbaną starą rezydencję.

Od tamtego czasu upłynęło wiele lat. Dozorca od dawna nie żył. Ludzie opowiadali, że hrabia mieszka w Londynie, gdzie trwoni pieniądze na zakłady i zapija się na śmierć. Dom był opuszczony, kopalnia nadal nieczynna. Eksplozja w Caerhays wydawała się trudna do wytłumaczenia.

Przechodząc przez mur, Jessalyn zaczęła spódnicą o krzew dzikiej róży. Próbowała się uwolnić, potem, zniecierpliwiona, szarpnęła mocniej. Muślinowy materiał rozdarł się głośno, a ona, wreszcie uwolniona, zeskoczyła na ścieżkę porośniętą janowcem. Biegła, raniąc bosc stopy o kanciaste kamienie, którymi była zasłana ziemia. Wstęga dymu już dawno się rozproszyła. Wrzosowiska były puste, wokół panowała cisza.

Weszła na wierzchołek wzniesienia. W wąskim jarze, gdzie gęsto rosły głogi i targane wiatrem wiązy, wznosiła się duża ceglana wieża. Niegdyś mieściła się tu maszyna parowa do pompowania wody z Wheal Ruthe, jak nazywała się ta nieczynna kopalnia cyny. Wysokie janowce niemal przesłaniały arkadę wejścia. Ale między białymi pnączami widać było położone wyżej okna. Wydeptana przez muły ścieżka prowadziła do opuszczonej kopalni. Jessalyn skręciła w nią bez chwili wahania.

Głęboko odetchnęła i wstrzymując oddech, zanurzyła się

w gęstą białą chmurę, która szczelnie wypełniała drzwi. Para buchnęła jej w twarz niczym gorąca, wilgotna ścierka. Bezwiednie krzyknęła. Jej krzyk ponownie przeszył powietrze, kiedy z kłębowiska oparów, kuśtykając, wyłoniło się coś na kształt czarnego upióra i zaczęło przesuwać się w jej stronę.

Wpadli na siebie, a ich czoła zderzyły się jak czynele. Upiór upadł do tyłu, uderzając głową o kamienną posadzkę. Jessalyn przebiegła po nim siłą rozpędu, ale moment później poślizgnęła się i przewróciła, boleśnie raniąc dłonie i kolana. Skulona, krztusiła się i charczała. Wnętrze maszynowni wypełniała gęsta zawiesina.

Pomyślała, że jeszcze chwila, a na pewno się udusi. W końcu jednak zaczerpnęła haust wilgotnego powietrza i odwróciwszy głowę, spojrzała przez ramię, aby bliżej przyjrzyć się nieznanemu osobnikowi.

Na posadzce leżał młody mężczyzna. Ramiona miał rozrzucone na boki i wyglądał jak przewrócony krucyfiks... albo upadły anioł, dopiero co wyrzucony z nieba.

Podpełzała do niego. Wyprostowała się na kolanach, nachyliła i poklepała leżącego lekko po policzku. Czuła kłujący zarost, ale poniżej skóra była zadziwiająco gładka i ciepła. Wydało jej się, że staje się zbyt poufała, więc podniosła rękę i dla odmiany uderzyła zupełnie mocno. Nawet się nie poruszył. Zatem uderzyła jeszcze silniej.

Dłoń nieznanego była szczupła, choć znacznie większa od jej dłoni, palce zaś - poranione i pełne odgniotków. Trzymała rękę mężczyzny, ale i to wydało się jej niestosowne, więc ułożyła ją z powrotem przy jego boku. Usiadła na piętach, niepewna, co począć.

W książkach, które systematycznie wypożyczała z biblioteki w Penzance, główny bohater zawsze musiał rozluźnić ubranie na omdlałej heroinie. Ale tutaj akurat nie było nic do rozluźnienia; nieznanemu nie miał kołnierzyka ani krawata, a jego koszula już i tak była rozpięta pod szyją. Błyszczała wilgocią gładka, śniada skóra, po której powoli stoczyła się jedna kropla, by zniknąć w gęstwinie ciemnych włosów pod skrawkiem białego płótna. Dziewczyna z głębokim westchnieniem spojrzała w bok. Zwilżywszy językiem usta, poczuła smak sadzy i siarki.

Gorące powietrze było nasycone parą, jak wnętrze imbryka, który stoi na buzującym ogniu. Odgarnęła z twarzy wilgotne

włosy, przesuując swój kapelusik na bok. Z trudem rozwiązała wstążkę pod brodą i gwałtownym ruchem uwolniła się od duszącej pętli. Jej palce zaplątały się w strusi pióropusz, który, zwilżony, zwisał teraz żałośnie. Znowu zerknęła na obnażoną pierś nieznajomego, na miejsce, gdzie zniknęła kropla wody. Drgnęły mięśnie i zadrżała opalona w promieniach słońca skóra, gdy próbował zaczerpnąć powietrza. Najwyraźniej w tych gęstych oparach miał kłopoty z oddychaniem. Jessalyn nie wiedziała, co robić. Może zostawić go i pobiec po doktora Humphreya. Za jej plecami coś zaszeleściło. Drgnęła i odwróciła się, prawie pewna, że zobaczy wychodzącego z mgły starego, trzęsącego się medyka w imponującej peruce. Ale nikogo tam nie było, widziała jedynie kupę żelastwa i drewna - pozostałości po jakimś urządzeniu, które rozerwał wybuch. Ów stos podnosił się i z sykiem opadał, jak żywa istota, która powoli kona. Wszędzie dookoła walał się rozsypany żar. Węgiel - pomyślała Jessalyn. Żarzy się nadal. Gdyby przystawić świecę, knot zapaliłby się na pewno... albo piórko.

Pewnego razu Polly Ungellis - miejscowe popychadło, zarabiająca na skromne życie patroszeniem sardeli, kobieta cierpiąca na różne dolegliwości - zemdląca w kościele. Wówczas żona wielebnego Troutbecka ocuciła starszą kobietę, podtykając jej pod nos tłące się pióro. Zatem powrót do życia Polly należało w znacznym stopniu zawdzięczać koguciemu ogonowi. Jessalyn wątpiła, aby gatunek ptaka miał w tej kwestii jakieś szczególne znaczenie.

Spojrzała na kapelusik, który trzymała w dłoniach. Pochodził z lombardu. Jak powiedziała jej babka, modne kobiety nosiły takie w tym samym roku, w którym Napoleon rozwiódł się z Józefiną. Kapelusik był stary i zniszczony, ale innego nie miała. Jego największą ozdobą był ułożony z przodu, gęsty strusi pióropusz, długi, w kolorze pierwiosnków. Ponieważ z innych ozdób pozostawała jedynie postrzępiona wstążka, kapelusik wyglądałby bardzo żałośnie bez swoich piór. Zanim zwyciężyły w niej uczucia egoistyczne, wyrwała pióra spod wstążki. Poderwała się na nogi, podbiegła kilka kroków i wsunęła koniec pióropusza pod rozpalony węgielek. W jednej chwili pojawił się żywy ogień. Jessalyn usłyszała tylko syk

i skwierczenie. Płomyki strzeliły błyskawicznie w górę. Odruchowo upuściła małą pochodnię, która opadła na posadzkę, ciągnąc za sobą strużkę iskier i...

- Do licha ciężkiego, co ty tam wyrabiasz?

Okręciła się na pięcie. Nieznajomy ni to leżał, ni siedział, podpierając się na wysuniętej dłoni. Z ciemnymi włosami, które opadały mu na czoło, koszulą ściągniętą z ramienia i głęboko rozpiętą pod szyją jeszcze bardziej wyglądał na upadłego anioła. Naga pierś unosiła się i opadała w rytmie ciężkich wdechów i wydechów. Jessalyn była świadoma, że wpatruje się w niego z niezbyt mądrą miną. Nie była w stanie ani odezwać się, ani poruszyć; miała kłopoty ze zwykłym oddychaniem.

Naraz poczuła, że coś boleśnie parzy ją w nogę.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że ruchliwy, żółty jęczyczek ognia wypala dziurę w jej barwinkowobłękitnej muślinowej spódnicy. Zaczęła uderzać w to miejsce otwartymi dłońmi, starając się stłumić płomienie.

- Proszę chwilę poczekać - oznajmiła. - Moja spódnica płonie.

Nagle cała ta sytuacja wydała się jej niezwykle komiczna. Oto gorączkowo starając się ugasić ogień, spokojnie oświadczyła obcemu mężczyźnie, że płonie.

Wybuchnęła śmiechem. Kiedy jednak usłyszała wydobywający się ze swych ust dźwięk - dziki i chropawy - natychmiast zamilkła. Podniosła wzrok. Nieznajomy patrzył na nią, jak gdyby nie całkiem wierzył w to, co widzi i słyszy. Jęknął, skulił się i ukrył twarz w dłoniach.

Podeszła do niego i przyklęknęła. Znowu musiała powstrzymać śmiech, ponieważ mężczyzna najwyraźniej nie podzielał jej osobliwego poczucia humoru.

- Proszę mi wybaczyć, że pana podeptałam - oświadczyła, ale choć bardzo się starała, chichotała między jednym a drugim słowem. - Oczywiście nie uchodzi wpadać do cudzej posesji, nie zapowiadając się wcześniej, ale pomyślałam, że jeśli budynek stanął w ogniu... Przecież nie mogłam pozwolić, aby pan się spalił.

Wprawdzie nie wiedziałam, że to właśnie pan tutaj jest, ale ktoś mógł być... Nic panu nie jest? - Przciskał bielejące dłonie do twarzy, ale poza tym ani się nie poruszał, ani nie odzywał. - Jak pan się czuje?

Zacząła się zastanawiać, czy wybuch nie nadwreżył mu słuchu. Nachyliwszy się, krzyknęła:

- Czy pan mnie słyszy?! Zapytałam, jak pan się czuje. Drgnął, poruszył głową i zacisnął powieki.

- Słyszałem bardzo dobrze, dzięki. Dopóki sama nie zadbałaś, żeby twój śmiech porozrywał mi bębni. - Znowu ukrył twarz w dłoniach. Trzymał ją niczym popękane jajko. - A czuję się, skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, jakby gromada mułów zagrała moją głową zamiast piłką.

Sprawił wrażenie dziwnie bezbronny. Siedział skulony, z pochyloną głową i odsłoniętym, nagim karkiem. Palce miał wsunięte w wilgotne, ciemnobrązowe włosy. Dotknęła grzbietu jego dłoni.

Gwałtownie podniósł głowę. Jakby go użądliła pszczoła. Popatrzył na nią oczami tak czarnymi i głębokimi jak kopalniany szyb. Dziwny to był wzrok, badawczy, przenikliwy. Mogło się wydawać, że ten mężczyzna przenika ją wzrokiem na wskroś, zagląda do samego serca.

Zrobiło się jej nieswojo i uciekła spojrzeniem w bok. Zapanowała niezręczna cisza. Pokryte warstwą sadzy stare ściany maszynowni ociekały wodą. Od strony rumowiska coś najpierw syknęło, a następnie ucichło.

- Szukałam przedmiotów wyrzuconych przez morze. Nad Crookneck Cove... - powiedziała. Znowu odwróciła się w jego stronę. Patrzył na jej usta tym swoim przenikliwym, surowym wzrokiem. - Kiedy usłyszałam okropny hałas - zająknęła się, w pełni świadoma każdego poruszenia swoich ust. - I wtedy zobaczyłam dym... w każdym razie myślałam, że to dym... -Znowu utknęła. Zaczęła przygryzać dolną wargę, potem zorientowała się, co robi, i przestała. - Przybiegłam sprawdzić. Przez okna wydostawał się dym. Oczywiście to nie był dym, ale wtedy o tym nie wiedziałam... - Machnęła ręką. - Myślałam, że pali się tu wszystko.

- Doprawdy? - Zerknął na dymiącą pozostałość po strusich piórach, które stanowiły niegdyś ozdobę jej najlepszego, a zarazem jedyne kapelusza. - Skoro więc odkryłaś, że pożaru nie ma, postanowiłaś jakoś temu zaradzić, podpalając siebie?

- Miał pan trudności z oddychaniem. Chciałam pana ocucić. Musi pan wiedzieć, że w tym celu poświęciłam swój kapelusz. -

Uczciwość kazała jej dodać: - Wprawdzie nie był całkiem nowy, ale nadawał się do użytku.

Jego usta wykrzywiły się nieco w jednym kąciku.

- Wybacz, że jeszcze jakoś nie uginam się pod ciężarem wdzięczności. Ale nie potrzebowalibyśmy wcale ocucenia, gdybyś nie powaliła mnie uderzeniem swojej kapuścianej głowy.

Zagotowało się w niej ze złości. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo takiego. Jawnie okazywał innym lekceważenie, był taki nieokrzesany, taki arogancki. Chciała powiedzieć coś błyskotliwego i zarazem uszczypliwego, by w jednej chwili zrozumiał, kim tak naprawdę jest i gdzie jest jego miejsce.

- Właściwie powinnam była pozwolić, by się pan udusił -oświadczyła, ale nie było to ani błyskotliwe, ani uszczypliwe.

I z pewnością wcale na niego nie podziałało. Spojrzał znacząco w stronę drzwi.

- Proszę - odparł. - Nie chciałbym zatrzymać cię dłużej.

Poderwała się na nogi, gwałtownie odwróciła i ruszyła w stronę drzwi. Nie mogła tego zaliczyć do swoich najlepszych wyjść. Piętą przydeptała krawędź spódnicy i chyba tylko przypadkiem nie runęła niczym podcięty siekierą maszt.

Mężczyzna błyskawicznie pochwycił ją za kostkę. Próbowała się uwolnić, podskakując na jednej nodze.

- Puszczaj... na... tych... miast.

Posłuchał. Zachwiała się do tyłu, machnęła ramionami i przechyliła w drugą stronę. Postąpiła krok do przodu, starając się uchwycić równowagę. Mężczyzna akurat zaczął się podnosić, kiedy zaczepiła o jego but. Zderzyli się jak dwa trafione kulą kęgle. Przytrzymała się jego koszuli, a on przewrócił się do tyłu, pociągając ją za sobą.

Leżeli całkiem nieruchomo: biodro przy biodrze, brzuch przy brzuchu. Jednym udem trafiła między jego rozrzucone nogi. Wzięła głęboki oddech, napierając swoją pierś na jego tors. Byli tak blisko siebie, że ich usta prawie się dotykały.

- Och! - westchnęła.

Rozchylił usta. Poczwała, że powietrze opuszcza jego pierś, nim ciepły oddech owiał jej twarz. Wyczuła, że chce wydobyć z siebie głos, i usłyszała:

- Czy wcześniej nie powinniśmy się poznać? Zanim to wszystko potoczy się dalej?

Kiedy poruszył ustami, pogłębiły się dwie zmarszczki, które miał w kącikach ust.

- Och! - powtórzyła. Westchnął.

- Rozumiem. Teraz próbujesz zrobić na mnie wrażenie. Ktoś ci musiał powiedzieć, że podobają mi się kobiety tajemnicze i rozmawiające półsłówkami.

W jej uszach rozbrzmiewał przytłumiony, ochrypły głos. Głowę miała ciężką, jakby szczelnie otuloną gęstą parą. Rozstrzygnęła, że nie podobają się jej usta mężczyzny. Były zbyt wyraziście zarysowane.

- Kim... kim jesteś? - wyszeptła. Szerzej otworzył powieki.

- Zdaje się, że to ja pierwszy zapytałem.

Wcale nie miał czarnych oczu, tylko ciemnobrązowe. Z niteczkami złota promieniującymi od źrenic niczym od miniaturowych słońc.

- Proszę?

- Chętnie ciągnąłbym tę ożywioną konwersację - wygiął plecy w łuk, unosząc ją nieco - ale jesteś zabójczo ciężka, jak nie przymierzając worek wilgotnej mąki.

- Ach! - zawołała, gdy się podniósł, zrzucając ją na posadzkę jak tobołek.

Spódnica owinęła się jej wokół ud, odsłaniając koronkowy brzeg pantalonów, które w ciągu ostatnich miesięcy stały się tak krótkie, że już nie przysłaniały kościstych kolan. Żywy rumieniec oblał jej twarz - nie dość, że nieznajomy mężczyzna widział jej nagie nogi, to na dodatek mógł się zorientować, że jest uboga i nie może sobie pozwolić na nową bieliznę.

Jednym szarpnięciem obciągnęła spódnice, zerkając w bok, aby zobaczyć, czy ją obserwuje. Ale stał odwrócony plecami. Dłonie wsparł na biodrach i wpatrywał się uważnie w stos pozostałości po eksplozji. Teraz ona mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Miał na sobie skórzane spodnie, wpuszczone w wysokie buty. Cienka batystowa koszula była mokra i wyglądała prawie na przezroczystą. Widziała wyraźnie, jak drgnęły pod nią plecy, gdy mężczyzna głęboko odetchnął.

Wstała. Wówczas on nagle odwrócił się i unieruchomił ją tym swoim badawczym spojrzeniem. Patrzyła na niego z otwar-

tymi ustami, więc kiedy ją na tym przyłapał, znowu się zaczerwieniła. Czym prędzej zaczęła udawać, że bardzo ją interesuje otoczenie.

Kopalnię zamknięto przed wielu laty. Od tamtego czasu naniesiony wiatrem piasek utworzył w kątach maszynowni małe wydmy. Wejście do głównego szybu zostało zabite deskami. Butwiejące drewno nasiąknęło wodą niczym stary materac. Stare, opuszczone szyby Kornwalijszczyki nazywali balami. Wrzucali do nich wszystko, co uważali za niepotrzebne, od worków z niechcianymi kociećkami po niechciane bękarty.

Ale widać tu także było ślady całkiem niedawnej aktywności. Skrawki pokrytego rysunkami papieru poruszał wiatr, dostający się do środka przez otwarte drzwi. Z przewróconego, rozbitego imbryka kapłała na kamienie herbata. Wszędzie leżały kawałki czegoś, co uległo zniszczeniu.

Mężczyzna przykucnął i kawałkiem kija dotykał płaskiego kawałka metalu o postrzępionej, spalonej powierzchni. Podniósł poskręcaną miedzianą rurę, zmarszczył brwi i odrzucił ją z powrotem. Wykrzywił usta, robiąc nadąsaną minę.

- Co się stało? - zapytała i prawie natychmiast tego pożałowała. W zalegającej ciszy jej głos zabrzmiał zbyt ostro, zbyt głośno i niepoważnie. ^

Mężczyzna podniósł się i odwrócił do niej jednym płynnym ruchem.

- Najprawdopodobniej - powiedział, przeciągając sylaby -to kwestia zbyt wielkiego nacisku przypadającego na cal kwadratowy. W panczeru kotła musiało być jakieś słabsze miejsce. Chociaż podejrzewam, że przyczyny należy szukać raczej w kanałach ogniowych. Jak sądzisz?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze, bo nie zrozumiałaby o wiele więcej, gdyby mówił do niej po chińsku.

- No to po jakie licho pytasz?!

- Staram się tylko podtrzymać rozmowę.

- Bądź więc taka dobra i podtrzymuj ją gdzieś indziej. Chciała to zrobić: opuścić go. To by mu dobrze zrobiło.

Rzeczywiście był mało wrażliwy i grubiański. Nie odeszła jednak. Przeciwnie, zaczęła się przyglądać temu, co pozostało po -jak się teraz domyślała -eksperymentach z parą wodną. Wiedziała, że maszyny parowe wykorzystywano do wypompowy-

wania wody z czynnych kopalni cynku. Tylko że takie maszyny były prawdziwymi monstrami. Miały kotły wielkie jak chłopskie wozy, albo nawet większe, i potężne ramiona balansjera. Kocioł, który wykorzystywał nieznajomy, z pewnością nie był większy niż mosiężne naczynie używane w kuchni. Można się było domyślać, że kocioł został umieszczony na drewnianej ramie, która spoczywała na dwóch drewnianych kozłach. Siła eksplozji zamieniła je w drewno na rozpałkę.

Dobry Boże... głupi człowiek miał szczęście, że nie zginął.

Przeniosła na niego wzrok. Jego usta układały się w arogancki grymas. Stał spięty, w bezruchu, jakby się spodziewał, że będzie go prowokowała. Albo z niego szydziła.

Nie golił się co najmniej od dwóch dni; wyglądał na człowieka nikczemnego, Cygana lub włóczęgę. I przeklinał gorzej niż jakiś woźnica. Niewykluczone - ponieważ pracował w starej maszynowni - że w jakiś sposób był związany z kopalnią. Ale mimo tych wszystkich „do licha z tym”, „do licha z owym”, oraz blizn i odcisków na dłoniach, jego garderoba była w zbyt dobrym gatunku, a wymowa i maniera zbyt gładkie jak na kogoś, kto tylko wydobywa cynę, jest zwykłym kopaczem czy nawet brygadziwą.

- Lord wynajął cię do uruchomienia kopalni?

Nie odpowiedział. Ale wydawało się, że pytanie usunęło napięcie. Odprężył się nagle niczym uwolniona sprężyna. Zaklął szpetnie, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Wtedy po raz pierwszy dostrzegła, że idzie nierówno.

- Jesteś ranny w nogę!

Dogoniła go zaraz za drzwiami, gdzie stał oparty o zwietrzałe cegły. Ciężko oddychał i rozcierał udo. Grymas bólu wykrzywił mu usta.

- Może mimo wszystko powinnam zawołać doktora Hum-phreya.

Gwałtownie odwrócił głowę i przeszył ją spojrzeniem swych ciemnych oczu.

- Kto cię wynajął na moją piastunkę, dziewczko?

- Nie jestem żadną dziewczką. Przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś niezdatnym, patykowatym stworzeniem. Niemniej można całkowicie bezpiecznie założyć, że jednak jesteś...

- Oczywiście: jestem dzie... kobietą. Miałam na względzie to jedynie, aby nie zwracać się do mnie w taki poufały sposób. Dla takich jak ty jestem panną Letty. Jeszcze raz dokładnie się jej przyjrzał. Zaczął od podrapanych, upiaszczonych stóp, powoli i jednocześnie zuchwale przeniósł wzrok na porozdzieraną, nadpaloną i poplamioną sadzą sukienkę. Kiedy doszedł do włosów - które układały się wokół jej twarzy w wilgotne, splecione strąki i bez wątpienia wyglądały tak fatalnie jak gniazdo mewy z zeszłego roku - z jego twarzy zniknął grymas bólu. Za to pojawiła się kpina. Wyprostowała się dumnie.

- Nie wiem, kimże... pan... jest... - oświadczyła, nasycając słowa taką dawką pogardy, aby nie miał wątpliwości, że nie zasłużył na grzeczność. - Jedno wszak wiem na pewno: nie jest pan dżentelmenem. Dżentelmen nie zwlekałby z podziękowaniem za próbę uratowania mu życia.

- Powaliłaś mnie jak nie przymierzając stempel do cyny, próbowałaś podpalić strusim piórem. A potem rzuciłaś się na mnie i pocałowałaś w momencie, gdy byłem zbyt słaby, aby się bronić...

- Nie było żadnego pocałunku!

- A teraz twierdzisz, że ratowałaś mi życie? Uprzedź mnie z łaski swojej, kiedy następnym razem zechcesz dać upust swoim skłonnościom do aktów miłosierdzia. Może wówczas będę miał szansę, by zrobić jakiś unik.

- Jesteś, panie, nie tylko grubiański, lecz prócz tego szalony jak łapacz węży. Zadarła wysoko brodę, zakreśliła się na pięcie i pomaszerowała ścieżką mułów. Dogonił ją dwoma susami, chwycił za ramię i przyciągnął do siebie.

- Do licha ciężkiego, jeszcze jedną cholerną chwilę. Nie skończyłem z tobą...

- Ale ja skończyłam... z tobą. - Wypluwała słowa, odpychając się łokciami od jego piersi. - I na pewno cię nie pocałowałam.

- Myślałaś o tym. - Jego usta wykrzywiły się w coś, co niezupełnie przypominało uśmiech. - Jak powiadają niektórzy, myślami grzeszy się tak samo jak czynami.

- Nieprawda! Ja nigdy bym nie... Klnę się na Boga, jesteś pyszałkowatą, arogancką, nadętą ropuchą! Chociaż zdaję sobie sprawę, że obrażam żaby.

Z taką energią wyswobodziła nadgarstek z jego uścisku, że jej pięść trafiła go w szczękę niczym wystrzelony z procy pocisk.

- Chryste! - zawołał, zataczając się na bok. - Do króćset, ty mała...

Jessalyn nie słyszała już, co mówił dalej. Rzuciła się do ucieczki.

Nie zatrzymała się, póki nie dobiegła do ogrodzenia. Oparła się o kanciaste kamienie i próbowała złapać oddech. Coś zakołysało się w powietrzu, wpadając w pole jej widzenia. Skrawek bladobłękitnego muślinu, wiszący na kolczastej gałęzi tarniny. Poczła ciężar w piersiach i absurdalnie zebrało się jej na płacz. Miała tak niewiele ubrań, że nie mogła sobie pozwolić, aby je zostawiać, kawałek po kawałku, w różnych miejscach najbliższej okolicy. Wiedziała jednocześnie, że jest bliska łez wcale nie z powodu zniszczonego ubrania. Wypełniały ją najdziwniejsze emocje; mieszały się jak ziarna fasoli w grzechotce.

Niesione wiatrem włosy wpadły jej do oczu. Odgarnęła je dłońmi. Były w gorszym stanie, niż przypuszczała: poskręcane i splecione jak węzły refowe. Słońce świeciło wprost na jej podniesioną twarz, ujawniając mnóstwo przeklętych piegów. Została tam kapelusz... u niego. Ale wołała raczej stać się jeszcze bardziej ponakrapiana jak kaczka i spieczona przez słońce, niż tam powrócić.

Bolały ją kostki. Przycisnęła grzbiet obolałej ręki do policzka. Dobry Boże... Ten mężczyzna wyrażał się w taki sposób, że czuła się przy nim jak idiotka. A jednak wyrównała z nim rachunki - ciosem w twarz... i nazwała go ropuchą. Roześmiała się głośno, drżącym śmiechem, który się w końcu załamał. Tak, tym naprawdę go usadziła. Dotknęła do żywego, raniąc w szczękę i zarazem w serce. Należało podejrzewać, że nigdy się z tego nie otrząśnie.

Znowu się roześmiała. Aż grupka gawronów zerwała się do lotu, trzepocząc czarnymi skrzydłami i kracząc na alarm. Zoba-

czyła je w locie; tworzyły rząd na tle nieba, kształt żałobnej wstęgi.

Popatrzyła po sobie. Ubranie było całkowicie zniszczone; poplamione czymś tłustym i sadzą. Nagle zapragnęła znaleźć się w domu, gdzie poczuje się bezpiecznie, gdzie wszystko będzie znajome, po prostu takie jak zawsze. Tylko że przy zatoce zostawiła półbuty. Musiała po nie wrócić, bo była to jedyna przyzwoita para, jaką miała.

Kiedy schodziła skalną ścieżką, w pewnej chwili z przerażeniem spostrzegła, że fala przypływu prawie już zalała piaszczystą plażę. Morze odebrało sobie pękniętą belkę, którą wcześniej wyrzuciło. Spieniona woda pożerała biały piasek i połykała granitowe bloki, które oderwały się od masywu.

Jessalyn obeszła skałę inkrustowaną kryształami soli, gdzie wcześniej usiadła, aby zdjąć buty, pończochy i wełniane podwiązki. Pamiętała, że zostawiła to wszystko na skale, nim zaczęła spacerować wzdłuż brzegu, czując z rozkoszą, jak piasek przesypuje się między palcami jej gołych stóp. Wówczas kamienną powierzchnię pokrywały wyschnięte wodorosty. Teraz gładkie, zielonkawobrazowe pasma połyskiwały wilgocią.

- Do czorta! - krzyknęła. Wiatr porwał i poniósł gdzieś jej słowa. Dokładnie tak samo jak zachłanna, podstępna fala zabrała jedyne buty, które jeszcze wchodziły na jej duże stopy. - Do czorta... - powtórzyła, tym razem ciszej. A potem, ponieważ nieznamy mężczyzna posługiwał się podobnymi słowami z takim znakomitym skutkiem, dodała jeszcze: - Do kroćset!

Westchnąwszy głęboko, poczuła smak soli. Nad klifami kłębiły się chmury, przysłaniając słońce, nadając powierzchni morza matową barwę stopu cyny z ołowiem. W górze krążyła rybitwa, krzycząc: „Proszę... proszę... proszę”. Podmuch wiatru przychylał trawy na wydmach, przyciskał materiał spódnicy do jej ud. Z tyłu, za jej plecami, ruszyła ze skały lawina małych kamyków. Dziewczyna podniosła głowę, spodziewając się, że zobaczy kozy.

Myliła się. Zobaczyła mężczyznę z maszynowni.

Nie przystanęła, aby się zastanowić. Uciekła w cień skały i schowała się za pokryty porostami głaz i zasłonę z morskiego sitowia. A jednak nie potrafiła opanować impulsu, i zaczęła przyglądać się przez trzcinę nadchodzącemu nieznanemu.

Przystanął dopiero na granicy wody i lądu. Morze chlupotało wokół jego butów. Rękawy białej koszuli łopotały na wietrze niczym żagle. Stał nieruchomo, wpatrując się w morze. Wydawał się podekscytowany. Jak nerwowy koń wyścigowy gotowy ruszyć do galopu po sygnale chorągiewką.

Jessalyn schroniła się głębiej za głaz i skryła twarz w dłoniach. Dobry Boże, znowu zachowała się jak skończona idiotka. Nawet jednooki kret musiałby ją zauważyć, gdy przed chwilą stała niczym pojedynczy słup ogrodzeniowy pośrodku plaży. Powinna była poczekać, póki nie wejdzie jej w drogę, i przejść obok, udając, że go nie widzi. Postąpiła odwrotnie: jak dziecko uciekła, aby się schować. I najpewniej z satysfakcją czekał teraz, kiedy w końcu wyjdzie, aby jej kosztem ćwiczyć swój język szyderycy.

Znowu wyjrzała ukradkiem. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że zrzucił koszulę. Pochylił się, ściągnął buty, następnie się wyprostował i podniósł ręce do pasa. Chwilę później dostrzegła, że zsuwa spodnie z nagich bioder. Widziała go za przejrzystą zasłoną wodnego pyłu, wyrzucanego przez rozbite fale. Stał zwrócony twarzą do pełnego morza. Jego męskie ciało wyraźnie odcinało się na tle białego piasku i wodnej mgły. Poruszył się, budząc w niej trwożę. Głębiej wszedł w przybrzeżne fale. Zauważyła szkaradną czerwoną ranę biegnącą wokół jego uda niczym ślad po razie batem. Niemal w tej samej chwili wezbrana fala uderzyła go w brzuch i przetoczyła się nad nim.

Nawet w pogodne dni kąpiel w tym miejscu była niebezpieczna. A następnego dnia po sztormie...

Zanurkował w pierwszą większą falę. Jessalyn wstrzymała oddech. Odetchnęła dopiero wówczas, gdy wynurzył się na powierzchnię. Ale i tak zniknął zaraz pod następną białą grzywą. Wydawało się jej, że minęły wieki, nim jego głowa pojawiła się znowu: czarna na tle rozkołysanej błotnistoszarej wody. Płynął w stronę Diabelskiej Szczęki, postrzępionej skały, która sterczała z dna niby żąb rekina, rozrywając kil niemal każdej łodzi, której zdarzyło się na nią trafić. W pobliżu Diabelskiej Szczęki nie wiadomo skąd pojawiały się czasem tajemnicze prądy. Zdarzało się, że wynosiły pływaka w morze.

Pomyślała, że ktoś powinien go ostrzec. Tylko nie chciała, aby tym kimś była ona. Nie chciała być zmuszona do tego, by

znowu patrzeć w te ciemne, przenikliwe oczy i odczytywać z nich, iż wie, że widziała go bez ubrania. Że widziała, jak nagi wchodzi do morza.

Właściwie nie powinien przeżyć tego wybuchu.

Wcale by go nie zdziwiło, gdyby został poparzony. Eksplozja nastąpiła w tylnej, grubszej części kotła. I tylko ślepy przypadek sprawił, że Trelawny pozostał przy życiu. Tego rodzaju szczęście było w jego rodzinie czymś zupełnie nietypowym. Bo chociaż po wybuchu przeżył wstrząs, nie miał ani jednego pęcherza. Wyszedłby z wypadku prawie bez uszczerbku, gdyby nie ta koścista, rudowłosa dziewczka, która wpadła przez drzwi jak pocisk armatni i stratowała go.

Poczuł szarpnięcie za nogę. Przez moment walczył z prądem, ale później płynął już swobodnie. Dokuczał mu ostry ból w udzie. Zaciśnął zęby i zaczął poruszać nogami ze znacznie większą energią.

Miał nadzieję, że wysiłek fizyczny powstrzyma napływ posępnych myśli o ostatnim niepowodzeniu. Ale i tak nie dawały mu spokoju, krążyły jak skrzeczące i trzepoczące skrzydłami sępy. Tym razem miał niemal pewność, że wreszcie znalazł odpowiedź na pytania, które nie dawały mu spokoju. Że to, co podpowiadała wyobraźnia, zdoła przekształcić w rzeczywistość. Ideę...

Że bezkonny powóz można napędzać parą. Jak lokomotywę. Nie po torach, ale po zwykłej drodze. Powóz bez zaprzęgu... Tylko że był potrzebny mechanizm, jakiego jeszcze nie wynaleziono, lżejszy i mniejszy, a przy tym znacznie silniejszy. Tajemnica powodzenia leżała w przewodach ogniowych. Należało jakoś zastąpić pojedynczą przepustnicę i bliźniacze płomienice, które funkcjonowały we współczesnych maszynach parowych. Najlepiej wielocylindrycznym systemem wielu małych płomienie i przegród dymowych - dwudziestu lub więcej - który zwielokrotniłby energię parowania kotła. Teoretycznie taka liczba przewodów ogniowych pozwoliłaby na zwiększenie ciśnienia wewnątrz kotła i, co się z tym wiąże, mocy silnika.

Jak się okazało w praktyce, kocioł diabli wzięli.

Właśnie dlatego eksperyment odbywał się w odosobnionej

i opuszczonej maszynowni Wheal Ruthe, a nie w Penzance i tamtejszej odlewni. W razie niebezpieczeństwa na ryzyko wystawiona była tylko jedna osoba.

Ale i tak od pewnego czasu miał wrażenie, że żyje na kredyt. Już przed rokiem powinien był zginąć w bitwie pod Waterloo... Sępy w jego głowie trzepotały skrzydłami, skrzecząc przeraźliwie, i nagle jego nozdrza wypełniła woń prochu, taka sama jak odór zgniłych jaj, woń świeżej krwi, zateęchła woń strachu. Zanurkował pod falę i machnął mocno nogami, wypuszczając powietrze z bólu, który przeszył mu krocze. Połknął słoną wodę, wyczuwając smak krwi. Wyczuwając śmierć. Wyczuwając...

Chłód.

Woda stała się nagle bardzo zimna. Starał się utrzymać kierunek, zawrócić w stronę brzegu, ale prąd już go trzymał jak w garści, ciągnął dalej w stronę otwartego morza. Nie pomagało kopanie i uderzanie ramionami. Woda ssała, wciągała, szarpała, jak gdyby był tylko zwykłym liściem, który dostał się w wir. Mogło się zdawać, że wstąpiło w nią życie. Przerazała jej brutalna, wroga siła. Walczył, wyężdżając całą wolę i wszystkie siły, aby dać odpór morzu, ale żywioł zwyciężał. Prawie się roześmiał. Zawsze podejrzewał, że kiedy w końcu umrze, stanie się to na skutek jego własnej przeklętej głupoty.

Jednak morze jakby się z nim tylko bawiło, bo naraz szarpnęło nim po raz ostatni i uwolniło.

Przekręcił się na plecy. Jego pierś szybko unosiła się i opadała. Utrzymywał się bezwładnie na powierzchni wody, czując z ulgą, że na fali przyływu zmierza do brzegu. Oddychał nierówno, dyszał, ale choć był zanurzony w wodzie, usłyszał jakiś obcy dźwięk. Z początku sądził, że to krzyczy rybitwa. Chora rybitwa.

Stąpił już w wodzie, kołysząc się niczym korek w koleinach fal, kiedy zdarzyło mu się spojrzeć w stronę plaży. Zza skały wyłoniła się ta koścista, rudowłosa dziewczka.

Stała teraz po kolana w wodzie i ułożywszy dłonie w tubę, coś do niego wołała.

Zignorował ją, odwracając się i kładąc plecami na wodzie. Bolała go noga. Czasem ból był tak intensywny jak tamten powracający w pamięci. Z początku rzeźnicy, którzy mienili się chirurgami, orzekli, że umrze, jeśli noga nie zostanie amputowana. Byli zapłutymi kłamcami, co im wkrótce udowodnił.

Stwierdzili wówczas, że nie będzie w stanie chodzić, ale i tym razem dowiódł, że nie mają racji. Musiał wszak przyznać, że noga nie była już tak sprawna jak dawniej. I ciągle czuł w niej ból, jakby kły zwierzęcia wbijały się w jego ciało. Pomagało tylko odurzenie alkoholem.

Rudowłosa dziewczka biegła teraz tam i z powrotem, wymachując rękami niczym obłąkana kura. Do licha ciężkiego, czego mogła chcieć? Musiał wracać, nie miał już siły na powtórne zmagania z morzem. Wyobraził sobie, że w zasadzie wystarczy, aby wynurzył się nagi z fal, a rudzielec rzuci się do ucieczki skalną ścieżką, kwicząc jak poparzone prosię. Przekręcił się na bok, wyrzucił ramię w przód i przeciął dłonią najbliższą falę. Wypluł słoną wodę i odłonił zęby w uśmiechu.

Nie uciekła. Ale kiedy znalazł się zaledwie kilka stóp przed nią i wyprostował w spienionej wodzie, drgnęła i zaczęła się cofać niczym piaskowy krab. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a jej twarz powoli przybierała barwę rozduszonej morwy. Kiedy wreszcie zatrzymał się, utkwiała wzrok gdzieś ponad jego ramieniem. Odezwał się jak dżentelmen, starannie wymawiając poszczególne sylaby.

- Panno Letty, czy pani czegoś sobie życzy?

- Ja tyl... - Utknęła. Widział, jak z trudem przęłyka. Wiatr skłębił jej włosy w cynamonową chmurę. Wokół morze unosiło się i opadało, jak gdyby potrafiło oddychać.

Dłoni strzepnął wodę z piersi. Dziewczyna poruszyła się, zerknęła na niego i znowu uciekła spojrzeniem w bok. Morze westchnęło.

Była bardzo młoda. Miała szczupłą twarz, szerokie czoło i wyraźnie zarysowane policzki, wszystko zaś gęsto ponakrapia-ne piegami. Ale to usta dominowały w jej twarzy. Duże, pełne. Nawet gdy były zaciśnięte, jak teraz, mogło się zdawać, że lada chwila rozchylą się w uśmiechu lub do śmiechu. Nie przypominała nikogo spośród osób, z którymi kiedykolwiek się zetknął, a jednak odnosił wrażenie, że ją zna.

- Oj, ma pani cios niczym doker z Billingsgate, panno Letty. Mocniej zaciśnęła usta, wyżej podniosła brodę, ale dalej uważała, by na niego nie spojrzeć.

- Pańskie odpychające zachowanie bez wątpienia zasługiwało

na podobną reakcję, wszelako proszę mi wierzyć, iż nigdy nie zamierzałam pana uderzyć - oświadczyła, tak starannie dobierając słowa i układając usta, że tylko z trudem powstrzymywał śmiech. - Należy to potraktować jako czysty przypadek.

- Doprawdy? Przerazenie mnie ogarnia na samą myśl, co mogłaby pani uczynić, gdyby ktoś sprowokował panią umyślnie.

Jej usta lekko drgnęły w kąciku i przez chwilę myślał, że pojawi się na nich uśmiech. Przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech w oczekiwaniu. Morze jęknęło.

- Otóż pragnęłam pana ostrzec - powiedziała. W dalszym ciągu patrzyła w dal. - W zatoczce prądy są bardzo niebezpieczne. Zwłaszcza po sztormie. Prądy...

Postąpił dwa kroki. Dwa, bo tyle potrzebował, aby się do niej zbliżyć. Nim zdążyła uciec, chwycił ją za podbródek i zmusił, aby odwróciła do niego twarz. Spojrzała na niego ze zdziwieniem i obawą. Oczy, szare jak stop cyny z ołowiem, niczego nie skrywały. Dostrzegał w nich strach, zdumienie i pączkującą erotyczną ekscytację. Dawno już zapomniał - nie, nie wiedział zupełnie, co to znaczy być tak niewinnym. Zwilżyła językiem pełną dolną wargę.

- Prądy w tym... w tej zatoczce są bardzo zdradliwe. Powiódł kciukiem po jej mocnej szczęce. Morze oddychało:

wdech, wydech... wdech, wydech.

- Znowu bawi się pani w piastunkę, panno Letty?!

Przebiegł ją dreszcz. Wyszarpnęła się z jego uścisku tak energicznie, że straciła równowagę i z pluskiem usiadła w wodzie. Wzrokiem ogarnęła jego sylwetkę.

Szeroko otworzyła oczy i rozchyliła usta, spostrzegłszy ewidentną przemianę, jaka zaszła w jego wyglądzie.

- Proszę pozwolić sobie pomóc, panno Letty. - Pochylił się i wyciągnął rękę, jak gdyby oboje znajdowali się w salonie.

Odrząciła podaną dłoń. Zaczęła machać rękami, starając się podnieść, ale jej nogi zaplątały się w mokry materiał spodnicy. W końcu, dygocząc i ociekając wodą, stanęła prosto. Odgarnęła z twarzy splątane na wietrze włosy. Drżały jej usta, a twarz miała tak bardzo bladą, że mógł policzyć na niej wszystkie piegi.

- Teraz pojmuje, co pani miała na myśli, opowiadając o zdradliwych prądach - powiedział.

- Posłuchaj - nachmurzyła się jak niebo przed gradobiciem. - Jak chcesz, możesz się rzucić do tego starego szybu, niewiele mnie obchodzisz!

Odwróciła się i brodząc w wodzie, dumnie wyszła na brzeg. Była w połowie drogi do skalnej ścieżki, kiedy nagle poderwała się do biegu. Biegła niczym mała dziewczynka, machając energicznie rękami. Tuż za nią, niczym rozwinięty łaćński żagiel, łopotały jej rdzawe włosy.

Przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Pozostaję twoim najbardziej uniżonym i najposłuszniej-szym sługą, panno Letty! - Liczył na to, że dziewczyna odwróci się, aby oddać pożegnalny strzał. Albo że wypali całą salwą spojrzeń tymi szarymi jak armata oczami.

Zdziwił się i nawet trochę rozczarował, kiedy się okazało, że tego nie uczyniła.

II

- Biedna Peaches - powiedziała Jessalyn, głosem nieco ochryplym od śmiechu. - Dręczy cię, ten paskudny ptak, prawda?

Tłusta, pomarańczowa kotka syknęła, prychnęła i jakby tego było mało, na koniec plunęła. Obiektem jej wrogich uczuć była szpetna rybitwa o czarnym grzbiecie.

Rybitwa, duża jak gęś, siedziała na parkanie prowokująco blisko. Mimo wszystko zwierzęta - i kot, i ptak - wiedziały, że ptak zdąży się zerwać do lotu wcześniej, nim kot rzuci się do ataku.

Rybitwa krzyknęła i zatrzepotała skrzydłami; Peaches syknęła. Śmiejąc się, Jessalyn pogłaskała koci grzbiet w śmietankowe pasy.

- Moja droga, teraz już naprawdę udało ci się przestraszyć to ptaszysko - zwróciła się do niej pieszczotliwie. Peaches zaczęła mruczeć pod jej ręką i zaciskać pazurki na nieco spróchniałym drewnie parapetu.

Niemal nic nie zakłócało wieczornego spokoju. Szeptwały przybrzeżne fale i piskliwie szczebiotał lelek. W morzu odbijały się ostatnie promienie gasnącego słońca, mieniając się na powierzchni purpurą śliwkowego wina. Tylko sto metrów dzieliło End

Cottage od brzegu, ale klify były tutaj bardziej strome niż przy Crookneck Cove, plaża zwężała się i zwykle zalewała ją woda.

Peaches ostatni raz rzuciła nienawistne spojrzenie na rybitwę, a potem, okazując wzdorczą obojętność, zeskoczyła z parapetu i kołysząc się, przeszła w stronę pieca. Przed rokiem Peaches była wychudłą przybłądą, bliską śmierci z głodu i wycieńczenia. Od tamtej pory tak bardzo przytyła, że tylko z trudem przechodziła tam i z powrotem między oknem a paleniskiem.

Jessalyn zajęła przy oknie miejsce kotki. Przez cały wieczór była niespokojna. Wewnątrz niej coś się działo, burzyło i mieszało jak w gąsiorze z fermentującym jabłecznikiem.

Znowu zerwał się wiatr, unosząc słomianą krawędź dachu na stajni. Powietrze było przesycone zapachem morza i świeżego siana, które właśnie w tym tygodniu zebrano i ustawiono w stogi. Inna, słodkawa woń pochodziła od plam jaskrawej i bladej żółtości, od pierwiosnków i żonkili rosnących blisko wybiegu dla koni, gdzie jabłkowity żrebak brykał wokół słupka.

Okoliczni mieszkańcy nazywali End Cottage końską farmą, co obecnie było już dużą przesadą. Przed wielu laty dziadkowie Jessalyn hodowali konie, które ścięły się na wielkich torach niedaleko Londynu. Sir Silas Letty, dziadek Jessalyn, był człowiekiem rozmiłowanym w sportach. Prowadził swój interes uczciwie, grał namiętnie i zawsze spłacał długi. Dawniej stajnie Lettych cieszyły się niezłą sławą w kręgach Towarzystwa Hodowców Koni. Konie wygrywały na bieżąco dosyć, by pokryć z dochodów znaczne koszty wyścigów w przyszłości.

Jessalyn zamieszkała w End Cottage wiele lat po śmierci swojego dziadka. Kiedy jego zabrakło, szczęście powoli zaczęło opuszczać Lettych. W końcu odwróciło się od nich na dobre. Kolejno sprzedawano wszystkie zwycięskie konie, ogiery i klacze, aż pozostały jedynie te stare, kulawe i przegrane.

Jessalyn nigdy jeszcze nie była na wyścigach, nigdy nie stała na mecie i nie wypatrywała, czy jej koń wyprzedził faworyta o długość wąsów. Musiały jej wystarczyć opowieści babki, których słuchała w zimowe wieczory, siedząc przy ogniu, podczas gdy na dworze panowała typowa dla Kornwalii zawierucha. Toteż wiedziała dokładnie, jak by to mogło być: najpierw dźwięk dzwonu startowego, migoczące tęczowe światła odbite od taf-

towych ubrań dżokejów, tętent setek podków uderzających w trawiastą powierzchnię toru... i słodki, ekscytujący smak zwycięstwa.

Nadejdzie taki dzień - mawiała lady Letty z błyskiem w oczach i tonem lekkim jak ogień, albo może był to tylko sen - nadejdzie taki dzień, że pojawi się dobry koń, z którym pojedą na sezon do Epsom Downs i Newmarket, by znowu wziąć udział w wyścigach. Nadejdzie taki dzień...

Duże nadzieje wiąźali z jabłkowitzą źrebicą, która przyszła na świat ostatniej wiosny. Nazwali ją Nadzieja Lettych.

Ze stajni wyszedł mężczyzna, niosąc uździenicę. Jessalyn pomachała w jego stronę, ale mężczyzna nie mógł odpowiedzieć machaniem. Trzymał uździenicę prawą ręką i musiał ją chwycić zębami, aby otworzyć zasuwę przy wejściu do zagrody. Lewą stracił przed pięcioma laty podczas bitwy na półwyspie. Llewellyn Davies był niskim, ciemnowłosym Walijszym o pałkowatych nogach. Dla Jessalyn i jej babki był po prostu Sierżantem Majorem, bo w takiej randze służył w wojsku. Pozostali mieszkańcy hrabstwa nie szukali z nim kontaktu, nie był bowiem człowiekiem dobrodusznym.

Z tyłu szczęknęła klamka. Jessalyn się odwróciła. Do saloniku weszła jej babka, szeleszcząc jedwabiem czarnej spódnicy. Wprawdzie używała laseczki, ale się nie pochylała. Była wysoką kobietą i podkreślała to, przyjmując dumną postawę. Ramiona i plecy trzymała prosto i wydawała się sztywna jak tyczka.

- Zamknij okno, moja panno - powiedziała lady Letty z twardym kornwalijskim akcentem. - Ogień przygasa.

Jessalyn pociągnęła za stare skrzydło okienne, którego zardzewiałe zawiasy zapiszczały w proteście. Potem pochyliła się nad ogniem i przegarnęła porzebaczem rozżarzony opał, to znaczy janowiec i wyrzucone przez morze kawałki drewna, pobudzając do życia leniwe płomienie. Lady Letty usiadła na krawędzi zniszczonej, połatanej kanapy, która niegdyś była purpurowa, ale przez lata pod wpływem słońca i na skutek upływu czasu przybrała barwę rdzawoczerwoną. Podniosła monokl do oka i jej bystre spojrzenie spoczęło na paznokciu dużego palca u nogi Jessalyn, sterczącym przez dziurę w drelichowym pantofelku. Starsza kobieta ściągnęła usta.

Jessalyn dostrzegła to i spuściła głowę, skrywając uśmiech.

- Tak mi przykro, że straciłam buty, babciu - powiedziała. Wcześniej przyznała się, że buty ktoś jej ukradł, gdy szukała zdobyczy nad brzegiem morza. Ani jednym słowem nie wspomniała o wybuchu. Ani o nieznanym.

Lady Letty uderzyła laską w podłogę, trafiając końcem w jedno z najbardziej wytartych miejsc.

- Chodzi nie tyle o utratę butów, moja droga, ile o bezsens całej tej sprawy. Już dawno powinnaś przestać zachowywać się jak zwariowana koza. Pamiętaj, kim jesteś: urodzoną damą. Damy nie spacerują boso po plaży.

- Tak, babciu - odparła Jessalyn, chociaż kwestia, czy damy, nawet ubogie, chodzą na brzeg, by przeglądać śmieci, tym bardziej nie budziła jej wątpliwości. Usiadła naprzeciwko babki na fotelu częściowo zjedzonym przez mole. Złożyła stosownie dłonie i złączyła stopy w dziurawych pantofelkach. Zerknęła na lady Letty i w jej surowych oczach dostrzegła miłość łagodzącą surowy wyraz szarych oczu.

Natychmiast usta starszej kobiety ułożyły się w udawany grymas niezadowolenia. Kiedy pierwszy raz Jessalyn usiadła w tym fotelu, jej nogi ledwie dosięgały ziemi. To znaczy miesiąc po pogrzebie ojca, w dzień, kiedy matka przywlokła ją do Kornwalii i oddała pod opiekę babki. Właściwie pozbyła się jej jak starych ubrań, staromodnych i nikomu niepotrzebnych.

- Rozkapryszona, próżna idiotka nie chce zawracać sobie głowy córką. Zatem mnie myśli obarczyć obowiązkiem troszczenia się o ciebie, hm! - powiedziała wówczas lady Letty, przyglądając się Jessalyn przez monokl. Nie wyglądało na to, aby chciała przychylnie potraktować ognistorudą sześciolatkę, która miała nos nakrapiany piegami i krosty na policzkach. Lecz po chwili lady Letty roześmiała się i dodała: - Dobry Boże, jesteś moim żywym odbiciem. W twoim wieku wyglądałam tak samo.

- I wówczas Jessalyn pomyślała, że może babka uważa to za dobry znak. - Pewnego dnia odkryjesz, że nie jest łatwo nosić nazwisko Letty - ciągnęła jej babka. Machnęła sękatą ręką, aby powstrzymać Jessalyn przed odezwaniem się, choć dziewczynka i tak nie była w stanie otworzyć ust. - Nie ma najmniejszego znaczenia okoliczność, że jesteś jej córką. Twój ojciec był Lettym. W twoich żyłach płynie krew Lettych.

Zrobię z ciebie godnego członka rodziny. I damę. Klnę się na Boga.
Być z rodu Lettych - to okazało się zupełnie proste. Trudniej było zostać damą. Problem nie polegał na tym, że postępowała jak trzpiot. Po prostu nigdy nie zdążyła w porę zachować się na tyle stosownie, by „dać świadectwo ogłady” - jak to określała lady Letty. Starsza pani z nadzwyczajnym uporem usiłowała zmienić tę cechę charakteru Jessalyn w cnotę.

- Nie bierz sobie tego do serca - powtarzała lady Letty za każdym razem, kiedy Jessalyn udało się zrobić z siebie wyjątkową idiotkę. - Naturalnie pewni ludzie postępują wyłącznie stosownie. Wierz mi jednak, moje drogie dziecko, że istnieje coś takiego jak powszechny sposób postępowania oraz sposób postępowania Lettych. Czasem ktoś musi zrobić coś nieoczekiwanego. Sposobem Lettych, rzecz jasna. Niechże się wtedy inni odczepią. Możesz im to powiedzieć.

Problem w tym, że Jessalyn nie chciała tego mówić wszystkim. Czasem pragnęła zachowywać się z ogładą, wzorem innych. Aby się dostosować, przypodobać, uchodzić za dobrze ułożoną młodą damę, która już nigdy nikoąo nie będzie martwić swoimi kłopotami. Czasem. Bywało i tak... Bywało i tak, że czuła się jak latawiec, niesiony tam, dokąd wieje wiatr. Chciała się wyswobodzić, być tylko sobą. Czasami zupełnie nie dbała o to, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy matkę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Jessalyn natychmiast wróciła do rzeczywistości. Weszła pokojówka, niosąc na tacy filiżanki z herbatą. Zamknęła za sobą drzwi znakomicie opanowanym ruchem biodra, a potem postawiła tacę na składanym stoliku przy oknie.

Dziewczyna wyprostowała się, stęknęła i zaczęła rozcierać okolice krzyża.

- Co za życie! Paskudny dzień. Od roboty ani się opędzić. Nic tylko dźwigam, szarpię się, chodzę od samego brzasku. Dziw bierze, że nie dostałam jeszcze spazmów w plecach. Że jeszcze nie popadłam w prostytutkę.

Lady Letty stuknęła laską w podłogę.

- Prostrację! Ile razy mam ci powtarzać? Odpowiednie słowo to „prostracja”. Koronkowy czepek dziewczyny zakołysał się zgodnie z ruchami jej głowy. Buzię miała puciołowatą jak maślana bułeczka, a oczy jak dwie czarne rodzyнки. Jej twarz byłaby ładna, gdyby nie fatalna blizna biegnąca od kącika lewego oka aż do ust. Kiedy dziewczyna skończyła dwanaście lat, jej pijany ojciec, górnik z pobliskiej kopalni, cisnął w nią kilofem, rozrywając policzek. Jak Peaches i Sierżant Major, Beka Poole była jednym z życiowych nieudaczników i pechowców, których lady Letty z zasady chętnie przygarniała.

Jak mnie - pomyślała Jessalyn.

- Ano właśnie, proszę pani - powiedziała Beka z uśmiechem, który sprawiał, że łatwo zapominało się o bliźnie. - Tak właśnie powiedziałam: prostytutkę.

Zerkając groźnie na dziewczynę, lady Letty wyjęła z kieszeni tabakierę. Choć palce miała zniekształcone przez reumatyzm, wieczko ze skorupy żółwia otworzyła jedną ręką. Podniosła szczyptę gryzącego proszku i delikatnie pociągnęła nosem. Skóra lady Letty była poprzecinana maleńkimi zmarszczkami jak wyschnięte jabłko, lecz mimo podeszłego wieku ogólnie wyglądała dobrze. Wyrazista twarz starszej kobiety harmonizowała z siłą jej woli i charakteru.

Od kiedy Jessalyn pamiętała, włosy lady Letty były koloru rudy cyny, którą górnicy wydobywali z kornwalijskich kopalni. Ale Jessalyn słyszała, jak mówiło się, że dawniej włosy jej babki przypominały barwę płomienia. Niegdyś ta groźna starsza kobieta była młoda, miała roześmianą twarz, kokieterijny sposób chodzenia i język szelmy. Była panną z szybu, dziewczyną, która pracowała w kopalni.

Powszechnie znano historię o Rosalie Potter. Podobno pewnego razu wracała do domu z nocnej szychty we Wheal Ruthe, kiedy przypadkiem zajechał jej drogę dobrze zbudowany mężczyzna na koniu. Silas Letty pochodził ze starego i dumnego kornwalijskiego rodu. Był potomkiem szlacheckiej rodziny właścicieli ziemskich, która wywodziła swoje nazwisko od uczestnika bitwy pod Hastings. Silas rzucił okiem na te roześmiane usta, na rude włosy, i zakochał się. W jednej chwili wszystko na tym świecie przestało się liczyć, prócz jednego: musiał dostać

tę pannę z szybu. Lecz jako dumny Letty uczynił rzecz zdumiewającą. Ożenił się z nią, zamiast po prostu zaciągnąć ją tylko do łóżka.

Jakiś czas później wybrano Silasa do parlamentu. Zamieszkał w Londynie, gdzie pewnego razu wyświadczył królowi jakąś przysługę, uprzejmość, o której nie wolno mu było nikomu wspominać. Z wdzięczności władca uczynił go baronetem. I wtedy po raz kolejny Silas zrobił rzecz niebywałą. Aby zadowolić króla, zgodził się przyjąć tę godność, choć niewiele dla niego znaczyła. Członek rodu Lettych nie potrzebował tytułów, aby poprawić swą towarzyską pozycję.

Sir Silas cieszył się tylko z jednego. Rosalie Potter, dawna panna z szybu, która urodziła się i dorastała w szopie obok piaszczystych żuźlowych hałd Wheal Ruthe - jego Rosalie - została lady.

Żadna z wypożyczonych książek, które Jessalyn przeczytała, nie zawierała bardziej romantycznej historii. Dawno, dawno temu piękna, ale uboga panna z szybu podbiła serce baroneta, mężczyzny, którego pozycja społeczna tak bardzo przewyższała jej stan, jakby mieszkał na księżycu.

Jessalyn westchnęła i zmarszczyła czoło. Była ciekawa, co babka powiedziała o mężczyźnie, który ma blizny, odciski na dłoniach i przeklina gorzej niż pierwszy lepszy straganiarz. Który, eksperymentując z urządzeniami na parę, spowodował wybuch i rozebrał się do naga w obecności młodej dziewczyny, aby popływać w morzu. Który patrzył na nią i dotykał jej...

- Masz wszy, moja panno? - warknęła lady Letty. - Przestań się rzucać jak śledź na haczyku.

- No właśnie. Musi to ta ekspozycja zepsuła panience nerwy, proszę pani. - Beka Poole skończyła wreszcie rozstawiać na stoliku serwis do herbaty i wyprostowała się z kolejnym teatralnym stęknieniem. - O, proszę, niech no pani spojrzy na moje ręce. Trzęsą się jak liście w czasie zawieruchy.

Lady Letty stłumiła kichnięcie chusteczką do nosa.

- Ekspozycja? Jaka znowu ekspozycja?

- Bardzo wielka ekspozycja, proszę pani. To się stało dzisiaj po południu, jak pani poszła do Mousehole. W tym czasie Sierżant Major i ja właśnie siadaliśmy coś przekąsić lub napić się herbaty, nie pamiętam. No i nagle jakby trzasnął grom z jasnego

nieba: bum! bum! A ziemia! Ojej! Furczała jak stara czarownica w czasie snu. Ogromna, potężna ekspozycja! Dziw, że od razu nie padłam trupem.

Jessalyn podniosła się, aby przegarnąć pogrzebaczem w kominku i jednocześnie uniknąć spojrzenia cynowoszarych oczu babki. Była pewna, że lady Letty tylko raz na nią spojrzy i od razu będzie wiedziała wszystko. Wszystko, co się tego dnia wydarzyło. Jessalyn leżała na mężczyźnie - nieważne, że chodziło o czysty przypadek, o zdarzenie, w którym uczestniczyła, nie mając żadnych złych intencji... Przyglądała się, jak ten sam mężczyzna wchodził do wody, a potem wychodził - całkowicie nagi. Nie, nie pocałowała go, chociaż... Dobry Boże!

- Beka - powiedziała Jessalyn głosem nieco bardziej podniesionym, niż zamierzała. - Czy mogłabyś przynieść nam do herbaty po kawałku ciasta?

- A jakże. Chociaż nie wiem, jak panienka może tak suto jeść po tym strachu, co nas przeleciał dziś po południu. Zwaliło mnie z nóg, nie ma co. Musiałam użyć jednego z tych zbawiennych środków doktora Dooleya. Ale to na nic się nie zdało. Potem i tak ledwie co zjadłam parę pomidorów i kilka kęsów baraniej nogi.

Lady Letty z zaciśniętymi ustami obserwowała, jak Beka Poole tanecznym krokiem opuszcza izbę.

- Ta dziewczyna! Powiedz, proszę, o jakim zbawiennym środku ona mówiła?

Jessalyn odetchnęła z ulgą: szczęśliwie nastąpiła zmiana tematu.

- Raczej o środku trawiennym, babciu. - Naraz roześmiała się. - A że wśród składników znajdują się odchody nietoperza, ślimaczy śluz i jakieś owady, to środek musi być zbawienny.

Jessalyn usiadła naprzeciwko babki i naląła herbaty do filiżanek. Kiedy znajdowały się w szczególnie trudnym położeniu, jak ostatnio, parzyły liście herbaty przez kolejne trzy dni. Właśnie przypadał taki trzeci dzień i herbata wyglądała jak brudna woda.

Kiedy Jessalyn podała babce filiżankę, starsza dama wykrzywiła usta, co było jej osobistą wersją uśmiechu, i klepnęła Jessalyn w kolano.

- Nie zadrećzaj się już sprawą butów, moja panno. W jakiś

sposób uściubimy trochę gotowizny na nową parę. Jeśli będzie z nami naprawdę źle, zawsze jeszcze będę mogła sprzedać jedną z moich tabakier.

- Och, nie! Nie wolno ci tego zrobić, babciu!

Lady Letty miała wspaniałą kolekcję osiemdziesięciu dziewięciu tabakier.

Niewielkie cacka powstały ze wszystkich możliwych materiałów, od *papier mache* po japońską miedź i cięty kryształ. Pochodziły ze starych, dobrych czasów.

Dostawała je jako podarunki od baroneta, który w taki osobliwy sposób upamiętniał wygrane swoich koni albo zajmowane przez nie miejsca w czołówce.

- Nie pouczaj mnie, co mi wolno, a czego mi nie wolno robić. - Lady Letty strzepnęła ze staniczka odrobinę tabaki. - Człowiek w moim wieku nie musi mieć więcej, niż potrzebuje. W przeciwnym wypadku rzeczy się marnują. - Upiła łyk herbaty i skrzywiła się. - Mmm! To smakuje, jakby wyleciało krowie spod ogona. Należy no mi trochę porto.

Jessalyn wstała po karafkę z porto, która stała w pobliżu okna na komodzie ponabijanej błyszczącymi gwoździami. Powoli napełniła kielich ciężkim winem, dokładnie tak jak ją nauczono, by nie wzburzyć trunku i nie pozbawić go właściwego smaku.

Od kiedy Beka przyszła z herbatą, zdażył zapaść zmrok. Za pomocą skrawka papieru Jessalyn zapaliła łojowe świece, które stały na obramowaniu kominka. Przechodząc od jednej do drugiej, wzrokiem złowiła swoje odbicie w zmatowiałym lustrze. Żywe kolory wystąpiły na jej policzki, w oczach płonęło dziwne światło. Drgnęła i czym prędzej spojrzała w bok.

Odwróciła się, aby stwierdzić, że lady Letty pilnie się jej przygląda przez monokl.

- A teraz opowiedz mi o tym wybuchu, który rzekomo nastąpił dzisiejszego popołudnia - poprosiła starsza dama. - Czy właśnie wtedy spotkałaś chłopaka od Trelawnych?

Jessalyn ze zdumienia otworzyła usta.

- Skąd...?

- Prosta dedukcja, moja panno. Wystarczy na ciebie popatrzeć. Wyglądasz, jakbyś miała przed oczami swojego konia, który w drodze do mety wyprzedza całą stawkę, a ty akurat dodatkowo postawiłaś na niego całe sto funtów. Tylko jedna rzecz, prócz grubego portfela, może tak podziałać, że członek

rodziny Lettych nabiera podobnego wyrazu twarzy. Zapytałam siebie, czy ostatnio w okolicy nie pojawił się jakiś młody mężczyzna, i przyszła mi do głowy pewna określona kandydatura.

- Ale kiedy... dlaczego... To Trelawny! - Jessalyn natrafiła na fotel tylną częścią kolan i usiadła. - Ale chyba nie ten hrabia, co?

Lady Letty postukała w wieczko tabakiery tępym paznokciem.

- Stary hrabia miał trzech chłopaków, ale jak mniemam, ten jest najmłodszy z nich. O ile dobrze pamiętam, na chrzcie dali mu imię jakiegoś irlandzkiego kuca, którego w dniu urodzin chłopca hrabia szczęśliwie obstawił na wyścigach w Newmarket. Mackjakiśtam. Kiedy ostatni raz go widziałam, był jeszcze komisem. Zdaje się, że na pogrzebie jego ojca w tysiąc osiemset pierwszym. Stary lord w pijackim ośpieniu spadł ze schodów i złamał sobie kark. Ma teraz dwadzieścia parę lat - najmłodszy syn, a nie stary lord - po uszy tonie w długach i jest na dobrej drodze do wiecznego potępienia. Złą krew przekazują sobie w tej rodzinie, złą krew. Bardzo niebezpiecznie jest zbliżyć się do szalonych hrabiów Caerhaysów... Wszyscy umierają młodo, nagle i w niesławie.

Jessalyn знаła te opowieści. Charles Trelawny, dziesiąty z kolei hrabia Caerhays, umarł przed piętnastu laty, gdy złamał kark spadając ze schodów. Oczywiście, był podobno pod dobrą datą. Chociaż inni twierdzili, że to nie porto zabiło lorda, tylko zazdrosny mąż jednej z jego licznych metres. Tytuł po nim przypadł najstarszemu synowi, również Charlesowi. Z kolei ten stracił życie, spadając z konia podczas wariackiej nocnej jazdy. Pękła mu śledziona. Powiadano, że on także nie był trzeźwy. Chociaż inni gotowi byli przysiąc, że jego duszę porwał do piekła duch mężczyzny, którego zabił w pojedynku.

Drugi syn Charlesa seniora, obecny hrabia, wiódł w Londynie mało skromne życie, był rozpustnikiem i hulaką. Należało przypuszczać, że nie doczeka swoich następnych urodzin. Szaleni hrabiowie Caerhaysowie... Jessalyn próbowała przypomnieć sobie plotki na temat trzeciego spośród braci. Ponoć kupił tanio patent oficerski w regimencie liniowym i niemal dał się zabić w bitwie pod Waterloo.

- Babciu? Może wiesz, co... - Nie pamiętała, czy kiedykolwiek ktoś wspomniał, w jakiej randze służył w wojsku najmłodszy z dziedziców hrabstwa Caerhays.

Zdecydowała się na kapi-

tana. - Może wiesz, co kapitan Trelawny porabia w Kornwalii? Ma zamiar pozostać i zarządzać majątkiem?

- Nie ma czym zarządzać. Cały majątek wykrwawił się już wiele lat temu. Hrabowie Trelawny nigdy nie dbali o swoje kornwalijskie włości. Sprzedaliby je już dawno, gdyby nie prawo majoratowe. Nie, podobno udzielono mu urlopu dla podratowania zdrowia. Ale większość czasu spędza, pracując w odlewni w Penzance. Przeprowadza nedorzeczne eksperymenty, które mają jakiś związek z lokomocją parową. Zajmowanie się czymś tak pospolitym nie może przywrócić Trelawanym dobrego imienia. To zajęcie godne zwykłego kowala i nie lepsze od pracy górnika. - Lady Letty wzdrygnęła się. - Odciski na rękach i brud pod paznokciami. To nie uchodzi.

W wyobraźni Jessalyn mignął obraz długich, ciemnych palców przeczesujących mokre włosy. Wcale nie miał brudu pod paznokciami. Dłoń, którą tamten mężczyzna chwycił ją za kostkę, a potem trzymał mocno i bezwzględnie, była jedynie szorstka...

Drzwi saloniku otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczyła Beka Poole, niosąc tacę z ciastem. Nadgarstek wolnej ręki przyłożyła do głowy niczym tragiczna postać z przedstawienia na scenie w Covent Garden.

- Rany boskie, już nie mogę. Moje nerwy rozniosło w strzępy. Gorzej niż wisielczy sznur. Czuję wielki ból w piersiach. I chyba mam kołysanie serca...

- Kołatanie - powiedziała lady Letty z westchnieniem i pociągnęła duży łyk portu.

- A jakże. Kołysanie. Przed snem wezmę chyba dubeltową porcję proszku rabarbarowego. Inaczej nawet oka nie zmrużę.

Z poddasza dobiegało głośnie chrapanie Beki Poole - ni to rechot, ni to skrzypienie - jakby wydobywało się ze stawu pełnego żab.

Jessalyn położyła się na brzuchu i wsunęła głowę pod poduszkę. Zazwyczaj nic nie było w stanie wybić jej ze snu. Znana była z tego w całej okolicy - przynajmniej od czasu, kiedy spokojnie przespała kornwalijski flagh, potężny sztorm, podczas którego wyrwany z korzeniami spory wiaz niczym taran rozbił

okno jej sypiani. Ta noc była spokojna. Nic nie zakłócało ciszy poza odległym szeptem przybrzeżnych fal, sporadycznym wołaniem kulika i chrapaniem Beki. W kominku płonął niewielki, ale pokrzepiający ogień. Prześcieradła staromodnego łóżka zostały wcześniej nagrzane gorącą cegłą. Wszystko w świecie Jes-salyn było takie, jakie być powinno, jakie było zawsze od tamtej pierwszej nocy w End Cottage, a jednak...

A jednak dokuczał jej jakiś ból w piersiach, tępy ból, który narastał przez całe popołudnie, powiększał się niczym ciasto pozostawione do wyrośnięcia na kuchennym parapecie.

- Tam do licha! - Jessalyn uderzyła pięścią w poduszkę i przekręciła się na plecy, patrząc szeroko otwartymi oczami w pełen cieni mrok. Zaczęła liczyć chrapnięcia Beki. Doliczyła do czterdziestu jeden, nim odrzuciła pościel i wstała.

Zapaliwszy świecę, podeszła do toaletki z wysokim lustrem, stojącej przy szafie na ubrania. Ustawiała je tak, aby widzieć całą swoją sylwetkę. Zmarszczyła czoło. Nocna koszula była już nieco za krótka. Spod jej dolnego brzegu wyłaniały się chude nogi i duże stopy. Kiedy ostatnim razem Jessalyn była w Pen-zance po nową sukienkę, krawcowa, która zdejmowała z niej miarę, dała jej kuksańca w zębra i powiedziała, że wygląda jak dopiero co wykluty śledź. Od tamtej pory nie zaokrągliła się ani trochę, chociaż z całą pewnością urosły jej stopy.

Jesteś niezdarnym, patykowatym stworzeniem - pomyślała.

Podniosła świecę i przyniosła ją bliżej lustra. Babka twierdziła, że jej włosy mają barwę gliny, jak brunatne jesienne liście, ostatnie zrywane z drzew przez zimowy wiatr. Puste słowa: rude to rude. Jessalyn wyrwałaby kolejno z głowy każdy rudy włos, gdyby miała pewność, że odrosną jej jako blond. Babka twierdziła również, że Jessalyn ma silne, wytrzymałe kości, z czego po czterdziestce powinna się bardzo cieszyć. Ale po skończeniu czterdziestu lat jest się już starym człowiekiem; jaki może być wtedy pożytek z mocnych kości? Ale tak naprawdę to dopiero usta szpeciły jej twarz. Usta kłowna: szerokie i czerwone.

Z obu stron włożyła po jednym palcu, rozciągnęła usta na boki, wysunęła język i wybałuszyła oczy niczym chrząszcz. Zaczęła się śmiać, ale śmiech szybko uwiązał jej w gardle.

Wiedziała, że nie jest ładna. Wcześniej wcale się tym nie martwiła. No, może trochę...

Jednak ten mężczyzna... Na pewno mógł uchodzić za przystojnego, nawet z tymi swoimi surowymi ustami. I był bratem hrabiego. Mógł mieć każdą dziewczynę, na jaką przyszła mu ochota. Kobiety lgnęły do niego. Wywnioskowała to z pyszał-kowatego, kpiącego tonu, jakim mówił. Do niego należał wybór.

A na dziewczynę taką jak ona drugi raz nie chciałby nawet spojrzeć.

Odwróciła się od lustra. Przy oknie stało stare biurko ze zniszczoną politurą. Nie miało jednej nogi, dlatego się przechylało. Jessalyn usiadła przy nim i wyjęła dziennik, który babka podarowała jej na urodziny przed kilkoma miesiącami.

Powiodła dłonią po oprawie z wytłaczanej hiszpańskiej skóry w kolorze szmaragdowozielonym. W skupieniu zajrzała do środka, głęboko wdychając zapach szeleszczącego i nowego papieru. Kartki były błyszczące, gładkie jak jedwab i złożone na brzegach. Nigdy na nich nie pisała. Coś dziwnego powstrzymywało ją przed skalaniem nieskazitelnej bieli tych stronic. Dziennik był pięknym i drogim prezentem, zaledwie jednym z kilku, jakie w życiu otrzymała.

Naraz zapragnęła zachować wspomnienie tego dnia. To byłoby tak, jakby wsunąć między stronicę książki znalezionej na wiosnę pierwiosnka, aby go zachować na najdłuższe i najbardziej mroczne wieczory zimy. Płatki zostaną zgniecione, a żywy złocisty kolor wiosny zmieni się w matową żółtość, ale zachowa się wrażenie w pozostałym zapachu, kształcie, promienistym rozkwicie płatków, zastygłych na wieki.

Po długich poszukiwaniach w biurku znalazła wreszcie pióro i kałamarz, w którym na dnie zachowała się odrobina atramentu. Wzięła je, świecę oraz dziennik i usadowiła się w łóżku. Otoczyła ramionami wyrośnięte nogi. Przez moment po prostu siedziała i przyglądała się, jak kropla tłuszczu spływa ze świecy na talerzyk. Zanurzyła pióro w kałamarzu i okropnym charakterem pisma nakreśliła datę. Przesunęła miękkim końcem pióra tam i z powrotem po policzku. Myślała o mężczyźnie, który wychodzi z morza - nagim, silnym i pięknym. Uśmiechnęła się. Teraz noc była cicha i spokojna. Tylko pióro skrzypiało, przesuwając się po papierze:

Poznałam dzisiaj pewnego mężczyznę.

III

- Oj, jakże mnie boli trzpień jednego zęba!

Beka Poole otworzyła szeroko usta i włożyła do środka brudny palec. - O, tu. - Potrząsnęła głową, odrzucając na bok włosy brązowe jak upierzenie strzyżyka i odsłaniając podpieczone obierzyny rzepy, które przywiązała sobie za uszami. - Używam kawałków rzepy. Przed snem nacieram stopy otrębami. Ale te sposoby na nic się nie zdają. Trzpień jak bolał, tak boli. Męczę się już cały miesiąc. W nocy nie śpię. Chyba mnie zabije ta prostytutka.

Szarlatan patrzył na Bekę, szybko mrugając powiekami. Zerknął na Jessalyn, odchrząknął.

- Dokucza nam ból zębów, he? Mam tutaj pastę z rybich oczu, której działanie jest wprost cudowne. Chociaż inni wolą napar z szaławii i rozmarynu...

Mężczyzna zaczął szperać pośród cudownych lekarstw i przedmiotów, rozłożonych w tylnej części kolorowego wozu. Rysy miał nieregularne, głównie ze względu na krzywy, haczykowany nos i zezowate prawe oko. Ale był za to bardzo dobrze ubrany, w obszuty sznurem kapelusz i kamizelkę w wyszywane jaskrawe wzory. Kiedy w rozmowie z Beką uzasadniał pogląd, że jeśli chodzi o uśmierzenie bólu zębów, to pasta z rybich oczu bezapelacyjnie przewyższa plastry rzepy, Jessalyn studiowała oferowany przez szarlatana towar. Plaster na odciski, krople od kaszlu i opaski na przepuklinę. Wilec przeczyszczający i piołun na gorączkę, woda ze zgniłych jabłek na wypryski i pastylki zapachowe zabijające niemiłą woń zepsutych zębów. Jej uwagę przyciągnęła małeńka ciemnozielona buteleczka. Zgodnie z napisem na etykiecie wewnątrz znajdował się środek przeciwko...

Jessalyn dokładniej przyjrzała się odřejcznemu napisowi.

- Co to jest wstydliva choroba? - zaczęła się głośno zastanawiać.

Beka odciągnęła ją na stronę, ściskając w ręku zawinięte w papier lekarstwo.

- Nie powinno się o to zapytywać, panienko Jessalyn - odrzekła dziewczyna głośnym szeptem. - Nie wypada, aby młoda dama zapytywała o takie rzeczy.

- Dlaczego tak już jest na tym świecie, że sprawy, które człowiek chciałby poznać, są tymi samymi, o których wiedzę starannie się przed nim ukrywa?

- Co takiego?

Jessalyn właśnie miała przystąpić do bardziej szczegółowego wykładu, na czym polega owa niesprawiedliwość świata, kiedy naraz Beka przeraźliwie krzyknęła wprost do jej ucha. Bezpośrednio w ich stronę mknęły trzy wieprze. Krótkimi nóżkami kaleczyły piaszczystą powierzchnię drogi. Podgardla kołysały się z jednej strony na drugą. Za nimi, wymachując kijem, pędził mężczyzna w zatłuszczonych skórzanych spodniach. Beka i Jessalyn nie miały wyboru, musiały szukać schronienia na wozie szarlatana.

Zdaniem Jessalyn, która później analizowała całe zdarzenie, nic by się nie stało, gdyby handlarz był przewidujący i na wszelki wypadek zaciągnął hamulec. Ale ponieważ tego nie uczynił, ledwie wylądowały siedzeniami między miksturami i innymi cudownymi środkami na rozmaite choroby, wóz ruszył z miejsca i kołysząc się jak pijany żeglarz, zaczął się toczyć po trawiastym stoku w stronę południowego skraju jarmarku w Penzance, który odbywał się w wigilię nocy świętojańskiej. Pierwsze na drodze znalazło się "stoisko z naczyniami. Filiżanki do herbaty, talerze i tace uderzyły w twardą, piaszczystą ziemię z grzechotem i brzękiem. Następna była fura sprzedawcy ryb, potem wystawa myśliwego i namiot ze złocistym transparentem. Duże czerwone litery układały się w napis: WSZYSTKO DLA GOSPODYNI. W końcu wóz - ustrojony rybimi łuskami, króliczymi skórkami, kawałkami stłuczonych naczyń i pasmami purpurowej włóczki - zatrzymał się na linach ringu, gdzie dwie półnagie kobiety walczyły na pięści o kapelusz ze złotą koronką.

Zaskoczenie spowodowało, że goniącemu swój powóz znachorowi udało się jak dotąd uniknąć odpowiedzialności za zniszczenia, które spowodował jego kapryśny pojazd. Jedni byli zbyt zdumieni, by zdobyć się na coś więcej niż krzyk. Inni gapili się z otwartymi ustami. Ale liny ringu odwróciły sytuację. Zawodniczki ruszyły na niego, wymachując pięściami. Zgromadzeni wokół ludzie zaczęli się zakładać, która z nich silniej ugodzi znachora.

Jessalyn przyglądała się temu zamieszaniu, przysłaniając usta.

Nie ukrywała oszołomienia i przerażenia, ale najbardziej miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Olaboga! - zawołała Beka, wybałuszając oczy. - Niech no panienka zobaczy, co narobiłyśmy.

Jessalyn odwróciła się, ledwie powstrzymując śmiech, i wtedy go ujrzała.

Stał przy zagrodzie dla owiec. Trelawny. Nie śmiał się. Nawet się nie uśmiechał.

Miała wątpliwości, czy w ogóle był w stanie wyrazić ustami cokolwiek innego niż tylko kpinę lub szyderstwo. Stał z założonymi rękami i skrzyżowanymi nogami, oparty o drewniany słup. Głowę przesłaniał mu kapelusz ze skóry bobra, przekrzywiony nad jednym okiem. Tym razem miał na sobie kompletny strój.

W jednej chwili wspomnieniami przeniosła się na plażę. Wokół znowu wzdychało morze, a on posepnym spojrzeniem pieścił jej twarz. Czowała na brodzie szorstki kciuk. Ciepło ogarnęło jej szyję i przepłynęło na policzki. Czym prędzej odwróciła się do niego plecami.

Beka nadal na nią patrzyła.

- Rany, panienko Jessalyn. Znowu zrobiliśmy zamieszanie, jak się patrzy. Nie mam pojęcia, co na to powie moja pani. -Przyłożyła dłoń do piersi. - Oj, czuję, że znowu dostaję pul-pitacji.

Jessalyn wiedziała, że Trelawny w dalszym ciągu patrzy na nią, i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Nic a nic nie jesteśmy winne. To wszystko przez tego idiotę od świń. No dobrze, babcia pozwoliła nam wydać całego funta. Chyba kupię sobie nowy kapelusz. - Odsunęła kosmyk prostych włosów z oczu Beki. Dziewczyna cesała się do przodu, pragnąc ukryć bliznę na policzku. - A dla ciebie znajdziemy jakąś wstążkę do włosów.

Na twarzy Beki pojawił się słodki uśmiech.

- Ojej, panienko, to byłoby fajnowato.

Ruszyły między stoiska, obchodząc szerokim łukiem zniszczenia. W Penzance znajdował się port morski, odbywały się też jarmarki i bito cynowe monety. Tego popołudnia większość kramików i namiotów, gdzie można było kupić wszelkiego rodzaju dobra, od sznurówek po patelnie, ustawiono na piaszczystych wzgórzach.

Szły meandrami pomiędzy straganami po zdeptanej, szorstkiej trawie. Zewsząd dobiegały jakieś krzyki, śmiechy, odgłosy tanich piszczałek i przeraźliwe narzekania koła szlifierskiego, którego właściciel ostrzył noże. Ryczało bydło. Zgiełk wznosiły beczące w zagrodach owce i kwiczące świny. Jarmark w Penzance dawał z reguły okazję do awantur, zapasów, kogucich walk i wypicia większej ilości jałowcówki albo piwa. Wszystko to Kornwalijczycy zaliczali do ulubionych sposobów spędzenia wolnego popołudnia.

Przystanąły przed kramem z fatalaszkami. Beka przeżywała prawdziwe męczarnie, bo nie mogła się zdecydować, czy wybrać wstążkę w kolorze kwiatów maku, żółtą jak słońce, czy jaskrawozieloną. Wreszcie zdecydowała się na żółtą, ponieważ, jak stwierdziła, żółty kolor działa kojąco na jej zmęczone, przepracowane oczy.

Obok sprzedawano używane buty. Jessalyn dostrzegła pantofelki z płowej cielecej skóry, które sznurowało się z przodu. Chociaż miały one nieco starte obcasy, wolała takie zamiast sztywnych półbutów z czarnej skóry, które cisnęły ją w palce. Przed dwoma dniami Sierżant Major nieoczekiwanie dokonał bardzo pomyślnej transakcji, sprzedając w Squire Babbage pięcioletniego konia pod wierzch. Dzięki temu uśmiechowi losu Jessalyn otrzymała parę nowych półbutów. W ogóle wszystkim w End Cottage wydawało się, że dzięki temu stali się zasobni.

Wstążka Beki kosztowała pół pensa. Reszta pieniędzy, które pozostały z funta, parzyły Jessalyn nawet przez sakiewkę. To była rodzinna przypadłość Lettych, których pieniądze trzymały się dopóty, dopóki ich nie wydali albo nie przegrali w karty bądź na wyścigach. Babka mówiła o tym często, i to częściej z dumą niż z żalem.

Przy następnym kramie sprzedawano przyprawy. Jessalyn przystanąła, aby poddychać egzotycznym zapachem cynamonu, imbiru i goździków. Zapachy zawsze działały na nią w szczególny sposób; budziły pragnienie, by spróbować rzeczy zakazanych i niecodziennych. Ową biesiadę przerwał jej jednonogi żebrak w złachmanionym wojskowym płaszczu, który podstawił dłoń pod jej rękę. Dała mu szylinga.

W sąsiednim namiocie, gdzie podawano piwo, zagrzmiała salwa ochrypłego śmiechu. Odwróciwszy się, Jessalyn spostrzegła

posepny, wyrazisty profil. Trelawny. Zatrzymała się w cieniu kramu z przyprawami, skąd mogła obserwować mężczyznę, sama pozostając nie zauważona.

Tego dnia w dopasowanym surducie ze złożonymi guzikami i obcisłych beżowych spodniach z konopnymi chwostami bardziej przypominał dżentelmena. Tylko że gdzieś spod tego wyszukanego stroju wyzierała tajona dzikość. Stał oparty jedną nogą na ławie i pił z kufła porter. Rozmawiał z grupą ordynarnych mężczyzn. Kiedy się przyglądała, akurat któryś z nich coś powiedział, na co Trelawny odchylił do tyłu głowę i się roześmiał. Przez otwarte drzwi namiotu wpadało słoneczne światło, podkreślając kształt opalonej szyi nad nieskazitelną bielą koszuli. Była ciekawa, czy wiedział, że mężczyźni, przy których zachowywał się tak swobodnie, jakby go łączyły z nimi bardzo zażyłe stosunki, byli strażnikami celnymi.

Poborców, celników, czy jak ich tam zwał, nie darzono w Kornwalii szczególną sympatią. Nienawidzono ich bardziej niż katolików.

Ludzi, którzy choć raz pokazali się w ich towarzystwie, unikano później bardzo długo. Nie mogło być inaczej w kraju, gdzie każdy, od piekarza po wikarego miejscowej parafii, co najmniej raz wziął udział w wyprawie do Francji, aby sprowadzić stamtąd wolny od cła transport brandy, jedwabiu albo soli. Mężczyzna, którego zobaczono by w tawernie z celnikami, narażał się na to, że pewnej ciemnej nocy znajdą go gdzieś w krzakach z oskardem w plecach.

Ale nie miała zamiaru ostrzegać go. O, nie! Mógł iść do diabła bez żadnego udziału z jej strony.

Właśnie w tym momencie odwrócił głowę i przez szerokość zatłoczonego, gwarne pomieszczenia spotkały się ich oczy. Patrzył w jej stronę wzrokiem leniwym, zamglonym... i uważnym. Musiał, tak, musiał wiedzieć, że stała tu już od kilku minut i wytrzeszczała na niego oczy jak dziecko przed wystawą sklepową. Żywy rumieniec palił jej twarz. Zakręciła się w miejscu i niemal wpadła na przechodzącego obok sprzedawcę słodkich wypieków.

- Ejże, uważaj! Nie widzisz, gdzie się pakujesz? Mało brakowało, a moje ciasta wpadłyby w błoto! - Mężczyzna zdołał

zapanować nad tacą obładowaną bułeczkami, plackami i ciasteczkami.

- Sam uważaj! - krzyknęła Beka, która nagle zjawiała się przy Jessalyn. Potrząsnęła pięścią przed nosem handlarze. - I co by się stało? Wpadłyby w błoto, tak? Ciasta, co same mają smak błota!

Jessalyn wyczuwała, że Trelawny nadal na nią patrzy. Zamieszanie przyciągnęło także wzrok innych.

- Wezmę jedno ciasteczko - powiedziała, rzucając sprzedawcy pensa. - To z dżemem, jeśli można.

Mężczyzna dał się ułagodzić i natychmiast przestał narzekać. Wybrał ciastko, zawinał je w papier. Monetę zamaszystym ruchem wrzucił do kieszeni. Jessalyn wyciągnęła Beke z zasięgu wzroku ludzi z namiotu. Czym prędzej podała jej ciastko, aby jakoś powstrzymać potok narzekań na gruboskórne zachowanie handlarza.

Wyszły na otwartą przestrzeń, gdzie z piasku zbudowano prowizoryczną arenę. Zgromadzeni dookoła ludzie, śmiejąc się i krzycząc, potrząsali banknotami albo garściami pełnymi monet. Powietrze było przesycone osobliwą wonią, zapachem ludzkiego potu, gorących oddechów i miedzianych monet.

Wewnątrz areny szykowały się do walki dwa koguty z ostrogami i wygolonymi szyjami. Jeden z ptaków wydawał z siebie niski dźwięk, który przypominał odgłos wiatru smagającego krzewy janowca.

- Powinna panienka postawić szylinga na tego z czerwonymi piórami - powiedziała Beka, wpychając sobie do ust ostatni kawałek ciastka. - Widać, że ma ogień w oczach. Tato powiadał zawsze: „Stawiaj na ptaka, któren ma ogień w oczach”.

Lady Letty chętnie obstawiała walki kogutów, ale Jessalyn nawet nie mogła na nie patrzeć. Naraz ptaki rzuciły się na siebie z furją, posyłając w powietrze krew i pióra. Jessalyn zaczęła się wycofywać, lecz napierający tłum zepchnął ją z powrotem w stronę ringu.

- Uuuf! Okropne ciastko - oświadczyła Beka, oblizując palce. - Teraz stoi mi w gardle. Musowo muszę to czymś popić. - Chwilę później dziewczyna przepychała się łokciami w kierunku namiotu z piwem imbirowym.

Jessalyn otworzyła usta, aby zawołać za nią, kiedy znowu go

ujrzała. Stał po tej samej stronie areny, mając słońce za plecami. Jego wysoka, szczupła sylwetka rzucała cień na spryskany krwią piasek. Nie widziała jego twarzy, ale mimo to czuła, że patrzy właśnie na nią. Przez dłuższą chwilę harmider związany z walką ptaków zdawał się cichnąć, cichnąć, aż wreszcie nie słyszała nic więcej poza głośnymi i szybkimi uderzeniami własnego serca.

Ktoś ją potracił i czar prysnął. Rzuciła się przez tłum, prawie biegła. Między kramami i namiotami odwróciła się przez ramię, aby sprawdzić, czy nie podąża za nią... i uderzyła w pierś smoka.

Ledwie zdołała powstrzymać krzyk, nim moment później zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że smok nie jest prawdziwy. Dostała się w sam środek grupy przebierańców, którzy sprzedawali bilety na wieczorne przedstawienie.

Złotawy, połyskujący smok chwycił ją pazurami. Zarechotał, ziejąc oparami jałowcówki, nie ogniem.

- Ej, dziewczeczko, dokąd tak bieżysz? Daj nam po całusku.

Jessalyn próbowała wyrwać się z uścisku jego łuskowatych kończyn. Miała do czynienia z bardzo żalonym smoczym osobnikiem. Brakowało mu jednego skrzydła, dwóch zębów, a z powierzchni ozdabiającego go stroju odchodziła zielona farba. W końcu uderzyła go łokciem w brzuch. Smok wyrzucił w powietrze kwaśne opary alkoholu i uwolnił ją. Kiedy odwróciła się ponownie, już nigdzie nie dostrzegła Trewlany'ego. Pomyślała z uśmiechem, że najwidoczniej nie zaliczał się do mężczyzn, którzy zdecydowani są stanąć w obronie damy atakowanej przez smoki cuchnące jałowcówką.

Teraz już samotnie kręciła się bez celu między stoiskami, na których oferowano statki i zwierzęta morskie wewnątrz butelek. Koszykarz zaproponował, że na oczekaniu wyplecie dla niej krzeselko. Obok, przywiązany do kołka, leżał Toby, tresowany knur, który, jak twierdził jego właściciel, potrafi odgadnąć datę jej urodzenia i przewidzieć przyszłość. Walczyła z pokusą, aby zapytać zwierzę o kolor włosów przyszłego męża, kiedy jej wzrok padł na najpiękniejszy kapelusz pod słońcem.

W całym szeregu stojących tu straganów nie było wspanialszego kramu. Pokrywał go brezentowy dach w pasy i niczym namiot Maurów ozdobiły frędzle. W cieniu markizy stał kozioł, obwieszony po samą górę bogactwem kapeluszy i czepków

z zamszu, futra i słomki. Ale na tle wszystkich innych jeden wyróżniał się zdecydowanie.

Jessalyn wzięła go do ręki i wyszła spod markizy, by lepiej mu się przyjrzeć w promieniach gasnącego słońca. Kapelusz zrobiono z granatowego jedwabiu i obszyto wielkimi kwiatami dzikiej róży. Uśmiechnęła się do kobiety stojącej za kontuarem.

- W jakiej jest cenie?

- Dwa funty dziesięć, panienko.

- Dwa funty dziesięć! - Jessalyn nie musiała udawać, że cena wywarła na niej wstrząsające wrażenie. - Sprzedaje pani drogocenne kamienie czy kapelusze? - Roześmiała się, zwracając na siebie uwagę innych, mimo że wokół panował gwar. Kilkoro ludzi odwróciło się, by uśmiechnąć się bądź roześmiać razem z nią.

- Nie kupuj tego.

Jessalyn zakręciła się w miejscu, gniotąc szerokie jedwabne rondo. Spojrzała w ciemne, przenikliwe oczy.

- Dlaczego pan mnie śledzi?

- To taka choroba mentalna.

Momentalnie jakiś ciężar zaczął ją gnieść w piersi, sprawiając, że miała trudności z oddychaniem.

- Co takiego?

- Obląkanie, choroba umysłowa. W Bedlam jest mnóstwo takich, którzy to robią. Zachodziła w głowę, dlaczego nie może nadać jego słowom sensu. Jak gdyby nagle dostała zawrotów głowy.

- Nie rozumiem.

- No tak. Oni wierzą, że ktoś ciągle za nimi chodzi i ma wobec nich jakieś diabelskie plany. Zapewniam jednak, że ja pani nie śledzę, panno Letty. Nie mam też wobec pani żadnych zamiarów, zwłaszcza diabelskich. Jedynie czysty przypadek wiedzie panią na moje ścieżki.

- Jak Jonasza do brzucha wieloryba?

Uśmiechnęła się, rozbawiona własnym żartem, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

Wpatrywał się w nią, a ponieważ odwrócenie wzroku byłoby z jej strony aktem raczej tchórzliwym, ona wpatrywała się w niego. Na jego twarzy malował się dziwny niepokój, usta miał zaciśnięte w cienką, wyrazistą linię.

- No, no - powiedział w końcu. - Gdzieś tam w tej rudej

główce kryje się inteligencja. - Wyjął kapelusik z jej bezwładnych palców, musnąwszy lekko jej dłoń. Zadrżała jak gdyby owiana nagle chłodnym wiatrem, lecz, co dziwne, otoczenie wydało się jej ciche i spokojne. - Ten kapelusik jest do niczego - oświadczył. - Pasuje raczej do dojrzałszej kobiety.

Ach, więc to tak: dostrzegął w niej jedynie dziecko. Poczula się okropnie w swojej wypłowiałej, postrzępionej sukience z cerą w miejscu, gdzie ją rozdarła paznokciem. I praktycznych butach, które ją cisnęły w palce. Chyba nigdy nie stanie się kobietą, która może nosić takie kapelusze. Nigdy nie powiedzie się jej w życiu.

- Dziękuję za cenną uwagę - rzekła. - Jednakże teraz pragnęłabym już pana przeprosić. Mam do załatwienia sprawę w pewnym miejscu.

- Gdzie jest to miejsce?

- Tam. - Pokazała palcem nad jego ramieniem, w stronę zachodzącego słońca. Dopiero po chwili sama spojrzała w tamtym kierunku. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła wielebnego Troutbecka, który właśnie zmierzał do niej na swych krótkich, kabłąkowatych nogach.

- Panno Letty, nareszcie panienkę znalazłem - powiedział wielebny, ciężko dysząc. - Właśnie czekaliśmy na panienkę. - Pastor pokazał gestem za siebie, gdzie wokół szubienicy zaczęli się gromadzić ludzie. Z poziomej belki zwisały chomąta. Z wnętrza trzech z nich wyzierały twarze uśmiechniętych chłopców; czwarte było puste.

- Konkurs uśmiechu! - zawołał Trelawny. Ton jego głosu zdradzał ekscytację i radość. - Zdaje się, że panienka miała wziąć w nim udział.

- Nie, nie - zaprotestowała Jessalyn. Policzki tak ją paliły, że nie miała pewności, czy nie stanęły w ogniu. - Zaszła jakaś pomyłka. Chociaż właściwie chodzi nie tyle o pomyłkę, co o nieporozumienie. Ktoś niewłaściwie zrozumiał moje słowa - wyjaśniła. - Albo raczej słowa, których nie wypowiedziałam.

Wielebny Troutbeck rozpoczął przemowę na temat konkursu. Zaznaczył, że w ciągu ostatnich kilku jarmarków świętojańskich rywalizacja na tym polu stała się już tradycją, powiększając fundusze przeznaczone na przełożenie dachu kościoła.

Zaznaczył

też, że kongregacja jak zwykle poczyni zakłady o to, kto najdłużej utrzyma szeroki uśmiech.

Jessalyn nie miała odwagi spojrzeć na mężczyznę, który stał obok, ale czuła, że jego wzrok spoczywa na jej ustach. Musiała zwilżyć wargi.

- Ależ, panno Letty, czy aby się pani nie myli? - zapytał, przeciągając głoski w każdej sylabie. - Słowa naszego dobrego pasterza zdają się potwierdzać sugestię, iż panienka jednak zgodziła się wziąć udział w zawodach. - Machnął leniwie dłonią w stronę szubienicy. - Wielebny Troutbeck specjalnie dla pani zarezerwował miejsce. Kwitnąca i okrągła jak dojrzały melon twarz wielebnego promieniała nad sztywnym kołnierzykiem poplamionym tłuszczem.

- Nasza panna Letty zwyciężyła w ubiegłym roku.

- Zatem nasza panna Letty musi bronić mistrzowskiego tytułu. To oczywiste. - Trelawny pokłonił się lekko. Kpinę wyrażało każde poruszenie jego ciała. - Widzę, że nie wolno mi pani zatrzymywać.

Cóż mogła poradzić? Musiała jakoś przez to przejść, zrobić dobrą minę do złej gry. Albo raczej wyszczerzyć na to zęby. Jessalyn ruszyła za wielebnym Troutbeckiem w stronę chomąta. Powoli weszła na stopień. Trzymała się prosto, brodę uniosła wysoko, jak gdyby była Marią Antoniną podążającą pod gilotynę. Wystawiła głowę przez otwór chomąta, walcząc jednocześnie z tchórzliwym pragnieniem, aby powiesić się natychmiast, tu i teraz, bo akurat pod ręką była szubienica. A więc miała wielkie usta. Dobry Boże, tylko pustogłowa, zwariowana mokra gęś mogła się zdecydować na robienie z siebie widowiska w taki sposób. Biorąc udział w zawodach na szczyrenie zębów.

Nigdy wcześniej nie było jej mniej do śmiechu.

Drewniane konie kręciły się w rytm metalicznych, cynowych dźwięków katarynki. Wysoko unosiły kopyta, a ich grzywy i ogony rozwiewał wiatr. Jessalyn pierwszy raz widziała takie cudo i głośno się roześmiała.

Konie miały jaskrawe, pawie barwy i były przymocowane do drewnianej platformy kołkami przechodzącymi przez środek korpusu każdego z nich. Platforma obracała się za pomocą skom-

plikowanego systemu przekładni, kółek i łańcuchów, napędzanych przez parę żywych osiołków, które chodziły w kieracie. Mężczyzna w czarnym płaszczu w kratę wzywał przechodniów do przejażdżki karuzelą.

- Tak się jakoś złożyło, że spotykamy się ponownie, panno Letty.

Wyszedł do niej z mroku, utykając lekko na jedną nogę. Zatrzymał się, zaczepił kciuk o kieszonkę na zegarek i wysunął do przodu biodro. Trelawny. Nie miała pojęcia, dlaczego ciągle za nią chodził. Pragnęła, aby zostawił ją w spokoju.

- Dlaczego pan to robi? Czego pan ode mnie chce? Prawie się uśmiechnął.

- A jak pani przypuszcza? - Zawiesił głos, pozwalając, by jego słowa zabrzmiały jak pogrożka. Albo obietnica. - Tak się złożyło, że chciałbym dać pani burę. Straciłem całą gwineę - oświadczył.

- Niestety nie domyślam się, o czym pan mówi.

- Nasz dobry pasterz tak bardzo wychwalał pani wyjątkowe umiejętności w szczerzeniu olśniewająco białych zębów, że postawiłem na panią gwineę. Zapewnił mnie, że nie mogę przegrać.

- A więc to powinno pana nauczyć, by nigdy nie obstawiać pewniaków.

Wybuchnął śmiechem. Niskie, gardłowe dźwięki zdawały się rezonować w jej krwi. Przysunął się do niej o krok. Odczuwała jego bliskość niczym gorący płomień świecy.

Odwróciła głowę, nie chcąc, ażeby z twarzy odczytał, jaki jest stan jej uczuć. Nie rozumiała, co się z nią działo, dlaczego miał na nią taki dziwny wpływ. Nie lubiła go w sposób, który ją przerażał. A jednocześnie na jego widok ożywało całe jej ciało. Jak gdyby potraktowano ją którymś z tych ładunków elektrycznych, o jakich czytała w gazecie. Podobno sprawiały, że martwe żaby zaczynały skakać. Uśmiechnęła się do niepoważnych myśli.

- Nie ufam ludziom, którzy nagle uśmiechają się bez powodu - oświadczył.

Podniosła na niego wzrok. Przyglądał się jej, leniwie mrużąc oczy.

- Och, chyba zawsze jest jakiś powód - odrzekła. - Złości

się pan, bo nie wie, dlaczego to robię, a do tego podejrzewa, że śmieję się właśnie z niego.

- Tacy ludzie tym bardziej nie zasługują na zaufanie.

Jak zahipnotyzowana obserwowała pogłębiające się zmarszczki w okolicach jego warg. Słyszała gorycz w jego głosie. Do tego układał usta w taki sposób, jakby już kiedyś poważnie się na kimsz zawiodł.

Oboje zamilkli. Miała wrażenie, że powinna coś powiedzieć; w przeciwnym razie może ją uznać za żałośnie nudną. Wygłosi jakąś konwencjonalną formułkę, ukloni się w ten swój niedbały sposób i odejdzie. Jeszcze przed chwilą pragnęła, aby zostawił ją w spokoju. Teraz na odwrót - wcale jej na tym nie zależało. Starła się wymyślić jakiś temat do rozmowy, ale nagle w jej głowie zapanowała taka pustka jak u wielebnego Troutbecka na tacy.

Melodyjka z katarynki nabierała tempa, a drewniane konie obracały się coraz szybciej i szybciej, aż zamieniły się w rozmazane wielobarwne plamy, przypominające strumyczki rozlanej farby. Chińskie latarnie migotały w mroku, sprzyjając iluzji, że konie są żywe.

Oddech Jessalyn przeszedł w bezwiedne westchnienie.

- To musi być bardzo interesująca rozrywka.

- Może sprawdzimy?

Zanim zorientowała się, co zamierza, chwycił ją i pociągnął za sobą.

- Przecież to dla dzieci! - krzyknęła.

Wsunął dwa palce w kieszeń na zegarek i wyłowił z niej dwie monety, które rzucił mężczyźnie w kratkowanym płaszczu.

Postawił Jessalyn na platformie, potem jednym skokiem sam pokonał wysokość.

Musiał przenieść ciężar całego ciała na zranioną nogę, bo potknął się lekko i skrzywił. Chciała mu pomóc, ale odtrącił jej wyciągniętą dłoń. Chwycił ją w pasie, podniósł i posadził bokiem na grzbiecie niebieskiego konia. Świat wokół niej zaczął wirować. Ze śmiechem przytrzymała się pionowego słupka. Trelawny dosiadł pierwszego wierzchowca za nią. Miał tak długie nogi, że koń wydawał się mniejszy, niż był w rzeczywistości. Znowu roześmiała się, ale nie z niego.

Ich spojrzenia spotkały się; uśmiechnął się. Po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy uśmiech. Rozpłynęły się gdzieś surowe

rysy. Kryzy w kącikach ust zamieniły się w chłopięce dołki. Nadal czuła w pasie jego dłonie, jakby zachowało się jeszcze ich ciepło. Wirowali, zostawiając za sobą wiatr i jej śmiech. Chińskie latarnie raptem stały się wirującymi gwiazdami. Pragnęła, aby to trwało, trwało bez końca.

Karuzela powoli zwalniała. Muzyka ucichła i jednocześnie zgasł uśmiech na jego twarzy. Znalazł się przy niej zbyt prędko. Wsunął rękę pod jej łokieć, aby jej pomóc zejść, potem ją puścił. Oddychała szybko, jakby przed chwilą nie konie, ale ona sama galopowała wokoło. Spojrzała w jego stronę. Zmierzch przeszedł już w ciemność. Latarnie rzucały ostre cienie na jarmarczny plac i twarz Trelwany'ego. Wiatr przykleił kosmyk włosów do ust Jessalyn. Trelwany musnął jej wargi szorstkim szwem skórzanej rękawiczki. Wziął włosy między palce, jakby chciał sprawdzić ich fakturę, i dotykając Jessalyn ponownie, wsunął lok za ucho. Naraz odczuła osobliwy niepokój. Działo się z nią coś dziwnego. W żołądku odczuła bolesną pustkę. Jak gdyby była bardzo głodna. Pragnęła czegoś, ale nie umiała tego ani nazwać, ani nawet sobie wyobrazić.

Cofnął się o krok i Jessalyn nareszcie mogła głęboko odetchnąć.

- Panno Letty, chciałbym pani podziękować za czarujące towarzystwo - rzekł. - Może pewnego razu uda nam się pojeździć na czymś bardziej konkretnym.

Spojrzała na jego twarz, w przenikliwe oczy, na wyraziste usta. Niebezpiecznie byłoby się przekonać... Jednocześnie pociągał ją i odstręczał. Było w nim coś mrocznego i zarazem powabnego; znaleźć się w jego towarzystwie oznaczało tyle samo, co dostać się w pajęczą sieć. Powinna powiedzieć mu, że postąpiliby niestosownie, gdyby się umówili, bo nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Ale coś nagle ścisnęło ją w gardle i nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Jessalyn!

Odwróciła się gwałtownie, by ujrzeć wysokiego młodzieńca, który ku niej zmierzał. Już z daleka machał kapeluszem. We włosach wokół jego głowy światło latarni tworzyło złocistą aureolę.

- Clarence! - zawołała, śmiejąc się ze zdziwieniem i radością.

- Wprawdzie przyszło mi do głowy, że znajdę cię tutaj - powiedział, kiedy podszedł bliżej - lecz nie śmiałem mieć nadziei.

Uściskał jej dłonie, spojrzał na nią ciepło oczami w kolorze butelkowej zieleni.

Uśmiechnął się, odsłaniając niewielką przerwę między przednimi zębami. Potem podążył wzrokiem ponad jej ramieniem i zmrużył oczy.

Jessalyn odwróciła się akurat w chwili, gdy szerokie plecy Trewlany'ego znikają w tłumie. Poczowała się dziwnie opuszczona, niczym szczeniak, którego wywieziono na rozdroża i pozostawiono na łaskę losu.

- Rozmawiałaś z McCadym Trewlanym?! - zapytał Clarence ze zdziwieniem.

- Co takiego? - Wreszcie uświadomiła sobie, że Clarence nadal trzyma jej dłonie i spogląda badawczo na jej twarz. Odsunęła się trochę i zmusiła do śmiechu. - Och, nie! Ja nawet nie znam pana Trewlany'ego. Wcale. Chociaż może i rozmawiałam z nim, ale tak naprawdę nie znam go... Rozumiesz chyba, co chcę powiedzieć...

Clarence wyszczerzył zęby.

- Jessalyn, mówisz trzy po trzy. Zawsze tak jest, kiedy się denerwujesz. Albo gdy masz coś do ukrycia.

Clarence Tiltwell znał ją zbyt dobrze, nie ma co. W dzieciństwie spędzili ze sobą tyle czasu na pływaniu, przejażdżkach, łowieniu ryb. Powierzali sobie wzajemnie marzenia i sekrety. Ale to było dawno: sekrety i marzenia należały do dzieci. Oboje nie widzieli się od momentu, gdy Clarence'a wysłano do szkoły, potem zaś na uniwersytet. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że widzi prawdziwego mężczyznę, londyńskiego dżentelmena w tabaczkowym płaszczu i zapinanych przy kostkach płowych spodniach. Nadal był jasnowłosy i szczupły, podobny do swojej matki. Byli kuzynami. Clarence i Trewlany należeli do jednej rodziny.

Tak, Jessalyn teraz coś sobie przypominała... Siostra jego matki wyszła za starego hrabiego Caerhaysa. Wszyscy już dawno pomarli: matka Clarence'a, jej siostra, hrabia. Doszło niegdyś do skandalu, któremu towarzyszyło mnóstwo nieprzyzwoitych plotek. Przekazywano je sobie szeptem, który zamierał, ilekroć w salonie zjawiał się ktoś młody albo kobieta. A to oznaczało,

że przyłapano na akcie małżeńskim parę, której nie łączyły małżeńskie więzy.

- Jessalyn?

Dziewczyna podniosła oczy na twarz Clarence'a, szukając śladów podobieństwa do jego ciemnowłosego kuzyna. Poza wzrostem obaj młodzieńcy zdawali się nie mieć wspólnych cech.

On przyglądał się jej tak samo uważnie.

- Zmieniłaś się - powiedział. - Podrosłaś.

- Ty również. - Wymienili uśmiechy, które przywodziły na myśl wspomnienia.

- Gdzie jest twoja babka? - zapytał niespodziewanie. - Na pewno nie pozwoliła ci przyjechać na targ bez towarzystwa. Zwłaszcza teraz, gdy już jesteś dojrzała.

Jessalyn wybuchnęła śmiechem, jakby wróciła jej dawna bez troska.

- W istocie miałam ze sobą przyzwoitkę. Ale skusiło ją piwo imbirowe.

Podał jej ramię.

- Niedługo rozpalą ogniska. Pójdziemy popatrzeć?

Poszli szczytem ochronnego wału. W zatoczce niczym kolce na grzbiecie jeżozwierza sterczały maszty najrozmaitszych brygów, kutrów i keczy. W powietrzu unosił się zapach dziegiu, konopi i zardzewiałych łańcuchów.

Rozmawiali o lady Letty i końskiej farmie, o jego życiu w Cambridge i o przyjęciu, które nazajutrz wydawał jego ojciec w swojej wiejskiej rezydencji Larkhaven.

Jessalyn uśmiechała się, czasem wybuchła śmiechem, wtórując młodzieńcowi, który szedł obok. Jednakże niemal bez przerwy, czego była zupełnie świadoma, rozglądała się za jego ciemnowłosym i ciemnookim kuzynem.

Wzdłuż nabrzeża przy wyjściu z jarmarku porozkładali swoje towary sprzedawcy ryb. Połyskujące wilgocią makrele i sardele leżały na granitowych płytach obok worków z dużymi czarnymi ostrygami i beczek śledzi. Żona rybaka, ubrana w skórzany fartuch i szkarłatną halkę, zawołała do nich, gdy przechodzili:

- Hej, wy tam! Wy tam! Kupcie u mnie świeżych małży i trąbików!

- Pamiętasz ostatni jarmark przed twoim wyjazdem do szkoły? - zapytała Jessalyn.

Za jednym z namiotów natknęli się na świeżo zaszpuntowaną beczkę z piwem.

Pomyśl, aby skosztować

zakazanego owocu, pochodził od Jessalyn. - Napeklowaliśmy się jak śledzie i przyłapano nas, gdy chcieliśmy wślizgnąć się do jednego z tych namiotów, gdzie za pół pensa dawano jakieś marne przedstawienie.

Clarence przystanął, aby zatrzymać homara, który wyszedł z krzywego, cuchnącego kosza.

- Dostałem wtedy porządne lanie.

Popatrzyła na jego łukowate ramiona, na blond włosy, które wystawały spod kapelusza. Poczowała przyływ serdecznych uczuć.

- Biedny Clarence. Zawsze miałeś przeze mnie jakieś kłopoty, prawda?

Uśmiechnął się.

- I za każdym razem było warto.

Doszli do głównej drogi, która wiodła do rynku. Pochodnie, zrobione ze starych żagli i smoły, oświetlały całą drogę. W oknach i na schodach wielu domów paliły się świece.

Na środku wybrukowanego placu ułożono wielki stos ze starych stempli i połamanych masztów. Nadeszli akurat w chwili, gdy stos drewna został polany tłuszczem z sardeli i podpalony. Strzelił wysoki, jasny ogień, odbijając się wielokrotnie w łukowatych oknach budynków otaczających plac.

Stali blisko ognia, popijając piwo zaprawione rumem, i czekali na ziemniaki pieczone w żarze. Cytrynowy księżyc toczył się po niebie. Znad morza wiała bryza, przynosząc zapach ryb i zapowiadając poranną mgłę.

Clarence od dłuższego czasu milczał. Spojrzała na niego. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby go coś nurtowało. Skłonił ku niej głowę i nagle zdała sobie sprawę, że chce ją pocałować. Już zaczęła odwracać głowę, kiedy w ostatnim momencie zrezygnowała. Miał ciepłe i suche usta, które szybko musnęły jej wargi.

Wziął ją za rękę, ale szybko się uwolniła.

- Nie powinieneś był tego robić - powiedziała.

- Wybacz - odparł, ale w jego głosie nie było skruchy. - Nie wiem, co mnie skusiło.

- Tak czy inaczej, nie powinieneś był tego robić.

A ona nie powinna była na to pozwolić. Wszyscy mieszkańcy Penzance widzieli, że ją pocałował. Wiadomość o tym dotrze

do jej babki. Cała Kornwalia będzie wiedziała. Nie minie tydzień, a skandal popchnie ich przed ołtarz.

- Nie, rzeczywiście nie powinienem - powiedział cicho Clarence. Jego oddech łaskotał ją w policzek. - Jeszcze nie.

Rozżarzony stos runął, posyłając w górę strumień płomieni i iskier. W eksplozji światła na obrzeżu tłumu dostrzegła sylwetkę Trewlany'ego. Ogień wydobył z ciemnego tła wyraziste kości policzkowe i brwi. W ciemnych oczach migotały płomienie, jakby gdzieś w głębi palił się ogień znacznie bardziej gorący. Jessalyn miała podobne skojarzenie już wówczas, gdy zobaczyła tego mężczyznę po raz pierwszy. Tym razem jednak narzucało się ze znacznie większą siłą. Przypominał jej... upadłego anioła.

Nie wiedziała, jak długo tam stał i patrzył na nią. Patrzył na nich. Odwróciła się i dostrzegła, że Clarence również go zauważył. Kiedy znowu zerknęła w tamtą stronę, Trewlany zniknął.

IV

- Rzecz to wielce niestosowna - zaznaczyła lady Letty - udawać się na bal dryndulką.

- Nie mieli już niczego tańszego - powtórzyła Jessalyn chyba po raz setny. - Przecież miałam wynająć coś najtańszego.

Lekki, ciągnięty przez kuce powóz kołysał się i podrygiwał na krętej drodze.

Wewnątrz siedziała Jessalyn, jej babka oraz służąca Beka Poole. Jechały do Larkhaven, aby wziąć udział w najważniejszym dla Kornwalijszczyków wydarzeniu towarzyskim roku, tradycyjnym przyjęciu świętojańskim u Henry'ego Tiltwella.

- Należy zajeżdżać z fasonem, moja panno - rzekła lady Letty, nie chcąc porzucić tematu. - Z fasonem. Nie mam pojęcia, co ci przyszło do głowy wypożyczyć coś takiego. Coś takiego! To z pewnością nie jest stosowne. Nigdy takie nie było i nigdy nie będzie...

Powóz nagle przechylił się na bok. Lady Letty jęknęła, chwytając jedną ręką za siedzenie, drugą przytrzymując koronkowy czepek. Spojrzała z gniewem na wnuczkę, która trzymała lejce.

- Co robisz, moja panno, musisz przejechać przez każdy

występ i każdą bruzdę? Przez ciebie zęby mi klekoczą jak kastaniety.

- Przepraszam, babciu - odparła Jessalyn, bardzo się starając, by nie wybuchnąć śmiechem. - Dołożę wszelkich starań, żeby koła toczyły się bardziej gładko.

Biedna Beka Poole, która siedziała z tyłu i machała nogami nad ziemią, przeżywała najgorsze. Jęknęła głośno i zaczęła rozcierać pośladki.

- Olaboga, ani chybi w nocy będę musiała spać na brzuchu. Bo takich się dorobiłam sińców na derierze.

Jessalyn i jej babka wymieniły zdumione spojrzenia.

- To takie wydelikaczone słowo, panienko Jessalyn - wyjaśniła Beka, odchylając się do tyłu. - Poznałam je od znachora, który sprzedał mi proszki na zęby. Obce słowo.

- Tak mówią Francuzi, kiedy mają potrzebę powiedzieć o dupie, tylko że bardziej grzecznie. Derier*.

Lady Letty sapnęła głośno i zażyła tabaki.

Jessalyn zassała policzki, aby skryć uśmiech, i udawała, że ogląda okolicę. Niewiele mogła zobaczyć nad kamiennym murem, na którym mech wyglądał jak krótko przystrzyżone włosy. Miała ochotę głośno roześmiać się ze szczęścia. Jechała na swoje pierwsze przyjęcie. Wyobrażała sobie, jak to będzie. Muzyka, tańce i... może on. Wystarczyło, że o tym pomyślała, a od razu strach i podniecenie czuła aż w żołądku.

Skręcili na prywatną drogę i prawie natychmiast koleiny zniknęły, jakby je wygładziła dłoń giganta. Między wiazami i jaworami, które znaczyły kierunek, Jessalyn dostrzegła kominy i szczyty zabudowań Larkhaven. Dołączyli do serpentyny karet i kolasek. Tymczasem lady Letty kolejno rozprawiała o ich niefortunnym powozie, balach i o tym, co stosowne.

Od frontu do imponujących schodów prowadził szeroki strzyżony trawnik i starannie utrzymana wyźwirowana alejka. Lark-haven było ogromną prostokątną rezydencją zbudowaną z granitu i łupków, z purpurowymi kolumnami po obu stronach wejścia i pawilonem w każdym rogu. Wyglądało co najmniej na siedzibę diuka, ale mężczyzna, do którego należało, był synem prostego kopacza z kopalni. I tak cały świat wiedział, że bez

* **Od franc, *derriere*.**

względu na to, ile pieniędzy Henry Tiltwell zdobędzie i jak wspaniały dom wybuduje, ostatecznie liczyć się będzie dziedzictwo krwi i pochodzenie.

A jednak Henry Tiltwell dysponował taką finansową potęgą, że tylko nieliczni w Kornwalii czuli się dość bezpieczni lub też bogaci, aby zignorować wezwanie do Larkhaven. Nawet jeśli przybrało postać zaproszenia na przyjęcie.

Przy frontowych drzwiach czekał służący w liberii. Poprowadził Jessalyn i jej babkę po marmurowych schodach ze złoconą balustradą. Podobno w budynku mieściło się ponad trzydzieści sypialni. Dla zaznaczenia opinii Tiltwella na temat pozycji Lettych w hierarchii społecznej - nazwisko wprawdzie stare, ale brak pieniędzy i wpływów - Jessalyn i lady Letty otrzymały dwa maleńkie pokoje, położone bezpośrednio pod dachem. Lokum Jessalyn pachniało kuleczkami kamforowymi. Na drzwiach rozwieszono aksamitną zasłonę, mającą chronić przed przeciągami. Na umeblowanie składało się z proste łóżko i toaletka z owalnym lustrem na mosiężnych zawiasach.

Gdy Jessalyn została sama, wyjęła szklany słoiczek, który przechowywała w sekrecie na dnie swojej torebki. Tego dnia rano specjalnie odwiedziła aptekarza i kupiła miksturę gwarantującą wybielenie piegów. Nucąc pieśń górników, usiadła przy toalecie i zaczęła smarować twarz kleistą miksturą.

Papka, zrobiona z mąki jęczmiennej, tłuczonych migdałów i miodu, stwardniała natychmiast. Po kilku minutach maseczka zaczęła szczypać. Z początku łagodnie. Potem stała się nie do zniesienia. Ale aptekarz powiedział wyraźnie, że trzeba wytrzymać przynajmniej trzydzieści minut.

Musiała skoncentrować uwagę na czymś innym. Podeszła do mansardowego okna. Aby wyrzeć, musiała klęknąć - tak nisko sięgał ścięty dach. Docierały do niej odgłosy pompy pracującej w rytmie uderzeń serca. Żeby mieć lepszy widok, pchnęła skrzydło okna. Kiedy się wychyliła, dostrzegła dach ceglanej maszynowni i okrągły, dymiący komin kopalni cynku nazwanej Wheal Charlotte.

Dzwonek obwieścił koniec zmiany. Grupa górników w ubrudzonych błotem ubraniach z trudem wspinała się na wierzchołek wzniesienia, mijając tych, którzy schodzili na następną szychtę. Dwaj mężczyźni wyraźnie odróżniali się od innych. Szli wzdłuż

torów, które łączyły kopalnię z portem w Penzance. Clarence Tiltwell i jego niepoprawny kuzyn Trewlany. Miała wrażenie, że wykonywali jakiś pospolity rodzaj pracy, ponieważ obaj nie mieli wierzchnich okryć ani kapeluszy. Krótko obcięte włosy Clarence'a otaczały głowę niczym złocony hełm. Wiatr rozwiewał włosy drugiego mężczyzny - ciemnobrązowe i wbrew modzie długie.

Odwrócili się w stronę domu i zaczęli się zbliżać. Coraz wyraźniej odróżniała ich głosy, chociaż nie słyszała poszczególnych słów. Obaj mężczyźni zdawali się powstrzymywać podniecenie, jakby dzielili jakiś sekret. Clarence poklepał kuzyna po plecach, ten zaś odchylił do tyłu głowę i się roześmiał.

Pragnąc się zorientować, o czym mówią, wychyliła się na zewnątrz. Łokciem strąciła luźną dachówkę. Chciała ją pochwycić, upadła na pierś i ześlizgnęła się z okna, rozdierając muślinowy materiał. Kątem oka dostrzegła, że coś wystaje z dachu i rozpaczliwie za to chwyciła.

Kilka dachówek spadło i roztrzaskało się o ceglana promenadę. Podniosły się dwie męskie głowy, jedna jasna, druga ciemna. Jessalyn zatrzymała się w połowie po jednej stronie okna, w połowie po drugiej, trwając w tej pozycji dzięki wystającej paszczy gargulca. ^

Przez moment mężczyźni jedynie przyglądali się Jessalyn, a ona nie potrafiła rozstrzygnąć, czy woli się roześmiać, czy umrzeć. Zerknęła w dół, mając nadzieję, że przynajmniej fragment jej piersi wychyla się prowokacyjnie zza skromnej falbanki.

Na twarzy Trewlany'ego pojawiły się dwa dołki i ten jego chłopięcy uśmiech. - Muszę ci powiedzieć, drogi kuzynie - wycedził - że doprawdy wielkie skowronki macie tu w Larkhaven.

Jessalyn wybuchnęła śmiechem... i poczuła, że pęka jej twarz.

Na dole przyjęcie już się rozpoczęło. Jessalyn słyszała stłumione dźwięki orkiestry i czuła pod stopami leciutkie wibrowanie podłogi. Roześmiała się i zakręciła w miejscu, sprawiając, że wirująca spódnica sukienki przybrała kształt dzwonu.

Jak zapewniał krawiec, jej jedyny przyzwoity strój został uszyty zgodnie z wymogami ostatniej mody: stan sukienki się-

gał wysoko pod piersi, miała krótkie, bufiaste rękawy. Tiul w kolorze najbledszej zieleni przykrywał halkę z nefrytowej satyny. Spódnica do połowy długości została obszyta koronkowymi fal-banami. Jessalyn odwróciła się przez ramię, aby się obejrzeć w małym lustrze toaletki. Miała nadzieję, że w tej zieleni nie będzie przypominała wyglądem pędu szparaga.

Dostała tę sukienkę przed czterema miesiącami na urodziny i do tej pory zdążyła już z niej nieco wyrosnąć. Westchnęła. Tak bardzo chciała wreszcie przestać rosnąć.

Wyglądałaby lepiej, gdyby przybierała w bardziej odpowiednich miejscach.

Za część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży konia, zachęcona przez babkę, kupiła parę białych, satynowych pantofelków ze wstążkami, które wiązało się wokół kostek, i rękawiczki na wieczór z miękkiej dzianiny. W komodzie na poddaszu End Cottage znalazła wachlarz z czarnej krepy i torebkę ozdobioną srebrnymi paciorkami. Babka zakazała jej używać karminowego pudru, dlatego przetarła policzki liśćmi czerwonej herbaty. Brwi przyczerniła kawałkiem spalonego korka. Czesła włosy tak długo, póki nie zaczęły lśnić, jakby zostały pokryte japońskim lakierem. Teraz stała pośrodku pokoju i z nadmiaru emocji brakowało jej tchu. Poszła do sąsiedniej sypialni po babkę, ale dowiedziała się od Beki, że starsza pani zdążyła już zejść. Na niższe piętro, gdzie ulokowano ważniejszych gości, dostała się wąskimi drewnianymi schodami. Ślizgając się po perskim dywanie, który zdobił korytarz, czuła się jak księżniczka.

Minęła stolik na filarach z ozdabiającą go białą wazą z Wedgwood w kształcie tulipana. Złowiła swoje odbicie w zawieszonym nad stolikiem lustrze i przystanęła. Rozwinąwszy wachlarz, przysłoniła połowę twarzy. W efekcie - stwierdziła - wyglądam egzotycznie i tajemniczo.

Lady Letty powiedziała jej, że posługiwanie się wachlarzem to towarzyski ceremoniał, umiejętność granicząca ze sztuką. Na przykład spojrzeniem można wyrazić odmowę. Jessalyn zmrużyła oczy i ściągnęła usta, wykrzywiając twarz w sposób, który według niej był takim właśnie spojrzeniem. Można też spojrzeć przeciągle - zapraszać, ale nie ośmielać. Zmarszczyła brwi i zatrzepotała rzęsami. Nie, to jej nie wychodziło. Otworzyła

szeroko oczy i przekreśliła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Nad jej ramieniem ukazała się twarz o ostrych rysach i ciemnych, łukowatych brwiach. Jessalyn pisnęła cicho i zawirowała w miejscu, strącając wazę łokciem. Mężczyzna pochwycił naczynie tuż nad podłogą. Powoli wyprostował się, spojrzawszy na Jessalyn prosto w oczy, a potem ustawił wazę na poprzednim miejscu. W mundurze oficera regimentu - wiśniowoczerwony surdut ze złotymi mankietami i kołnierz z koronkowym krawatem pod szyją - wyglądał na bohatera. Zmatowiałe złote epolety podkreślały szerokość ramion. Kremowe spodnie były tak uformowane, że budziła się wątpliwość, czy można w nich jeździć konno.

- Jest pani chora, panno Letty?

Zapomniałszy o całym świecie, Jessalyn w dalszym ciągu podziwiała jego wspaniały wygląd.

- Chora?

- Robiła pani takie przerażające miny, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby cierpiała pani prawdziwe męki.

Powracając do przytomności, głęboko westchnęła.

- Niezbyt to grzecznie z pańskiej strony tak mnie podglądać. Skłonił głowę w szyderczym półukłonie.

- Pokornie proszę o wybaczenie. Następnym razem moje nadejście obwieszcza piszczałki i werble.

Obejrzał ją od góry do dołu, nie kryjąc faktu, że szacuje ją, jak mężczyzna zwykł szacować kobietę. Wbrew samej sobie czekała na komplement.

Ale, zamiast wypowiedzieć jakieś pochlebstwo, pochylił się i wciągnął powietrze nosem.

- Co to za woń?

- Co takiego?

- Migdały. - Zbliżył głowę do jej karku. - Migdały i miód. Skryła twarz w dłoniach.

- Do diaska! To ta ohydna papka, którą nasmarowałam twarz. Czy bardzo cuchnę?! -

- Przeciwnie, panno Letty. Pachnie pani całkiem smakowicie. - Poprowadził ją wzdłuż korytarza do marmurowych schodów. Nie wiedziała, kiedy i w jaki sposób jej ręka znalazła się pod jego ramieniem. - Chociaż muszę się do czegoś przyznać.

Kiedy zobaczyłem, jak wypada pani z okna, pomyślałem, że to aktorzyna, którego wynajęto, aby rozerwał nas trochę po kolacji. Ale niech no mi pani powie, po jakie lichy wysmarowała pani twarz migdałami z miodem. Chyba żeby wabić pszczoły? Nie obawia się pani uządlenia?

Mogło się zdawać, że nadał słowom jakieś głębsze znaczenie, którego nie potrafiła odczytać. Słowa wypowiadał takim tonem, jakby się złościł.

- Chciałam się pozbyć piegów.

Zatrzymał ją na jednym ze stopni i ujął pod brodę. Powiódł kciukiem po jej policzku tam i z powrotem.

- Nadał tam są - powiedział cicho i łagodnie.

Jego dotyk poczuła aż w końcach palców u nóg. Gdzieś w innym świecie orkiestra grała kadryla; gdzieś w innym świecie ludzie śmiali się i rozmawiali. W jej świecie istniały jedynie niewiarygodne odczucia, których dostarczała pieszczota odzianego w jedwab kciuka.

- Niechaj pozostaną, panno Letty. Doskonałość jest nazbyt nudna.

Zagubiła się w głębinach mroku, jakimi były jego oczy. Gdyby w tej chwili o to poprosił, oddałaby mu w podarunku swoje serce, przewiązane srebrną wstążką. Nawet gdyby chciał je tylko złamać.

Cofnął rękę. Wziął Jessalyn pod ramię i odwrócił. Razem zeszli ze schodów do przestronnego holu, gdzie stał Henry Tilt-well z pięściami przystawionymi do boków i wyrazem wściekłości na twarzy.

- Nie został zaproszony - oświadczyła lady Letty. - Ale i tak się zjawił. Arogant. Ta rodzina zawsze składała się wyłącznie z bezczelnych arogantów.

Otworzyła tabakierę jednym ruchem wykrzywionego palca i zażyła szczyptę mieszanki *Queen Charlotte*. Na ten wieczór zabrała ze sobą jeden z ulubionych okazów ze swej kolekcji: srebrne pudełeczko z kawałkiem ciętego szkła na wieczku, które mieniło się jak rubin.

Jessalyn poczekała, aż je babka kichnie w chusteczkę.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego nie został zaproszony?

- Ależ okropny ścisk tutaj panuje! Lepiej znajdziemy sobie jakiś kącik - oświadczyła lady Letty - zanim inni pozajmują najlepsze miejsca.

Na tę odświętną okazję lady Letty włożyła ogromny biały kapelusz, przystrojony kokardami i karbowaną falbanką. W sztywnej jedwabnej sukni wyglądała jak barka z węglem pod pełnymi żaglami. Obrąła bezpośredni kurs na jedno z kilku wolnych krzeseł stojących przy ścianie. Jessalyn podążyła jej śladem.

- Dlaczego pan Tiltwell miałby nie zaprosić na przyjęcie swojego siostrzeńca? - zapytała, gdy tylko jej babka usiadła.

- Obie rodziny pokłóciły się. Och, wieki temu. Lecz przyczyny niezgody składają się na historię zbyt skandaliczną jak na twoje wrażliwe uszy, moja panno. - Lady Letty zmarszczyła czoło i przystawiła do uszu zwinięte dłonie. - Co też oni tam grają, he? Byłoby dobrze, gdyby to nie był walc. Nie pozwolę, byś tańczyła w rytm jednego z tych skandalicznych tańców.

Jessalyn westchnęła, ale wolała nie nalegać. Chociaż babka uwielbiała plotki, potrafiła trzymać język za zębami, kiedy tak sobie postanowiła. Co do tańca, no cóż, najpierw ktoś musiałby ją poprosić.

Zaczęła się wachlować. Powietrze było gęste jak w szklarni w środku lata, przesycone zapachem perfum i nagrzone setkami świec płonących w żyrandolach. Dźwięki menueta ginęły niemal całkowicie, zagłuszone rozmowami, śmiechami i szcękaniem wieczek od tabakier. Duże trema, umieszczone między oknami, odbijały połysk satyny, jedwabiu, migotanie szlachetnych kamieni. Cała sala zdawała się mieć lustrzane i srebrzone ściany.

Trewlany, ów mężczyzna, który nie był nawet zaproszony, z posępną miną i kciukiem wsuniętym w kieszonkę na zegarek stał oparty o żłobiony filar. Jessalyn starała się nie patrzeć w jego stronę.

Rozejrzała się za Clarence'em, ale nigdzie go nie dostrzegła. Jego ojciec, pan Henry Tiltwell, krążył dostojnie po sali i pozdrawiał gości. Miał gęste brwi, które rosły na granicy czoła niczym żywopłot, i wystającą dolną wargę. Był niskim, przysadzistym mężczyzną. W białych spodniach i żółtej kamizelce kojarzył się Jessalyn z ugotowanym jajkiem. Bez przerwy rzucał mordercze spojrzenia na siostrzeńca żony, który nie został zaproszony, a który, mimo to, przybył.

Obok przesunęła się jakaś kobieta, uśmiechając się jak ktoś, kto widząc obcą osobę, sądzi, że powinien ją znać. Warstwa pudru na jej twarzy była tak gruba, że wyglądała jak emalia. Z powodu upału sztuczna brew odkleiła się i przesunęła do góry.

Lady Letty wskazała na kobietę.

- Po twarzy tej idiotki pełza gąsienica. Chyba ktoś powinien jej o tym powiedzieć.

- Zdaje się, że to brew, babciu.

- Tym bardziej ktoś powinien to uczynić, nie sądzisz? Jeżeli gubi brwi. - Lady Letty podniosła laskę i Jessalyn miała okropne przeczucie, że babka chce pozdrowić tę kobietę, ale ona zrobiła jeszcze coś gorszego. - Hej tam, Trewlany! Przestań chować się po kątach i chodź no tutaj, szubrawcze!

Trewlany odepchnął się od filara i podszedł wolnym krokiem. Lekko utykał, ale i tak w oczach Jessalyn poruszał się niczym leniwy kot podczas upalnego dnia.

Pochylił się nad dłonią jej babki.

- Na mą duszę, lady Letty! Wygląda pani wspaniale i dostojnie. Z początku myślałem, że mój wzrok spoczął na kimś z królewskiego dworu, co najmniej na księżnej, która siedzi i udziela audiencji. Brak tylko diademu i gronostajów.

Lady Letty spojrzała na niego gniewnie.

- Nie rozmawiaj ze mną w taki nاپuszony sposób, chłopcze. Nie lubię tego. -

Podniosła monokl i bez pośpiechu obejrzała młodego mężczyznę z góry na dół, jak gdyby na aukcji szacowała konia. - Kiedy ostatni raz cię widziałam, byłeś młodym drzewem. Wyrosłeś. Ale tak sobie mówię, że na zgniłym pędzie rośnie zgniły groch. Czy to prawda, chłopcze? Jesteś zgniły?!

Wymuszony uśmiech zmienił jego usta w dwie wąskie linie.

- Na wskroś, aż po zgniłe serce.

Jessalyn ze zdumieniem stwierdziła, że jego odpowiedź przypadła lady Letty do gustu, ponieważ starsza pani parsknęła śmiechem.

- Niemniej, nie bacząc na twoją fatalną reputację, pozwalam ci zatańczyć z moją wnuczką.

Nie zawahał się, odwrócił i skłonił przed Jessalyn. Kiedy się wyprostował, utknął spojrzenie w jej twarzy. Coś drgnęło w głębinach jego czarnych oczu, jak gdyby smok właśnie budził się głęboko w swojej pieczarze. Drżały jej nogi, chciała uciekać,

lecz coś kusiło jej serce i umysł, by wejść do tej jaskini i poznać naturę śpiącej bestii. Trewlany otoczył ramieniem kibić dziewczyny. Starła się zapanować nad dygotaniem całego ciała, napinając wszystkie mięśnie. Mówiła wprost do mosiężnego guzika.

- Babcia nawet w połowie nie myśli tego, co mówi. Po prostu lubi szokować ludzi.
- Ja również - odparł. Trzymał dłoń na jej plecach, gdy oboje wirowali posuwistym, kołyszącym krokiem. Powróciły tamte odczucia: niepokój i pustka w żołądku. - Ale jest nas w tym gronie więcej, mam na myśli panią. Może powinniśmy utworzyć klub i zbierać składki członkowskie? Proponuję nazwę: Nikczemne Stowarzyszenie Przeciwników Nudy i Samozadowolenia.

Nie spodziewała się, że dorówna mu w grze na słowa, więc nawet nie próbowała. Poza tym na razie wystarczająco ekscytował ją taniec. Zastanawiała się, czy lady Letty odkryła, że orkiestra gra jeden z tych nieprzyzwoitych walców. Jessalyn często ćwiczyła odpowiednie kroki, tańcząc z miotłą. Tylko że miotły nie miały ani nóg, ani stóp i nie stawały na jej drodze. Potknęła się o nogi Trewlany'ego, gubiąc krok.

- Do diaska! - zawołała cicho.

- Zachowują się o niebo lepiej, kiedy się nie patrzy na nie. Z początku nie wiedziała, co ma na myśli, dopiero po chwili zorientowała się, że mówi o jej nogach. Starła się nie zerkać w dół. Teraz mogła patrzeć tylko na niego albo nad nim.

Ze środka sufitowej rozety, zdobionej winną latoroślą i pyzatymi cherubinami o różowych pośladkach, zwisał trójkon-dygnacyjny, przybrany złotem kryształowy żyrandol. Ze względu na liczbę rozetek i wolut sufit przypominał tort z serem i malinami. Na sam widok można było dostać zawrotów głowy.

Opuściła wzrok na twarz partnera, zamrugła, stwierdzając, że wokół wiruje pozbawiona kształtów sala. Na jego twarzy malowała się uprzejma obojętność i tylko oczy coś wyrażały, skierowane na jej usta. Mogło się zdawać, że Trewlany wodzi po nich z jakimś żarem w spojrzeniu. Uciekła wzrokiem w bok.

Był od niej prawie o pół głowy wyższy. Nawet Clarence, którego zawsze uważała za wysokiego, nie dorównywał mu

wzrostem. Chociaż starał się to ukryć, zgadywała, że każdy krok sprawia mu ból.

- Ta okropna rana na pańskiej nodze - zaczęła i natychmiast spłonęła rumieńcem, przypomniawszy sobie, w jakich okolicznościach to widziała.

Chwyił ją mocniej i przyciągnął do siebie. Przez chwilę czuła między nogami napór gorącego i twardego uda. Potem postąpił krok i rozdzielili się. Potknęła się znowu.

- Jak., jak to się stało?

- Byłem nierozważny.

- Tak? A ja pomyślałam sobie, że to musiało się stać pod Waterloo.

- Jakaż pani spostrzegawcza!

Kolejny rumieniec oblał jej policzki. Męska dłoń parzyła ją w plecy i w ogóle w sali zrobiło się nagle zbyt gorąco. Wydawało się jej, że nie ma czym oddychać.

- Nie zamierzałam podglądać - wykrztusiła wreszcie. - Nie wątpię, że to zaszczytna rana. Pański kuzyn opowiedział mi wczoraj, że po załamaniu się obrony zebrał pan ponownie swoich ludzi i poprowadził ich do ataku na wroga. Aby zrobić coś takiego, potrzeba wyjątkowej odwagi.

- Nie sądzę. Wystarczy wyjątkowa głupota. Poprowadziłem ich na śmierć, sam też ledwie jej uniknąłem. Zmieńmy temat, panno Letty.

Clarence wyraził się inaczej. Powiedział, że pod Waterloo dzięki bohaterskiej postawie jego kuzyna regiment zyskał cały dzień. Król i parlament wyróżnili Trewlany'ego za odwagę.

Przeniosła wzrok na jego twarz. Koronka pod brodą podkreślała męską surowość rysów. Pod powierzchnią ciemnych oczu znowu coś się niespokojnie poruszyło.

Szukała nowego tematu do rozmowy. Jakże pragnęła olśnić go jakąś błyskotliwą uwagą o pogodzie albo towarzystwie! Zamiast tego powiedziała:

- Od dawna jest pan w Kornwalii, kapitanie Trewlany?

- Wdzięczny jestem za promocję. Ale podawanie się za oficera wyższej rangi jest poważnym przestępstwem. Muszę przyznać, że jestem zaledwie porucznikiem. Jest pani rozczarowana?

- Zdruzgotana. Ale bez wątplenia już wkrótce zostanie pan kapitanem.

- Na pewno nie. Chyba że ma pani do pożyczenia tysiąc sześćset funtów, abym mógł opłacić mianowanie.

Wybuchnęła śmiechem, który szybko przeszedł w parskanie, kiedy zaciskając usta, próbowała się powstrzymać.

- Niechże już chociaż pan nie będzie pomyłeńcem.

- Czy po tej bardzo poważnej uwadze mam uważać, iż nie udzieli mi pani stosownej pożyczki? Obawiam się zatem, że zostanę najstarszym porucznikiem w armii królewskiej.

- Jest pan ubogi?

Rozchylił usta w olśniewającym uśmiechu.

- Beznadziejnie.

Płynęła, zatopiona w muzyce, świadoma uścisku jego ramion, zagubiona w jego uśmiechu.

- Ja też. Też jestem biedna.

- Jaka szkoda! Bo gdybyś była dziedziczką fortuny, pomylenieć, czyli ja, może byłby skłonny poślubić cię, panno Letty.

Nie mówił tego poważnie. Na pewno nie mówił tego poważnie. A jednak serce jej zatrzepotało niczym rybitwa z zatoczki Crookneck skrzydłami.

Już jej więcej nie poprosił do tańca. Zatańczyła jeszcze tylko z Clarence' em Tiltwellem, dwa razy. Ale obserwowała go bez przerwy: kiedy tańczyła i kiedy potem piła musującą lemoniadę w towarzystwie babki. Większość czasu spędził na rozmowie z tą samą niewysoką, złocistowłosą dziewczyną. Jeden raz odchylił głowę i się roześmiał, a Jessalyn poczuła, że jej serce ściska żal, jak gdyby ktoś jej opowiedział bardzo smutną historię. Dziewczyna nazywała się Selina Scott. Na domiar złego miała i krągłości, i pieniądze. Mimo wszystko Trewlany nie był takim znowu pomyłeńcem.

Lady Letty podążyła wzrokiem za spojrzeniem wnuczki.

- Niezła prezencja, w przyszłości tytuł hrabiowski, błyskotliwy język: bardzo niebezpieczna kombinacja. Tak sobie myślę, że powinnam trzymać cię pod zamknięciem przez całe lato.

- On za mną nie przepada. Drwi sobie ze mnie.

- Moja droga, kiedy mężczyzna przekomarza się z dziewczyną, to na pewno jeszcze nie pora, aby uciekać w przeciwnym kierunku. - Lady Letty sięgnęła po laskę i powoli wstała.

- Na pewno grają gdzieś tutaj w faraona. Mam ochotę postawić co nieco. Stolik nakryty zielonym sukniem stał w sąsiednim pomieszczeniu. Jessalyn stała przy krześle babki i przyglądała się, jak przepadają ostatnie pieniądze, które pozostały po sprzedaży konia. Starszej pani nie przerażały rujnujące stawki. W otwartych drzwiach do sali balowej pary wirowały w rytm przytłumionych dźwięków orkiestry. Nie udało jej się ponownie dostrzec porucznika Trewlany'ego. Po deserze z ciastek w kształcie serc i śmietany z owocami dołączyła do gości, którzy przeszli do ogrodu obejrzeć zachód słońca. Chińskie latarnie oświetlały alejkę, która wiała się między przyszyżonymi krzewami i geometrycznymi kształtami klombów. Płaczące wierzby drżały w podmuchach wieczornej bryzy, a skowronki, od których dom wziął swoją nazwę, ożywiały wieczór śpiewem. Wszystko wokoło wydawało się takie uporządkowane, takie doskonałe, że Jessalyn w przepływie buntowniczych myśli zapragnęła zakraść się tutaj którejs nocy i między żonkilami posadzić janowiec.

Na wierzchołku wzgórza przed Wheal Charlotte coś się działo. Jessalyn ruszyła w tamtym kierunku. Rozbawił ją widok tego, co ujrzała.

Przed budynkiem kopalni, dysząc i sapiąc, stała na szynach lokomotywa.

Stożkowaty kocioł, przyśrubowany do platformy w kształcie zwyczajnego wozu, wyglądał jak żółta głowa cukru. Koła również zostały pomalowane na żywe kolory: obręcze były czerwone jak płatki maku, szprychy - granatowe.

Wysoki, czarny komin, z wiezkiem wyżłobionym jak skórka wypieczonego ciasta, czkał kłębamii pary. Nie było w tym wszystkim żadnego porządku. Maszyna prychała, dymiała, słowem hałasowała skandalicznie; nic sobie nie robiła z obowiązujących konwencji. Jessalyn uznała, że nigdy w życiu nie widziała niczego równie wspaniałego.

Henry Tiltwell nie podzielał jej entuzjazmu. Wspiął się na wzgórze, sapiąc gorzej niż maszyna. Spostrzegł syna, który stał przy lokomotywie, i z wyrazem wścieklej furii na twarzy ruszył w jego stronę.

- Clarence, cóż to za nedorzecznosc?! Clarence pobladł nieco.

- Przyszło nam do głowy... to znaczy Mack i ja pomyśleliśmy...

- Że dobrze byłoby urządzić małą demonstrację. - Zza lokomotywy wyszedł porucznik Trewlany. Był w koszuli i trzymał w ręku naczynie z olejem. Kolejno spojrzał prosto w oczy wszystkim obecnym. A kiedy mówił, zwracał się nie tylko do Henry'ego Tiltwella, ale do wszystkich ludzi mających dość władzy, wpływów i pieniędzy, aby zmienić w rzeczywistość marzenia wynalazcy albo na zawsze zniszczyć je szyderstwem i sceptycyzmem. - Żeby dostarczyć rudę od nadszybia do najbliższej huty - rzekł - wy, właściciele kopalni, ciągle musicie transportować ciężkie ładunki. Kuce i muły szybko się eksploatują, a pasza jest droga. Macie okazję zapoznać się z metodą znacznie tańszą i bardziej wydajną. Napęd parowy i silnik przetwarzający energię termiczną w mechaniczną. Jedna taka lokomotywa w niespełną godzinę przeciągnie stąd do Penzance pięć załadowanych rudą wózków. - Nie przeciągał sylab, jak to miał w zwyczaju. Z jego głosu i wyrazu twarzy przebijało podniecenie wizjonera.

Pan Tiltwell ni to chrząknął, ni to się pogardliwie roześmiał.

- Żelazny koń, he? - Rozejrzał się dookoła, zachęcając swoich gości, aby dzielili z nim rozbawienie. - Czyż nie o czymś takim słyszałem w Walii przed kilkoma laty? Ktoś mi opowiadał, że to coś rozerwało się na kawałeczki. Zginęło czterech ludzi. Czego się spodziewać po pełnym wody imbryku z przylutowaną pokrywką, postawionym na wielkim ogniu? Walnęło, że słychać było prawie w Chester. - Znowu się roześmiał.

Głos porucznika Trewlany'ego zabrzmiał zupełnie spokojnie, choć na jego policzku drgnął mięsień.

- To była wcześniejsza wersja wynalazku. Od tamtego czasu projekt został ulepszony. Teraz stosuje się dwa zawory zamiast jednego. - Zamilkł, po czym głęboko odetchnął. Nagle wydał się Jessalyn bardzo młody i bezbronny. Wystawiał się na drwiny i docinki, choć wiedział, że ich nie uniknie.

Clarence odchrząknął.

- Przecież mógłbyś się zgodzić, ojczy. Niech nam to pokaże. Pan Tiltwell odwrócił się do syna.

- Zamknij jadaczkę! Uważam, że jesteś odpowiedzialny za jego obecność tutaj. - Wycelował palcem w lokomotywę. - A je-

śli chodzi o to... smrodliwe monstrum, spodziewałbym się tylko jednego: zniszczenia moich zbiorów i wystraszenia inwentarza. Zobaczymy, czy chociaż jedna krowa w obrębie mili da jutro rano mleko.

Zatrzymał na synu jadowite spojrzenie, które zawierało obietnicę rozrachunku w przyszłości. Clarence zaczerwienił się i uciekł spojrzeniem w bok.

Porucznik jakby tego wszystkiego w ogóle nie widział. Wskoczył na platformę maszyny parowej i dorzucił węgla do paleniska. Henry Tiltwell postąpił kilka kroków do przodu. Potem, jakby przypomniawszy sobie własne przepowiednie, szybko się cofnął.

- To moja ziemia, moje szyny. Nie zezwalam na widowisko. Słyszałeś? Nie zezwalam!

Zakrzyczało go kilku gości. Usłyszawszy o wybuchu żelaznego konia w Walii, mieli teraz nadzieję zostać świadkami równie makabrycznego widowiska.

Jessalyn była jedyną osobą, która zbliżyła się, aby wynalazek obejrzeć z bliska.

Obudowa kotła była drewniana, wzmocniona stalowymi płytkami. Spoczywała na dwóch dużych kołach z przodu i dwóch małych z tyłu. W oczach dziewczyny maszyna wydawała się splątaniem kłębowiskiem metalowych tub i rurek. Do lokomotywy, jak wóz do kuca, przyczepiono tender z wiklinowym koszem pełnym węgla i dużą beczką wody.

Kocioł zaczął śpiewać, gdy podniosło się ciśnienie pary. Syczał i wzdychał, jakby był żywą istotą; para zaczęła się wydobywać wszystkimi połączeniami niczym pot. Kołysał się i drgał na szynach jak wielka bestia szykująca się do skoku. Jessalyn patrzyła na człowieka, który był twórcą bestii, zafascynowana sposobem, w jaki pot występuje mu na twarz, jak pod cienką batystową koszulą napinają się mięśnie ramion i wygiętych pleców, gdy sypie węgiel w rozżarzoną gardziel paleniska. Nie mogła dać wiary, że syn hrabiego wykonuje tak brudną pracę; pracę, która wymaga fizycznego wysiłku. Nie wiedziała dlaczego, ale ten widok ją podniecał, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jej babka byłaby zgorszona.

- Chciałabym zabrać się z panem, poruczniku Trewlany! -zawołała.

Odwrócił się. Ich oczy się spotkały. Ogień namiętności płonął

w jego wzroku, jaśniejszy niż ten, który rozpałił pod kotłem. Nie sądziła, żeby jego ekscytacja miała jakiś związek z nią, ale naraz poczuła się taka lekka, jakby skoczyła z klifu i odkryła, że potrafi latać.

Energicznie zamknął pokrywę i zeskoczył na ziemię, lądując tuż przed nią.

- To nie będzie jakaś tam karuzela.

Wcześniej podwinął rękawy za łokieć i teraz na jego przedramieniu połyskiwał pot. Podmuch wiatru przycisnął materiał koszuli do masywnego torsu i poruszał koronkę krawatu. Jessalyn zapragnęła dotknąć tego mężczyzny, chociaż nie bardzo wiedziała, jak. Dotknąć go najzupełniej zwyczajnie.

- Twierdzi pan, że to bezpieczna zabawa - powiedziała. - A może istnieje lepszy sposób, by to udowodnić?!

- Panno Letty, młode damy nie jeżdżą lokomotywami.

- Ależ dlaczego? Kto tak powiedział?! Jeździmy wierzchem i pojazdami. Dzisiaj po południu jechałam dryndulką, chociaż zdaniem babci nie była to rzecz stosowna.

Proszę, poruczniku Trewlany, byłby to dla mnie zaszczyt przejechać się pańską wspaniałą maszyną.

Patrzył na nią z góry. Usta miał zacięte. Wreszcie gwałtownie westchnął.

- Za to, co robię, powinienem dostać tęgiego kopniaka, takiego, by się znaleźć aż w Londynie. Później nie będziesz mi miała za co dziękować. - Chwycił ją w pasie, postawił na wąskiej platformie i wskoczył za nią. - I proszę nie dotykać zewnętrznej ścianki paleniska - ostrzegł. - Jest gorąca.

- Jessalyn! - Clarence ruszył w ich stronę. - Co ty robisz? Mack, przecież nie możesz jej pozwolić...

Henry Tiltwell uderzył ciężką dłonią w pierś syna.

- Niech idzie, jak chce. Ten nonsens jest wprawdzie twoim dziełem, synu, ale dziewczyna naraża swój własny kark.

- Jessalyn, zejdź stamtąd w tej chwili - zakomenderował Clarence, choć sam zatrzymał się przed barierą ręki ojca.

Jessalyn udała, że go nie słyszy. Wyczuwała wibrowanie maszyny przez podłogę i mrowienie brzucha. W środku potwora tętniło życie, które było dygotaniem, drżeniem, dyszeniem. Które wywodziło się bezpośrednio z umysłu i serca stojącego przy niej mężczyzny.

Trewlany uważnie obserwował dwa zegary przymocowane do kotła. Oparła się o jego ramię, a jego włosy połaskotały jej szyję.

- Tym razem maszyna nie wybuchnie, prawda? - zapytała niemal bez kpiny.

Zbliżywszy do niej twarz, zerknął kątem oka. Uśmiechnął się krzywo, wtedy poczuła, że jej usta rozchylają się w dzikim uśmiechu, i usłyszała własny chichot.

Jak gdyby mieszkały w niej dwie osoby: jedna Jessalyn, która stała obok tego dziwnego mężczyzny, bez tchu, podekscytowana, z sercem trzepoczącym w zawrotnym tempie, i druga, mądrzejsza, która przyglądała się wszystkiemu z dystansu i dostrzegała, jaką idiotkę z siebie robi, jak wielkim dzieckiem musi być w jego oczach.

- Czy przypadkiem nie marzną ci nogi? - zapytał.

Tak naprawdę to w nogi było jej coraz cieplej. Metalowy stopień absorbował ciepło paleniska, dlatego stało się na nim jak na skwierczącej patelni.

- Ostatnim razem widziałas eksperyment z pojazdem, który miałby się poruszać po zwyczajnych drogach - rzekł. - Teraz jest inaczej. Dobrze wiem, co robię.

- Miło mi to słyszeć. Nie chciałabym skończyć życia porozrywana na kawałeczki wzdłuż szyn pana Tiltwella.

Roześmiał się. Czowała na karku ciepło jego oddechu. Niewiele było miejsca na małym stopniu. Gdy którekolwiek z nich poruszyło się, ich ciała musiały się dotknąć. Biodro ocierało się o biodro, ramię muskało ramię, jego udo napierało na jej pośladek. Jakżeż była świadoma jego obecności! Jego zapachu: smaru, sadzy i potu. Twardości ciała, ilekroć jej dotykał. Żaru tłącego się w jego oczach, który był świadectwem faktu, że za poruszającą się i pulsującą wokół siłą istniał jeszcze rozum.

Podniosła na niego oczy. Nie rozumiała dlaczego, ale na jego widok poczuła ból w piersiach.

- Jak to działa?

- Hm, żeby nie komplikować sprawy...

- Tak, proszę o możliwie prosty wykład - powiedziała ze śmiechem.

- Zatem spróbujmy jak najprościej - rzekł. - Woda w kotle pod wpływem ciepła zamienia się w parę wodną. Para przedostaje się z kotła do cylindrów. - Pokazał na jeden z walco-

watych kształtów przytwierdzonych do kotła. - Kiedy para znajdzie się w cylindrze, wtedy rozpręży się, popychając tłok, gruby pręt, coś w rodzaju młota. Jest z nim połączona płaska sztaba, o, tu - pokazał stalowe ramie, które wychodziło z cylindra - napędzająca większe koła.

Odwróciła ku niemu śmiejące się usta i roziskrzzone oczy.

- To cudowne!

Ciemny rumieniec okrył jego policzki. Zdziwiła się, że poczuł się zażenowany, ale może rzeczywiście niewiele otrzymał w życiu pochwał.

- Nadmiar pary wydostaje się w powietrze przewodem kominowym - skończył i uciekł spojrzeniem w bok.

Sięgnął po stalową dźwignię, przesuwając nagim ramieniem po jej piersi. Potwór sapnął, westchnął gdzieś bardzo blisko, podczas gdy Jessalyn stała w bezruchu, niezdolna, by w ogóle oddychać.

Drgnął, jakby się sparzył, dotykając ścianki paleniska. Ale i ciało Jessalyn boleśnie płonęło w miejscu, gdzie jej dotknął.

- Może byłoby lepiej, gdybyś jechała na tendrze - powiedział surowym tonem.

Zanim miała okazję zaprotestować, przeniósł ją do pojazdu za swoimi plecami.

Znalazła miejsce do stania między koszami z węglem a beczką pełną wody.

Trewlany prawą nogą wcisnął jakiś pedał, odciągnął metalową zatyczkę i lewą ręką zwolnił dźwignię. Pod niebo wyleciała z komina chmura pary. Tłoki przesunęły się w cylindrach. Coś zadudniło, jakby w oddali ktoś uderzał młotem. Bestia ożyła.

Lokomotywa szarpnęła, dygocząc i podskakując niczym gigantyczna szarańcza.

Sapiąc i stękając, maszyna ruszyła po szynach ku zachodzącemu słońcu, które rzucało długie cienie na pola pszenicy i jęczmienia. Równomierne uderzenia tłoka zdawały się oddziaływać na pracę serca Jessalyn, póki jedno i drugie nie zaczęło się poruszać w jednakowym rytmie. Przytrzymała kapelusz, aby nie porwał go wiatr, i wybuchnęła głośnym śmiechem. Wiedziała, że wiele razy galopowała szybciej, ale jazda konna nigdy i ani trochę nie przypominała tej przejażdżki. Czymś, co było wynalazkiem człowieka i poruszało się samo z siebie.

Przez kłęby pary widziała kamienne ściany Larkhaven. Zda-

wało się jej, że na tarasie dostrzega babkę, ale pojechali dalej, zanim zdążyła pomachać w tamtą stronę. Wtoczyli się na wzgórze, później zaczęli zjeżdżać, nabierając stopniowo prędkości. U podnóża wzniesienia szyny przecinały wąską dróżkę. Przy torach, niczym tłusta kura na grzędzie, przycupnęła fura załadowana sianem. Obok znarowionego muła stał z otwartymi ustami przerażony woźnica. Porucznik Trewlany ryknął na niego, aby zabierał stamtąd swój przeklęty tyłek. Woźnica zastygł w miejscu moment dłużej, podniósł bat i bezlitośnie potraktował nim grzbiet zwierzęcia. Muł nawet nie drgnął.

Jessalyn przechyliła się i krzyknęła, starając się przekrzyczeć odgłosy piekielnej maszynerii:

- Lepiej zatrzymajmy się!
- Nie możemy! - zawołał w odpowiedzi.
- Co?
- Nie mamy hamulców!

Dobry Boże...! Ukryła twarz w dłoniach. Ale szybko okazało się, że woli widzieć. Zerknęła przez palce. Muł zastrzygł uszami i postąpił krok do przodu. Bardzo wolno. Maszyna pędziła po torach, dymiąc i rycząc jak obłąkany smok.

Furmanka nie zdążyła jeszcze całkowicie zjechać z szyn, kiedy w nią trafili.

Stępiony odgłos towarzyszył chwili, gdy lokomotywa ścięła sam koniec wozu z sianem. Momentalnie świat zamienił się w wirującą żółtą chmurę.

Kolizja nie zatrzymała maszyny. Pojazd przechylał się na boki, coś w nim stukotało, ale pędził bez przerwy. Jessalyn obejrzała się ze śmiechem przez ramię, wyskubując z włosów i oczu żdźbła suchej trawy.

Nagle pojazd zadygotał szaleńczo i przyspieszył niczym spłoszony żreback.

Zgrzytliwy odgłos przeciął powietrze.

- Trzymaj się! - usłyszała krzyk. Ale ostrzeżenie przyszło zbyt późno, bo już znajdowała się w powietrzu.

Błękitne niebo, zielone pola i brązowe pola - wszystko wirowało jej przed oczami, jakby kręciła się na karuzeli.

Póki nie runęła na ziemię i świat nie zginął za zasłoną ciemności.

V

- Do licha, mówiłem, że masz się trzymać. - Głos należał do porucznika Trewlany'ego i nie brzmiał przyjemnie.

Coś kłuło ją w plecy. Poruszyła się, usiłując zająć wygodniejszą pozycję. Jednocześnie starała się uświadomić sobie, gdzie jest i w jaki sposób znalazła się tutaj, w gęstwinie kłującego janowca. Otworzyła oczy i ujrzała parę czarnych, błyszczących butów.

Powędrowała wzrokiem w górę wspaniałej sylwetki. Tors i ramiona mężczyzny odcinały się na tle zachodzącego słońca. Podobała się jej ta sylwetka; z przyjemnością na nią patrzyła. Ale Trewlany nie wyglądał na ucieszonego jej widokiem.

Roześmiała się.

- Osty pokłuły mnie w deriera - powiedziała, zniekształcając wymowę niskim, kornwalijskim akcentem.

Przez moment sądziła, że zarazi się od niej śmiechem. Zamiast tego ściągnął usta i przykucnął nad nią.

- Poleż chwilę spokojnie. Masz na głowie guza wielkości ptasiego jaja. - Delikatnie odsunął włosy z jej czoła. Jego dotyk był delikatny i zadziwiająco intymny.

Z wysiłkiem podparła się na łokciach.

- Nie. Nic mi nie jest. Naprawdę. - Ale zawrót głowy pozbawił ją sił.

- Czy ty kiedykolwiek słuchasz, co się do ciebie mówi? - Chwycił ją za ramię i bynajmniej nie uczynił tego delikatnie. - Następnym razem, gdy będę chciał, abyś coś zrobiła, poproszę o coś zupełnie przeciwnego.

Odsunęła się i jakoś stanęła na nogi. Przeszła niepewnie do lokomotywy, która znieruchomiła pochylona, z nosem wbitym w darń. Parujące, klekoczące i szcękające monstrum stało teraz spokojnie, ot, martwy potwór. Fragmenty porozrywanych torów leżały wszędzie. Wyglądały, jakby je zgmiotła stopa jakiegoś giganta.

Wiedziała, że Trewlany idzie obok.

- Co się stało? - zapytała.

- Tory nie wytrzymały. Jechaliśmy zbyt szybko. Maszyna jest tak ciężka, że porozrywała stal na kawałki.

- Jaka szkoda! Teraz wszyscy pomyślą, że lokomotywa była do niczego.

- Wszyscy będą mieli rację. - Na jego policzku drgnął mięsień. Współczuła mu. Miała ochotę przytulić jego głowę do piersi, zatopić palce we włosy i powiedzieć, że zupełnie nie liczy się to, co myślą inni.

Ale zamiast tego jedynie dotknęła jego ramienia, wyczuwając, jak pod ciepłą powierzchnią skóry tężeją mięśnie.

- Och, w żadnym razie, poruczniku Trewlany. Dzięki takiej sile... dzięki takiej sile można zmienić świat.

Na chwilę ożywiły się jego oczy. Dostrzegła w nich wyraz zakłopotania i nadziei. Lecz po chwili zamrugał powiekami i spojrzał w bok.

Oboje odwrócili się, usłyszawszy tętent końskich kopyt. Zbliżał się do nich Clarence na dużym gniadym wałachu. Za nim nadjeżdżał jego ojciec w towarzystwie kilku swoich gości, gnanych ciekawością.

- Jessalyn! - zawołał Clarence, ześlizgując się z konia. Otworzył szeroko oczy na widok wykolejonej lokomotywy. - Na litość boską, Jessalyn, nic ci nie jest?! Mack, do diabła, co ty sobie wyobrażasz?! Nie powinienes narażać jej na niebezpieczeństwo, zwłaszcza na groźbę...

- Dobry Boże, Clarence - warknęła Jessalyn. Już zapomniała, jaki czasami potrafił być sztywny i nudny. - Nie ma najmniejszego powodu, aby odgrywać tragedię. Absolutnie nic mi się nie stało, poza niewielkim guzem na czole.

- I kilkoma kolcami w jej ładnej pupie - dodał porucznik Trewlany.

Jessalyn wybuchnęła głośnym śmiechem, zasłoniła usta dłonią i niemal się zakrztusiła.

- Dostała hysterii! - krzyknął Clarence z wypiekami na twarzy. Patrzył na kuzyna wzrokiem pełnym nienawiści. - Otóż to! W szoku dostała hysterii.

Nadszedł Henry Tiltwell z przyjaciółmi. Jego śmiech brzmiał donośnie nad rozkołysanymi polami. - Zostałeś żniwiarzem, chłopcze! Twój żelazny koń zamienił się w żniwiarkę, hę? -Zarechotał, a pozostali przyłączyli się do niego.

Porucznik Trewlany stał wyprostowany przed swoimi prześmiewcami. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, tylko

w oczach zapaliła się iskierka udręki. Jessalyn nie mogła tego znieść.

- Głupcy! - zawołała, odwracając się do roześmianych mężczyzn. - Jesteście wszyscy pustogłowymi głupcami!

Zamilkli, ale tylko na chwilę.

- Zostałeś zniwiarzem! - zaryczał znowu Henry Tiltwell, klepiąc się w udo.

Zacisnęła w pięści opuszczone wzdłuż boków dłonie. Nienawidziła tych ludzi za ignorancję i okrucieństwo, za szydzenie z człowieka, który zbudował co prawda wspaniałą lokomotywę, ale nie pasował do ich uładzonego świata. Porucznik Trewlany stał z boku, osamotniony. Ta jego samotność odbijała się pustką we wnętrzu duszy Jessalyn. Nie zdawała sobie sprawy, że jej oczy błyszczą, gdy na niego patrzy, błyszczą niczym latarnie morskie w nocy.

Ani że dostrzega to Clarence Tiltwell.

Dwudziestodwuletni Clarence Francis Tiltwell uważał się za mężczyznę. Mimo to nigdy z lekkim sercem nie przekraczał progu biblioteki w Larkhaven. Jako chłopiec wchodził tutaj jedynie po reprimendę. Tym razem, otwierając ciężkie drewniane drzwi, czuł się jak przestraszony dziesięciolatek.

Na podłodze leżały tureckie dywany w przygaszonych barwach, na oknach wisiały zielone aksamitne zasłony. Ścianyapełniały akcesoria myśliwskie: stare ostrogi, pejczy, rogi, wiekowe muszkiety i kusze. Za szklanymi drzwiczkami półek stały księgi w zielonych okładkach z cielejącej skóry, ze złotymi literami na grzbietach. Pokój miał pewien klimat, który nie był jednak odbiciem charakteru właściciela. Henry Tiltwell nie cierpiał polowań i o ile Clarence się orientował, zawsze bardzo niechętnie sięgał po książkę.

Mężczyzna, którego Clarence nazywał swoim ojcem, siedział w ogromnym skórzanym fotelu o barwie kasztanów, stojącym za potężnym mahoniowym biurkiem. Nie poprosił syna, aby usiadł, ale Clarence usiadł i tak, czerpiąc drobną satysfakcję z tej małej manifestacji nieposłuszeństwa.

- Bądź tak dobry i wytłumacz mi łaskawie - zaczął Henry Tiltwell swoim niskim jak u byka głosem - dlaczego przypro-

wadziłeś do nas McCady'ego Trewlany'ego, aby zepsuł całe przyjęcie za pomocą tego hałaśliwego potwora.

- Tak się akurat złożyło, że zjawił się bez żadnego udziału z mojej strony. - Clarence pozwolił sobie na cień złośliwego uśmiechu. - Jakie to ma znaczenie, skoro aby tu przybyć, wcale nie potrzebuje zaproszenia. Jest przecież siostrzeńcem twojej żony.

- Jest zuchwałym bękartem!

W aksamitnej ciszy biblioteki słowo „bękart” zabrzmiało niczym uderzenie kościelnego dzwonu. Uśmiech Clarence'a wyrażał teraz gorycz.

Zielonkawę światło lampki z ciętego szkła, która stała na biurku, nadawało policzkom Henry'ego Tiltwella i jego opuchniętym, workowatym oczom chorobliwy odcień. Nie potrafił spojrzeć młodemu mężczyźnie w oczy, dlatego wolał bawić się łańcuszkiem i zapięciem przy kieszonkowym zegarku. Miał ręce kopacza, duże i ciężkie, chociaż nigdy nie dzierżył w nich kilofa.

W chwilach takich jak ta Clarence cieszył się, że ten mężczyzna nie jest jego ojcem. Szkopuł w tym, że mógł nim być. Matka Clarence'a nie chciała bądź nie mogła powiedzieć, który mężczyzna przyczynił się do jego poczęcia. W tym samym bowiem czasie sypiała z dwoma mężczyznami: z własnym mężem oraz z mężem siostry, tym rozpustnym hulaką, hrabią Caerhaysem. Clarence nigdy nie był w stanie pojąć, dlaczego Henry Tiltwell jej wybaczył. Była jego żoną i mógłby ją nawet zabić.

- Chciałbym, abyś trzymał się z daleka od tej dziewczyny - oświadczył Henry. - Tej od Lettych, rzecz jasna. - Clarence boleśnie odczuł powrót do rzeczywistości. - Ta osobliwa znajomość już w dzieciństwie miała na ciebie niedobry wpływ. Teraz też nie spodziewam się niczego innego niż jedynie zgubnych skutków. Nie życzę sobie żadnych potajemnych małżeństw ani procesów o pochodzenie. Mam wobec ciebie poważniejsze plany. Nie chcę, abyś się wiązał z jakąś prowincjonalną gąską, która sama jest skażona kroplą chłopskiej krwi i nie ma posagu, o którym warto byłoby wspomnieć.

- Osobiście powątpiewam, czy lady Letty zechce spojrzeć łaskawym okiem na zabiegi wnuka zwykłego kopacza - rzekł

Clarence jakby do siebie. Nadal bał się Henry'ego i tak już chyba miało pozostać.

- Co takiego? Mów głośniej, do licha! Clarence podniósł głowę.

- W ciągu najbliższych lat nie zamierzam się jeszcze żenić - powiedział, co tylko częściowo było prawdą. Z całego serca pragnął uczynić Jessalyn Letty swoją żoną. Tyle że wcześniej pragnął zdobyć majątek. Własny majątek.

Jego matka umarła przed rokiem. Nic nie powstrzymało ojca przed powtórny ożenkiem. Mówiło się w okolicy, że Henry się rozgląda. Gdyby pojawił się drugi syn, niekwestionowany syn, wywodzący się z drzewa genealogicznego Tiltwellów, Clarence zostałby najprawdopodobniej wydziedziczony równie szybko, jak na to pozwala sporządzenie nowego testamentu.

Na razie Henry trzymał dłoń na sakiewce i Clarence musiał tańczyć jak mu tamten zagrał. Nie leżało w jego naturze, by umierać z głodu na jakimś poddaszu w obronie ideałów i zasad. W tej chwili kwestia, czy był prawdziwym synem Henry'ego Tiltwella, nie miała większego znaczenia. Liczyły się przede wszystkim wpływy i koneksje starszego mężczyzny, żeby nie wspomnieć o jego kapitale. A to wszystko bez wątplenia mogło pomóc Clarence'owi w budowaniu własnej fortuny.

Jednakże pewien fakt wydawał się potwierdzać przypuszczenie, że był jednak synem Henry'ego Tiltwella: miał niewątpliwy talent do robienia pieniędzy.

McCady Trewlany siedział wygodnie w fotelu przed kominkiem. Stopy w wysokich butach opierał na czerwonej skórzanej otomanie; w dłoni trzymał szklaneczkę brandy. I mimo wszystko było w tej jego pozie zarówno coś z antycznej zadumy, jak i wyrafinowanej elegancji. Clarence był przekonany, że jemu nigdy nie udałoby się coś takiego, nawet gdyby miał żyć sto lat.

Clarence przystanął w drzwiach do jego sypialni. McCady podniósł ciężkie ze zmęczenia powieki, spojrzał na niego i rzekł z nutą drwiny w głosie:

- Bez odrobiny brandy chyba nie zdołasz rozproszyć swojego smutku.

Clarence nie miał ochoty na brandy, ale jednak podszedł do

stolika o mosiężnych, pozłacanych krawędziach i nalał sobie odrobinę trunku do kieliszka na poncz. Zwilżył usta, ale nie przełknął.

McCady gapił się w zamyśleniu na ogień, stwarzając Claren-ce'owi okazję do przyjrzenia się jego ściągniętym, szlachetnym rysom. Młody Tiltwell nigdy do końca nie panował nad uczuciami, kiedy znajdował się w towarzystwie McCady'ego. Czasami był pewny, że kocha go jak brata, i dostrzegał w tym ironię losu. Kochał go, ale chyba nie lubił. A może tylko pragnął być taki jak Mack Trewlany. Ale i to nie była prawda, ponieważ nie cierpiał wad Trewlanych. Nie ciągnęło go do alkoholu, więc pił tylko umiarkowanie. Nie grał nigdy. Ryzykować pieniądze, stawiając na jakąś kartę albo rzut kośćmi, wydawało mu się szczytem głupoty. Podobały mu się kobiety, ale nie wchodził do łóżka każdej, która tylko spojrzała w jego stronę. W przeciwieństwie do Trewlanych, a zwłaszcza McCady'ego.

Pragnął stać się człowiekiem, jakim McCady Tre wlany mógłby zostać, gdyby wykorzystał swój potencjał. Wiedzieli o tym wszyscy. Niestety hrabiowie Trewlany umierali młodo, gwałtownie i w niesławie.

Nigdy ze sobą nie rozmawiali o tym, że być może są przyrodni braćmi.

McCady podniósł się, aby nalać sobie większą porcję brandy. Stał przed kominkiem, przez chwilę przyglądał się płomieniom, przechylił głowę do tyłu i jednym haustem wychylił trunek. Odwrócił się, oparł ramionami o obramowanie kominka i zaczął się badawczo przyglądać Clarence'owi. Płomienie odbijały się w jego oczach, płomienie i nic więcej. Clarence bardzo rzadko potrafił odczytać, jakie myśli przepływały za tymi ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami. Czasami podejrzewał, że McCady dyskretnie śmieje się z niego, a to bolało.

- W dalszym ciągu nie chce mi się w to wierzyć, nawet jak cię widzę w tym mundurze - rzekł Clarence. - Nigdy nie wyglądałeś mi na żołnierza.

McCady wykrzywił usta w coś, co nie przeszło w pełny uśmiech.

- Moi zwierzchnicy chętnie zgodziliby się z twoją opinią.

- Jak przypuszczam, już niedługo wyruszysz, aby dołączyć do swojego regimentu, chociaż już się nie nameńczycie w walce,

odkąd starego boneya można ładować odtylcowo. Dokąd cię wyślą? Mam nadzieję, że to będzie gdzieś blisko Londynu.

- Niestety, pięćdziesiąty czwarty regiment nie ma tyle szczęścia. Wysłano nas do Indii Zachodnich.

- Dobry Boże!

Śmiech McCady'ego zabrzmiał dość gorzko.

- Wątpię, czy Bóg dba o tego rodzaju miejsca, dlatego w Indiach będę się czuł jak w domu. Słyszałem, że nie ma tam nic do roboty. Można tylko pograć o wysokie stawki i pocudzołożyć z miejscowymi dziewczętami.

I umrzeć - pomyślał Clarence - na jakąś wielce egzotyczną chorobę tropikalną.

Chodziły słuchy, że na służbie w Indiach Zachodnich żołnierz przeżywał przeciętnie sześć miesięcy. Mimo wszystko podniósł kieliszek brandy w kierunku kuzyna, jak gdyby chciał spełnić toast za sprzyjający los.

- Otoczysz się wianuszkami opalonych dziewczuch, będziesz zabawiał się z nimi w tropikalnym słońcu, potem zapomnisz o okropnej Anglii i parowej lokomocji.

Błysk w ciemnych oczach oznaczał cierpienie, może nawet udrękę, nim po chwili zniknął pod powiekami. McCady opuścił głowę, zerknął na pustą szklanke.

- Zapomnieć o parowej lokomocji - powiedział, ale cicho, jakby do siebie.

Mieszane uczucia ścisnęły Clarence'owi serce. Poczł dziwną euforię. Był skonsternowany? A może chodziło o ulgę? Nie bardzo wiedział dlaczego, zwłaszcza że sam zainwestował poważnie w eksperymenty kuzyna z parą i ruchem, choć w głębi duszy miał nadzieję, że się nie powiodą. Mimo że chyba kochał McCady'ego, wolał widzieć go właśnie takim: pochwyconym w sidła, trochę zrozpaczonym.

Pokonanym.

Tylko że tak naprawdę wątpił, czy można pokonać jego kuzyna. W rozmaitych londyńskich klubach krążyła opowieść o tym, jak na polu bitwy pod Waterloo znaleziono porucznika Trewlany'ego. Był ciężko ranny w udo i bliski śmierci z wyczerpania oraz upływu krwi. Zniesiono go do jednego ze szpitalnych namiotów, gdzie miano poddać go operacji polegającej na odjęciu nogi. Ale kiedy pochylił się nad nim jakiś domorosły chirurg, aby mu włożyć do ust kawałek drewna, chwycił go za gardło i ścisnął - według późniejszej relacji owego chirurga

jak kowalskimi szczypcami. „Jeśli odetniesz mi nogę - warknął McCady - znaję cię, rzeźniku, nawet gdybym musiał pełznąć, i obetnę ci jaja”.

Clarence wzdrygnął się. Sporo prawdy musiało być w tej historii, ponieważ McCady zachował nogę. Poza tym opowiadano też, że pochwa jego rapiera była pełna krwi. Lekarze sądzili z początku, że chodzi o jakąś inną ranę, póki nie zorientowali się, że to wcale nie była jego krew, lecz krew nieprzyjaciół, których zabił. Clarence wzdrygnął się znowu. McCady zawsze był odrobinę szalony - w końcu nosił nazwisko Trewlany - ale nie sposób było sobie wyobrazić, że chłopiec z czasów ich wspólnej nauki szkolnej w Eton zdolny jest aż do takich krwawych wyczynów. Póki nie spojrzano się w te czarne, głęboko osadzone oczy.

- Powiedz mi, kuzynie, czy lubisz - Clarence już miał powiedzieć „zabijać ludzi”, ale w ostatniej chwili rozmyślił się -być żołnierzem.

McCady wzruszył leniwie ramionami.

- Jakie to będzie miało znaczenie, kiedy powiem, że nie? Syn zubożałych lordów ma tylko trzy możliwości wyboru drogi życiowej: polityka, kościół i wojsko. Wolę łamać określone zasady, niż je tworzyć, i na szczęście niebiosa uchroniły mnie przed kościołem.

- Niebiosa uchroniły kościół przed tobą - odrzekł Clarence, potem zaczerwienił się, wbrew sobie zadowolony, że udało mu się rozśmieszyć elokwentnego kuzyna.

McCady odepchnął się od kominka i podszedł do stolika po kolejnego drinka. Clarence chciał mu podpowiedzieć, żeby zwolnił tempo, ale w ostatniej chwili powstrzymał się.

- Nadal myślisz o podróży do Francji tego lata?

Na ustach McCady'ego błysnął cyniczny uśmiech diabła. Clarence nigdy nie potrafił się oprzeć temu uśmiechowi. Rozumiał, w jaki sposób porucznik Trewlany poprowadził swoich ludzi do ataku oznaczającego prawie pewną śmierć. Gdy McCady, uśmiechając się, patrzył w ten sam sposób na niego, i on też był gotów pójść za nim do bram piekła.

- Słyszałeś kiedy o „La Belle Arnie”? - zapytał McCady. - Mam na myśli trójmasztowy szkuner z St. Malo. Na pokładzie ma węgiel i drewno. Ale to dość brzuchata i zuchwała panna,

bo w głębi skrywa mnóstwo brandy całkowicie wolnej od akcyzy. - Jego uśmiech stał się nagle figlarny. - Clarey, nie wybrałbyś się ze mną na kontrabandę? Jeśli masz dość odwagi. Clarence zmusił się do uśmiechu.

- Może.

Grubsze polano wpadło w żar z sykiem i trzaskiem. Clarence spojrzął na kuzyna. McCady stał, opierając nogę na otomanie, profilem do ognia. W kolejnej męskiej pozie. Długie, ciemne włosy opadały mu na czoło niczym jakimś przekłętym bohaterowi Bayrona. Miał rozpięte wszystkie guziki koszuli. Światło od kominka migotało na jego owłosionej piersi. Kobiety na pewno uważały go za fascynującego mężczyznę. Wyglądał na zepsutego i niebezpiecznego.

I pewna ładna, niewinna dziewczyna nie będzie w stanie mu się oprzeć.

Clarence poczuł się nieswojo, gdy sobie przypomniał wyraz zachwytu, jaki dostrzegł w oczach Jessalyn, gdy jej opowiadał o heroicznym czynach kuzyna. Była taka młoda, taka niewinna. Powinien bronić jej przed hulakami pokroju McCady'ego, który bez najmniejszych skrupułów uwiedzie ją, wykorzysta i porzuci. Dokładnie tak samo jak stary hrabia-wykorzystał i porzucił jego matkę. Któż może wiedzieć lepiej, że na urok Trewlanych nie są odporne nawet najbardziej cnotliwe kobiety. Tak, tak, nawet on sam był w stanie uznać się nad swym biednym kuzynem, który dziedziczył jedynie na prawach majoratu. Do majątku był przywiązany od dnia narodzin. Rozpusta i rozwiązłość krążyły razem z krwią w żyłach członków tego rodu. Podlegały dziedziczeniu tak samo jak ciemne włosy i skłonność, by umierać młodo. Przez chwilę Clarence zastanawiał się, czy może być synem starego hrabiego, skoro sam nie został podobnie doświadczony przez los. Ale potem wzruszył ramionami i zignorował problem. Na razie liczyła się tylko Jessalyn. A jego obowiązkiem było ją bronić.

Kiedy spoglądał na ocienioną twarz kuzyna, przysłała mu do głowy myśl, że ocalenie Jessalyn równałoby się ocaleniu ich wszystkich.

Odchrząknął.

- Nie powinieneś być zabierać panny Letty na tę szaloną

przejażdżkę lokomotywą. Dziewczyna jest już na tyle dorosła, że powinna dbać o reputację.

W oczach McCady'ego coś rozbłysło i zgasło, nim Clarence zdołał zorientować się, co to było.

- Niepohamowana panna Letty, same usta, nogi i śmiech brzmiący jak rozstrojony fortepian. - Trewlany wypił mały łyk brandy, przyglądając się surowo Clarence'owi znad brzegu szklanki. - Masz na nią oko, Clarey?!

Clarence poczuł, że występują mu na policzki zdradzieckie wypieki.

- Nie ma nikogo, kto by jej bronił, prócz tej starej kobiety, która, dając słowo, jest obłąkana.

Clarence'owi nie podobało się, gdy McCady wykrzywił wargi w taki sposób.

- Clarey, Clarey... próbujesz mnie ostrzegać. Obawiasz się, że zechcę ją uwieść!

Myślisz, że ona się do tego nadaje?! - Spojrzał w sufit, jak gdyby poważnie rozważał problem. - Tak, chyba się nadaje. Gdyby jednak się nie nadawała, zawsze mógłbym ją zmusić. Mój ojciec zgwałcił kiedyś dziewczkę służebną. Przyglądałem się, jak to robił.

- Dlaczego zawsze opowiadasz tego rodzaju rzeczy?! - zapytał Clarence. Policzki paliły go coraz bardziej. - Być może jesteś dziki, ale nie wierzę, żebyś był z gruntu zły.

- Ujmująca wiara. Ujmująca, choć źle ukierunkowana. - Wyraz rozbawienia złagodził wyraziste linie wokół ust McCady'e-go. - Do licha, Clarey, niech będzie. Niechże ta twoja panna Letty nie obawia się, iż padnie ofiarą moich chuci. W Penzance za jedną gwineę jestem w stanie zaspokoić wszystkie swoje najpierwotniejsze potrzeby - sugestywnie poruszył oczami - jeśli przyjdzie mi ochota... Ale zważ, Clarey, ta mała jest dojrzewającą brzoskwinia i jeśli nie sięgniesz po nią odpowiednio szybko, zrobi to ktoś za ciebie.

Clarence spojrział na kieliszek z brandy, kryjąc gniew, jakim zapłonął, słuchając słów kuzyna. Jessalyn należała wyłącznie do niego i dlatego gotów był zgładzić każdego mężczyznę, który usiłowałby mu ją odebrać. Nieważne, czy ów mężczyzna był mu przyjacielem, kuzynem... czy bratem.

VI

Jessalyn i jej babka wróciły do End Cottage następnego dnia po południu, aby się dowiedzieć o sprawie dość skandalicznej. Okazało się, że kotka Peaches przybierała na wadze przez całą wiosnę i lato, ale nie tylko dlatego, że dobrze jadła.

- Okociła się! - zawołała Jessalyn na widok małych kotków, ledwie większych od myszy, które ssały mleko przy białym brzuchu Peaches. Kotka wydała na świat potomstwo w nocy, wybierając do tego celu miejsce najgorsze z możliwych - ką stajni zajmowanej przez klacz cynamonowej maści o imieniu Rozwaga. Jessalyn odkryła maleństwa, kiedy, tak jak codziennie, poszła usunąć ze stajni nieczystości.

- Była w ciąży, babciu, a my nic o tym nie wiedziałyśmy!

- Panuj nad językiem, moja panno - rzekła lady Letty. - W porządnym towarzystwie nie wypowiada się w ogóle tego rodzaju słów. Jeżeli jeszcze raz usłyszę coś takiego, to przez cały tydzień będziesz czuła smak mydła.

Jessalyn miała ochotę zauważyć, że nie znajdują się w żadnym porządnym towarzystwie, tylko w stajni. Wiedziała jednak z doświadczenia, że gróźb babki nie należało lekceważyć.

- Zastanawiam się nad ich ojcem" - powiedziała w zamian.

- Nad ojcem powiadasz? Ha! - Lady rzuciła mordercze spojrzenie na niefortunna Peaches. - Niechże to będzie dla ciebie lekcja, moja panno. Samice, nieważne do jakiego należą gatunku, zawsze muszą same dźwigać owoc grzechu.

Nawet Peaches, która nie należała do najbardziej inteligentnych kotów, wkrótce spostrzegła, że jej maleństwa mogą być stratowane dużymi kopytami klaczy.

Postanowiła przenieść cały przychówek do kuchni. Ażeby podolać zadaniu, najpierw musiała jakoś poradzić sobie z niebezpieczeństwami podwórza, gdzie czaił się jej stary wróg, rybitwa o czarnym grzbiecie. Obawy były uzasadnione. Wielka rybitwa potrafiła porwać z gniazda nawet małe owieczki, by się nimi pożywić.

Sycząc bez przerwy przez zaciśnięte zęby, Peaches przenosiła po kolei kocięta ze stajni do domu. Jessalyn, uzbrojona w kij, nie odstępowała jej ani na krok.

Słoneczne światło kładło się cętkami na przysłonięte pnączami ściany i odbijało w małych rombów okiennych szyb. Nawet

podczas najgęstszej mgły dom wyglądał pogodnie. Optymistyczny akcent wprowadzał mur z czerwonej cegły z żółtą zaprawą oraz wysokie, zdobione ornamentem kominy. Jessalyn kochała ten dom. Nie przeszkadzało jej wcale, że pokoje były małe i ciemne, że kołatki wyźłobiły w boazeriach mnóstwo korytarzy, a na tapetach widniały plamy wilgoci. Cały okres swojego życia, który spędziła w End Cottage, bez zastrzeżeń gotowa była zachować w pamięci. Nie brakowało jej tutaj ciepła, miłości i poczucia bezpieczeństwa.

Na chwilę powróciły inne, mroczne wspomnienia z domu w Londynie, gdzie były wąskie, zwykle pozasłaniane okna i gdzie czasem panowała intensywna, pełna napięcia cisza. Jej ojciec i matka nigdy na siebie nie krzydzeli, ale mimo wszystko w tamtym mrocznym domu dowiedziała się wszystkiego o gniewie. Zdążyła się dowiedzieć, czym miłość jest, a czym nie jest.

Tego dnia w End Cottage promienie słońca przechodziły przez grube szyby, malując rozmyte, wodniste wzory na kamiennej posadzce kuchni. Właśnie tutaj Jessalyn przebywała najchętniej, głównie z powodu zapachów, które rozchodziły się od kawałków boczku, baraniny i szynki, zwisających z żerdzi w pobliżu pieca. Peaches założyła nowe gniazdo niedaleko ognia na krześle przypominającym ul. Położyła się, aby nakarmić potomstwo. Jessalyn policzyła kocięta. Wcześniej było ich pięć, teraz zaś cztery.

Pełna obaw pobiegła do stajni. Porucznik Trewlany nadszedł akurat w chwili, gdy na czworakach próbowała uratować ostatniego kociaka. Z jakiegoś powodu Peaches opuściła maleństwo, zagrzebawszy je pod warstwą słomy.

Kiedy Jessalyn usłyszała kroki na ubitej ziemi, sądziła, że nadchodzi Beka.

- Jaka dziwna matka z tej Peaches. Opuszcza jedno ze swoich dzieci tylko dlatego, że jest najdrobniejsze.

- Przyznaję, rzecz to okropna. Zwłaszcza że rzeczywiście nie wszyscy jesteśmy okazami męskiego wigoru.

Jessalyn się wyprostowała. Zamrugła, próbując rozróżnić przez zakurzony snop słonecznego światła, który wpadał do wnętrza przez otwarte wrota stajni, majaczącą sylwetkę mężczyzny.

- Witam, panno Letty. Mam przed sobą pannę Letty, prawda? Czy może mam zaszczyt zwracać się do jej młodszego brata?

Poderwała się na nogi i strzepnęła z kolan drobiny słomy. Zaczęła machać dłońmi, jak gdyby mogła w jakiś magiczny sposób natychmiast pozbyć się barchanowej koszuli, sukiennych spodni i wskoczyć w najmodniejszy strój z muślinu w kwieciste wzory. W końcu jakoś się uspokoiła i zaczęła odgarniać do tyłu włosy, które wyszły spod postrzępionej różowej wstążki.

- Co pana tutaj sprowadza? - zapytała ostrym tonem. Była zdenerwowana i podniecona.

Włosy znowu opadły jej na oczy. Sięgnęła do nich, ale McCady odtrącił jej dłoń. Sam umieścił niesforny lok za uchem, potem opuszkami palców przesunął po karku, wodząc powoli przenikliwym wzrokiem po jej twarzy. Powstrzymała drżenie.

Nigdy dotąd nie знаła nikogo, ani kobiety, ani mężczyzny, kto by dotykał jej równie często jak on. W jakiś sposób dotykał jej także wzrokiem. Była ciekawa, czy wobec innych zachowuje się podobnie i czy to wszystko ma jakieś głębsze znaczenie.

- Otwarcie mówiąc, chciałem sprawdzić, czy nie miałabyś ochoty na przejażdżkę - odparł. - I podarować ci to.

- Co to takiego?

Udał, że z największą powagą ogląda przedmiot, który trzyma w ręce.

- Zdaje się, że kapelusz. Tak, zgadza się, to ma kształt i wygląd kapelusza. Chociaż równie dobrze może to być para bryczesów w przebraniu.

Jessalyn chwyciła kapelusik, roześmiała się i jak wachlarzem trzepnęła nim Trewlany'ego w twarz.

- Nie udawaj pomyleńca. Przecież pytam, dlaczego przynosisz mi kapelusz.

- W zamian za tamten, który tak wielkodusznie poświęciłaś ze względu na mnie.

Nie było to nakrycie głowy, które podziwiała na jarmarku, a które jego zdaniem w ogóle do niej nie pasowało. Otrzymała cudowny słomkowy kapelusik, przystrojony bukietem pierwiosnków o dokładnie takiej samej bladożółtej barwie, jaką ma krem cytrynowy, pierwiosnków, które rosły przy zagrodzie dla koni.

Zawiązała pod brodą szeroką satynową wstążkę. Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Jak wyglądam?

- Trzymaj się z dala od kóz. Mogą cię pomylić z przekąską.

Wiedziała, iż nie chciał jej urazić. Po prostu tak się objawiała jego nonszalancja. Mimo wszystko pragnęła, aby jej powiedział, że wygląda ładnie. Nawet jeśli to nie była prawda.

Rozwiązywała kokardę drżącymi palcami. Czuła ściskanie w piersi.

- Przecież nie pojedę w nim na przejażdżkę. Mógłby się tylko ubrudzić.

- Panno Jessalyn! - Do stajni wpadła Beka Poole. W rękę gniotła brzeg fartucha. - Ach, ta Peaches, ułożyła te kociaki na krześle. Niewiele zabrakło, a jeden z nich wpadłby do ognia... - Dostrzegła porucznika i zamilkła. Odwróciwszy szybko głowę, przysłoniła włosami bliznę. Ale nie przeszkadzało jej to wcale spoglądać na niego kątem oka. - To pan jest tym dżentelmenem, co prawie do śmierci doprowadził panienkę Jessalyn jazdą na żelaznym koniu. Mało co strupem na miejscu nie padłam, kiedy się o tym dowiedziałam. Od rozklekotanych nerwów przez całą noc trzymała mnie prostytutka.

- Ma na myśli skolatane nerwy - wyjaśniła Jessalyn. Porucznik Trewlany zaczął patrzeć zezowato, jak większość ludzi, którzy mieli okazję posłuchać Beki.

- Och, te moje rozklekotane nerwy, niech no panienka Jessalyn sama panu powie.

- Beka nie cieszy się dobrym zdrowiem. - Głos Jessalyn brzmiał niewyraźnie, ponieważ dziewczyna znowu była na czworakach i właśnie wchodziła pod stertę siana. Wyszła stamtąd ze źdźbłami trawy sterczącymi z włosów niczym igły z poduszeczki. W rękę trzymała maleńkiego kotka.

- Biedna mała fasolka - powiedziała śpiewnie, wkładając kuleczkę pomarańczowego futerka w otwarte dłonie Beki. - Może będziemy musiały nakarmić go same. Nie wierzę, by Peaches była dobrą matką.

- Ani ja, panienko Jessalyn. Przecież mówiłam już, że jeden o mało co nie wpadł w ogień. Mało co, a byłby zniewieściał.

Ledwie Beka Poole wyszła ze stajni z kotem, pojawił się Sierżant. On również ma widok porucznika stanął nagle w miejscu. Jego grube wargi obwisły, a głowa zapadła się w ramiona jak u żaby. Nad czarnymi jak stary atrament oczami nawet nie drgnęła powieka. Kaleka splunął przez zęby, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jessalyn machnęła za nim ręką.

- Sierżant Major taki już jest. Zgorzkniały jak kiszona kapusta. Nie przepada za ludźmi. Lubi jedynie konie.

Porucznik Trewlany patrzył na puste drzwi zdziwionym wzrokiem.

- Niezłą gromadkę tu macie.

- To dzięki babci. Przygarnia nieudaczników i sieroty w taki sposób, w jaki inni kolekcjonują motyle.

- Czy przykłuwa ich do korkowych tablic?

Odchyliła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem, który wypełnił stajnię radosnym rozedrganym dźwiękiem i powrócił ochryplym echem. Spozrzegła się i przygryzła dolną wargę. Czowała jednocześnie, że Trewlany nie spuszcza wzroku z jej ust.

Zaczął coś mówić, kiedy za jego plecami Nadzieja Lettych głośno zarżała. Odwrócił się i oparł przedramieniem na drzwiczkach do zagrody, aby lepiej się przyjrzeć źrebicy. Jessalyn widziała go jak na dłoni. Nosił tabaczkowy płaszcz i obcisłe skórzane spodnie, wpuszczone w wysokie buty z ostrogami. Jego wygląd tego ranka robił na niej wrażenie.

- Prezentuje się doskonale - powiedział. Uśmiechnął się do konia. W kącikach jego ust pojawiły się głębokie zmarszczki, oczy wydawały się zaspane.

Powinien to robić częściej - pomyślała Jessalyn. Częściej się uśmiechać.

Stała przy jego boku.

- Jej matka, Rozwaga, pochodzi od Latającej Betty, która dwanaście lat temu zwyciężyła w zawodach w Newmarket. Ojciec jest potomkiem Srebrnego Płomienia, który w swoich najlepszych czasach wygrał ponad dwanaście tysięcy funtów dzięki zakładom, do tego zaś dwadzieścia jeden tysięcy galonów czerwonego wina. - Żrebica trąciła ją pyskiem w ramię, domagając się zwykłej porcji pieszczot. Jessalyn dotknęła gwiazdki na jej czole. Opowiedziała o marzeniu babki, by wystawić młodą klacz do ostatniego, decydującego derby. - Dlatego nazwaliśmy ją Nadzieją Lettych.

- A co się dzieje z twoimi rodzicami? - zapytał po chwili.

- Ojciec zmarł, gdy miałam sześć lat. Matka mieszka w Londynie.

Nie widziała matki od czasu, gdy tamta zostawiła ją w End

Cottage. Z początku nie mogła w nocy spać; leżała ze ściśniętym gardłem, obolałym od płynących strumieniami łez, rozmyślając, czy matka kiedykolwiek po nią wróci. Ale ona nie przybywała i już teraz Jessalyn wcale tego nie pragnęła.

- W ogóle rzadko o niej myślę - powiedziała do siebie i rzeczywiście tak było.

Porucznik przyglądał się jak siodła Rozwagę. Nie oferował pomocy, jak gdyby wyczuwał, że Jessalyn dostatecznie zna się na koniach, aby postępować według własnych zasad. Miała specjalne siodło dla kobiet, ale wołała jeździć po męsku, okrakiem na końskim grzbiecie. Nie komentował jej wyboru. Jego własny koń, duży gniadosz z czarną grzywą i czarnym ogonem, stał przywiązany do ogrodzenia. Poza nim nie było na podwórku żadnego żywego stworzenia, jeśli nie liczyć rybitwy, która najwidoczniej nie straciła jeszcze nadziei, że dostanie kotka na obiad.

- Gdzie macie chłopca stajennego? - zapytał Trewlany, gdy mieli już dosiadać koni. Jessalyn zerknęła na okiennice, za którymi babka uciniała sobie drzemkę. Lady Letty nigdy nie zgodziłaby się na jej przejażdżkę z porucznikiem bez eskorty.

Włożyła stopę w strzemiono, on zaś chwycił ją na wysokości bioder i podсадził.

- Nie mamy chłopca stajennego - odparła, sadowiając się w siodle i czując w dalszym ciągu twarde męskie dłonie na swym ciele. To ją niepokoiło, przerażało, a jednocześnie w jakiś tajemniczy, niepojęty sposób było cudowne. - Mamy tylko Sierżanta Majora, ale on jest zajęty.

Jedną ręką nadal obejmował jej łydkę. Nie powinna odczuwać ciepła przez sztywny skórzany but, a jednak...

- Nie możemy jechać bez towarzystwa - powiedział. - Ludzie wezmą nas na języki.

Wiedziała, że jeśli nawet napotkają wyłącznie zające i pard-wy, nazajutrz i tak wszyscy mieszkańcy okolicy będą wiedzieli, że porucznik Trewlany i niesforna wnuczka lady Letty jeździli po wrzosowiskach sam na sam.

- Niechaj sobie mówią, co chcą - odparła. - Kto by przejmował się paplaniną gromady starych, bezużytecznych pleciug?

- Ty. Kiedy zaczną cię potępiać.

Nie podobał się jej rysunek jego ust, bo całej twarzy nadawał

posepny, pełen powagi wyraz. Była ciekawa, jaką krzywdę mu wyrządzono, że odgradzał się od świata zasłoną zgryźliwości.

- Nie jestem pewna, czy mnie słuch nie myli - powiedziała. -Wszak te słowa wyszły z ust założyciela Nikczemnego Stowarzyszenia Przeciwników Nudy i Samozadowolenia. Opuszczasz klub, poruczniku!

Cofnął się.

- Tylko nie mów później, że cię nie ostrzegałem. Patrzyła, jak dosiada konia. Na jego twarzy malował się wyraz

skrajnego znużenia. Oczy, które spoglądały na nią teraz, skrywały mroczne tajemnice. Zbyt wiele widziały te oczy. Należały do jednego z Trewlanych, każdy zaś Trewlany robił swoje i ważył się na czyny niegodziwe, od których przechodziły ciarki. Ostrzegł ją i powinna być przezorna. Nie plotkarek powinna się obawiać, lecz jego.

Wyjechali bok przy boku przez tylną bramę, kierując się w stronę klifów i morza. Na razie nie rozmawiali ze sobą, a ciszę przerywał jedynie stukot kopyt o kamienne podłoże i skrzypienie siodeł.

- Masz wyjątkowego wierzchowca, poruczniku - powiedziała wreszcie, ponieważ nic lepszego nie przychodziło jej do głowy. W rzeczywistości jednak uważała, że jego koń ma słabo rozbudowaną pierś i za wysoko osadzony ogon. Można było przypuszczać, iż nie wytrzymałby zbyt długo szybkiej gonitwy.

McCady spojrział na nią wzrokiem tak przenikliwym, że zaczęła się obawiać, czy nie odkrył, jakie miała zastrzeżenia wobec jego wierzchowca.

- Ten konik służy mi jak najlepiej. A w dodatku ma poważną zaletę: nie kosztował zbyt wiele.

Po tym oświadczeniu cisza trwała znacznie dłużej. Jessalyn przyszło do głowy, że pewnie rybitwa o czarnym grzbiecie ukradła mu język.

- Nie powiedziałeś mi, jak długo jeszcze pozostaniesz w Kornwalii.

- Za trzy tygodnie muszę wejść na statek, aby dołączyć do regimentu w Indiach Zachodnich.

Słońce świeciło jasno niczym wypolerowana cyna. Wyraziste cienie kładły się na wrzosowiskach. Tu i ówdzie widać było surową granitową skałę albo rozbite kamienie. Wiatr niósł smak

morza, słony niczym lzy. Choć było ciepło, Jessalyn zdrząła. Trzy tygodnie... Milczeli. Cisza, zastygła jak jego twarz, ciążyła im bardziej niż dotychczas.

- Wiesz, gdzie jest Claret Pond? - zapytała.

- Oczywiście. Dobry żołnierz zawsze stara się poznać okolicę. Człowiek nigdy nie wie, w jaką pułapkę może wpaść, kiedy się niczego nie spodziewa.

Jessalyn podejrzewała, że jego słowa zawierały jakieś ukryte znaczenie. Może ona była właśnie taką pułapką. Ledwie o tym pomyślała, wypieki wystąpiły na jej policzki... Jak gdyby czytał zdania, które zapisała w zielonym dzienniku.

Ścisnęła boki klaczy, ruszyła kłusem, potem zawróciła w stronę McCady'ego.

- Będę się z tobą ścigać. Stąd do stawu.

Zrównał się z nią stępa. Twarz miał napiętą. Oczy spoglądały surowo. Połyskiwały niczym kawałeczki onyxu.

- Pójdźmy o zakład - powiedział. - Ale nie interesują mnie małe stawki.

- Ale ja mam wszystkiego za ledwie parę szylingów. Babcia i ja straciłyśmy resztę przy stoliku u Tiltwella. Grałyśmy w faraona. - Podjechał tak blisko, że kolanem przesunęła po jego udzie. Pochylił się, a jej brzuch począł drzeć, jakby coś miało się wydarzyć. Palcem w rękawiczce dotknął jej ust.

- Zatem musisz postawić to, na czym ci nie zbywa. - Musnął lekko jej dolną wargę. Skóra rękawiczki była miękka i gładka jak masło. - Pocałunek.

Poczuła w wardze uderzenia własnego serca.

- Co stanie się... jeśli ja wygram? Co otrzymam od ciebie?

- A co byś chciała dostać?

Nie umiała ogarnąć myślami swych pragnień, tym bardziej nie potrafiła ubrać ich w słowa. Kiedy zabrał palec, odniosła wrażenie, że jej usta zostały obnażone.

- Nie mam pojęcia - rzekła.

- Zastanówmy się wspólnie. Jeżeli przegrasz, podarujesz mi całusa. Jeśli wygrasz, będziesz mogła określić wygraną później.

- Nie obawiasz się, że zażadam więcej, niż jesteś w stanie zapłacić?

- Nie martw się o rzeczy niemożliwe. - Wyciągnął z buta

szpicrutę. Wykrzywił usta, uśmiechając się odrobinę złośliwie. -Nigdy dotychczas nie przegrałem zakładu z kobietą.

- Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz, poruczniku. - Chciała go pokonać. I wierzyła, że go pokona. Poprawiła się w siodle i poluźniła wodze. Spojrzała w jego kierunku i uderzyła piętami w boki Rozwagi. - Jazda! - krzyknęła.

Rozwaga, która dawniej nieraz galopowała tą ścieżką na złamanie karku, czuła się pewnie wśród krzewów i luźnych kamieni. Była hodowana z myślą o wyścigach i zostałaby z pewnością doskonałym koniem wyścigowym, gdyby nie miała słabych naczyń krwionośnych, które pękały po intensywnym treningu. Teraz jednak dawała z siebie wszystko i biegła, by zwyciężyć.

Jessalyn wiedziała, że jej przeciwnik także pragnie wygrać. Gniadosz McCady'ego miał przewagę wzrostu i długości kroku. Ale jej zastrzeżenia dotyczące wałacha okazywały się słuszne. Brakowało mu siły.

Wpadli w mały parów, gęsto porośnięty chwastami. Jeżyny i wrzośce czepiały się nóg, lecz prawie tego nie czuła. Pod górę ona i Rozwaga zdołały uzyskać pewną przewagę. Do stawu pozostało może dwieście jardów. Widziała już rozkołysane na wietrze wiązy i malwy, które rosły wokół brzegu. Wcześniej należało pokonać wysoki na trzy stopy kamienny murek. Rozwaga była mistrzynią w skokach.

Ogrodzenie wznosiło się przed nimi. Na wierzchu rosły kwitnące pierwiosnki; żółte płatki drżały w podmuchach wiatru jak skrzydła motyla. Zamierzała wygrać... i naraz ów cel stał się ostatnim, jaki chciała osiągnąć.

Pragnęła tego pocałunku. Mogła go otrzymać tylko wtedy, gdy McCady zażąda wygranej.

Pokierowanie losami wyścigu nie było wcale tak bardzo trudne. Dżokeje robili to dosyć często. Tuż przed ogrodzeniem delikatnie ściągnęła wodze. Rozwaga poczuła w pysku szarpnięcie i nie mogła wyciągnąć głowy. Zamiast czysto pokonać przeszkodę klacz skoczyła niemal z miejsca i spadła twardo na cztery nogi, aż Jessalyn szczęknęły zęby. Gniadosz poszybował nad ogrodzeniem, zyskując co najmniej trzy kroki. Nie potrzebował więcej.

Porucznik Trewlany zszedł już na ziemię i czekał na nią pod najokazalszym z wiązów. Jessalyn podprowadziła Rozwagę do brzegu stawu. Puściła lejce i zsunęła się z siodła.

Uderzył szpicrutą o but. Odgłos wystraszył kawkę, która wyleciała z trzciny, przeraźliwie skrzecząc, a Jessalyn drgnęła. Liście drzewa ocieniały twarz McCady'ego. Jego oczy skrywał cień.

Ruszyła do lustra stawu, ale pochwycił ją za ramię, kiedy przechodziła obok.

Odrzucił szpicrutę, gwałtownie odwrócił Jessalyn do siebie, pchnął ją i przydusił do pnia. Pochylił się. Widziała wyraźnie, jak rozszerzają się jego nozdrza, gdy bierze oddech, widziała zmarszczki w kącikach ust, złote promyki w czarnej głębinie oczu. McCady pachniał koniem, skórą i gniewem.

- Ty mała oszustko! - rzekł.

Zrobiła ruch, aby się od niego uwolnić, lecz napierał na nią zbyt mocno. Jedno jego udo znalazło się między jej nogami. Wzięła głęboki oddech, pełna niepokoju.

- Mówić coś takiego to rzecz wstrętna i niegodziwa. Nie mam pojęcia, o co ci może chodzić.

- Do licha, wiesz diablo dobrze, o co mi chodzi. Celowo przegrałaś i oboje wiemy, dlaczego. Zatem teraz, panno Letty... Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że gdyby jedno z nich chciało odetchnąć, ich usta musiały się dotknąć. - Teraz otrzymasz dokładnie to, na co zasłużyłaś, i prawdopodobnie wcale ci to nie przypadnie do gustu.

Zamierza mnie pocałować - pomyślała.

- Może mi się spodoba... - zaczęła mówić, ale nie zdążyła do końca wyartykułować słów.

Bo już ją całował.

Ustami zmiażdżył jej wargi, aż w końcu musiała je rozchylić. Ogarnęła ją panika. Pisnęła cicho, próbując wykręcić głowę na bok. Bez skutku; trzymały ją silne dłonie. Całował ją coraz mocniej, opanowując jej usta. Musiała przytrzymać się jego płaszcza, aby nie upaść. Miała wrażenie, że w nogach nie ma już kości. Nozdrza wydymały się jej, gdy rozpaczliwie wciągała do płuc powietrze. Traciła zmysły, oszołomiona ostrym zapachem mężczyzny. Była głucha na wszystko poza pulsowaniem własnej krwi. Nie była świadoma niczego, poza faktem, że McCady Trewlany chłonie ją ustami.

Nagle przestał ją całować. Mocniej zacisnął palce wplątane w jej włosy, sprawiając ból. Tak bardzo przybliżył do niej twarz,

że jego wilgotny oddech odbierała niczym podmuch pary wodnej. Usta miała nabrzmiące i gorące. Dotknęła ich językiem i poczuła jego smak.

- Nie jesteś specjalnie miły.

- Nawet przez moment nie chciałem uchodzić za kogoś miłego. - Uwolnił jej włosy. Opuścił dłoń, która zsunęła się po karku i ostatecznie zatrzymała pod jej brodą.

Opuścił kciuka musnął pulsującą wargę. - A pani, panno Letty, całuje, jak gdyby nigdy wcześniej tego nie robiła.

- Właśnie że robiłam.

Roześmiał się. Jessalyn przyszło do głowy, że chyba go nienawidzi.

- To, co robiłaś z Clarence'em w wigilię nocy świętojańskiej, nie było żadnym pocałunkiem.

Miał rację. Tamten przelotny kontakt warg trudno nazwać pocałunkiem. Pocałunek to burzliwe zetknięcie się ust. Pocałunek czuje się w brzuchu. Potem boli cię gardło i ledwie stoisz na nogach. Pocałunek sprawia, że czujesz przerażenie i jednocześnie ogarnia cię rozkosz.

Szarpnęła głową, wtedy puścił ją, cofnął się i pozwolił jej odejść. Szła na chwiejnych nogach w stronę Rozwagi, ledwie świadoma swoich poczynań. Bolały ją usta i czuła się jakoś dziwnie. Jak gdyby była trochę głodna i jednocześnie pusta w środku.

Chciała, aby jej głos zabrzmiał nonszalancko, i osądziła, że nawet jej się to udało.

- Jeśli już skończyłeś tę lekcję, może spróbowałibyśmy ochłodzić konie. Pocałuj się jeszcze.

Przeszli ramię w ramię wysadzonym drzewami brzegiem, prowadząc za sobą konie.

Nazwa stawu, Claret Pond, wzięła się stąd, że strumienie, które go zasilają, niosły dawniej czerwień wina wypłukaną z rud cynku. Ale ponieważ wszystkie kopalnie zostały zamknięte, staw przypominał teraz starą, zmatowiałą cynową miskę.

Chmury kłębiły się nad ich głowami jak latające prześcieradła, lecz wiatr był ciepły.

Pachniało latem: kurzem, suchą trawą, długimi, upalnymi dniami.

Jessalyn czuła na policzkach żar wypieków. Chciała, aby McCady odezwał się pierwszy. Miała nadzieję, iż pocałował ją tak, jak mężczyzna całuje kobietę, której pragnie - namiętnie,

zachłannie, pożądlawie. Odtworzyła w wyobraźni chwilę, gdy ją całował, i wspomnienie to powróciło oparzeliną na jej ustach.

- Wiesz, co myślę? - zapytała, aby położyć kres spokojowi, który dojrzał i ciążył jej coraz bardziej. - Jesteś zdenerwowany tylko dlatego, że ja, kobieta, mogłam cię pokonać. Bez wątplenia już sama świadomość tej jakże okropnej możliwości jest piekącym policzkiem wymierzonym twojej męskiej dumie.

W jednym kąciку jego ust zarysowała się głębsza zmarszczka: cień uśmiechu, który pojawił się na chwilę i zaraz zniknął.

- Otóż to. Moja męska duma rzeczywiście została ostatnio nadszarpnięta. Wszelako zamierzam narazić ją na znacznie większy uszczerbek, przyznając, że trzymasz się w siodle całkiem dobrze. Jak na kobietę.

Znowu zaczął wypowiadać puste słowa, choć podejrzewała, że na swój osobliwy sposób starał się obdarzyć ją komplementem. Jeździła całkiem niezle, ale uważała to za jedyny talent, jakim obdarzyło ją życie.

- Natomiast ja jestem gotowa przyznać, że na lepszym wierzchowcu byłbyś groźnym przeciwnikiem, poruczniku - zakręciła się w miejscu i na jej twarzy rozkwitł olśniewający uśmiech. - Jednak idę o zakład, że nie będziesz w stanie zrobić tego.

- Kolejny zakład? Dziwię się, że jeszcze masz odwagę. Roześmiała się tylko, czuła, iż diabeł porwał ją do tańca.

Oparła się o pień drzewa, ściągnęła buty, potem chwyciła za lejce. Rozwaga podeszła niechętnie, ponieważ rozsmakowała się już w trawie, jaka rosła w tej okolicy. Jessalyn zdjęła siodło i uzdę, po czym mocnym klepnięciem w grzbiet zachęciła klacz do cwału w stronę zielonej murawy i zarośli. Chwyciła za grzywę i sama przebiegła kilka kroków. Odbiła się obunóż, wyrzuciła wysoko prawą nogę i wylądowała płynnie na końskim grzbiecie.

Klasnął w dłonie, ale ona tylko potrząsnęła głową i roześmiała się znowu. To był dopiero początek występu. Cwałowała po okręgu, przyciskając nogi do końskich boków, trzymając się pewnie i z wdziękiem. Odetchnęła głęboko, starając się skoncentrować, poddać płynnemu kołysaniu konia. Usiłowała zapomnieć o mężczyźnie, który ją obserwował. Chciała wyrzucić na nim wrażenie, ale jedynie tym, że się jej powiedzie. Mimo wszystko był tam. Widziała go kątem oka. Jego sylwetka, ciemna

i wysoka na tle żywej zieleni drzew oraz trawy, przypominała jej o pewnym cygańskim chłopcu, z którym spędziła sporo czasu ostatniego lata.

To właśnie tamten chłopiec nauczył ją całego szeregu woltyżerskich sztuczek. Jego tabor zatrzymał się w sosnowym zagajniku niedaleko Mousehole, małej osady rybackiej. Spotykała się z nim prawie codziennie. Pewnego dnia, kiedy prezentował sztuczkę zwaną młynkiem, przypadkowo dotknął jej piersi. Później dotknął jej z rozmysłem i ona mu na to pozwoliła. Wówczas całą noc spędziła na klęczkach, modląc się. Była przekonana, że jej dusza spłonie w ogniu piekielnym, który trawi wszystko. Jeszcze bardziej obawiała się, że nie ominie jej sprawiedliwa doczesna kara chłosty, kiedy o tym śmiertelnym grzechu dowie się babka. Lecz następnego dnia jeszcze chętniej pobiegła do sosnowego zagajnika, spragniona nie tylko kolejnych lekcji konnych akrobacji. Niestety, spotkało ją rozczarowanie: Cyganie zwinęli obóz i odjechali.

Jedną z bardziej efektownych sztuczek, jakich nauczyła się od młodego Cygana, było salto. Jessalyn do końca nie wiedziała, czy się odważy, ponieważ nie ćwiczyła już od wielu tygodni. Ale, jak mawiała lady Letty, jeśli już umierać, to lepiej śmiercią bohatera niż tchórza.

Odepchnąwszy się od kłębu, wyrzuciła nogi do przodu i zatrzymała się kolanami na końskim grzbiecie. Wprostowała się w pozycji klęczącej, rozkładając ręce na boki. Potem, nim mogła ją opuścić odwaga, wyrzuciła do góry uda i stanęła na wyprostowanych nogach. Świadomie rozluźniła kolana, aby neutralizować wstrząsy, jakie powstawały, gdy klacz uderzała kopytami o grunt. Jessalyn stała teraz pionowo na grzbiecie, milę nad ziemią, a przynajmniej tak się jej zdawało. Słyszała w uszach szum wiatru, który przyciskał jej włosy do głowy. Świat wirował. Przed jej oczyma migąły obrazy: szara woda, zielone drzewa, niebieskie niebo i on... on... on... Głęboko odetchnęła, ugięła nogi, podskoczyła wysoko i wykonała w powietrzu pełne salto. Wylądowała na szerokim zadzie klaczy z rękoma wyprostowanymi nad głową w geście triumfu.

Triumfu, który nie trwał zbyt długo.

Kiedy później starała się to sobie wyjaśnić, winą obarczyła

królika, który wykopał zagłębienie dokładnie tam, gdzie trafiła kopytem Rozwaga. Klacz potknęła się, a Jessalyn straciła niepewną równowagę i runęła do tyłu nad końskim grzbietem.

Ale nie to było najgorsze. Rozwaga biegła blisko stawu, głębokiej ziemnej misy. Jessalyn spadła na samą krawędź stromego brzegu i zaczęła się zsuwać. Czepiała się po drodze traw i paproci, ale tylko wrywała wszystko z korzeniami, nieuchronnie zbliżając się do stojącej wody.

Nie krzyknęła - woda była taka chłodna, że ją zatkało. Na krótką chwilę zniknęła pod powierzchnią całkowicie, potem się wynurzyła. Koszula otoczyła ją niczym ławica ryb, pomagając przewyciężyć ciężar namokniętych sukiennych spodni. Wokół bulgotało i na zewnątrz wydobywały się pęcherzyki powietrza. Podziemne źródło sprawiało, że woda w stawie nawet w środku lata była bardzo zimna. Odgarnęła z twarzy mokre kosmyki włosów i wypluła z ust wodę, czując metaliczny, gorzki smak stawu, jak gdyby nadgryzła cynowy kubek. Uderzyła nogami i spojrzała do góry. Trewlany siedział na kamieniu. Opierał łokcie na podciągniętych kolanach. Wydawał się całkiem swobodny i ani trochę nie przejęty tym, że mogła się utopić albo umrzeć z zimna. Gdyby się jeszcze śmiał, nie wybaczyłaby mu tego nigdy.

Nie śmiał się jednak. Ale myśl, żeby trzymać język za zębami, nawet nie zaświtała mu w głowie.

- Ojej, panno Letty, zakład przegrałem, to oczywiste. Za nic w świecie nie zdołałbym tego powtórzyć, a gdybym spróbował, pozbyłbym się nadziei na dożycie wieku Metuszelacha. - Urwał źdźbło trawy i wsunął je między zęby. - Zdaje się, że jest pani przemoczona i zmarznięta, panno Letty.

- Och, zapewniam pana, poruczniku Trewlany, że to działa wzmacniająco na organizm. - Położyła się na plecach i leniwie zatoczyła krąg. Woda była tak zimna, że zdawała się parzyć. Mimo to Jessalyn zmusiła się do kolejnej rundy wokół stawu. Zacisnęła tylko szczęki, żeby jej nie dzwoniły zęby.

Podpłynęła do niego. Staw był głęboki, nawet przy samym brzegu. Każdy miałby trudności ze wspinaczką po stromej skarpie. Trewlany wyszczerzył zęby w pełnym wyższości uśmiechu.

- Jak tam kąpiel? Była miła, panno Letty? W odpowiedzi uśmiechnęła się bezradnie.

- Proszę mi pomóc.

Wstał i wyciągnął dłoń. Chwycili się za ręce. Jessalyn czuła siłę jego uścisku. Ale ona także była silna, od lat ćwiczyła ramiona i nadgarstki podczas konnej jazdy.

Naprężył mięśnie, aby ją wyciągnąć. Ona zaś pociągnęła go do siebie.

Jęknąwszy, przeciął lustro wody, wyrzucając w górę gigantyczny wachlarz wody i skrapiając najwyżej położone liście wiązów.

Próbowała wdrapać się po stromiźnie skarpy, ale ciężkie, przemoknięte spodnie ciągnęły ją z powrotem niczym kotwica. Z tyłu nad powierzchnią wody pojawiła się głowa Trewlany'ego. Porucznik kłął gorzej niż pijany górnik po wyjściu z gospody w sobotnią noc. W końcu udało się jej stanąć pewniej i po chwili pełzła już na czworakach po śliskiej trawie. W tej samej pozycji zatrzymała się, ciężko oddychając.

Woda plusnęła i rozbiła się o brzeg. Głos Trewlany'ego zmienił się, stał się spokojny i raczej nieprzyjemny.

- Moja słodka, miła, subtelna panno Letty... ani chybi będziesz żałować, że w ogóle pojawiłaś się na tym świecie.

Zdobyła się na odwagę, obejrzała przez ramię i... krzyknęła. Rzucił się w jej stronę, przekręcił ją plecy i przykrył własnym ciałem. Uspokoiła się pod nim, oddychając szybko jak osaczone zwierzę, które wie, że zostało schwytane.

Woda spływała małymi strumyczkami z jego włosów po wyraziście zarysowanych policzkach. Pochylił głowę, aż prawie zetknęli się nosami. Oczy miał ciemniejsze niż diabelska otchłań. Powoli przymykał powieki; usta już nie były napięte.

Zamierzał ją pocałować...

Jessalyn wstrzymała oddech, mocniej zabiło jej serce. Jego wargi zbliżyły się o kolejny cal. Rozchyliła usta, które zadrżały pod wpływem czegoś więcej niż tylko westchnienia.

- Ile masz lat? - zapytał, nie zmieniając pozycji.

Z wysiłkiem zdołała sprawić, że słowo jakoś przedarło się przez jej ściśnięte gardło.

- Osiemnaście.

- Nie tylko zwodzisz, ale najzwyczajniej w świecie kłamiesz. - Chwycił ją za szyję, umieszczając kciuki w zagłębieniu poniżej gardła, i lekko zacisnął dłonie. Pod jego palcami czuła

pulsowanie krwi. - Ile masz lat, panno Letty?! I już nigdy nie próbuj mnie okłamywać! Ciężko przełknęła.

- Szesnaście.

- Chryste!

Zsunął się z niej i usiadł. Przez chwilę leżała na plecach, obserwując wędrówkę chmur po niebie. Odwróciła głowę. Siedział przy niej z ręką opartą na podniesionym kolanie. Przyjął swobodną pozę, ale wyczuwało się, że jest spięty, jak gdyby opuszczało go uniesienie. Westchnęła. Stanowił dla niej zagadkę. Podobnie odbierała to, co do niego czuła, ową dziwną mieszaninę obawy i pragnienia. Nigdy nie widziała bardziej przystojnego mężczyzny. Już nie przeszkadzał jej nawet układ jego ust, za bardzo wyrazistych i nadających całej twarzy zbyt surowy wyraz. Przebywanie z nim było jak picie wina, które przyniesiono z chłodnej piwnicy - miało zdecydowany smak i było ożywcze. A przy tym odurzało.

Podparła się na łokciu.

- Szesnastoletnia dziewczyna wcale nie jest aż tak bardzo młoda.

Mocniej zacisnął usta.

- Ależ owszem. Jest.

- Wiele dziewcząt wychodzi za mąż w tym wieku. Gwałtownie odwrócił głowę i przeszył ją rozgorączkowanym wzrokiem.

- Wiele dziewcząt w wieku szesnastu lat wychodzi na ulicę. Kiedy coś cię swędzi, nie musisz się od razu drapać. - Szybkim ruchem, który spostrzegła zbyt późno, chwycił ją za nadgarstek i pociągnął do góry z taką siłą, że aż coś strzeliło jej w karku. Wyrzucał z siebie słowa głosem ochrypłym z wściekłości. - Nie mam żadnych powodów, aby chronić twoją cześć, dziewczyno. Przeciwnie, wszystko przemawia za tym, by cię jej pozbawić. Dlatego idź po rozum do tej swojej rudej głowy i trzymaj się ode mnie z daleka. - Podniósł jej rękę na wysokość twarzy i potrząsnął nią. - Kiedy następnym razem jakiś mężczyzna zechce cię pocałować, wydrap mu ślepią.

Spoglądała w jego oczy - ciemne, dzikie i niebezpieczne. Czuła się sparaliżowana strachem i jakąś dziwną odmianą ekscytacji. McCady Trewlany nie uznawał żadnych zasad. W każdej

chwili stać go było na wszystko. Rozumiała jednak, że właśnie owa nieprzewidywalność czyniła go mężczyzną tak bardzo atrakcyjnym. Słońce skryło się za chmurami. Wiatr chylił trawę ku ziemi i marszczył powierzchnię stawu. Jessalyn poczuła, że wtrząsa nią dreszcz. Puścił jej nadgarstek i wyprostował się. Bezwiednie zaczęła rozcierać ramiona. Podążył wzrokiem za ruchem jej dłoni, potem spojrział wyżej, na usta. W jego oczach, niczym z żaru na wietrze, błysnął niebezpieczny płomień.

- Wracajmy już lepiej - powiedziała, przestraszona tym, co dojrzała w jego twarzy. W drodze do End Cottage szczebiotała bez przerwy. Trewlany niewiele się odzywał, ale nie miała mu tego za złe. Bo kiedy mówił, używał słów odgradzających ich jak mur. Kornwalijski mur z nierównych, ostrych kamieni, porośnięty kłującymi paprociami. W ten sposób zmuszał innych, ażeby trzymali się z daleka. Podejrzewała, że o swoich najgłębszych doznaniach nie mówił w ogóle, nawet ze sobą. Zostawił ją przy bramie do End Cottage bez słowa pożegnania.

Jessalyn wyczyściła Rozwagę i "dała jej trochę owsa. Była zbyt poruszona, żeby od razu wejść do domu. Wybrała się na przechadzkę w stronę klifów. Przyglądała się falom, które uderzały o ciemne skały, białym skrzydłom mew płynących na wietrze. Z całą pewnością przybrzeżne fale huczały głośniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, a powietrze, nasycone słoną wilgocią, nigdy nie wydawało się jej równie łagodne. Pomyślała, że już nigdy nic nie będzie takie samo.

Tego dnia wyjęła spod siennika dziennik i napisała: *Dzisiaj mnie pocałował...*

VII

Nim się do niego wybrała, odczekała trzy dni.

Wiele wysiłku włożyła w to, aby się odpowiednio ubrać. Włożyła kapelusz, który jej podarował, i parę długich, wymyślnych rękawiczek z zielonej skóry. Strój do konnej jazdy był stary

i niemodny, ale innego po prostu nie miała. Został uszyty z wyblakłego różowego kaszmiru, który, jak zapewniała ją babka, znakomicie harmonizował z jej karnacją. Zapinał się na czarne guziki i był ozdobiony koralikami.

Nadjechała do rodowej siedziby hrabiego Caerhaysa od strony plaży. Szare kominy i szczyty ginęły za zasłoną wiązów, jaworów i leszczyny, chociaż stara rezydencja była dość potężna, zbudowana z szarego kamienia, odbarwionego pod wpływem wiatru i soli. W inkrustowanych solą ramach okien nie zachowała się ani jedna szyba, wielu okiennic brakowało, a kilka kołysało się tylko na jednym zawiasie. Suche liście i trawa wirowały przed frontowymi schodami. Odnosiło się wrażenie, że od lat nie postąpiła tu ludzka stopa.

Z tyłu trzasnęły drzwi. Odwróciła się w siodle. Z domku dozorca wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Na jego widok serce zamarło jej w piersi.

- Dzień dobry, poruczniku! - zawołała, uśmiechając się. Gwałtownie podniósł głowę. Zastygł na moment, potem podszedł do niej.

- Do licha, co tutaj robisz? - odezwał się opryskliwie. Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

- Pomyślałam sobie, że może... miałbyś ochotę na przejażdżkę.

- Koń mi okulał. Poza tym jestem zajęty.

Miał na sobie górniczy wełniany surdut i drelichowe spodnie, na ramieniu torbę, a za paskiem mały kilof. Odwrócił się od niej i odszedł ścieżką długim, nierównym krokiem.

Dogoniła go, jadąc kłusem. Kiedy się z nim zrównała, przeszła do stępu. Nie ogolił się tego ranka. Oczy miał przekrwione. Wokół jego ust utworzyły się białe linie.

Trzymał głowę w taki sposób, jak gdyby samo oddychanie sprawiało mu ból.

Wiedziała, co mu dolega. Wyglądał jak Sierżant Major po nocy spędzonej w gospodzie, gdzie upijał się na smutno do nieprzytomności.

Postanowiła traktować go tak samo, jak traktowała Sierżanta Majora, to znaczy ignorować jego humory.

- Dokąd idziesz? - zapytała pogodnie.

Pomyślała, że nie zechce jej odpowiedzieć, ale właśnie wtedy rzekł:

- Do Wheal Patience.

Mówił o wyeksploatowanej kopalni miedzi przy południowej plaży, na samym skraju majątku Caerhaysów.

- Ładny kawałek drogi do przejścia... Spiorunował ją wzrokiem.

- Dla kulawego.

- Dla każdego. Też coś, poruczniku. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego ciągle mi pan przypomina o swoim kalectwie. Chyba żeby wzbudzić we mnie litość. Jeśli tak, to pańskie postępowanie mija się z celem, ponieważ ja nie najlepiej myślę o tego rodzaju demonstracjach.

- Nie rozumiem. - Zatrzymał się i wytrzeszczył na nią oczy, jak gdyby nie dowierzał własnym uszom.

- Jesteś nadąsany. Jak mały chłopiec, który dostał lanie i musi iść spać bez kolacji. Któż jest tym niegodziwym, podłym potworem, który sprawił, że jesteś tak bardzo nieszczęśliwy?

- Tak się akurat składa, że jestem szczęśliwy niczym ryjkowiec w słodkim cieście. Jak giez siedzący na grzbiecie muła. Do diabła, jak nie przymierzając spragniony kocur w domu pełnym kotek. A teraz, jeśli zechcesz mi łaskawie wybaczyć, pożegnaj cię. Mam pilną sprawę do załatwienia. - Ruszył znowu, tym razem sztywniejszym krokiem, starając się, by nie było widać utkania.

Jessalyn skłoniła Rozwagę do szybszego biegu, wyprzedziła McCady'ego i zawróciła, zagradzając ścieżkę. Uśmiechając się szeroko, aby zmienić jego nastawienie, wysunęła stopę ze strzemienia. Wychyliła się i wyciągnęła rękę.

- Zapraszam, poruczniku. Rozwaga nie ma nic przeciwko dźwiganiu dwojga.

- Już ci mówiłem, żebyś trzymała się ode mnie z daleka. Jawne okrucieństwo jego słów tak ją oszołomiło, że bez słowa

trwała w bezruchu. Mocno zmrużyła oczy, pragnąc powstrzymać łzy, które cisnęły się jej do oczu. Chciała ściągnąć wodze, ale przypadkowo chwyciła za uchwyt wędzidla i zatrzymała klacz.

- Nie pomył się w rachubach. Sądzisz, że skoro byłaś łagodnie wychowywana, to ja będę uważał, żeby nie wyrządzić ci krzywdy, że nagle odezwie się we mnie sumienie, którego nigdy wcześniej nie miałem! Jesteś w wielkim błędzie. Podążasz do płomienia. Jeżeli będziesz chciała się mną bawić, jeśli podejdziesz zbyt blisko, oparzysz się.

Spojrzała na jego twarz, równie nieprzeniknioną jak klify za ich plecami. Nie przyjmowała do wiadomości, że rzeczywiście mógł ją skrzywdzić. Nie chciała w to wierzyć.

Jeszcze raz wyciągnęła rękę.

- Ufam ci.

Wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

- Niedobrze. Panno Letty, niechże pani tego nie robi. Nie wolno mi ufać. - Mimo wszystko podał jej dłoń.

Jechali w milczeniu. Jego tors stykał się z jej plecami, dłońmi obejmował ją lekko w pasie. Czowała na karku jego oddech, który zmieniał się w muskające całe jej ciało skrzydełka tysiąca motyli.

Ogarnęła ją fala uniesienia, wobec której poczuła się bezradna, jak gdyby porwały ją prądy Crookneck Cove.

Ziemia wokół Wheal Patience nie była uprawiana. Łąd kończył się tutaj stromizną.

Linii brzegowej nie znaczyły ani zatoczki, ani plaża. Jedynie surowy klif, poryty, osmagany wiatrem niczym twarz rybaka. Tylko gdzieś woda odsłaniała mały skrawek kamienistego brzegu, zasłany girlandami roślin morskich.

Budynek maszynowni stał na skalnym cyplu, u podnóża którego pienily się fale.

Wysoka ceglana wieża wznosiła się na tle zachmurzonego nieba niczym pozostałość zrujnowanej katedry. Z komina nie wydobywał się dym. Wiatr wpadał do środka przez otwory okienne, niosąc upiorne echa z czasów, kiedy kopalnia była czynna: dźwięk dzwonu wzywającego do pracy, stukot parowego silnika pompy, krzyki i śmiechy mężczyzn wychodzących na światło dzienne po dziesięciu godzinach spędzonych w mrocznych trzewiach ziemi.

Podziemne chodniki kopalni Wheal Patience sięgały w głąb kilkanaście metrów poniżej morskiego dna, co potęgowało niezwykłość tego miejsca. Do maszynowni prowadziła jedna jedyna droga: trzeba ją było przebyć pieszo po wąskiej i niebezpiecznej ścieżce. Nawet Jessalyn, która przyzwyczała się do kornwalij-skich klifów, uznała, że przejście nie należy do łatwych. Musiało być trudne zwłaszcza dla ludzi wracających po pracy, gdy było ciemno i wiał silny wiatr.

Urządzenia maszynowni już dawno zostały rozmontowane i sprzedane jako starocia. Wewnątrz nie było nic poza zardzewiałą łopatą i starą, przechyloną taczka. Porucznik Trewlany bezzwłocznie przystąpił do pracy. Odbił spróchniałe deski, które zagradzały wejście do głównego szybu. Ustępowały z przeraźliwym trzaskiem, sypały się drzazgi. Stopy Jessalyn owiało chłodne, zatechłe powietrze. Dziewczyna powstrzymała się, by nie zadygotać. Myśl o zejściu głęboko pod ziemię zawsze napełniała ją strachem.

- Czego tam szukasz? - zapytała. Były to pierwsze słowa, jakie padły od chwili, gdy opuścili rezydencję Caerhaysów.

Nie spieszył się z odpowiedzią. Kiedy podwazał deski żelaznym drągiem, pod skórą jego dłoni poruszały się żyły i ścięgna. Patrzyła na jego ręce jak zahipnotyzowana. Imponowała jej siła dłoni, które niosły pieczęć i... sprawiały ból.

- Dawniej wydobywano tu wyłącznie miedź - rzekł w końcu. - Rozmawiałem z osobami, które kiedyś tu pracowały. Podobno widziały pokłady cyny.

Czuła ciężar w piersiach. Uświadomiła sobie, że z jakiegoś powodu wstrzymuje oddech.

- Jeżeli znajdziesz cynę, to czy ty i twój brat hrabia znowu otworzycie kopalnię?

- Mało prawdopodobne. Rozpoczęcie tego rodzaju przedsięwzięcia wymaga zebrania diabła wielkiego kapitału.

Chciała go zapytać, po co wobec tego tutaj przyjechali. Może górnicze pasje leżały w naturze Kornwalijszczyków. W tej krainie fortuny rodziły się i upadały w zależności od tego, co udało się wydobyć z ziemi albo morza. Kopalnia przez długie lata mogła przynosić bogactwa, a potem nagle okazać się wyeksploatowana. Albo cena rudy spadała poniżej kosztów wydobycia. Nic dziwnego, że udziałowców kopalni zwano ryzykantami.

- Babka miała parę udziałów w tej kopalni - powiedziała. Kopalnię zamknięto zimą, kiedy Jessalyn kończyła dziesięć lat. Jak na Kornwalię zima tamtego roku była szczególna: przez wiele dni utrzymywał się silny mróz i padał śnieg. - Ludzie nie mieli z czego żyć, gdy ją zamknięto. Panował głód - dodała, wspominając głośno. - Wiele rodzin znalazło się na łasce gminy. Kilka musiało odejść do przytułków...

Trewlany przestał się poruszać. Zapatrzył się w czarną otchłań

szybu. W jego oczach, tak samo jak wtedy, gdy jechali lokomotywą, płonął dziwny ogień. Nagle uświadomiła sobie, że kłamie. Był człowiekiem, który lubi hazard. Jeśli natrafi na cynę, nie spocznie, dopóki nie znajdzie sposobu na uruchomienie nowego przedsięwzięcia.

Dotknęła jego szorstkiego policzka. Wcześniej ciągle o tym myślała, tym razem zrobiła to bezwiednie.

- Zależy ci, prawda? Otworzyłbyś kopalnię, gdybyś mógł. Dla Kornwalii, dla ludzi, którzy mieliby pracę...

Chwycił ją za rękę. Spojrzeli na siebie. Jego oczy ożywiły się. Podobnie wyglądał wówczas, kiedy powiedziała, że jego lokomotywa może zmienić świat: patrzył z wyrazem zdumienia i nadziei.

Czuła, że mocno zaciska szczęki, a chwilę później odtrącił jej rękę.

- Nic mnie to wszystko nie obchodzi - oświadczył.

Pochylił się i z wyjął z torby zestaw do szybkiego rozniecania ognia. Zanurzył chloranową zapalkę w wotriolu. Patyczek zajął się ogniem. McCady zapalił świecę z konopnym knotem i za pomocą kawałka porcelanowej glinki przymocował ją z przodu na sztywnym kapeluszu.

- Nie powinieneś schodzić tam samotnie - powiedziała. - To niebezpieczne.

- Jeden z dawnych nadzorców sporządził dla mnie szkic.

- Ale... - Jedną kardynalną zasadę przekazywano Kornwalijczykom z mlekiem matki: nigdy nie schodź na dół samotnie. Jessalyn przygryzła dolną wargę.

Wiedziała, że powinna zaoferować swoje towarzystwo. Z drugiej jednak strony sama myśl o tysiącach ton wody i skał wiszących nad głową sprawiała, iż drżały jej ręce i zimny pot występował na czoło. - Powinam iść z tobą - powiedziała.

Stał pochylony, wyciągając świecę z paczki i wsuwając je do kieszeni.

- Nie - odparł krótko, nie spojrzawszy nawet w jej stronę.

- Ale to niebezpieczne.

Wyprostował się i odwrócił, by zmierzyć ją wzrokiem.

- Znowu bawisz się w siostrę miłosierdzia. Oj, panno Letty, to zaczyna być nudne.

Spojrzała w bok.

- W porządku. Tylko jeśli się zgubisz albo popekają podpory nad twoją upartą głową, wtedy nie spodziewaj się, że nadejdę, aby ci pomóc.

Jego usta ułożyły się w grymas, który miał być prawdopodobnie uśmiechem.

- Nigdy nie liczę na to, że ktoś mi pomoże. Dzięki temu nigdy nie bywam rozczarowany.

Jeszcze raz schylił się po narzędzia, które umieścił za paskiem: ciężkie stalowe dłuto i świder do wiercenia w skale. Nie miał żadnej z cech, które, jak ją uczono, powinny cechować dżentelmena. Obca mu była galanteria i uprzejmość, nie okazywał cienia współczucia.

Na koniec podniósł zwój liny. Jessalyn czuła gniew, ale mimo to nagle uświadomiła sobie, że pragnie przywiązać się do niego tą liną. Nie po to, by go powstrzymać przed zejściem do kopalni. Chciała mieć go na zawsze przy sobie.

Zaczął schodzić po drabinie.

- Powinienem wrócić mniej więcej za godzinę - powiedział. Chwilę później już go nie było: zniknął w czarnej studni.

Przez jakiś czas światelko świecy mrugało do niej niczym żółte oko, aż w końcu zniknęło.

Jessalyn siedziała na skalnej ścieżce, z nogami spuszczoneymi w przepaść. Pod nią rozciągało się posępne, niemrawe morze. Niebo, pokryte płaskimi chmurami, wydawało się twarde i metaliczne. Wiatr wzdychał żałobnie między skałami i paprociami.

Odkąd McCady zszedł do szybu, musiała już upłynąć godzina. Ale powiedział: „mniej więcej”. Przeklinała go za to, że nie był bardziej dokładny, że postąpił jak uparta kapuściana głowa, wybierając się tam samotnie. Potem zaś przeklinała siebie za brak odwagi. Że nie kazała mu zabrać ze sobą siebie.

Myślała o wszelkich możliwych nieszczęściach, jakie mogły go spotkać. Kopalnia była stara. Stemple na pewno popróchniały albo nadgniły. Może któryś z nich ustąpił pod naporem owych tysięcy ton skał i wody, grzebiąc McCady'ego żywcem. A jeśli szkic okazał się niedokładny? Kopalnie były pajęczą siecią ko-

rytarzy i szybów. Łatwo było się zgubić albo stracić orientację w intensywnym mroku podziemia.

Fale uderzały coraz mocniej o klif; nadchodził przyptyw. Kiedy nie pracowały pompy, podczas przyptywu niższe poziomy zatapiała woda. Zatapiała je bardzo szybko. Więcej górników utopiło się, niż zginęło na skutek tąpnięć. Oczami wyobraźni widziała już McCady'ego, jak leży bezradnie, unieruchomiony pod pękniętą belką, podczas gdy wokół podnosi się zimna, ciemna woda, zalewając mu usta, tłumiąc krzyk, odbierając oddech...

Wróciła do maszynowni. Zdjęła kapelusz z pierwiosnkami i zostawiła na parapecie. Nie chciała, aby się pobrudził. Potem zajrzała do szybu. Nic: mrok i pustka niczym najciemniejsza część nocy. Nie mogła się na to odważyć. Po prostu nie mogła.

A jednak musiała.

Zestaw do szybkiego rozniecania ognia zabrał ze sobą, ale zostawił hubkę z krzesiwem i dużo świec. Nie pozostawiła sobie czasu na namysł. Zarzuciła torbę na ramię i trzymając w ręce zapaloną świecę, zaczęła schodzić po drabinie, przymocowanej do pionowej ściany szybu. Czowała, że nogi ma jak z waty. Drabina zdawała się nie mieć końca. Wreszcie Jessalyn dotarła do pierwszego poziomu. Odetchnęła głęboko zatęchłym, wilgotnym powietrzem, takim samym, jakie wypełniało stare krypty w kamiennych kościołach. Kopcząca świeca migotliwym płomieniem oświetlała wilgotne ściany. Belki zabezpieczające wydawały się zdrowe. Kilka razy zawołała na McCady'ego, ale nie usłyszała odpowiedzi. Dopiero teraz, gdy znalazła się tutaj, stwierdziła, że niewiele jest w stanie zdziałać. Odejdźcie od głównego szybu w którąkolwiek stronę groziło zabłądzeniem. Nie przeżywała nic, co przypominałoby jedną z tych przygód, o jakich czytała na stronach książek w błękitnych okładkach. Zamiast szczęśliwie zakończyć dzień była na najlepszej drodze, by wpaść w tarapaty. Wprawdzie wykazała się heroiczną odwagą, ale jednocześnie wiedziała, że postąpiłaby rozsądniej, jadąc do Mousehole, by wzywać na pomoc co najmniej kilku doświadczonych górników.

Postawiła nogę na szczeblu drabiny, gotowa wracać, kiedy coś usłyszała: wołanie tak nikłe jak ciche miauknięcie. Wstrzymała oddech i nadstawiła uszu. Już prawie zdołała przekonać samą siebie, że zadziałała wyłącznie jej wyobraźnia, gdy usły-

szalała to znowu. Tym razem wyraźniej. Wołanie albo raczej krzyk kogoś, kto musiał znieść silny ból.

Od głównego szybu odchodziły trzy tunele. Wydawało się jej, że wołanie dobiegło z najszerzego, i ruszyła w tamtą stronę. Potykała się i ślizgała, pokonując przyzmy odpadów z wyrobiska. Kilka razy przystanąła. Nasłuchiwała, ale nie dobiegał do niej żaden obcy dźwięk. Nie słyszała nic poza głośnym biciem własnego serca.

Wkrótce tunel zaczął się zężać, a jeszcze dalej musiała iść z pochylonymi plecami niczym zgarbiona staruszka. Liczne odnogi były jeszcze węższe, szerokie tylko na tyle, by zmieścić się w nich zgięty wpół człowiek z taczka.

Spodziewała się, że pod ziemią będzie chłodno, w rzeczywistości było dość gorąco. Pociła się. Pod ziemią... Tysiące ton ziemi, skał i morskiej wody napierały na stemple, stare drewno, słabe i najprawdopodobniej nadgniłe....

Przestań - upomniała siebie ostro.

- Poruczniku! - zawołała, a echo przyniosło z powrotem strzępy słowa: - czniku...
iku...

Pomyślała, że jednak powinna wracać na powierzchnię, by wezwać kogoś na pomoc. I w tym samym momencie niespodziewanie droga przed nią zaczęła się poszerzać, by przejść w dużą grootę.

Trzymając świecę nad głową, powoli zatoczyła krąg. Świeca malowała w powietrzu nietrwały wzór. Chybotliwy płomień wydobywał z mroku miejsca po gniazdach cennej rudy i cętkowane żyły w skale. Powietrze pachniało zgnilizną, próchnem i pleśnią. Rozpadlina w kamieniu nabierała wody, zamieniając się w sadzawkę, ciemną i gładką jak szkło butelki.

Znowu usłyszała coś jak miauknięcie. Tym razem dobiegający głos był jeszcze bardziej nikły. Właściwie wcale nie miała pewności, czy go słyszała. Odczekała chwilę, wstrzymując oddech... A jednak!

- Poruczniku! - zawołała, ruszając w kierunku, z którego dobiegł głos.

I wpadła w czarną dziurę.

VIII

Zakręciła się w miejscu, machając rękoma i chwytając powietrze. Biodrami i kolanami uderzyła w ostrą skałę, potem stopami natrafiła na coś drewnianego - drabinę - i zaczęła ześlizgiwać się po szczęblach. Jedną dłonią udało się jej natrafić na poręcz. Chwyciła się jej, powstrzymując spadanie. Gwałtowne szarpnięcie wyrwało jej rękę ze stawu. Wydała z siebie ochrypy krzyk bólu. Posypały się kamienie i ziemia, spadając w mroczną pustkę.

Wisiąca, kołysząc się na jednej ręce, dysząc i szlochając ze strachu. Podczas upadku straciła świecę. Teraz wokół panowały absolutne ciemności. Wpadła do szybu, który prowadził do niższego poziomu, i gdyby nie drabina, może nie ocalałaby życia. Ostrożnie poszukała stopą i odnalazła szczębel. Przeniosła nań ciężar ciała, lecz ustąpił pod nią z trzaskiem. Ześlizgnęła się w dół kilkadziesiąt kolejnych centymetrów, rozrywając rękawiczkę i kalecząc palec. Usłyszała własny, odbity echem, krzyk.

Wisiąca, wdychając cuchnące, gorące powietrze i powstrzymując płacz. Jej ramię przeszywał okropny ból.

Zawołała na pomoc. Jej głos odbił się od ścian groty i opadał, opadał, opadał...

Krzyczała, póki nie ochrypla i nie zabrakło jej powietrza. Miała wrażenie, że wokół żeber ma jakąś obręcz, która zaciska się coraz mocniej, napiera na płuca i powoli ją dusi. Ból ramienia i barku dokuczał tak bardzo, że krzyczała już nawet w myślach. Zaczynały jej drętwieć palce dłoni, którymi trzymała się drabiny. Nie mogła dłużej wisieć w ten sposób. Dusila się, było gorąco... tak gorąco... jak w piekle.

Musiała pomóc sobie sama. Albo zginąć. Rozbijała się jak wahadło, usiłując chwycić za przeciwległą poręcz. Nie trafiła. Spróbowała jeszcze raz. Bez powodzenia. Jeszcze raz. Udało się.

Po uwolnieniu obolałej ręki od ciężaru całego ciała odczuła ulgę tak ogromną, że się rozplakała. Ale pozwoliła sobie tylko na bardzo krótki odpoczynek. Podciągnęła wysoko nogę i postawiła czubek buta na pierwszym szczęblu, jaki znalazła. Lekko nacisnęła i usłyszała kolejny trzask. Wszystkie szczęble były spróchniałe.

Na szczęście boczne poręcze wydawały się dość wytrzymałe.

Sprawdziła, że lewą ręką trzyma się pewnie. Odetchnęła głęboko gorącym, nieświeżym powietrzem, przesunęła prawą dłoń wysoko, jak tylko mogła. Potem podciągnęła się i powtórzyła to samo z lewą ręką. Cał po calu przesuwiała się do góry. Trwało to wieki. Od czasu do czasu zatrzymywała się na odpoczynek. Znowu sprawdzała szczeble, lecz za każdym razem z takim samym skutkiem. Cały czas płakała z bólu. Pomyślała sobie, że przecież może popłakać, ponieważ nikt tego nie widzi.

Zachichotała histerycznie. Czy ktoś mógłby cokolwiek zobaczyć w tej czarnej studni? Na dodatek w przejściu prawie niemożliwym do pokonania. W nieprzeniknionej ciemności. Właściwie dotychczas nie miała wyobrażenia, czym może być prawdziwa ciemność. Nawet w bezksiężycowe noce i przy zamkniętych okiennicach pozostawało trochę światła. Nie przypuszczała, że mrok można odczuwać namacalnie. Przyszło jej do głowy, że gdyby kiedyś dotknął jej szatan, odebrałaby to tak jak tę ciemność: gorącą, intensywną, w najwyższym stopniu niezemską. Zachichotała znowu, przesuwając do góry prawą rękę... i trafiła w powietrze.

Przerażona, cofnęła gwałtownie dłoń, uderzając kostkami

O krawędź groty. Napięcie opuściło ją tak gwałtownie, że czuła się oszołomiona i roztrzęsiona.

Znacznie trudniej jednak było ostatecznie dźwignąć się ponad brzeg szybu niż wcześniej bez szczebli wspiąć się po drabinie. W pewnym momencie nie utrzymała własnego ciężaru, zsunęła się w dół i bardzo musiała się natrudzić, aby powrócić do poprzedniej pozycji. Zaczęła przeklinać. Sklęła Boga, siebie

i Trewlany'ego, tak, zwłaszcza porucznika Trewlany'ego, który za to wszystko odpowiadał i który przecież powinien był zjawić się, aby ją uratować.

W końcu jednak znalazła się w bezpiecznym miejscu na dnie groty. Oddychała ciężko i chrapliwie, obolałe mięśnie kurczyły się i pot zalewał jej oczy. Piekły ją wszystkie otarcia i zadrapania. Leżała spokojnie, póki... nie wróciła jej zdolność myślenia i nie zrozumiała, że niebezpieczeństwo wcale jeszcze nie minęło. W jakiś sposób musiała odnaleźć wyjście z labiryntu kopalni. W panujących dokoła ciemnościach.

Znów usłyszała ten sam niewyraźny krzyk.

Usiadła, badając mrok wyciągniętymi dłońmi. Nie miała

światła ani nadziei, że je odzyska. Torba z hubką, krzesiwem i świecami została na dnie szybu. Musiała poruszać się po omacku na czworakach, starannie sprawdzając, czy na jej drodze nie znajdzie się następny otwór.

Pełzała. Ramieniem ocierała się o ścianę i badała teren przed sobą wyciągniętymi rękami. Wołanie przypominające miauczenie zabrzmiało głośniejsz. Intrygowało ją. W końcu doszła do wniosku, że człowiek nie wydaje takich dźwięków. Może jakieś zwierzę. Małe zwierzę.

Z początku myślała, że zwodzi ją wyobraźnia albo wzrok nie przyzwyczajony do intensywnej ciemności. Nagle przed jej oczami pojawiła się błyszcząca wilgocią skała i zarys drewnianej podpory. Potem uświadomiła sobie, że rzeczywiście widzi przedmioty: ściany, strop tunelu, skały i ziemię, a nawet zardzewiałą głowicę starego kilofa. Wstała i potykając się, ruszyła w stronę źródła światła.

Była to sztolnia, wąskie wyrobisko w ziemi i skale, doprowadzające powietrze albo, znacznie częściej, służące do odprowadzania wody. Akurat ta sztolnia odchodziła ukośnie ku górze niczym rynna w pralni. Zajrzawszy do środka, Jessalyn zobaczyła krąg światła, skrawek pędzonych wiatrem chmur... oraz worek na ziarno, zaczepiony o występ skalny i kołyszący się jak hamak. Worek poruszał się, a ze środka wydobywały się ciche piski i płacz przypominający miauczenie.

Była tam nisza zwana gniazdem, skąd górnicy usunęli rudę. Jessalyn wspięła się na nią i stąd sięgnęła po worek. Pomyślała, że ktoś chciał się pozbyć kociego miotu, wrzucając worek do sztolni. Spadając, worek zatrzymał się, zahaczając o występ. Póki tego nie dotknęła... Potem szybko zorientowała się, że było to niemowlę, ludzki noworodek.

Z trudem wracała po stromej pochyłości na pewniejszy grunt, trzymając na rękach worek i jego delikatną zawartość. Postrzępiony tobołek poruszał się i płakał. Jessalyn rozwiązała go ostrożnie. Dziecko - dziewczynka - było bardzo małe, może kilkudniowe. Oblepione zakrzepłą krwią i płynami porodowymi, płakało cichutko. Ale jednak żyło.

Jessalyn ponownie zawinęła dziecko w worek. Oparła się o chropowatą ścianę tunelu, wdychając głęboko w płuca świeże, słone powietrze.

Usłyszała opryskliwy głos.

- Panno Letty, niech to licho porwie! Odpowiedz wreszcie! Przyłożyła do ust zwinięte dłonie.

- Hop, hop! Poruczniku!

Z góry posypał się grad kamyków. W otworze, przez który przebijało nagle szare światło, pojawiła się głowa McCady'ego. Najwidoczniej wlot sztolni znajdował się tuż poniżej ścieżki na klifie. Tak bardzo ucieszyła się na widok Trewlany'ego, że roześmiała się głośno.

- A więc nareszcie jesteś. Gdzie się podziewałeś?

- Ani przez moment nie chodziło o to, gdzie ja jestem. Gdzie ty byłeś, do licha ciężkiego? Oto jest właściwe pytanie.

Znowu się roześmiała.

- Nie został pan odpowiednio wychowany, poruczniku Trew-lany. Pański wywód jest rodem z rynsztoka, na co pragnę zwrócić pańską uwagę.

- Zgroza, sodoma i gomora.

Zakrztusiła się podczas kolejnego napadu śmiechu.

- Co tam, do diabła, robisz na dole? I przestań chichotać. Nie cierpię chichoczących kobiet.

Być może nagłe odczucie ulgi^o przeżyciu śmiertelnego strachu sprawiło, że czuła się nieco oszołomiona, rozkojarzona i przede wszystkim rozradowana. Spojrzała na jego surowe usta i zapragnęła je pocałować. Opowiadanie całej historii wydało się zbyt nużące, dlatego wzorem wielebnego Troutbecka, który zawsze podobnie traktował biblijne opowieści, skróciła ją do najbardziej interesujących szczegółów.

- Długo nie wracałeś, więc pomyślałam, że musiało ci się przytrafić coś złego - powiedziała. - Zesłam, aby cię poszukać i trochę się zgubiłam.

- Nie można zgubić się trochę. - Poczzerwieniał na twarzy. Bez wątpienia dlatego, że wisiał głową w dół. - Albo zabłądziłeś, albo nie zabłądziłeś. Nie istnieje nic pośredniego. Masz jakiś wrodzony talent przekształcania najprostszycch spraw w prawdziwe katastrofy, czy to kwestia ćwiczeń?

- Nie bądź wstrętny. To niezbyt miłe. Jego twarz zniknęła z otworu sztolni.

- Poruczniku!

- Nie ruszaj się... Nie zmieniaj pozycji nawet o cal. Idę po ciebie.
- Dziękuję, ale...
- Daruj sobie. Popołudnie spędzone na pełzaniu przez ciemne, śluzowate korytarze i na krzyczeniu do bólu gardła zawsze wydawało mi się znakomitą rozrywką.
- Poruczniku, mam dziecko.

Głowa McCady'ego znowu pojawiła się w otworze.

- Do licha, w jaki sposób dziewczica może mieć dziecko? Tylko mi nie mów o niepokalanym poczęciu. W tę historyjkę nikt już po raz drugi nie uwierzy.
- Ja nie mam dziecka, pomyłeńcu! - zawołała. - Ja dziecko znalazłam. Tutaj. Akurat przed chwilą.
- Tak. Nareszcie rozumiem. To wszystko razem zaczyna się jakoś układać. Szukałaś kłopotów i znalazłaś dziecko.

Znowu się roześmiała. Usiadła w niszy i przytuliła dziecko do piersi. Nie trwało długo, a usłyszała głucho echo jego kroków i zobaczyła odblask świecy na kamiennych ścianach.

Ustawił świecę w zagłębieniu i delikatnie odsunął brzeg worka z główki dziecka.

- Nic mu nie jest?
- To ona, poruczniku. Czyżby nie potrafił pan dostrzec różnicy?

W kącikach jego ust pojawił się przelotny uśmiech.

- Nie bardzo. Zwłaszcza od tej strony. - A potem uczynił coś zupełnie nieoczekiwanego. Powiódł kostkami dłoni po łuku szczęki Jessalyn. Nawet w przyćmionym świetle zauważyła, że drżą mu ręce. - Masz podrapaną twarz. Na chwilę spotkały się ich spojrzenia. Potem jego wzrok spoczął na jej ustach. Przesunęła językiem po dolnej wardze, przełknęła ślinę.

- Dzie... dziecku na pewno jest zimno - powiedziała. - Nie ma na sobie nic prócz worka.

Nie była pewna, czy ją słyszał. Płomień świecy odbił się w jednostajnej czerni jego oczu. Twarz przybrała surowy wyraz.

Naraz cofnął się, zrzucił surdut. Wziął dziecko na ręce i okrył je ciepłym wełnianym materiałem. Choć mała płakała rozdzierająco niemal bez przerwy, odkąd Jessalyn ją znalazła, teraz nagle się uspokoiła.

- Lubi cię - powiedziała Jessalyn.

- To uczucie jest wzajemne. Berbec obsiusiał mi cały surdut -odezwał się niskim, nieco ochrypłym głosem, po czym dziecko rozplakało się na nowo.

- Jest chyba głodna. Biedne maleństwo.

- Nie patrz tak na mnie. Nie jestem odpowiednio wyposażony.

Spojrzała na niego. Trzymał dziecko w smukłych, pokrytych bliznami dłoniach. Wydawało się niemożliwe, aby dłonie mężczyzny - tak przerażająco silne - były mimo to tak delikatne. Tak subtelne i zarazem gwałtowne.

- Nie znoszę, kiedy to robisz.

Podniosła wzrok i spostrzegła, że na nią patrzy.

- Co robię?

- Uśmiechasz się, jakbyś wiedziała coś, czego ja nie wiem.

- Sądziłam, że większość mężczyzn blednie ze strachu, kiedy im się podaje dziecko, tymczasem ty je trzymasz, jakbyś miał wieloletnią praktykę... - Zamilkła. O jego ojcu mówiło się, że napłodził sporo bękartów w całej Kornwalii, a on nazywał się Trewlany i był synem Trewlany'ego.

Spoglądał na dziecko, nie na nią, i mówił z charakterystyczną dla siebie nutą kpiny w głosie.

- Jestem przerażony, nie dostrzegasz tego! Niemowlęta oraz powabne dziewice zawsze sprawiały, że trzęsły mi się kolana i kołatało serce.

Chciała się uśmiechnąć, kiedy naraz coś w niej pękło. Coś pękło, oddzieliło się od jej duszy i runęło w czarną studnię, znacznie głębszą niż kopalniany szyb. Twarz porucznika ginęła w cieniu; nie widziała go, nie знаła. Mimo wszystko czuła sercem, że istnieje dla niego miejsce w jej życiu, że potrzebuje go jak ziemi, słońca i powietrza - wszystkiego, co pierwotne, istotne, wieczne. Odczuwała też ogromną obawę, że tej potrzeby nigdy nie zaspokoi.

On niósł dziecko, ona, w oszołomieniu, podążała jego śladem. Miała wrażenie, że nie mieści się we własnej skórze. Przyszło jej do głowy, że gdyby jej dotykał tak często, jak do niej mówił albo na nią patrzył, wybuchłaby, rozpadła się na strzępy jak parowy kocioł. Ścisnęło ją w gardle, piekły oczy, jakby musiała się rozplakać. Albo płakała już zbyt długo.

Wszedł pierwszy po drabinie. Klękając przy krawędzi szybu, przytrzymał jedną ręką dziecko, a drugą wyciągnął w stronę Jessalyn. Podniosła głowę. Musiała zmrużyć powieki w ostrym świetle dnia. Kiedy wychodziła z ciemnego szybu, zmierzył ją wzrokiem.

Wiedziała, że łyzy wyżłobiły ścieżki na powierzchni jej przybrudzonej twarzy.

Włosy miała splątane i wilgotne od potu. Strój do konnej jazdy postrzępił się na łokciach i kolanach, a na wysokości stanika brakowało guzików. Przez rozdarcia w rękawiczkach widać było poranioną skórę dłoni.

- Spadałam - wyjaśniła, gdy nie mogła już dłużej znieść jego milczenia.

Uśmiechnęła się niepewnie. - Jestem trochę oszołomiona, ale poza tym nic mi nie jest.

Zniecierpliwiał się.

- Spadałaś, tak? Na litość boską, wpadłaś... do szybu!

- Tak. - Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Nie wiedziała, dlaczego czuła się tak bardzo zawstydzona. Nic na to nie mogła poradzić, że ilekroć ostatnio coś się jej przytrafiało, on zawsze znajdował się w pobliżu. A ona później czuła się jak kapuściany głąb. Wpatrywał się w nią bez słowa. Domyślała się, że uważa jej zachowanie za bardzo dziecinne.

Spętana Rozwagę zostawili wcześniej na popas między wrzosami. Jessalyn wsunęła czubek buta w strzemiono i już miała usiąść w siodle, kiedy nagle zeskoczyła na ziemię i ruszyła biegiem z powrotem do kopalni.

Kapelusz z pierwiosnkami leżał na parapecie dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiła: żółta plama na tle szarego kamienia. Widok ten sprawił, że zrobiło się jej czegoś żal. Znowu coś wewnątrz niej pękło i oderwało się. Jakby jej serce rozpadło się na kawałeczki. Co się dzieje z człowiekiem - rozważała - który potrzebuje kogoś, ale sam nie jest nikomu potrzebny! Porwała kapelusz i wybiegła z maszynowni. Mogło się zdawać, że ucieka z tego miejsca, a nie ze strachu, który tkwił gdzieś głęboko w niej.

Biegła, starając się jednocześnie zawiązać pod brodą wstążkę. Ale rondo bez przerwy opadało jej na oczy. Zanim dobiegła do McCady'ego, zanosila się śmiechem. Wystarczyło jednak, że spojrzała na jego ściągnięte usta, a natychmiast zamilkła.

- Coś się stało?

- Wsiadaj na tego cholernego konia.

Posłusznie wsiadła. Podał jej dziecko i wskoczył na koński grzbiet za nią. Z tyłu sięgnął po wodze. Odetchnęła i niechcący dotknęła piersią jego ramienia. Na chwilę w ogóle przestała oddychać i zaczęła się ratować, wciągając powietrze urywanymi haustami. Kiedy Rozwaga przeszła w kłus, Jessalyn znowu otarła się o niego i zdrętwiała.

- Co zamierzasz zrobić z dzieckiem? - zapytał. Odbierała przy uchu wilgotne ciepło każdego słowa.

Znowu odetchnęła. Stwardniały jej brodawki, ocierając się niemal boleśnie o bawełniany materiał jego koszuli. Nigdy wcześniej nie działo się z nią nic podobnego. Nawet wówczas, gdy dotknął jej cygański chłopiec. Coś tak bardzo ścisnęło ją w piersi, że nie mogła już tego znieść. Zadygotała, a McCady się odsunął. Żałowała, że się poruszyła.

- Przypuszczam, że to ojciec, to znaczy ojciec Salome Stout, w ten sposób pozbył się dziecka - powiedziała. - Malutka z pewnością jest dzieckiem Salome. W najbliższej okolicy jedynie Salome była w ciąży... w odmiennym stanie. Ludzie mówią, że zrobił jej to marynarz z Falmouth. Na domiar złego nie mogło być mowy o ślubie, ponieważ marynarz już ma żonę. Prawdopodobnie Jacky Stout uznał, że i tak ma dosyć gęb do nakarmienia. Na pewno nie chodzi o wstyd, bo Jacky Stout nie zna wstydu.

Jessalyn miała szczególną awersję do rybaka od momentu, gdy kiedyś zobaczyła, jak przywiązywał cynowy talerz do psiego ogona. Zacisnęła szczęki ze złości na myśl o człowieku, który wrzucił własną wnuczkę do szybu. Nieważne, czy miał coś na usprawiedliwienie.

- Niech no wpadnie mi w ręce ten Jacky Stout. Nie pozbędzie się już nigdy żadnego dziecka. Skieruję na niego gniew boży... Słyszę to prychnięcie, poruczniku. Cóż to za sposób wyrażania wątpliwości!

Czuła na karku, że się uśmiechnął. Zadrzała.

- Zapewniam panią, panno Letty, że dotychczas nigdy w życiu z moich ust nie wydobyło się coś tak prymitywnego jak parsknięcie. A wątpliwości staram się wyrażać w inny sposób. - Teraz ona zachichotała głośno. - Słyszysz teraz, kto tu parska.

Dojechali do Mousehole o zachodzie słońca. Większość chat

zbudowano z łupków i granitu. Stały bezładnie na pochyłości niczym porozrzucane dziecięce klocki, blisko portu, który przypominał kształtem podkowę. Ale uroczo wyglądało to jedynie z oddali. Na nierównych kamieniach starego nadbrzeża leżały porzewiałe kosze na homary, splątane liny, kawałki połamanych pali. Cuchnęło zepsutymi rybami. Słysząc było grzechot i jednostajne uderzenia prasy do cyny. Podczas jazdy minęli tylko starszego mężczyznę, który siedział od frontu na werandzie i cerował żagiel. Podniósł głowę i patrzył na nich, otworzywszy bezzębne usta, jakby w ogóle nie był w stanie ich zamknąć. Jessalyn pokazała na zniszczony dom, w którym mieszkał Jacky Stout z dwiema dorosłymi córkami, Bathshebą i Salome. Była jeszcze Magdalena, ale umarła przed dwoma laty na ospę. Chata Stouta, jak wszystkie w okolicy, miała kamienne schody, które prowadziły na piętro, gdzie mieszkała rodzina. Parter służył do przechowywania sardeli. Każdego roku ryby układało się w rzędach i pozostawiało co najmniej na miesiąc, aby spłynął z nich tłuszcz i krew. Chociaż od zakończenia sezonu upłynęło kilka tygodni, odór rozkładających się ryb był tak silny, że Jessalyn musiała oddychać przez usta. Zbierało się jej na wymioty.

Porucznik Trewlany kopnięciem uprzętnął z drogi stos worków i innych drobiazgów, które blokowały drzwi. Opędziwszy się od chmary komarów, Jessalyn zapukała.

W drzwiach pojawił się mężczyzna o nalanej, tłustej twarzy zeszpeconej wypryskami syfilisu. Jego policzki przypominały zmarznięte liście. Brzuch, potężny niczym beczka na piwo, sterczał pod zabrudzoną rybimi łuskami bluzą, która sięgała po górny brzeg skórzanych, nabijanych ćwiekami butów. Był nie ogolony i lekko pijany.

- Czego chcecie... - zaczął Jacky Stout. Potem szare wężowe oczy spoczęły na poruczniku. Jacky uśmiechnął się służalczo. - Sir?

- Chcemy się zobaczyć z Salome - powiedziała Jessalyn.

- Nie da rady, panno Letty. Za bardzo słabuje, biedaczka. Chciał zamknąć drzwi, ale Jessalyn zdążyła wsunąć stopę za próg.

- Nie próbuj mnie czarować, Jacky Stout. Salome nie jest chora. Właśnie urodziła dziecko. To dziecko.

Wcześniej wzrok Jacky'ego wędrował gdzieś po okolicy, teraz zatrzymał się wreszcie na tłumoczku trzymanym przez Jessalyn.

- Nie może być. Dzieciak Salome zmarł. Zmarł ostatniej nocy. Właściwie urodziła się martwa. Chciałem powiedzieć: urodził się martwy. Chłopiec. Był martwy.

Jessalyn uniosła brwi w udawanym wyrazie zdziwienia.

- Ojej, co za dziwny zbieg okoliczności! Ostatniej nocy dziecko Salome urodziło się martwe, a dzisiaj po południu znalazłam inne dziecko, które ktoś wrzucił do sztolni Wheal Patience jak nikomu niepotrzebny śmieć. Powiadają, że przypadki zdarzają się seriami, słyszał pan o tym, panie Stout! Ciekawa jestem, co powiedzą w magistracie, kiedy się dowiedzą, że na sobotni obiad nie zawsze jada pan kurczaka, lecz czasem także jednego ze wspaniałych bażantów wielmożnego Babbage'a. A co pańskim zdaniem powiedzą na ten ostatni zbieg okoliczności, panie Stout? Za kłusownictwo mogą człowieka wysłać za morze. Podobno mogą go też powiesić. Tak samo jak za usiłowanie zabicia bezbronного niemowlęcia...

Drzwi otworzyły się szeroko i stanęła na progu dziewczyna z grzywą bujnych, splątanych czarnych włosów. Miała na sobie jedynie cienką, postrzępioną koszulę. Patrzyła przez wąskie szparki oczu w poblądłej twarzy.

- Moje dziecko! - krzyknęła, unosząc blade, drżące ramiona. - Odnieśliście moje dziecko. Och, dajcie mi ją. Wyraz nieklamanej radości przez łzy, malujący się na twarzy dziewczyny, na pewno świadczył o tym, że nie mogła mieć niczego wspólnego z pomysłem pozbycia się dziecka. Jessalyn oddała dziecko matce i pomogła jej wejść do środka. Dziewczyna pokuśtykała do nierównego siennika, położyła się i nie przestając szlochać ani zawodzić, ciągle od nowa głaskała niemowlę po policzku.

Spojrzeniem pełnym przerażenia i nienawiści przeszukała izbę, póki nie zatrzymała wzroku na ojcu.

- Powiedziałeś, że umarła.

- To ci się należało, ladacznico, za to, że dałaś się zapylić. A kto teraz będzie to karmić, co? - Jacky Stout rzucił na Jessalyn groźne spojrzenie, potem odwrócił się do niej plecami i łyknął jałowcówki z kamionkowego kubka.

W izbie pachniało rybami i stęchlizną słomianego dachu. Poza siennikiem znajdował się tutaj stół sklecony z materiału wyrzuconego przez morze na brzeg, przy nim zaś stało kilka różnych stołków. W oknie wisiały szmaty. Światło pochodziło od płomienia łożowej świecy, wstawionej w kawałek rzepy, i płonącego nawozu.

Wydłużony cień przy ogniu poruszył się i stał się dziewczyną siedzącą na stołku. Bathsheba Stout podniosła się i podeszła do nich, jak gdyby jej biodra były przykręcone do reszty ciała luźnymi śrubami. Miała pociągłą, nawiedzoną twarz, czarne jak sadza włosy i skośne brązowe oczy. Zdaniem Jessalyn bardziej wyglądała na taką, której przytrafić się może pozamałżeńskie dziecko. Ale najwidoczniej była zbyt doświadczona, aby się na coś takiego narażać.

Niemowlę ssało teraz matczyną pierś. Jessalyn nie mogła od tego oderwać oczu. Piersi Salome były wielkie i pokryte żyłkami niczym melon. Usta dziecka ciągnęły za brązową, wydłużoną brodawkę. Jessalyn była ciekawa, co czuje matka i czy to boli. Spojrzała na jej twarz, która wyrażała jednocześnie strach, udrękę i coś w rodzaju dumy.

- Panienska nie doniesie do magistratu, prawda? Nie powie, co tato chciał mi zrobić, dobrze? Proszę, panienko, nie pozwolę, aby dzieciaka spotkało coś złego. Nie teraz, kiedy panienska wmieszała się w to wszystko. Bez taty Sheba i ja pomrzemy z głodu. Pomrzemy, jeśli nie przyniesie czegoś z połowu. Dla takich jak my nie ma tu żadnej pracy.

Dłoń Jessalyn opadła na ramię dziewczyny. Poczowała przez cienki materiał koszuli wystającą kość.

- Zeszłej niedzieli po wieczornym nabożeństwie pani Trout-beck wspominała przy mnie, że potrzebuje nowej pomywaczki. Mogłabym wspomnieć jej o tobie.

- Och, panienko, panienska zawsze taka dobra - powiedziała Salome, ale z jej oczu nie zniknęła obawa. Mocniej przytuliła dziecko do piersi. - Ale co będzie z tatą?

- Nie pójdę do magistratu - oświadczyła Jessalyn. - Jeżeli obie córki zechcą wspólnie chronić ojca, trudno będzie cokolwiek udowodnić. Lecz musicie obiecać, że jeśli znowu przyjdzie mu do głowy grozić wam albo dziecku, zwróćcie się do mnie.

Bathsheba skorzystała z okazji, że Jessalyn zajmowała się jej

siostrą, i podeszła ukradkiem do porucznika Trewlany'ego. Jej bursztynowe oczy zmierzyły jego całą sylwetkę, po czym spoczęły na twarzy.

- Chyba nie myśli pan o mnie źle. Nic a nic nie miałam wspólnego z wrzuceniem biednego maleństwa do starego szybu. Tak jak siostra myślałam, że umarło.

Porucznik przyjrzał się jej swobodnie i bez pośpiechu.

- Zdaje się, że jakoś szybko doszłaś do siebie po całej tej tragedii.

Jessalyn prychnęła.

Bathsheba przesłała jej złowróźbne spojrzenie, które było zwierciadlanym odbiciem spojrzenia jej ojca, potem odwróciła się do porucznika, słodko się uśmiechając.

- Słyszałam, że mieszka pan w tym wielkim domu sam jak palec i całkiem bez nikogo do pomocy. Mogłabym przyjść zrobić coś do jedzenia, sir. Od czasu do czasu, ma się rozumieć. Przyniosłabym trochę świeżych makreli, gdyby tato coś złowił.

Porucznik zdobył się na jeden ze swych rzadkich, wspaniałych uśmiechów.

- Zawsze przepadałem za rybami.

Jessalyn prychnęła znowu. Tym razem głośniej. Będzie mu prowadziła dom. Och, pewnie, Sheba Stout na pewno znakomicie poprowadzi mu dom. A za dziewięć miesięcy pojawi się kolejny tłumoczek przeznaczony do wrzucenia w szyb.

Mógł sobie stać i flirtować z Bathshebą przez resztę dnia, jeżeli już tak bardzo chciał. Jessalyn miała co innego do roboty. Jeszcze raz ostrzegła Jacky'ego Stouta, który całkowicie ją ignorował, starając się zachować dumę, potem ruszyła do drzwi. Ale porucznik chwycił ją za ramię i powstrzymał.

- Stout! - powiedział głosem, jakim prawdopodobnie wydawał komendy podczas wojskowej parady. - Zechciej łaskawie dostrzegać pannę Letty, kiedy do ciebie mówi.

Jacky Stout drgnął. Odwrócił się z wolna, otarł nadgarstkiem usta.

- Sir! - Gburowatość zniknęła z jego oczu, pozostawiając w nich tylko strach.

- Ilekroć od tej pory panna Letty zechce zwrócić się do ciebie, zdejmiesz czapkę, aby jej okazać należny szacunek. I dobrze sobie zapamiętaj, że cokolwiek zostanie znalezione na ziemi

należącej do Caerhays, należy też do Trewlanych. A my staramy się chronić naszą własność. Na twoim miejscu modliłbym się gorliwie, żeby dzieciak miał długie i bezpieczne życie.

Słyszając te słowa, Jessalyn czuła, że oblewa ją fala gorąca. Nigdy nikt nie zrobił czegoś takiego dla niej. Nikt nigdy nie wystąpił w jej obronie. Przez głowę przemknęła jej myśl, jak by to było, gdyby tak zawsze mogła mieć go przy swoim boku.

Ale na zewnątrz, kiedy miała już dosięść Rozwagi i poczuła na sobie jego ciepłe i silne dłonie, rzekła:

- Bądź tak uprzejmy i zabierz rękę.

Podniósł ją, wsadził na konia, a potem stanął i uśmiechnął się szeroko.

- Czy ta niespodziewana, typowo kobieca demonstracja z twojej strony nie ma przypadkiem jakiegoś związku z panną Bathshebą Stout?

- Straszylesz pióra i puszylesz się jak indor. A ona patrzyła na ciebie jak wygłodniała rybitwa na chwilę przed atakiem.

Nadal się uśmiechał, jeszcze pogodniej.

- Zachowałem ją w pamięci raczej jako dość pulchną, mięsistą gołębicę.

Jessalyn szarpnęła za wodze i skłoniła Rozwagę do ruszenia klusem. Jeżeli myślał nadal zachowywać się w ten sposób, to powinien wracać do domu pieszo. Dogonił ją w zmięczeniu jego śmiech, cichy i chrapliwy jak oddech.

Usłyszała tupot butów o kamienne podłoże. Odwróciła się i niemal krzyknęła, kiedy wskoczył na koński grzbiet tuż za nią niczym tamten młody Cygan. Objął ją w pasie. Jego oddech poruszył włosy na jej karku.

- Panno Letty, niechże pani nie będzie głuptasem.

IX

Jessalyn otworzyła oczy i niewiele brakowało, a zaczęłaby krzyczeć.

Nad chybotliwym płomieniem świecy ujrzała okrągłą jak bułeczka twarz Beki Poole w luźnej czerwonej szlafmicy. Mogło się wydawać, że głowa Beki, oddzielona od ciała, unosi się swobodnie w ciemności.

- Panienska nie śpi?

Jessalyn przekręciła się na brzuch i naciągnęła poduszkę na uszy.

- Śpię, Beko. Jest środek nocy i jestem pogrążona w głębokim śnie.

- Nie pora na żarty, panienko. Nad Crookneck Cove pojawiły się dzisiaj duchy.

Duchy, powiadam panience! Upiory! Tak się przestraszyłam, że o mało co a umarłabym na atak serca. Dziw mnie bierze, bo chyba już powinnam stygnąć od tego strachu, co mnie przeleciał.

Jessalyn odrzuciła poduszkę, usiadła.

- Jesteś pewna, że nie dręczył cię koszmar?

- Właśnie, z samego początku też tak sobie pomyślałam, panienko. Że mam koszmar z powodu tych ciastek, co to je zjadłam wieczorem na kolację i potem zaciążyły mi w brzuchu jak nie przymierzając kamienie. Tak się nacierpiałam przez tę niestrawność. Myślałam, że to tylko we śnie, więc wstałam i podeszłam do okna. Ale potem powiadam do siebie: „Co ty, Beka, przecież masz otwarte oczy. Nic ci się nie śni. Toż widzisz duchy. Prawdziwe, żywe duchy!”

Jessalyn podniosła się, aby to zobaczyć. Noc była mglista... w niektórych miejscach gęsta jak owcza wełna, w innych przejrzysta jak koronkowy welon. Przez dryfujące zasłony białej mgły dostrzegła na klifie przy Crookneck Cove migoczące światełko.

- Widzi panienska, to trupy tak świecą. I niech panienska posłucha! - Beka splunęła na wskazujący palec prawej ręki i nakreśliła znak krzyża między oczami. - O, słyszę, jak zawodzą. Wypowiadają swoje imiona.

- Niczego nie słyszysz, jedynie wiatr. - Czasem fala wyrzucała na brzeg ciała martwych żeglarzy. Często grzebano ich tam, gdzie zostali znalezieni. Ale Jessalyn nie wierzyła ani w duchy, ani w świecące trupy. - Okropna noc. Może jakiś statek wpadł na Diabelską Szczękę.

Na samą myśl, że mógłby to być rozbity statek, kornwalijska krew zaczynała krążyć szybciej w żyłach. Kiedy nadchodziły naprawdę złe czasy, ludzie często modlili się o zdradliwą pogodę, ponieważ rozbity statek był darem od samego Boga, morskim łupem tak pewnym jak ławica ryb. Oczywiście najpierw opatrywano rozbitków.

Lecz pozostałości statku na morskim brzegu

były tak samo dobre jak udane żniwa albo co najmniej niezłe pokłosie. Czym prędzej wsunęła stopy w buty i na nocną koszulę zarzuciła wełniany płaszcz. Przez cały czas Beka nie przestawała opłakiwać jej zguby, która była ponoć nieuchronna, jeśliby odważyła się wyjść w mrok mglistej nocy na spotkanie z upiorami.

Aby oświetlać sobie drogę, Jessalyn zabrała ze sobą kamionkową lampkę wypełnioną tłuszczem z sardeli. W drzwiach Beka wręczyła jej wiedźmowy kamień. Był to krzemień z otworem, przez który przechodził skórzany rzemyk. Kamień podobno skutecznie odstraszał duchy oraz czarownice i był jednym z najcenniejszych przedmiotów należących do poczciwej służącej.

Uśmiechnąwszy się, Jessalyn zawiesiła amulet na szyi.

- Dziękuję, Beko. Oczywiście tylko go pożyczam. Na wszelki wypadek. Mam jeszcze prośbę. Kiedy mnie nie będzie, przygotuj kilka prześcieradeł, podgrzej trochę wody i postaraj się nie zbudzić babci.

Beka klasnęła w dłonie i zachichotała.

- Nic nie pojmuję, panienko. Przecież duchy nie mają ciała. Po co im prześcieradła i gorąca woda?

Chrypliwy śmiech Jessalyn uleciał w mglistą noc.

- Nie dla duchów, Beka. Dla rozbitków, jeśli morze wyrzuciło jakiś wrak.

Sierzanta Majora nie było w jego izbie nad stajnią. Jessalyn miała nadzieję, że nie spędza kolejnej w nocy przy kieliszku w gospodzie. Wszędzie panował spokój, niezrozumiały spokój. Gdyby rzeczywiście chodziło o wrak, byłoby słychać krzyki, nawoływania, tupot stóp na skalnej ścieżce. Płonęłoby ognisko, by ostrzegać inne statki i przywoływać tych rozbitków, którym udało się wydostać na brzeg. Zniknęło nawet małe światełko, które widziała wcześniej.

Przyszło jej do głowy, że może tajemnicze światło ma coś wspólnego z Trewlanym. Nie widziała go prawie od tygodnia, od czasu, gdy znaleźli dziecko Salome Stout. Cierpiała, że tak łatwo znosił rozstanie z nią, podczas gdy jej wydawało się to niemożliwe do wytrzymania.

Nie potrafiła pojąć tej obsesji. Nawet nie była pewna, czy go lubi. Mimo to odczuwała przemożną chęć ciągłego przebywania z nim. Godzinami wspominała razem spędzone chwile

i myślała o tym, co się wydarzy, gdy spotkają się znowu. Co gorsza, zrezygnowała z dumy. Bo kiedy nie zjawiał się z wizytą, wyruszała na wędrówki wzdłuż brzegu i po wrzosowiskach w nadziei, że zejdą się ich drogi. Pewnego dnia zapędziła się aż do domku dozorca. Próbowwała dojrzeć coś przez przybrudzone szyby, nacisnęła nawet klamkę, ale drzwi były zamknięte. Serce biło jej mocno i szybko. Przede wszystkim ze strachu, że ją przyłapie lub, co bardziej odpowiadało prawdzie, że jej nie przyłapie. Dręczył ją ogromny niepokój, czuła pustkę w duszy i ciężar na sercu. Miała wrażenie, że jeśli nie zobaczy się z nim, nie zobaczy się zaraz, za chwilę, wtedy na pewno tego nie przeżyje.

Ale nie zobaczyła go i nie umarła, dlatego pomyślała, że może ta choroba, ta obsesja przeminie. Teraz jej serce i oddech znowu wzbily się w pozaziemski świat radości i niepokoju, kiedy pomyślała, że Trewlany tam będzie, że ujrzy go ponownie.

Tej nocy wzdłuż brzegu mgła była gęsta jak owsianka z grochem. Szponiaste palce spienionej morskiej wody wbijały się w piasek, by po chwili zniknąć. Powietrze było ciężkie i wilgotne; pachniało gnijącymi wodorostami i czymś jeszcze, czymś podejrzanym, jakby...

Krzyk zaczął się formować w jej gardle dokładnie w chwili, gdy ktoś chwycił ją za szyję i szorstkie palce przysłoniły jej usta. Upuściła lampkę, która potoczyła się po piasku, ale nie zgasła. Postrzępiony łuk światła wydobył z mroku brzeg jej czerwonego płaszcza i buty napastnika. Druga ręka ścisnęła Jessalyn tak mocno, że w płucach zabrakło jej powietrza. Dłoń przy jej ustach pachniała intensywnie brandy. Zrobiło się jej niedobrze. Zamachnęła się i uderzyła napastnika łokciem w żołądek. Usłyszawszy satysfakcjonujący jęk, powtórzyła uderzenie.

Poczuła na uchu gorący oddech.

- Na litość boską, masz szpikulce zamiast łokci! Uspokój się, nie zamierzam cię zgwałcić, to się dzieje tylko w twoich snach.

Serce skoczyło Jessalyn do gardła. Przestała się ruszać. Napastnik kopnięciem zasypał lampkę piaskiem i teraz już wszystko pogrążyło się w ciemności.

- Będiesz krzyczała?! - zapytał. - Masz napad melancholii! Puściły ci skołatane nerwy! - Jessalyn potrząsała głową, starając

się wypowiedzieć coś zrozumiałego pod jego dłonią. - Doniesiesz na nas celnikom, odbierzesz nagrodę i zatańczysz pod szubienicą, kiedy na niej zawiśniemy! -

Zaczęła się krztusić ze śmiechu i wreszcie zabrał palce z jej ust.

- McCady Trewlany! - krzyknęła, nabierając powietrza w usta. - Niemal rzuciła mu się w ramiona, ale w samą porę się powstrzymała. Trewlany pochylił się i podniósł coś z piasku. Było zbyt ciemno i nie widziała jego twarzy.

- Niech skonam, jeśli to nie panna Letty we własnej osobie. Można się było spodziewać tego, tak jak o pełnej godzinie wyskakującej z zegara kukulki.

Powinienem był wiedzieć, że się pojawisz. Mamy dość niebezpieczną sytuację. W każdej chwili może zdarzyć się coś złego. Dlatego pewnie w żaden sposób nie mogło zabraknąć tu ciebie.

Metal otarł się o metal i nagle wąski snop światła z trzymanej przez niego ślepej latarni przebił się przez mgłę. Trewlany przysłonił szybkę, następnie odsłonił ją. Na chwilę w białych kłębach mgły zrobiła się przerwa niczym dziura wydarta w zasłonie. Jessalyn wydawało się, że na wysokości cypla dostrzega flotyllę długich łodzi i czworokątne żagle lugrów.

- Zajmujecie się kontrabandą!

- A ja myślałem, że urządzamy jedynie nocny piknik na plaży. - Wybuchnął śmiechem, chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą w dół klifu. Wydawał się dziwnie podekscytowany. Zaraźliwie. Jej serce ruszyło do lekkiego, szybkiego tańca.

-Dlaczego nie powiedziałaś mi, że bierzesz udział w kontrabandzie?

- Z tego samego powodu, dla którego nie dałem ogłoszenia w „Timesie”. Poza tym mówmy raczej o wolnym handlu. Kontrabanda kojarzy się z postępowaniem niegodziwym i sprzecznym z prawem, z magistratem i karnymi koloniami.

Kiedy podeszli do klifu, Jessalyn usłyszała odgłosy kroków na kamiennym podłożu i szmer głosów. Mgła znowu się przprzedziła i ze zdumieniem dostrzegła duży otwór w postrzępionej skalnej ścianie, gdzie nigdy wcześniej go nie było. Potężny głaz był odsunięty na bok. Prawie codziennie chodziła tą plażą i nie wiedziała o istnieniu grotu.

Puścił ją i moment później, już z ciemności, dobiegł do niej jego głos.

- Poczekaj tu i postaraj się nie ściągać na siebie ani na nas żadnych kłopotów, choćby pokusa okazała się nie wiem jak silna.

Jessalyn nie spodobała się ta uwaga i była gotowa odpowiedzieć mu podobnie, ale jego kroki już cichły w oddali. Podniosła głowę, starając się wzrokiem przeniknąć mgłę. W tym miejscu pochyłość nie była jednolicie stroma. Do plaży prowadziły nierówne kamienne stopnie, które przypominały klocki do układania dla dzieci. Trewlany kazał jej czekać, ale przecież nie wspominał, że ma nie zaglądać do jaskini.

Zebrawszy poły płaszcz, zaczęła się wspinać po skałach, póki wejście do groty nie znalazło się na wysokości jej oczu. Wewnątrz znajdowało się pomieszczenie wielkości saloniku, oświetlone przygaszonym światłem latarni smołowej. Dwaj mężczyźni z gąsiorkami brandy pod pachami zniknęli w wąskim przejściu, które niewątpliwie prowadziło do magazynów rybnych Mousehole albo, co bardziej prawdopodobne, do piwnic pod rezydencją Caerhaysów. Dwaj inni mężczyźni kręcili się bliżej wyjścia. Jeden z nich odwrócił się i Jessalyn rozpoznała dziobatą twarz Jacky'ego Stouta.

- Podaj światło - mruknął. - Ciemno tu jak w worku. Drugi mężczyzna podniósł latarnię. On również odwrócił się

i przymglony płomień rozjaśniał w jego włosach niczym złoty suweren.

- Jessalyn! - zawołał. - Do diaska, co tutaj robisz? Dziewczyna cofnęła się o krok, bardziej wstrząśnięta tym, że

spotkała tu Clarence'a Tiltwella, niż jego niegrzecznym powitaniem. Kwestia, dlaczego porucznik Trewlany uczestniczył w przemyśle brandy, była całkowicie zrozumiała: potrzebował pieniędzy, a ponadto uwielbiał hazard. Clarence, by zdecydować się na coś takiego, potrzebował zachęty. Ewentualne korzyści z procederu nie mogły mieć dla niego większego znaczenia. Udział w zysku z wyprawy do Francji równał się mniej więcej otrzymywanej od ojca jego miesięcznej pensji.

Clarence zeskoczył do niej. Chwycił ją za ramię, odciągnął od groty i niemal powlókł z powrotem na plażę. Miał ściągnięte usta i drżała mu prawa powieka. Naraz uświadomiła sobie, że

jeżeli widzi jego twarz tak wyraźnie, to na pewno mgła zaczęła się rozpraszać. Trzymał ją coraz mocniej, jego zaciśnięte palce sprawiały jej ból.

- Musisz w tej chwili wracać do End Cottage...

- Celnicy, proszę pana! Idą tu!

Jakiś mężczyzna pędził co sił w nogach skalistą ścieżką, trzymając w ręce latarnię. Z drugiej strony łopotał na wietrze pusty rękaw. Porucznik Trewlany wyłonił się zza jednej z diun i przeciął mu drogę. Jessalyn ze zdumieniem stwierdziła, że mężczyzna z latarnią to Sierżant Major, który, jak sądziła, nigdy nie interesował się niczym ani nikim poza końmi. Ze zdumieniem przyglądała się, jak porucznik Trewlany i Walińczyk prowadzą przyciszonymi głosami rozmowę polegającą na wymianie kilku długich i zawitych zdań.

Clarence poruszył się w miejscu. W poszarpanej mgłę jego twarz była trupio blada.

- Co za pieskie szczęście, że akurat tej nocy patrolują nasz odcinek nabrzeża! - powiedział przez ściśnięte gardło.

- Szczęście nie ma z tym niczego wspólnego - odparł porucznik Trewlany, zmierzając w ich stronę. - Clarey, przeprowadź ostatni transport przez tunel i zastaw wejście. Ja postaram się zatrzymać patrol i zajmę się nim tak, że zyskasz czas na zabezpieczenie ładunku.

Wziął Jessalyn pod ramię i poprowadził wzdłuż plaży. Zaczynała się czuć jak pies na smyczy, ciągnany to tu, to tam. Spodziewała się, że rano znajdzie na ciele mnóstwo siniaków.

- Przecież to był Sierżant Major - rzekła, dysząc nieco, ponieważ porucznik szedł szybko, mimo że bardzo utykał. - Rozmawiałeś z Sierżantem Majorem.

- Ten człowiek nie jest głuchy.

- Wiem, że słyszy, ale przecież on mówił. - Zatrzymał się przed stosem wyrzuconego na brzeg drewna, osłoniętym od wiatru rumowiskiem skalnym i diuną porośniętą wysoką trawą. Z kieszeni niedbale rozpiętego płaszcza wyciągnął butelkę i polał cieżką drewno. Ostry zapach brandy zaczął drażnić nozdrza Jessalyn.

- Co za... - zaczęła, kiedy pociągnął ją na porośniętą trawą kamień. Na głowę nasunął jej kaptur płaszcza. Przesunęła nakrycie głowy nieco do tyłu. - Co robisz?

- Po prostu siedź i pamiętaj: choćby nie wiem co się zdarzyło, nie pokazuj twarzy. Jessalyn usłyszała odgłos uderzenia krzesiwa o krzemień i po chwili drewno stanęło w lekko błękitnym ogniu. Zamknęła oczy, nagle oślepiła. Usiadł na kamieniu tuż przy niej. Pochyliła się w stronę ognia, otaczając rękoma podciągnięte pod brodę kolana.

- Uważasz, że to sprawka jakiegoś informatora? - Postawiłaby wszystkie pieniądze na Jacky'ego Stouta.

- Trzymaj język za zębami, dziewczyno.

- Kto nim jest, to znaczy tym informatorem? Jak sądzisz?

- Jeśli natychmiast nie zamkniesz ust, sam ci je zamknę. Zamilkła. Ogień syczał i prychał jak kot, morze szeptało

wzdłuż piaszczystego brzegu. Zerknęła ukradkiem na Trewla-ny'ego. Płomienie odbijały się czerwienią w jego wilgotnych włosach i nadawały połysk wystającym policzkom, pograżając w głębokim cieniu zagłębienia. Wyglądał jak przybyły prosto z piekła diabeł.

Krzyki odbiły się echem od skał i światła latarni pojawiły się na górze niczym robaczki świętojańskie. Na skalnej ścieżce zagrzechotały kamyki i potoczyły się w dół.

- Idą tutaj - powiedział cicho. - Jesteśmy dwojgiem kochanków, którzy cieszą się nocą i sobą. Nie zwracaj uwagi na to, co zrobię. Trzymaj język za zębami i nie pokazuj twarzy.

Strażnicy celni nadchodzili. Słyszała, jak podeszwy ich butów gniotą piasek.

Światła latarni przebijały rzednącą mgłę.

- Dlaczego nie miałbyś zdradzić mi swoich planów? - szepnęła. - Na pewno byłoby mi łatwiej...

Odwrócił się do niej. Złowiła jeszcze wzrokiem iskierki migoczące w jego oczach, nim po chwili znalazł się na niej i opadł wargami na jej wargi.

Miażdżył je i ssał, wypełniając jej usta swoim oddechem i zapachem brandy.

Palcami wpiła się w jego plecy, aby go zatrzymać przy sobie, zatrzymać... Wsunął język między jej rozchylone wargi. Wielkie nieba, jego język znalazł się w jej ustach. Myśl o tym, doskonała intymność ich połączenia rozbudziły w niej pożądanie, które eksplodowało, zaczęło ją trawić tak szybko jak ogień wyrzucone z morza drewno, oblane alkoholem i podpalone. Pojękując, wygięła ciało w łuk.

Zapra gnęła stopić się z nim w jedno, jakoś ugasić to rozżarzone, jakże roz-

żarzone miejsce w okolicach brzucha. Język McCady'ego poruszył się w jej ustach, przesuwał po ich wewnętrznej stronie, jakby badał smak. Żar wzrastał i roztopiał ją od środka.

- Podnieś się, tylko spokojnie i naturalnie.

Jego wargi uwolniły ją, ale powoli, powracając jeszcze kilkoma muśnięciami. Na jego policzkach pojawiły się wypieki. Nim się odwrócił, dostrzegła też, jak szaleńczo pulsuje krew w napiętych żyłach jego szyi. Wstał, pociągając ją za sobą, potem sam przesunął się do przodu. Bolały ją wszystkie mięśnie, czuła się ocieźłała. Bezwiednie przycisnęła złożone dłonie do piersi, pragnąc zatrzymać serce, aby z niej nie wyskoczyło.

Stała przed nimi grupka mężczyzn ubranych w nieprzemakalne płaszcze i buty rybackie. Jeden z nich oddzielił się od pozostałych i postąpił krok naprzód. Za pasem zatknął parę pistoletów. W sponiewieranej twarzy tkwił nos jak motyka. Był jednym z dwóch mężczyzn, którzy w noc świętojańską dotrzymywali porucznikowi Trewlany'emu towarzystwa przy kieliszku.

- Pan porucznik! - powiedział celnik ze zdziwieniem. - Co pan porabia pod gołym niebem w taką noc jak ta?

- Miło spędzam czas z moją dziewczyną - odrzekł McCady lekko ochryłym głosem, jak gdyby jeszcze z trudem łapał oddech.

- Pogoda nie bardzo temu sprzyja, jeśli wolno mi zauważyć, sir. Lepiej siedziałoby się w domu przy ogniu.

- Nam wystarcza ten ogień. Jej ojciec nie bardzo za mną przepada. Poza tym dziewczyna ma wielu braci. - Wzdrygnął się. - Nie są specjalnie mili, do tego mają potężne mięśnie i wielkie pięści.

Celnik chciał rzucić okiem na Jessalyn, ale Trewlany przesunął się, stając mu na drodze. Jessalyn dokładniej zasłoniła twarz kapturem.

- Nie widział pan przypadkiem jakiegoś lugra, sir?

- No cóż, byłem nieco zajęty, sami rozumiecie. - Posłał im uśmiech typu: między nami mężczyznami, na który odpowiedzieli lubieżnymi spojrzeniami. - Ale bardzo wątpię, abym nie dostrzegł statku wpływającego do zatoki, nawet podczas mgły.

Celnik podrapał się potężną dłonią po policzku.

- No pewnie, sir. No pewnie. Trudno byłoby nie zauważyć,

jak z dwudziestu barkasów znosi się na ląd tysiące galonów brandy.

- Nie widziałem więcej brandy poza tą, którą zabrałem ze sobą dla odpędzenia chłodu. - Uśmiechając się czarująco, wyciągnął z kieszeni małą butelkę. - Choć nie mogę dać głowy za to, że zapłacono za nią cło, bo pochodzi z piwnic mojego brata.

- Zechciałby nam pan pokazać te piwnice... sir. Nie wahał się długo. Wzruszył leniwie ramionami.

- Jeżeli to konieczne. Ale najpierw muszę odprowadzić do domu tę oto damę. Poczekajcie na mnie przy bramie rezydencji Caerhays.

- Ach, naturalnie. Tak właśnie uczynimy, sir. Może pan być pewien, sir. Na schodach od frontu Caerhays.

- Dobry Boże, coś ty wymyślił? - zapytała Jessalyn głośnym szeptem, gdy tylko strażnicy zniknęli z zasięgu wzroku na skalnej ścieżce. - Nie możesz im pozwolić na przeszukanie rezydencji. Przecież znajdą...

Musnął palcem jej wargi, nadal opuchnięte i obolałe od pocałunków.

- Szsz... Nie znajdą zbyt wiele. Najlepsze trunki od dawna są już wypite.

- Potem przeszukają wszystkie piwnice w Mousehole i...

- I niczego nie znajdą, poza rybami. - Wyciągnął do niej rękę dokładnie w tej samej chwili, kiedy postąpiła krok w jego stronę. Połą płaszcz zaczęła o skalny występ, dlatego choć zamierzał chwycić ją za ramię, jego dłoń zamknęła się wokół jej piersi. Miała na sobie jedynie nocną koszulę z luźno plecionego materiału. Cienkie płótno nasiąknęło wilgocią i przywierało do skóry. Nabrzmiała pierś w jednej chwili stała się napięta. Brodawka stwardniała i zaczęła sterczeć między jego palcami.

Zastygł bez ruchu.

Na plecach czuła ciepło ogniska. Wilgotne morskie powietrze pieściło jej twarz.

Pierś w miejscu, gdzie dotykał, płonęła, płonęła... Wpatrywał się w nią, w twardą brodawkę, która sterczała między jego palcami. Jego oczy stały się dwoma czarnymi stawami, w których odbijały się wyłącznie płomienie. Wyglądał na rozgorączkowanego, jak gdyby miał skórę zbyt mocno naciąg-

niętą na wystających kościach policzkowych. Nozdrza rozdy-mały mu się jak u spłoszonego ogiera.

Przechyliła się ku niemu, aby czuć jego żar, podsunąć zmysłom jego gorący zapach. Palce wokół brodawki poruszyły się. Jessalyn jęknęła, porażona ekstatyczną, graniczącą z bólem rozkoszą. Nie zastanawiała się nad słowami.

- Pocałuj mnie.

- Nie - odparł, oddychając głęboko. Zabrał rękę, jakby się nagle sparzył.

Zakłuło ją serce. Rozczarowanie ścisnęło jej gardło.

- Dlaczego nie? - zapytała.

- Ponieważ jesteś na to zbyt młoda - odparł, wzdychając głęboko.

- Całowałaś mnie przed chwilą, aby oszukać strażników. -Ułożyła do uśmiechu drżące usta. - Od tamtej chwili postarzałam się o całe pięć minut.

- Nie chcę cię całować, zrozum, do licha ciężkiego! Rozlała się w niej potężna fala cierpienia. Zakreśliła się niemal

w miejscu i postąpiła niepewnie dwa kroki w przód po głębokim piasku.

- A niech to wszyscy diabli! - Jedną ręką chwycił jej płaszcz, drugą ujął ją w tali, odwrócił i przysunął do siebie. Ujawszy jej rękę za nadgarstek, przycisnął ją do przodu swych skórzanych bryczesów. - Czujesz to? Czujesz? Nieważne, że jesteś dziewicą, bo przecież, na miłość boską, mieszkasz na farmie, gdzie hoduje się konie. Na pewno przyglądałaś się, jak ogier kryje klacz. Wiesz cholernie dobrze, co to oznacza, kiedy mężczyźni twardnieją z powodu kobiety. Gdybym cię pocałował i przydarzyło mi się coś takiego jak teraz, nie minęłaby chwila, a leżałabyś plecami na piasku z tym swoim cholernym, bezużytecznym drobiazgiem przeciętym dokładnie w połowie. A potem, na Boga, wiele przyszłoby zapłacić. Nam obojgu.

Rzeczywiście, pod palcami czuła coś sztywnego i twardego. Żywe, pulsujące pożądanie.

- Chryste! - Odskoczył tak gwałtownie, że niewiele brakowało, aby się przewróciła.

- Czy gdybym nie była dziewicą... czy wówczas chciałbyś mnie pocałować?

Przeczesał palcami włosy i odchylił do tyłu głowę. Zacisnął

powieki. Dreszcze przebiegały po nim, jak gdyby miał wysoką gorączkę.

- Nie stawiaj takich niestosownych pytań - rzekł.

To jej nie zraziło. Musiała się do niego zbliżyć, znaleźć w jego objęciach.

Wystarczyło zrobić krok, by jej ciało znowu się zetknęło z nim, i czym prędzej pokonała tę odległość. Rozchyliwszy poły surduta, oparła dłonie na jego torsie.

McCady oddychał szybko, jego pierś to unosiła się, to opadała.

- Proszę - powiedziała. - Przestań uważać mnie za dziecko. Nie...

- Ale ty przecież jesteś dzieckiem! - Odepchnął ją. Jednak po chwili, usłyszawszy jej rozdzierający jęk, przyciągnął ją do siebie znowu i porwał w ramiona. - Ech tam, do licha, chodź tutaj, ty zgago.

Szloch uwiązał jej w gardle, coraz bardziej narastał, jakby już się miała udławić, i wreszcie wydobył się z niej falą spazmów.

- Ja tylko poprosiłam, abys mnie pocałował. Nawet nie pomyślałam, nie chciałam, nie...

- Wiem. Już dobrze. - Tulił ją do siebie, kiedy płakała i chociaż tego nie czuła, pochylił się i pocałował jej włosy. W końcu uspokoiła się na tyle, że tylko lekko drżała i co jakiś czas czkała.

- Przestałaś wreszcie buzczeć na niojej piersi? - zapytał. Skinęła głową, ocierając się czołem o jego ramię. Bolało ją gardło i piekły oczy. Cierpienie opuściło ją, ale pozostał wstyd. Opuściła głowę, wciągnęła do płuc powietrze i zaczęła wycierać oczy koronkowym mankietem nocnej koszuli.

- Zostaw. Nie rób tego rękawem, na miłość boską! Widzę, że nie masz pojęcia, jak się stosownie zachować w takiej sytuacji. - Wcisnął jej do ręki chusteczkę z delikatnej indyjskiej bawełny. - Trzymaj. Skorzystaj z tego.

Przycisnęła chusteczkę do ust, aby powstrzymać następny wybuch szlochu. Oparła głowę na jego ramieniu. Nadal ją trzymał. Jedną dłonią bładził w jej włosach, drugą przyciskał w talii. Czy mogło być coś wspanialszego od tej chwili, gdy znajdowała się w jego ramionach, czuła cudowne ciepło i siłę... Wtuliła się w niego, wciągnęła powietrze przy ciepłej skórze jego szyi, czując smak soli, dymu i brandy. I zapach mężczyzny... zapach, który należał wyłącznie do niego. Zapra gnęła chłonać ów zapach wszystkimi porami swojego ciała.

Musnęła ustami tętniące miejsce na jego karku. Wyraźne pulsowanie przyspieszyło i tak szybki bieg jej własnej krwi. McCady zacisnął palce w rudych włosach i skierował jej głowę ku górze. Gdy zatrzymał wzrok na jej ustach, oczy rozbłysły mu niczym eksplodujące słońca. Tulila się do niego, stapiała z nim. Pochylił głowę. Na ustach wyczuwała jego oddech...

- Jessalyn!

Rozdzielili się powoli, jak obudzeni z odrętwienia. Na samej granicy światła i cienia stał Clarence Tiltwell. Był wstrząśnięty, oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia. Wzdrygnął się i ruszył długim krokiem po piasku. Chwycił Jessalyn za ramię i odciągnął ją od Trewlany'ego. Przeszył kuzyna morderczym spojrzeniem i zacisnął szczęki.

- Ty bękarcie - rzucił Clarence przez zęby.

Drgnął kącik ust Trewlany'ego, co mogło być wyrazem żalu.

- Wiem. Uważasz, że powinno się mnie pogrzebać na rozstaju dróg z kołkiem wbitym w serce.

- Ty cholerny bękarcie!

Porucznik Trewlany spojrział w oczy Jessalyn, lecz jego myśli i uczucia były już dla niej niedostępne. Nie wiedziała, czego chciał. Nie wiedziała, co mogłaby uczynić, by jej pragnął.

- Zabieram ją do domu - oświadczył Clarence.

- Dobrze zrobisz - odparł porucznik Trewlany, co ku przerażeniu Jessalyn zabrzmiało tak, jakby okropnie znudziła go ta krzykliwa scena. Odwróciła się z oczami pełnymi łez.

McCady Trewlany stał w bezruchu z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, póki Jessalyn i jego kuzyn nie zniknęli za kręgiem światła, w ciemności i mgłę. Sięgnął za siebie, trafił na skałę i trawę. Przysiadł na diunie. Schował twarz w dłoniach. Wbił palce w policzki, tłumiąc nierówny, chrapliwy oddech.

Upłynęło jeszcze sporo czasu, nim przestał drżeć.

- Już myśleliśmy, że pan o nas zapomniał, sir - powiedział jeden ze strażników.

- Ależ przeciwnie - głos McCady'ego pełen był wyrafinowanego *ennui**. - Tyle że pozostała mi do załatwienia pewna

* *Ennui* (franc.) - nuda.

sprawa, panowie rozumieją. Dżentelmenowi nie wolno zawieść damy.

Strażnik wykrzywił usta w lubieżnym uśmiechu.

- To samo im powiedziałem, sir. - Odwrócił się do swoich ludzi. - Czy nie mówiłem, że hoży samiec najpewniej używa sobie słodko z młodą dziewczką, a tymczasem wasze kuśki i orzechy gniją w tej cholernej wilgoci?

McCady roześmiał się. Był w nie najlepszym nastroju, ale potrafił docenić ironię sytuacji. Jedyny raz w swym żalonym, bezowocnym życiu postąpił zgodnie z honorem i musiał to ukrywać pod płaszczykiem nieprzyzwoitości. W żadnym razie nie potrafił pojąć, dlaczego przy słodkiej, niewinnej pannie Letty zachowuje się zupełnie inaczej, całkowicie niezgodnie z własnym charakterem, z zasady zasługującym na potępienie. I skąd biorą się w nim te dziwne opiekuńcze odruchy, z którymi nie potrafi sobie poradzić.

Młoda panna Letty. Zbyt młoda, ale nie tak młoda, żeby nie wiedziała, co ma do zaoferowania. Mimo wszystko, kiedy był z nią, kiedy spoglądała na niego tymi szarymi oczyma, które widziały wszystko i niczego nie skrywały... Zmuszała go, by wierzył, że stać go na wszystko, że nawet potrafi zmienić siebie. Kazała mu wierzyć, że został zesłany na ziemię, aby bronić ją przed światem. Boże, co za ironia losu! Ona potrzebowała ochrony nie tyle przed światem, co przed nim.

Wprowadził strażników po schodach do rezydencji Caerhaysów, uśmiechając się gorzko. Frontowe drzwi nie były zamknięte, ponieważ wewnątrz nie pozostawiono niczego, co mogłoby się stać przedmiotem grabieży. Jego bracia sprzedali wszystko, łącznie z boazerią, aby zaspokoić swoje skłonności do opium.

Od czasu, gdy wrócił do Kornwalii, był w środku tylko jeden raz. Teraz, kiedy celnicy przeszukiwali piwnice, postanowił zwiedzić pomieszczenia na górze.

Wszedł po zniszczonych przez kołatki schodach do sypialni, gdzie w powietrzu zawisł kwaśny zapach wilgoci i mysich odchodów. Stukał podszewkami o wyłożony kamieniami wielki hol. Spojrzał na puste nisze, które wykuto niegdyś w ścianach, by postawić w nich popiersia, i zrobiło mu się smutno. Nie, nie ogarniał go żal, tylko po prostu było mu szkoda. Zaczął rozmyślać - w taki sam pozbawiony emocji sposób, w jaki się zastanawiał nad tym, jak by to było,

gdyby został księciem Walii - ile kosztowałoby przywrócenie rezydencji jej pierwotnego blasku, jeśli kiedykolwiek miała jakiś pierwotny blask. Nie słyszał nigdy, aby któryś z Trewlanych umarł bez długów i godnie. I nic nie przemawiało za tym, aby akurat on miał przełamać tę tradycję.

Strażnicy dołączyli do niego, grzechocząc latarniami i szurając butami. McCady Trewlany skierował nieprzeniknione spojrzenie na ich dowódcę i odezwał się, zabarwiając głos nutą wrodzonej szlacheckiej arogancji.

- Spodziewam się, że panowie są zadowoleni. Celnik podrapał się w szczeciniastą brodę.

- Co się tyczy zadowolenia, to nic nie mogę powiedzieć, sir. W tych piwnicach nie znaleźliśmy żadnej kontrabandy, tyle wiem. Ale co zostało złożone w innych, tylko...

McCady przespacerował się z nimi wzdłuż wielkiego holu.

- W każdym razie mniemam, iż jedno zechcecie mi panowie wybaczyć. Otóż nie podzielał waszego zapału odnośnie do pochwylenia złoczyńców akurat dzisiaj - oświadczył, potężnie ziewając. - To była bardzo wyczerpująca noc. Moja dama miała z początku różne zastrzeżenia i kaprysy, zresztą większość z nich je ma, ale, na Boga, skoro już ruszyliśmy do tej jazdy, nie można jej było zatrzymać. Dałem jej niezłą szkołę, dojechaliśmy wspólnie do mety, no i teraz czuję się odrobinę zmęczony... - Musiał ponownie ziewnąć, aby nie wybuchnąć śmiechem na widok śliniących się twarzy celników.

Odprowadził ich do bramy. Wybierali się do Mousehole, by przystąpić do poszukiwania kontrabandy w tamtejszych piwnicach. Miał nadzieję, że nie znajdą niczego poza rybami.

Na pewno nie okłamał celników co do jednego: był rzeczywiście zmęczony. Przy każdym stąpieniu czuł w udzie ból ostry niczym brzytwa.

Jakieś pohukiwanie zatrzymało go w miejscu, póki sobie nie przypomniał, że w gałęziach dzikich drzew rosnących przy domku dozorczy mieszka sowa. Postawił latarnię na podwyższeniu służącym do wsiadania na wierzchowca i ruszył do drzwi stróżówki...

I na spotkanie wymierzonej w niego pięści.

Clarence Tiltwell stał nad mężczyzną, którego powalił na ziemię zaskakującym ciosem. Oddychał chrapliwie i nerwowo zaciskał pięści.

- Ty cholerny bękartie - rzucił. Wiedział, że się powtarza, ale nigdy nie wysławił się gładko. W przeciwieństwie do swojego kuzyna. Swego inteligentnego, zdegenerowanego kuzyna Trewlany'ego.

McCady podniósł się z wolna. Odgarnął z oczu kosmyki włosów i wierzchem dłoni starł z ust strużkę krwi.

- Ponieważ bardzo cię lubię, gotów jestem znieść wiele z twojej strony. Ale przecież nie kosztem swego wyglądu.

W głosie McCady'ego pobrzmiwał taki sam ton, jakim zagrzewał do walki swój regiment na polach Belgii, kiedy stał na wzniesieniu i ciał szpada, póki ciała wrogów nie utworzyły wokół niego wysokiego stosu. Clarence poczuł strach.

Mimo to nienawiść, paląca nienawiść, dławiała go i była silniejsza niż strach. Musiał przełknąć kilka razy, prawie się za-krzusił, nim wreszcie zdołał wykrztusić zrozumiałe słowa.

- Całowałeś ją!

McCady roześmiał się, roześmiał się szczerze, i Clarence życzył mu śmierci.

- A czy przypadkiem nie przyszłości do głowy, że się mylisz? Że źle zinterpretowałeś to, co ujrzałeś?

Clarence wiedział bardzo dobrze, co widział. McCady miał ją pocałować, właściwie to już ją pocałował, a spojrzenie tych ciemnych oczu... ach, wyzierała z nich ordynarna żądza. McCady Trewlany pożądał Jessalyn, chciał ją posiadać.

- Widziałem twoją twarz. McCady oparł się głową o drzwi.

- Mhm - powiedział cicho, jakby westchnął.

Clarence czuł się urażony i zdradzony. Ku swemu przerażeniu miał ochotę się rozpłakać.

- Zamierzasz ją poślubić?

- Daj spokój, nie żartuj. Nie zdołałbym utrzymać żony, nawet gdybym chciał ją mieć.

- Mimo to pozwoliłeś, aby zakochała się w tobie. A niechże diabli porwą twą paskudną duszę do samego piekła!

- To na nic. Nie możesz już przekląć przekłętego. Poza tym ona wcale nie jest we mnie zakochana, raczej spragniona. Gdybyś

postępował bardziej stosownie do swojego wieku, a nie jakbyś miał tyle lat co ona, wiedziałbyś, że wystarczy poczekać. Za jakiś czas zrozumie w końcu, kim jestem, i zechce podzielać, jestem przekonany, twoją odrazę.

Strach, złość, rozpacz - wszystko to kłębiło się w głowie Clarence'a. Nie mógł już dłużej słuchać odpowiedzi kuzyna. McCady zaczął się od niego odwracać. Zdażył go chwycić za ramię.

- Jeśli zrujnujesz jej reputację, zabiję cię. McCady odsunął rękę Clarence'a.

- Chryste, Clarey. Gdybym zapragnął młodziutkiej dziewicy, pojechałbym do Londynu. Znam tam pewne miejsce, gdzie można kupić dziesięcioletnie dziewczynki.

- Mój Boże, aleś ty zdeprawowany!

McCady westchnął głośno i wolno otworzył powieki.

- Powiedziałem, że znam takie miejsce. Nie twierdziłem, że byłem w nim. -

Popatrzył uważniej na twarz Clarence'a. Przez chwilę młodemu Tiltwellowi wydawało się, że w ciemnych oczach kuzyna dostrzega ból. Po chwili jednak straciły głębię i już nie było w nich widać nic. - Przecież już raz dałem ci słowo. Nie zaciągnę panny Letty do mojego łóżka...

Clarence roześmiał się nienaturalnie głośno.

- Twoje słowo! A cóż ono jest warte?!

Na chwilę zapadła złowroga cisza. W końcu McCady powiedział surowo:

- Dla mnie warte jest wiele, bo niczego wartościowszego nie mam.

Clarence nie spuszczał wzroku z twarzy kuzyna.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? Nie mam do ciebie zaufania. McCady pochylił się.

Światło latarni podkreśliło zarys jego

ust skrzywionych w wyrazie gorczy.

- Zatem wetknij je sobie w tyłek, kuzynie.

Clarence poczuł na policzku wilgoć i stwierdził ze wstydem, że płacze. Znowu miał ochotę uderzyć McCady'ego, ale brakowało mu odwagi. Jego dłonie, swobodnie opuszczone wzdłuż boków, zaciskały się i rozwierały, świadcząc o bezradności, bólu i wściekłości.

- Jeśli skrzywdzisz ją w jakikolwiek sposób, daję słowo, Trewlany, zapłacisz za to.

Odwrócił się na pięcie i ruszył sprężystym krokiem. Nawet wtedy miał pewną nadzieję, że Mack pójdzie za nim, będzie się starał coś między nimi naprawić. Wstrzymał oddech, nasłuchując, czy nie zawoła go, dopóki nie będzie za późno. McCady Trewlany stał oparty o drzwi stróżówki i obserwował odejście kuzyna. Na jego twarzy nie było śladu żadnych emocji, jedynie od czasu do czasu drgały mu usta. Nie poruszył się, póki wiatr nie wysuszył potu z jego czoła i znowu nie odezwała się sowa.

Wszedł do wnętrza domku, który od blisko miesiąca był jego mieszkaniem. Umieblował pomieszczenie przedmiotami, które znalazł w rezydencji, a które nie nadawały się ani na sprzedaż, ani do oddania w zastaw. Znalazł się tu zegar z zieloną tarczą bez minutowej wskazówki, stolik na nierównych nogach i krzesło z jedyną listewką. W kącie chiński parawan przysłaniał poźółkłą cynową balię. Nad wygasłym paleniskiem wisiał na trójnogu kocioł. Nie był to luksus, ale koniec końców podczas wojny zdarzało mu się mieszkać w znacznie gorszych warunkach. Wzdłuż ściany stały dwa nabijane ćwiekami skórzane kufry, wypełnione technicznymi i naukowymi książkami oraz drogimi ubraniami. Niezależnie od swojego ubóstwa zawsze był w stanie ubrać się jak dżentelmen, nawet gdyby nie starczyło mu życia na spłacenie długów. Londyńscy krawcy i szewcy znali się na rzeczy. Wykrzywił usta w uśmiechu politowania. Pozory mogą być zwodnicze. Rozejrzał się z niesmakiem. Nic go tutaj nie zatrzymywało. Musiał jedynie poświęcić tydzień na przygotowanie do sprzedaży ładunku brandy. Spodziewał się stu funtów zysku. Zamierzał zwrócić pieniądze, które Clarey pożyczył mu na zorganizowanie eksperymentów z lokomotywą. Potem mógł oczyścić buty z kornwalijskiego błota i spędzić resztę życia na koszt armii Jego Królewskiej Mości. Rzucił się na łóżko. Przetarł oczy. Boże, ten wyraz przerażenia i niechęci na twarzy Clareya... Zastanawiało go, że nigdy, jak dotąd, nie zachowywał się tak wobec kobiety. Myślał o młodości i niewinności. O przeświadczeniu, że gdzieś w tym skorumpowanym i przekupnym świecie istnieje odrobina skromności i honoru... Do licha z nią! Przecież cała aż się o to prosiła, a on,

do jasnej cholery, pragnął jej to dać. Powinien był położyć ją na ten piasek i posiąść. Zrzuć ją na jej życie.

Rozprostował ręce nad głową, palcami chwycił za ramę łóżka. Wpatrywał się w niedokładnie ociosane belki pod sufitem i ujrzał...

Ujrzał jej oczy, ciemnoszare, niespokojne niczym morze na krótko przed sztormem. Włosy w kolorze rdzy i gliny, w kolorze jesiennych liści, rozsypane na jego poduszce. Widział siebie, jak zanurza twarz w tych włosach, wciąga w nozdrza ich zapach. Widział, jak dotyka koniuszkiem języka piegów na jej piersiach -jeśli je miała. Widział, jak rozchyła szeroko jej długie, bardzo długie nogi, całuje śmiejące się usta... Usta. Och, te usta i wszystko, co mogłaby za ich pomocą zrobić. Czego mógłby ją nauczyć...

Naraz usiadł, bezlitośnie odpędzając tę myśl ostatnim wysiłkiem woli. Nie potrafił natomiast z taką samą swobodą zapanować nad swoją męskością, która powiększyła się, stwardniała i sterczała boleśnie wewnątrz obcisłych skórzanych bryczesów. Wstał i pokuśtykał do stołu. Wziął z blatu składany nóż. Od-kroił od większego kawałka trzy plastry boczku i wrzucił je na patelnię. Teraz musiał jeszcze rozpalić ogień. Z obramowania kominka zdjął hubkę, krzesiwo i próbował rozniecić płomień, ale tak bardzo drżały mu palce, że nie był w stanie skrzesać nawet iskry. - Do diabła! - Cisnął krzesiwem o ścianę.

Zagapił się na kawałek postrzępionego drelichu, który służył jako dywanik przy jego łóżku. Służył także jako zasłona na podnoszone drzwiczki prowadzące do piwnicy, która, tak się właśnie złożyło, była wypełniona setkami galonów nie opodatkowanej brandy. Grzeszył głupotą przemytnik, który pozbawiał się zysków, umniejszając ich źródło. Ale aby jakoś przetrwać do rana, zamierzał spić się do nieprzytomności.

Mimo wszystko nie odsunął nogą drelichu i nie podniósł ukrytych w podłodze drzwiczek. Podeszedł do łóżka i usiadł. Dłońmi ścisnął uda tak mocno, że ścięgna wystąpiły na wierzch niczym sznury. Czuł, że wszystkie jego mięśnie są napięte pod skórą.

Odchylił do tyłu głowę i ciężko przełknął ślinę.

- Jessalyn - zabrzmiało w chłodnej i pustej izbie.

X

Trzy dni później, kiedy zapadał lawendowy zmierzch, obserwator z klifu nad Crookneck Cove dostrzegł daleko w morzu ciemnoczerwony punkt.

W napięciu odczekał chwilę, aby się upewnić, że nie chodzi o przypadkowe załamanie światła na powierzchni wody, o część zachodu słońca. Czerwona plamka pociemniała i zaczęła się powiększać niczym kałuża krwi. Wkrótce prysnęły wszelkie wątpliwości. Krzyknął i podskoczył z radości. Odchylił głowę, zadał w cynową trąbkę.

- *Hewa, hewa!* - zawołał.

Beka Poole wpadła do pokoju jadalnego, gdzie Jessalyn oraz lady Letty siedziały przy śniadaniu.

- Nadpływa sardela!

Jessalyn spojrzała na babkę. Na jej policzki, od trzech dni blade jak stary pergamin, wystąpiły wypieki.

- Babciu, czy mogłabym? Proszę. Lady Letty ściągnęła usta.

- Niezbyt to stosowne... aaa, no dobrze.

Jessalyn pospiesznie wyszła z pokoju, zanim babka miała okazję zmienić zdanie. Przystanąła na chwilę, aby przewiązać włosy męską chustą, potem wybiegła z domu jak rozbrykany żreback wypuszczony na łąkę świeżej koniczyny.

Ławice sardeli nadały morzu czerwoną barwę. Jessalyn biegła wzdłuż klifu ramieniem z Beką. Po drodze dołączali do nich inni, wszyscy zaś zmierzali do Mousehole. Każdy podchwytował wołanie obserwatora: *Hewa, hewa!* - stare kornwalijskie słowo oznaczające ławicę.

Beczki z płonącym olejem oświetlały port zatłoczony rybackimi łodziami.

Obserwator, który pierwszy spostrzegł ławicę, stał teraz na najwyższym wzniesieniu i płonąca pochodnią pokazywał kierunek, w jakim płynęła ławica. Mężczyźni na łodziach zarzucili włóki i jedną płaską sieć, po czym utworzyli krag.

I zaczął się powolny proces wybierania sieci. Krzyki raptownie ustały, ucichły śmiechy. Wszyscy pragnęli wiedzieć, czy połów jest obfity, czy podczas najbliższej zimy brzuchy mieszkańców Mousehole będą pełne. Oczywiście cisza nie była zu-

pełna. Krzyczały rybitwy. Bulgotała woda, obmywając skały. Skrzypiały wiosła, postękiwali mężczyźni przy sieciach. Mimo to Jessalyn wydawało się, że w oczekiwaniu zastygł cały świat. Naraz morze zaczęło kipieć. Nad jego powierzchnią pojawiła się masa kłębiących się, skaczących ryb. Ludzie w łodziach i na brzegu, ludzie zanurzeni po kolana w wodzie, która wrzała jak zupa w kotle, wyciągali ryby koszami i wiadrami, śmiali się i wołali, a nad ich głowami wrzeszczały rybitwy. Jessalyn zrzuciła buty, pończochy i jak kobiety z osady podwinęła spódnicę do kolan. Wzięła wiklinowy kosz i ruszyła za innymi. Ryby mieniły się niczym srebrne monety, dotykając jej obnażonych nóg. Roześmiała się w głos. Pochyliwszy się, nabrała ryb, następnie opróżniła kosz w najbliższej łodzi. Nagle obok jej głowy przeleciał w kierunku łodzi strumień sardeli. Odskokczywszy na bok, odwróciła się ze śmiechem i... zamilkła.

Stał przed nią porucznik Trewlany. W ręku trzymał pusty kosz. Patrzył spod zacięzionych powiek oczami bez żadnego wyrazu.

Ich spojrzenia spotkały się i świat naraz się zatrzymał, jak gdyby w jednej chwili wszyscy przestali oddychać. Wróciło wspomnienie tamtej okropnej nocy na plaży, wspomnienie, jak rzuciła się na niego, żebrząc, aby ją pocałował, i jak ją odtrącił. Rumieniec zażenowania spłynął na jej policzki, zaczęły jej drżeć nogi i miała ochotę uciekać. Mimo to stała w bezruchu, podczas gdy wokół pienila się woda i wołały ptaki.

Słowa spłynęły z jej warg całkowicie bezwiednie. Pochodziły prosto z głębi jej serca.

- Czy nie zechciałbyś odejść?

Podniósł rękę, ale zaraz pozwolił jej opaść, widząc, że Jessalyn robi unik.

- Nie mogę - odrzekł albo prawdopodobnie odrzekł. Nie wiedziała, ponieważ zbyt głośno krzyczeli ludzie, hałasowały rybitwy i chlupotała woda.

Patrzył na nią wieki. I czuła ten wzrok... jak czuła morską bryzę na rozpalonych policzkach i prąd, który gładził jej nagie nogi niczym delikatne dłonie. Dotykał ją spojrzeniem, coraz bardziej ciężały mu powieki, coś poruszało się w ciemnych głębinach niby smuga dymu. Coś ścisnęło jej w gardle, ścisnęło, ścisnęło, aż miała ochotę krzyknąć. Kiedy już myślała, że dłużej

tego nie zniesie, McCady spuścił oczy, co przyjęła głębokim westchnieniem. Pochylił się i napęłnił kosz. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę. Spod materiału wystawał skrawek umięśnionego ciała, pokrytego kosmykami włosów. Obojczyki unosiły się i opadały przy każdym oddechu. Patrzyła na niego, na opaloną, brązową skórę i znowu coś ją zaczęło ścisnąć w gardle, dławić. Coraz ciężiej było jej na duszy.

Nigdy potem nie miała pewności, co ją skłoniło, aby tak się zachować. Wiedziała tylko, że nie mogła dłużej znieść napięcia, jakie się pomiędzy nimi wytworzyło. Być może chciała tylko, aby zrobiło się zabawnie, bo wystarczyłaby jeszcze chwila, a wybuchnęłyby płaczem. Zrobiła to bez namysłu. Wyciągnęła z wody rybę i wrzuciła McCady'emu za koszulę.

Wyprostował się gwałtownie, wciągając ze świstem powietrze do płuc. Patrzył na nią, poruszony, podczas gdy ryba rzucała się w batystowej pułapce jak schwytyany do klatki gołąb. Jessalyn zaczęła się śmiać.

Sięgnął pod koszulę i wyciągnął ruchliwą rybę. Przyglądał się jej przez chwilę. Jakieś dziwne iskierki zapaliły się w jego oczach. Ruszył w stronę Jessalyn. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

Cofnęła się, machając rękami jak skrzydłami pisklę, które uczy się latać.

- Poruczniku! - wrzasnęła ze śmiechem. - Nie!

- Gdzie mam to włożyć? Za koszulę? Do ucha? - Szeroko otworzył powieki, jakby nasza go jakaś wielce inspirująca myśl. - Do ust! Tych ogromnych, rozdziawionych ust. Trzeba je czymś zatkać.

Chciał ją pochwycić, wyciągnął rękę, tymczasem ryba wyślizgnęła mu się z rąk i wpadła do wzburzonej wody. Zaklął, a potem zaczął się śmiać. W końcu odgłosy ich śmiechu - jej, wysoki, radosny, oraz jego, niski i ochryply - połączyły się w osobliwą kompozycję i uleciały nad pełne morze, niesione ciepłym letnim wiatrem.

On pierwszy przestał się śmiać. Zapatrzył się na jej wargi i jakoś dziwnie stężała mu twarz. Była ciekawa, co myślał, kiedy na nią patrzył. Upierał się, że dla niego jest tylko dzieckiem,

lecz czasem dostrzegała w jego oczach piekielny żar, który zadawał kłam jego słowom.

Nie śmiali się już więcej ani ze sobą nie rozmawiali. Ale za to pracowali ramię w ramię do późna w nocy, przesypując ryby z koszy do łodzi, póki nie zanurzyły się pod ciężarem ładunku po sam kraniec burty. O północy Jessalyn wyszła na brzeg, nie odezawszy się do niego słowem. Przystanęła, aby obciągnąć spódnicę, i kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że przygląda się jej nagim nogom. Z podniecenia zabrakło jej powietrza w płucach. Po raz pierwszy zaczęła zdawać sobie sprawę z władzy, jaką nad nim miała. Mogła skłonić go, by nawet wbrew swej woli zechciał jej dotykać i całować ją.

Przeszli wzdłuż skalnej półki, która ciągnęła się za klifem, i wkrótce odgłosy odłowu sardeli zaczęły cichnąć, aż otoczyła ich przyjemna cisza nocy.

Ściągnęła chustę i przechyliła do tyłu głowę. Przytrzymała włosy w dłoniach, uniosła je nieco powyżej karku, po czym pozwoliła, by opadły swobodnie w dół pleców. Czuła na sobie gorące spojrzenie McCady'ego i uśmiechnęła się.

Na czarnym tle nieba rozsypały się przybladłe gwiazdy. Była pełnia. Księżyc świecił jasno i był złocisty, niczym duża, soczysta pomarańcza. Włosy owiewał jej lekki i ciepły wiatr, niosąc ostry zapach morza i ziemi. Cieszyło ją życie - grało jej w piersi, we krwi. Miała ochotę krzyczeć z zachwytem.

Przebiegła podskokami kilka kroków, potem odwróciła się, aby dalej iść tyłem.

- Jestem dzisiaj szczęśliwa.

Nie odpowiedział. Ale niespodziewanie się uśmiechnął. Serce skoczyło jej w piersi. Zawirowała, oddalając się tanecznym krokiem. Zaczęła się śmiać.

Chwycił ją za ramię.

- Nikt ci jeszcze nie powiedział, że młode damy powinny być pokornego usposobienia i łagodnego ducha.

Zmarszczyła nos.

- Ja taka nie jestem.

- Zgadza się. - Uśmiech zginął z jego twarzy. - Ty taka nie jesteś.

Schyliła się, między krzewami zerwała kwiat. Nie przestając

się śmiać, wsunęła mu kwiat za ucho. Spojrzała na swoje dzieło, robiąc łobuzerską minę.

- Głupio wyglądasz.

- A ty się głupio zachowujesz. - Wyjął kwiat i umieścił go w jej włosach. Opuszkami palców musnął jej skroń i szyję. Jego oczy nad wystającymi policzkami płonęły czerwienią jak wygasający żar.

- Mamy dzisiaj drugi księżyc, błękitny - powiedział. - Wiesz, co to znaczy? Przyszło jej do głowy, że kiedyś coś o tym słyszała, ale czuła się zbyt podekscytowana, a jej serce biło zbyt głośno. Nie była w stanie myśleć.

- Pomarańczowy - odparła. - Księżyc jest pomarańczowy, nie błękitny.

Patrzył na nią jakoś dziwnie rozgorączkowany.

- Nigdy nie słyszałaś tej opowieści? Dawno temu żyła sobie córka górnika. Była tak piękna, że każdemu, kto ją zobaczył, chciało się żyć, zwłaszcza młodemu pasterzowi, jej ukochanemu. Ale pewnego razu porwała ją czarownica, która sama pożałowała przystojnego chłopca. Czarownica tak ohydna, że nawet ropuchy odwracały się od niej ze wstrętem... i przestań się śmiać. To bardzo poważna historyjka. Jeżeli Tlie przestaniesz chichotać, zepsujesz cały efekt.

Jessalyn przygryzła dolną wargę.

- Już będę grzeczna. Obiecuję.

Zagapił się na jej usta. Cisza ciążyła im coraz bardziej. Niczym para kochanków wzdychało morze i pojękiwał wiatr.

- W którym miejscu to ja skończyłem? Aha, tak... Zła czarownica zamieniła piękną dziewczynę w zającą. Od zaklęcia można się było uwolnić tylko w jeden sposób. Otóż dziewczyna mogła wrócić do pierwotnej postaci dopiero wówczas, gdy księżyc w pełni przetoczy się po niebie po raz drugi tego samego miesiąca. Czarownica sądziła, że dziewczyna już nigdy nie wróci do ludzkiej postaci, ale zapomniała o nocach błękitnego księżyca - owych nielicznych miesiącach, w których pojawiają się dwa księżyce w pełni. I tak od czasu do czasu zaczarowany zając znowu stawał się dziewczyną. Wówczas młodzi mogli się spotykać i kochać... - Zamknął dłonie na jej ramionach, przyciągnął ją do siebie. Pochylił się ku jej twarzy. Z sercem pod-

chodzącym do gardła czekała na pocałunek. Z tego stanu wyrwał ją ochrypły, niski głos. - Pewnego razu przy błękitnym księżycu.

Usta, twarde i gorące zmiądzły jej wargi. Krew rozgorzała w niej niczym pole suchego janowca, na które ktoś rzucił płonąca głoźnię. Rozchyliła usta, przyjmując jego język, ofiarując mu własny. Usta i języki dotykały się, przepychały, napierały na siebie w rozpaczliwej próbie stania się jednością. Jessalyn zdawało się, że zaraz umrze.

- Chryste, Jessa - wykrztusił. - Jessa, chcę... Muszę... -Zadygotał i stężał. Odepchnął ją od siebie tak gwałtownie, że chyba tylko przez przypadek nie upadła. - Odprowadzę cię do domu - warknął albo tylko tak się jej zdawało.

Przytrzymała się jego koszuli.

- Dlaczego? Nie rozumiem.

- Jesteś zbyt młoda, do licha! I obiecałem... - Zamilkł na chwilę, gwałtownie wciągnął do płuc powietrze. - Jesteś zbyt młoda.

Chciała krzyknąć: „Wcale nie jestem zbyt młoda...” Gdyby był taki, za jakiego się podawał, jej wiek nie miałby żadnego znaczenia.

- Ależ z pana oszukaniec, poruczniku Trewlany - powiedziała surowo. - Udaje pan rozpustnika i hulakę. Tymczasem w doczesnej powłoce niegodziwca bije serce prawdziwego dżentelmena. - Położyła dłoń na jego torsie. Wyczuwała uderzenia serca, szybkie, nierówne jak u schwytanego ptaka. - Po prostu człowieka honoru...

- Niechże mnie pani nie wybiela, panno Letty. - Zamknął jej palce w swoich dłoniach, przycisnął do piersi, a potem odepchnął je. - Są jeszcze inne słowa, które doskonale do mnie pasują, choć zapewne nie znasz wcale ich znaczeń ani nawet się ich nie domyślasz. Masz może pojęcie, ile mam lat?

Potrząsnęła głową. Była zawsze ciekawa, ale nie śmiała pytać, aby mu nie przypominać, jak bardzo jest młoda.

- Dwadzieścia pięć. - Na widok wyrazu jej twarzy zaśmiał się nienaturalnie. Nie wiedział, że to nią nie wstrząsnęło, raczej odczuła ulgę. Dziewięć lat nie stanowiło zbyt wielkiej różnicy. Jej dziadek był piętnaście lat starszy od babki.

- Dwadzieścia pięć lat... wcale nie jesteś taki okropnie stary -powiedziała z uśmiechem na twarzy.

Roześmiał się znowu, potrząsając głową.

- Ale to się czuje. Człowiek czuje się stary jak lichy. Jak grzech pierworodny. Patrzę na ciebie i widzę... - Poglaskał jej policzek wierzchem dłoni. Prawie tego nie poczuła. - Miałem dziesięć lat, kiedy umarł mój ojciec i przyszło mi żyć z braćmi. Ojciec nie zaliczał się do najlepszych opiekunów, natomiast bracia...

Drgnęła mu pierś, słowa uwięzły gdzieś w gardle. Oczami pełnymi rozpacz przyjrzał się badawczo twarzy Jessalyn, jak gdyby obawiał się tego i jednocześnie pragnął, by dowiedziała się o nim wszystkiego.

- Zdeprawowali mnie - kontynuował. - Nie możesz wiedzieć, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, czego się dopuszczali... Pokazali mi w Londynie wszystkie gniazda rozpusty i występku. Zanim osiągnąłem twój wiek, naruszyłem wszelkie zasady przyzwoitości określone przez Boga i ludzi, poza przykazaniem *Nie zabijaj*. Jednakże wojsko szybko naprawiło to drobne przeoczenie. - Skrzywił się i ściągnął usta. - Jestem jednym z Trewlanych, najmłodszym z braci. Wszyscy jesteśmy żalonymi, zdegenerowanymi bękartami.

Zrobiło się jej podwójnie smutno. I za siebie, i za niego. Za niego, ponieważ przeszłości nie można było już zmienić. Za siebie, bo nie potrafiła sprawić, aby porzucił swoje najgłębsze przekonanie co do tego, kim naprawdę był. Choć mimo wszystko...

- A człowiek, który zbudował pojazd parowy? - zapytała, powstrzymując łzy. - Kim on jest?

Grymas goryczy na dłużej zagościł w kąciku jego ust. W oczach nie było ani odrobiny światła.

- Głupcem. Cholernym głupcem.

Ty nim jesteś. Człowiekiem, jakim chcesz się stać - mogłaby powiedzieć, ale nie odezwała się. Trudno by mu było znieść te słowa.

Przyglądał się, jak dziewczyna podskakuje radośnie na plaży. Brzmienie jej wibrującego, ochrypłego śmiechu wyraźnie zakłócało spokojny, równomierny rytm kołyszących się fal. Zawołał jej imię.

Odwróciła się gwałtownie. Śmiech na jej ustach nagle zamarł, choć jego ostatnie dźwięki wciąż pobrzmiwały w powietrzu.

- Clarence!

Uniosła brzeg spódnicy i zaczęła biec w jego kierunku. Zrobiło mu się przyjemnie, ponieważ opanowała ją radość na jego widok. Kiedy się zatrzymała, dysząc ciężko, wyrzucała z siebie urywane słowa.

- Co tu porabiasz? Przez całe lato prawie cię nie widywałam. Clarence uderzył rękawiczką o udo. Popatrzył w morze, które tego dnia miało opalizującą zieloną barwę. Lekka bryza niosła zapach ryb i wodorostów. Sprawiała, że materiał spódnicy przywierał do jej nóg, podkreślając ich kształt i smukłość.

Pierwsze miłe wrażenia, jakie odniósł na jej widok, gdzieś się ulotniły. Ich miejsce zajęła irytacja. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ciężko pracuje, zdobywając własny majątek. Nie miała pojęcia o wartości pieniądza. Jest jak wszyscy należący do jej sfery - drwił w myślach. Jak ta cała zubożała szlachta o długich rodowodach i pustych portfelach, żyjąca z tych swoich trzech procent i kilku akrów ziemi. W przyływie złości chciał ją zaatakować; pragnął, aby była inna. Ale kiedy popatrzył na jej uśmiechnięte usta, uświadomił sobie, że nie potrafi gniewać się na nią długo.

- Co u ciebie, Jessalyn?

Uśmiech pogłębił się na jej twarzy, oczy pojaśniały, przybierając w ostrych promieniach słońca barwę morza.

- Wspaniale, wspaniale. Właśnie wczoraj przyплыnęła sardela. Szkoda, że tego nie widziałeś.

Na butach w kolorze imbiru dostrzegł plamę piasku. Strzepnął ją rękawiczką. Mówił zwrócony do ziemi.

- Trewlany nie ożeni się z tobą, chyba wiesz. Interesuje go jedynie zabawa.

Nie odpowiedziała. Zachęcony, zamierzał naciskać. Musiał ją przekonać, za wszelką cenę sprawić, by zrozumiała, że poza eleganckim wyglądem i arystokratycznym nazwiskiem McCady Trewlany sprawia jedynie wrażenie ludzkiej istoty. Nie ma żadnych zasad ani skrupułów. Jest człowiekiem, który nie zasługuje na miłość, a już na pewno nie potrafi jej dawać.

Rzecz jasna, Jessalyn mogła tego wszystkiego nie dostrzec, McCady zwodził ją tym swoim uwodzicielskim uśmiechem, tym

swoim uwodzicielskim wdziękiem. Zatem Clarence musiał użyć rozumu.

- Jako porucznik w armii Jego Królewskiej Mości otrzymuje około dwudziestu ośmiu szylingów na pokrycie wydatków. Nie ma żadnych innych stałych dochodów, Jessalyn. Jego bezużyteczny brat nie daje mu żadnych funduszy. Rzecz jasna, McCady ryzykuje. Jak wszyscy z rodziny Trewlanych. A szczęście sprzyja mu tak jak im wszystkim. Szkoda gadać. Trwonią majątek i trwonią życie. Kiedy hrabia, jego brat, dojdzie w końcu do kresu, spowodowanego nadmiarem rozpusty, Mack odziedziczy po nim wyłącznie długi. I niesławę.

- I tytuł.

- Ach, o to ci chodzi. Pragniesz zostać hrabiną!

- Nieprawda!

Powiedziała to z takim naciskiem, że go przekonała. Pochylił się, podniósł muszlę i cisnął nią w czapkę, która stała nieruchomo na linii brzegu z głową schowaną w piórach. Muszla przeleciała obok celu, a ptak nawet się nie poruszył.

- Jeżeli w ogóle odziedziczy tytuł - powiedział Clarence. Przyglądał się czapli, bo nie mógł i nie chciał patrzeć na Jessalyn. - Caerhays prawdopodobnie się nie ożeni. Nie będzie go chciała żadna przyzwoita kobieta. Poza tym Mack będzie musiał przeżyć. A przeżyć w Indiach Zachodnich jest dość trudną sztuką. Nie warto przy tym wspominać o gwiazdkach z nieba, czyli o tych jego wynalazkach: żelaznych koniach i samobieżnych powozach...

- To nie są żadne gwiazdki z nieba! To przyszłość. Tylko wy wszyscy jesteście ślepi i tego nie dostrzegacie. Szykanujecie go za tę wizję.

Odwrócił się gwałtownie i badawczo spojrział w jej twarz. Zobaczył to, czego się spodziewał: podziw dla bohatera, który nie zasługiwał na nic więcej, tylko na wzgardę.

- Owe wizje pochłonęły wszystkie pieniądze, jakie zdołał zgromadzić. Poza tym bardzo szybko mogą się skończyć jego śmiercią. Jeżeli przeżyje brata i zostanie hrabią, nie ożeni się z tobą. Ożeni się wówczas dla pieniędzy, ponieważ będzie ostatnim z tej przeklętej przez Boga rodziny. Chociaż jest nieodpowiedzialny pod każdym innym względem, wypełni swój obowiązek dla zachowania rodu. Tę tradycję rodzina Trewlanych

podtrzymuje również, uratowało to ich linię przed wygaśnięciem wiele lat temu. Sznureczek bogatych panienek z miasta nie ma końca, a wszystkie zaprzedałyby i duszę, i ciało, aby ich nazwisko poprzedzano tytułem milady.

Dobrze o tym wiedział. Siostra jego matki należała do tego typu kobiet. A jego własna matka zaprzedała duszę i ciało, aby mówiono o niej „kochanka lorda”.

Poczuł na sobie wzrok Jessalyn, spojrzenie owych ogromnych szarych oczu, które tak wiele wiedziały. I zarazem tak mało.

- Dlaczego go nienawidzisz? - zapytała.

Clarence przyglądał się, jak z każdą falą woda zalewa coraz więcej suchego piasku. Ostatnio czuł w sobie jakąś pustkę, połączoną z niezwykle przykrym poczuciem utraty czegoś cennego. Jak gdyby to właśnie on miał stracić niewinność.

- Nie chcę przyglądać się, jak cierpisz.

- Zatem nie rozmawiajmy o nim. Nie chcę o nim rozmawiać z tobą.

Spojrzał na nią, na mocny zarys jej szczęki. Nie mógł pojąć, co pociągało go w niej tak bardzo. Nie była ładna. Miała rude włosy, zbyt szerokie usta, była za wysoka, za bardzo dzika i żywa, zbytnio... dość. Przecież dobrze pamiętał, jakie były te usta w noc świętojańską, gdy dotknął ich wargami w pocałunku: delikatne, gorące, i miały smak łagodnego piwa. Pragnął powtórzyć to doświadczenie.

Ale obawiał się, że jeżeli teraz spróbuje ją pocałować, odwróci się od niego, a tego nie potrafiłby znieść.

XI

Peaches przez cały dzień próbowała uciąć sobie drzemkę na rozgrzanych w słońcu ceglach przed kuchennymi drzwiami, ale kocięta nie dawały jej spokoju. Pełzały po niej, ciągały ją za uszy, szturchały nosami w brzuch, szukając sutków. Od czasu do czasu kotka podnosiła leniwie łapę i odpychała małeństwo, które stało się zbyt natrętne.

Z kuchni dochodził zapach kwaśnej śmietany i równomierny odgłos ubijania masła w maślnicy. Peaches podniosła się, przeciągnęła i bez pośpiechu weszła do środka na zwiady. Ko-

cięta ruszyły jej śladem niczym gałganki przywiązane do ogona latawca. Poza najmniejszym, który nie mógł sobie poradzić z progiem.

Jessalyn otoczyła kociaka specjalną opieką. Nazwała go Napoleon, bo chociaż mały, był jednocześnie bardzo zادیorny. Często prowokował do walki swoje rodzeństwo. Oczywiście stała bywalczyni tych stron, rybitwa, nic nie mogła wiedzieć, że kociak nosi imię człowieka, który był niegdyś panem Europy. Albo że tego lata puszysta kuleczka pomarańczowego puchu zyskała gorące uczucie młodej kobiety. Po prostu ptak dostrzegł obiadowe danie i porwał je.

W tym czasie Jessalyn stała oparta o poprzeczkę zagrody i przyglądała się, jak Sierżant Major układa Nadzieję Lettych do jazdy wierzchem. Nie spieszył się. Najpierw zapoznał źrebicę z uździenicą. Dał ją zwierzęciu do powąchania, potem przesunął gładką powierzchnię skóry po jego karku i wokół uszu. Już miał nakładać uprząż na końską głowę, kiedy młoda klacz nagle cofnęła się w reakcji na przeraźliwy kobiecy krzyk.

- Rybitwa! - Beka Poole biegła przez podwórko, pokazując na niebo. - Porwała Napoleona. Och, w imię Ojca i Ducha...

Jessalyn odwróciła się gwałtownie i spojrzała do góry. Wielka rybitwa o czarnym grzbiecie leciała nisko nad ziemią, wolno poruszając skrzydłami. W potężnym dziobie trzymała małego Napoleona.

- Wezmę muszkiet - powiedział Sierżant Major.

- Nie! - krzyknęła krótko Jessalyn. Była przerażona. - Skończy się na tym, że zabijesz oboje. - Rybitwa szerokim, łagodnym łukiem zatoczyła pół okręgu i skierowała się w stronę klifu. Jessalyn uniosła spódnicę i pobiegła za nią.

Beka i Sierżant Major przyglądali się przez chwilę, jak ich młoda pani podąża w kierunku cypla. Kapelusz zsunął się z jej głowy i uderzał o plecy. Cynamonowe włosy łopotały na wietrze niczym flaga. Jej pogoń za ptakiem wydawała się całkowicie beznadziejna. Beka otarła z oka łzę.

- Tak bardzo kochała tego małego, całkiem głupiego kociaka.

- Aha! - potwierdził Sierżant Major.

- To ptaszysko pożera wszystko - oświadczyła Beka. - Następnym razem skonsumuje nas. Drapieżny padlinożerca.

Sierżant Major odpowiedział głuchym pomrukiem. Ale kiedy

wrócił do zagrody, jego mięsiste usta drgnęły i niemal ułożyły się w uśmiech. Potem wyobraził sobie, jak bardzo Jessalyn będzie oplakiwać kociaka, i jednak poszedł po muszkiet. Zamierzał uśmiercić tego cholernego ptaka.

Jessalyn dotarła do klifu i nieco zwolniła. Z trudem chwyciła powietrze, przyciskając dłoń do piersi na wysokości serca. Rybitwa gdzieś zniknęła. Po zatoczce płynęła rybacka łódź z żaglem w kolorze miedzi. Chmury ciemne jak węglowy pył unosiły się tuż nad powierzchnią morza. Spienione fale dziurawiły piasek, a między skałami wirowała piana. Wiatr smagał urwisko, zawodząc wysokimi tonami jak żałobnicy na pogrzebie. Jessalyn prawie nie słyszała piskliwego miauczenia rozgniewanego Napoleona.

Przeszukała wzrokiem skalne wieżyczki i filary, porośnięte gdzieniegdzie zawciągami i krzewami kolcolistów. Pomarańczowa plamka pojawiła się między szarością i brązem wysoko na wąskim występie. Duży ptak zapewne przysiadł na kamiennej platformie, uwolnił ofiarę i odleciał. Być może Jessalyn narobiła tyle hałasu, że odstraszyła rybitwę, ale nawet jeżeli tak było, ptak mógł w każdej chwili wrócić.

Rozglądając się za rybitwą, popatrzyła w stronę morza. Łódź przybijała do brzegu. Jessalyn zmrużyła oczy, razily ją odbijające się w wodzie promienie słońca. Przy rumplu stał wysoki, smukły młodzieniec. Miał na sobie białą koszulę. Podwinięte mankiety odsłaniały silne, opalone ramiona; wiatr zmierzwił jego ciemne włosy. Obok niego siedziała czarnowłosa dziewczyna. Coś mówiła, bo mężczyzna odwrócił się, spojrział na nią i wybuchnął śmiechem. Ów śmiech, niski i ochrypły, przyniósł do Jessalyn wiatr. Zamarła, niemal zgięła się wpół, kiedy okropne podejrzenie przeszło w przenikliwy, kłujący ból brzucha.

Napoleon miauczał przeraźliwie.

Odzyskawszy oddech, ciężko przełknęła ślinę.

- Już idę, moje maleństwo. - Wyprostowawszy się, odgarnęła z twarzy włosy. Nie będę płakała - powiedziała do siebie w duchu. Nie będę. Jeszcze raz zerknęła w stronę łodzi, po czym ruszyła ścieżką, często mrugając, bo łzy i tak napływały jej do oczu.

Ścieżka przecinała skałę, jakby była ukośną blizną na twarzy urwiska. Nie przebiegała w pobliżu półki, gdzie siedział Napo-

leon, który w dalszym ciągu uskarżał się na swój los przeraźliwym miauczeniem. Ponieważ Jessalyn nie mogła dosięgnąć go ze ścieżki, musiała zejść z urwiska, wykorzystując występy i zagłębienia w skale jak szczeble drabiny.

Zdjęła rękawiczki, aby zwiększyć pewność chwytu, i zaczęła schodzić tyłem. Najpierw opuściła stopy, trafiając po omacku na jedną niszę, potem na drugą. Takie zejście było wprawdzie wyczynem nie lada, ale możliwe do dokonania dla dziewczyny, która spędziła niemal całe dzieciństwo pośród skalistych stromizn kornwalijskiego wybrzeża. Tylko że tego ranka wszystko skąpała mgła, dlatego teraz granitowe i łupkowe skały były wilgotne i śliskie.

Oddaliła się od ścieżki o blisko dziesięć stóp, kiedy rybitwa powróciła.

Wielki ptak zaskrzeczał i runął na jej głowę. Kątem oka zobaczyła jeszcze białe skrzydła. Krzycząc, machnęła ręką, aby odpędzić ptaka... i straciła równowagę.

Zsunęła się po ostrych skałach, kalecząc sobie golenie i kolana. Po drodze trafiła palcami na krzew janowca, zawisała na nim i zaczęła się kołysać jak kur na wieży w podmuchach wiatru. Spojrzała w dół na morze, które burzyło się i pieniło na kamienistej plaży. Poczowała zawroty głowy i zbierało się jej na wymioty. Zamknęła oczy. Ciemność zdawała się wzmacniać wszelkie odgłosy: jej własny chrapliwy oddech, plusk fal, miauczenie Napoleona, który nie wiedział, dlaczego to wszystko tak długo trwa... i czegoś jeszcze. Czegoś odległego, co zbliżało się z każdą chwilą. Trzepotanie skrzydeł.

Rybitwa była najwyraźniej nastawiona bardzo wrogo. Ptak uderzył mocnym, zakrzywionym dziobem prosto w nagie dłonie Jessalyn, po czym wzbił się w powietrze. Dziewczyna krzyknęła z bólu i przerażenia, ale utrzymała się na skale. Czekwała. Krew ściekała po jej wyprostowanej ręce. Szloch wydzierał się z piersi. A potem znowu to usłyszała. Na tle szumu morza.

Klap... klap... klap...

- Och, Boże...

Przycisnęła policzek do gładkiej ściany i starała się zebrać siły do przetrzymania kolejnego ataku.

Znów to usłyszała, ale w rzeczywistości był to łopot opuszczanego żagla. Potem kil zazgrzytał o dno płycizny i McCady Trewlany wykrzyknął jej imię.

- Poruczniku! - zawołała z ulgą. - Proszę nie pozwolić, aby ten diabelski ptak wrócił.

- Na szczęście odleciał. Panno Letty, w jaki sposób... Nieważne. Po prostu trzymaj się.

Miała wrażenie, że czeka na niego wieki. Ręce bolały ją coraz bardziej.

- Zamierzasz uratować mnie czy nie?

- Nie. - Pojawił się nad urwiskiem: wysoka, sztywna sylwetka na tle okopconego nieba. Rzucił jej bulinę, którą zabrał z łodzi. - Postoję tutaj i popatrzę, jak spadasz.

Nie tylko dlatego, że to byłoby znacznie bardziej zabawne. Zasłużyłaś na to swym nedorzecznym zachowaniem. Po co schodzić po stromej ścianie, skoro dosłownie obok znajduje się bardzo dobra ścieżka...no! -Jęknął, chwyciwszy linę w obie dłonie. Odchylił się do tyłu, aby mieć pewność, że utrzyma ciężar. Zamiast po prostu ruszyć do góry Jessalyn zesza najpierw po Napoleona.

Bez trudu wspięła się do krawędzi urwiska, gdy pomagał jej, ściągając linę. Na koniec chwycił ją pod ramiona i wy dostał ze skalnej pułapki. Kiedy przeniosła ciężar ciała na prawą nogę, syknęła z bólu i przygryzła dolną wargę.

- W którymś momencie musiałam skrócić nogę w kostce, na...

Podniosła oczy, by zauważyć, że jego wzrok spoczywa na jej ustach. Mocno zacisnął szczęki. Bez ostrzeżenia wziął ją na ręce i ruszył ścieżką. Było jej cudownie w jego ramionach. Czowała jego dotyk. Objęła McCady'ego za szyję i oparła policzek na jego torsie. Koszula pod jej głową była nasiąknięta morską wodą i pachniała nim. Posadził ją dopiero na kamiennym murku, który ciągnął się wzdłuż cypla.

- Panno Letty, sądzę, że jest pani już całkowicie bezpieczna. - Zdjął jej rękę ze swojego karku. - Już nie ma potrzeby, aby kleiła się pani do mojej szyi jak mucha plujka.

Zaczęły ją palić policzki. Odsunęła się. Zawsze, kiedy był przy niej, robiła takie niemądre, nierozważne rzeczy. Na pewno zastanawiał się teraz, czy nie postępuje tak świadomie, aby zwró-

cić na siebie jego uwagę. Na myśl, że mógłby tak sobie pomyśleć, zapłonęła ze wstydu.

Napoleona postawiła obok siebie. Kociak natychmiast pobiegł za jakimś żukiem, niepomny na fakt, że tak niewiele brakowało, a zginąłby w dziobie rybitwy.

Porucznik Trewlany stał między rozchylonymi nogami Jessalyn, opierając dłonie na biodrach. Nie miała odwagi, żeby patrzeć mu w oczy, zatem spoglądała na jego pierś. Na wietrze koszula przywierała do jego ciała. Pod nią rysowała się silna, umięśniona sylwetka. Serce biło jej mocno.

- Wykażę nadmierną ciekawość, jeśli zapytam, co, do licha ciężkiego, przyszło ci do głowy, że zdobyłaś się na coś takiego? Chciałaś polecieć do Francji! Obudziłaś się rano i pomyślałaś, że jesteś rybitwą?!

Potrząsnęła głową. Trewlany ściągnął usta i zacisnął je w wąską linię.

- Ratowałam Napoleona - odrzekła i roześmiała się, widząc, że otwiera szeroko oczy ze zdumienia i marszczy brwi. - Mojego kociaka, ty głuptasie.

Pionowe zmarszczki w kącikach jego ust pogłębiły się.

- Naturalnie. Że też od samego początku o tym nie pomyślałem! - Cofnął się, pochylił. Koszula naciągnęła się na jego szerokich plecach. - Pozwól, rzucę okiem na tę kostkę.

Zamknął dłoń wokół jej nogi. To nic, że dotykał jej przez sztywną skórę półbutów. I tak od tego miejsca w górę przebiegł ją dreszcz.

- Najprawdopodobniej trzeba będzie przeciąć but - rzekł. Zaniepokoiła się nie na żarty.

- Postaraj się tego nie robić. Babcia nie będzie zadowolona z utraty dwóch par butów w ciągu tego samego lata. Czy Sheba Stout jest twoją kochanką?

Zacisnął palce, aż jęknęła z bólu.

- Oooch!

- To nie twoja sprawa, kogo zabieram do łóżka!

- Zapytałam, ot tak, dla podtrzymania rozmowy.

- Nie chodzi o żadną rozmowę, tylko o prozaiczną, chorobliwą ciekawość. -

Wyszarpnęła sznurowadła z jej butów.

- Oj, boli! Do licha!

- Ciszej tam! - Szarpnął za cholewkę do przodu i do tyłu,

usiłując ściągnąć but, ale teraz już znacznie delikatniej. - I postaraj się nie używać języka ze szlamiastego rynsztoka, jeśli już przy tym jesteśmy. Wygląda na to, że przebywasz w nie najlepszym towarzystwie.

Zerknęła w dół, na jego pochyloną głowę. Była ciekawa, jak by to było, gdyby przycisnęła usta do karku, na który opadały kręcone włosy. Dotknęła tego miejsca. Było zadziwiająco gładkie, delikatne jak u dziecka, i wilgotne od morskiego powietrza.

- Ty nauczyłeś mnie przeklinać jak żołnierz. Poza tym nauczyłeś mnie jeszcze wielu innych rzeczy. - Znieruchomiał pod jej dłonią. - Na przykład nauczyłam się od ciebie, w jaki sposób rozpoznać, kiedy mężczyzna chce mnie pocałować. Jak tam, panie poruczniku, ma pan ochotę?

Uwolnił jej kostkę, wyprostował się i cofnął o krok. Jak gdyby była ogniskiem, z którego nagle strzeliły płomienie.

- Na miłość boską! - wykrztusił przez ściśnięte gardło. - Zachowujesz się gorzej niż ladacznica z placu przed Co vent Garden.

Serce tak mocno waliło w jej piersi, że ledwie mogła oddychać. Wiedziała, że rozpoczęła niebezpieczną grę. Zachęcony zbyt silnie, wcale nie musiał poprzestać na pocałunku. Mógł rzucić się na nią i posiąść ją szaleńczo, gwałtownie, jak mężczyzna kobietę, której pożąda. Zaszło jej w gardle. Drżała na samą myśl, nie wiedziała tylko, czy z podniecenia, czy ze strachu.

Powoli wstała i podskokiem pokonała dzielącą ich odległość.

- Powiedz, że nie chcesz mnie pocałować.

Uciekł spojrzeniem w bok, ale po chwili znowu zajrzał jej w twarz. Zimnymi, szklanymi oczami, ciemnymi jak kopalniane szyby.

- Nie chcę cię pocałować, dziewczynko.

Ale przecież już go zdążyła poznać. Wiedziała, że nigdy nie mówi tego, co myśli, i że jego oczy nigdy nie zdradzają tego, co rzeczywiście czuje.

Zacisnęła dłonie na jego koszuli. Czuła pod nimi rozpalone twarde ciało, które dygocze. Pragnęła, by ją objął; pragnęła podporządkować się jego przerażającej sile i potędze. Może to sprawiłoby wreszcie, że należałby do niej. Dotykając jego ciała, chciała poruszyć w nim duszę.

Powiodła dłonią w górę jego torsu, otoczyła podstawę szyi i wsunęła palce w wilgotne włosy. McCady zacisnął ręce na jej ramionach, wystarczająco silnie, aby pozostawić sińce. Przebiegały po nim dreszcze, jego całe ciało wibrowało jak zbyt mocno naciągnięta struna.

- Kończę z tym - wykrztusił, jakby dokuczał mu jakiś silny ból. Zachwiała się, napierając na niego, tymczasem on usiłował odsunąć ją od siebie. - Przestań! Pociągnęła jego głowę w dół, póki ich wargi nie znalazły się tuż obok siebie. Rozchyliła usta.

- McCady - powiedziała, i to było wszystko.

Zaczął ją całować gorącymi, wilgotnymi ustami. Gdzieś z głębi gardła wyrywał mu się jęk. Pragnął jej, palił się do niej. Pocałunek, który ich połączył, był surowym, dzikim pożądaniem. Ogniem, który połykali.

Cieżarem ciała przyparł ją do muru. Kamienie kłuły ją w plecy, ale nie czuła tego.

Chwycił ją za włosy. Teraz mógł trzymać jej głowę nieruchomo i wdzierać się do ust językiem. Uczepiła się kurczowo jego ramion. Wbijała palce w napięte, sztywne mięśnie. Krew pulsowała jej w uszach, zagłuszając szum przybrzeżnych fal.

Oderwał usta od jej ust. Odrzuciła do tyłu głowę. Wargami muskał napiętą łądygę jej szyi, ssał i lizał skórę, której każdy centymetr stawał w ogniu, jakby trafiały w nią maleńkie pioruny podczas letniej burzy. Przez cienki materiał sukienki obejmował drżące piersi, palcami wodził po stwardniałych brodawkach. Prawie ją to bolało, ale tylko prawie, a wszystkie jej mięśnie kurczyły się, kurczyły, kurczyły i już myślała, że rozpadnie się na kawałeczki, wybuchnie i umrze.

Podniósł głowę i spojrzał na nią posepnymi, udręczonymi oczami.

- Jessa, na miłość boską, jestem tylko mężczyzną. Boże, dopomóż. Nie myślę, abym mógł przestać...

Na ścieżkę posypały się kamienie i wtedy odskoczył od Jes-salyn z szybkością smagnięcia szpicrutą.

Nad krawędzią urwiska pojawiła się Bathsheba Stout. Odgarnęła z oczu gęstwinę splątanych czarnych włosów i przyglądała się im przez chwilę, niepewna, czy ją wzrok nie myli. Potem zrobiła lekko naburmuszoną minkę.

Wzruszyła ramionami, jej piersi uniosły się, wypełniając wyblakły materiał znoszonej sukienki.

- Może oddamy łódź, sir. Kiedy tato zauważy jej brak, pewnie chwyci za ramię.

Porucznik Trewlany oparł się o mur. Oddychał szybko, jakby nagle na całym świecie zabrakło powietrza. Na twarz wystąpiły mu wypieki, na skroni pulsowała żyłka. Jego męskość sterczała pod materiałem obcisłych spodni. Zorientował się, że Jessalyn patrzy na tę część jego ciała. Odwrócił się nagle i przeszył ją ostrym spojrzeniem. Odczuła to jak lekkie uderzenie w podbrzusze.

Jego oczy wyglądały jak dwie żywe rany na twarzy gorejącej wzburzeniem i żądzą. I czymś jeszcze... Czymś podobnym do nienawiści.

Jessalyn, kuśtykając, przeszła boczną bramą. Kociaka trzymała przy piersi. Coś było nie w porządku. Sierżant Major stał na środku podwórza z muszkietem w ręku, u jego stóp leżała skrwawiona i martwa rybitwa. Widok był niesamowity, lecz jeszcze bardziej zdziwiło ją coś innego. Od strony wrzosowisk zbliżał się samotny jeździec. Jakiś mężczyzna jechał na wynajętym czarnym koniu. Tak się trząsał i podrygiwał, jakby zupełnie nie przywykł do tego, by mieć pod sobą osiodłane zwierzę.

Jessalyn trzymała kociaka przy sobie, obserwując, jak powoli powiększa się sylwetka na koniu. Zaczął ją ogarniać jakiś dziwny niepokój. Do End Cottage nie przyjeżdżało się z wizytą. Poza tym nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny. Sierżant Major także zachowywał się jakoś dziwnie. Jakby się dławił. Wkrótce odwrócił uwagę Jessalyn od nieznanego. Łzy płynęły strumyczkami po zagłębieniach twarzy starszego mężczyzny, który jednostajnym, powolnym ruchem kiwał głową.

- Nie żyje - powiedział. - Żrebica nie żyje.

- Nie żyje! - powtórzyła Jessalyn, sądząc, że może się przejęzyczył, że na pewno chodzi o rybitwę.

Słowa płynęły potokiem z jego ust. Przez krótką chwilę wypowiedział ich więcej, niż kiedykolwiek wcześniej od niego usłyszała. Strzelił do rybitwy, a huk wystrzału spłoszył Nadzieję Lettych. Serce żrebicy musiało w jakiś sposób niedomagać.

Zwierzę najpierw zaczęło galopować w obrębie zagrody, wierzgać i wyrzucać do góry kopyta, potem zaś runęło na kolana i już martwe przewróciło się na bok. Jessalyn patrzyła na masztalerza szeroko otwartymi oczami. Wprawdzie jakąś cząstką siebie rozumiała, co się do niej mówi, ale nie chciała i nie mogła uwierzyć, że to prawda. Usłyszawszy dzwonienie podków o kamienie, odwróciła się. Nieznajomy minął bramę i zbliżał się do środka podwórza. Pomyślała sobie, że nic nie musi robić, tylko czekać na niego, a potem wszystko już będzie dobrze. Jak gdyby obcy mężczyzna mógł uwolnić ją od zetknięcia się z brutalną prawdą. Z tym, o czym mówił jej Sierżant Major.

Mężczyzna zsiadł z konia i ruszył w jej stronę. Po drodze zdjął kapelusz i odsłonił głowę o włosach w kolorze dojrzewającego zboża. Miał pociągłą twarz, szare cienie pod oczami i czoło poprzecinane głębokimi zmarszczkami.

- Panna Letty? - zapytał niepewnie.

Jessalyn skinęła głową. Była świadoma, że Sierżant Major odszedł w kierunku stajni. Nadzieja Lettych zachowywała się bardzo dziwnie. Zastygła w bezruchu w zagrodzie tuż przy stanowisku, gdzie czyszczono konie. Jfot wykręcał się, miauczał i drapał Jessalin w rękę. Nie wypuszczała go, ponieważ podła rybitwa mogła wrócić; tyle że też była martwa. Widok bezkształtnej masy, w jaką przemienił się ptak, i splamionych krwią piór był dosyć przekonującym potwierdzeniem owego faktu. Nieznajomy mężczyzna o wymizerowanej twarzy i gęstwinie jasnobłond włosów przyglądał się jej uważnie. Nie mógł nie zauważyć, że jej suknia jest brudna i podarta, a ze zranionej dłoni spływa krew.

- Panna Letty? - zapytał znowu, jak gdyby nadal nie miał pewności, że stoi przed właściwą osobą. - Nazywam się Geoffrey Stanhope. Jestem... ten... przyjacielem pani matki.

Jessalyn potrząsnęła głową i drgnęła, jakby nagle obudziła się ze snu.

- Ale przecież ja... - Coś podobnego do nadziei zaświtało w jej sercu, nadziei zmieszanej z obawą. - Mojej matki?

- Tak. - Za plecami Jessalyn otworzyły się jakieś drzwi. Przybysz spojrział w tamtą stronę. Miał oczy jak u cielaka: brą-

zowe, łagodne i szkliste. - Po śmierci twojego ojca matka, hm... zdecydowała się zostać ze mną - oświadczył.

- Tak, tak, tworzyliście obydwójce parę, którą na lata połączył grzech... - Podeszła do nich lady Letty, stukając laską o kamienie, którymi wyłożono podwórze. Starsza pani przeszła na surowy, toporny język mieszkańców krainy położonej wokół Wheal Ruthe. - I czy ta dziwka jest tego warta?! Czyżbyś doznawał szczególnej przyjemności, obcując z kobietą, która przyprawiała rogi swojemu prawowitemu małżonkowi, gdy znajdował się na łożu śmierci! A potem opuściła swe jedyne dziecko!

Mężczyzna oblizwał usta, pełne i delikatne, niemal kobiece. Jego cielejące oczy spoczęły na twarzy Jessalyn.

- Miłość była silniejsza, a my, twoja matka i ja, nie umieliśmy się przed nią obronić. Ożeniłbym się z nią po śmierci twojego ojca. Ale sam byłem żonaty... z kimś innym.

- Cicho westchnął. - Nadal jestem. - Odwrócił się do lady Letty i podniósł rękę, jak gdyby prosił ją o zrozumienie. - Emma i ja... Nasza miłość nigdy nie zostanie zaakceptowana przez Boga ani przez ludzi, ale nie moglibyśmy znieść rozstania. Sądziliśmy, że dziecku będzie lepiej tutaj z panią. Z dala od skandalu, który zawsze towarzyszył naszemu, hm... romansowi.

Lady Letty prychnęła.

- Tak właśnie jest. Całkiem jej tu dobrze. A ty? Czego chcesz?! Czego chce ta twoja ladacznica?! - Jej wystająca szczeka zaczęła drżeć. Objęła dziewczynę w pasie, jakby chciała ją do siebie przywiązać. - Nie dostanie dziewczyny z powrotem. Chyba że najpierw zobaczę ją martwą.

- Otóż to. Ona jest martwa. Emma nie żyje. - Na ostatnim słowie głos mu się załamał. - Spojrzał na Jessalyn. - Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. - Znowu zwrócił się do lady Letty. - Mimo wszystko dziewczyna jest jej córką. Ma prawo wiedzieć.

Jessalyn nie była w stanie ani poruszyć się, ani wykrztusić słowa. Tymczasem Sierżant Major wszedł do zagrody i zbliżał się powoli do Nadziei Lettych, ciągnąc ze sobą derkę. Przez chwilę zastanawiała się, co złego mogło się przydarzyć źrebicy, dlaczego leży tak nieruchomo pośrodku zagrody. I wtedy sobie przypomniała: źrebica była martwa.

Przybysz znowu coś mówił. Starła się go słuchać.

- Został dom w Londynie - rzekł. - Zgodnie z prawem należy do ciebie, ponieważ twój ojciec nabył go na krótko przed... Oczywiście dom nie ma czystej hipoteki, ale jest. Mieliśmy znaczne wydatki. Życie w mieście kosztuje. Pozostało też trochę pieniędzy, lecz obawiam się, że większość z nich już została wydana. I konie, czystej krwi angielskiej. Chociaż, prawdę mówiąc, musieliśmy urządzić wyprzedaż... jeszcze nim zachorowała. Mimo wszystko pozostawiła ci coś w rodzaju stajni wyścigowej.

- Dlaczego? - zapytała Jessalyn.

Mężczyzna zamrugnął i ściągnąwszy usta, głęboko odetchnął.

- No cóż, jesteś jej córką. Jej jedynym dzieckiem.

- Nigdy nie przyjechała, aby mnie odwiedzić. Ani razu. Nawet do mnie nie napisała. Dlaczego?

Nie patrzył jej w oczy. Dwie identyczne plamy w kolorze malin wystąpiły na jego policzki. Duże dłonie gniotły rondo bobrowego kapelusza.

- Ze względu na skandal. Sądzieliśmy... ona sądziła... - Wzdychał. - Nieważne, dlaczego. Mimo wszystko jesteś jej córką.

Nie chodziło o skandal - pomyślała Jessalyn. W ciągu dziesięciu lat musiała się obyć bez odwiedzin matki. Była zawadą w jej życiu. W ich życiu, jej i kocienki.

- Już nie - odpowiedziała przybyszowi. Kochankowi matki. Kociątko mrucało.

Jessalyn przytuliła policzek do puszystego futerka. Było ciepło. Słyszała bardzo szybkie uderzenia maleńkiego serca. - Już od dawna nie jestem jej córką.

Odwróciła się od mężczyzny i ruszyła do Sierżanta Majora. I przykrytej derką źrebicy - Nadziei Lettych.

Ożywczy wiatr miał słonawy smak. Szarpał wstążki kapelusza. Spódnica przywierała jej do nóg, podkreślając ich szczupłość.

Odpływ niedawno się skończył. Mężczyzna w szkarłatnym mundurze zbliżał się do niej po mokrym piasku. Utykał na jedną nogę, pozostawiając za sobą ślady niczym blizny. Zatrzymał się przy niej bez słowa. Nie dała po sobie poznać, że dostrzega jego obecność. Patrzyła w morze mieniące się plamkami barw, od zielonej poprzez niebieską do zimnej, szklistej szarości jej oczu.

- Panno Letty, Beka powiedziała mi o pani matce. I o klaczy. Naprawdę jest mi...
- Tylko nie mów, że jest ci przykro. Nieważne, z czym zechcesz to wiązać. Nie mów nigdy, że jest ci przykro. - Kosmyki włosów opadły na jej opalone policzki. Dotarł do niego jej zapach. Czuł przemożną chęć, by porwać ją w ramiona.

Jednakże nie była to jedyna rzecz, jaką aż do bólu pragnął robić z Jessalyn, i właśnie na tym polegał problem.

Słońce wyszło zza chmur, nadając jej skórze taki odcień, że piegi na jej policzkach błyszczały jak złoty pył. Powiódł wzrokiem po ostrych łukach brwi, stromiźnie prostego nosa, wyrazistej linii wokół szerokich i pełnych ust. Dotychczas nigdy nie pomyślał, że jest ładna. Teraz jednak dostrzegał, że w ciągu kilku lat stanie się uderzająco piękna. Ale dla niego nie miało to większego znaczenia. Na nic, co go w niej intrygowało, nie musiał czekać. Ani na ów olśniewający uśmiech, ani na radosny, ochryply śmiech, ani też na gorącą naturę tego trzpiota. Upajała się życiem. Jak gdyby było ono dużym kieliszkiem szampana -po wypiciu jednego natychmiast wyciągała rękę po następny, śmiejąc się przy tym... śmiejąc bez opamiętania.

Teraz się nie śmiała.

Morze pieściło plażę łagodnymi falami. Jessalyn się odwróciła, by spojrzeć na niego, przyjrzeć się jego twarzy.

- Dlaczego pan tutaj przyszedł, poruczniku Trewlany?!

Mówiła, jakby bolało ją gardło. W głębinach jej oczu, źródłach samej duszy, można było dostrzec serce. Nie skrywała uczuć. Nie nauczyła się tego robić. Życie nie doświadczyło jej jeszcze. Aż do tej chwili.

- Przyszedłem pożegnać się z tobą - odparł, starając się, by jego głos brzmiał możliwie beznamiętnie. - Udaję się do Plymouth, gdzie wsiądę na statek. Muszę dołączyć do mojego regimentu.

Tym razem zatrzymała na nim wzrok nieco dłużej, ale potem spojrzała w bok.

- Niektórzy oficerowie zabierają swoje żony do Indii Zachodnich.

- Jedynie głupcy albo mężczyźni, którzy nie szanują swoich żon. Tamtejszy klimat jest nieodpowiedni dla kobiet.

- Ale z pewnością są tacy, na których żony czekają w domu.

- Ci, którzy są w stanie je utrzymać.

- Ja nie potrzebowałabym wiele.

Coś ścisnęło go w gardle. Z trudem mógł oddychać, ale na pewno nie mówić. To, czego chciała, o co go prosiła, było nierealne. Bardziej nierealne niż w bajce, w której on byłby pasterzem, a ona dziewczyną przemienioną w zającą. Przynajmniej mieliby dla siebie noc przy błękitnym księżycu.

Wyciągnął rękę, musnął jej twarz opuszkami palców, ale zaraz pożałował, że to zrobił. Bo owo najdelikatniejsze z dotknięć rozpałiło w nim ogień pożądania i sprawiło, że zadrżał.

Właśnie: chodziło o żądę. Mógł ją zaspokoić teraz, natychmiast; mógł położyć dziewczynę na piasku, posiąść ją i odejść, nie obejrzawszy się nawet. O żądzy wiedział wszystko. I bardzo dobrze znał siebie. Tylko że Jessalyn... wydawało się jej, że go kocha, ale to, o czym myślała, było nierealne. I dlatego nie mogło trwać. W ogóle nie istniało coś takiego jak miłość... była jedynie chuć. Nic więcej, tylko chuć, którą zaspokajało się w łóżku i która mijała nad ranem.

- Potrzebujesz więcej, niż mogę ci dać - rzekł poruszony sposobem, w jaki słowa przedarły się przez jego gardło. - Zaslugujesz na więcej.

- Nie rozumiesz. - Odwróciła się do niego z bólem i tęsknotą w oczach. - Wcale nie chcę pozostać czysta dla jakiegoś nudnego, statecznego mężczyzny. Człowieka, który poślubi mnie, a kochał będzie swoją metresę. Który w niedzielę pojedzie do kościoła, w piątek na polowanie, pozostałe zaś dni tygodnia spędzi, upijając się portem. Kogoś takiego, kto na święta rzuci służbie szylinga i będzie się spodziewał wdzięczności.

- Gdzie się podziewa ten wzór doskonałości? Może sam zechciałbym go poślubić.

- Ach... - Z jej piersi wyrwał się śmiech, który po chwili przeszedł w łkanie. Lecz ogromne szare oczy, które patrzyły na McCady'ego, jaśniały pełnym blaskiem.

Kryły się w nich uczucia, których nie rozumiał, które w głębi jego serca budziły przerażenie. - Chcę spędzić życie z tobą - powiedziała. - Z tobą. Podobają mi się twoje wiecznie skrzywione usta, jakbyś się ciągle dąsał; szorstkie, delikatne dłonie i ten cudowny sposób patrzenia na świat: bez żadnego respektu. Pragnę mężczyzny,

który buduje żelaznego konia i nie obawia się zabrać mnie na przejażdżkę... Spoglądała na niego, jakby był najwspanialszym mężczyzną na ziemi. Nie miała pojęcia, jaki był naprawdę, nic nie wiedziała o czynach, jakich się dopuścił... Nie mogła mieć wyobrażenia, co to znaczy maszerować w rytm werbli, przenosić się z kwatery na kwaterę, mieszkać w szopach, szałasach i namiotach, a gdy są dzieci - robić wszystko, by mizerna pensja wystarczyła rodzinie na cały miesiąc. Gdyby zabrał ze sobą Jessalyn, na pewno któregoś dnia by odeszła. W momencie, gdy wygasłoby pożądanie. Był tego pewien tak samo jak tego, że noc następuje nawet po najbardziej słonecznym dniu, że najpiękniejsze nawet lato ustępuje przed brzydką zimą.

Głęboko westchnął.

- Nie wiesz...

- Przeciwnie! Wiem, co zamierzasz powiedzieć, ale to nieważne. - Łzy potoczyły się po jej policzkach. Otarła je wierzchem dłoni. - Ciebie chcę poślubić. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani za kogo się uważasz, ani że jestem zbyt młoda, ani że uważasz się za starego. To nic, że jesteśmy biedni...

- Ale mnie to przeszkadza. Jeżeli w ogóle się ożenię, moją wybranką będzie kobieta, a nie wiotka marchewka prosto ze szkolnej ławy. Kobieta z pieniędzmi i manierami, żadna tam prowincjonalna panienska, która nie ma nawet porządnego garnka do gotowania zupy.

Stała nieruchomo. Zaległa cisza. Tylko woda szeptała na piasku i kamieniach.

Twarz dziewczyny wyglądała tak, jakby przed chwileczką McCady wyrwał z jej piersi serce.

- Ale ja cię kocham - powiedziała w końcu. Tak cicho, że jej głos zlał się z odgłosami morza. Wcale jednak nie musiał słyszeć tych słów. On je czuł.

- Niedobrze, panno Letty. Bo ja tego uczucia nie odwzajemniam.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, póki jeszcze starczało mu na to odwagi. Uciekał od niej. Od tego wszystkiego, kim, jej zdaniem, mogła dla niego być. I od tego, kim nigdy nie mógłby się stać dla niej.

- McCady! - krzyknęła. - Nie zostawiaj mnie. Kocham cię! Przyspieszył kroku. Jeśli już miał ją zranić, to lepiej teraz

ten jeden raz, niż później tysiąc razy na tysiąc sposobów. Blask, jaki widział w jej oczach, nie trwałby długo. Zgasłby wraz z pożądaniem. Potem znienawidziłaby siebie i jego za to, że okazała się tak głupia. Wolał nie być przy tym, gdy do tego dojdzie.

Zatrzymał się w połowie drogi w górę klifu i obejrzał. Jessalyn stała przygarbiona, z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakała. Jej cudowny, ochrypły śmiech słyszał tego lata z tysiąc razy. Wolałby nie pamiętać, że gdy widział ją ostatni raz, roniła łzy... z jego powodu. Do licha, była taka młoda, zbyt młoda, aby wiedzieć, że lepiej nie zadawać się z człowiekiem jego pokroju. I mimo wszystko jeszcze dość młoda, aby o nim zapomnieć.

Po raz drugi zatrzymał się na szczycie urwiska. Teraz Jessalyn stała wyprostowana, wysoka, szczupła, nieruchoma na tle mlecznego kornwalijskiego nieba. Wiatr szarpał wstążki przy kapeluszu, który jej podarował, kapeluszu z bukiecikiem żółtych pierwiosnków. Przypuszczał, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy będzie mógł spacerować wzdłuż tej białej piaszczystej plaży nad niebieską wodą i nie myśleć o tej chwili.

Wiedział na pewno, że już do końca życia trudno mu będzie znieść widok żółtych pierwiosnków.

CZĘŚC DRUGA

XII

W Newmarket Heath między niebem a ziemią wisiały przejrzyste zasłony deszczu. To był ciągły deszcz. Z pozoru niewinny, ale zdradziecki, uparty deszcz, który przenikał nawet przez materiał najgrubszego wełnianego płaszcza i zmienił trawiasty tor wyścigowy w chlupoczące bajoro.

Lady Letty siedziała pod skórzanym dachem rozklekotanego kabrioletu i z nachmurzoną twarzą spoglądała w niebo. Podniosła do oka monokl i skierowała wzrok na linię startu.

- Upłynie najmniej pół godziny, zanim coś się ruszy. Akurat wystarczy nam czasu, żeby postawić jeszcze ćwierć setki na naszą szkapę.

- Och, babciu... - Jessalyn odetchnęła i zmarszczyła nos. Wynajęty powóz wydzielał woń pleśni i zatechłej tabaki. - Nie możemy ryzykować następnych dwudziestu pięciu funtów.

- Co? Nic cię nie słyszę, dziewczyno.

Jessalyn przyłożyła zwinięte dłonie do ust i nachyliła się do babki.

- Jeśli ogłuchłaś, babciu, będę musiała postarać się o specjalną trąbkę!

- Hę?

- A jeżeli stracimy jeszcze więcej, będę musiała pożyczyć trochę pieniędzy od pana Tiltwella.

- Zabraniam - oświadczyła lady Letty, zdradzając, o czym Jessalyn dobrze wiedziała, że słyszała każde słowo.

- Żadna kobieta o nazwisku Letty nie pożyczła nigdy pieniędzy od swojego narzeczonego. - Monoklem boleśnie trąciła Jessalyn w kolano. - Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że nie wychowałam cię odpowiednio.

Jessalyn roztarta piekące kolano.

- Clarence nie jest moim...

- Do diaska, wiem, kim jest dla ciebie ten chłopiec, i wcale mi się to nie podoba.

Clarence Tiltwell nie należy do mężczyzn, których się poślubia, moje dziecko.

Rozumiem, że może masz do niego niejaką skłonność... Ma pewien urok, jeśli ktoś gustuje w mężczyznach bladoliczych i jasnowłosych. Ja osobiście nie przepadam za nimi. Zatem niechże Bóg da ci cierpliwość i pozwoli bezpiecznie poślubić kogoś z twojej klasy... A potem możesz wziąć go sobie do łóż...

- Za nic w świecie nie chcę Clarence'a Tiltwella w ten sposób - niemal wykrzyknęła Jessalyn. - Ma zostać moim mężem - dodała szybko, kiedy lady Letty przeszła ją przenikliwym spojrzeniem. To nie miało sensu. Spierały się już wcześniej i jak przystało na rodzinę Lettych, żadna z nich nie chciała ustąpić.

Tak się przewrotnie złożyło, że Jessalyn przyjęła propozycję Clarence'a Tiltwella głównie ze względu na babkę. Poślubiając go, mogła zapewnić starszej pani dostatnie życie do końca jej dni. Chociaż nie. Powinna być uczciwa przynajmniej wobec siebie. Nie chodziło tylko o babkę. Przecież pewnego dnia i jej miało zabraknąć. Jessalyn nie chciała spędzić całego życia w samotności. Pragnęła mieć dom, męża, dzieci. Clarence mógł dać jej to wszystko. Powtarzała to sobie może już po raz setny. Czy wolno jej było oczekiwać czegoś więcej? Poza tym lubiła go, lubiła szczerze. Korzenie ich przyjaźni sięgały lat dzieciństwa. Należało oczekiwać, że jako mąż i żona przeżyją dobre lata.

A Clarence kochał ją. Często jej przypominał, jak bardzo ją kocha.

Mimo to Jessalyn marszczyła czoło, spoglądając przez deszcz w stronę gromadki niespokojnych koni i dżokejów w tęczowych taftach. Dwadzieścia pięć funtów, które jej babka chciała postawić, stanowiło ostatnie oszczędności gospodarstwa domowego Lettych. Jessalyn odłożyła je, aby mogły jakoś przetrwać zimę do dnia ślubu na wiosnę. Gdyby teraz wszystko przegrały, wtedy być może przyszłoby im sprzedawać rzeżuchę na brudnych ulicach Londynu.

Ale nie mogły przegrać. Nie tym razem.

Jessalyn zeskoczyła z powozu prostu w błoto, które miało konsystencję zbyt szybko ugotowanego budyniu. Zwróciła twarz

ku płaczącym chmurom i z rozkoszą pozwoliła, aby deszcz spryskał jej twarz kroplami drobnymi jak pył z buteleczki *eau de cologne*. - Jesteś głodna, babciu? Przynieść ci coś do zjedzenia?

Lady Letty gubiła się w myślach. Bezwiednie gładziła rączkę laski z migdałowca. W przyćmionym świetle skóra jej twarzy wydawała się blada i przezroczysta niczym skorupka jaja. W tym momencie wyglądała starzej niż zwykle.

- Babciu?

Lady Letty zamrugała, otrząsnęła się z zadumy i spojrzała na wnuczkę stalowymi oczami, które były takie same jak dwa kawałki rudy cyny na twarzy jej wnuczki.

- Nie, moje dziecko.

Wyciągnęła rękę i powiodła palcami po policzku Jessalyn w geście tak tkliwym i tak dla siebie nietypowym, że wzruszenie zaczęło dziewczynie dławić gardło.

Po chwili ręka lady Letty opadła bezwładnie. Wydawała się pozbawiona kości na tle grubej, czarnej spódnicy: wąska i długa dłoń o powykrzywianych reumatyzmem, starych i kruchych palcach. W Jessalyn obudziły się dobrze jej znane obawy. Czuła się samotna i przerażona. Jak wówczas, kiedy miała sześć lat i nie chciano jej tak jak starego ubrania.

- No, przestań mitrzyć czas i już idź - powiedziała lady Letty, robiąc groźną minę. Mimo to jej twarz promieniała miłością.

Jessalyn ścisnęła babkę za rękę i poczuła, że w starszej kobiecie drzemie jeszcze uspokajająca moc.

- Dziś jest nasz szczęśliwy dzień, babciu. Wiem to. Zaryzykujemy. Wygramy wszystko albo nic - powiedziała, śmiejąc się radośnie. Ludzie odwracali się i uśmiechali również.

Odwróciwszy się, ruszyła podskokiem, aby postawić dwadzieścia pięć funtów na rozstrzygnięcie najbliższego wyścigu, wygrać albo przegrać wszystko.

- Strzeż się oszustów i złodziei! - zawołała za nią lady Letty. Jessalyn poszła alejką, zaśmieconą mokrymi pokwitowaniami

wpłaconych stawek, wzdłuż rzędu stolików do gry, osłoniętych przed deszczem niskim baldachimem. Woda ściekała z pasiastego brezentu i zbierała się w kałuże.

Wokół tłoczyła się hałaśliwa grupka młodzieńców, zaledwie na tyle dorosłych, aby zacząć

się golić. Największy nawet głupiec, który odwiedzał wyścigi, wiedział, że kości były fałszowane. Mimo to zawsze znajdowała się jakaś nowa grupa dających się oszukać amatorów gry. Kiedy Jessalyn wmieszała się tłum, ścisnęła woreczek z pieniędzmi tak mocno, że stalowe kółeczka uwierały ją w palce nawet przez rękawiczkę. Na terenie wyścigów roiło się od kieszonkowców i złodziei wyspecjalizowanych w okradaniu torebek i portfeli.

Z licznych namiotów płynął zapach dojrzałego sera, węgorza w galarecie i gwar rozmów. Obok przeszedł wolnym krokiem handlarz z parującymi w chłodzie pasztecikami i jałowcówką. W brzuchu Jessalyn zaburczało z głodu. Nie zatrzymała się jednak. Chciała obstawić swojego konia, zanim wszyscy zawodnicy zbiorą się na linii startu.

Kiedy Jessalyn po raz pierwszy przyjechała na wyścigi, babka zwróciła jej uwagę, że przygląda się wszystkiemu, otwierając usta jak ryba. Newmarket obejmował sieć połączonych tras, ciągnących się przez ponad pięć mil po równych płaszczyznach gęstej, krótkiej trawy. Lecz wyścigi konne nie były tu jedyną atrakcją. Pod wieloma względami miejsce to przypominało jarmark. Tu i tam odbywały się walki kogutów, przedstawiano tańczące psy, mrozące krew w żyłach sztuczki i nieprzyzwoite obrazki.

Wyścig, który miał się odbyć tego popołudnia, nazwano gonitwą Crombiego, od nazwiska szkockiego lorda, który był jego organizatorem. Miały wziąć w nim udział konie dwuletnie. Właściciel, który wystawiał swojego dwulatka, musiał wpłacić pięćdziesiąt suwerenów. Do zwycięzcy należała cała pula. Obie panie Letty nie mogły się zadowolić wpłatą wpisowego. Było tak przede wszystkim dlatego, że kosztów utrzymania nawet małej gromadki czterech koni - wydatków na paszę, słomę, siano i utrzymanie stajni - nie mogły pokryć pieniądze z wygranej gonitwy. Żeby jakoś przeżyć, musiały zaryzykować zakład.

Jessalyn szła postawić pieniądze z żołądkiem ściśniętym do tego stopnia, że zbierało się jej na mdłości. Ostatnio zupełnie nie dopisywało im szczęście. Wałach, którego miały wystawić do wyścigu Rowley Mile w nadchodzącym miesiącu, dostał kolki. Nancy, ostatnio ich najbardziej dochodowy koń, w bardzo tajemniczy sposób złamała nogę w kolanie, kiedy ją puszczono na popas, i w konsekwencji trzeba było ulżyć jej cierpieniom.

W innym wyścigu wierzchowiec, który do nich należał, wyprzedzał całą stawkę o trzy długości, gdy jakiś kawałek papieru spadł na tor, płosząc go do tego stopnia, że zarżał, stanął dęba i zrzucił jeźdźca na murawę. Ostatnie dwie próby tego sezonu rozczarowały je całkowicie. Ich konie pobięły leniwie i ukończyły wyścig daleko za główną grupą.

Tak, szczęście nie dopisywało im absolutnie. Jednakże Jessalyn była pewna, że tego dnia fortuna powinna się odwrócić. Zwłaszcza w tym wyścigu i z udziałem tego konia. Odkąd czystej krwi angielskiej gniadosz przyszedł na ten świat, Jessalyn po prostu wiedziała, że któregoś dnia wygra dla nich derby. Wygląd gniadego konia wcale na to nie wskazywał. W rzeczywistości nie było na co patrzeć: wierzchowiec miał potężne kopyta i zbyt krótkie golenie, co świadczyło raczej o sile niż szybkości. Lecz ilekroć Jessalyn zajrzała w owe jasne, inteligentne oczy, tylekroć dostrzegła w nich płomień niezłomnej woli zwycięstwa, który zapowiadał mistrza.

Nazwała konia Błękitny Księżyc.

Miejsca, gdzie zawierano zakłady, oznaczonego cienkim białym słupem, nie było prawie widać. Wokół kręcił się tłum dżentelmenów, większość z nich na koniach. Podawali swe typy bukmacherom, zawierając zakłady~o różnorodnych stawkach. Bukmacherzy, schowani pod wiatą, podawali swoje stawki.

Black Charlie była jedyną kobietą bukmacherem w całej Anglii. Kobieta tak okazałej postury, że nie było widać spod niej stołka. Wyglądała jak siedząca na kamieniu ogromna żaba. Podobno zarabiała do dziesięciu tysięcy funtów rocznie, ale wyglądała i ubierała się jak praczka ze Spitafields w Londynie, którą zresztą kiedyś była. Jessalyn zadbała o to, aby stanąć przed nią od zawietrznej strony, ponieważ kobieta cuchnęła gorzej niż kosz zgniłych jaj. Kiedyś wyznała Jessalyn, że zbyt wiele czasu spędziła przy wodzie z mydłem, aby kiedykolwiek jeszcze zbliżyć się czy to do jednego, czy do drugiego.

- Aha, przyszła panienka postawić ciut więcej na swojego pięknego ogierka, no nie?

- zapytała Black Charlie, uśmiechając się mimo glinianej fajki trzymanej między poźółkłymi od tytoniu zębami. - Ile tym razem?

- Ćwierć setki. Na wygraną.

Black Charlie wpisała stawkę do notatnika. Pieniądze prze-

chodzący z rąk do rąk dopiero po wyścigach. - Och, nie ma strachu. Panienska i starsza pani nieźle się obłowicie, kiedy przyjdzie do wypłaty. Szkoda tylko, że nie mogę dać więcej. Ten wasz Błękitny Księżyc to nie lada zawodnik. Bez dwóch zdań. Zobaczmy, czy nie poprzerał pozostałych koni w osły.

Z przyzwyczajenia Jessalyn sprawdziła listę uczestniczących w wyścigu koni i ich notowania. Wszystkie dane zostały zapisane na dużej tabliczce łupkowej, która stała nad głową kobiety bukmachera. Wydawało się, że na Błękitnym Księżycu można będzie wiele zarobić, ponieważ jako młody koń wziął udział w dwóch gonitwach i pokonał większość swoich przeciwników z tej gonitwy. Przyjrzała się liście do końca.

- A ta ostatnia pozycja?

- He? A, Rum Chaser. Jego właściciel właśnie przed chwilą zaryzykował niezłą sumkę. - Black Charlie pokazała potrójnym podbródkiem na mężczyzn, którzy siedzieli okrakiem na stołkach obok niej. - Ci tu z miejsca płacą za niego w stosunku pięć do dwóch. - Prychnęła pogardliwie, wprawiając w drżenie policzki. - Można by pomyśleć, że Rum Chaser prezentuje się świetnie. Ale mój szpieg powiada, że nie jest w formie. Nie ćwiczył przez dwa tygodnie. - Zamilkła, pociągnęła z fajki i mrugnęła dużą, tłustą powieką. - I nie był karmiony chlebem moczonym w mleku ani świeżymi jajami jak Błękitny Księżyc.

Jessalyn rozpedziła gryzącą chmurę dymu, która wyrosła nad fajką kobiety bukmachera. Na zewnątrz starała się zachować powagę, ale wewnątrz czuła się rozdarta pomiędzy rozbawieniem a konsternacją. Sierżant Major byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że tajemnice diety Błękitnego Księżycy zostały zdradzone. W końcu jednak Black Charlie miała najlepszych szpiegów. Potrafili oni wyśledzić najlepsze konie podczas treningu i słuchali bardzo uważnie, co się tu i ówdzie mówi o faworytach.

- Rum Chaser nie trenował, od kiedy jego właściciel wyciągnął nogi - kontynuowała Black Charlie. - Podobno hrabia włożył sobie do ust grzmiącą rurę i wypalił.

- Właściciel tego konia się zastrzelił? - zapytała Jessalyn, ledwie słuchając. - Starła się dojrzeć Błękitnego Księżycy na linii startu.

- Ano tak. Chodziło o jakieś karciane sprawy. Najpierw spłu-

kał się do czysta, a potem został przyłapany na oszustwie. No i wybrał honorowe rozwiązanie. Ludzie mówią, że spadkobierca hrabiego był kiedyś żołnierzem bez grosza przy duszy. Dopiero później uśmiechnęło się do niego szczęście. Jedno mogę powiedzieć na pewno: jest takim samym straceńcem jak jego brat. Postawił tysiąc funtów na to, że jego koń wygra. Cały lord Caerhays.

- Co takiego? - wykrztusiła Jessalyn. W jednej chwili serce skoczyło jej do gardła. - Rum Chaser należy do hrabiego Caerhaysa? Dobry Boże... - Wzięła głęboki oddech i poczuła, że jej serce znowu zaczyna uderzać głośno. - Czy on tu jest? Czy poru... lord Caerhays jest tutaj?

- A stoi sobie akurat za panienką. - Rechot wielkiej kobiety wzbił się w powietrze. - Wygląda zabójczo. Typ mężczyzny, któremu można zaufać. Rzecz jasna, gdybym miała się przed kimś bronić, bo już na pewno nie powierzyłabym mu do upilnowania cnoty swojej córki. Mam rację?!

Jessalyn odwróciła się tak szybko, że niewiele brakowało, a potknęłaby się i upadła. Ujrzała szerokie plecy wysokiego mężczyzny i niedbale przerzucony przez ramię płaszcz z kapturem. Chwilę później mężczyzna odwrócił się w jej stronę i wtedy poczuła w piersi rwący ból. Ból tak ostry i sięgający tak głęboko, że niemal krzyknęła.

Upływ czasu utrwalił nieregularne rysy jego pociągłej twarzy, ale nadal był przystojny i zachowywał się w swobodny, niewymuszony sposób. Gdyby jakaś kobieta dostrzegła go z drugiego końca balowej sali, zapragnęłaby znowu zerknąć w jego stronę.

Ale dla Jessalyn już jedno spojrzenie było czymś ponad miarę. Nie mogłaby oderwać od niego wzroku, nawet gdyby za jej plecami stanął w ogniu cały świat. Miał ogorzałą od słońca skórę, jego włosy w splątanych pasmach wychodziły spod błyszczącego wysokiego kapelusza. Lekko podniósł głowę, spoglądając w stronę słupa startowego. Coś błysnęło niczym nowa moneta pod zakrzywionym rondem. Cienki złoty kolczyk w lewym uchu. A więc nie zmienił się, och, zupełnie się nie zmienił... Nadal był tym samym niegodziwym, dziarskim, lekceważącym wszystkich Trewlanym. Tym samym co dawniej, do głębi, do szpiku kości. Do diabła z tymi, którym to nie w smak. Wyob-

raziła sobie, jak matrony z towarzystwa krzywią się na samą myśl, że jeden z parów mógłby nosić w uchu piracki koleczyk.

Potem nastąpiło to, co było nieuchronne. McCady odwrócił głowę, ich spojrzenia spotkały się. Przyglądał się jej długo, twarz miał poważną i skupioną. Uczynił gest, jakby chciał odejść, ale w końcu rozmyślił się i podszedł do niej.

Nadal poruszał się jak rozleniwiony kot, kołysząc lekko wąskimi biodrami, ale płynność każdego kroku psuło w ostatniej fazie mimowolne drgnienie. Nie zmienił się, nie zmienił...

„Jeżeli w ogóle się ożenię, moją wybranką będzie kobieta, a nie wiotka marchewka prosto ze szkolnej ławy. Kobieta z pieniędzmi i manierami, żadna tam prowincjonalna panienka, która nie ma nawet porządnego garnka do gotowania zupy.

Ale ja cię kocham.

Niedobrze, panno Letty. Bo ja tego uczucia nie odwzajemniam”.

Znowu poczuła się upokorzona, jak gdyby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj. Wówczas podała mu swe serce jak na dłoni, a on po prostu odwrócił się i odszedł. Jakże zabawnie musiała wyglądać w jego oczach, jakże musiał się z niej śmiać - głupiutka, nawiedzona panna Letty, która spada z urwistych nadmorskich skał i kopalnianych szybów i do tego prosi go, aby się z nią ożenił. Głupiutkie dziecko... Jakże go wówczas kochała!

I jakże go teraz nienawidziła!

Pod wpływem pierwszego impulsu miała ochotę odwrócić się i uciekać, ale zmusiła się, by stać prosto, przynajmniej dopóki był tuż przed nią. Tamtego lata zniszczył jej dumę. Wszystko, co z niej zostało, było w strzępach, ale teraz jakoś zdołała się tym okryć jak starą pocerowaną peleryną. Podniosła opanowaną twarz i ciężki brzeg spódnicy od kostiumu do konnej jazdy, po czym przepłynęła obok, jakby w ogóle go nie zauważyła.

Jakiś lokaj w purpurowo-złotej satynowej liberii wpadł na nią, niemal zbijając z nóg. Naraz dostała się między całe stado biegnących lokajów. Kilku dżentelmenów, znudzonych oczekiwaniem na rozpoczęcie gonitwy, wystawiło swoje sługi do wyścigu o zasięgnięcie języka.

Jeden z lokajów, gruby i krągły jak piłeczka, wbity w przyciasną purpurowo-złotą satynową liberię, z peruką spadającą na

oko, włókł się daleko za wszystkimi. Jego pan jechał konno przy nim, rozkazując, by brał się do galopu i, do licha ciężkiego, ruszył wreszcie swoje ciężkie siedzenie. Lokaj, dysząc jak lokomotywa, podskoczył wysoko i wylądował w kałuży. Błotnista fontanna wystrzeliła w powietrze. Jessalyn zatrzymała się, ociekając błotem, oniemiała, póki jakaś ręka nie zamknęła się na jej ramieniu i nie ściągnęła z drogi.

- No proszę, proszę, daję głowę, że to panna Letty, na dodatek jak zwykle w tarapatach. Zawsze podejrzewałem, że jeśli spotkamy się jeszcze, to na pewno w miejscu, które w żaden sposób nie będzie do Ciebie pasowało.

Zanim mogła cokolwiek powiedzieć, najpierw musiała przełknąć ślinę. Miała wrażenie, że język jej zdrewniał. Podniosła wzrok na jego twarz, jakże przystojną nad wysokim, krochmalonym kołnierzykiem i wymyślnie zawiązanym krawatem. Na jego oczy, jakże ciemne i zniewalające. Na usta, usta, które, wiedziała o tym, mogły być na przemian to ściągnięte i zimne, to nadąsane.

Usta, którymi ją kiedyś całował.

- Przecież jestem w miejscu ze wszech miar odpowiednim - odparła, zadowolona, że jej głos nie zdradza niczego, co działo się w jej sercu. - Mój koń, Błękitny Księżyc, bierze udział w gonitwie Crombiego. Muszę zobaczyć, jak ucieka konkurentom po nagrodę, panie... Proszę mi wybaczyć, wprawdzie pańska twarz wydaje mi się znajoma, ale nazwisko gdzieś mi uleciało... Nie, mam. Trewlany. Porucznik Trewlany.

Jego oczy rozbłysły gniewem. Surowym, gwałtownym gniewem, który zresztą dosyć szybko został powściągnięty.

- Obecnie lord Caerhays, a ty, do licha, na pewno pamiętasz mnie bardzo dobrze, Jessalyn. Dawniej nie byłaś taka dobra w uszczypliwych, pełnych złości gierkach.

- Człowiek, u którego pobierałam nauki, znał się na rzeczy. - Znowu podniosła brzeg spódnicy. - Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci brata. A teraz zechce mi pan wybaczyć...

Postąpiła krok, ale on zrobił dłuższy, zagrządzając jej drogę. Wykrzywił usta w aroganckim uśmiechu.

- Nie zechcę, panno Letty. Przynajmniej do czasu, gdy nie wymienimy najbanalniejszych uprzejmości. Powinnaś mnie za-

pytać, jak mi się wiedzie, a ja odrzekłbym: „W miarę dobrze, dziękuję”. Wówczas zapytałbym, co u ciebie.

Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy i postarała się, aby to wyglądało szczerze.

- Uprzejmie proszę o wybaczenie. Nie chciałam być nieuprzejma. Ośmieliłam się tylko sądzić, że stan moich spraw jest panu zupełnie obojętny... tak jak mnie pańskie sprawy nie obchodzą.

Pochylił się i zbliżył do niej tak bardzo, że mogła dostrzec początki zarostu na jego twarzy i ruchome cienie w głębinach oczu.

- A więc spieszę donieść, że jesteś w błędzie - powiedział, przeciągając sylaby w uwodzicielski sposób - ponieważ w ciągu ostatnich pięciu lat myślałem o tobie codziennie.

- Ja także o panu myślałam, milordzie. Na samym początku. Potem doszłam do wniosku, że to pan miał rację. Nie pasowaliśmy do siebie. I zajęłam myśli czymś zupełnie innym.

Jakże się zdziwiła, kiedy odchylił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Świetny występ! - zawołał. - To mi naprawdę dopiekło do żywego. Nadziałaś mnie na szpikulec jak bożonarodzeniową geś, wbiłaś szpilę jak w poduszeczkę do igieł, pocięłaś na plasterki jak cebulkę, posiekałaś jak... jak... wygląda na to, że mi się wyczerpały metamorfozy. Panno Letty, ano właśnie, jesteś nadal panną Letty? Czy powinienem zwracać się do ciebie jakoś inaczej? Pani Szanowna może? Pani Nudna?

Już otwierała usta, aby mu powiedzieć o zaręczynach z jego kuzynem. To, bardziej niż cokolwiek innego, powinno uzmysłwić mu, że otrząsnęła się z tego, co zrobił z jej sercem i dumą. Lecz kiedy odwróciła głowę, spostrzegła na sobie jego wzrok.

Zobaczyła eksplozję w bliźniaczych słońcach, płonących jaskrawo w jego oczach, niepokojących jak zawsze, i nawet po tych wszystkich latach poczuła, że serce zaczyna jej bić znacznie szybciej i silniej.

Wpatrywała się w niego, czując nienawiść. Nienawidziła go teraz za to, że zrobił to jej... że w ciągu pięciu minut zburzył wszystkie ściany, które przez pięć lat budowała.

- Wyrosłaś nieco, dziewczynko - powiedział głosem ochryp-

łym, ale zawierającym zapowiedź niebezpieczeństwa, które, hm, znała aż zanadto dobrze.

Wyrosła... też coś. Powinien pamiętać, że była teraz kobietą, a nie głupiutką bosonogą dziewczyną, która bez przerwy czymś się przy nim kompromitowała. Kostium okrywał pełne piersi, a pod cygańskim kapeluszem miała włosy starannie uczesane i zaplecione w stateczny kok. Tylko że włosy miała nadal rude, a usta nieproporcjonalnie duże.

„Jeżeli w ogóle się ożenię, moją wybranką będzie kobieta, a nie wiotka marchewka prosto ze szkolnej ławy...”

Poczuła w żołądku twardy węzeł. Uciekać... Musiała uciec od niego, zanim... Zanim zorientowała się, do czego zmierza, chwycił ją pod ramię i poprowadził wzdłuż rzędu pomalowanych na białą palików, które znaczyły prosty odcinek toru. Dotykał jej lekko, bezosobowo, lecz wewnątrz odczuwała to silnie, niczym sięgającą kości ranę.

Puścił ją, aby położyć rękę na jednym z palików. Trzymał drewno mocno, aż żyły i ścięgna nadgarstka napięły się, sprawiając, że brązowa skóra jego rękawiczki rozciągnęła się na kostkach. Zerknęła ukradkiem na jego twarz. Patrzył w stronę białego słupa startowego, gdzie zbiefaii się uczestnicy gonitwy. Drgnął mięsień na jego twarzy.

Dżokeje, niczym modnisie strojni w barwne tafty, przepychali się na starcie. Nie sposób było odróżnić poszczególne konie. Sierść każdego z nich była ciemna i lśniaca od wilgoci jak u wydry. Kątem oka widziała, że McCady się poruszył. A nawet zaczął od niej odchodzić. Zdażyła już po cichu odetchnąć z ulgą, kiedy nagle zawrócił i energicznie zrobił dwa długie kroki. Jego dłonie opadły na jej ramiona. Odwrócił Jessalyn do siebie. - Dlaczego nazwałaś go Błękitnym Księżycem? Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego. Przez moment nie słyszała wołań handlarzy i bukmacherów. Widziała siebie: tańczyła przed nim, śmiała się, schyliła, by zerwać kwiat i wsunąć mu za ucho. Słyszała westchnienia morza i czuła na sobie powiew bryzy... podczas tamtej nocy błękitnego księżyca, kiedy wziął ją w ramiona i całował jak mężczyzna kobietę, której pożąda. Bezlitośnie, namiętnie, łakomie.

Nie chciała tego, ale czuła, że mur kruszy się coraz bardziej.

Spojrzała McCady'emu prosto w oczy. Chciała sprawdzić, czy on też to wszystko pamięta, ale niczego w nich nie zobaczyła poza cieniami.

- Nazwałam go tak, ponieważ jest wyjątkowy - wyjaśniła beznamiętnym, rzeczowym tonem. Powiedziała prawdę, lecz nie całą. - Jemu się uda, milordzie. Powinien wygrać derby ku radości babci i mojej. A teraz proszę okazać mi uprzejmość i zabrać swoje ręce. Nie lubię, kiedy dotykają mnie ludzie, których prawie nie znam.

Rozcapierzył palce i podniósł je wyrazistym, przesadnym gestem.

- Doprawdy proszę o wybaczenie, panno Letty. W przyszłości będę się starał nie dotykać pani. - Pochylił się nad nią tak blisko, że jego oddech poruszał kosmyki jej włosów. Serce Jessalyn zabiło mocniej. - Przynajmniej do czasu, kiedy przyjdzie nam się spotkać następnym razem.

Jego słowa poruszyły ją aż w żołądku. Następnym razem...? Bezwiednie zacisnęła dłonie. Żadnego następnego razu nie będzie.

Nie poruszył się ani nawet nie oderwał wzroku od jej twarzy. Rękaw surduta otarł się o jej ramię. Wiatr rozchylił połę jej kostiumu. Słyszała oddech McCady'ego. Zdawało się jej, że czuje bicie jego serca.

- Mam nadzieję, że Błękitny Księżyc wygra dla was jeszcze wiele wyścigów - oświadczył głosem, w którym nadal pobrzmiwał gniew. - Z wyjątkiem dzisiejszego. Pewien koniarz chce nabyć ode mnie Rum Chasera. Dodam, że jako ogier przeznaczony do hodowli zyskałby poważnie na wartości, gdyby okazał się zwycięzcą. Nie wspomnę o fakcie, że powiezie na swoim grzbiecie całą moją fortunę.

- Nie powinien pan pograżać się tak beznadziejnie, milordzie. Nielatwo będzie dzisiaj pokonać Błękitny Księżyc. Zwłaszcza przy tej pogodzie.

- A co, lubi się nurzać w błocie? - Zmarszczki wokół jego ust pogłębiły się, układając się niespodziewanie w uśmiech. Zdradzieckie serce Jessalyn znowu zakołatało.

- Błękitny Księżyc mknie jak wiatr w każdych warunkach. Skupił wzrok na jej ustach. Powietrze wibrowało między nimi jak zbyt wysoko nastrojona struna wiolonczeli. Jessalyn wytrzy-

mywała to spojrzenie, sama wpatrzona w jego ściągniętą twarz. Odbierała promieniujące od niego ciepło, i zapach.

Cofnęła się i odwróciła bokiem, nagle przestraszona. Atmosfera zdawała się gęstnieć tak bardzo, że nie miała czym oddychać. Czowała w piersi ciężar rozpacz, mimo to jej serce biło coraz szybciej i szybciej. Jak gdyby spadała w dół kopalnianego szybu i w żaden sposób nie mogła się zatrzymać. Coraz niżej i niżej, póki nie przeniosła się w tamto słodko-gorzkie lato. Znowu była tamtą dziewczyną. Biedną, głupiutką panną Letty. Kochała go, pragnęła. Utraciła. Tamten pierwszy raz niemal ją zabił, ale jakoś się z tego podniosła. Następny raz...? Nie. Już nigdy nie pozwoli się tak skrzywdzić.

Zwilżyła językiem usta, smakując chłodne krople deszczu z domieszką dymu.

- Pójdę już - powiedziała, odwracając się i oddychając głęboko. - Babcia będzie zachodzić w głowę...

- Stój! - Stanowczy ton, jakim to powiedział, zatrzymał ją w miejscu. Lecz kiedy się obejrzała, jego oczy nadal były pozbawione wszelkiego wyrazu, nieprzeniknione jak morze. - Goniłwa zaraz się zacznie - rzekł.

Miał rację. Konie stały na starcie w szeregu, przechodząc przez procedurę, która zwykle trwała "prawie godzinę". Odszukała w stawce Błękitnego Księżycy i dżokeja, Toppera. Chłopiec był ubrany w barwy Lettych: czerń i purpurę. Maść konia w przyćmionym świetle stała się niemal krwistoczerwona. Tor był szeroki, a dżokeje musieli walczyć o jak najlepszą pozycję w stawce, trącąc się wzajemnie szpicrutami. Konie stawały dęba i przebierały w powietrzu kopytami. Dżokeje kołysali się na końskich grzbietach. Taftowe nakrycia głowy podskakiwały jak korkowe spławiki na ryby.

Znowu stał blisko niej. Wciągnęła do płuc powietrze. Wilgotny zapach zmiążdżonej trawy uderzył w nią niczym morską falą, po czym odpłynął.

- Który z nich należy do pańskiego brata...?

- Do mnie.

- Tak... Bardzo mi przykro...

- Nie musisz się martwić o mojego konia. Zapewniam cię, że chociaż wad mam wiele, zwierzęta traktuję łagodnie. Jeżeli o to chodzi, to jestem naprawdę miękki.

To samo robił za pierwszym razem, kiedy się spotkali. Bawił się słowami, zataczał kręgi. Po rozmowie z nim czuła się oszołomiona jak po zejściu z karuzeli.

- Miałam na myśli pańskiego brata. Było mi przykro, gdy dowiedziałam się o jego śmierci.

- Dlaczego tobie miałoby być przykro? Nikomu nie jest. Włożył lufę pistoletu do ust i roztrzaskał sobie czaszkę, brudząc kawałkami mózgu różową tapetę. Zostawił mi jedynie tytuł i długi. Tym samym podtrzymał wieloletnią tradycję Trewlanych, by umierać młodo, gwałtowną śmiercią i w niesławie.

Spojrzała na jego twarz, odnotowując grymas goryczy.

- Czy pan również zamierza podtrzymać tę tradycję, skoro już został pan hrabią Caerhayssem?

Przeszył ją wzrokiem.

- Najprawdopodobniej.

Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzega wyraz cierpienia w spojrzeniu jego ciemnych oczu. Odwróciła się raptownie.

- Nadal nie wiem, który koń należy do pana, milordzie.

- Rum Chaser ma barwy zielono-żółte, panno Letty.

W kręgu stałych uczestników rywalizacji w wyścigach dżokejów nazywano „rycerzami świńskiej skóry”. Jessalyn bardzo się podobało to osobliwe wyrażenie, które nawiązywało do siodeł, używanych przez dżokejów do konnej jazdy.

Dostrzegła zielono-żółtą taftę rycerza dosiadającego ciemnego kasztana z białymi skarpetami na wszystkich czterech nogach. Wydawało się, że dżokej ma kłopoty z utrzymaniem konia pod kontrolą. Duży kasztan parskał, wierzgał i stawał dęba. Jego masywny zad wskazywał na siłę i szybkość, natomiast łukowata szyja świadczyła o waleczności. Black Charlie miała rację. Rum Chaser prezentował się znakomicie. Pozostawała tylko nadzieja, że jej szpiedzy nie mylili się co do kondycji wierzchowca.

Zerwał się wiatr, przynosząc tym razem nie zapach darni, lecz mężczyzny, który stał przy niej - odczuła zagrożenie, i coś, co rozniecało ogień w dole jej brzucha. Miał dość miejsca, aby się przesunąć, mimo to tkwił tak blisko niej, że mogliby dzielić tę samą trumnę. Uśmiechnęła się na tę absurdalną myśl.

- W dalszym ciągu nie cierpię, kiedy to robisz - rzekł. Gwałtownie odwróciła głowę.

- A co ja robię?

- Uśmiechasz się, jakbyś wiedziała coś, czego ja nie wiem. „Ale ja cię kocham. Niedobrze, panno Letty. Bo ja tego uczucia nie odwzajemniam”.

- Skoro pan pyta, to powiem. Właśnie myślę, że powinnam panu podziękować za odrzucenie propozycji małżeństwa, jaką panu złożyłam przed laty. Z całą pewnością uczyniłam to zbyt pośpiesznie i bez głębszego namysłu - odparła, uśmiechając się pogodnie i swobodnie. - Zabawne, czyż nie? Cóż, człowiek popełnia tego rodzaju błędy, kiedy jest młody i głupi.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć; nawet nie mrugnął. Oczy nie wyrażały niczego, były spokojne i mroczne jak podziemne stawy.

- Musimy teraz uważać, żeby nie powtórzyć drugi raz tego samego błędu - rzekł. O jakim błędzie mówił? Ona popełniła błąd czy on? Poczula na sercu ciężar, którego nie chciała. Gdyby w tym momencie w oczach McCady'ego pojawił się choć cień uczucia, najdrobniejsza choćby wskazówka, że tamtego lata coś dla niego znaczyła, przebaczyłaby mu wszystko.

Lecz spojrzenie jego oczu pozostało puste, nieprzeniknione. Musiała więc wziąć sobie do serca naukę płynącą z lekcji, jakiej jej kiedyś udzielił w dniu rozstania. Że nie wystarczy kogoś kochać. Miłość powinna być odwzajemniona.

Zabrział dzwon startowy. Oboje zakręcili się w miejscu niczym chorągiewka obok odległego słupa, kawałek płótna, którego biel odcinała się na tle zieleni niczym skrzydło mowy. Konie ruszyły.

Wrzaski widowni zlały się w coś, co mogło uchodzić za ryk setki wygłodniałych lwów. Ona sama nawet nie westchnęła. Z zapartym tchem śledziła czarne i purpurowe barwy oraz niepowtarzalny, niezgrabny krok Błękitnego Księżycy.

Jej faworyt znajdował się w tyle całej stawki. Mimo swojej waleczności Błękitny Księżyc miał niepokojący zwyczaj biec na końcu, by niemal w ostatniej chwili pokazać, na co go naprawdę stać. Jego inteligentny umysł pojmował, że wystarczy mieć z przodu głowę. Nie ma potrzeby wyprzedzać przeciwników od razu o całe dwieście jardów, kiedy wystarczy wyprzedzić

ich o wąż. Ale dlatego też wszyscy, których nadzieje i pieniądze zależały od jego gniadego zadu, przeżywali chwile grozy.

Jessalyn kołysała się na nogach, jak gdyby szturchały ją wiwaty tłumu. Gonicwa odbywała się na dystansie ponad półtorej mili po trasie krętej i okrutnej jak serce diabła. Końskie podkowy połyskiwały srebrem, opadając na wilgotną trawę niczym kosy. Jaskrawe tafty dżokejów łopotały na wietrze, ustawicznie wyzierając z mgły i układając się w języki żywego ognia.

Czarny wałach Andy Kancer szybko znalazł się na czele i utrzymywał prowadzenie. Jessalyn przypomniała sobie, że według ludzi Black Charlie Andy Kancer miał znakomity start, ale często brakowało mu wytrzymałości, aby równie dobrze finiszować.

Cała stawka znajdowała się po przeciwnej stronie toru, gdzie znajdował się zakręt ostry jak zgięty łokieć. Za zasłoną deszczu konie stały się cieniami i nie sposób było odróżnić jednego od drugiego. Naraz wypadły z białej mgły jak wystrzelone pociski. Mężczyzna przy jej boku znieruchomiał, kiedy Rum Chaser wyprzedził swoich rywali po wewnętrznej stronie toru i zaczął doganiać prowadzącego konia.

Podkowy dudniły o murawę niczym tysiąc werbli, wprawiając w drżenie ziemię pod stopami Jessalyn. Starła się wypatrzeć czerwono-czarną czapkę Toppera i wreszcie dojrzała ją, podskakującą dobrych pięć długości za prowadzącymi. Za późno - pomyślała. Za długo zwlekał. Potem, kiedy już mogło się wydawać, że wyścig jest przegrany, Błękitny Księżyc rozpoczął prawdziwy lot, idąc po zewnętrznej, dochodząc, dochodząc, dochodząc... Do mety pozostało jeszcze pięćset jardów i teraz trzy konie czystej krwi angielskiej pędziły krok w krok: czarny, gniady i kasztan. Wyteżały wszystkie mięśnie i ścięgna, aby zwyciężyć.

Jak było w zwyczaju, liczni obserwatorzy na koniach ruszyli na tor, aby dołączyć do uczestników gonicwy. Gdyby dżokeje nie nosili kolorowych czapek, nie sposób byłoby odróżnić koni biorących udział w wyścigu. Jessalyn dalej kołysała się nerwowo to w przód, to w tył. Wiedziała, że kręci się jak sardela, ale nie zwracała na to uwagi.

- Dalej, Błękitny Księżycu. Szybciej, szybciej... - powtarzała

melodyjnie, crescendo, stosownie do rosnącego napięcia, jak gdyby te słowa były rodzajem zaklęcia.

Zerknęła na mężczyznę u jej boku. Dostrzegła skupioną twarz i ściągnięte usta, świadczące o tym, jak wiele zainwestował w wyścig. Na chwilę zapomniała o wszystkim innym i nie zobaczyła, jak wyglądał początek najgorszego. Najgorszego z możliwych zakończeń.

Okrzyki podniecenia przeszły we wrzask, kiedy Rum Chaser runął na ziemię, wyrzucając w górę błyszczące podkowy i białe skarpety. Niebieski Księżyc uskoczył, nogi rozjechały mu się w błocie. Przez chwilę starał się odzyskać równowagę, ale nie mogąc pozbierać uciekających nóg, opadł na brzuch, uderzył chrapami w trawę...

I już się nie poruszył.

XIII

Jessalyn zdrętwiała z przerażenia. Obok niej przemieszczali się falą ludzie, konno i pieszo. Niezdarnie postąpiła jeden krok, potem drugi. Cała scena wyglądała tak, jakby naraz znalazła się w jakimś koszmarnym śnie, biegła po" grząskim, bagnistym gruncie i nie wiedziała, dokąd. Błękitny Księżyc nadal leżał na ziemi bez ruchu. Boże, o Boże, jest martwy - pomyślała Jessalyn. Topper pełznął w stronę konia, usta miał otwarte do krzyku, ale ona go nie słyszała. Głośniejsze były wrzaski innych ludzi, tętent końskich kopyt i bicie jej serca.

Nagle Błękitny Księżyc drgnął i poderwał się na nogi. Jessalyn odetchnęła z ulgą. Podczas upadku jedynie zapało mu dech w piersiach. Ale Rum Chaser nadal rzucał się na ziemi, rżał i przebierał nogami. Dżokej, który go dosiadał, ubrany w ubłoconą zielono-żółtą taftę, podniósł się niepewnie na nogi. Podszedł do niego hrabia Caerhays. Był sztywny i spokojny, stał z pochyloną głową w strugach rześistego deszczu.

W wilgotnym powietrzu rozległ się dźwięk dzwonu sędziowskiego, obwieszczającego zwycięstwo Candy Dancera. Kilka sekund później niczym prześcieradła załopotwały na wietrze skrzydła gołębi lecących z wynikami do Londynu.

Ktoś wręczył McCady'emu pistolet.

- Nie! - krzyknęła Jessalyn, ruszając w jego stronę. Odwrócił się do niej. Skuliła się pod morderczym, pełnym wściekłości spojrzeniem jego oczu.

Błyskawicznie wyciągnął rękę i boleśnie, niemal brutalnie chwycił za jej ramię. - Chodź no tu, do licha ciężkiego - warknął, przyciągając ją do siebie. - Sama zaczęłaś, więc może teraz zobaczysz, jak to się skończy.

Potężna goleń konia była złamana tak fatalnie, że postrzępiona krawędź kości przebiła cienką skórę i sterczała na zewnątrz. Koń ryczał z bólu.

- Mój Boże! - krzyknęła Jessalyn, odwracając głowę w bok. McCady przystawił lufę pistoletu do jej policzka z zmusił ją, aby odwróciła twarz. Pochylił się. Poczwała jego oddech, gorący jak pieszczota. Za to głos był zimny jak sople lodu.

- Patrz uważnie, do króćset diabłów!

Przez dłuższą chwilę trzymał pistolet przyciśnięty mocno do jej policzka. Czwała chłód na stężalej twarzy. Ryk konia stał się tylko czymś w rodzaju szumu, szmerem morskiej fali w pobliżu End Cottage. Zdziwiła się. Otaczały ją znajome zapachy: końskiego potu i zmiażdżonej trawy.

Odwrócił się, wycelował w głowę cierpiącego zwierzęcia i pociągnął za spust.

Wzdrygnęła się na odgłos wystrzału, ale zachowała milczenie. Potężne ciało kasztana poruszyło się, a następnie znieruchomiało. W powietrzu rozszedł się zapach siarki. Spojrzała na twarz McCady'ego. Wściekłość wykrzywiła rysy jego twarzy; promieniowała niczym blask świętojańskiego ogniska. Jessalyn nie rozumiała, dlaczego była skierowana akurat na nią.

Jego głos przeciął powietrze jak ostrze szpady podczas pojedynku:

- Dużo wygrałaś?

- Wygrałam! Straciłyśmy sto dwadzieścia pięć funtów, nie licząc wpisowego.

- Nie wierzę, że straciłaś choćby ćwierć pensa. - Palce mężczyzny wbiły się jeszcze mocniej w jej ramię. Musiała zacisnąć zęby, aby powstrzymać jęk. - Albo wasz dżokej został przekupiony, albo same mu zapłaciłyście. Gomitwa została ułożona. Miał wygrać Candy Dancer. Prawdopodobnie planowałyście przegrać bardzo gładko, ale kiedy okazało się, że w ostatniej

chwili do wyścigu przystąpił Rum Chaser, musiałyście sięgnąć po bardziej drastyczne środki. A oto wynik. - Cisnął pistolet na ziemię niedaleko martwego konia.

Jessalyn podniosła na niego szeroko otwarte oczy. Była jednocześnie zdumiona i wstrząśnięta. Te słowa wypowiadał par, osoba, która ze względu na swój status musiała mieć wpływy w Klubie Jeździeckim, wzbudzającej grozę organizacji, która nadzorowała wyścigi konne. Gdyby Klub dał wiarę jego oskarżeniom, wtedy być może ona i jej babka musiałyby zrezygnować z obecności w Newmarket Heath, a może w ogóle nie miałyby czego szukać na wyścigach.

- Nieprawda! - zaprotestowała. - Ja nie... Nigdy bym nie..

Odchylił do tyłu głowę i pełnym złości szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. Oczy mu rozbłysły, wzrok zatrzymał się na jej ustach. Pochylił się i odniosła dziwne wrażenie, że chce ją pocałować. Ale nagle odepchnął ją, jak gdyby budziła w nim odrazę. Gwałtownie odwrócił się i ruszył przez tłum.

Musiała podbiec, aby się z nim zrównać. Szarpnęła go za ramię.

- Jak pan śmie oskarżać mnie o coś tak nikczemnego! Nie mnie należy obwiniać za to, że okazał się pan takim głupcem, aby postawić tysiąc funtów na konia; który nie jest w formie.

Wyszarpnęła rękaw surduta z jej dłoni.

- Dobrze wiem, co widziałem. Kolizja nie była przypadkowa.

- Doprawdy? - Podniosła brodę. - Zatem proszę iść i oskarżyć nas. Ale skoro już dowiodę, że jest pan w błędzie, będę oczekiwała publicznych przeprosin za rzucenie cienia na dobre imię Lettych swoimi niegodziwymi kłamstwami. - Wykrzywiła dolną wargę w wyrazie pogardy. - A może pojęcie honoru jest wśród Trewlanym zupełnie nieznaną, Milordzie.

Twarz mu zbielała, drgnął mięsień policzka. Posłał jej ponure spojrzenie oczyma ciemnymi jak granitowe kornwalijskie klify. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł. Przyglądała się, jak idzie. Czuła się zdruzgotana i zraniona. Ale przynajmniej tym razem odwzajemniła zadany cios. Już nie jesteś głupiutką panną Letty - pomyślała, przepełniona poczuciem kobiecej dumy.

Tylko jak na złość przy Trewlanym jej perfidne serce nic sobie nie robiło z kobiecej dumy.

Błękitnym Księżycem zajął się Sierżant Major. Aby zwierzę nie niepokoiło się więcej, nałożył mu na głowę kaptur i okrył derką mokry grzbiet. Jessalyn nadbiegła w chwili, gdy chciał już odprowadzić konia pod wiatę, która w dniu wyścigów spełniała funkcję prowizorycznej stajni. Gniadosz chował lewą zadnią nogę pod brzuch, unikając kontaktu z ziemią szerokim, skośnym kopytem.

Jessalyn spojrzała błagalnie na posępną twarz Sierżanta Majora. Pragnęła, aby jej powiedział, że uraz nie jest poważny. Potrząsnął głową.

- Fatalnie skręcił nogę w pęcinie - rzekł lakonicznie jak zwykle.

Jessalyn powiodła ręką po opuchniętym stawie. Zdumiała się, jakim ciepłem promieniuje ciało konia. Mogło się zdawać, że wyciąga rękę w stronę rozżarzonego węgla.

- W tym roku już nie pobiegnie w żadnej gonitwie - dodał Sierżant Major. -

Właściwie nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze pobiegnie.

Jessalyn przytuliła policzek do końskiej szyi, ocierając się o szorstki materiał derki.

Koń odwrócił głowę i spojrzał na nią spokojnie inteligentnymi oczami z wnętrza czarnego kaptura, jakby dostrzegł jej rozpacz. Jessalyn musiała bardzo się starać, aby powstrzymać łzy.

Zapytała Sierżanta Majora, czy widział wypadek.

- Mhm - potwierdził.

- Czy nie sądzisz... czy nie wydawało ci się, że to nie był przypadek?

- Mhm - powtórzył. - To wyglądało na ułożony wyścig.

- Ale Topper przecież nie...

- Nie. Powiedziałem, że to wyglądało na ułożony wyścig. Nie powiedziałem, że to był ułożony wyścig.

Jessalyn kupiła mięso opiekane w cieście i zawinięty w papier pudding ryżowy, po czym dała pewnemu chłopcu szylinga, aby zaniósł lady Letty jedzenie i przekazał jej wiadomość. Sama udała się z Sierżantem Majorem, by bezpiecznie odprowadzić Błękitnego Księżycyca do boksu, gdzie czekała na zwierzę porcja owsa i odrobina ożywczego kanarkowego wina. Potem wyruszyła, by rozejrzeć się za Topperem. Nie musiała długo szukać. Stał obok przypominających szu-

bienicę wag i rozmawiał ze zwycięskim dżokejem. Niski, żylasty mężczyzna zdążył już zrzucić barwną taftę. Jednakże nadal, niczym straganiarz z londyńskiej ulicy, miał na sobie krzykliwie barwny strój: pomarańczową koszulę, żółte spodnie i szkarłatną apaszkę. Czerwony filcowy kapelusz z bażancim piórem przysłaniał jego śnieżnobiałe włosy.

Jessalyn uważała, że Topper lubi tak się ubierać, ponieważ większą część swego dotychczasowego życia spędził w świecie szarości i czerni. Młodzieniec był jednym z nieudaczników lady Letty. Pewnego dnia przed czterema laty, kiedy to zamieszkały w londyńskim domu, który Jessalyn odziedziczyła po matce, nad paleniskiem w saloniku zatkał się im przewód kominowy. Musiały wezwać kogoś, aby go przetkał. Kominiarz przyprowadził ze sobą chłopca, który wspinał się na wysokie i wąskie kominy. Chłopiec był niemal nagi, wychudzony i od stóp po głowę pokryty grubą warstwą brudu i sadzy. Zgrubiałe w wielu miejscach kolana i łokcie miał poranione do krwi. W ogromnych niebieskich oczach czaił się strach i drzemała rezygnacja. Lady Letty spojrzała na niego tylko raz i za dwie gwinee wykupiła chłopca od kominiarza. Myślały, że włosy kominiarczyka są czarne, póki nie kazały mu się wykapać.

Sądziły, że ma sześć albo siedem lat - taki był mały - ale powiedział im, że z całą pewnością skończył co najmniej trzynaście. Niewiele pamiętał z przeszłości: chatę na wsi i białego kuca. Nie wiedział, jak się nazywa. Kominiarz wołał na niego: Topper. Sierżant Major pierwszy posadził Toppera na końskim grzbiecie i odkrył, że chłopiec doskonale trzyma się w siodle i ma wrażliwe, zręczne ręce.

Jessalyn udało się teraz uchwycić spojrzenie chłopca i pomachała do niego ręką. Topper na pożegnanie zasalutował beztrosko koledze i ruszył wokół wagi. Jessalyn nadeszła z przeciwnej strony. Niewiele brakowało, a wdepnęłaby w stos parujących końskich odchodów.

- Niech no panienska uważa - powiedział z akcentem zdradzającym środowisko, w którym przeżył dzieciństwo. Wyciągnął rękę, aby jej pomóc. Jego twarz elfa wykrzywił grymas bólu.

- Ojej, Topper. Nie zraniłeś się podczas upadku?

- Boli mnie ramię, ale chyba przeżyję. - Ruchliwe usta chłopca rozchyliły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając przerwę

w użębieniu. Stracił przednie zęby od uderzenia trzonkiem szpicruty podczas swego pierwszego wyścigu. Brak przednich zębów stanowił honorową odznakę wśród rycerzy świńskiej skóry. - Tylko bardzo panienkę proszę, aby Beka się o tym nie dowiedziała. Będzie mi próbowała wepchnąć jedną z tych swoich olbrzymich piguł. Zresztą jak zawsze. - Ściągnął twarz. - Strzeż mnie, Panie Boże. To świństwo smakuje gorzej niż trucizna na szczury. Ale panienka zmartwiona. Błękitny Księżyc zwichnął nogę w pęcinie, to prawda, ale jest bardzo dzielny. Jeszcze będzie biegał, zobaczy panienka. Zmusiła się do uśmiechu.

- Topper, właściciel Rum Chasera oskarża cię o celowe przegranie wyścigu i spowodowanie wypadku.

Topper przechylił głowę i jak woźnica splunął przez dziurę między zębami.

- Za duże ryzyko. Gdybym chciał ustawić wyścig, dałbym zwierzęciu jakiś medykament. Nic łatwiejszego, wystarczy tylko wziąć kawałek kitu albo kulki opiumowe. Urządzić wypadek to sprawa niebezpieczniejsza. Już nie wspomnę o moim własnym zdrowiu. - Zerknął na nią przez jasne brwi i zmarszczył spiczasty nos. - Jeżdżę uczciwie i niech to panienka powtórzy temu całemu lordowi. Jego rycerz spowodował upadek, nie ja. Siedział w siodle kompletnie pijany i widział tyle co zezowaty pies. Może jaśnie wielmożny lord postawił trochę na konia, który wygrał.

Jessalyn zamknęła oczy, starając się odtworzyć w wyobraźni tamtą sytuację. Dżokej Rum Chasera rzeczywiście wydawał się oszołomiony, ale równie dobrze mógł to być wynik wstrząsu po upadku. A McCady... lord Caerhays... bez wątpienia nie udawał wściekłości, złości zrodzonej z rozpacz. Tak zachowuje się człowiek, który postawił więcej, niż mógł sobie pozwolić.

Struga deszczu bezlitośnie smagneła ją w twarz. Po raz pierwszy dotarła do niej świadomość, że jest przemoczona i czuje chłód.

Głos Toppera dobiegał do niej niby z samego dna kopalnianego szybu. Otworzyła oczy...

- Obiecałem kolegom, że spotkamy się w gospodzie „Pod Wesołym Woźnicą”, żeby wypić kilka głębszych.

Nagle przypomniała sobie, że udział Toppera w wygranej miał wynosić dziesięć funtów, i sięgnęła po torbę.

- Mam przy sobie parę szylingów. Przytrzymał jej dłoń.

- Nie trzeba, panienko Jessalyn. Mam trochę drobnych. Uśmiechnął się na do widzenia i odmaszerował, pogwizdując

przez połamane zęby. Zmarszczywszy brwi, obserwowała go przez chwilę. Topper chyba nie mógł celowo doprowadzić do zderzenia z Rum Chaserem. Za bardzo kochał Błękitnego Księżyca, aby ryzykować, że go zrani.

Nie, Topper nie uczestniczył w ustawieniu wyścigu. Zła na siebie, że pozwoliła McCady'emu zasiać w sobie ohydne podejrzenia, ruszyła do miejsca, gdzie babka czekała na nią w rozklekotanym kabriolecie.

Zrobiło się mroczno. Oparty o słup wiaty, pod którą wcześniej zawierano zakłady, stał samotny mężczyzna. Dostrzegłszy go, Jessalyn zwolniła. Pod jego wydatnymi kośćmi policzkowymi kładły się cienie, oczy błyszczały posepnie. Tak samo wyglądał wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Jak upadły anioł.

Odwróciła się i odeszła z wysoko uniesioną brodą.

Ilekcóż Clarence Tiltwell wchodził do Brooksa, tylekroć czuł ogromną satysfakcję. Jak gdyby członkostwo w tym ekskluzywnym klubie symbolizowało wszystko, co udało mu się w życiu osiągnąć. Zatrzymywał się w wyłożonym marmurem holu i wciągał w nozdrza zapach wosku, perfumowanych świec i... starych pieniędzy.

Myślał o ojcu. Albo raczej o człowieku, który uchodził za jego ojca.

Cieszył się, och, jakże się cieszył na myśl, że Henry'emu Tiltwellowi z jego twardym prowincjonalnym akcentem i rękoma prostego robotnika nigdy nie będzie dane przekroczyć progu świętych drzwi klubu.

Tego dnia myśli Clarence'a niezbyt długo krążyły wokół Henry'ego. Podążyły nieuchronnie ku mężczyźnie, który być może był jego ojcem. Po wstąpieniu do klubu najpierw przejrzał dokładnie księgę zakładów. Nazwisko starego hrabiego pojawiała się wielokrotnie. Tak samo jak jego trzech synów. Hrabiowie Trewlany, wszyscy jak jeden mąż, byli namiętymi i rozrzutnymi

graczami. Czy można było w to wątpić? Proszę bardzo, właśnie tego popołudnia ktoś powiedział Clarence'owi, że dwunasty hrabia Caerhays postawił niewiarygodnie dużą sumę tysiąca funtów na konia, który nawet nie dobiegł do mety.

Clarence'a ogarnęła ponura satysfakcja, radość zabarwiona odrobiną poczucia winy. Oto wkrótce jedynym śladem po Trew-lanych u Brooksa będą wyblakłe zapiski w księdze zakładów.

Oddał lokajowi laskę, kapelusz i rękawiczki. Przeszedł przez hol, stukając obcasami o białe-czarne marmurowe płyty. Przystanął, aby się przejrzeć w lustrze ze złożonymi ramami, poprawił skomplikowany węzeł krawata i wygładził blond włosy. Ruszył po schodach obok poustawianych w niszach rzymskich popiersi. Tego wieczoru czuł się jak jeden z tych rzymskich imperatorów.

Wszedł do małego saloniku na pierwszym piętrze. Było tu jeszcze dwóch mężczyzn zajętych przeglądaniem kalendarza wyścigów Weatherby'ego i księgi końskich rodowodów. Skinęli głowami na powitanie, po czym wrócili do analizowania koni i ich szans w wyścigach. Clarence kazał kelnerowi podać butelkę najlepszego portu. Pomieszczenie, w którym się znajdował, pod każdym względem schlebiało wyrafinowanemu gustowi dżentelmena. Miało tapetę z purpurowego adamaszku i zasłony z czerwonego brokatu. Clarence podniósł poły fraka i usiadł przy kominku na jednym z kilku odpowiednio dobranych krzeseł o miękkich skórzanych obiciach. Poprawił płowożółtą i niebieską kokardę, która świadczyła o tym, że był aktywnym członkiem partii wigów.

Przed dwoma laty został wybrany do parlamentu z kornwalijskiego okręgu St. Michael. Miał trzydzieści tysięcy funtów rocznego dochodu, ale w ciągu kolejnych dwóch lat zamierzał tę sumę podwoić. Niedawno kupił dom przy Berkeley Square, stojący pomiędzy rezydencją pewnego markiza a pałacem barona. Już wkrótce miał osiąść tam z Jessalyn jako swoją żoną i myślał o urządzeniu pokoju dziecinnego. A teraz jeszcze to... Wcześniej nawet nie śmiał o tym marzyć. Pragnął tego tak bardzo, że czułby się zdruzgotany, gdyby spotkał go zawód... Nie dalej jak podczas wczorajszego obiadu jego patron raczył wspomnieć, że może liczyć na otrzymanie szlacheckiego tytułu.

Przebiegł po nim przyjemny dreszcz szczęścia. Szlachectwo. Sir Clarence Tiltwell. Sir Clarence.

Odwrócił głowę, usłyszawszy odgłos kroków na dywanie w zielone i czerwone wzory. Nadchodził klubowy majordomus, prowadząc zasepionego dwunastego hrabiego Caerhaysa.

- Tędy, milordzie - rzekł majordomus.

„Milordzie”. Właśnie. Clarence zauważył różnicę, z jaką służący odnosił się do utytułowanego kuzyna i do niego. Trewla-ny'ego traktował z nieco większym szacunkiem. Nie było to nic oczywistego, ot, zmrużenie powieki, ściągnięcie ust, ale Clarence był tego świadom. Poczłł smak goryczy.

Oczy kuzynów spotkały się. Uśmiech rozświetlił opaloną twarz McCady'ego niczym wychodzące zza chmur słońce. Jak zwykle Clarence ulegał czarowi tego uśmiechu. Spojrzał na kuzyna i w jego sercu wezbrało dziwne uczucie miłości i nienawiści, zazdrości i tęsknoty.

- Mack, usiądź, proszę. Masz ochotę na porto? - zapytał, kiedy McCady powoli sadowił się na sofie. Kosztowna skóra zmarszczyła się pod jego ciężarem. Clarence rozmyślnie nie tytułował kuzyna. Odpowiednie słowo nie chciało mu przecisnąć się przez gardło. Szlachectwo otrzymane przez nadanie - myślał z goryczą - było niczym w porównaniu z tytułem hrabiego.

McCady pochylał się, sięgając po porto. W złotym kolczyku, który miał w uchu, odbił się promień światła z kryształowego żyrandola. Clarence zmarszczył czoło. Angielski dżentelmen nie powinien nigdy robić z siebie prymitywnego widowiska. Gdybym ja był hrabią... - pomyślał, jak po wielokroć czynił już to w swoim życiu. Nieważne, ile osiągnął, jak wzniosłe były jego dokonania, nic nie było w stanie zmienić niejasnych okoliczności towarzyszących jego urodzeniu.

Clarence niedługo trwał w smutku, bo przypomniał sobie o władzy, jaką miał nad mężczyzną, który siedział naprzeciwko niego. Nad kuzynem, bratem...

- Przykro mi, ale mam kilka niemiłych wieści - powiedział.

McCady wychylił do dna kieliszek z trunkiem. Nic nie odrzekł, ale zbieleły mu kostki dłoni, którą trzymał kieliszek, co świadczyło o wewnętrznym napięciu.

Clarence sądził, a właściwie miał nadzieję, że McCady Trewlany, hrabia Caerhays, jest coraz bardziej zdesperowany.

W ciągu minionych dwóch lat kuzyni widywali się dość często. McCady zorganizował Brytyjską Kompanię Dróg Żelaznych, w ogóle pierwszą tego typu, której celem było wygodne przewożenie towarów i ludzi między Falmouth a Londynem. Z kolei w parlamencie powołano komisję nadzorującą inwestycję. A Clarence Tiltwell postarał się o to, aby w owej komisji zasiadać.

Dotychczas parlament udzielił Kompanii zezwolenia na ułożenie jednej eksperymentalnej linii między Plymouth i Exeter, czyli na dystansie około czterdziestu mil. Ale koszt ułożenia czterdziestu mil torów był i tak oszałamiający ze względu na konieczność wybudowania znacznej liczby konstrukcji technicznych, to znaczy wiaduktu, licznych wykopów i nasypów. Wykopanie samego tunelu, robili to robotnicy posługujący się wyłącznie łopatami i kilofami, zajęło sześć miesięcy. Było to niesłychane wyzwanie dla McCady'ego i jego Kompanii. Komisja musiała uznać przedsięwzięcie za udane, aby następnie udzielić koncesji na wybudowanie pozostałej części linii.

Komisja, o której Clarence myślał „moja komisja”, miała zdecydować o egzystencji linii kolejowej Trewlany'ego. Mogła przyczynić się do urzeczywistnienia marzenia Trewlany'ego lub je unicestwić.

- Wewnątrz komisji dokonał się pewien rozłam - mówił teraz Clarence, wpatrując się prosto w ściągniętą twarz kuzyna. -Rozłam pomiędzy tymi, którzy popierają lokomotywy napędzane parą, a tymi, którzy proponują napęd bardziej tradycyjny, to znaczy wykorzystujący linę i zainstalowany na stałe silnik.

Aroganckie usta McCady'ego napięły się nieco.

- Kolej linową? Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Niestety, bardzo poważnie. Ostatecznie kwestię mają rozwiązać specjalne badania. McCady zaklął pod nosem. Clarence odpowiedział uśmiechem.

- Ale przecież możesz w dalszym ciągu budować tę swoją maszynę i zaprezentować ją podczas prób - rzekł Clarence. -Tylko że musisz się liczyć z tym, iż poza tobą do rywalizacji zostaną dopuszczeni także inni. Do rozstrzygającej próby ma dojść w sierpniu. Trzeba będzie pokonać odległość ponad dwudziestu mil po ukończonej części trasy. Oczywiście zostaną okre-

ślone zasady i warunki wstępne... teraz nie chciałbym się w to zagłębiać. W każdym razie zwycięzca otrzyma od parlamentu licencję zezwalającą na zaopatrzenie Kompanii Dróg Żelaznych w maszyny niezbędne do obsługi komunikacji publicznej.

- Ja miałem otrzymać ten kontrakt - oświadczył McCady podejrzenie spokojnym tonem. Clarence'owi w jednej chwili zrobiło się ciężko na duszy. Wolałby raczej stanąć naprzeciwko regimentu górali na Hounslow Heath niż twarzą twarz ze źle usposobionym McCadym Trewlanym.

Clarence zwilżył wargi.

- Są w komisji pewne osoby...

- Daj spokój z tą swoją zakichaną komisją.

- ...które powątpiewają w twój rozsądek - ciągnął Clarence. Strach go opuścił; nie wolno mu było zapominać, że cała władza należała teraz do niego. Nie znajdowali się przecież na żadnym ze wzgórz w Belgii i McCady nie mógł ciąć szpadą swoich wrogów. - Nie ufają eksporucznikowi z dość przestarzałego regimentu liniowego. Nie ufają osobie, która niedawno odziedziczyła tytuł po bankrucie. Po bracie, po człowieku tak zdegene-rowanym, że nawet diabeł nie zechciałby spojrzeć w jego stronę, gdyby zobaczył go na ulicy. Po człowieku, który strzelił do siebie, pozostawiając dwadzieścia tysięcy funtów długu karcianego, jaki jeszcze należy spłacić.

- Nie jestem swoim bratem. A zobowiązania zostaną uregulowane.

Ciekawe, w jaki sposób - zastanawiał się Clarence, chociaż nie wypowiedział tego głośno.

- Oczywiście, nie jesteś skończonym szubrawcem jak twój brat. - Pozwolił sobie na nikły uśmiech. - Ale nie możesz się także uważać za świętego. Chyba tylko ze dwóch członków komisji odczuwa wrogość do ciebie o podłożu bardzo osobistym. Pozostali nie są do końca przekonani, czy lokomocja parowa jest dostatecznie bezpieczna i czy w ogóle będzie funkcjonować. Musisz przyznać, iż do tej pory nikt nie dowiódł, że jest efektywna.

- Ponieważ dotychczas nie dano nikomu takiej szansy... -wtrącił McCady.

Wpatrywał się w Clarence'a z furią tak intensywną, że młodszemu mężczyźnie po karku przebiegł dreszcz. -Clarence, czy aby ty przypadkiem nie jesteś jednym z tych

dwóch członków komisji?! Do diabła, zasłużyłem na ten kontrakt. Linia kolejowa w ogóle by nie powstała, gdyby nie ja. Do licha ciężkiego, ja ją zbudowałem! Pozostali dwaj mężczyźni podnieśli głowy znad księgi z końskimi rodowodami, zaalarmowani podniesionym głosem McCady'ego.

- Szsz... - odezwał się jeden z nich. McCady rzucił w ich stronę znaczące spojrzenie: idźcie do diabła. Nigdy nie dbał

O to, co inni o nim myślą. Zdarzały się chwile, że Clarence zazdrościł kuzynowi swobody, u której podstaw leżała tego rodzaju obojętność.

- Nie musisz na mnie krzyżeć - powiedział, ścisząc głos

I mając nadzieję, że jego kuzyn uczyni to samo. - Ja tylko omawiam twoje położenie, Mack. Musimy postępować z rozwagą. Prawda jest taka, że w całej tej sprawie parlament nadal zachowuje się bardzo nerwowo. Ponadto są jeszcze wpływowi reprezentanci przeciwstawnych interesów: właściciele ziemscy, towarzystwa przewozowe, właściciele składów... przecież nie muszę ich wszystkich wymieniać.

- Chryste, Clarey. - McCady wychylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach.

Wyglądał jak człowiek, który próbuje opuszkami palców powstrzymać przelewające się zwały wody w pękniętej tamie.

- Nie mogę czekać na kontrakt aż do sierpnia. Muszę zebrać dziesięć tysięcy funtów do pierwszego lipca, aby wykupić weksle. W przeciwnym razie Kompania pogroży się całkowicie, a ja razem z nią.

Pierś Clarence'a wezbrała słusznym gniewem.

- Sądziłeś, że uda ci się wybrnąć z kłopotów, biorąc tysiąc funtów i stawiając je na jakiegoś piekielnego konia?

Na twarzy McCady'ego pojawił się beztroski uśmiech buntownika.

- Rozpaczliwa sytuacja usprawiedliwia podejmowanie rozpaczliwych kroków. Ech, gdyby tylko ten cholerny koń wygrał... - Pochylił głowę, przeczesał palcami włosy. - Do licha, Clarey.

Clarence przeniósł wzrok z pochylonej głowy kuzyna na ciemne oko swojego portu, ukrywając satysfakcję, jaką czuł. Podniósł kieliszek do ust i rozkoszował się owocowym posma-

kiem, jaki pozostał mu na języku. Clarence niemal codziennie przechodził obok więzienia Fleet; przyglądał się nieszczęśnikom wyciągającym przez żelazne kraty swoje blaszane kubki, błagającym o wsparcie: „Prosimy, módlcie się za nas, nieszczęsnych dłużników...”

Sięgnął po karafkę, ogarnięty falą uniesienia. Nalał sobie i kuzynowi kolejną porcję trunku. Stare nazwisko i tytuł nie uchronią McCady'ego Trewlany'ego przed skazaniem za nie spłacone długi. A więzienie Fleet złamie nawet tak aroganckiego i dumnego człowieka jak on. W taki sam sposób, w jaki można złamać hikorowy kij... wystarczy, że postawisz na nim stopę i będziesz przyciskał powoli i coraz mocniej, aż zatrzęszczy, wydając odgłos przypominający krzyk.

- Widziałem dzisiaj Jessalyn.

Stwierdzenie, wypowiedziane ni z tego, ni z owego, tak wstrząsnęło Clarence' em, że niemal upuścił karafkę. Wiele czasu upłynęło od tamtego fatalnego lata i dotychczas McCady zupełnie o niej nie wspominał. Clarence starał się nie zdradzić swoich emocji, ale wątpił, czy mu się to udało.

- Naprawdę? A gdzie to było?

- W Newmarket.

Zmarszczył brwi. Powinien był Isię spodziewać, że McCady natknie się tam na nią. Akurat ten przypadek uwidaczniał doskonale, na co się narażała, odwiedzając wyścigi. Zatrząsł się na myśl o tych wszystkich pieniądzach, które Jessalyn trwonila na odziedziczone po matce konie, nawet jeśli to były konie -jak to mówią - czystej krwi angielskiej. Zwierzęta były ulokowane w komfortowych, drogich stajniach. Rozpieszczano je z myślą o zwiększeniu szans wygranych w kilku wyścigach rocznie, ale jak dotychczas całkowicie daremnie. Clarence uważał, że cały ten nonsens miał swoje korzenie w domu lady Letty. Zamierzał skończyć z tym wreszcie, kiedy Jessalyn zostanie jego żoną. Pozbędzie się wszystkich tych szkap i zabroni jej zbliżać się do toru wyścigowego.

- Przypuszczam, że ona również co nieco straciła - powiedział Clarence, krzywiąc się jeszcze bardziej. Skłonność Jessalyn do ryzykowania pieniędzy była następną pozycją, której zamierzał położyć kres, gdy zostanie jej mężem.

McCady wzruszył ramionami.

- Przed pięciu laty panna Letty i ja nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach, dlatego ponowne spotkanie nie wypadło szczególnie. Bardzo szkoda, ponieważ wyrosła na wyjątkową piękność.

McCady bawił się nóżką od swojego kieliszka. Wydawał się niemal znudzony, mimo to na jego twarzy rysował się wyraz zadumy, dziwny smutek pojawił się w głębi jego oczu. Clarence zadrżał, zaniepokojony. Może jakieś skrupuły przeszkodziły McCady'emu uwieść ją, kiedy miała szesnaście lat, ale gdy skończyła dwadzieścia jeden, stała się zdobyczą całkiem odpowiednią. Czyżby tamto miało się zacząć od początku? Kolejny raz byłby zmuszony stać z boku i przyglądać się, jak dziewczyna, którą kochał, ulega potężnej sile uroku zdegenerowanego Trewlany'ego!

Nie. Nie tym razem... Nie był tym samym młodzieniaszkiem o gołęmbim sercu co wówczas. Zdobył władzę, pieniądze i zawdzięczał to wszystko wyłącznie sobie. A Jessalyn Letty należała wyłącznie do niego.

Odczekał, aż się całkowicie opanuje. Zdobył się nawet na uśmiech.

- Szczęście, że przypadkiem wspomniałeś o panie Letty, Mack. Bo widzisz... może zechciałbyś przy tej okazji złożyć mi gratulacje. Niedawno, właśnie w tym tygodniu, poprosiłem Jessalyn, aby uczyniła mi ten honor i została moją żoną...

Kruchy kieliszek z porto zachrząścił w dłoni McCady'ego. Ciemne, rubinowe wino zaczęło mu ściekać z palców; wyglądało jak krew.

Clarence podniósł się trochę, podając kuzynowi chusteczkę.

- Dobry Boże, człowieku, sam nie wiesz, jaką masz siłę w ręce.

McCady wziął skrawek delikatnie wyhaftowanego płótna.

- I co? Przystąpiła na twoją propozycję?

Clarence wygodnie usiadł i wsunął trzy palce do małej kieszonki na zegarek.

Dotknął dwóch złotych suwerenów, które nosił przy sobie na szczęście.

- Naturalnie. Oboje zawsze żyliśmy myślą, że kiedyś nadejdzie taki dzień.

Ustaliliśmy datę ślubu na pierwszy tydzień czerwca, ale mówiąc szczerze - pochylił się i uśmiechnął porozumiewawczo - nie sądzę, abym mógł tak długo czekać.

McCady przeszył go spojrzeniem na wylot. Naraz w saloniku zrobiło się jakoś posepnie i groźnie. Clarence zrozumiał, że posunął się nieco za daleko. Bądź co bądź wówczas, przed pięciu laty, Mack także bardzo jej pragnał.

- Będziesz dla niej dobry, Clarey? - zapytał McCady.

- Przecież... przecież ja ją kocham - odparł Clarence poruszony.

Ciemne oczy McCady'ego zdradzały skrajne emocje.

- Tylko nie opowiadaj mi, że ją kochasz. Miłość jest uczuciem dla głupców, ładnym słowem na oznaczenie żądy. Mówisz o miłości, a chodzi o to, że masz ochotę się parzyć. Obchodzi mnie tylko, jak ją traktujesz. Bo gdybyś ją kiedykolwiek skrzywdził, Clarey, zabiję cię.

- Jeżeli ktoś ją skrzywdzi, to prawdopodobnie będziesz to ty! - wypalił Clarence i natychmiast się zaczerwienił.

- Zabiję cię - powtórzył McCady.

Clarence spoglądał w oczy, które już pewnie nie mogły błyszczeć bardziej dziko. Kark i uszy zaczęły go palić. Uciekł spojrzeniem w bok, odchrząknął.

- Rozumiem, że decyzja komitetu jest dla ciebie sporym rozczarowaniem -

powiedział po chwili, pragnąc naraz odciągnąć uwagę McCady'ego od Jessalyn. -

Ale w końcu chodzi teraz tylko o utrzymanie aktywów do czasu, gdy twoja lokomotywa wygra konkurs.

Przez twarz jego kuzyna coś przemknęło. Naraz Clarence odniósł nieprzyjemne wrażenie, że McCady śmieje się z niego. Clarence jeszcze raz odchrząknął.

- Ponieważ zasiadam w tej komisji, jakakolwiek transakcja finansowa dokonana pomiędzy nami będzie stwarzała pozory zмовy. Ktoś inny mógłby się w tym doszukiwać próby przekupstwa. - Przez chwilę studiował czubek własnego buta.

- Mam sporo biernego kapitału, aż kusi, żeby zainwestować w coś wartościowego. Szkoda, że nie istnieje żaden sposób na takie pokierowanie moimi sprawami, by jednocześnie zaradzić drobnym niedogodnościom, z którymi się borykasz. -

Podniósł głowę. - Mimo wszystko, Mack, nawet jak na kuzynów jesteśmy sobie wyjątkowo bliscy. W pewnym sensie jesteś dla mnie niczym brat.

Clarence przyglądał się badawczo twarzy mężczyzny siedzą-

cego naprzeciwno niego. Powiedz to - pomyślał - spójrz na mnie i przyznaj, że mógłbym być twoim bratem.

McCady zerknął na niego tym swoim posepnym wzrokiem, ale nic nie powiedział. Clarence podniósł się. Wyciągnął zegarek, wcielając się w rolę ważnego człowieka, który ma do załatwienia wiele bardzo ważnych spraw. Wydawało mu się, że powinien odczuwać triumf. Dlatego nie mógł zrozumieć, dlaczego wszystko, co czuje, to pustka.

W drzwiach przystanął i jeszcze raz spojrzął na mężczyznę, który w zadumie wpatrywał się w ogień. Poczuł coś jak ukłucie na widok tego ostrego, a zarazem eleganckiego profilu, sterczących hardo kości policzkowych, posepnej krzywizny wyraźnie zarysowanych ust. Drogiej i zarazem zniechęconej twarzy kuzyna... brata.

Oczywiście McCady znalazł kilka nieszczęsnych ofiar chętnych do zainwestowania w jego głupie marzenie, ale ogrom długu obciążał wyłącznie jego. Tylko jeden bank odważył się zaryzykować pożyczkę pieniędzy jego świeżo opierzonej Kompanii. Gdzieś pod koniec czerwca McCady Trewlany, dwunasty hrabia Caerhays, przyjdzie do Londyńskiego Banku Postępu Mechaniki. Będzie trzymał w rękę kapelusz i błagał o przesunięcie terminu płatności odsetek należnych od skryptów dłużnych do czasu, gdy konkurs zostanie rozstrzygnięty. Lecz nie otrzyma zgody. Clarence wiedział o tym najlepiej. Poza nim tylko niewielu ludzi zdawało sobie z tego sprawę, właściwie tylko dwóch, ale...

Londyński Bank Postępu Mechaniki należał do Clarence'a Tiltwella.

XIV

Rakieta przecięła niebo i rozbłysła nad głowami gapiów niczym eksplodująca gwiazda. Połyskujące niebieskie ogniki opadły deszczem, wydobywając z mroku kształt drzewa. Chociaż noc nie była chłodna, Jessalyn zadrzała, otulając się starannie płaszczem.

- Co, zimno panience?

Odwróciła głowę, potem głośno westchnęła.

- Ach, to ty, Topper. Jakoś nie mogę sobie poradzić z tym wszystkim. Dobry Boże... gdyby babcia się dowiedziała, na pewno nigdy by mi nie wybaczyła.

- A niby kto jej powie? - Młody dżokej stał z założonymi rękami, oparty o pień wiązu. - Kuliste lampiony zwisały z gałęzi, rzucając różowe światło na jego policzki. - Przecież nikt nie pozna, kim panienka jest w tym odzieniu. Równie dobrze mogłaby panienka być królową Saby. Jest nam potrzebna forsa -zaznaczył. Jessalyn drgnęła, kiedy z rzymskiej świecy wystrzeliły z hukiem wiązki płomieni. W ogrodach Vauxhall zrobiło się nagle jasno jak na łące w samo południe. Dotknęła błyszczącej, lakierowanej maski, którą miała na twarzy, jakby pragnęła się przekonać, czy jest na miejscu. Ze strachu czuła w żołądku taki ciężar, jakby wypila kwartę kwaśnego wina.

Kolorowe kuliste lampiony porozwieszane na wiązach mrużyły swe czerwone, niebieskie i żółte oczka. Trzaski i syki ognia zagłuszały żywe dźwięki walca. Kolumnada otaczała naturalną komnatę o ścianach z gałęzi oraz liści, gdzie żebracy mieszały się z bankierami, diukowie ocierali się o szewców, a prostytutki i złodzieje pozbawiali pieniędzy ich wszystkich. Wewnątrz dyskretnych małych kabin dżentelmeni i damy spędzali czas na flirtach albo rozkoszowaniu się smakiem drogich przekąsek z cieniutko pokrojonej szynki, delikatnego drobiu i wymyślnych deserów.

Już niedługo, zaraz po zakończeniu pokazu sztucznych ogni, znaczna część tłumu miała się przenieść do znajdującej się w pobliżu drewnianej rotundy na dalszy ciąg nocnych rozrywek, natomiast Jessalyn...

Znowu poczuła skurcz w żołądku. Miała zrobić to, co zrobić musiała. Liczyła na zdobycie pieniędzy, które pokryłyby większą część kosztów utrzymania ich wszystkich przez nadchodzące miesiące, w tym również czterech koni wyścigowych. Niezłej fortuny wymagało opłacenie owsa i miejsca w wynajętej stajni.

W górze rozwinęła się ognista serpentyna. Ktoś dotknął ramienia Jessalyn. Serce skoczyła jej do gardła. Odwróciła się gwałtownie. Topper wyciągał do niej kieliszek ze sławnym miej-

scowym ponczem, prezentując w szerokim uśmiechu przerwę w użębieniu.

- Kupiłem panience drinka. Jak panienka dobrze przepłucze sobie tym gardło, wtedy nawet taniec z diabłem panienki nie przestraszy.

Jessalyn sięgnęła po trunek drżącą ręką, ale zdołała jeszcze wysilić się na uśmiech podziękowania. Zaczęła pić i niemal się zakrztusiła, kiedy piekące opary podrażniły jej nozdrza. Opadając w dół przetyku, poncz palił ją niczym płynny ogień, lecz kiedy już znalazł się na dnie, poczuła ciepło i przyjemne mrowienie.

Teraz miała dość odwagi, aby pójść na tyły rotundy i dołączyć do pozostałych wykonawców, którzy ubrani w błyszczące stroje, ozdobione cekinami i piórami, czekali na swoją kolejkę wyjścia na scenę. Kołysząc się jak kaczka, podszedł do niej niski, pulchny mężczyzna. Włosy miał gęsto nasmarowane brylantyną i ułożone w dwa sztywne skrzydła. Jessalyn pomyślała, że gdyby gwałtownie odwrócił głowę, wówczas mógłby się skaleczyć o mocno nakrochmalone rogi kołnierzyka od koszuli. Nazywał się O'Hare i tego popołudnia wynajął Jessalyn do woltyżerskich popisów.

- Panna Brown? - zapytał. Jego usta, cienkie i napięte niczym dziurka od guzika przy płaszczu, wykrzywiły się w porozumiewawczym uśmiechu. Przejrzał Jessalyn, choć swoją drogą nie była specjalnie oryginalna, wymyślając pseudonim. -Późno już. Nie odpowiedziała. Za bardzo zaschło jej w gardle, aby mogła mówić.

- Proszę zrzucić pelerynę.

Zacisnęła palce na grubym materiale przy szyi. Potem pozwalniała zapinki i pozwoliła, aby peleryna zsunęła się z ramion. Pan O'Hare dał Jessalyn kostium, który, jak sądziła, należał niegdyś do chłopca. Składał się z ozdobionych cekinami białych spodni i mieniącego się szkarłatnego żakietu, obszytego galonem niczym dworski strój jeźdźca z dawnych czasów. Jej maska miała kształt ptasiej głowy i ozdobiona była czymś, co przypominało papuzie pióra. Długi, zakrzywiony dziób zginał się pod dotknięciem.

Pan O'Hare bezceremonialnie przyjrzał się jej nogom. Pod

maską policzki Jessalyn spłoniły się rumieńcem. Mężczyzna odsłonił w uśmiechu złoty ząb, od którego odbiło się światło latarni.

- No, no, nieźle, małeńka, naprawdę nieźle.

Skinął na chłopca stajennego, aby podprowadził konia, na którym miała wystąpić. Był to wierzchowiec cyrkowy, klacz

O szerokim, równym grzbiecie, pokrytym białą jak spienione mleko derką. Pod brzuchem miała zapięty specjalny szeroki popręg bez siodła, a do uździenicy przyczepiony pióropusz.

Jessalyn szepnęła kilka pieśczośliwych, nic nie znaczących słów w ucho klaczy, kilka razy sprawdziła napięcie popręgu

I w ogóle kręciła się nerwowo, podczas gdy publiczność obserwowała występy linoskoczka, kuglarza i połykacza sztyletów. Zbyt szybko usłyszała wesoły głos szefa...

- ...zapiierający dech w piersiach pokaz woltyżerki. Jessalyn ponownie sprawdziła popręg i pomyślała, że jeszcze chwila, a zemdleje.

Naraz pan O'Hare machnął na nią ręką. Cicho cmoknęła, zachęcając klacz, by wybiegła na scenę. Chwyciwszy za popręg, wskoczyła na koński grzbiet i przyklekła. Wyciągnęła do tyłu nogę, stopę ułożyła w tej samej płaszczyźnie i podniosła wysoko głowę dokładnie w chwili, gdy klacz przedarła się przez papierowe koło, wbiegając na arenę. Powitał ją głośny grzmot. Niewiele brakowało, a spadłaby, zaskoczona. Z początku myślała, że ktoś wystrzelił rakietę wewnątrz budynku. Potem uświadomiła sobie, iż była to burza oklasków pochodzących od setek dłoni.

Kiedy cwałowała wokół małej areny, wszystko - ludzie siedzący w boksach i na galerii, chybotliwe płomienie pochodni - zlało się w oszalamiający wir światła i barw. Stukanie laskami, trzask otwieranych i zamykanych tabakier, śmiechy i rozmowy słyszała jako brzęczenie roju pszczół. Ze strachu i podniecenia zeszywniały jej mięśnie. Dłonie zwilgotniały. Wzięła głęboki oddech i skoncentrowała się na ruchach konia. Wkrótce hałas ucichł, stając się ledwie szeptem, odległym szumem małej fali oblewającej piaszczysty brzeg. Jej zmysły skoncentrowały się na obiektach osobliwych: zapachu trocin, którymi była pokryta podłoga; gładkiej w dotyku, wytłuszczonej skórze upręży; dławiącej suchości w gardle, którą należało przypisać zdenerwowaniu.

Wykonała swój program płynnie: flagę, młyn, nożyce i na koniec śmiertelnie niebezpieczny kozacki zwis. Właśnie wykonywała ostatni układ, wisiała na ukos do góry nogami przy lewym boku konia, kołysząc dłońmi tuż nad ziemią i wskazując lewą stopą w niebo, kiedy zobaczyła Trewlany'ego.

Dostrzegła go przelotnie, gdy jej wzrok wędrował od wirujących pod kopulastym dachem cherubinów do migających rzędów najwyższych boksów. Wyłowiła jego twarz z mnóstwa innych, chociaż miała głowę tuż nad ziemią. Widziała znacznie lepiej, kiedy wyprostowała się i znowu cwałowała po okręgu przy akompaniamencie gromkich oklasków i głośnych wiwatów. Siedział w towarzystwie dwóch mężczyzn i trzech kobiet. Ciekawiło ją, która kobieta przyszła tu z nim.

Jego spojrzenie było bezceremonialne i niebezpieczne. Świdrował ją wzrokiem, jakby wiedział, jakby naprawdę wiedział, że to ona kryje się pod maską ptaka. W jednej chwili zrobiło się jej gorąco. Nagle poczuła przemożną chęć, aby wyjechać galopem z areny i popędzić na sam koniec świata.

Jeszcze raz zatoczyła krąg. Jej głowa, jakby kierowana niewidzialnymi wodzami, powędrowała do góry i wtedy ich spojrzenia znowu się spotkały. Kiedyś widział w niej głupiutkie, niezdarne, postrzelone dziecko i od tamtej pory jego opinia zupełnie się nie zmieniła. Na szczęście teraz jej serce było bezpieczne; w każdym razie umiała się o to postarać. Przecież na pewno nie będzie mógł jej zranić, jeśli ona przestanie dbać o to, co on o niej myśli.

Pozostała jej do wykonania jeszcze jedna śmiertelnie niebezpieczna sztuczka. Postanowiła, że będzie to salto. Takie samo, jakie wykonała tamtego dnia, kiedy McCady pierwszy raz ją pocałował. Tamtego dnia, kiedy wpadła do Claret Pond i zakochała się tak głęboko, że całkiem straciła rozum i nie wiedziała, jak się z tego pozbierać.

Tym razem nie było w pobliżu żadnej króliczej norki i nic nie mogło zepsuć zakończenia. Udało się jej nadzwyczajnie. Wylądowała na końskim grzbiecie, wyprostowała się i wyrzuciła do góry ręce. Klacz zatoczyła koło i wybiegła z rotundy. Zostawiła za sobą burzę oklasków.

Zeskoczyła z konia, nogi ugięły się pod nią, jakby były z wa-

ty, i zaczęła się trząść jak galareta. Objęła klacz za szyję i pocałowała ją w różowe chrapy.

- Wytrzymaj ją z potu i dobrze wyczesz - powiedziała do chłopca stajennego, który od razu do niej podbiegł. Nocna bryza zmroziła jej spocone ciało. Narzuciła na ramiona pelerynę i w tłumie za rotundą zaczęła wypatrywać Toppera.

Silne palce zamknęły się wokół jej nadgarstka. Jakiś mężczyzna pociągnął ją tak gwałtownie, że zderzyła się z nim i aby nie upaść, musiała chwycić za poły jego płaszcza. Odchyliła do tyłu głowę i wzrokiem natrafiła na zimne, posępne oczy.

- Pójdiesz ze mną - powiedział. Rozpaczliwie próbowała się uwolnić.

- Jak śmiesz przypuszczać, że wolno ci mną rządzić! Nie jesteś ani moim bratem, ani strażnikiem. Jesteś dla mnie nikim. Tak dobrze to zabrzmiało w jej uszach, że musiała powtórzyć: -Jesteś dla mnie nikim.

- Pójdiesz ze mną.

- Nie. Mam kolejny występ...

Reszta protestu uwięzła jej w gardle, kiedy powoli schylił się, tak że poczuła na sobie jego gorący oddech i w jego oczach dojrzała dwa słońca. ^

- Do licha ciężkiego, pójdiesz, pójdiesz - powiedział, a Jessalyn pomyślała, że głos diabła z pewnością zabrzmiałby jakoś podobnie.

Pociągnął ją za sobą szeroką, wysadzaną drzewami alejką. Pod cienkimi podeszwami butów kamienie gniotły ją w stopy. Wbiła paznokcie w rękę, która zacisnęła się wokół jej nadgarstka jak imadło.

- Puść mnie albo będę krzyczeć - zaprotestowała. Ale ledwie wypowiedziała te słowa, poczuła się jak głupia. Coś tak nedorzecznego mogłaby wymyślić i wypowiedzieć tylko bohaterka jednej z błękitnych książek, zanim ją zgwałcił jakiś łajdak.

- Bardzo proszę, ulżyj sobie - powiedział szyderczo, przeciągając głoski. Aż zacisnęła zęby ze złości. - W ogrodach Vauxhall nikogo nie dziwią krzyki dam. Cóż, są to z reguły okrzyki rozkoszy.

Miał rację. W ogrodach było mnóstwo ciemnych, otoczonych wysokimi żywopłotami alejek i sztucznych ruin, znakomitych miejsc do uwodzenia. Słysząc było plusk i dzwonienie wody

w fontannach, szelest liści poruszonych wiatrem oraz piski i krzyki dam, które być może akurat traciły cnotę.

Bryza niosła intensywny zapach lilii. Lampy mrugały między drzewami niczym świeczki na choince, księżyc toczył się po niebie, okrągły i błyszczący jak nowa moneta. Noc była piękna, jakby stworzona dla kochanków. McCady miażdżył w palcach nadgarstek Jessalyn i ciągnął ją wzdłuż alejki. Opierała się jak mogła, wrywała, ale uzyskała tylko tyle, że niemal wykręciła sobie rękę.

Wyprowadził ją przez główną bramę, potem zaś powiódł nad brzeg rzeki. Szedł tak szybko i tak ją szarpał, że gdyby nie jego stalowy uścisk, na pewno upadłaby i uderzyła głową w nierówne drewniane schody prowadzące na pomost.

- Wioślarze! - ryknął. Po chwili mała łódź uderzyła o belkę pomostu, chlapiąc cuchnącą, tłustą wodą na wypaczone deski.

Chwycił dziewczynę w pasie, podniósł do krawędzi burty, wtedy kopnęła zdradziecko, chcąc uderzyć stopą w jego udo, i chybiła celu.

- Do licha, Jessalyn - jęknął, kiedy następnym razem trafiła w goleń, ale i tak zdołał wrzucić ją na dno łodzi. Wylądowała na twardej, cienko obitej ławie, szczękając zębami.

Przystań oznaczono słupem w czerwono-niebieskie pasy i płonąca pochodnią, która nagle strzeliła płomieniem, przesycając powietrze odorem łoju i smoły i wydobywając z mroku ostre rysy McCady'ego. Ten człowiek najwidoczniej nie uznawał żadnych zasad, nie podporządkowywał się żadnej. Gniew niczym płomień pochodni znowu w niej rozgorzał.

Chciała się podnieść w chybotliwej łodzi, ale jedną ręką przytrzymał ją na ławce, płacąc jednocześnie za kurs sześć pensów wioślarzowi.

- Jesteś ślepy?! - krzyknęła. - Nie widzisz, że ten mężczyzna mnie porywa?

- Aha. - Mężczyzna odcharknął i splunął za burtę. - Z początku wszystkie tak mówią. A w końcu to się im bardzo podoba. - Łódź odbiła od pomostu i wkrótce zaczął ich nieść prąd rzeczny.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała Jessalyn. W jej głosie słychać było lekkie drżenie. Przełknęła, starając się je powstrzymać. Owładnął nią strach.

Za odpowiedź musiał jej wystarczyć chlupot uderzanej wiosłami wody. Mieniły się i mrugały światła z mostu w Westminster i połączonych barek należących do gildii kupieckich. Mogło się zdawać, że wszystkie gwiazdy spadły z nieba do rzeki. Na barkach i moście byli ludzie. Wiedziała jednak, że prędzej zdarłaby sobie gardło, niżby ktoś ją usłyszał.

Przybili do brzegu niedaleko grupki powozów. McCady przywołał jeden, wziął ją pod łokieć i zmusił, by wspięła się po schodkach do środka. Opadła na splekane skórzane siedzenie, uderzając stopami w warstwę słomy leżącą na podłodze. Drżała i rozcierała obolały nadgarstek. McCady powiedział coś do woźnicy, potem wskoczył na miejsce obok niej. Siedziała w bezruchu, sztywna niczym górniczy stempel. Powóz ruszył, turkocząc po nierównych kamieniach.

- Zdejmij z twarzy ten śmieszny przedmiot.

Podniosła rękę, odsunęła na bok dziób, rozwiązała sznurki i pozwoliła, by maska opadła na kolana. Nocna bryza owiała jej rozpalone policzki, przynosząc pod dach powozu zapach sadzy i szlamu. Co jakiś czas gazowe światło ulicznych latarni modelowało rysy McCady'ego i jego sterczące policzki niebezpiecznymi cieniami. Dorożka zwolniła przed zakrętem. Podbiegł jakiś chłopiec i rzucił lordowi na kolana ulotkę. Trewlany zgniótł papier, wyrzucił na zewnątrz papierową kulkę i nachylił się nad Jessalyn. Kolczyk w jego uchu mrugał niczym złote oko.

Szarpnięciem rozchylił poły jej peleryny. Wpatrywał się w nią bez końca. Czowała się dziwnie w egzotycznych szatach. Jej piersi, wezbrane i obolałe, napierały na sztywny satynowy materiał kaftana. Nogi, okryte zaledwie cienkim jedwabiem spodni, dygotały, jakby były nagie.

Odezwał się przez zaciśnięte zęby:

- Zawsze miałaś skłonności do wpadania w kłopoty. Nie przypuszczałem jednak - nawet wtedy, kiedy miałaś szesnaście lat - że jesteś zdolna uknuć plan tak bezmyślny, by skompromitować się w oczach całego świata.

Wyrwała mu z rąk brzegi peleryny i przycisnęła je mocno do piersi. Wcale nie zamierzała się skompromitować, chciała jedynie zarobić trochę pieniędzy, aby zapewnić rodzinie byt przez kilka nadchodzących miesięcy. Do dnia zamążpójścia.

- Powiedz coś, do licha. Odwróciła się gwałtownie.
- A niby dlaczego? Pan, milordzie, mówi tyle, że wystarczy za nas dwoje.
Drgnął mięsień nad jego szczęką, palce zacisnęły się w pięści.
- Mam zamiar porozmawiać jutro z człowiekiem, który zarządza tym... cyrkiem.
Zapewniam cię, już nigdy nie będzie chciał skorzystać z twoich usług.
- Bardzo panu dziękuję, milordzie. Skoro zaś o tym mowa, może pan mi powie, co będzie jadła moja rodzina, jeżeli nie dostanę tych dwudziestu szylingów, które miał mi zapłacić pan O'Hare.
- Nie sądzę, abyście cierpieli na brak forsy. Nie po wielkiej wygranej na wyścigach w Newmarket.
- Już przecież mówiłam, że nie ułożyłyśmy tamtej gonitwy. -Spojrzała mu w oczy, to zacienione, to błyszczące w migającym świetle. - To bardziej podobne do ciebie. Rodzaj oszukańczego, nieuczciwego postępowania, z którego wy, hrabiowie Trewlany, zawsze byliście znani.
Jeżeli chciała go urazić, to nie osiągnęła celu. Jego twarz bardziej przysłaniała uczucia niż prawdziwa maska. Nigdy nie była w stanie odgadnąć, co myśli.
- Skoro rzeczywiście jesteś w rozpaczliwej sytuacji, dlaczego nie zwrócisz się o pomoc do narzeczonego? - zapytał. - Kuzynek Clarey ma dość grosza, aby nakarmić pół Londynu i nie odczuć straty.
Zatem Clarence musiał wspomnieć kuzynowi o swoich zaręczynach; Trewlany wiedział o nich przez cały czas. I chociaż przyznałaby się do tego bardzo niechętnie, zwłaszcza przed sobą, raniła ją myśl, że hrabiego Caerhaysa niewiele to obchodziło. Podniosła brodę.
- Nigdy nie pożyczamy pieniędzy od przyjaciół. Ani od kochanków - dodała.
Zerknęła kątem oka na McCady'ego, aby zobaczyć, jak na to zareaguje.
Wydawał się całkowicie obojętny. Lekko wzruszył ramionami.
- Doznałbym znacznego uszczerbku, ale mimo to mógłbym zaoferować kilka funtów. Wystarczająco dużo, aby wybawić ciebie i twoją babkę od śmierci głodowej.
- Nawet gdyby na świecie została ostatnia skórka chleba, nie

przyjęłabym jej od ciebie. - Znowu nie wymyśliła niczego mądrego i pożałowała tych słów natychmiast, ledwie je wypowiedziała. Wiedziała, że stwarza mu dobrą okazję do ataku. Nie rozczarował jej.

- Zamiast występować w cyrku - powiedział z kpina w głosie - powinnaś zaangażować się do teatru. Masz talent i melo-dramatyczne zacięcie.

- To nie był żaden cyrk. Chodziło o pokaz wołtyżerki.

- Właśnie: niezły pokaz.

- Jesteś wstrętnym... ohydny, podły... - Brakowało jej słów. - Skończonym łądakiem - broniła się nieporadnie, pewna, że po raz kolejny zabrzmiało to jak tekst napastowanej bohaterki którejś z najgorszych książek w niebieskich okładkach. Pochylił się nad nią i coś groźnego zapaliło się w jego oczach. Czowała jego moc, która emanowała jakimś ciepłem w środku nocy. Tak samo pragnęła zbliżyć się do tego ciepła, jak pragnęłaby wyciągnąć do ognia zmarznięte dłonie. Rozumiała teraz, co wydawało się jej atrakcyjne, gdy miała szesnaście lat - ciemna strona charakteru tego mężczyzny. Nadal ją pociągał. Bo był nikczemny, nieokiełznany i ekscytująco niebezpieczny. Chciała tego skosztować, sprawdzić, czy-*zdolała to oswoić. Pragnęła McCady'ego. Nie знаła niczego bardziej pierwotnego niż owo pragnienie. Nęcała w swej nieuchronności.

Rozum podpowiadał jej, że nie mają wspólnej przyszłości. Mimo to zwilżyła językiem usta, odczuwając strach, pożądanie... pragnąc go.

Wpatrywał się w jej wargi. Odczytała z wyrazu jego twarzy, ściągniętych rysów, przysłoniętego powiekami żaru w jego oczach, że pragnie jej również. Rozum podpowiadał jej, że mężczyzna może pożądać, nie kochając. Ale jeszcze raz zwilżyła usta.

Skłonił głowę, podniósł dłoń do jej twarzy. Kciukiem powiódł po zarysie jej szczęki. Obserwowała zahipnotyzowana, jak pogłębiają się zmarszczki wokół jego ust.

Wypowiadał bezdźwięczne słowa, łaskoczając jej policzki gorącym oddechem.

- Jeżeli chcesz, abym cię pocałował, czemu po prostu nie poprosisz? Od cyrkowej areny do lupanaru niedaleka droga...

Wycelowała pięścią w jego twarz. Błyskawicznie wyrzucił

rękę i chwycił ją za nadgarstek. Rozchylił usta w uśmiechu pełnym okrucieństwa.
- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Mogłoby się okazać, że odpłacił ci nie kto inny, tylko wstrętny, ohydny, podły i skończony łajdak.

Uwolniła rękę.

- Odczep się ode mnie, ty cholerny bękarcie!

Klasnął językiem, potrząsając głową w udawanym wyrazie zdziwienia.

- Ojej, jakież nieprzyzwoity język! W dodatku nie za bardzo oryginalny. Czyżbyś znowu przebywała w nieodpowiednim towarzystwie?

Patrzyli na siebie z rosnącą nienawiścią, oddychali coraz szybciej i bardziej chrapliwie. Zaklął pod nosem, wyprostował się i zawołał do woźnicy na koźle, aby zatrzymał powóz. Dorożka podskoczyła i stanęła. Jessalyn otrząsnęła się jak po długim śnie i rozejrzała wokół siebie. Wyglądało na to, że dotarli do placu targowego przed Covent Garden.

McCady pierwszy zszedł po opuszczonych przez woźnicę schodkach.

- Wsiadaj - powiedział głosem jedwabistym i zarazem lodowatym.

Jessalyn z rozmysłem zignorowała jego wyciągniętą rękę. Zeszła prosto na bruk zasypany łupinami po włoskich orzechach i gnijącymi liśćmi kapusty. Jak na złość poślizgnęła się i dla zachowania równowagi musiała się oprzeć o McCady'ego, przesunąwszy dłoń pod jego płaszczem. Poczowała, jak kurczą się otaczające żebra twarde mięśnie, gdy gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. Natychmiast mocno się od niego odepchnęła.

Widziała, że drgnęła jego pierś, usłyszała chrapliwy oddech. Serce skoczyło jej do gardła, dławiąc ją. Jeśli przed pięciu laty rzeczywiście coś się pomiędzy nimi rozgrywało, nie skończyło się wówczas. Nadal na nich działało, silniej niż kiedykolwiek.

Mężczyzna sprzedający prażone orzechy podszedł, tocząc przed sobą wózek.

Potrząsnął rondlem. W jednej chwili w powietrzu zaczął się unosić zapach palonych orzechów. W teatrach właśnie kończyły się przedstawienia. Ulice zapełniły się publicznością. Sprzedawcy owoców weszli w tłum, oferując drobne towary, zachwalając je krzykiem:

- Skosztuj pomarańczy! Nie ma lepszych niż u mnie! Prowizoryczne przybudówki i pokraczne budy zajmowały większą część powierzchni placu. Pachniało tu przejrzalymi melonami i nadpsutą cebulą. Plac przed Covent Garden stanowił centrum londyńskiego handlu warzywami. Za kilka godzin na placu miały się pojawić wózki i furmanki, wypełnione po brzegi wiejskimi produktami; straganiarze w jaskrawych kamizelkach i zieleniarki w niebieskich fartuchach. Natomiast w nocy stawał się miejscem hulanki i grzechu. Znakomite dawniej rezydencje, które otaczały plac, zamieniono w tanie teatry, gospody, łaźnie i burdele. W miejscach, skąd było widać grube kolumny katedry św. Pawła, kupowano i sprzedawano seks we wszelkich odmianach i gatunkach.

W mglistym mroku latarnie wyglądały niczym wielkie, połyskujące cekiny, które okrywają scenę złocistym całunem. Jakaś dama w wymyślnym stroju i ze wspaniałym pióropuszem na głowie spacerowała wolno pod portykiem kościoła. Jej gładkie, blade ramiona i krągłe piersi były wystawione na chłód nocy. Przejrzysty materiał sukienki sugerował znacznie więcej, niż wyrazić mogła sama istota rzeczy. Do kobiety pod portykiem podszedł dobrze i modnie ubrany młodzieniec. Powiedział coś do niej, ścisnął wystawioną pierś, "jakby sprawdzał, czy jest jędrna. Później oboje zeszli ze schodów, skręcili za róg i rozplłynęli się w ciemności. McCady szedł za Jessalyn, miażdżąc butami skorupki i łuski.

- Jeżdżąc konno po arenie rotundy w spodniach i błyskotkach, jesteś tylko odrobinę lepsza od niej - rzekł, poruszając oddechem jej włosy, lecz i tak nie zdołał ukryć, że wzbiera w nim autentyczna dzika złość.

Zesztywniała.

- Nie dostrzegam związku, milordzie! Uważam pańskie insynuacje za wysoce obraźliwe.

- Do czorta, przestań, Jessalyn. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o twoim postępowaniu dzisiejszego wieczoru, byłabyś skończona. Dobrze o tym wiesz.

- Przecież z jednym wyjątkiem nikt nie wiedział, kto kryje się pod maską. Dawniej dżentelmen przysięgał, że nie zdradzi sekretów swojej damy.

- Dama nie miałaby dość odwagi, aby ważyć się na podobne

zachowanie. Nie wzięłaby na siebie takiego ryzyka. Gdyby wielce szanowny pan Clarence Tiltwell, członek parlamentu, kiedykolwiek zwietrzył, co zrobiłaś, musiałby się ciebie publicznie wyrzec...

- Clarence nigdy by tego nie zrobił. Kocha mnie.

- Clarence kocha siebie. I nie może sobie pozwolić na wikłanie się choćby w drobny skandal. Będzie krzyczał pod niebiosa, że go oszukałaś. Kiedy już skończy z tobą, przed drzwiami twojego domu zjawi się tłum mężczyzn niczym ławica sardeli w sierpniu, aby składać ci propozycje. I, możesz mi wierzyć, nie będą to propozycje małżeńskie.

Wydawało się, że w jego głosie brzmi nuta czegoś, w co nie śmiała wierzyć. Czyżby martwił się o to, co może ją spotkać? Niepokoił się o jej reputację i szczęście w przyszłości? Miała ochotę sprowokować go. Przekonać się, jak daleko sięga jego troska. Lecz ta droga prowadziła prosto do cierpienia. Zresztą już kiedyś na nią wstąpiła. Przypomniała sobie jedną z ulubionych sentencji babki: tylko głupiec dwakroć gryzie zgniłe jabłko.

Mimo wszystko pragnęła wiedzieć...

Odwróciła się do niego twarzą. Uniosła wysoko łukowate brwi i lekko wyduła wargi.

- Wprawdzie tego rodzaju propozycje nie wydawały mi się zabawne ani godne uwagi - powiedziała. - Ale skoro teraz zechciał pan wspomnieć o nich, milordzie, zorientowałam się, że trzeba poważnie brać pod uwagę możliwość zostania - jak wy to określacie? - kokotą jakiegoś bogatego mężczyzny.

Nie zareagował tak, jak się spodziewała. Podniósł tylko jedną brew i przyjrzał się jej bez pośpiechu, jak gdyby starał się oszacować, jak bardzo realna jest taka możliwość.

- Zatem proszę się rozejrzeć, panno Letty. Tu, przed Covent Garden, znajdzie pani całą ptaszarnię, od pulchnych białych gołąbków po kościste wrony. Widać, co się sprzedaje, dlatego łatwo ustalić własną cenę. Gdybyś na przykład była dziewczicą w wieku lat trzynastu, mogłabyś liczyć na ponad dwieście funtów. Ale dziewczica dwudziestojednoletnia... jesteś nadal dziewczicą?

- Może i jestem. Nie twoja sprawa.

- Ale sprawa mężczyzny, który zechce cię kupić. Wolałby wiedzieć, na co się decyduje. Wysuszona stara panna... - Zamilkł na chwilę, lecz Jessalyn nie dała się sprowokować. - Na skali

dziewiec wysuszona stara panna jest warta mniej niż niewinna wybujała pannica prosto ze szkolnej ławy.

- Co mnie obchodzi, jakimi skalami posługuje się mężczyzna, skoro to mnie ma wybrać? Przecież nie ja wybieram. Oczywiście będzie musiał być dobrze ułożony. -
- Trąciła lekko złote kółko przy jego uchu. - W żadnym razie nie będzie tonął w długach aż po swój ładny kolczyk. Poza tym musi być przystojny, nie może mieć ani odrobiny tłuszczu wokół brzucha i śladów łysiny na głowie. - Zerknęła na odpowiednie miejsca na jego ciele, jak gdyby już zamierzał się decydować.
- Kobieta, której wiosna życia już minęła, w dodatku rudzielec z piegami na twarzy, nie jest niczym szczególnym.
- Nie jestem jeszcze zbyt stara i...
- Raczej dobrze zakonserwowana.
- ...i nie mam już piegów.

Ujął ją pod brodę dwoma palcami i odwrócił jej twarz w stronę najbliższej latarni. Potarł kciukiem jej policzek.

- Kłamczucha. Widzę ich co najmniej dwa tuziny. Patrzył na jej twarz tak poufale, jakby ją pieścił, i naraz

wydało się jej, że ucichł gwar na placu pełnym ludzi. Pochylił głowę, wtedy rozchyliła usta, czekając bez tchu, czekając w takim skupieniu, że nawet jej serce zdawało się zamierać w oczekiwaniu na to, co się miało wydarzyć.

Ale nagle uwolnił ją. Zamknęła oczy, aby jakoś przetrwać moment rozczarowania.

- I... i nalegałabym, aby mi podarował klejnoty - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.
- A także dom na własność.
- Bardzo rozsądnie. Ponieważ twoje wdzięki, zresztą wątpliwe, prawdopodobnie nie przetrwałyby dłużej niż trzy lata. Może cztery.
- Babcia twierdzi, że mam wytrzymałe kości.
- Masz wytrzymałe kości czy też ich nie masz, on znudzi się tobą bardzo szybko. Następnym razem nie będziesz już taka wybredna. Minie jeszcze rok albo dwa, spotkasz następnego mężczyznę, no może kilku, i staniesz się podobna do miotły, która stoi tam.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Kobieta w sukni z jaskrawej satyny i postrzępionym szalu tuliła się do ramienia starszego mężczyzny w brudnym, poplamionym płaszczu. Miała

twarz pokrytą grubą warstwą pudru i pomarańczowe policzki, które wyglądały jak plamy marmolady.

- Ten facet zabierze ją do spelunki tam za kolumnadą. Potem zrealizują warunki umowy... które, jeśli kobieta ma szczęście, będą zwykłą realizacją, a nie dość obrzydliwym rodzajem zabawy, jaki można opisać wyłącznie po łacinie. Następnie zapłaci jej pięć szylingów, z czego cztery przypadną rajfurce albo alfonsowi. Właśnie zaczęła już się staczać. Do rynsztoka z nią.

Skinął głową w stronę ceglanej ściany, przykrytej wyblakłymi, postrzępionymi plakatami. Z początku Jessalyn nie widziała nic poza cieniami. Potem cienie poruszyły się i naraz okazały się kobietą w sukiennym płaszczu i rdzawoczarnym obcisłym czepku.

- Ona z kolei musi pracować w parkach i alejach, ponieważ jest tak bardzo schorowana, że nie chcą jej nigdzie wpuścić i nie chce jej żaden alfons. Bierze po dwa pensy. Gdybym ci powiedział, co jest skłonna zrobić za tę sumę, nie chciałabyś uwierzyć.

Prostytutka, zauważywszy zainteresowanie swoją osobą, odepchnęła się od ściany i wolnym krokiem ruszyła w kierunku placu. Weszła w krąg światła latarni. Jessalyn westchnęła zaszokowana, gdyż kobieta wcale nie była kobietą, tylko dziewczyną, która nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Wokół ust miała ranki. Ktoś pobił ją niedawno, bo pod jednym i drugim okiem widniał siniec o wątrobianym kolorze.

- Kup sobie rozkosz, wielmożny panie - zawyła, czepiając się ubrania McCady'ego rękami pełnymi strupów. - Co pan sobie życzy. Zrobię wszystko, wielmożny panie. Dał dziewczynie jakąś monetę i odprawił ją. Jessalyn nie dostrzegła, aby jego twarz wyrażała szok czy przerażenie. Nie odczuwał nic. Zbyt wcześnie poznał lupanary Londynu, zbyt wcześnie zażywał nieprzyzwoitych rozkoszy, aby jeszcze odczuwać przerażenie czy cokolwiek innego. Odwrócił się i przeszył ją wzrokiem, w którym dostrzegła arogancję, żar i może ostrzeżenie. Wcześniej myślała, że to tylko gra, ale był śmiertelnie poważny. Postanowił kolejny raz udzielić jej lekcji, i tym razem mu się powiodło. Nie wiedział nawet, jak bardzo.

- No i co, panno Letty, dosyć pani zobaczyła? - zapytał

szyderczym, kategorycznym tonem i w tym momencie znów go znienawidziła. Nienawidziła go za to, że niektóre grzechy miały konsekwencje zbyt straszne, by je znieść, i że nawet niewinność miała swoją cenę. Nienawidziła go, bo jej pokazał, że miłość może być ohydna.

Zakręciła się i chciała uciekać. Nie zdążyła. Chwycił ją z tyłu, otoczył ramieniem i siłą odwrócił z powrotem. Nie poddała się. Chciała paznokciami podrapać mu twarz, ale bezlitośnie pochwycił ją za nadgarstki i wykręcił jej rękę do tyłu.

Otworzyła usta, wtedy opadł na nie swoimi wargami.

Chociaż pocałunek smakował gorzko, chociaż gotowało się w nim ze złości, szeroko otworzyła usta na spotkanie z jego ustami. Po chwili zaczął całować ją znacznie łagodniej, bardziej delikatnie. Uwolnił jej rękę i wsunął palce w rude włosy. Przechylił do tyłu jej głowę i zaczął badać językiem jej wargi. Przywarła do niego łakomie, smakowała jego usta, spijała z nich. Oddawała pocałunek z całą pasją dziewczyny, która utraciła miłość, i z namiętnością kobiety stęsknionej, by ją odzyskać. Ale rany były jeszcze zbyt bolesne, zbyt świeże.

Wycofała się, postąpiła krok w tył, potrząsając gwałtownie głową.

- Dość... nie chcę tego powtarzać, nie chcę.

Zerwała się do biegu, skręciła w alejkę, nie wiedząc, dokąd biegnie, i wcale o to nie dbając. Wpadła na jakiegoś dandysa ubranego w purpurowo-zielone pasiaste spodnie, który akurat wyszedł z wypełnionej dymem kafejki.

Zamknął ją w objęciach i przytrzymał.

- Ho, ho! - zawołał, chuchając jej w twarz oparami brandy i tytoniu. - Kogo my tu mamy!

- Puść ją - powiedział McCady głosem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała. Dandys spojrział nad jej ramieniem, rozchylił palce i uwolnił ją. Wycofał się, trzymając uniesione przed sobą dłonie. Potem szybko odwrócił się na pięcie i w pośpiechu odszedł alejką w przeciwnym kierunku.

Jessalyn stała teraz w bezruchu, z trudem powstrzymując łzy. McCady zbliżał się do niej z tyłu. Dopiero gdy stanął przed nią, powoli podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Tak mogłaby wyglądać twarz diabła - pomyślała. Nie była rozpalona, lecz

przejmująco zimna, skrajnie bezlitosna. Chwycił ją za ramię, rozgrzewając w jej żyłach krew, póki nie wybuchnął ogień. Zachowywał się wobec niej rozmyślnie okrutnie, ale ona nie czuła już nic więcej poza słodką, ekspansywną rozkoszą. Popatrzyła w dół na palce, które ją boleśnie ścisnęły, owe pokiereszowane, pokryte bliznami palce wynalazcy. Naraz poruszyła ją myśl, że nigdy nie przestała kochać tego mężczyzny. Kochała go nawet wtedy, kiedy go nienawidziła. Kochała człowieka o posępnych oczach i mrocznej duszy oraz jego poruszające wizje o żelaznych koniach i pojazdach bez zaprzęgu. Człowieka, do którego jej serce należało w taki sposób, w jaki nie mogło należeć już do nikogo.

Który posiadał jej serce, choć wcale tego nie chciał.

- Zabierz rękę - powiedziała. Uśmiechnął się lodowato.

- Może i nastawałem dzisiaj na twoją cnotę. Ale to nie oznacza, że zamierzam pozwolić, abyś uległa dziecinnemu napadowi złości i wracała do domu sama. Zaprowadził ją z powrotem na plac. Palce, które wcześniej zadawały ból, teraz zataczały delikatne kręgi po obolałych miejscach jej ramienia.

- Nie będę uciekała. Tylko, proszę... nie dotykaj mnie - powiedziała zdławionym głosem.

Spojrzał na nią surowo, ale ją uwolnił. Gwizdnął na dorożkę. Usłyszała, jak opisuje woźnicy, dokąd mają jechać, i nawet nie przyszło jej do głowy dziwić się, skąd wie, gdzie ona mieszka. Przejechali krótki odcinek drogi, nie zamieniwszy ze sobą ani jednego słowa. W srebrzystych plamkach światła, jakie docierały pod daszek dorożki, jego rysy wyostrzyły się, sprawiały wrażenie groźniejszych niż kiedykolwiek.

Zeskoczyła, zanim dorożka zatrzymała się na dobre, nie poczekawszy na opuszczenie stopni. Wylądowała twardo na bruku. Zachwiała się nieco, odzyskała równowagę i pobiegła wzdłuż Adelphi Terrace oraz brzegu rzeki.

- Jessalyn, poczekaj! - krzyknął za nią. Zaczęła szarpać za klamkę frontowych drzwi swojego domu, modląc się, by Beka nie zapomniała odsunąć zasuw. Z tyłu dobiegał odgłos szybkich kroków. Klamka ustąpiła, ale opierał się jeden z zawiasów, który już od miesiący należało naoliwić. Przeklinając jak pijany gór-

nik, rozpaczliwie pchnęła drzwi, które wreszcie - wreszcie! - poddały się - Jessalyn! - Padł na nią cień McCady'ego. - Jessalyn, do diabła... - Szybko wślizgnęła się do środka.

Chwycił za framugę, aby ją powstrzymać przed zamknięciem drzwi.

Zamknęła je i tak, pchnęła mocno, ile miała sił.

Zabrał rękę, wyrzucając z siebie przekleństwo. Zamknęła drzwi na zasuwę.

Oddychając ciężko, przywarła rozpalonym policzkiem do gładkiego, wymalowanego drewna.

Zdawało się jej, że kroki na zewnątrz się oddalają. Wyprostowała się, aby zerknąć przez judasz. McCady stał pod drugiej stronie ulicy przy żelaznej poręczy, która górowała nad rzeką. Włosy opadły mu na czoło. Ssał zranione kostki dłoni i wyglądał jak opuszczony, skrzywdzony chłopiec. Miała ochotę wyjść, przytulić do piersi jego głowę, pocieszyć go. Odwróciła się, oparła plecami o drzwi i ześlizgnęła powoli na podłogę. Objęła podciągnięte pod brodę nogi i otarła się policzkami o twarde kolana. Błyszczący materiał spodni chłonał wilgoć. Dotknęła twarzy, odkrywając, że jest mokra i lepka od łez.

Napoleon podniósł się ze swego posłania przy schodach. Ocierał się o jej nogi i mruczał głośno. Wydawał z siebie dźwięk niczym nocny stróż swoją grzechotką.

Lecz kiedy chciała go pogłaskać, ugryzł ją w dłoń i odskoczył, unosząc wysoko pomarańczowo-biały ogon. Właśnie, nie lubił jej nawet własny kot. Ożywiła ją zabawna myśl. Roześmiała się przez łzy i wstała.

Beka zostawiła zapaloną świecę na pierwszym słupku balustrady. Po drodze do sypialni Jessalyn zatrzymała się, aby zajrzeć do pokoju babki. Starsza kobieta leżała w łóżku. Trzymała ręce na pościeli, ułożone prosto wzdłuż boków. Leżała tak spokojnie, że Jessalyn weszła do pokoju i zbliżyła palce do jej ust. Nie zdawała sobie z prawy, jak bardzo się boi, póki nie poczuła laskoczącego oddechu babki. Ugięły się pod nią nogi, kiedy poczuła, że ogarnia ją fala radosnej ulgi. Lady Letty musiała ostatnio zażywać tak dużo laudanum na swój reumatyzm, że w nocy spała jak zabita. Jak zabita. Strach ścisnął serce Jessalyn. Ta sama obawa, którą odczuła w Newmarket. Obawa przed samotnością. Nie mogła znieść myśli o życiu bez babki, o przyszłości bez najbliższych.

Wróciwszy do własnej sypialni, nie rozebrała się natychmiast do snu. Na najwyższej półce szafy z orzechowego drewna, przesunięte do tyłu, zapomniane, stało okrągłe pudełko. Musiała stanąć na krześle, aby je zdjąć. Wewnątrz znajdował się mały wiejski kapelusik, zrobiony z taniej słomki i przystrojony bukietem żółtych jedwabnych pierwiosnków. Słomka porwała się i postrzępiła na brzegach, jedwabne pierwiosnki obwisły i wyblakły.

Nałożyła kapelusz i przyjrzała się swemu odbiciu w okrągłym lustrze przymocowanym po wewnętrznej stronie drzwiczek szafy.

Był to ładny kapelusik, tylko że przeznaczony dla znacznie młodszej dziewczyny, dziewczyny ledwie wyrosłej ze szkolnej ławy, nieporadnej, skłonnej do wybuchania śmiechem i traktowania siebie zbyt poważnie. Wzruszenie ścisnęło jej gardło, kiedy pomyślała o dziewczynie, która nosiła ten kapelusz owego pamiętnego lata. Dopiero teraz zrozumiała, że musiała się wtedy wydawać wprost niewiarygodnie młoda.

Odwróciwszy się od lustra, gwałtownym ruchem zerwała kapelusz z głowy. Nie powinna przechowywać tego starocia, tylko wyrzucić je do śmieci.

Mimo wszystko ostrożnie i bardzo delikatnie włożyła kapelusz z powrotem do pudełka. Kiedy to zrobiła, dostrzegła, że spod płótna, które przykrywało dno, wystaje róg księgi oprawionej w zieloną skórę. Wyjęła ją i podeszła do okna.

Usiadła na krześle, powiodła dłonią po tłoczonej skórze, czując nikły zapach stęchlizny. Plamy pleśni zeszpeciły pozłotę. Widok zniszczenia napełnił jej serce smutkiem i cierpieniem.

Wewnątrz przed pierwszą białą kartką leżał sprasowany pierwiosnek. Był wyschnięty i niemal przezroczysty. Obawiała się, że wystarczy na niego chuchnąć, a zamieni się w pył. Najostrożniej, jak mogła, aby nie poruszyć kwiatka, odwróciła kartkę. Atrament wyblakł, ale słowa można było odczytać.

Poznałam dzisiaj pewnego mężczyznę...

XV

Jessalyn drgnęła, kiedy frontowe drzwi otworzyły się ze skrzypieniem zardzewiałych zawiasów. Zebrała stos rachunków i wsunęła pod poduszkę. Usiadła na niej, sięgnęła po Napoleona i kalendarz wyścigów konnych Weatherby'ego. Z powrotem rozparła się na egipskiej kanapie stojącej na krokodylich nóżkach i jak sądziła, nadała twarzy wyraz anielskiej niewinności.

Z holu dobiegał głos Beki. Najwidoczniej wracała lady Letty. Starsza pani uparcie wydawała pieniądze, których nie miała. Tego popołudnia musiała wyjść po nową parę kul dla chromego syna pewnego handlarza. I musiała też kupić dużą porcję pieczonych ziemniaków od chudej dziewczyny w łachmanach, która je sprzedawała na najbliższym rogu. Robiła to zawsze. Nawet Beka miała ich już serdecznie dosyć. Lecz Jessalyn nie śmiała prosić, by babka oszczędzała na dobroczynności, i nie chciała jej martwić. Trzymała zatem doręczane rachunki w tajemnicy i modliła się o odwrócenie fatalnego losu Lettych.

Gwałtownie westchnęła. Poruszenie zaalarmowało Napoleona, który swoje niezadowolenie wyraził, wbijając pazury w jej uda. Wyrósł na kapryśnego kota, choć nadal nie był duży. Nie przepadał za Londynem i zapewne miał jej za złe, że znalazł się tutaj.

Przed czterema laty Sierżant Major przyszedł do lady Letty i oświadczył, że być może nadarza się ostatnia okazja do wzięcia udziału w serii wielkich gonitw.

Przeprowadził niewielkie stado koni do Newmarket, a Jessalyn, lady Letty i Beka przejechały wynajętym dyliżansem. Przeniosły się do Londynu, do domu matki Jessalyn, jednego z wielu w prostokątnym bloku zwanym Adelphi.

Od zewnątrz dom był zbudowany z cegieł. Zdobiły go delikatne pilastry i kamienne kapryfolia. Wewnątrz ładne klasycy-styczne pomieszczenia zmieniono w coś, co może z grubsza odpowiadałoby gustowi Kleopatry. Były tu świeczniki w kształcie lotosowych liści, ściany oklejone tapetami w hieroglify oraz sfinksy, kredensy z rzeźbionymi liliami i krzesła, których oparcia przypominały poskręcane węże. W pokoju jadalnym stał

marmurowy stół w kształcie sarkofagu, zrobiony z pojedynczego kawałka marmuru. Lady Letty wzdrygała się za każdym razem, ilekroć wchodziła do jakiegoś pomieszczenia. Natomiast Beka twierdziła, że te wszystkie sfinksy i krokodyle napędzają jej strachu. Jessalyn nikomu o tym nie mówiła, ale lubiła ten dom. Często spacerowała po pokojach, rozmyślając o kobiecie, która tutaj mieszkała, która zdradziła męża i opuściła dziecko, aby podążyć za głosem namiętności. Szukając w sobie tej kobiety, studiowała w lustrze swoją twarz. Lecz jej duże usta i ogniste włosy, wiotkość ciała pasowały bardziej do Rosalie, dziewczyny z kopalni. Była dzieckiem wrzosowisk i klifów, które broniły lądu przed atakami morza. O tajemniczej i egzotycznej kobiecie, która lubiła lwy i łagodne tony liry, nie wiedziała zupełnie nic.

Ta kobieta, matka z jej wspomnień, była jasnowłosa i delikatna, mówiła cicho, a śmiała się melodyjnie i lekko. Ta kobieta tuliła ją do piersi i całowała w czoło, gdy Jessalyn przewróciła się na schodach i uderzyła w słupek balustrady. Tylko to jedno wspomnienie zachowało się wyraźnie w jej pamięci. Ta kobieta na pewno ją kochała. Tyle że nie aż tak bardzo, aby zatrzymać córkę przy sobie.

Drzwi do saloniku otworzyły się i Jessalyn podniosła głowę, spodziewając się ujrzeć babkę.

- Ojej, o mój losie! - zawołała Beka Poole, wzdychając głęboko i żałośnie. Stała w drzwiach z wiązką gęsich piór w jednej ręce i kawałkiem papieru w drugiej. Czerwona blizna na jej bladym policzku wyglądała jak ślad po uderzeniu batem. Jessalyn poderwała się na równe nogi, zrzucając Napoleona na podłogę. Kot syknął i machnął łapą w jej spódnicę.

- Beka? Jesteś chora? - Naraz pewna obawa odebrała jej oddech. - Czy... babcia? Żywiczne oczy Beki zatrzymały się na jej pani.

- Mężczyzna.

- Mężczyzna?

- Dżentelmen od pewnego dżentelmena. Przyniósł panience ten list. - Wyciągnęła mocno zaciśniętą garść, w której tkwił papier.

Jessalyn chciała go odebrać, ale służąca nie rozwarła pięści.

- Beka?

- He? - Beka drgnęła i dopiero teraz oddała list. - Ten dżentelmen dżentelmena, panienko, jest najbardziej urodziwym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Włosy ma złociste, oczy takie jakieś dziwne, bladobrazowe jak brandy. I połyskliwe. I smutnawe. Jak u Jezusa ukrzyżowanego z obrazu w katedrze Świętego Pawła. Popatrzył na mnie, znaczy tymi oczami, i wtedy w dole brzucha jęły mnie brać pokurcze. - Zaczęła rozcierać żołądek, gdy nagle zauważyła, że trzyma w dłoni pióra. Wbiła w nie wzrok, jakby ich wcześniej w ogóle nie widziała. - Jeszcze nigdy mi się tak nie przewracało we wnętrzach. Może to diabeł pod postacią anioła rzucił na mnie jakiś urok. Dobrze, że noszę amulet.

Wzdrygnęła się teatralnie, dotykając rzemienia przy szyi.

- Ano coś mi się widzi, że ani chybi tak było, panienko. Bo jak zajrzałam w te jego oczy, mało co ducha nie wyziewnęłam prosto u jego stóp!

Jessalyn sprytnie przekształciła śmiech w kaszel.

- Może powinnaś poleżeć godzinę albo i dwie, aby ukoić nerwy.

- Ano tak, panienko. Poleżenie dobrze mi robi. Nerwy mam całe w strzępach.

Beka wyszła, poruszając się jak lunatyk. Jessalyn wygładziła zagniecenia listu.

Czuła się podekscytowana, ponieważ wcześniej jeszcze nikt nigdy nie przesyłał jej w ten sposób wiadomości. Został napisany na luksusowym kremowym papierze o złoconych brzegach. Złamała pieczęć i rozwinęła kartkę. Banknot spłynął na podłogę. W sumie było ich pięć, pięć dziesięciofuntowych banknotów. Adres nadawcy został wytłoczony na górze kartki, a jedynym odręcznie napisanym elementem listu był podpis, złożony grubymi, czarnymi literami: Caerhays.

Powoli zaczęła w niej kiełkować złość. Wyszła z saloniku i skierowała kroki do sypialni. Z wyrachowania przebrała się w starą spacerową sukienkę z kaszmiru i krótką kamizelkę do kompletu. Na rękawie pozostała atramentowa plama i materiał miał barwę szlamu, jaki gromadził się w londyńskich rynsztokach podczas opadów deszczu. Nie pamiętała, kiedy i w jaki sposób stała się właścicielką czegoś tak okropnego, ale tego dnia nic nie mogło lepiej służyć jej celom. Chciała, by zobaczył, że nie dba o to, czy wywiera na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Zamierzała też powiedzieć mu, dokąd może sobie pójść ze swoimi banknotami i co ma z nimi zrobić, kiedy już tam dotrze.

Włosy upięła w koczek na czubku głowy, poza tym dała im spokój, chowając je pod możliwie najbrzydszym nakryciem głowy, jakie znalazła - zwykłym, gładkim, przyciasnym czepkiem. Nie minęło dziesięć minut, a już siedziała w lektyce, podążając do mieszkania lorda przy St. James Street.

Tragarze zeszli z Piccadilly, kiedy nagle lektyka spadła na ziemię, aż Jessalyn szcęknęły zęby. Na zewnątrz podniosły się krzyki i słychać było tupot nóg. Chwilę później coś głucho uderzyło w drewnianą ściankę lektyki. Przygotowana na najgorsze, Jessalyn podniosła zasłonkę i wyjrzała na zewnątrz.

Wóz z węglem wpadł na wielką platformę załadowaną kurczakami w klatkach. Gdaczące ptactwo znalazło się na ulicy między bryłami węgla. Mogło się zdawać, że wszyscy mieszkańcy Londynu, wliczając w to tragarzy niosących lektykę, rzucili się, pragnąc ukraść chociaż jedną sztukę drobiu i trochę węgla, aby mieć na czym ją upiec.

Resztę drogi przeszła pieszo, pozostawiwszy pieniądze na poprzecieranym satynowym siedzeniu. Kurze pióra kołysały się i wirowały w powietrzu. Mgła była teraz bardziej dokuczliwa niż tego rana. Otulała ludzi niczym ciężkie i cuchnące futro. Jessalyn przetarła piekące oczy. Przełykając, czuła smak sadzy.

Wreszcie dostrzegła budynek, o który jej chodziło. Dzielila ją od niego grupka młodzieńców, opartych leniwie o słupki oddzielające chodnik od ulicy. Kiedy podeszła, jednocześnie podnieśli do oczu monokle i zaczęli gdakać jak kurczaki. Jessalyn patrzyła przez nich, jakby w ogóle nie istnieli. Któryś wystawił spacerową laskę, ale ją spokojnie obeszła. Drugi wysunął but, zaczepiając ostrogą ojej spódnice. Poruszyła się gwałtownie, materiał się rozerwał i ustąpił. Nim dotarła do drzwi i pociągnęła za sznur dzwonu, spocily się jej dłonie w rękawiczkach i drżała ze zdenerwowania.

Nieznajomy, który otworzył jej drzwi, był rzeczywiście przystojnym mężczyzną. Miał lekko złociste oczy, delikatnie rzeźbioną twarz i krótkie blond loki. Wyszedł ubrany jedynie w koszulę i spodnie z koziej skóry. Mięśnie jego rąk i nóg przypominały ogniwa kotwicznych łańcuchów. Można by odlać jego kopię w brązie i umieścić w muzeum, a zapewne wszyscy do-

strzegliby w tym jakiś sens. Naraz uświadomiła sobie, że gapi się na niego z otwartymi ustami.

- Dzień dobry, panno Letty - odezwał się z charakterystycznym szkockim akcentem. Jessalyn zawahała się, zdziwiona, że mężczyzna zachowuje się, jakby ją znał.

- Czy zastałam lorda Caerhaysa? Czy... czy może oczekiwał mnie?

- Dokładnie mówiąc, jego wielmożność wyraził się inaczej. Z góry proszę o wybaczenie, proszę pani. Otóż powiedział, że nie minie godzina od momentu, gdy dostarczę pani pismo, a mogę być pewny, iż zjawi się pani tutaj, ujadając jak pies, któremu do ogona przywiązano metalową puszkę. Potem miałem go obudzić.

- Zatem Caerhays nadal tkwi w łóżku, tak? - zapytała, wchodząc do wąskiego westybulu. - Czy jego lordowska mość przypadkiem nie spędził ostatniej nocy przy kieliszku?

Skierował na nią wzrok. Jego oczy w płomyku świecy rzeczywiście miały kolor brandy. I oprócz tego tkwiła w nich odrobina smutku. Jakby należały do układowego i wyrozumiałego księdza, który nic nie może poradzić na to, że jest rozczarowany słabostkami swojej owczarni.

- Oczywiście - powiedział cicho - daleki jestem od tego, by opatrywać komentarzem nocne zwyczaje wielmożnego pana. Ale prawdą jest, że do białego rana przesiedział w piekielku przy Jermyn Street. Pił i grał. Oświadczył, że właśnie tym się zajmują lordowie.

- Tym zajmują się szaleni lordowie Caerhaysowie - oświadczyła.

Pozwolił sobie na westchnienie tak żałobne jak dźwięk pogrzebowego dzwonu.

- Na mój rozum przyczyny trzeba szukać we fluidach, jakie wydzielają się z ludzkiego ciała. Kiedy ich stężenie staje się zbyt małe, łatwo o mentalną przypadłość. Tak właśnie uważam, jeśli panienka pozwoli.

Z doskonale posepną miną zaczął wchodzić po wąskich schodach do skromnego kawalerskiego mieszkania. Jessalyn szła za nim, zastanawiając się, czy ten mężczyzna nie bawi się przypadkiem jej kosztem. Nie przypominał żadnego ze sług, jakich

w życiu widziała. Miał bardzo ładną twarz, a wymowę przyprawiał twardym szkockim akcentem i szczyptą londyńskiego żargonu.

Wprowadził ją do małego salonu w kolorze jabłkowej zieleni, pomieszczenia pogodnego nawet w przyćmionym świetle mglistego dnia. Pokój został wyposażony dość elegancko. Ściany miał wyłożone rzeźbioną boazerią z sosnowego drewna. Stały tu lekkie mahoniowe meble. Pewne elementy zakłócały ten obraz: para butów leżących w nieładzie przy fotelu do czytania; rękawice do jazdy i szpicruta na obramowaniu kominka. Ciepłe światło lampy padało na biurko, gdzie leżały gazety, rozcięty i wyprasowany „Times”, obok zaś wymięty egzemplarz „Mechanics Magazine”.

Ktoś otworzył drzwi. Jessalyn mocniej zabiło serce. Odwróciła się na pięcie. Lecz był to tylko służący, który wrócił z tacą. W pokoju zapachniało kawą i racuchami.

- Jeżeli przyszła panienka zwrócić pieniądze - rzekł - to ja miałbym ogromną prośbę. Gdyby panienka zechciała zasugerować jego wielmożności, żeby cisnął we mnie kilkoma pensami. Życie sporo nas tutaj kosztuje, a ja mam takie dziury w pończochach, że panienka mogłaby swobodnie przecisnąć przez nie piętę. - Postawił tacę na biurku i pokazał na szklanekę burej cieczy, która stała przy metalowym czajniczku do kawy, malowanym w japońskie wzory. - I niech panienka zauważy, że jego wielmożność pije wodę węglową. Kiedy budzi się rano, pęka mu głowa. Jessalyn wydało się, że w osobliwych oczach mężczyzny dostrzega uśmiech, chociaż jego usta pozostały ściągnięte do dołu i przypominały brzeg odwróconej do góry dnem misy.

- Od dawna jest pan z lordem Caerhaysem, panie...?

- Zwą mnie Duncan - powiedział i tym razem mogłaby przysiąc, że mrugnął do niej.

- Choć oczywiście nie od urodzenia. W wojsku byłem ordynansem jego wielmożności. Ale teraz służę mu za lokaja, gdy pan chce odgrywać diuka pełną gębą albo dodać sobie powagi. Tak, tak, życie było kiedyś znacznie prostsze, zanim się stał wielce ważny. Wystarczyło dać mu miskę gorącej zupy i siennik, a mrucał jak zadowolony kocur. Teraz buduje linię kolejową i ma takie długi, że nie może spać po

nocach, choć dla odmiany kładzie się teraz do prawdziwego łóżka. Na domiar złego brat mu wyciągnął nogi. Wprawdzie zostawił w spadku tytuł, ale dołożył długów. Dość tego wszystkiego, żeby wykończyć człowieka. - Zatrzymał się przy drzwiach i westchnął głęboko a żalobnie. - W wojsku wszystko jest prostsze, panienko. Nie musiałem się o nic martwić, byle tylko na-pakować mu do mózgowicy trochę dętych frazesów, aby zechciał zostać bohaterem, dając się zabić.

Jessalyn nie odrzekła nic. Nie interesowały jej kłopoty McCady'ego. Nie chciała go żałować, skoro wszelkie uczucia, jakie dla niego żywiła, tak fatalnie działały na jej bezbronne serce.

Drzwi zamknęły się za lokajem z cichym szcękaniem. Jessalyn powoli obeszła pokój. W jednym kącie stał stary stół zasłany stosem szkiców. Połowę porysowanej dębowej powierzchni zajmował model żelaznego konia, ustawiony na miniaturowych szynach w kształcie okręgu. Lokomotywa była podobna do tej, którą Jessalyn jechała przed pięciu laty, z tą różnicą, że kocioł miał bardziej opływowy kształt, a cylindry - bo chyba właśnie tak to nazywał - sterczały teraz do góry pod dość ostrym kątem i przypominały nogi pasikonika. Do modelu maszyny były przyłączone małe wagoniki i platformy. Serce zakłuło Tessalyn, kiedy wyobraziła sobie ludzi i masę towarów przewożonych z jednego krańca Anglii na drugi niewiarygodnym wynalazkiem, którego twórcą był McCady Trewlany.

Niewiarygodnym wytworem szaleństwa McCady'ego Trewlany'ego.

Właśnie, inaczej się tego nie określało, jedynie mianem szaleństwa Trewlany'ego.

Nie mogła zapomnieć o gruboskórnym, zblazowanym poruczniku, który ją odrzucił, to prawda. Ale zdarzały się chwile, że gdy w gazecie czytała o nim jakąś absurdalną historię, chciało się jej płakać nad młodzieńcem z ogniem w oczach, który zabrał ją na przejażdżkę swoją wspaniałą lokomotywą.

Cytowano ekspertów, wedle których buchający z komina dym zniszczy zbiory, a od iskieł będą stawać w ogniu całe łąny. Podobno należało się spodziewać, że ze względu na przerażający hałas krowy tracą płodność. Zarówno ładunkom, które McCady miał nadzieją transportować swoją linią kolejową, jak i prze-

wożonym pasażerom groziło podobno rozerwanie na strzępy. Autor jednego z artykułów próbował nawet dowieść za pomocą wykresów i tabel, że para wodna wypuszczana w powietrze wywoła fale i spowoduje wezbranie wód, które zaleją Wyspy Brytyjskie.

Porucznik Trewlany, jak donosiły gazety, w ostatecznym rozrachunku „zmierzał wprost do utopienia człowieka w końskim żłobie”. Gdy czytała podobne wypowiedzi, było jej go żal. Ciągłe widziała oczyma wyobraźni jego twarz z tamtego lata podczas świętojańskiego przyjęcia u Tiltwellów. Pamiętała, jak szyderczy śmiech zdusił ogień szczerzej pasji, płonący w jego oczach.

Tylko jeden jedyny raz przeczytała coś pozytywnego na temat możliwości rozwoju transportu kolejowego. Czasopismo zajęło się wszystkimi innowacjami wprowadzonymi przez Trewla-ny'ego w jego nowej lokomotywie. Większa część tekstu została napisana zbyt technicznym językiem, aby mogła wszystko dobrze zrozumieć. Poza jednym: McCady wynalazł nowy rodzaj szyny ze stali walcowanej, którą układało się na podkładach. Zniknęła groźba, że pod ciężką maszyną tory rozpadną się jak podczas pokazu u Tiltwellów. Pasażerom nie groziło już, że wylądują na derierach w kłujących krzewach kolcolistu.

Zaczęła się do siebie uśmiechać na tę myśl, kiedy jej wzrok przyciągnęło coś błyszczącego. Coś, co było częściowo przykryte starym fragmentem szkicu. Maską ptaka, którą miała na sobie ostatniej nocy. Z lakierowanymi piórami i zakrzywionym nosem. Jessalyn podniosła ją...

- Dzień dobry, panno Letty.

Stała zwrócona do niego profilem. Odbite od tarczy kinkietu światło padało na jej twarz, sprawiając, że jej cera wydawała się delikatna i gładka jak gęsta śmietana. Włosy ginęły pod brzydkim czarnym czepkiem, choć niewielkie kosmyki opadały na policzki niczym jęczyczki ognia. Pięć lat wysiłku, by zapomnieć, na tyle się zdało, że tylko raz na nią spojrział i nie pragnął już żadnej innej kobiety.

Usłyszawszy pozdrowienie, zacisnęła dłoń. Maską pękła, wydając odgłos strzału z pistoletu. Powoli odwróciła się przodem. Cienie pod jej oczami wyglądały jak zastarzałe sińce, a dolna warga sprawiała wrażenie jeszcze bardziej pełnej niż zwykle. Specjalnie pozostał w cieniu drzwi. Wsunął koniuszki pal-

ców pod pasek spodni i oparł się o węgar. W pokoju zaległa cisza: pulsowała w jego krwi niczym werble podczas bojowego marszu.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zapytała wreszcie. - To znaczy wczoraj...

Zatrzymał wzrok na masce, którą trzymała w ręce, potem przeniósł spojrzenie na jej twarz.

- Poznałbym cię wszędzie.

Nigdy wcześniej nie wypowiedział do niej słów bardziej poufanych. Wolałaby, żeby tego nie robił, ponieważ były to jedynie słowa. Jej twarz nadal wyglądała na posiniaczoną. Drżała jej dłoń, gdy odkładała maskę na stół.

Z początku szedł bezpośrednio w stronę Jessalyn, ale w końcu minął ją. Nie był ubrany, to znaczy miał na sobie tylko koszulę i bryczesy. I nie ogolił się. Nie miał najmniejszej ochoty, aby tego dnia odgrywać rolę galanta.

Wziął z tacy szklanek z miksturą, wzdrygnął się, a potem wylał ciecz do doniczki z paprocią o mizernych, pozwijanych liściach. Oto co każdego ranka działało się z leczniczą zawiesiną. Duncan sądził, że roślinę niszczą mszyce. Przez całe lato starał się ją leczyć miętowym eliksirem.

McCady nie miał do siebie zaufania, kiedy patrzył na Jessalyn. Zatem wolał przezornie wyglądać przez okno. Mgła skropliła się na szybach, tworząc miniaturowe strużki. Ulicą przeszła praczka, która tobołek z brudną bielizną przyciskała do głowy. Stukot jej drewniaków po bruku odzywał się echem w gęstym powietrzu za oknem, zagłuszając tykanie stojącego na kominku pozłacanego zegara.

W końcu się odwrócił. Stała pośrodku tureckiego dywanu, jak dawniej szczupła i ubrana w coś, co wyglądało jak łachy zdarte z jakiejś pomywaczki ze Spitafields.

Lecz mimo to pragnął ująć w dłonie jej twarz i pocałować ją. Potępiał się za to. Nie potrzebował jej. Nie mógł sobie na to pozwolić, aby jej potrzebować.

Przyglądał się jej ze złością spod zmrużonych powiek.

- Okropne to ubranie - powiedział.

- Tak sądzisz? - opuściła oczy na sukienkę. Tajemniczy uśmiech zabłąkał się w kącikach jej ust. - Mnie się raczej podoba.

Zaczął się śmiać, ale prawie natychmiast zamilkł i skrzywił się, kiedy zaboląła go głowa.

- Do licha... Niechże pani usiądzie, panno Letty.

Nie czekając, aż go posłucha, rozparł się w krzesło przy biurku, łokcie oparł na poplamionej suszce i przycisnął kciuki do zamkniętych powiek. W głowie huczało mu głośniejsze niż w sztolni podczas wyrabiania rudy.

- Boże! - Westchnął, rozcierając zarośniętą twarz i zagłębiając palce w gęstwinie włosów. - Kiedy budzę się rano...

- To pęka mi głowa.

Podniósł obolałą głowę, by spojrzeć w jej oczy, które wydawały się suche i kruche niczym łuski nasion.

Roześmiała się prawie bezdźwięcznym, szeleszczącym śmiechem. Coś ścisnęło ją w piersi tak, że trudno jej było oddychać.

- Takie są skutki grzesznego żywota, milordzie - powiedziała, znowu wybuchając śmiechem. - Szkoda, że tego nie można spieniężyć, byłby pan bogatym człowiekiem.

- Siadaj - warknął. - I przestań udawać, że jesteś z siebie zadowolona.

Usiadła na krzesło z wdziękiem i skromnie złożyła dłonie. Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem łagodnym, posepnym i chłodnym jak niebo o brzasku. Zdziwił się, że potrafiła okazać tyle opanowania. Pragnął zniszczyć ten spokój, rozerwać go na pół niczym chustkę.

- Co tutaj robisz? - zapytał surowo. - Poza tym, że szukasz biedy, niczym lubieżna pomywaczka?

Wytrzeszczyła oczy. Spochmurniała jeszcze bardziej.

- Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć, milordzie.

- Damy nie powinny bez eskorty udawać się do domu samotnego mężczyzny.

Gdyby ktokolwiek zauważył, że tutaj wchodzisz, twoja reputacja miałaby wartość cynowej spluwaczki. W dobrym towarzystwie byłabyś skończona na zawsze.

No tak, miała jeszcze czelność uśmiechnąć się do niego.

- Jako zapamiętały hulaka jego wielmożność wydaje się przywiązywać nadmierną wagę do odpowiedniego towarzystwa. Ale nie przyszedłam tutaj, aby bawić się słowami. Chodzi o...

- Uwiedzenie.

Wyprostowała się i stała napięta jak struna.

- Uwiedzenie?

- Tego właśnie chciałaś, przychodząc tutaj. Po co kobieta miałaby samotnie przychodzić do mieszkania mężczyzny, jeżeli nie po to, aby dać się uwieść! Gwałtownie rozwiązała woreczek ze spłowiałej krepy i wyszarpnęła złożone banknoty, które jej przesłał tego ranka. Spodziewał się, że rzuci nimi. Domyślał się tego, śledząc wyraz jej twarzy. Lecz ona wstała, położyła pieniądze na biurku i usiadła z powrotem.

- Nie chcę być żadną kokotą.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się, oparł wygodniej, złączył palce za głową, szeroko rozłożył łokcie. Kiedy to zrobił, koszula rozchyliła się pod jego szyją. Wiedział, że Jessalyn patrzy. Odbierał jej spojrzenie niczym ciepły oddech.

Zniżył głos.

- Potrafiłbym sprawić, że jęczałabyś z rozkoszy, Jessalyn. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Ciężko przelknęła ślinę.

- Nie jestem niedoświadczonym podlotkiem. Przestałam być łatwowna i bezkrytyczna. Już mnie pan tak nie fascynuje, milordzie.

- No to muszę wyznać, że słuchając czegoś takiego, czuję się zdruzgotany. - Wstał, obszedł "biurko i zaczął się do niej zbliżać. Zbliżał się, póki nie zaczął napierać udami na jej kolana, póki nie poczuł promieniującego od niej ciepła. - Ponieważ ja...

- pochylił się, ujął w dłonie jej twarz - ...nadal mam pewną słabość... - kciukami lekko dotykał kącików jej ust, aż zwiotczały i rozchyliły się nieco. Powoli skłonił głowę. Już niemal dotykał ich wargami - ...do długonogich rudzielców. - Zamarł w tej pozycji i po chwili Jessalyn zaczęła mrugać powiekami.

Zdjął piórko z ronda okropnego czarnego czepka. Następnie usunął z przodu staniczka, gdzie kobiece piersi wypychały wyszywany przód szarej kamizelki.

Piórkami polaskotał ją w szczękę.

- Czyściłaś klatkę na kury?

Siedziała nieruchomo, jakby obawiała się, że pęknie, jeśli pozwoli sobie choćby na westchnienie.

Przesunął piórka do jej ust. Słyszał, że cichy jęk więźnie jej w gardle. Zapach pierwiosnkowego mydła i kobiecego ciepła uderzał mu do głowy niczym brandy.

Oddech mu się załamał,

220

a kiedy po chwili wrócił, był nierówny i przyspieszony. Czuł, że musi ją uwieść i że sam jest uwodzony.

- Pragnę cię - powiedział. Upuścił pióra i tym razem palcem obrysował jej szerokie usta. Jej usta... ktokolwiek z nich spijał, nigdy nie gasił pragnienia. - Pragnę cię zabrać do mojego łóżka. A ty na pewno pragniesz tam się znaleźć.

Mogło się zdawać, że cała krew odpłynęła jej z twarzy, nawet z ust, i skoncentrowała się w obrębie policzków. Jessalyn potrząsnęła głową.

- Nie.

- Ależ tak.

Odetchnęła gwałtownie, nierówno. Zadygotały jej piersi. Podniosła wzrok chmurny i niespokojny jak jesienne niebo podczas ulewy. Zaczęła się podnosić z krzesła w tej samej chwili, w której McCady złapał ją za ramię i podniósł. Torebka spadła jej z kolan, ale oboje nawet tego nie zauważyli. Pocałował ją.

I w jednej chwili świat stanął w ogniu. Żądza i pragnienie wezbrały w nim z taką siłą, że aż się zachwiał, chwytając za głębokie zakładki szorstkiego materiału kamizelki Jessalyn. Wdarł się językiem między jej rozchylone wargi. Nic nigdy nie smakowało mu bardziej niż Jessalyn, och, słodka Jessa...

Z jękiem wibrującym gdzieś głęboko w gardle przesunął dłoń do wcięcia nad jej biodrami, przycisnął ją do siebie, napierając twardym występem męskości na jej delikatny brzuch. Niespokojne kobiece dłonie rozpałały go, ponaglały.

Odrobinę odsunęła głowę. Gorący oddech uderzył go w policzek.

- Proszę, McCady... dajmy spokój. - Chwyciła go za koszulę, ale, zamiast odepchnąć go od siebie, przywarła do niego jeszcze silniej. - Zanadto cię kocham. Nie...

W jednej chwili zastygły w nim wszystkie mięśnie. Odepchnął ją od siebie.

- Nie mów tego.

Nie miała zamiaru tego powiedzieć. Z całą pewnością, nie. Przycisnęła pięści do ust. W jej oczach krył się wyraz niewypowiedzianej udreki.

Lecz po chwili opuściła ręce i podniosła głowę, stając się kobietą gotową do walki. Gdyby mógł, uśmiechnąłby się.

- Nie mogę zaradzić temu, co czuję - powiedziała. - Kocham cię.
Potrzęsnał głową, trochę się cofnął.

- Niczego takiego nie czujesz. Nawet o tym nie myśl. - Postąpił jeszcze jeden krok w tył i zatrzymał się, opierając o se-kretarzyk. Jeszcze raz potrząsnął głową, starając się ostudzić krew, która nadal żywo krążyła w jego żyłach. - Nic takiego nie istnieje poza fałszywą skromnością, którą można zbyć przed Covent Garden. Tak samo jak główkę kapusty albo koszyk pomarańczy. Towar, który psuje się tak samo szybko. - Zacerpnął duży haust powietrza, po czym wypuszczał je powoli, usiłując uwolnić się od ciężaru, który leżał mu na sercu. - Jessalyn... nie mogę ci dać tego, czego ode mnie chcesz.

Przechyliwszy głowę nieco na bok, przyglądała mu się poważnym spojrzeniem szarych oczu.

- McCady, powiedz, czego ja według ciebie pragnę?

- Tego samego, czego chcą wszystkie kobiety. Obietnic, których później żaden mężczyzna nie jest w stanie spełnić, czegoś w rodzaju: będziemy żyli ze sobą długo i szczęśliwie. - Miłości - pomyślał. Nie znosił tego słowa i starannie go unikał.

Nigdy żadnej kobiecie nie powiedział, że ją kocha. A już w ogóle nie składał obietnic, których od początku" nie zamierzał dotrzymać. -Chcesz małżeństwa. -

Przeciął dłonią powietrze, powstrzymując wszelkie jej protesty. - Tego nie mogę ci dać, Jessalyn, nawet gdybym bardzo chciał. Brat obarczył mnie długami karcianymi i honor nakazuje mi je spłacić. Tymczasem mnie również są potrzebne pieniądze.

Moje wielkie plany wybudowania linii kolejowej stały się przedmiotem

powszechnych żartów. Poza tym stoję nad przepaścią jako dłużnik. Grozi mi więzienie. Postawię sprawę jasno: potrzebuję bogatej żony.

Przez jedną chwilę jakiś dziwny uśmiech rozświetlił lekko jej posępną twarz.

- A ja nadal nie mam nawet porządnego garnka do gotowania zupy.

Stała przed nim dumna. Spogląda oczami spokojnymi i mądrymi. Nie była tą samą Jessalyn, która na plaży, gdzie biały piasek stykał się z błękitną wodą, prosiła go, aby jej nie opuszczał. Mimo wszystko marzył o niej, pożądał jej. Czuł to jako nieokreślony ciężar w trzewiach.

- Doskonale - ciągnęła. - Nie możesz mnie kochać i nie możesz mi zaoferować małżeństwa. Co zatem możesz mi dać?

Nie spodziewał się, że zapyta go w taki bezceremonialny sposób. Jednakże istniała pewna odpowiedź, której wcześniej udzielał wielu innym kobietom.

- Rozkosz - powiedział. - I nie dłużej, niż ona trwa. Znowu ten dziwny nikły uśmiech.

- Chcesz, bym była twoją kokotą. Póki ci się nie znudzę. Wykrzywił usta, przybierając cyniczny wyraz twarzy.

- Bardziej prawdopodobne, że ty znudziłabyś się szybciej. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do okna. Odsunęła

na bok zasłonę z brokatu w kolorze morwy. Na tle ciemnego, ciężkiego materiału jej dłoń była szczupła i delikatna. Dostrzegwał biel twarzy Jessalyn odbitą w wodnistej powierzchni szkła, ale nie rysy. Czuł się ocieślały. W jego żyłach krążyła krew nasycona pożądaniem.

- Pragnę cię, Jessalyn - powiedział. Widział, że dreszcz przebiegł po jej plecach. - Chcę cię całować. Trzymać dłonie na twoich nagich piersiach. Położyć cię na moim łóżku, wdrzeć się do twojego wilgotnego i rozpalonego wnętrza. Posiąść cię. Drżała, kiedy mówił, ale się nie odwróciła. W wyobraźni widział siebie: przemierza pokój i bierze ją w ramiona. Wiedział, że gdyby to zrobił, Jessalyn nie zdołałaby stawić czoła temu, co się między nimi działo. Temu, co zawsze się między nimi działo. Ale jak zawsze, gdy chodziło o nią, coś go hamowało: dziwne opiekuńcze uczucie, którego nie chciał i z którym nie wiedział, co począć.

Zaczął odmierzać trwanie ciszy tykaniem zegara. Wreszcie zwróciła ku niemu twarz. Niczego teraz nie widział w jej oczach, jedynie siebie - własne odbicie tkwiące tam na wieczność.

- Zasługuję na więcej, McCady. Ty również. Przyklęła, aby podnieść torebkę. Na chwilę zastygła w tej

pozycji. Jej plecy wygięły się i napięły mocno niczym łuk. Nie zamierzał błagać. Jeszcze nigdy nie prosił o nic żadnej kobiety. Nie myślał robić tego i teraz.

Podniosła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Jessalyn?

Odwróciła się. Światło kinkietu zamigotało w jej załzawionych oczach.

Wziął z biurka banknoty.

- Weźmiesz je ze sobą.

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Albo je pani weźmie, panno Letty, albo szepnę słówko mojemu statecznemu i bardzo prawemu kuzynowi. Jakież to będzie dla niego budujące, kiedy się dowie, iż jego narzeczona znalazła się w aż takiej pożałowania godnej sytuacji, że musiała jeździć po arenie rotundy Vauxhall w błyszczących spodniach.

Gwałtownie wciągnęła do płuc powietrze.

- Nie niżysz się do zrobienia czegoś takiego. Nie powiesz Clarence'owi.

- Ponieważ jestem przyzwyczajony tkwić po uszy w morzu deprawacji, nic mnie nie powstrzyma przed niżeniem się do poziomu, jaki mi odpowiada. - Chwycił ją za nadgarstek i wcisnął jej w dłoń sztywne papiery. Czuł wyraźne i szybkie pulsowanie krwi pod jej gładką skórą. - Weź je.

Wyprostowała palce i banknoty spadły na podłogę.

- Jeśli naprawdę chcesz mnie zranić, wtedy powiesz o wszystkim Clarence'owi. Ale nie wezmę twoich pieniędzy. Nawet gdybym zdecydowała się zostać twoją kokotą... nawet wówczas nie przyjąłabym twoich pieniędzy, milordzie.

Puścił ją, ale w dalszym ciągu czuł, że krew krąży w nim niby echo pulsowania jej tętna. Skinał wyniośle głową.

- Duncan odwiezie cię do domu bryczką.

Służący zjawił się na zawołanie. Przystojna twarz mężczyzny była posepna.

- Już kazałem jednej podjechać, panienko. Tamci młodzieńcy, co wcześniej sprawili panience odrobinę kłopotu, jeszcze tam są. Gromada młodych fircyków, którzy nie mają niczego lepszego do roboty, tylko... - Na widok wyrazu twarzy jego lordowskiej mości zreflektował się i zamilkł na chwilę, potem zaś dodał: -Niech pan na mnie nie patrzy takim wzrokiem, jakbym panu zabił matkę, sir. Bo inaczej zawiśnie pan na szubienicy prędzej, niż doprowadzą pana do bankructwa.

Rozumiem, że jaśnie panience nie może stać się żadna krzywda.

McCady otworzył dłonie, kiedy w końcu przeszła mu ochota, aby uderzać pięściami w bezimienne twarze. Wiedział, że Duncan odwiezie ją do domu bezpiecznie. Nie chciał puścić Jessalyn,

ale każda cząstka jej ciała zdawała się wołać, iż pragnie znaleźć się jak najdalej od niego.

Wróciwszy do jabłkowiezielonego saloniku, podszedł do okna. Obserwował, jak podąża za Duncanem po schodach. Woźnica podbiegł do bryczki, aby opuścić schody. Jessalyn przystanąła. Jej twarz, widziana z profilu, błyszczała jak księżyc we mgle. Jasny jak słońce kosmyk włosów kładł się na jej policzku.

Chwycił za zasłonę, jak gdyby musiał się przytrzymać, aby nie upaść. Jakże pragnął Jessalyn! Owo pragnienie gniotło go w pierś, odbierało oddech.

Woźnica zamknął drzwiczki i wspiął się na kozioł. Powóz potoczył się po ulicy z turkotem kół i pobrząkiwaniem uprzęży. Po chwili zniknął wraz z nią w kłębach żółtawej mgły.

McCady zacisnął pięści, odrzucił do tyłu głowę. Ściegna, które wystąpiły na powierzchnię jego szyi, przypominały powrozy.

- Jessalyn! - zawołał.

Uderzył pięścią w okno. Nie słyszał odgłosu pękającego szkła. Nie widział krwi, która pryska, tworząc na parkiecie wzór w połyskujące gwiazdki. Jessalyn odjechała i wszystko, co po niej zostało, stworzyło ogromną pustkę w jego sercu.

Pragnął jej, pragnął, pragnął...

XVI

Dwieście woreczków z jagnięcej skóry tworzyło na grubym brukselskim dywanie w eleganckim saloniku Aloysiusa Hamiltona stos wielkości stogu siana.

- Niezły widok, nieprawdaż? - powiedział kupiec handlujący zbożem. Zważył w dłoni jeden z woreczków i upuścił go z satysfakcjonującym brzękiem. -

Dwadzieścia tysięcy funtów w złocie. Nie sądzę, aby pan chciał to przeliczać, he? - Ryknął śmiechem, ale szybko zamilkł, ponieważ stojący obok niego mężczyzna w odpowiedzi nawet się nie uśmiechnął.

- Jest pan pewien, że nie chce pan w zamian skryptu dłużnego? - czuł się w obowiązku zapytać Aloysius, choć pragnął gorąco, aby tak nie było. Procedura przemiany dwudziestu tysięcy funtów w złote suwereny i dostarczenia ich do rezydencji

w Mayfair stanowiła szczyt jego organizacyjnych umiejętności. Ostatnią noc spędził, pocąc się ze strachu. Bał się, że złodzieje ograbią go z fortuny, chociaż do ochrony zaangażował istną armię atletów z Bow Street. Trudno by mu było pogodzić się z myślą, że natrudził się na próżno.

Mimo to hrabia nie wydawał się ani zadowolony, ani tym bardziej niezadowolony z oczywistych świadectw nadzwyczajnych starań Aloysiusa Hamiltona. Ledwie spojrzał na górę pieniędzy w woreczkach. Na jego twarzy rysował się wyraz znużenia i czegoś w rodzaju pogardy.

- Przejdźmy do rzeczy - rzekł.

Aloysius poprowadził go do przeciwległego krańca pokoju, gdzie po obu stronach eleganckiego sekretarzyka z orzechowego drewna stały zwrócone do siebie dwa empirowe krzesła. Był ciekawy, dlaczego hrabia utyka, ale wzięwszy pod uwagę jego ponury nastrój, ostatecznie doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie pytać. Obaj mężczyźni zajęli miejsca, po czym Aloysius przesunął w stronę hrabiego dokument zdobiony pieczęciami i wstążkami.

- Wystarczy złożyć podpis, milordzie. Na ostatniej stronie, tuż pod moim.

Po krótkiej chwili wahania hrabia sięgnął po ciężki papier.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, wołałbym jeszcze raz to wszystko przeczytać.

- He? Ależ tak, oczywiście. Proszę bardzo. Poczekam tyle czasu, ile będzie trzeba.

W pokoju zapadła cisza. Aloysius zaczął się bawić pierścieniami i ornamentami na wieczku swojego zegarka kieszonkowego, później zajął się wyginaniem mocno skreconych końców nawoskowanych wąsów. Jego żona bez końca nagabywała go, aby je zgolił, mówiła, że nie są modne. Lecz wołałby raczej pójść do Bank of England, świecąc nagim tyłkiem, niż obnażyć górną wargę. Nie chciał należeć do grupy z Bow Street. Był bogatym kupcem; swoją pozycję społeczną musiał kupić. Aloysius jeszcze raz zerknął ukradkiem na hrabiego. Złoty kolczyk połyskiwał w ciemnych włosach, które, długie i nierówne, opadały na sztywny aksamitny kołnierz modnego fraka. Ten mężczyzna wyglądał jak Cygan, ale mimo wszystko potrafił w jakiś sposób wykorzystać to na swoją korzyść. Zdaniem Aloy-

siusa należało mieć to we krwi. By wiedzieć, jak się ubierać, jak się zachować, jak myśleć. Weźmy sprawę honoru. Prawdopodobnie siedział przed nim łajdak, ale przestrzegający ściśle kodeksu honorowego, o którym Aloysius, handlarz zbożem, miał tylko niejasne pojęcie. Na przykład owe dwadzieścia tysięcy funtów - cała ta kwota - zostały przeznaczone na spłatę zobowiązań karcianych brata hrabiego, którego przyłapano na oszustwie i który z tego powodu musiał sobie przystawić pistolet do głowy.

Honor. Rachunki u rzeźnika i krawca przez długie lata mogły czekać na pokrycie, natomiast zobowiązania z gry były długami honorowymi i dlatego uważano je za ważniejsze od innych. Zgodnie z nakazem honoru hrabia musiał teraz spłacić co do szylinga wszystkie tego rodzaju długi po ojcu, który umarł w stanie pijackiego zamroczenia, i po braciach, którzy uzależnili się od opium i nie stronili od kobiet złego prowadzenia. Angielski dżentelmen nie mógł postąpić inaczej.

- Mam nadzieję, panie hrabio, że wszystko jest po pańskiej myśli - odezwał się Aloysius, kiedy hrabia podniósł wzrok znad lektury dokumentu. Hrabia nie odpowiedział, tylko sięgnął po pióro. Kupiec dopiero teraz zauważył poplamiony krwią bandaż owinięty wokół kostek prawej dłoni mężczyzny. - Czyżby jakieś zajście wymagające użycia pięści, hę?

Palce zranionej ręki zacisnęły się lekko.

- Jedynie z samym sobą.

- Musi pan bardzo uważać. Mój brat zmarł, kiedy się skaleczył i dostał zakażenia... - Aloysius zamilkł. Hrabia w swojej arogancji zapewne nie miałby zbyt wiele współczucia dla losu biednego syna górnika.

Policzki Aloysiusa zapadły się po wewnętrznej stronie wykrochmalonego kołnierzyka, kiedy delikatne palce hrabiego zanurzały koniec pióra w atramencie. Kupiec pohamował uśmiech satysfakcji na odgłos pióra drapiącego powierzchnię papieru. Do tej chwili był przekonany, że kiedy do tego dojdzie, jego wierzchołek stanie dęba tuż przed przeszkodą.

Gdy hrabia odkładał pióro na miejsce, lekko zadrżała mu dłoń. Powoli podniósł głowę. Przez jedną krótką chwilę Aloysiusowi wydawało się, iż w jego oczach dostrzega cierpie-

nie i przejmujący ból. Po chwili wszystko to zniknęło pod powiekami.

Aloysius skinął głową w stronę stosu pieniędzy.

- Wszystko pójdzie na spłatę długów pańskiego brata, prawda?

- Łatwo zarobione pieniądze łatwo się wydaje - powiedział hrabia, wykrzywiając usta w lekko drwiący uśmiech.

- Czy wobec tego rozważył pan moją ofertę... kupna Kompanii?

Hrabia wyniośle podniósł jedną brew.

- Zdaje się, że przed chwilą sprzedałem duszę i ciało. Czyż tyle nie wystarczy?!

Aloysius stał się jednym z najbogatszych ludzi w Anglii nie dlatego, że był bojaźliwy. Kiedy przyczynił się do czyjś upadku, ten ktoś nie był w stanie podnieść się, nawet jeśli był parem.

Spojrzał na hrabiego bez litości. Jego oczy miały barwę śliny. Wiedział, jak sprawić, aby wydawały się puste i zimne.

- Słyszałem, że powinieneś zdobyć w ciągu dziesięciu miesięcy dziesięć tysięcy funtów albo twoje przedsiębiorstwo splajtuję, a ty, mój drogi chłopcze, trafisz do więzienia. Nie masz wielkiego wyboru. Wcześniej czy później będziesz musiał mi to sprzedać. - Wskazał palcem na dokument, który leżał między nimi. - Jeżeli nadal się upierasz, aby wykupić swój cenny honor, to nie pozostanie ci zbyt wiele czasu na wykonanie pracy, za którą przed nastaniem lipca otrzymasz resztę zapłaty.

Hrabia pochylił się. Coś dzikiego, niebezpiecznego i desperackiego błysnęło w jego oczach.

- Jeżeli kupujesz sobie ogiera, drogi chłopcze, to tylko w jednym celu. Założę się o tysiąc funtów, że w miesiąc po ślubie dziewczyna zacznie nosić w sobie dziecko.

- Na Jowisza, zakład stoi!

Aloysius rozparł się na krześle, wsunął kciuk do kieszonki na zegarek i zarechotał. Kupił sobie para - na Boga! - para z krwi i kości. Ale przy okazji miał też zapewnioną jego firmę. Aloysius Hamilton był tylko handlarzem zbożem, lecz nie zostaje się jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, wkładając wszystkie jaja do jednego koszyka. A miał tych jaj więcej. Ot, choćby udziały w stacji dyliżansu, które straciłyby na znaczeniu, gdyby

ta diabelska kolej zaczęła przecinać ląd jak Anglia długa i szeroka. O nie, zgodnie z zasadami postępowania Aloysiusa istniały tylko dwa sposoby radzenia sobie z tego rodzaju konkurencją: należało albo ją zniszczyć, albo zasymilować.

Koniec końców - pomyślał Aloysius - wieczór okazał się bardzo owocny, chociaż kosztował wcale sporą sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów. Dwadzieścia za złożenie podpisu na in-terczyzie i kolejnych trzydzieści płatnych w dniu pojawienia na tym świecie dziecka płci męskiej. Z pewnych względów niewiele dbał, czy zdarzy się to w dziesięć miesięcy po ślubie, co mogło go kosztować przegraną w zakładzie i stratę udziału w spółce. Tego bowiem dnia on, Aloysius Hamilton, bogaty kupiec, handlarz zbożem i syn biednego górnika, zostanie dziadkiem hrabiowskiego tytułu. Naraz zauważył, że w oknie zatrzepotała biała muślinowa zasłonka. Aloysius podniósł się i obciągnął nad sterzącym brzuchem kamizelkę w pistacjowo-kremowe pasy.

- Chodźmy, milordzie - powiedział, wskazując gestem na francuskie drzwi, które się otworzyły, odsłaniając perspektywę wiecznie zielonych roślin, ciężkich posągów i dziewczynę o złocistych włosach, ze wstydliwym uśmiechem na twarzy. - Zdaje się, że ma pan coś niezwykle ważnego do powiedzenia mojej córce, hę?

To miejsce bardziej przypominało niebo niż piekło.

Albo też w ten sposób sądzili młodzieńcy odwiedzający dom przy Jermyn Street: tak wyglądałoby niebo, gdyby Pan Bóg lubił hazard.

Z zewnątrz nic tego nie zapowiadało, ponieważ dostępu do środka broniły okratowane drzwi i odpowiednie hasło. Imponujący hol oświetlały żyrandole z perfumowanymi świecami. W pokoju jadalnym stół ugiął się od takich smakołyków jak pieczony łabędź w sosie chevreuil czy trufle w karmelu. Na piętrze znajdowały się lustrzane sufity i satynowe prześcieradła oraz kobiety wątpliwej cnoty, które służyły rozrywce.

Lecz pulsującym sercem całego domu był pokój do gry. Na wyłożonych boazerią ścianach nie umieszczono żadnych malowideł ani innych ozdób, niczego, co mogłoby odrywać graczy

od ich głównego zajęcia. Królowała tutaj intensywna cisza, zakłócana sporadycznie dzwonieniem kryształowych naczyń, trzaskami tabakier albo grzechotem kości. Gra była niewątpliwie poważna i tylko trochę nieprzyzwoita.

Lady Margaret Atwood, pani tego wszystkiego, krążyła wokół w czarnej wieczorowej sukni z lekkiego jedwabiu, sobolowej pelerynce i naszyjniku z dwunastoma diamentami, z których każdy był tak duży jak paznokieć u kciuka, a przy tym całkowicie prawdziwy.

Tu przystanęła, aby komuś do ucha szepnąć słówko, tam, by pieszczotliwie dotknąć czyjegoś policzka, ale przez cały czas bacznie obserwowała grę. Przyglądała się, czy przypadkiem krupierzy zamiast gości nie oskubują jej i czy wystawieni przez nią gracze zarabiają na swoje utrzymanie, wabiąc coraz to nowe gołąbki w jej sieć.

Dość łatwo zapomniała, że urodziła się do innego rodzaju zajęć. Jej ojciec, ambitny pastor, wydał ją za wicehrabiego, który był trzykroć starszy od niej, szesnastoletniej dziewczyny. Lord Atwood był mężczyzną od czterech butelek. Co wieczór po obiedzie zasiadał przy toczonym przez kołatki stole w swoim zapleśniałym zamku i wypijał cztery butelki bordo. Jednej nocy odważył się na piątą i nie doczeka Trana. Właśnie wtedy miała się dowiedzieć, że osobiste właściwości wdowy można spieniężyć na pokrycie długów po mężu.

Właśnie wtedy została kurwą.

Och, zwykła nazywać rzeczy po imieniu. Kobieta, która sprzedaje swoje ciało za pieniądze, jest kurwą. Nieważne, czy robi to za pięć szylingów, czy w domu gry na Jermyn Street. Już nie musiała sprzedawać swojego ciała, ale ilekroć spoglądała w lustro, nadal widziała kurwę. Tajemnica tego zjawiska kryła się w oczach. Jeśli postępujesz w określony sposób i jeśli inni w określony sposób postępują z tobą, wtedy w oczach pozostają cienie, które nie nikną już nigdy.

Lady Atwood zatrzymała się przy stoliku do gry w wista. Jednym z graczy był jej człowiek, który podbijał stawki na konto domu gry i w ten sposób ośmielał innych, by robili to samo. Pracował nad tłustym gołąbkim, lordem Sternsem, dżentelmenem o znacznych dochodach i bardzo przeciętnym talencie do kart. Tej nocy lordunio bardziej niż zwykle wyglądał na

idiotę, ponieważ włożył surdut na lewą stronę, co ponoć miało mu przynieść szczęście. A bardzo szczęścia potrzebował. Grał przeciwko Nigelowi Payne'owi, który znał się na rzeczy i dla swych ofiar był bezlitosny. To właśnie Nigel Payne wygrał od biednego Stephena Trewlany'ego dwadzieścia tysięcy funtów, a potem popchnął go do samobójstwa, oskarżając o oszustwo i żądając natychmiastowej spłaty długu.

Nigel uśmiechnął się chytrze, zerknąwszy na lady Atwood spod słomkowego kapelusza o szerokim rondzie, który zakładał, by światło nie raziło go w oczy. W tym momencie obok świecznika przy jego krześle znajdował się zaledwie skromny stos żetonów z kości słoniowej. Wiedziała jednak, że nim świt rozjaśni niebo, ich liczba znacznie wzrośnie. Kłopot z Nigelem polegał na tym, że niepoprawnie przejawiał skłonność do oskubywania jej gołębi.

Nigel poprawił skórzane ochraniacze na mankiety. Zabierał się do rozdawania kart, kiedy otworzyły się drzwi. W zwykle spokojnym pomieszczeniu zapadła cisza charakterystyczna dla kościoła w poniedziałkowy ranek.

Wszedł lord Caerhays. Lady Atwood nagle odniosła wrażenie, jakby coś dzikiego i groźnego nawiedziło jej dom. Poczuła, że raptem szybciej bije jej serce, a to nie przydarzyło się jej już od dawna.

Lord prowadził ze sobą postawnego towarzysza dźwigającego w potężnej dłoni muszkiet, dodatkowo za jego pasem tkwił pistolet. Gospodynię ogarnął strach, że może poleje się krew i poplamiony zostanie jej drogi axminsterski dywan. Za złotowłosym bogiem kroczyli mężczyźni toczący beczki pełne małych woreczków z brązowej skóry.

Caerhays zatrzymał się przed Nigelem i skierował ku niemu leniwy uśmiech.

- Dobry wieczór, Payne. - Sięgnął po jeden z woreczków, rozwiązał go i opróżnił zawartość na powierzchnię stolika. Złote suwereny rozsypały się po zielonym suknie, połyskując i wirując w jasnym świetle. - Dwadzieścia tysięcy kanarków. Masz ochotę przeliczyć?

Na widok pieniędzy oczy Nigela rozbłyły. Mężczyzna odchrząknął.

- Ależ nie, Caerhays. Ufam ci. Wystarczy mi słowo dżentelmena.
- Właśnie. Niech będzie mi wolno zasugerować, abyś za ich część kupił sobie pistolet.

Twarz Nigela przybrała odcień starego łożu. Pod jego prawym okiem zaczął drgać mięsień.

- Mam... mam przez to rozumieć, że wyzywasz mnie?
 - Dlaczego miałbym to robić? - odparł Caerhays drwiącym tonem, unosząc ciemną brew. - Przeciwnie. Mam na względzie twoje dobre zdrowie. Niebezpiecznie będzie transportować przez ulice Londynu tak znaczną sumę pieniędzy. Rozumiesz: wodzić na pokuszenie złodziei i bandytów.
 - Ale co ja mam... mój Boże. Banki są pozamykane. - Oczy Nigela zrobiły się okrągłe z przerażenia, kiedy sobie uświadomił rozmiar beczek i liczbę woreczków, które mieściły się w każdej z nich. Nagle zorientował się, że zniknął postawny mężczyzna z bronią palną i mężczyźni, którzy pomagali przy transporcie beczek. Zostawili go samego z woreczkiem w ręce. Ściśle rzecz ujmując, z dwustoma woreczkami. Z dwustoma woreczkami złota. - Przecież nie można ode mnie oczekiwać, że... Protestuję, sir... - lecz przemawiał już tylko do pleców hrabiego. W cichym pokoju zrobiło się nagTe gwarno i nerwowo. Lady Atwood delikatnie poklepała gracza po ramieniu.
 - Nigel, mój drogi, jestem przekonana, że pragniesz bezzwłocznie wydostać się z tej posesji. Moi ludzie odprowadzą cię wraz z kanarkami do drzwi mojego domu - oświadczyła, kładąc nacisk na ostatnie trzy słowa, przez co dawała do zrozumienia, że w żadnym razie nie będą mu towarzyszyli dalej. Po wyjściu na ulicę Nigel musiał liczyć tylko na siebie.
- Hazardzista musiał liczyć na samego siebie - całe złoto miało zostać rozgrabione i zniknąć w najbardziej zapadłych norach Londynu. Taki był sardoniczny styl zemsty godny Trewlany'ego. Dług przestawał istnieć, a miejscowa biedota mogła najeść się do syta i wyspać w ciepłe na koszt Nigela Payne'a.
- Lord Caerhays już niemal wychodził, gdy go dogoniła lady Atwood. Chwyciła pod ramię i pociągnęła w głąb holu.
- McCady, niegrzeczny chłopcze, przecież nie możesz teraz odejść. Nie możesz zrobić tego ot, tak sobie, skoro nie widziałam cię od wieków.

Energicznie skinęła głową, na co przystojny młody służący w liberii i pudrowanej peruce otworzył drzwi do zielonego saloniku.

- Przynieś nam szampana - powiedziała, nie spojrzawszy nawet w stronę sługi.

W pokoju było zbyt ciepło. Lady Atwood zasłoniła palenisko niskim parawanem. Po ostatniej nocy w powietrzu unosiło się jeszcze nikłe wspomnienie po haszyszu.

Słodkawy zapach rozkładu wniknął w bogato obite meble i ciężkie zasłony z zielonego aksamitu. Wczesnym popołudniem należało pomieszczenie dokładnie przewietrzyć i wymienić kwiaty, które podkreślały piękno kryształowych wazonów.

Przysięgła sobie w duchu, że za takie zaniedbanie zarządca zapłaci utratą posady.

Kiedy sługa nalał szampana do kieliszków i opuścił salonik, lady Atwood opadła na czarną sofę. Wiedziała, że nieprzezroczysty aksamit pozytywnie podkreśli żywą jasność płukanych w hennie włosów i biel skóry, którą codziennie pielęgnowała, wcierając weń destylowaną wodę ananasową. Wypiła łyk chłodnego musującego wina, rozkoszując się mrowieniem, jakie czuła na powierzchni warg, i widokiem McCady'ego Trewlany'ego, bardzo męskiego w granatowym fraku i obcisłych kremowych pan talonach.

Dostrzegła w nim jakąś dziką zawziętość. Była ciekawa, co musiał zrobić, aby uzyskać tak znaczną sumę pieniędzy. Słyszała przecież, że groszem nie śmierdzi.

Miała nadzieję, że nie zrobił niczego, za co mógłby wylądować w Newgate, chociaż nie mogła ręczyć za to, że nie obrabował Skarbcza Narodowego.

Poznała wszystkich trzech braci Trewlanych... zbyt przystojnych, by komukolwiek to wyszło na dobre: posepnych, dumnych, niespokojnych. Skłonnych do samozniszczenia, zażywających namiętnie narkotyki, flirtujących z niebezpieczeństwem i kuszących bez opamiętania los, by przyniósł im niesławę i gwałtowną śmierć. Lecz zawsze miała cień nadziei, że McCady w jakiś sposób zdoła ująć przeznaczeniu.

Nigdy nie zapomniała wieczoru, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

Przyprowadzili go do niej jego bracia. Był bardzo młodym mężczyzną, chłopcem jeszcze. Zbyt młodym, aby rozumieć, co z nim wyrabiają. Już następnego rana - po nocy rozpusty, której wspomnienie nawet na jej policzkach wywoły-

wało rumieniec - kiedy dostrzegła szczególny smutek w ciemnych oczach najmłodszego Trewlany'ego, wiedziała już, że gdzieś wewnątrz niego bezpowrotnie zginęło coś delikatnego i dobrego.

- McCady?

Odwrócił się, nadal pogrążony w myślach, i przez moment stał zupełnie bezbronny. Nie spodziewała się, że coś takiego dostrzeże kiedykolwiek w jego oczach.

Widziała jego wzrok zuchwały i ostry jak ostrze siekiery, kiedy stawiał na jedną kartę więcej, niż mógł sobie pozwolić. Pamiętała te oczy wyłaniające się z mroku, a w nich ogień pożądania. Pamiętała też, jak patrzyły tępo i beznamietnie następnego dnia rano. Lecz jeszcze nigdy nie wyrażały tak przejmującego bólu. Ktokolwiek go zranił, uczynił to głęboko, sięgnął samej duszy.

Zauważył, że mu się przygląda, i opuścił powieki, skrywając myśli. Wykrzywił usta w cyniczny uśmiech. Tylko ona знаła go na tyle dobrze, aby zauważyć, że w tym uśmiechu brakowało zwykłej brawury.

Jak do toastu podniósł w jej stronę kieliszek z szampanem.

- Powinnaś mi pogratulować, Maggie. Już wkrótce stanę się mężczyzną żonatym. "

Nie spodziewała się, że to tak bardzo ją zaboli.

- Zatem i tobie to się w końcu przydarzyło. - Zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Jaka ona jest... dziewczyna, która podbiła niegodziwe serce Trewlany'ego?

Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia, jaka jest. - Pierwszy raz ujrzałem dzierlatkę przed dwiema godzinami.

- Rozumiem. Chodziło o pieniądze... - Zelżał nieco ciężar na jej sercu. Obwiodła paznokciem krawędź kieliszka, sprawiając, że wydobył się z niego dźwięk przypominający żałobny dzwon.

- Czy kiedykolwiek czułeś to, McCady? Falę gorąca wzbierającą we krwi? Czy kiedykolwiek z podniecenia brakowało ci powietrza, gdy ktoś wszedł do pokoju? Owo omamiające, dzikie, przerażające, gwałtowne uczucie nazywane...

- Biorę dziewczynę do łóżka i nad ranem jest już po wszystkim.

234

- ...miłością - dokończyła cicho. Tym razem uśmiechnął się okrutnie.

- Dzieje się z tobą coś niedobrego, Maggie. Dobra kurwa nie powinna być sentymentalna wobec towaru, którym handluje.

Uniosła starannie wyskubaną brew.

- Mówisz o sobie czy o mnie?

Jakaś emocja pojawiła się za chmurą w jego oczach, lecz zniknęła, nim zdołała ją rozpoznać. Odstawił nietknięty kieliszek z szampanem.

- W każdym razie zrobiło się zbyt późno - powiedział tak cicho, że nie była pewna, czy go usłyszała i czy go dobrze rozumie. - Jest już za późno - powtórzył, po czym wzruszył ramionami, jakby go to nic nie obchodziło. Ale chociaż dzieliła ich szerokość pokoju, czuła napięcie wibrujące w każdej cząstce jego umięśnionego ciała.

Podeszła do niego. Małym palcem obwiodła ładny kształt nadąsanych ust. Upłynęło sporo czasu. Lata całe.

- Chodźmy dzisiaj do łóżka, McCady.

- Nie jestem w nastroju.

- W takim razie spróbuj bez nastroju.

Chwycił ją za nadgarstek, podniósł jej dłoń do swoich ust. Uśmiechnął się, ale potrząsnął głową. Pożegnał się z nią grzecznie, a kiedy zamknęły się za nim drzwi, przycisnęła do policzka dłoń, którą pocałował.

A jednak była sentymentalna. Skarciła się za to, choć zaraz podeszła do okna, aby jeszcze raz go zobaczyć. Coś jej podpowiadało, że już nigdy nie wróci do tego domu.

Stał w świetle latarni. Widziała wyraźnie jego twarz. Niczego nie robił, po prostu stał. Nie widziała nigdy, aby ktoś wyglądał na bardziej samotnego.

Jessalyn Letty spoglądała przez okno powozu na poprzedzającą ją długą i krętą linię najrozmaitszych karet, bryczek i kolasek.

- Przy tej prędkości czeka nas jeszcze przynajmniej godzina jazdy - powiedziała, kiedy ich pomalowany na czerwono pojazd znowu przetoczył się o kilka cali. Po chwili zakołysał się, drgnął

i stanął. - Zdążyłybyśmy dotrzeć tam pieszo co najmniej dziesięć razy.

- Nie byłaby to rzecz stosowna, moja panno - oświadczyła lady Letty - dreptać pieszo na bal. - Wprawnym ruchem otworzyła srebrną tabakierę, sama wzięła szczyptę i zaoferowała odrobinę Clarence'owi Tiltwellowi, który odmówił. Ostry zapach ambry i gorzkich migdałów wypełnił powóz, wyciskając łzy z oczu Jessalyn. Lady kichnęła głośno w chusteczkę.

- Ależ okropny tłum! - Kichnęła ponownie. - Można by pomyśleć, że cały Londyn zmierza na przyjęcie u tego... jak mu tam... Hamiltona. Do czego ten świat zmierza? Przecież on jest zaledwie kupcem. Handluje zbożem.

- Aloysius Hamilton jest również bankierem - powiedział Clarence. - Wielu ludzi pożyczycza u niego pieniądze.

Lady Letty parsknęła ze świstem, co przypominało odgłos wody wrzącej w imbryku.

- Mhm! Zatem jesteś u niego zadłużony, nieprawdaż?! - Podniosła do oka monokl i oszacowała obicia z niebieskiej satyny i czarnej skóry we wnętrzu miejskiej karety Clarence'a Tiltwella. Wszystko było w najlepszym gatunku, rujnująco drogie. - Jak głęboko w tym toniesz?

Powściągliwy śmiech Clarence'a odezwał się echem w przestronnym powozie.

- Sam jestem bankierem, lady Letty. To u mnie ludzie są zadłużeni.

- Nie jest to rzecz stosowna, Tiltwell, poruszać w towarzystwie takie prymitywne tematy jak długi i pieniądze - rzekła lady Letty, całkowicie obojętna na fakt, że to właśnie ona zaczęła tę rozmowę. - Jeżeli wzniesiesz się kiedykolwiek ponad swoje pochodzenie, bądź co bądź od prostego górnika, wtedy będziesz o tym pamiętał.

- Ależ, babciu... - Jessalyn zerknęła kątem oka na Clarence'a, ale jeśli nawet jego uczucia zostały zranione, jego twarz niczego nie zdradzała. Żaden rumieniec nie wystąpił na blade policzki, a jedynie oczy, w których odbijało się światło latarni, rozjaśniał nieco wyraz rozbawienia.

Powóz dotychczas turkotał po kamieniach, teraz nagle ucichł. Wjechali na słomę, którą pokryto ulicę, aby zmniejszyć hałas

przed rezydencją Hamiltona. Okna lśniły pełnym blaskiem, latarnie kołysały się na dekoracyjnych słupach. Po wyłożonych dywanami schodach zbiegł chłopiec w liberii, aby otworzyć drzwiczki karety. Ledwie zdążyli zejść na ulicę, gdy mały urwis przemknął obok lokajów i woźniców, by podsunąć im przed twarze zardzewiałą tackę.

- Proszę kupić pierniczka, wasze miłości! - krzyknął. - Świeżego i...

Lady Letty już otworzyła torbę, ale stangret przepędził malca, strzelając z bata.

- Nie wolno tego czynić - powiedział Clarence, chwytając starszą kobietę za rękę. - Gdyby pani coś od niego kupiła, zaraz zjawiłaby się setka następnych na jego miejsce. Nie wykarmi się ich wszystkich.

Rzeczywiście mogło się wydawać, że powozy otoczyła setka ciekawskich twarzy.

Wychudłych, bladych twarzy biedaków, którzy przyglądali się niezwykleму korowodowi członków elity przybywających na bal. Odór brudnych ciał i ubrań mieszał się z zapachem końskich odchodów. Pomruki i sporadyczne krzyki przypominały Jessalyn morze uderzające w kornwalijskie klify i wołanie mew.

Wsunęła rękę pod ramię babki i mocno je do siebie przycisnęła. W przyćmionym świetle pochodni twarz lady Letty była ściągnięta bólem. Jessalyn wiedziała, że chodziło o dzieci. W ciągu czterech lat pobytu w Londynie lady Letty nie zobojętniała na ich ciężkie położenie. Rosalie, dziewczyna z kopalni, nigdy nie zapomniała, jak to jest, gdy się śpi w barłogu ze szmat, a w pustym brzuchu nie przestaje burczeć z głodu.

Lokaj poprowadził ich po schodach do frontowych drzwi. Odór koni i potu ustąpił aromatowi najlepszych woskowych świec, kwiatowych i korzennych perfum.

Czekał na nich odzwierny w pudrowanej peruce i wspaniałej liberii, który donośnym głosem zapowiedział ich przybycie.

Państwo Hamiltonowie witali gości na szczycie długich, zakręconych schodów o stopniach wyłożonych białym marmurem. Pan Hamilton był niskim, przysadzystym tłuściochem, którego wąsy, gdyby je odkręcić, otoczyłyby jego głowę. Pani Hamilton była obwieszona biżuterią i uróżowiona po same oczy.

Sala balowa skrzyła się w świetle najnowocześniejszego ga-

zowego światła. Dziesiątki kryształowych kul o płaskich ściankach, zwisających z sufitu i nisz okiennych, po tysiackroć odbijały olśniewające pomieszczenie. Przystrojone piórami fryzury stanowiły w tym roku *dernier cri* wśród strojów wieczorowych. Dlatego w sali pełno było piór, falujących niczym łany pszenicy na wietrze.

- Babcia odkryła, gdzie ustawiono stoliki do faraona - powiedziała Jessalyn, kiedy ona i Clarence stanęli naprzeciw siebie do pierwszego kadryla. - Nie mam pojęcia, skąd wzięła na stawki. Mam nadzieję, że nie gra na słowo honoru.

Prowadził ją po okręgu w rytm muzyki płynącej z galerii minstreli.

- Sam jej pożyczyłem kilka funtów - przyznał. - Pomyślałem, że w ten sposób spędzi wieczór znacznie przyjemniej. - Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając chłopięcą przerwę między przednimi zębami. Wyglądał wyjątkowo w butelkowitzelonym aksamitnym fraku, który pasował do koloru oczu i podkreślał złotą jak jaskry barwę włosów.

- Zapomniałeś, że jesteś bankierem - powiedziała Jessalyn, śmiejąc się i czując, jak wzbiera w niej fala serdecznych uczuć. I wyrzutów sumienia, że zgodziła się go poślubić, choć jej serce nieodwołalnie należało do McCady'ego. - Oczywiście oddam ci tę sumę. W przeciwnym razie, jeśli babcia przegra, a wszystko na to wskazuje, będzie próbowała ci sprzedać jedną ze swoich tabakier...

- Kupię ją, a następnie odstąpię tobie. Co ty na to? Uśmiechnął się ciepło i przyjaźnie. Coś ścisnęło ją w gardle i miała kłopoty z wydobyciem z siebie głosu.

- Clarence... Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Taniec skończył się, lecz mężczyzna nadal trzymał jej dłoń. Nie spuszczał wzroku z Jessalyn, która miała śmiertelnie poważną twarz, ściągnięte rysy.

- Mam nadzieję, że znaczę dla ciebie o wiele więcej - powiedział.

Zabrała rękę.

- Zrobiło się gorąco... Może napijemy się szampana? Oddzieliła ich od siebie cisza. Jessalyn wstrzymała oddech,

pełna obaw, że Clarence zechce wypowiedzieć głośno słowa,

które czytała w jego oczach. Na szczęście oderwał od niej wzrok. Minęła chwila.

- Tak, naturalnie - odparł, skłonił się i odszedł.

Spojrzała na wirujących tancerzy i jej serce wezbrało słod-ko-gorzkiemi uczuciami. Przypomniała sobie pierwszy prawdziwy bal sprzed lat. Tańczyła z McCadym, który kpił z niej, gdy potknęła się o jego nogi. Potem zakreśliło się jej w głowie od patrzenia w sufit, tymczasem on...

Jakby się zmaterializował, jakby nagle wyszedł ze wspomnień. Zjawił się w drzwiach i spoglądał na salę niczym księżę ciemności na swoich poddanych.

Wszystko w jej wnętrzu zdawało się ustępować i na chwilę zapomniała, że trzeba oddychać.

Odwrócił się powoli, aby pozdrowić gospodarza. Jessalyn spoglądała na jego wyniosły profil. Z zanadto długimi włosami i pirackim kolczykiem nie wyglądał na całkowicie cywilizowanego. Jego eleganckie ubranie nie do końca posowało do twarzy

O wystających kościach policzkowych i męskiego, twardego ciała. Nie pasuje do tego miejsca - pomyślała. Nie do zatłoczonego Londynu z jego krępującymi zasadami. Należał do czasów, gdy mężczyźni chodzili w zbrojach, podbijali królestwa, gdy rządziło prawo miecza.

„Pragnę cię, Jessalyn”. Pragnął jej, ale nie kochał.

Emocje toczyły w niej taką samą walkę jak wówczas, gdy beznamytnie poprosił ją, aby poszła z nim do łóżka. Duma Lettych nakazywała jej wówczas spoliczkować go.

Tkwące w niej urażone dziecko chciało rzucić się na niego z pazurami

i wyrzucić mu krzywdę. Lecz kobiece serce marzyło tylko

o tym, by znaleźć się w jego ramionach i kochać go mimo wszelkich przeciwności.

Kochać mocno i uparcie, aż w końcu

i on w odpowiedzi również ją pokocha.

Nigdy nie miała zamiaru z nim skończyć. Nieważne, czy znajdowali się w tej samej sali balowej, czy na przeciwległych krańcach świata, i tak gotowa była trwać w niebezpiecznym przeświadczeniu, że tylko ona jedna spośród wszystkich kobiet na świecie potrafi go zmienić. Że tylko ona jest w stanie zdobyć jego serce.

Na parkiecie ludzie zaczęli się ustawiać do następnego kadryła. Tancerze przysłonili sylwetkę McCady'ego i jej serce

przestało bić przyspieszonym rytmem. Nagle spostrzegła, że obchodzi salę i pochylony, krokiem nierównym, który nie mógł należeć do nikogo innego, zmierza prosto w jej stronę.

Rozejrzała się gorączkowo dookoła i zauważyła niewielką alkowę, w której na bocznym stoliku stał duży szklany wazon i taca z dymiącymi kadzidłami. Uciekła tam niczym królik do swej norki. Wślizgnęła się do alkowy. Jednocześnie odwróciła głowę, niepewna, czy McCady nie podąża za nią. Trąciła stolik biodrem i tyle wystarczyło, by waza runęła w dół i rozbiła się o podłogę.

- Do diabła! - zawołała pod nosem.

- Był to raczej dość ohydny drobiazg, czyż nie? Jessalyn drgnęła, spostrzegłszy, że kryjówka nie jest pusta.

Zajęła ją młoda kobieta o doskonałych rysach i srebrzystozłoty-tych włosach uformowanych w krótki koczek z loków. Diamenty mieniły się pośród piór zdobiących fryzurę. Przetykana złotem sukienka błyszczała w jasnym świetle świec. Dziewczyna mieniła się niczym niebo pełne gwiazd.

Jessalyn pamiętała, że witała się z nią na szczycie schodów, 1 rumieniec na jej policzkach wyraźnie się pogłębił.

- Przykro mi, panno Hamilton. Proszę mi pozwolić, że odkupię tę wazę.

- O, proszę nawet o tym nie myśleć. - Oczy niebieskie jak kwiaty wistarii ożywiło rozbawienie. - Stawialiśmy tę okropną wazę we wszystkich możliwych miejscach tego domu w nadziei, że zdarzy się jakiś wypadek. Podarowała nam ją moja ciotka Lucinda. Miała dobre intencje, ale niestety stara dobra kobieta niewiele widzi, chyba że coś znajdzie się bezpośrednio przed nią.

Zasłony przy oknach, świadectwo zamożności Hamiltonów, specjalnie uszyto za długie, aby kładły się na podłogę. Ku zdziwieniu Jessalyn dziewczyna uniosła ciężki brokat i stopami wsunęła podeń kawałki szkła.

- Tak będzie dobrze. - Otrzepała ukryte w rękawiczkach dłonie i przesłała Jessalyn konspiracyjny uśmiech. - Jeżeli ktokolwiek zapyta nas, co się stało z tym okropnym przedmiotem, powiemy, że nic nam na jego temat nie wiadomo.

- Jednak w dalszym ciągu jestem zmuszona nalegać - powiedziała Jessalyn. - Proszę.

- Czemu zatem nie coś równie okropnego? Moglibyśmy to podarować tej nieboraczce, ciotce Lucindzie. - Miała melodyjny śmiech. - Zdaje się, że zostałam przyłapaną na tchórzostwie w zachowaniu. Ukrywam się tu. Bo jeśli dzisiaj będę musiała uklonić się choćby jeszcze raz, moje kolana tego nie wytrzymają. - Wyrzła na zatłoczoną salę i lekko westchnęła. Miała godne pozazdroszczenia piersi, które wychylały się z obszytego złocistą koronką, usztywnionego staniczka. - Pani jest przyjaciółką Clarence'a Tiltwella, prawda?

- Tak, chociaż dziwię się, że mnie pani zapamiętała. Dzisiaj wieczorem przywitała pani co najmniej pięćset osób i z pewnością nie zapamiętała nazwisk wszystkich.

- Trzeba znać moją mamę. W ciągu ostatnich trzech sezonów przedstawiano mnie na wszystkich możliwych rautach, balach i spotkaniach towarzyskich niczym doskonały materiał do rozrodu. Chodziło o zwabienie tytułu. - Ostatnie słowo wypowiedziała z goryczą i mocno je zaakcentowała. - Oczywiście w moim przypadku przynętą nie jest szlachetna krew, lecz ogromna suma pieniędzy, którą wniosę w posagu.

- Nie miałabym nic przeciwko okazałemu posagowi - powiedziała Jessalyn i ucieszyła się, kiedy panna Hamilton wybuchnęła śmiechem. Wyczuwała, że z tą dziewczyną łączy ją pewien rodzaj pokrewieństwa. Oto miała do czynienia z rzadkim przypadkiem, kiedy spotkawszy obcą osobę, odniosła wrażenie, że to ktoś bliski. Że łączy ją z nią pewien rodzaj duchowego pokrewieństwa.

Panna Hamilton znowu zajrzała do sali balowej. Najprawdopodobniej wypatrywała kogoś szczególnego. Nerwowo ścisnęła w palcach mały, ręcznie malowany wachlarz, drobiazg, jaki *mógł* jej podarować ukochany podczas spotkania.

Panna Hamilton zauważyła, na co był skierowany wzrok Jessalyn. Podniosła wachlarz i rozłożyła go. Na sztywnym jedwabiu widniał rysunek pary tańczącej walca. W kącikach małych ust dziewczyny pojawił się uśmiech.

- Zdradzę pani sekret - powiedziała - choć już niedługo nim będzie. - Pewien... pewien mężczyzna poprosił o moją rękę. Jest bardzo przystojny i ma tytuł.

- Na pewno jest pani bardzo szczęśliwa. Niebieskie oczy panny Hamilton posmutniały.

- Byłabym, gdyby ów „tytuł” nie żenił się ze mną dla pieniędzy, czego zresztą wcale nie kryje. Pierwszy raz spotkaliśmy się dopiero przed trzema dniami. Zdaje się, że on nie należy do tego typu mężczyzn, którzy udają uczucia, nie żywiąc ich. Lecz ona już zdążyła go pokochać - pomyślała ze współczuciem Jessalyn. Biedactwo!

Kobieta wystrojona w ekstrawagancką suknię w kolorze fioletowobrazowym i obwieszona biżuterią szła wzdłuż sali, zaglądając kolejno we wszystkie okienne nisze.

- Ojej, mama! - Panna Hamilton głęboko westchnęła. - Mama jest bardzo sprytna i zna bardzo dobrze wszystkie moje sztuczki. - Spojrzała na Jessalyn i iskierki radości pojawiły się w jej niebieskich oczach - płatkach wistarii skąpanych w promieniach słońca. - Cieszyłabym się bardzo, gdyby czasem zechciała mnie pani odwiedzić, panno Letty - powiedziała. I chociaż jej oczy nadal spoglądały pogodnie, głos zdradzał osamotnienie.

Jessalyn uśmiechnęła się w odpowiedzi i wyciągnęła rękę.

- Proszę zwracać się do mnie: Jessalyn. Dziewczyna delikatnie uściśnęła jej dłoń.

- Ja jestem Emily.

Razem wyszły z alkowy. Emily wyszła matce naprzeciw. Była taka niska, filigranowa i poruszała się z takim wdziękiem, że Jessalyn zapragnęła się do niej upodobnić. Pani Hamilton trzymała mocno za ramię długonosego mężczyznę o mocno przerzedzonych włosach blond i wyniosłych manierach. Jessalyn przypuszczała, że to był właśnie ów „tytuł”, i nagle zrobiło się jej bardzo żal panny Emily Hamilton. Mężczyzna wyglądał jak ktoś, kto trzymając żonę w złotej klatce, sam się zabawia z całym stadem kokot.

Nagle szorstkie palce zamknęły się wokół jej nadgarstka. Ktoś szarpnął ją za rękę, aż zawirowała w miejscu. Podniosła oczy, by ujrzeć twarz upadłego anioła. Serce zaczęło tłuc się w jej piersi.

- Co tutaj robisz?

- Tańczę z tobą walca - odparł głosem tak delikatnym jak powiew porannego wiatru. Objął ją w pasie i poprowadził do tańca, zaborczo przyciskając dłoń do jej pleców.

Zdażyła jeszcze zauważyć utkwiony w sobie wzrok Claren-ce'a, który stał w drzwiach z dwoma kieliszkami szampana. Lecz po chwili zniknęli w tłumie innych tancerzy.

Podniosła oczy na twarz McCady'ego i doznała nieprzyjemnego wstrząsu. Usta miał ściągnięte w cienką linię, która zawsze nadawała jego rysom nieco okrutny wyraz.

- Nadal chcesz poślubić go? - zapytał.

- Tak - skłamała i uciekła spojrzeniem w dół. Poruszała się sztywno jak na szczudłach.

- Gdybyś chciała posłuchać mojej rady, powiedziałbym, że popełniasz błąd.

- Na szczęście wcale nie proszę o radę. A teraz gdybyś zechciał mnie puścić...

- Ależ to jest niemożliwe, panno Letty. Gdzie się podziały pani maniery? Jeśli dżentelmen prosi o zaszczyt towarzyszenia mu w tańcu, damie nie wypada odmówić.

- Nie słyszałam, abys o cokolwiek prosił. Nie zapytałeś nawet.

- Niedopatrznie. - Pochylił głowę. Łaskotał jej usta oddechem wilgotnym jak poranna morską mgłą. - A pani, panno Letty, nadal nie potrafi tańczyć, nie spoglądając przy tym na nogi.

Ku własnemu zdumieniu zaczęła się śmiać. Była trochę rozhi-steryzowana. Starala się powstrzymać, ale bezskutecznie. Głośny, niepohamowany śmiech wzbił się pod złocenia sufitu. Nie widziała tego, bo głowę miała odchylną do tyłu, ale w tym czasie McCady zamknął oczy, a jego usta wykrzywił taki grymas, jakby chwycił go nagły ból.

Przyciągnął ją do siebie bliżej.

- Jessalyn... pamiętasz tamto lato i noc błękitnego księżyca.

Utkwiła niespokojne spojrzenie w jego twarzy. W oczach dojrzała niepewność i delikatną wrażliwość, jakiej nigdy wcześniej nie widziała. Jakby na chwilę podniosły się w nich zasłony, ukazując skrawek duszy. Z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

- Nie umiałabym zapomnieć tej nocy.

Chociaż muzyka jeszcze nie ucichła, wyswobodził ją z objęć.

- Ani ja - odparł dziwnie zachrypniętym głosem. - Póki

żyję. Bez względu na to, co będę musiał uczynić... co się wydarzy, nie zapomnę tamtej nocy. I ciebie.

Patrzyła na niego, starając się odgadnąć, co chciał przez to powiedzieć. Zabrzmiało to jak pożegnanie.

XVII

Clarence stał przed nią z kieliszkiem szampana w ręce. Na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania.

- Wybacz, ale naprawdę w żaden sposób nie możemy stąd wyjść. Ledwie minęła północ. Co sobie ludzie pomyślą?

- Nie dbam o to... - Jessalyn wzięła głęboki oddech. - Powiedz im, że babcia nagle zaniemogła.

- Jeśli to Caerhays cię obraził, zażądam satysfakcji.

- Będziecie się strzelać o brzasku? - zripostowała Jessalyn i natychmiast tego pożałowała. - Ciężko westchnęła. - Och, Clarence... my tylko tańczyliśmy.

„Tylko tańczyliśmy”. Nie rozumiała do końca, dlaczego pozostało w niej przerażające poczucie straty. Wiedziała, że już dłużej nie zniesie pobytu tutaj między, tymi złoceniami, słuchając muzyki, gwaru i śmiechu.

- Proszę, zabierz nas do domu.

Clarence oddał kieliszki z szampanem przechodzącemu lokajowi i ujął Jessalyn pod łokieć.

- Dobrze. Ale mam nadzieję, że rozumiesz, jakie to dla mnie ważne, aby być tutaj.

Aloysius Hamilton wprawdzie nie ma żadnego tytułu, ale jego wpływy w kręgach rządowych przewyższają wszystko, o czym ci wszyscy, zgromadzeni tu, wielmożni diukowie i hrabiowie mogą jedynie marzyć. Jako moja przyszła żona, kochanie, powinnaś nieco więcej uwagi poświęcić mojej karierze parlamentarnej.

Jessalyn musiała powstrzymać się przed oświadczeniem, że teraz już nigdy za niego nie wyjdzie. Ale uznała, że nie jest to ani czas, ani miejsce na porzucenie człowieka, który pomimo wszystko był dla niej najdroższym, najlepszym przyjacielem na świecie.

Musieli się niemal przepychać w tłumie blokującym drzwi,

kiedy rozległo się głośnie buczenie. W sali balowej cisza zapadła szybko i nagle - jak szybko i nagle może uderzyć piorun.

Oczy wszystkich kierowały się w stronę jednego krańca ogromnej sali, gdzie na niewielkim podium stał Aloysius Hamilton i skromnie się uśmiechał.

- Skoro udało mi się zwrócić na siebie waszą uwagę... - powiedział, sprawiając, że zaniepokojeni goście odetchnęli z ulgą. Niektórzy wybuchnęli śmiechem lub zaczęli chichotać.

Aloysius wystąpił z nieskładną przemową, której większej części Jessalyn nie słyszała, lecz przypuszczała, że chodziło

O wyjawienie owego ważnego sekretu - ogłoszenia zaręczyn Emily z „tytułem”. I rzeczywiście wkrótce obok ojca stanęła na podeście Emily. Aloysius podniósł do ust jej rękę. Potem skinął na kogoś w tłumie po swojej lewej stronie.

Chociaż Jessalyn doskwierał smutek, uśmiechnęła się mimowolnie na widok przyjaciółki, która wyciągnęła wolną rękę

i przyciągnęła do siebie jakiegoś mężczyznę. Nadal się uśmiechała, gdy ów mężczyzna uniósł dłoń Emily Hamilton, ucałował drobne palce i ułożył je na swoim zgiętym ramieniu. Uśmiechała się, uśmiechała, uśmiechała. Nawet kiedy zalała ją fala cierpienia, straciła oddech i nie widziała już nic.

Obok westchnął zaszokowany Clarence. Dotarły do niej strzępy zdań:

- Zaręczyny... ślub z hrabią Caerhaysem... Wszyscy są hulakami, lecz ten na domiar złego jest jeszcze szalony. Układa tory stąd do Kornwalii i myśli jeździć po nich żelaznym rumakiem... jeździć na całego. A Hamilton, kupiec bogaty jak marzenie, dostaje hrabiego, który postara mu się o wnuka...

Chociaż wszyscy na niego spoglądali, stał i spokojnie rozglądał się po sali. Jego oczy znieruchomiały dopiero wtedy, gdy odnalazły Jessalyn. Teraz patrzyli na siebie oboje. Twarz hrabiego pozostała nieprzenikniona.

Gdyby miała w sobie choć trochę dumy, podeszłaby do niego, uśmiechnęła się i życzyła mu szczęścia. Życzyła szczęścia im obojgu i zachowywała się tak, jakby sama była bardzo szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa bez pamięci. O Boże...

Poszukała wzrokiem Clarence'a. Nie było go przy niej. Próbowwała przebić się przez tłum gości, ale jak na złość wszyscy akurat napierali w przeciwnym kierunku, w stronę podwyższe-

nia, by złożyć gratulacje przyszłym małżonkom. Nagle poczuła, że się dusi, jak gdyby wszyscy ci ludzie byli ciężarem, który ją miażdży, przypiera do podłogi. Ktoś jej dotknął, chwycił za ramię. Clarence. Twarz miał dziwnie pobladłą, drgała mu prawa powieka.

- Za samą obietnicę małżeństwa wziął tyle, że wystarczy na spłatę długów po jego bracie - wyjaśnił. Chociaż tego nie rozumiała, zdawało się jej, że słyszy ulgę w jego głosie. - Reszta zapłaty nastąpi dopiero wówczas, kiedy urodzi się spadkobierca. Czula, że sama ma twarz tak ściągniętą, jakby ją zanurzyła w kadzi z krochmalem. Musi stąd odejść. Jeśli zostanie tu choćby chwilę dłużej, zacznie się rozpadać na tysiące kawałeczków.

- Clarence, bardzo cię proszę... jedźmy do domu.

Stał w cieniu kolumny pod portykiem i przyglądał się, jak odchodzi. Ulica była ciągle zatłoczona, ponieważ większość gości na razie nie zamierzała opuszczać rezydencji Hamiltona.

Przyglądał się, póki na dobrze naoliwionych kołach nie zajechała szkarłatna miejska karetka Tiltwella, aby po chwili skrócić w przecznicę i zniknąć.

- Lordzie Caerhays?

Odwrócił się. Emily Hamilton stała w blasku migoczących pochodni. Ładną twarzyczkę dziewczyny szpecił w części wyraz podziwu, w części obawy.

- Czego chcesz? - zapytał opryskliwie i natychmiast tego pożałował. Dostrzegł, że się wzdrygnęła. Byli zaręczeni od trzech dni, mimo to nadal nie zwracała się do niego po imieniu. Zastanawiał się, czy podczas nocy poślubnej także będzie go tytułowała.

- Ojciec mój pragnie porozmawiać z panem, milordzie. - Ułożyła drżące usta w pełen słodczy uśmiech, na który starał się odpowiedzieć, ale nie bardzo mu się udało. Chciał skupić na niej nienawiść, lecz nie potrafił. Przecież nie mógł winić jej za to, że nie była kimś innym.

- Zwłaszcza tego nie mogę pojąć, dlaczego ty i Tiltwell w ogóle zdecydowaliście się tam pojechać, moje dziecko - po-

wiedziała lady Letty, kiedy Beka otworzyła frontowe drzwi. -No, ale skoro już dotarliśmy na miejsce, mogliśmy przecież zostać trochę dłużej niż godzinę czy dwie. A wy nagle uparliście się, by wracać. I to w chwili, gdy fortuna już miała zacząć mi sprzyjać. Skaranie boskie, idę do łóżka.

- Przykro mi. Dobranoc, babciu - odpowiedziała Jessalyn. Zatrzymała się na progu. Stała nieruchomo w otwartych drzwiach. Znad rzeki ciągnęła bryza. Jessalyn odwróciła się twarzą do wiatru. Nagle zatęskniła za Kornwalia i morzem. Zapra-
gnęła wracać do domu.

Jakże ciężko jej było na sercu! Długo wstrzymywane łzy musiały w końcu znaleźć ujście. Zamierzała się wypłakać. Wydawało się jej, że kiedy w końcu zacznie, nie będzie w stanie przestać, że jej łzy zaleją świat i ona w nich utonie.

- Dobry wieczór, panie Tiltwell - powiedziała Beka. - Bardzo pan dzisiaj przystojny. Zapięty pod ostatni guzik, bez dwóch zdań. Dość, aby dziewczyna od samego patrzenia na pana dostała fluktuacji w piersiach. - Zachichotała, mrugnęła, potem weszła do środka śladem lady Letty.

Clarence dotknął ramienia Jessalyn.

- Wyjdiesz ze mną na taras?

- Bez przyzwoitki? - zapytała, siląc się na uśmiech. - Nie przystoi tak się zachowywać. Pomyśl o swojej reputacji.

Clarence nie odpowiedział uśmiechem. Jak zwykle nie zrozumiał kpiny. Biedny Clarence, wszystko w swoim życiu traktował ze śmiertelną powagą.

- Jessalyn, przecież znam cię całe życie - odparł. - Czy kiedykolwiek zachowałem się wobec ciebie w sposób nieodpowiedni?

Powstrzymała westchnienie.

- Nigdy - rzekła. Prawie nigdy. Dwukrotnie ją pocałował. Raz tego dnia, kiedy przyjęła jego oświadczenia, i raz przy ognisku świętojańskim, gdy miała szesnaście lat. Tamtego lata dowiedziała się, na czym polega miłość. Ale nie od niego.

Pozwoliła się podprowadzić do metalowej bariery oddzielającej taras od ulicy. Pod tarasem znajdowały się wysokie i pojemne piwnice, zazwyczaj puste, jeśli nie liczyć włóczęgów, którzy mieszkali w nich niczym krety. Zdarzało się w spokojne noce, że słyszała trzask palonego drewna i od czasu do czasu

pijacki śmiech. Tej nocy powierzchnia przepływającej nieopodal rzeki była płaska, oblamowana wstążkami świateł latarni ze statków i mostów.

Clarence odchrząknął.

- Jessalyn, powiedz, czy nie pomyślałaś przypadkiem o przesunięciu daty naszego ślubu?

- Och, Clarence... - Odwróciła się do niego. I natychmiast tego pożałowała, ponieważ nawet w ciemności mógł dostrzec konsternację na jej twarzy.

- Mam powody sądzić, że tak samo jak ja pragniesz, abyśmy rozpoczęli wspólne życie - wyrecytował beznamytnie.

- Clarence, jakże mi przykro... - Położyła rękę na jego twardym ramieniu. - Jesteś moim najdroższym przyjacielem. Kocham cię. Ale zdaje mi się, że nie w taki sposób, w jaki byś pragnął, to znaczy nie jak żona męża. Wiesz...

- Próbujesz mi powiedzieć, że zmieniłaś zdanie? Westchnęła ze smutkiem.

- Bardzo mi przykro.

- Rozumiem. - Stał do niej bokiem, dłonie zacisnął na poręczy. Mówił w mrok głosem spokojnym i pewnym. - Wasze długi tutaj i w Newmarket ciągle rosną. Wiem, że starasz się ukryć przed swoją babką, jak rozpaczliwe jest wasze położenie. Ale sama nie dasz rady. Sama nie pociągniesz tego wszystkiego w nieskończoność, Jessalyn. I co ze sobą poczniesz? Staniesz się guwernantką w rodzinie z gromadą rozwrzeszczanych bachorów. Albo osobą do towarzystwa jakiejś zrzędliwej starej wdowy, która mieszka z cuchnącymi pekińczykami i poza tym ma mnóstwo odstręczających dolegliwości.

Pomyślała o swoim całkowicie niepoważnym zachowaniu, gdy pozwoliła sobie na jazdę konną wokół areny w rotundzie Vauxhall Gardens, kręcąc salta w ptasiej masce z zakrzywionym nosem.

- Mogłabym uciec i przyłączyć się do trupy cyrkowej, za-nimby do tego doszło - powiedziała. Jakiś dziwny dźwięk wydobył się z jej ściśniętego gardła.

Gwałtownie odwrócił się do niej.

- Śmiejesz się ze mnie?

- Nie, w żadnym razie. Przepraszam.

Nie mogę powiedzieć nic więcej - pomyślała. Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

W piersi czuła coraz większy ciężar. Starła się temu zaradzić, głęboko wzdychając. Ale on nadal tam był i przeszkadzał jej oddychać.

- Moja sytuacja nie jest taka straszna, jak ją przedstawiłeś - odparła. - Jakoś przeżyjemy do wiosny, potem przeprowadzimy się do End Cottage, aby babcia mogła zażyć trochę morskiego powietrza. Jeżeli Błękitny Księżyc wydobrzeje, udamy się do Epsom i wystawimy go w derby. Nagroda dla zwycięzcy wynosi tysiąc funtów.

Wybuchnął ochrypłym śmiechem.

- Właśnie! Dla zwycięzcy. Najpierw musisz wygrać. O Boże, Jessalyn... - Odchylił do tyłu głowę, potarł koniuszkami palców grzbiet nosa, potem bezsilnie opuścił rękę wzdłuż boku. - Kocham cię. Kocham cię od lat. Wszystko, co mam - miejsce w parlamencie, dom przy Berkeley Square, stale rosnący majątek, bliskie szlachectwo - starałem się zdobyć po to, aby stać się godnym ciebie. - Chwycił ją za ramiona. Zaniepokoiła się mocą, z jaką to uczynił, i żarliwym tonem jego głosu - Jessalyn, kocham cię.

„Kocham cię”.

Zacisnęła powieki. Był jej przyjacielem. Sprawiała mu ból i nie mogła tego znieść.

- No... może potrzebuję odrobinę więcej czasu - rzekła, ale wiedziała, że jej zachowanie wynika z braku odwagi.

Chwycił ją mocniej, bardziej boleśnie.

- Jak długo jeszcze? Ile czasu mam czekać, abyś wreszcie zdecydowała, że chcesz zostać żoną?

Otworzyła oczy. Na jego twarzy malowało się wszystko: konsternacja i rozpacz; ostatnie iskierki nadziei. Znała tego człowieka, odkąd skończyła sześć lat. Łączyła ich przyjaźń. Byli...

- Daj mi jeszcze trochę czasu, Clarence. Proszę. Poczekaj do wiosny. Przecież tak właśnie wspólnie planowaliśmy.

Do tej chwili McCady... lord Caerhays będzie już dawno po ślubie. Upłynie dość czasu, aby się z tym pogodzić, przyzwycząić... lecz, och, Boże, jakżeż się do tego przyzwycząić!

Clarence uwolnił ją, poprawił krawat i klapy surduta, jak

gdyby musiał przywrócić się do normalnego stanu po nietypowym dla siebie wybuchu.

- Wiem, że weźmiesz to wszystko pod rozwagę, Jessalyn -rzekł. - Doświadczasz jedynie tych samych obaw, które przeżywają przed ślubem wszystkie panny młode. Ale ten strach szybko przeminie. Zobaczysz, mam rację. - Słyszała ulgę w jego głosie i zrobiło się jej wstyd.

Dotknął dłonią jej policzka.

- Pomyśl tylko o życiu, jakie mogę zapewnić tobie i twojej babce. Przede wszystkim zaś o tym, jak bardzo cię kocham.

Spojrzała w szczerą twarz Clarence'a Tiltwella. Powiększyła się rana w jej sercu. Cierpiała coraz bardziej. I nie umiała sobie z tym poradzić.

Wielkie donice ze złocistymi chryzantemami zdobiły chór i wysoki ołtarz kościoła Św. Małgorzaty w Westminster. Słoneczne światło przenikało barwne szkło witraża z wizerunkiem Jezusa ukrzyżowanego i tworzyło na kamiennej posadzce czerwono-no-niebiesko-żółty wzór. Wszyscy goście byli zgodni, że trudno byłoby o ładniejszy dzień na ceremonię ślubną.

Panna młoda stała przed balustradą oddzielającą prezbiterium od reszty kościoła.

Promieniała urodą w sukni z białej i srebrzystej koronki i welonie z woalką z setkami perełek, który spływał na ramiona, sięgając posadzki. Pan młody wyglądał niezwykle urodziwie w niebieskim fraku i spodniach w kolorze słomy. Z wyglądem pirata kojarzyły się wystające spod jedwabnego cylindra długie włosy i połyskujący w uchu kolczyk. Niejedno kobiece serce było mocniej na jego widok.

Po ceremonii zaplanowano uroczyste śniadanie. Ktokolwiek znaczył coś w Londynie, otrzymał pozłacane zaproszenie. Lecz w ceremonii kościelnej brali udział tylko najbliżsi przyjaciele rodziny Hamiltonów. Stali teraz w ławkach. Mężczyźni zazdrościli panu młodemu posagu, kobiety - pannie młodej kawalera. Pięćdziesiąt osób zaproszonych po to, by świadczyć o połączeniu mężczyzny i kobiety nierozzerwalnym węzłem małżeńskim.

Znalazła się tutaj także jedna osoba, której nie zaproszono.

Stała sobie z boku, schowana częściowo za filarem i parą żelaznych lichtarzy. Aż do tej chwili nie wierzyła, że to mał-

żeństwo dojdzie do skutku. Tak jak nie chciałyby uwierzyć, gdyby jej ktoś oznajmił, że niedługo umrze.

Chociaż przyszła, nie mogła się temu spokojnie przyglądać. Podniosła wzrok na zbolaną twarz szklanego Chrystusa z witraża. Zamknęła oczy.

„Och, Boże, pragnę umrzeć. Spraw, abym umarła”.

Głos pastora brzmiał głucho między kamiennymi ścianami.

- Prawem Boga i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów staliście się mężem i żoną, co niniejszym ogłaszam.

McCady Trewlany, dwunasty hrabia Caerhays, nie patrzył na swoją hrabinę.

Odwrócił się i, jak gdyby wyczuwając obecność Jessalyn, odnalazł ją wzrokiem. Ich spojrzenia spotkały się. Serce podeszło jej do gardła, kiedy ujrzała, jak zmienia się jego twarz, tężeje, jak powoli maluje się na niej rozpacz...

Jak gdyby zaprzedał duszę.

Odeszła wzdłuż długiej nawy. Bezszelestnie, bo podeszwy butów z koziej skóry nie czyniły hałasu. Poderwała się do biegu. Była w połowie schodów, kiedy zaczęły bić dzwony.

XVIII

Wróciły do Kornwalii w tym samym tygodniu, w którym zakwitwały pierwiosnki.

Owej niedzieli Jessalyn poszła do kościoła ścieżką biegnącą wzdłuż ogrodzenia pokrytego żółtymi kwiatami. Nie widząc w pobliżu nikogo, uniosła skraj spódnicy i weszła na kamienny murek. Rozłożyła szeroko ręce i wystawiła twarz ku słońcu.

Odetchnęła głęboko. Powietrze pachniało dziwnie: zielonymi, kruchymi jabłkami. Roześmiała się głośno, obróciła w miejscu i zaczęła biec po kamieniach dokładnie tak samo, jak to robiła w latach dzieciństwa. Wiatr smagał jej włosy, chłodził policzki i niósł jej śmiech w stronę morza.

Pierwsze tegoroczne pierwiosnki.

To znaczyło, że niebawem nastąpi kres zimy. Musiała zerwać choć jeden kwiat i pokazać babce. W Londynie pierwiosnki nie rosły.

Zanim dotarła do kościoła, wiatr przeszedł w prawdziwą wichurę. Morze kołysało się coraz groźniej, coraz intensywniej,

zapowiadając kolejny sztorm. Ponieważ jednak świeciło słońce i rozkwitły pierwiosnki, Jessalyn kipiała radością życia.

Kościółowi, w którym modlili się okoliczni górnicy i rybacy, patronował Święty Genny, jeden z pierwszych celtyckich świętych. Świętemu Genesiusowi ścięto głowę za wiarę. Podobno nawiedzał wrzosowiska, trzymając głowę pod ramieniem niczym bochen chleba. Przed laty Jessalyn i Clarence przez całą letnią noc czaili się między nagrobkami z siecią na ryby, mając nadzieję, że go pochwycą. Ale zamiast tego dostali burę od wielbnego Troutbecka, a biedny Clarence w domu dodatkowo jeszcze lanie.

Kościółek zbudowano z szarych, omszałych kamieni. Miał prostokątną wieżyczkę z blankami i dlatego wyglądał, jak gdyby był częścią twierdzy. Wewnątrz pachniało pleśnią i nietoperzami, które mieszkaly w dzwonnicy. W deszczowe dni trzeba było uważać, gdzie się siada, bo choć konkursy na szeroki uśmiech nadal odbywały się dość często, z dachu wciąż ciekło.

Jessalyn otworzyła drzwi i weszła do kościoła. Towarzyszył jej silny podmuch wiatru, który zaszeleścił kartkami psalterza i niemal zwał perukę z głowy doktora Humphreya. Wślizgnęła się do nadjedzonej przez kołatki ławki akurat w momencie, kiedy małżonka wielbnego Troutbecka brała swym rozchwianym sopranem ostatnią nutę *Śpiewajmy Panu...*

Wielbny Troutbeck, w komży zatłuszczonej podczas śniadania, wspiął się na ambonę. Wziął głęboki oddech, aż jego gorset zaskrzypiał niczym para starych miechów, otworzył usta i już ich nie zamknął. Tymczasem drzwi znowu skrzypnęły i ponownie powiało chłodem.

Wszyscy jednocześnie odwrócili głowy. Serce skoczyło Jessalyn do gardła. W drzwiach ukazał się lord Caerhays. Poranne słońce oświetlało twarz awanturnika, wystające kości policzkowe i ginące w cieniu, głęboko osadzone oczy. W tabaczkowym surducie i bryczesach wyglądał tak, jakby dopiero w ostatniej chwili postanowił wziąć udział we mszy. Towarzyszyła mu żona, która miała ładnie zarumienione policzki i była okryta od stóp po szyję huzarskim płaszczem. Spojrzenia McCady'ego i Jessalyn spotkały się. Dziewczyna sztywno usiadła, trzymając brodę wysoko w górze. Jej serce zaczął przytłaczać stary, znajomy ciężar. Miłość nie jest kwestią

woli. Nie potrafiła sprawić, aby jej uczucia wobec tego mężczyzny osłabły, choć nienawidziła go za to, że ją zranił i opuścił. W dodatku nie raz. Mimo wszystko będzie kochała go przez każdą minutę swojego życia aż do śmierci. I nawet wówczas nie przestanie. Istnieje przecież coś takiego jak dusza, zatem będzie kochała wiecznie.

Na spojrzenie odpowiadał spojrzeniem. Jego twarz przypominała rzeźbę z kornwalijskiego granitu.

Właśnie wówczas zauważyła ją Emily. Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech zdziwienia, który po chwili zgasł. Jessalyn gwałtownie odwróciła się, upuszczając psalterz. Kiedy schylona szukała go pod ławką, widziała połyskujące buty McCady'ego i wykonane z cielejącej skóry pantofelki Emily, poruszające się obok siebie krok w krok. Do oczu napłynęły jej łzy. Przez chwilę stała przygarbiona, mrugając i przełykając łzy, póki nie podniosła głowy i nie spojrzała suchymi oczami na wielebnego Troutbecka.

Duchowny nawet w swoich najlepszych czasach nie był dobrym mówcą. A teraz jeszcze do tego stopnia był przejęty obecnością lorda w swoim kościele, że stał się prawie całkowicie niezrozumiały. Kazanie nie miało ni ładu, ni składu. Jessalyn siedziała ze wzrokiem utkwionym w godzinnej klepsydrze, obserwując strumyczek spadającego piasku. Ani razu już nie spojrzała w stronę lorda, chociaż ciągle była świadoma jego obecności, jakby przy niej siedział, dotykał jej udem i ramieniem, jakby czuła ciepło jego oddechu w swych włosach.

Kolejny podmuch wiatru uderzył w kościół, szeleszcząc luźnymi kartkami.

Wielebny Troutbeck rozpoczął końcową modlitwę.

- O Panie - zaintonował - po raz kolejny chcesz nam zesłać sztorm. Błagamy cię, by nie zatonął żaden statek... - Nagle głos zaczął mu cichnąć, gdy powoli uświadamiał sobie, że w domu powieszzonego mówi o sznurku. Nie upłynęło jeszcze dość czasu, by ludzie zapomnieli, że niesławni niegdyś hrabiowie Trewlany, którym zawsze brakowało pieniędzy, rozmyślnie doprowadzali statki do zguby, ustawiając w sztormowe noce fałszywe światła na klifach wznoszących się nad Crookneck Cove. Oczy wszystkich - z wyjątkiem tych, którzy ani przez chwilę nie patrzyli w inną stronę - zwróciły się na hrabiego. On sam przyglądał

się własnym dłoniom złożonym na hebanowej rączce laski. Teraz podniósł głowę. Jego cyniczny głos wypełnił maleńki kościół.

- Módlmy się, rzecz jasna, aby nie rozbił się żaden statek. Gdyby jednak sprawa już była przesądzona, niechże to się stanie niedaleko Crookneck. Nieprawdaż, wielbny księżu?

Po jego oświadczeniu zapadła cisza tak głęboka, że Jessalyn słyszała poruszenia nietoperzy nad swoją głową. Potem rozległ się tłumiony chichot, a po chwili całe zgromadzenie górników i rybaków zanosiło się od śmiechu. Wielbny Troutbeck zaczerwienił się, utknął, by moment później podjąć modlitwę zawierającą obszerną dygresję na temat potrzeby położenia nowego dachu.

Jessalyn poderwała się z ławki, zanim przebrzmiało echo ostatnich nut hymnu.

Oślepiło ją blade słońce na jeszcze bledszym niebie. Pospiesznie ruszyła po kamiennej ścieżce, starając się mruganiem powstrzymać napływające do oczu łzy. Wiatr zawodził niczym obłąkana czarownica. Zapowiadał sztorm, niósł smak soli, piasek i lodowaty deszcz. Doszła prawie do bramy, kiedy usłyszała swoje imię.

- Jessalyn! Panno Letty?

Odwróciła się. Emily Hamilton, a raczej Trewlany, wyszła spod portyku. Wiatr zdmuchnął obszyty futrem kaptur z jej głowy. Jasne włosy zalśniły niczym złota korona. Dziewczyna była sama. Lord został, aby porozmawiać z wielbnym Troutbeckiem.

Jessalyn zatrzymała się w bramie: nie, nie może stchórzyć. Ale jakże ciężko oddychało się ze ściśniętym sercem! W dodatku wiatr i słońce wyciskały jej z oczu łzy.

- Lady Caerhays - powiedziała, kiedy Emily zatrzymała się przed nią.

Uśmiech na twarzy dziewczyny przygasł nieco.

- Och, nie! Nie wolno ci tego robić... nie wolno ci zwracać się do mnie w ten sposób. Sądziłam, że zostałyśmy przyjaciółkami.

W jakiś sposób udało się jej uśmiechnąć.

- Zatem witaj, Emily.

- Sądziliśmy, to znaczy milord i ja, że nadal jesteście w Londynie. - Emily obejrzała się przez ramię, jak gdyby chciała, aby mąż potwierdził jej słowa. Jessalyn nie mogła się powstrzymać, by także nie spojrzeć. Stał odwrócony plecami. Nie mogła

baczyć jego twarzy. Lecz jakie to miało znaczenie, skoro na samą myśl o nim krew zaczęła w niej żywiej krążyć! Dobry Boże, czekało ją jeszcze mnóstwo sytuacji, w jakich powinna to ukrywać.

- Wiejskie powietrze musi ci służyć - mówiła Emily. - Wyglądasz wspaniale. Milord tak uważa.

- Doprawdy? - Tak bardzo było to niepodobne do mężczyzny, którego znała, że nie dała wiary.

Wiatr porwał i poniósł w dal delikatny śmiech Emily.

- Wprawdzie to ja tak powiedziałam, ale on się ze mną zgodził. Od dawna jesteś w Kornwalii? My zamieszkaliśmy w rezydencji przed trzema miesiącami.

Sprowadziliśmy się zaraz po świętach Bożego Narodzenia. - Westchnęła, rozejrzała się wokoło. Usta jak pączek róży ułożyła w uśmiech. - Jakże tu pięknie! I dziko...

Kiedy Caerhays powiedział, że pragnie osiąść w swojej rezydencji, przyznam, iż nie byłam zachwycona. Teraz wydaje mi się, że nigdy nie będę chciała stąd wyjechać.

Jessalyn odetchnęła głęboko, starając się odprężyć. Wiedziała, ponieważ powiedział jej o tym Clarence, że McCady przeniósł się z żoną do Kornwalii. Znowu się zapożyczał, pragnąc uczynić rezydencję zdatną do zamieszkania, a z myślą o zbliżającym się konkursie chciał zbudować w miejscowej odlewni lokomotywę.

- Otwiera nawet już dawno wyeksploatowaną kopalnię - dodał wówczas Clarence, kręcąc z niepokojem głową. - Stara się ocalić swoją Kompanię kolejową, wydobywając spod ziemi, co się tylko da. Jedyne Trewlany'ego stać na takie ryzyko.

Jessalyn przeniosła spojrzenie na żonę człowieka, którego kochała. Spokój wyglądał rysy Emily, spokój niezachwiany i przyjazny. Kiedy spotkały się po raz pierwszy, Jessalyn właśnie to spodobało się w niej najbardziej. Przecież nie mogła nienawidzić Emily za własne cierpienie. Lecz to wcale nie było proste, nie było.

- Cieszę się, że znalazłaś tutaj szczęście - powiedziała Jessalyn.

- Szczęście? Ach, tak, chyba rzeczywiście... - Lecz spojrzenie Emily powędrowało w stronę męża i jakieś dziwne cierpienie zaciągnęło chmurą jej oczy.

Nagle powiało mocniej. Emily zachwiała się, niemal prze-

wróciła. Jessalyn chwyciła ją za ramię. Wiatr rozchylił połę jej niebieskiego płaszcza, odsłaniając brzuch ciężarnej kobiety.

- Spodziewamy się, że dziecko przyjdzie na świat za cztery miesiące - powiedziała Emily, rumieniąc się.

„Spodziewamy...” Serce Jessalyn przeszył ból tak silny, że zdawało się, iż za chwilę pęknie na pół. W wyobraźni przeniosła się do sali balowej Hamiltonów, czuła znowu, jak szybko bije jej serce, słyszała cenzorski głos Clarence'a: „Za samą obietnicę małżeństwa wziął tyle, że wystarczy na spłatę długów po jego bracie. Reszta zapłaty nastąpi dopiero wówczas, kiedy urodzi się spadkobierca”.

- Jakże szczęśliwie dla jego lordowskiej mości - odezwała się głośno do Emily. Ledwie jednak wyrzekła te słowa, uświadomiła sobie, że jest podła i małostkowa. - Raczej chciałam powiedzieć, że cudownie się stało, iż po tych wszystkich latach maleńkie dziecko znowu pojawi się w siedzibie Caerhaysów.

Emily zarumieniła się ponownie.

- Lekarze twierdzą, że jestem delikatnego zdrowia, ale prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej. Mimo wszystko nie wolno mi ani zbyt długo chodzić, ani jeździć. Może mogłabyś jutro złożyć nam wizytę?

Lord Caerhays skończył rozmowę^ wielebnym Troutbeckiem i podążył w ich kierunku, utykając mocniej niż zwykle. Jessalyn zastanowiła się, czy jak w wypadku reumatyzmu babki jego stare rany nie stają się szczególnie dokuczliwe podczas deszczowej pogody. Jego żona powinna wiedzieć. Być może wie. Och, Boże, dłużej tego nie zniesie.

- Bardzo przepraszam, ale muszę już iść - powiedziała szybko. - Moja babka nie czuje się najlepiej. Podróż z Londynu jest bardzo uciążliwa dla osoby w jej wieku. Emily spochmurniała. Klepnęła Jessalyn po ramieniu, zaznaczając uprzejmie i zarazem szczere współczucie.

- Och, jakże mi przykro! Proszę, przekaż jej wyrazy uszanowania.

- Dziękuję. Uczynię to na pewno... - Już prawie się zbliżał. Znowu spotkały się ich spojrzenia. Drgnęła jego surowa twarz i wyraźnie złagodniała, gdy do oczu napłynęły jej łzy.

Jessalyn obróciła się i zbiegła po ścieżce. Od tłumionego szlochu piekło ją w gardle, dławilo. Zatrzymała się przy ogo-

dzeniu, dysząc, przetykając i usiłując opanować płacz. Tak mocno przycisnęła pięści do kamiennego muru, że zraniła skórę, mimo to wcale nie czuła bólu. Powiedziała sobie, że nie obejrzy się, ale i tak nie zdołała wytrwać w postanowieniu. Lord Caerhays i jego żona stali ramię przy ramieniu pod bramą. Nie dotykali się. Tylko złośliwy wiatr, jak gdyby chciał jeszcze wszystko pogorszyć, znowu rozchylił połę niebieskiego płaszcza żony hrabiego. Ból przeszył Jessalyn tak gwałtownie, że gotowa była krzyczeć. Kiedy stała w kościele św. Małgorzaty i przyglądała się ceremonii ślubnej, nawet tam, nadal chciała wierzyć, że McCady nie jest dla niej rzeczywiście i na zawsze stracony.

Aż do tej chwili.

Do domu - pomyślała. Chcę pójść do domu. Tak bardzo pragnęła wrócić do End Cottage, gdzie wszystko było znajome i bezpiecznie, zawsze takie samo, że czuła to prawie namacalnie. Czuła w taki sam sposób, w jaki czuje się w powietrzu smak morza. Zaczęła biec. Wiatr wyciskał jej z oczu łzy, zmieniając pierwsze tej wiosny pierwiosniki w żółte, rozmazane plamy. Nie zatrzymała się, aby zerwać choć jeden. Następnego dnia już ich nie było. Nocą zniszczył je sztormowy wiatr.

Mówiło się w Kornwalii, że morze ma swoje kaprysy. Tej nocy było dzikie i złe. Sztorm przywiódł go na Crookneck Cove. Porywisty wiatr zaciekle smagał brzeg i fale, tworząc wodny pył z drobinami piasku. Na niebie majaczyły ciemne i ciężkie chmury brzemienne deszczem.

Nie włożył surduta ani kapelusza. Wiatr mierzwił mu włosy. Chciał odczuć na sobie całą wściekłość sztormu, która dobrze harmonizowała z szaleństwem krążącym w jego ciele i krwi. Chciał ryczeć, jak ryczało morze, uderzać i smagać skały, jak czynił to wiatr. Złość morza miała słony smak piany, która wirowała wokół.

Kątem oka dostrzegł w oddali na brzegu jakąś postać; w jednej chwili ogarnął go niepokój. Mimo wszystko nie zdziwił się, że ją tutaj zastał. W jego wspomnieniach, które dotyczyły tego

miejsca, zawsze miała nagie stopy, biegła swobodnie po piasku i włosy kłębiły się za nią niczym cynamonowa chmura.

Tego wieczoru stała samotnie w miejscu, dokąd docierały spienione fale, jak gdyby prowokowała morze do najgorszego. Olbrzymia fala uderzyła w brzeg, oblewając ją rześistym deszczem. Stała w bezruchu, przemoknięta. Wilgotne ubranie przywierało do jej ciała. Równie dobrze mogła być naga.

Nie był w stanie utrzymać na wodzy pożądania, w każdym razie nie na zawsze, nie na wieki. Żaden mężczyzna nie miałby na to dość woli. Pozwolił sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby podszedł do niej, wziął w ramiona, położył na piasku i posiadał w taki gwałtowny, uporczywy sposób, w jaki zachowywało się wzburzone morze.

Dał nieco swobody wyobraźni i popełnił błąd. Cokolwiek to było - żądza, pragnienie, potrzeba - pchało go w stronę Jessalyn. Utykając, ruszył do niej po piasku. Pojedyncza rybitwa krzyknęła ostrzegawczo. Dziewczyna wzdrygnęła się i odwróciła. Musiała odczytać intencje z jego twarzy, bo dostrzegł w jej oczach strach. Przerazający strach. Odczuł to jak cios pięścią w żołądek.

Poderwała się do biegu, minęła go tak blisko, że na twarzy poczuł ruch powietrza.

- Jessalyn! - krzyknął. Ale chociaż jeszcze mógł to zrobić, nie próbował jej zatrzymać. Wspinała się po skalnej ścieżce, jakby goniły ją piekielne demony.

Stał jeszcze długo na plaży. Przyglądał się, jak fala za falą rośnie, załamuje się i rozlewa. Rybitwa krzyknęła znowu, ale jej wołanie zginęło w zawodzeniu wiatru.

Lady Letty pogardliwie prychnęła i stuknęła laską w podłogę.

- Kto by pomyślał, że kiedyś dożyjemy tego dnia? Bezczelny czort. Ci z rodu Trewlanych zawsze byli bezczelnymi czortami.

- Wydawało mi się zawsze, babciu, że ponowne otwarcie kopalni przyjęłabyś z radością. - Jessalyn spojrzała ponad urwiskiem w stronę maszynowni Wheal Patience. Budynek był udekorowany czerwonymi i białymi flagami, które łopotały na wietrze, wydając odgłos, jakby klaskała setka dłoni. Maszynownia wyglądała jak nowa. Ściany naprawiono nowymi ceglami, ramy okienne pomalowano na intensywny żółty kolor. Błękit

nieba kłuł w oczy. Na jego tle z komina unosiła się spiralnie wstęga dymu. - A to dla ludzi mieszkających w Mousehole oznaczało pracę przez okrągły rok.

Lady Laty prychnęła znowu, chociaż wyglądała przy tym na zadowoloną.

- Co jest dobre, to jest dobre. Tylko że on wydaje pieniądze, jakby je wytrząsał z rękawa. Słyszałam, że podobno nie otrzyma ich więcej, jeżeli nie urodzi się chłopiec. Więc na razie, rozumiesz, pożyczają pieniądze, bo spodziewa się, że w przyszłości będzie miał z czego oddać. Ale to wcale nie jest pewne. Wszystko zależy od losu. Postępuje typowo... jak wszyscy z rodziny Trewlanych. Co się stanie, jeżeli na świat nie przyjdzie chłopiec? Albo dziecko urodzi się martwe? W dodatku zdaje się, że dziewczyna zupełnie nie nadaje się na matkę. Jest zanadto delikatna.

Emily rzeczywiście wyglądała na zbyt delikatną i wątłą, aby nosić w sobie, a następnie urodzić dziecko. Sama wyglądała jak dziecko przy boku wysokiego, barczystego męża. Oboje stali wysoko nad tłumem, na drewnianej platformie bez poręczy. Otwarcie przedsięwzięcia przypominało opuszczanie na wodę nowego statku i kto żyw w okolicy przybył tu, aby stać się świadkiem wydarzenia.

Lord i jego lady musieli dostać się do platformy na ostatniej kondygnacji maszynowni, aby ochrzcić największy dźwigar. Komin i maszynownię wybudowano na cyplu między urwiskiem i morzem. Dojść tam można było wyłącznie po wąskiej skalnej ścieżce. Jessalyn zdziwiła się, że lord Caerhays pozwolił ciężarnej żonie na niebezpieczną wspinaczkę. Być może Emily nalegała, pragnąc uczestniczyć w uroczystości tak ważnej dla męża. Na jej miejscu Jessalyn postąpiłaby tak samo.

„Na jej miejscu...” Napływające wspomnienia zaatakowały Jessalyn, przynosząc cierpienie. Obrazy dnia, kiedy oboje weszli do kopalni. Posprzeczali się, potem on ją zostawił, ale i tak postanowiła iść jego śladem i w rezultacie spadała do szybu. Znaleźli wtedy maleństwo Salome i dlatego, zaaferowana przebiegiem wypadków, nawet nie zapytała, czy natrafił na cynę. Już wówczas wiedziała, że wcześniej czy później McCady da początek nowemu przedsięwzięciu. Tylko że w swych marzeniach, marzeniach niemądrej dziewczyny, to właśnie ona stała przy jego boku na tej platformie.

Tłum zamilkł, gdy chór kościelny zaintonował pieśń *Boże, zachowaj króla...* Wielebny Troutbeck stanął bliżej krawędzi platformy i wezwał Boga, by błogosławił kopalni, zaopatrując ją w bogate złoża rudy. W dolnej części budynku rozległ się gwizd: z maszyny uleciał nadmiar pary. Następnie miejsce wikarego zajął lord Caerhays. Mogło się zdawać, że stoi wewnątrz żółtych okiennych ram. Przemawiał głośno i już po chwili udało mu się sprawić, że górnicy śmiali się i klepali po plecach.

Ponieważ ludzie przyglądali się wszystkiemu otwarcie, Jessalyn mogła bez żadnych obaw nakarmić oczy i serce widokiem McCady'ego. Wyglądał znakomicie w dobrze skrojonym surducie z delikatnej niebieskiej tkaniny, bladożółtych pantalonach i białej kamizelce z perłowymi guzikami. Bryza poruszała lokami, które wystawały spod cylindra. Promień słońca odbijał się od złotego kolczyka.

Po krótkim przemówieniu nastąpiła eksplozja owacji. Potem hrabia odwrócił się, przyciągnął żonę do swojego boku. Złociste włosy Emily jaśniały niczym aureola nad jej głową. Na chwilę tłum znieruchomiał, zauroczony jej urodą. Podniosła wzrok na męża, uśmiechając się niepewnie. Patrzyła na niego z miłością i tęsknotą. Jessalyn uciekła spojrzeniem w bok.

Emily nie odrywała wzroku od męża, kiedy uniosła butelkę przemyconej brandy i rozbiła ją o wielki dźwigar. Kawaleczki szkła i krople brandy zamigotały w promieniach słońca, jakby się przemieniły w diamentowy deszcz. Publiczność wiwatowała, dzwięczał mały dzwon, Lady Letty uderzała laską o ziemię. Tylko Jessalyn stała sztywna i milcząca.

McCady podniósł głowę, odszukał ją spojrzeniem, odcinając od nich świat. Zawsze odczuwała na sobie jego wzrok niczym dotyk, jak gdyby pieścił ją w myślach. Bezwiednie zachwiała się. Cicho westchnęła przez lekko rozchylone usta, jakby wodził dłońmi po jej ciele. Na jego twarzy pojawiło się wzruszenie tak głębokie, że zbrakłoby słów, by je opisać. Żarliwe pragnienie, które boleśnie ścisnęło jej serce. Lecz chwilę później twarz mu stężała, odwrócił się i Jessalyn już nie była pewna, czy to wszystko nie było tylko dziełem jej wyobraźni.

Hrabia otworzył zawór przy nowej maszynie, którą zbudował, wypuszczając w powietrze biały strumień pary. Opadły tłoki,

podniósł się balans, opadł balans, podniosły się tłoki, a potem znowu, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Kocioł jęczał i wzdychał.

Pod ziemią kopalnia pozostawała ciemna i spokojna. Kopalnia, w której być może czekały na odkrycie olbrzymie bogactwa. Bogactwa i niebezpieczeństwo.

Beka Poole odczekała, póki inni nie obsłużyli się przy prowizorycznym stole, uginającym się od jedzenia i napojów. Nie obawiała się ludzi, których знаła, którzy przywykli do widoku jej twarzy. Jednakże tego dnia zawitało tutaj wielu nieznamych, nawet z Truro, mających nadzieję na przyjęcie do pracy w kopalni. Panna Jessalyn powiedziała, że wcale nie ze złośliwości się przyglądają. I rzeczywiście, na ich twarzach malowała się głównie litość. Ale ona nienawidziła litości. Za drwiny potrafiła odpłacić taką samą monetą. Litości nie potrafiła znieść. Chociaż podeszła na końcu, jedzenia zostało jeszcze bardzo dużo: dobre korwalijskie potrawy, odmienne od tych, które musiały przyrządzać w Londynie. Trąbiki, węgore w galarecie, piwo imbirowe, miód pitny, kuliki i ciasta z warzywami. Lord Caerhays okazał się szczodrym człowiekiem, gdy trzeba było wystawić wiktuały. Ale Beka chyba nie lubiła hrabiego. Budził w niej respekt surową twarzą i przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu. Kto wie, może oczu samego czorta? Dotknęła zawieszzonego na szyi amuletu, aby odpędzić diabelskie myśli. Na rany Chrystusa, jakże on dzisiaj patrzył na panienkę Jessalyn! Dziw brał człowieka, że w powietrzu nie buchnęło ogniem. Och, gdyby tak na Bekę zechciał podobnie spojrzeć jakiś mężczyzna, tak gorąco i pożądliwie! Ale to się nigdy nie zdarzy. Z powodu blizny i w ogóle.

Właśnie wbiła zęby w spory kawałek ciasta z warzywami, kiedy tuż przed nią padł na ziemię długi cień. Zobaczyła najpierw buty tak dokładnie wypolerowane, że mogła się w nich przejrzeć. Przykryła włosami bliznę na policzku i powoli podniosła oczy, wędrując spojrzeniem w górę, aż do pary oczu w kolorze brandy, ocienionych gęstymi rzeszami, wyłocnymi na końcach przez promienie słońca. Na rany Chrystusa, toż to był on, pan Duncan.

Przełknęła kawałek placka, który miała w ustach. Smakował jej jak wełniana kulka i stanął w gardle. Zaczęła się dławić.

Mężczyzna klepnął ją w plecy. Zakrztusiła się jeszcze mocniej.

- Proszę na siebie uważać, panno Poole - powiedział z lekkim szkockim akcentem. - Teraz trzeba to czymś przepłukać. - Wcisnął jej do rąk skórzany bukłak pełen imbirowego piwa.

Nazwał ją panną Poole. Nigdy nikt tak się do niej nie zwracał. Zawsze była tylko Beką. A on nazwał ją panną Poole, jak gdyby była kimś.

Tak szybko wypić piwo, że mało brakowało, a zakrztusiłaby się znowu.

- Oj, mam pragnienie jak kotka, co karmi dziewięcioro kociąt - powiedziała, kiedy odzyskała oddech. Grzbietem dłoni otarła górną wargę z pianistych wąsów. Zerknęła na niego kątem oka, starając się ukryć szpetną bliznę. Aż oczy bolały na niego patrzeć, taki był przystojny. - Niezła kołomyja to całe przyjęcie, nie ma co - dodała, bo nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

- Owszem - przyznał. - I wymarzony dzień na celebrowanie takiej okazji. - Głos miał miły, łagodny jak jego oczy.

- Ano tak, tak, wspaniały dzień "ha celibatowanie. Spojrzał zdziwiony.

- Co proszę? - zapytał. Zaczzerwieniła się po same uszy.

- Panie Duncan! Sir - dodała, przeklinając siebie w duchu za brak odpowiednich manier, za to, że nie zwróciła się do niego z należytych szacunkiem. Podniosła brzeg wełnianej spódnicy, usiłując opanować drżenie rąk.

Milczeli oboje. Patrzył na nią, ale nie było litości w jego oczach. Wtedy w Londynie, kiedy otworzyła przed nim drzwi, także nie dostrzegła litości. Przecież mimo wszystko musiał zauważyć bliznę. Ale był zbyt dobrze wychowany, aby dać to odczuć czy to słowem, czy gestem. Ani chybi był przede wszystkim dżentelmenem dżentelmena.

Och, i jakże przystojnym! Gapiła się na niego w zaurczeniu przez opadające włosy. Dziw brał, że do tej pory nie przygarnęła go do siebie żadna niewiasta. A może jednak był żonaty albo chodził w Londynie do jakiejś kobiety, co to sprzedawała miłość

za gwinee. Nagle uświadomiła sobie, że nic o nim nie wie poza tym, że pracuje dla lorda Caerhaysa. I że nie dostrzegła litości w jego oczach.

Spojrzał w stronę ogniska, wokół którego zgromadzili się ludzie, popijając jałowcówkę z melasą i czekając, kiedy w żarze upieką się ziemniaki. Przesąpił z jednej nogi na drugą.

- Powinien pan spróbować ciasta z rybą - powiedziała szybko, pragnąc go zatrzymać.

Spojrzał na ciasto, które mu pokazywała, i wytrzeszczył oczy. Nie zastanowiła się, jak może wyglądać taki placek w oczach kogoś, kto nie był do tego przyzwyczajony. Czyli coś ze sterczącą z ciasta głową sardeli o białych oczach, wpatrujących się pusto w przestrzeń.

Rzeczywiście, jego cudownie urodziwa twarz przybrała odcień zielonych węży, które mieszkają w kolcolistach.

- Taaa... dzięki - odparł. - Prawdę mówiąc, nie mam teraz zbyt wielkiego apetytu.

- To od morskiego powietrza człowiekowi robi się niedobrze - rzekła, czując wreszcie, że znalazła się na twardym gruncie. Poza opisywaniem stanu własnego zdrowia uwielbiała uzalać się nad innymi nieszczęśnikami, których trapiły różne choroby i troski. - Na niezaradność żołądka polecam zwłaszcza rabarbar.

- Niezaradność żołądka? - zapytał jakby przez ściśnięte gardło.

Biedaczek, naprawdę musiał się czuć nie najlepiej. Skwapliwie pokiwała głową.

- Rabarbar. W mig będzie poprawa. Za to mnie dręczy reumatyzm. Zaczynam dostawać prostytutki. Już tydzień mnie to trzyma bez nijakiej przerwy. Oj, mówię panu. Najpierw oblewają mnie poty i skóra na całym ciele robi się jak u tłustej gęsi. A potem wraz chwytają mnie dreszcze i coś mi się telepie w piersi jak nie przymierzając pokrywka na garnku. Budzę się całkiem przemoczona.

- Przemoczona? - Skrzywił się, jakby coś go zabolalo. Miała nadzieję, że nie dostał wylewu.

- Tak. Zmęczona, taka słabowita, że nie dałabym rady mocować się z własnym cieniem. Znaczą przemoczona.

Odchrząknął.

- Mhm, rozumiem. Wychodzi na to, że z tym reumatyzmem nie ma żartów. Lepiej na siebie uważać, bo to łatwo może przejść w dokuczliwy ból gardła.

- A jakże! Czego to ja nie próbowałam! Piłam wodę smołową, jadłam pajęczynowe kulki, nacierałam piersi zmijowym tłuszczem. Nic nie pomaga.

Ściągnął blond brwi nad prostym nosem.

- Moja matka ma niezawodny medykament na reumatyzm. Maść, ale nie wiem, co się na nią składa. Podobno działa też na przewlekły kaszel. Mam ją w rezydencji. - Gapiała się zahipnotyzowana, jak jego zmysłowe usta rozchylają się w słodkim uśmiechu. - Mógłbym przynieść trochę do End Cottage. Gwarantuję, że działa migiem. Tylko trudno mi będzie przyjść znacznie przed północą.

Krzyknęła rybitwa. Ptak runął na placek z rybą i porwał sardelę, ale Beka nawet tego nie zauważyła. Serce tłukło się jej w piersi, jakby zaraz miało wyskoczyć na zewnątrz.

- Nie byłoby dobrze, gdyby nas ktoś zobaczył po zmroku - powiedziała, marszcząc czoło.

W górze pojawiły się trzy następne rybitwy, wypatrujące pokarmu.

- Zapewniam panią, panno Poole- zawołał, starając się przekrzyczeć ptaki - że moje intencje są absolutnie czyste! Interesuje mnie wyłącznie pani zdrowie, a nie cnota.

- Co takiego? Och... - W jednej chwili runęły wszystkie nadzieje Beki, rozpadły się na okruszki niczym stare ciastko. Jakaż była głupia! Sądziła, że miał wobec niej inne zamiary. Jak mogła? Niby z nią, Beką Poole, co miała wielką, szkaradną bliznę na twarzy? On, dżentelmenem dżentelmena, w dodatku śliczny jak święty obrazek w kościele. Zbyt ważny, by spędzać czas z taką jak ona: szkaradną córką pijanego górnika.

Pod stopami Trewlany'ego pulsowała ziemia. Jak gdyby to nie były wibracje pochodzące od pracującej maszyny, tylko bicie podziemnego serca. McCady stał z zaciśniętymi powiekami wewnątrz maszynowni. Słuchał odgłosów, które były mu tak bliskie jak własne tętno.

Miał wrażenie, że rozplywa się i jednoczy z nieustępliwą,

zacieklą siłą maszyny. Z dudniącymi uderzeniami tłoków, sykami i ssaniem zaworów, westchnieniami uchodzącej pary. Niczym oddech czuł na twarzy ciepło paleniska. Wciągnął głęboko w płuca dużą porcję gorącej pary... I zapach pierwiosnkowego mydła.

Otworzył oczy i zobaczył jej odbicie w potężnym mosiężnym cylindrze. Zachłysnął się tym widokiem, zarazem dzikim i subtelnym. Stała w kręgu światła przy oknie, które wychodziło na morze. Wydawała się iluzją gotową zniknąć, gdyby tylko śmiało westchnąć. Nie widział wyraźnie jej oczu, jedynie smukłą linię pleców i ukrytą w rękawiczce dłoń, opartą na parapecie. Przez chwilę myślał, że obok dostrzega też kapelusz z żółtymi pierwiosnkami. Ale była to tylko gra światła albo figiel, który mu spletały wspomnienia.

Podszedł do niej, schylił głowę pod dźwigarem. Obcasem buta na chorej nodze przesunął po kamiennej posadzce. Drgnęła i odwróciła się. Twarz jej wyraźnie pobladła. W oczach dostrzegł strach.

- Nie! - krzyknął, wyciągając rękę. Załedwie musnął jej ramię, a już coś się między nimi wydarzyło. Przepłynęła przez nich energia potężna jak piorun. Roztarta miejsce, gdzie jej dotknął, jednak przez cały czas jej piękne, skupione oczy wpatrzone były w jego twarz. - Nie odchodź - rzekł.

Otworzyła szerzej powieki, jej pierś uniosła się spazmatycznie, gdy gwałtownie wciągnęła do płuc powietrze.

- Przecież nie odchodzę - odparła. - Nie odchodzę... Teraz wprawdzie na nim skoncentrowała się jej uwaga, ale nie bardzo wiedział, co z tym zrobić. Nie miał jej nic do powiedzenia. Śmiechu wart był pomysł, by jej zaproponować przyjaźń. Jak można zaprzyjaźnić się z kobietą, której śmiech, której uśmiech, ba, sam zapach sprawia, że mężczyzna cały sztywnieje i chce mu się wyć z pożądania!

Oboje milczeli i w ciszy coraz wyraźniej docierał do niego odgłos ssania, jaki wydawała pracująca pompa. Jak gdyby ciało ocierało się o rozpaloną, wilgotną skórę. Zerknęła na jego twarz, po chwili znowu uciekła wzrokiem. Zbyt szybko, by zdążył odczytać jej myśli. Zwilżyła usta, ściągając na nie jego wzrok.

- Czy to pan zbudował tę maszynę, milordzie?

- Owszem, panno Letty.

Przyjrzała się pompie, kiwając posępnie głową, jak gdyby potwierdzały się jej najgorsze oczekiwania. Lecz wprawiła go w osłupienie, kiedy się odezwała:

- Jest wspaniała.

- Dziękuję... Nie sądziłem, że wrócisz do Kornwalii - rzekł. Boże - pomyślał - co za beznadziejna konwersacja! Dlaczego

nie mogli porozmawiać o czymś, co rzeczywiście miało jakieś znaczenie? Dlaczego nie potrafił z nikim rozmawiać o sprawach, które liczyły się naprawdę?!

Jej szerokie usta lekko drżały. Układały się w coś, co bardzo przypominało uśmiech. Pamiętał, że w Jessalyn zawsze była radość, ogień, którego nic nie mogło zgasić, nieważne, ile musiała w życiu znieść.

- Jesteśmy tutaj dopiero od niedawna, milordzie. W maju wybieramy się do Epsom Downs na derby.

- Zatem Błękitny Księżyc już doszedł do siebie? Będzie zdolny do walki?

- Sierżant Major jest tego pewien. - Podniosła głowę i skierowała na niego otwarte spojrzenie przymglonych oczu. - Na pewno w dalszym ciągu sądzi pan, że ułożyliśmy wyścig, zgadza się, milordzie?

- Moim zdaniem zderzenie zostało zaplanowane. Na pani miejscu nie ufałbym waszemu dżokejowi, panno Letty.

Złość zaciągnęła chmurą jej oczy, nadając im barwę morza nocą.

- Topper nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Pani lojalność wobec tego chłopca zasługuje na podziw, panno Letty. Zastanawiam się... - Pasma włosów przywarło do jej szyi. Uniósł je w dwóch palcach. W dotyku było jak jedwab i wyglądało niczym płynny ogień. Wsunął lok pod rondo kapelusza, pozwalając palcom zabawić nieco dłużej przy jej skroni. Zauważył, że drżała. - Zastanawiam się, czy jeśli ktoś byłby dla ciebie ważny... Cóż, gotów jestem pomyśleć, że potrafiłabyś mu wszystko wybaczyć.

Widział isierkę zrozumienia w głębi posępnych oczu. Czekał z zapartym tchem na jej odpowiedź. Chociaż nie domyślał się, co może powiedzieć, sądził jednak, że i tak zrobi mu się lżej na sercu.

- Nie - odparła. - Na pewno nie wszystko...

- Panno Letty, niech panienka popatrzy! Proszę!

Mała dziewczynka w różowej sukience bez rękawów wpadła przez drzwi.

Uśmiechała się tak szeroko, że krańce jej ust dotykały niemal uszu. W brudnej piątce ścisnęła coś, co w oczach McCady'ego wyglądało na wiązkę chwastów. Zatrzymała się i podała brzydką wiązkę Jessalyn. Chwasty zostały wyrwane z korzeniami i ziemia brudziła świeżo zamiecioną podłogę.

- Zerwałam je dla panienki. - Jessalyn przyjęła wiązkę chwastów z uśmiechem, który przebił na wskroś serce McCady'ego.

- Są piękne - powiedziała cicho. - Dziękuję, Jessie. - Podniosła bukiet do twarzy. Zmarszczyła nos, powstrzymując kichnięcie. McCady poczuł gryzący zapach dzikiego czosnku. Odwrócił głowę, by się ukradkiem uśmiechnąć.

Para kawek przeleciała za otwartym oknem. Trzepotały czarnymi skrzydłami, zagłuszając krzykiem dudnienie maszyny.

- O, tam! - zawołała dziewczynka.

McCady odwrócił się w kierunku wskazywanym przez małą Jessie. Niebo było teraz puste, ale coś zaniepokoiło kawki. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Zauważył mężczyznę, który zbliżał się do brzegu morza, to znikając, to pojawiając się między skałami. Mężczyznę o masywnym torsie i splątanych włosach, który miał na sobie płaszcz górnika i drelichowe spodnie.

- Dziadek! - Mała Jessie krzyknęła głośniejszym głosem niż kawki.

- Jacky Stout - powiedziała Jessalyn. Zadrżała. McCady zdziwił się, dostrzegając strach w jej oczach.

- Kto?

- Jacky Stout. - Jessalyn przytuliła dziewczynkę do siebie, a jedną dłoń położyła na jej głowie. - Mała Jessie jest dzieckiem, które znaleźliśmy kiedyś w kopalni. - McCady, poruszony, zerknął na małą. Błada, przestraszona twarzyczka obudziła w nim wspomnienie tamtego dnia. Dziecko miało ostro zarysowany podbródek i nieco skośne, kocie oczy. Czarne warkocze sięgały prawie pasa. Przez dziurę w grubych pończochach wyzierało podrapane kolano. Wydawała się zbyt duża. Ale przecież od tamtego czasu upłynęło ponad pięć lat. - Jacky Stout jest jej dziadkiem - oznajmiła Jessalyn.

- Pamiętam go. Sądziłem, że może powieszono go za kłusownictwo.

- Nie lubię dziadka - oświadczyła mała Jessie. - Raz mnie zbił i powiedział, że jestem... ten... bękart. Mama mówi, że dziadek nadaje się tylko na szubienicę. McCady przykucnął na piętach. Teraz byli do siebie zwrócenii twarzą w twarz. A więc to była mała Jessie. Bezwiednie podniósł dłoń do jej policzka, jakby chciał sprawdzić, czy istnieje naprawdę. Może zbyt długo tamto lato wydawało się bardziej snem niż wspomnieniem.

- Wątpię, czy to był twój dziadek - powiedział łagodnie. - Raczej jakiś wścibski górnik, który przyszedł z daleka w poszukiwaniu pracy.

- Nie, właśnie że mój dziadek - upierała się mała Jessie. Spojrzał na Jessalyn i chociaż jej twarz złagodniała, w oczach pozostał cień obawy. Chciał zapytać o Jacky'ego Stouta, o to, dlaczego się go boi, choć dawniej, podczas tamtego lata, wcale się nie bała. Ale właśnie weszła do środka Emily. Jej ładna twarzyczka promieniała szczęściem. Jessalyn zaczerwieniła się i postąpiła kilka kroków w tył, jakby już sama rozmowa była czymś nieprzyzwoitym.

- Och, musicie pójść ze mną, żeby coś zobaczyć! - zawołała Emily. - Jessalyn... milordzie. - Popatrzyła na męża i rumieńce wystąpiły na jej policzki. - Musicie "tam pójść. Górnicy rywalizują o to, kto dalej rzuci stemplem. - Wymieniła uśmiech z mężem. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Pokrzykując z podniecenia, mała Jessie pobiegła do Emily, Jessalyn podążyła za nią znacznie wolniej. McCady wyprostował się, ale pozostał na miejscu. Palacz otworzył pokrywą paleniska, uwalniając sporą porcję ciepła. Dosypał węgla i płomienie strzeliły wyżej. Pod łukiem drzwi na tle niebieskiego nieba i zieleni morza stały dwie kobiety oraz dziecko. Emily powiedziała coś ze śmiechem do Jessalyn. Wstrzymując oddech, McCady czekał, kiedy w odpowiedzi rozlegnie się śmiech Jessalyn. Lecz Jessalyn się nie roześmiała.

Po tym zdarzeniu powiedział sobie, że musi trzymać się od niej z daleka. Ale miał wrażenie, że wewnątrz niego siedzi coś żywego, co musi podtrzymywać, by nie zmarło, w przeciwnym razie grozi mu powolna śmierć. Dlatego wodził za nią oczami,

wyczuwał ją wszystkimi nerwami. A kiedy dostrzegł, że oderwała się od wszystkich i podążyła samotnie w stronę klifów, ruszył za nią.

W pulsującym rytmie szybkie fale cicho połykały wąską plażę. Jessalyn siedziała na skale posiwiałej od chwastów i porostów. Usiadł obok. Zesztywniała, ale tym razem nie wyglądało na to, aby chciała uciekać. Nie było tu nikogo więcej, tylko oni oboje i rybitwy.

Tak pragnął jej dotknąć, że drżały mu dłonie. Zacisnął je w pięści między rozchylonymi kolanami.

Spostrzegł pojedynczy pierwiosnek rosnący w skalnym zagłębieniu. Zerwał kwiat, skreślił łodyżkę między palcami. Błada połówka księżyca wspinała się po wieczornym niebie. Ale nie był to błękitny księżyc.

- Pięknie i dziko tutaj - powiedziała, przerywając ciszę. - Zastanawiam się tylko, jak to wszystko będzie wyglądało za kilka miesięcy, pokryte gliną i hałdami żużlu.

Nie patrzył tam, gdzie ona, na żółtą wodę, która wypływała z szybu u podnóża klifu, brudząc piasek, wijąc się niczym strumień rozlanej farby i wpływając do morza.

Patrzył na nią. Na otaczające jej twarz loki, które przypominały płomienie obozowego ogniska nocą. Skórę tak bladą, że niemal przezroczystą. A usta... usta...

Spojrzał w dół i zorientował się, że zgniótł pierwiosnek w pięści. Otworzył dłoń i pozwolił, aby zniszczony kwiat wpadł do mętnej wody.

- Sądziłem, że ucieszysz się, kiedy otworzę kopalnię - rzekł.

- Cieszę się. Tak tylko sobie samolubnie myślę. Milczeli. Oboje przyglądali się przez chwilę, jak po skale

pędzi mała siewka z piaskowym węgorzem w dziobie. Jessalyn zaczęła się podnosić. McCady pomógł jej, delikatnie i stosownie, jak przystało na dżentelmena, chwytając ją pod łokieć. Kiedy już stanęli, wówczas mógł ją puścić, powinien był ją puścić, jednak nie uczynił tego. Czuł ciepło jej ciała przez cienkie muślinowe rękawy, wyczuwał drżenie.

- Jessalyn...

Wyswobodziła ramię z jego uścisku.

- Pragnęłabym... - Utknęła, przygryzając dolną wargę na tyle

mocno, że w skórze pozostały wgłębienia przypominające maleńkie ranki. Wpatrywał się w jej twarz. Spojrzenie szarych oczu przenikało go wzrokiem, sięgało serca.

- Czego byś pragnęła?

„Przyniósłbym ci w dłoniach gwiazdy, gdybym tylko potrafił sprawić, że znowu będziesz się śmiać”.

- Pragnęłabym, abyś dał mi spokój. Zostawił mnie i odszedł na wieki.

- Oj, Beko, Beko. Tyle masz rozumu co paw bez głowy. Beka Poole poprawiła pod szyją obszyty frędzlami szalik

i złożyła ręce na piersi. Nie nadchodził. Powiedział, że przyjdzie, chociaż pewnie wcale nie miał takiego zamiaru. Na pewno w tej samej minucie siedzi w jednym z pokojów posiadłości hrabiów i wygrzewa się przed ogniem, wychylając te swoje kieliszeczki i uśmiechając się na myśl, że ona tu siedzi samiuteńka w środku nocy, wydana na pastwę upiorom i, kto wie, może burzy.

Dotknęła swego amuletu dokładnie w chwili, kiedy wątro-biane tło nieba przeciął zygzak błyskawicy. Zerwał się silny wiatr, niosąc smak soli. Gwizdał jak przebity pęcherz świni i przychyłał do ziemi gałęzie głogu. Drzewa dzikich orzechów łopotały niczym włosy lecącej czarownicy.

Przywarła plecami do kamiennej ściany małej młeczarni, gdzie umówili się na spotkanie. Wewnątrz dojrzewały sery, a ich woń docierała do Beki na wietrze. Podobnie jak słodki zapach wody lawendowej. Spryskała ciało zawartością całej butelki, nim przebrała się w najlepszą niedzielą sukienkę. Miała nadzieję, że nie przesadziła.

Coś otarło się o jej nogi. Zdażyła zakryć sobie usta, nim krzyk wydobył się z jej gardła. Znowu ten głupi kot. Napoleon. Ledwie serce przestało jej bić jak zwariowane, zwierzę, nie wiadomo dlaczego, zaczęło zawodzić, jakby przycięło sobie ogon w pułapce na myszy.

- Cicho bądź! - szepnęła głośno, machając dłońmi w stronę kota. Na rany Chrystusa, toć przecież musiała go uciszyć. W przeciwnym razie powinna się spodziewać, że ani chybi

w dwóch podrygach zjawi się przed nią panienka Jessalyn, aby sprawdzić, co go zdenerwowało. - Jazda stąd, sio! Do łóżka!

Mały pomarańczowy kot przeciął podwórko i wskoczył od frontu na parapet. Okno musiało być uchylone, bo pchnął je łapą i dostał się do środka.

- Panno Poole!

Beka zawirowała w miejscu, niemal wyskakując ze skóry. Przycisnęła rękę do piersi, aby powstrzymać serce przed wyskoczeniem na zewnątrz. Błysnęło.

Wyglądał jak archanioł Gabriel z obrazu, który pewnego razu widziała w kościele.

Jego złociste włosy szarpał wiatr, wysoka postać o szerokich ramionach odcinała się wyraźnie na tle czerni nieba.

- Już myślałam, że w żaden sposób nie znajdę panny Beki w tę noc - rzekł, oddychając ciężko. Ubrany był lekko, tylko w koszulę. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie biegł przez całą drogę. Miała nadzieję, że nie. Bieganie miało zgubny wpływ na płuca, w szczególności gdy musiały się unosić niczym miechy przy wewnętrznych ścianach piersi. - Zwłaszcza przy tym wietrze - dodał.

- Uuuu, ten wiatr! Tak mocno wieje, że potrzeba obu rąk, żeby zatrzymać włosy na głowie.

Rozchylił usta w uśmiechu, który zalśnił w ciemności jak pstrąg. Duncan miał bardzo równe i białe zęby. Nagle uświadomiła sobie, że nieczęsto widuje, by się uśmiechał.

- Czy przypadkiem nie urodził się pan w środę? Ja przyszłam na świat we wtorek. Dzieci urodzone w środę mają pecha. A dzieci wtorkowe...

Chwycił ją pod ramię i poprowadził głębiej pod słomiany okap mleczarni. Jej serce znowu zaczęło uderzać mocniej. I biło tak szybko, że Beka obawiała się najgorszego.

- Czy zdaniem panienki Beki ja wyglądam na pechowca?

- Hm... ano czasem tak. - Podniosła wzrok na jego twarz, prawie nie mogąc złapać tchu, przejęta nagle strachem, podniecona i coraz bardziej zdumiona. Spędzała czas sam na sam z mężczyzną, który, sądząc po wyglądzie, mógłby uchodzić za księcia. I który skłaniał głowę i rozchylał wargi, jakby zamierzał ją pocałować.

I rzeczywiście. Jedynie przez chwilę trzymał usta przy jej ustach, potem zaczął poruszać nimi delikatnie, ale uporczywie,

napierając nimi mocniej i mocniej. Kiedy wieki później skończył pocałunek, Beka zaczerpnęła potężny haust powietrza, jak gdyby właśnie przed chwilą uratowała się z topieli.

- Coś takiego! - zawołała. - Dlaczego pan to zrobił?! Jeszcze raz musnął wargami jej usta.

- No bo w takim momencie aż się prosi o coś frywolnego. Naraz podniósł głowę, wciągnął powietrze przez nos. Mogło się wydawać, że zaraz kichnie. Beka miała nadzieję, że kiedy ją całował, nie zaraził się od niej reumatyzmem. Na powierzchni ust, tam gdzie jej dotknął, czuła mrowienie. Jego wargi były zadziwiającą mieszaniną miękkości i twardości. I do tego były gorące i gładkie niczym szczyt świeczki zaraz po zdmuchnięciu płomienia. Prawda była taka, że nawet spodobał się jej ich dotyk. Teraz zachodziła w głowę, jak sprawić, żeby znowu zrobił coś frywolnego.

- Chyba czuję dym - powiedział.

- He? - Wzięła głęboki oddech, marszcząc nos. Czuła zapach sera, morza, wody lawendowej... i, tak, dymu. - Może panienska Jessalyn nie mogła spać i wstała, aby przegarnąć w kominku.

Wyszedł spod daszku mleczarni. Beka podążyła za nim. Zauważyła coś dziwnego przy oknie saloniku, przez które wślizgnął się Napoleon. Jakieś pomarańczowe-swiatło, rozmyte i chwiejne za szybą.

Już miała pokazać na nie ręką, kiedy dom stanął w ogniu.

XIX

Jego gorący oddech parzył ją w kark.

Uciekała ścieżką gęsto porośniętą krzewami ostrożyny, które wybuchały jak magiczne koła sztucznych ogni, wyrzucając w powietrze strumienie iskier. Biegła i biegła, a on nadal był tuż za nią i czuła, jak gorącym oddechem spała jej skórę. Języki ognia piekielnego lizały ją po nogach, piekły, topiły ciało. Rozgrzany do czerwoności wiatr wył i trzaskał, zagłuszając jej krzyki. Mimo to słyszała głos, słowa. Słodkie obietnice, o których wiedziała, że są kłamstwami. Nie chciała się zatrzymać, nie chciała widzieć tej twarzy. Bo gdyby raz na nią spojrzała, byłaby przeklęta na wieki.

Słyszała diabelski śmiech.

„Ależ możesz na mnie spojrzeć, Jessalyn. Powiadam ci: możesz. Przecież i tak mi nie ujdiesz. Nie dasz rady. Oddałaś mi duszę, gdy miałaś szesnaście lat. I teraz ona należy do mnie. Tak, naprawdę możesz spojrzeć...”

Chwyił ją w pasie, wziął w miłosny uścisk, a w każdym miejscu, gdzie jej dotknął, wybuchały płomienie. Odwrócił ją do siebie, skąpał w oddechu jej twarz. I chociaż mocno zaciskała powieki, wiedziała, że to diabelski śmiech.

„Jesteś moja. Nareszcie moja... pocałuj mnie, Jessalyn. Połączmy się w jedno i będziesz żyła wiecznie”.

Poddała się, ustąpiła, zdradzona przez dawne moce, mroczne pragnienia. Otworzyła powieki i spojrzała na dwa słońca unoszące się na powierzchni czarnych sadzawek, parzące słońca, słońca palące. To były jego oczy, jego oczy. Oczy McCady'ego... Krzyknęła...

I obudziła się w piekle.

Ściana po przeciwnej stronie pokoju była płaszczyzną ognia. Żarłoczne płomienie lizały starą tapetę, momentalnie zamieniając ją w popiół. Czarny dym kłębił się jak pędzone wiatrem chmury. Tańczyły pomarańczowe i żółte światła, odbite w lustrze i okiennych szybach.

Usiadła, zamrużyła skonsternowana, niepewna, czy nie śni w dalszym ciągu. Po chwili poczuła ciepło, zakrzuszyła się dymem i już wiedziała, że rzeczywistość to ogień. Zrzuciła z siebie okrycie i wyskoczyła z łóżka.

- Babciu!

Zatrzymała się przy drzwiach. Dym wpełzał do środka pod progiem. Na wypolerowanej podłodze migotało niesamowite czerwone światło. Wyciągnęła rękę, ale zawahała się, nie wiedząc, co zobaczy po drugiej stronie drzwi. Oparzyła sobie dłoń o nagrzaną mosiężną klamkę. Krzyknęła z bólu i przerażenia. Drzwi się otworzyły. Ożywione świeżym podmuchem powietrza, płomienie powiększały się ze świstem.

Nagła fala gorąca pchnęła ją z powrotem, wypierając powietrze z jej płuc. Ogień z sykiem trawił czarne dębowe deski w podłodze, która pokrywała się bąbelkami niczym powierzchnia wrzącej zupy.

Przeskoczyła nad płomieniami i pobiegła po kopącym tu-

reckim dywanie do pokoju lady Letty. Ciepło napływało falami od strony klatki schodowej. Pod sufitem wisiał obłok dymu. W kuchni poniżej coś gwizdało i pękało, jak sztuczne ognie podczas pokazu w Vauxhall Gardens.

Jessalyn sięgnęła do zasuwy, spodziewając się bólu, ale chociaż metal był gorący, nie parzył. Pchnęła drzwi i natychmiast je za sobą zamknęła.

Ogień jeszcze nie dotarł do tego pokoju, ale unosił się w nim gęsty dym. Równie dobrze można by się starać zobaczyć coś przez wełnianą narzutę. Lakier z boazerii wydzieliał trujące opary, które gryzły w gardło i uniemożliwiały oddychanie.

Dławiąc się, Jessalyn po omacku ruszyła w kierunku łóżka.

Było puste.

- Babciu!

Opadła na kolana i wyciągniętymi rękami zaczęła szukać na podłodze. Babki nie było w pokoju, nie było jej, o Boże, a jeśli jednak była tu, tylko leżała gdzieś bez świadomości, dusiła się...

Strop zajął się ogniem.

- Babciu!

Jessalyn podniosła się, szlochając. Uderzyła biodrem w nocny stolik, który stał przy łóżku. Niczego nie poczuła. Bolało ją wszystko, z każdym następnym oddechem coraz mocniej.

Coś zacisnęło się na jej kostce. Krzyknęła, nim uświadomiła sobie, że to lady Letty. Pochyliła się i chwyciła starszą kobietę pod szczupłe ramiona. Pierś babki poruszała się w rytm ciężkiego, chrapliwego oddechu.

Strumienie dymu przepływały teraz pod drzwiami. Mocniej chwyciła babkę. Starsza kobieta wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni.

- Zostaw... jestem już stara...

Na stoliku stał słój z napojem słodowym. Jessalyn oderwała od skraju nocnej koszuli kawałki materiału, nasączyła je płynem i przyłożyła do ust sobie i babce. Na moment jej nozdrza wypełnił zapach słoju, lecz zaraz zastąpił go dym.

Uniosła starszą damę tak łatwo, jakby dźwigała podręczny kufer. Strach, młodość i determinacja dodały jej sił.

Trzymając w rękach niemal cały ciężar kruchej ciała lady Letty, Jessalyn przetransportowała je pod drzwi. Aby wydostać się na zewnątrz z sypialni babki, należało najpierw wyjść na

korytarz, a potem zejść po schodach. Duże, podwójne okna pokoju wychodziły na podwórze. Znajdowały się dwie kondygnacje powyżej granitowego bruku. Jessalyn miała szansę okupić skok z nich jakimś złamaniem, lecz na pewno nie jej babka. Zataczając się, szła przez języki ognia. Pochylona, ciągnęła lady Letty w stronę schodów. Paliło ją w gardle. Za każdym razem, kiedy przełykała, zdawało się jej, że połyka czysty ogień. Gorąco przenikało do płuc, przypiekało skórę. Uszy bolały od hałasu, jaki czynił żywioł - głośniejszy od wiatru, silniejszy niż najbardziej rozgniewane morze.

Wokół poręczy ogniki wiły się niczym węże, pełzały po stopniach. Jessalyn zatrzymała się, spojrzała w dół. Mogło się zdawać, że zagląda do wnętrza pieca. Ogień przypominał żywą istotę. Czerwone i żółte płomienie chwytają, a następnie trawiły drewno kawałek po kawałku, coraz jaśniejsze, gorętsze, bardziej żarłoczne. Poniżej powstawała czerwona poświata i wszystko zdawało się tonąć w niej niczym w kałuży krwi.

Lady Letty wbiła paznokcie w ramię Jessalyn.

- Tędy nie przejdziemy, moje dziecko - wykrztusiła.

Jessalyn zamrugła i wzdrygnęła się. Popatrzyła w dół i ujrzała śmierć. Panika wydusiła z niej cały zapas powietrza, jaki jej pozostał w płucach: babka miała rację, w żaden sposób żywe nie zdołają wyjść na zewnątrz przez frontowe drzwi. Teraz jedyną szansą była droga przez jej pokój. Najpierw należało dostać się na daszek, który osłaniał salonik w przedniej części budynku, co nie wydawało się bardzo trudne. Potem czekał ich znacznie dłuższy skok, ale nie na kamienie, tylko na ziemię.

Odwróciła się. Płonąca belka spadła z sufitu, z bliska mijając jej głowę. Nie zauważyła tego. Znowu oparzyła dłoń o klamkę, lecz tym razem nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Staroświeckie łóżko, w którym spędziła ostatnią noc i w którym przespała wszystkie noce swojego dzieciństwa, stało się teraz stojącym w ogniu łatwo palnym stosem. Oparła lady Letty o ścianę pod oknem, jedyną ścianę, której nie trawił ogień. Posługując się krzesłem jak taranem, rozbiła drewnianą ramę i grube szkło. Odgłosy pożaru zagłuszyły brzęk tłuczonego szkła.

Dźwignęła babcie na parapet, następnie na daszek. Potem zawróciła z niejasną myślą o dostaniu się na poddasze, aby ratować Bekę. Nagle drzwi wyleciały w powietrze i płomienie

wdarły się do pokoju, jakby pochodziły z paszczy ziejącego ogniem smoka. Uderzyła w nią fala gorącego powietrza, spychając na roztrzaskane okno. Szlochając i dławiąc się, Jessalyn wyszła na zewnątrz, poruszając się na czworakach po chropowatych cedrowych gontach. Skaleczyła się przy tym o rozbite szkło, ale nie zauważyła tego.

Stały obie, trzymając się tępego grzbietu łagodnie opadającego dachu, i oddychały świeżym, chłodnym powietrzem. Wiatr szarpał włosy Jessalyn i jej porozdzieraną koszulę nocną. Poniżej w saloniku płonął ogień, a cienkie cedrowe deszczułki pod stopami były już rozgrzane i z każdą chwilą nagrzewały się coraz bardziej.

Wiedziała, że to kwestia sekund, nim drewno dachu zacznie się palić.

Kątem oka zauważyła jakieś poruszenie w zagrodzie, usłyszała swoje imię, które natychmiast porwał i poniósł wiatr.

- Beka! - chciała krzyknąć, lecz była taka wstrząśnięta, że zdołała tylko zachrypieć. - Podaj drabinę! Ze stajni!

Beka wołała i na coś pokazywała. Jessalyn zobaczyła, że przez otwarte drzwi stajni wybiega galopem Rozwaga - jedyny koń mieszkający w End Cottage - a za nią podąża jakiś mężczyzna z drabiną pod pachą. Usłyszała skwierczenie i poczuła na nogach nową falę ciepła. Sufit saloniku zajmował się ogniem.

Po chwili ów mężczyzna był już przy niej na płonącym dachu i odbierał z jej rąk lady Letty. Duncan, sługa hrabiego.

Zeszła za nim po drabinie. Nagimi stopami dotknęła twardego gruntu, wilgotnego i chłodnego. Dygotały jej nogi. Zakręciło się w głowie. Niewiele brakowało, a runęłaby na ziemię.

- Panienko Jessalyn! - wrzasnęła Beka, chwytając ją wpół. - Ojej, panienko Jessalyn, niechże panienka tylko nie zemdleje. Chodźmy gdzieś w bezpieczne miejsce.

Duncan przeprowadził lady Letty do zagajnika, gdzie nie było popiołu i dymu, gdzie rosły dzikie orzechy i głóg. Podtrzymywana przez Bekę, Jessalyn poszła ich śladem.

Duncan oparł lady Letty plecami o pień drzewa. W czerwonej poświacie ognia twarz starszej kobiety wyglądała tak, jakby wymazano ją krwią. W czepku ze złotymi frędzlami wyglądała naprawdę makabrycznie. Uklękawszy obok, Jessalyn dotknęła pomarszczonego policzka.

- Dobrze się czujesz, babciu?

Lady Letty jeszcze raz spojrzała na płonący dom, potem odwróciła głowę w bok.

- Umieram... - Zakrztusiła się. Kiedy nabierała powietrza w płuca, jej pierś drgnęła konwulsyjnie. - Powinnaś była mnie zostawić, abym umarła.

Łzy spłynęły z piekących oczu Jessalyn. Siedziała na piętach, kołysząc się miarowo i płacząc.

- Och, babciu...

Kolejny atak kaszlu wstrząsnął ciałem lady Letty.

- Starsza dama połknęła sporo dymu - powiedział Duncan do Jessalyn, lecz ona zdawała się nie słuchać. Kołysała się tylko miarowo to w przód, to w tył, roniąc łzy w przerażającej ciszy. Wyprostował się, położył swoje ciężkie dłonie na ramionach Beki Poole i odwrócił ją do siebie.

- Potrafisz szybko biegać, dziewczyno? Beka ciężko przełknęła i skinęła głową.

- Zatem biegnij po doktora.

Utkwiwszy w jego twarzy zdumiony wzrok, znowu skinęła. Pochyliwszy się, złożył na jej ustach szorstki i mocny pocałunek, po czym odwrócił ją w drugą stronę i lekko pchnął.

- Ruszaj, moja mała.

Beka pobiegła wzdłuż klifów dokładnie w chwili, gdy na ścieżce od strony posiadłości Caerhaysów pojawił się galopujący koń. Przez chwilę mogło się wydawać, że hrabia pogna zwierzę prosto w ogień. Ale przerażony rumak stanął dęba tak gwałtownie, że nie zdołał utrzymać się na tylnych nogach. Runął na ziemię. Hrabia stoczył się z nagiego grzbietu konia. Zerwał się na równe nogi, odrzucił do tyłu głowę i ryknął jak szaleniec:

- Jessalyn!

Duncan dopadł hrabiego akurat w porę, aby powstrzymać go przed skokiem w pochłaniające dom płomienie. Chwycił Caer-haysa wpół. McCady miał na sobie jedynie buty i bryczesy. Palce sługi zagłębiły się w twarde ciało, rozgrzane i śliskie od potu.

- Nie ma jej tam, człowieku. Jest bezpieczna. Spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na Duncanie. Były to oczy szaleńca, w których odbijały się płomienie. Hrabia odchylił głowę, zacisnął powieki, a jego pierś drgnęła, jakby powstrzymywał szloch. Albo jęk.

Dał się słyszeć jakiś pisk. Duncan odwrócił się i spojrzał do góry. Mały pomarańczowy kot stał na najwyższym punkcie dachu, wyjąc ze strachu i furii.
- Napoleon.

Jessalyn mknęła od strony drzew. Zanim wszyscy pojęli, co zamierza, była już w połowie drabiny. Duncan pierwszy ją dogonił i ściągnął w dół. Uderzała na oślep rękoma, szlochając histerycznie. Wziął ją w ramiona, usiłując uspokoić. Kot nie przestawał piszczeć.

Po drabinie ruszył Caerhays.

- Sir, nie! - Duncan odepchnął od siebie Jessalyn i zdążył chwycić hrabiego za but. Caerhays odepchnął go kopnięciem w tors. - Na miłość boską, sir! - zawołał Duncan, kiedy hrabia wspiał się na ostatni szczebel. - Przecież to tylko kot. Lord Caerhays odwrócił się i wykrzywił usta w uśmiechu, który wyrażał młodzieńczą beztroskę i brawurę. Ku własnemu zdumieniu Duncan poczuł, że sam szczyrzy zęby w odpowiedzi.

- Tam do licha, ona kocha tego zwierzaka - odparł Caerhays. Ruszył w górę płonącego dachu, szukając skórzanymi podszwami podparcia na pękających i spalonych gontach. Ugiął nogi w kolanach, wziął zamach i skoczył. Koniuszkami palców uchwycił się gzymsu, odczekał trochę, potem podciągnął nogi i wy dostał się na wyższą część dachu.

Płomienie i dym wirowały wokół. Wydawało się niemożliwe, aby nie dopadł go ogień. Właśnie wtedy coś się otworzyło w Jessalyn. W jednej chwili się otrząsnęła. Otworzyła szeroko oczy, pojawiając, na jakie niebezpieczeństwo narażał się z jej powodu mężczyzna, którego kochała.

- McCady, nie! - krzyknęła. - Wracaj. Prawdopodobnie wcale jej nie słyszał.

Wspinał się w górę

płonącego dachu, rozłożywszy ręce i nogi jak krab. Zmierzał do szczytu ku ostro zakończonej krawędzi. Wyciągnął rękę po Napoleona, ale przestraszony kot wymknął się spod jego dłoni. Niebezpiecznie balansując, McCady wyprostował się i zaczął iść wzdłuż szczytu. Jego wysoka, barczysta sylwetka odcinała się wyraźnie na tle nieba, które jaśniało pomarańczowo jak podczas wschodu słońca. Napoleon przykucnął, przygotowując się do skoku na ozdobiony ornamentami komin.

McCady roześmiał się i złapał kota za kark dokładnie w tej samej chwili, kiedy

kalenica i krokwie załamały się pod nim. Zniknął w kłębowisku płomieni.

- McCady! - krzyknęła Jessalyn, gdy zakryły go płomienie, strzelając pod niebo. Wbiła paznokcie w rękę, która ją więziła. -McCady! - krzyknęła znowu, czując, jakby jednocześnie odrywały się jej płuca. Chciała rzucić się w ogień, umrzeć z nim. Dokuczał jej tak dotkliwy ból, że nie mogła tego znieść. Odwróciwszy głowę, jak gdyby wystarczyło nie patrzeć, aby nie cierpieć, skryła twarz w szorstkim płótnie koszuli Duncana.

Mogło się zdawać, że minęła wieczność; potem poczuła, że Duncan drgnął, i usłyszała dudniące echo jego głosu.

- Dzięki Bogu.

Podniosła głowę. McCady Trewlany wyłonił się z ognia jak upadły anioł, który wychodzi z bram piekieł. Przechodził przez coś, co było kiedyś oknem jej sypialni, i starał się utrzymać przy sobie drapiącą, gryzącą i miauczącą kulkę nadpalonego pomarańczowego futerka.

Kiedy schodził po szczeblach drabiny, czekała na niego, śmiejąc się i płacząc.

Podszedł i podał jej kota niczym trofeum po wygranym turnieju. Lecz Napoleonowi i to się nie spodobało. Drapiąc i sycząc, wyskoczył w powietrze, po czym popędził między drzewa.

Jessalyn przesunęła poparzonymi dłońmi po nagim torsie i ramionach McCady'ego, dostrzegając krwawe ranki po pazurach kota i oparzeliny.

- Ty głuptasie, zobacz, co ze sobą zrobiłeś.

Przytulił ją do siebie i oboje odwrócili się, aby zobaczyć, jak ogień trawi to, co pozostało z End Cottage. Ładny mur z żółtych i czerwonych cegieł przewrócił się do wewnątrz, wzbijając ku niebu ostatni słup płomieni. Wyblakła purpurowa sofa, na której zasiadała jej babka do popołudniowej herbaty, krzesło w kształcie ula, pod którym w kuchni przy piecu Peaches karmiła swoje kocięta, dziewczęcy słomkowy czepek przybrany bukiecikiem żółtych pierwiosnków - wszystko to przestało istnieć, zmienione w popiół i wspomnienia.

Oparła się o jego twardy jak skała tors i czerpała stąd moc. Potem miała żałować, że znalazła się w jego ramionach, że dotykała go. Lecz teraz nie było to ani pożądanie, ani namiętność. Potrzebowała jedynie pocieszenia.

Otrzymała je od niego, kiedy, otoczona silnymi ramionami McCady'ego, przyglądała się, jak w płomieniach umiera jej dzieciństwo.

Głos Jessalyn był zaledwie ochrypłym szeptem.

- Ktoś podłożył ogień? Ale komu mogło zależeć na podpaleniu End...

Gwałtowny atak kaszlu wstrząsnął jej piersią. Przysłoniła usta wilgotną chustką.

Delikatne palce odgarnęły włosy z jej twarzy.

- Proszę, wypij to - powiedział McCady.

Pojawiła się przed nią szklaneczka brandy trzymana dłonią, która, podobnie jak jej dłoń, pokryta była pęcherzykami.

Wzięła szklanke, nie patrząc mężczyźnie w oczy. Ich palce dotknęły się. Jessalyn pospiesznie cofnęła rękę, bo za bardzo przytłaczał ją bliski kontakt z tym człowiekiem.

Przełknęła potężny łyk brandy i znowu niemal się udławiła. Mocny trunek palił gardło, ale już po chwili pomógł jej się nieco odprężyć. Upiła jeszcze jeden łyk.

- Rodzina Lettych mieszkała tu od pokoleń, z nikim się nie wadząc - zachrypiała. - Nikt nie miał powodu, aby spalić nasz dom.

- Duncan twierdzi, że kiedy zauważył ogień, jakiś mężczyzna czaił się przy kuchni. Miał potargane włosy, strój górnika i był okazałej postury.

Jessalyn powstrzymała drżenie, otulając się wełnianym kocem, który otaczał jej ramiona jak peleryna. Pod spodem miała na sobie jedynie koszulę nocną, w wielu miejscach poprzecieraną, podartą i popaloną. Co jakiś czas musiała sobie przypominać, że jest teraz bezpieczna. Znajdowała się w niedawno odnowionej bibliotece rezydencji hrabiów Caerhaysów. W pokoju panował chłód, ale w kominku nie płonął ogień. Gospodarz nie polecił rozpalić.

Nadal czuła dym; nasiąknęły nim jej włosy i skóra. Każdy centymetr jej ciała pulsował bólem, ale najbardziej bolały dłonie. Podeszła do wysokich francuskich okien, które wychodziły na północ, na End Cottage. W każdym razie dawniej wychodziły. Dym sięgał brzuchów ciemnych i ciężkich chmur zawieszonych nisko pod porannym niebem. Wiatr ciskał krople deszczu o szy-

by i rozmazywał widok przed oczami Jessalyn. Zbyt późno zaczęło padać. Odwróciła się od okna. Nalała sobie kolejną porcję brandy z kryształowej karafki. Kiedy odstawiła naczynie na mahoniowy stolik, w ciętym kryształach odbiło się nagle światło świecy. Wzdrygnęła się, nogi zaczęły jej drżeć i osunęła się na stojące najbliżej krzesło. Niepewną ręką podniosła do ust szklanekę, rozlewając brandy na koc i perkalowe obicie.

Ojej, nie wolno mi plamić nowych mebli Emily - pomyślała, ledwie powstrzymując histeryczny chichot.

W pokoju panowała cisza. Słyszała tykanie pozłacanego zegara, który stał na kominku, i dzwonienie deszczu o szyby. McCady Trewlany zjawiał się jak demon, aby ją ratować. Miał na sobie tylko bryczesy i buty. Teraz stał obok niej, półnagi, i czuła ponętne ciepło jego ciała. Przypominał ogień: niebezpieczny, niszczycielski, piękny.

- Jessalyn! - Dotknął jej ramienia i znowu się wzdrygnęła. Nadpalone kosmyki włosów opadły jej na oczy. Odgarnęła je ręką. Nie potrafiła sprawić, aby przestały jej drżeć dłonie. Zmieszanym wzrokiem rozejrzała się po pokoju.

- Czy możesz mi powiedzieć, co Duncan robił w End Cottage?

- Poszedł z wizytą do twojej służącej i... Gwałtownie podniosła głowę.

- Z wizytą? Do Beki? O północy? Nie pozwolę na to, milordzie. Beka jest dziewczyną dobrą i przyzwoitą. Żadną tam flądą, którą twój lokaj mógłby wykorzystać. Muszę z niepokojem przyznać, że jest on mężczyzną za bardzo przystojnym, aby mu pozwolić krążyć swobodnie po okolicy...

- Do licha, Jessalyn. Pozbierasz się wreszcie do kupy i poświęcisz nieco uwagi temu, co mam ci do powiedzenia?

Odwrócił się od niej i usiadł w skórzanym fotelu, który stał za ciężkim bibliotecznym stołem. Wyciągnawszy nogi, splótł dłonie za głową. Rozchylił na zewnątrz łokcie, odsłaniając zmysłowe i tajemnicze cienie włosów pod pachami. Płomyki świec odbijały się od warstwy potu na jego ciele.

Ktoś powinien powiedzieć mu, że hrabia nie może mieć takiego torsu - pomyślała Jessalyn. Masywnego i umięśnionego jak u jakiegoś tragarza z Bilingsgate.

Powędrowała wzrokiem

po jego ciemnej twarzy o wystających kościach policzkowych i aroganckim rysunku ust. Wizerunek ten prześladował ją dniami i nocami.

Świat wokół niej zawirował. Zamrugła. Brandy uderzyła jej do głowy. Oderwała od niego wzrok, udając, że naraz zafascynował ją niebieski motyw na słoju z tabaką, stojącym przy nich na stoliku.

- Słyszę, co mówisz, milordzie. Ogień podłożył Jacky Stout. Na pewno on. Przed dwoma laty przyłapano go na kłusowaniu. Skazano go na wygnanie, ale to więzienie na okręcie w Plymouth jest jak sito. W każdym razie od tamtego dnia, kiedy znaleźliśmy w kopalni małą Jessie, Jacky na pewno mnie obwinia za wszystkie swoje niepowodzenia. Jest przekonany, że ja doniosłam na niego do łowczego. Jessalyn wyobraziła sobie, że Jacky Stout kręci się po okolicy i w końcu przychodzi podłożyć morderczy ogień. „Jeszcze dostanie za swoje! - wołał, gdy go zabierano. - Dostanie za swoje, ta suka od Lettych!" Wówczas nie przywiązywała większej wagi do tych pogrozek. I nadal nie chciała wierzyć, że Stout wrócił do Kornwalii, aby siał tak straszne spustoszenie.

McCady wstał, obszedł stół i zaczął się do niej zbliżać. Znieruchomiała w oczekiwaniu. Czula w piersi taki ciężar, że ledwie mogła oddychać.

- Może i masz rację co do Stouta - powiedział. - Postaram się to sprawdzić.

Tymczasem powinnaś się położyć. Przeżyłaś wstrząs i...

Poderwała się tak gwałtownie, że zachwiało się krzesło, na którym siedziała. Stała blisko McCady'ego. Prawie się dotykali.

- Nie mogę tu zostać żadną miarą! - krzyknęła. Zakrztusiła się przy ostatnim słowie. Westchnął niecierpliwie. Czula, że unosi się jego pierś.

- Słyszałaś, co powiedział doktor. Twoja babka nawdychała się dymu i ma przekrwione płuca. Powinna zostać w łóżku najmniej dwa tygodnie.

Owszem, Jessalyn słyszała to, ale nie chciała myśleć o konsekwencjach lekarskiej diagnozy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by to było mieszkać w jego domu, gdzie mogła się na niego natknąć niemal w każdej chwili. W tym domu, rodowej posiad-

łości hrabiego. Rozejrzała się po gustownie umeblowanym pokoju. Minione lata nie zniszczyły pięknej dębowej podłogi, przykrytej teraz czerwono-szarym dywanem. Uzupełniono brakujące szyby i zawieszono kremowe zasłony z wybornego jedwabiu. Kominek zaopatrzono w nowoczesne stalowe palenisko. Emily całkiem przyjemnie urządziła dla nich ten dom - pomyślała Jessalyn. Przedtem McCady właściwie nie miał domu. Emily była dobrą żoną.

Jessalyn czuła się przytłoczona ciężarem smutku. Sądziła, że jej uczucia wobec McCady'ego nie zmieniają się już nigdy. Tylko że teraz wszystkie one wydawały się niemoralne, nieprzyzwoite i nie na miejscu. Czegoś pragnęła, na coś czekała, ale nigdy nie mogła tego mieć, nie powinna tego mieć. Tak, była przygnębiona coraz bardziej.

- Już nic więcej złego cię nie spotka, Jessalyn. Nie pozwolę na to. - Zaczął unosić rękę, jak gdyby zamierzał sięgnąć po nią, przyciągnąć do siebie, ale w końcu się rozmyślił. - Byłoby mi łatwiej chronić cię, gdybyś zatrzymała się w mojej posiadłości.

Odetchnęła głęboko, starając się sprawić, żeby przestało tak bardzo ścisnąć ją w gardle.

- Nie mam żadnych ubrań - powiedziała nagle. Dotarł do niej ogrom straty i szloch zaczął wydzierać się z jej piersi.

Położył dłoń na jej plecach i pchnął lekko do przodu. Jego dotyk parzył bardziej niż ogień. Nie mogła tego znieść.

- Chodź - rzekł. - Emily przygotuje dla ciebie sypialnię i urządzi kąpiel. Znajdzie jakieś ubranie. Potem, jak odpoczniesz, pomyślimy, co dalej robić.

- Zdaje się, że nie mam wielkiego wyboru, prawda? - odparła drżącym głosem. Przy drzwiach zatrzymała się i wyswobodziła spod jego ramienia. - Powiedz swojemu słudze, aby trzymał się z daleka od Beki.

- Duncan nie należy do mężczyzn wykorzystujących wrażliwość niewinnych dziewcząt.

- Jeśli dopuści do tego, aby ona zakochała się w nim, kiedy w rzeczywistości wcale nie będzie pragnął jej miłości, wtedy wyrządzi jej krzywdę.

Nim odwróciła się, miała satysfakcję dostrzec, że cierpienie ściąga mu twarz.

Jeszcze doszła do schodów, potem zemdląła. I nie mogła już zauważyć, że zdążył ją pochwycić i uchronić przed upadkiem na podłogę. I nie poczuła, że ją pocałował. Nie w usta, lecz w czoło.

Znad morza jedna burza nadciągała za drugą. Czas płynął znacznie wolniej niż piasek przez stojącą na ambonie godzinową klepsydrę wielebnego Troutbecka. Jessalyn spacerowała tam i z powrotem przed gasnącym ogniem, zbyt niespokojna, by zasnąć. W ciągu ostatnich dwóch dni pobytu w rezydencji hrabiego Caerhaysa udawało się jej unikać spotkań sam na sam z gospodarzem. Ponieważ skarżyła się na nieustanny ból głowy, wszystkie posiłki przynoszono na tacy do jej pokoju. Natomiast popołudnia spędzała przy łóżku babki. Ale i to nie pomagało. O jego obecności przypominało jej wszystko, a to zapach mydła do golenia, jaki unosił się w korytarzu po drugiej stronie drzwi od jego sypialni, to krawat pozostawiony bez troski na słupku balustrady, a to głęboki tembr jego głosu, który dobiegał z zagrody dla koni.

Wiatr smagał dom. Płomienie świec chygotały wewnątrz szklanych kul, bordowe zasłony przy wielkim łożu szeleściły, jakby je poruszała niewidzialna ręka. W pokoju krążyły prądy wilgotnego powietrza, chociaż przed drzwiami i oknami ustawiono wyszywane chińskie parawany z jedwabiu.

Jessalyn zadrżała, ściągając wokół szyi ocieplany kołnierz pożyczonej nocnej koszuli. Podeszła do aksamitnych zasłon przy oknie, pragnąc wyrzucić w sztormową noc. Niewiele zobaczyła w dzikim, pozarastanym ogrodzie. Morska piana, niesiona wiatrem od morza, pozostawiła na szkle skorupę soli, która przypominała powierzchnię peklowanych śledzi. Woda uderzała o szyby. W End Cottage przy takiej pogodzie musiały na parapetach rozkładać szmaty, aby zatrzymać przecieki. Przypuszczała, że podobnie jest w pozostałej części posiadłości. Do tej pory odnowiono tylko część jednego skrzydła budynku. Zdaniem Jessalyn koszty remontu musiały być tak znaczne, że przyprawiłyby o zawrót głowy nawet bogatego człowieka. A to dlatego, że rezydencja niszczała zbyt długo.

Projekty wszystkich zmian pochodziły od Emily. Poza tym

wszędzie jej było pełno. I chociaż Jessalyn starała się unikać gospodarza, mimo wszystko szukała towarzystwa jego żony.

Tego popołudnia spotkała Emily w salonie. Żona lorda układała zonkile i dzwonki w wazonie z mlecznobiałego szkła. Wyglądała na delikatną w migdałowozielonej sukni z owczej wełny, luźnej w stanie ze względu na ciążę. Jej krótkie srebrzyste loczki mieniły się w słonecznym świetle wpadającym przez perkalowe zasłony, jak smagana przez wiatr powierzchnia jeziora.

Jessalyn mówiła sobie, że jest niemądra, ale czuła się jak matrona w fioletowobrazowych barchanowych strojach pożyczonych od żony zarządcy Babbage'a, jednej z najwyższych kobiet w hrabstwie. Sukienka wisiała na niej niczym wilgotny żagiel, a obszyty brzeg spódnicy dzieliły od krawędzi pantofelków Jessalyn najmniej trzy cale.

Emily uśmiechnęła się ciepło i przyjaźnie, kiedy Jessalyn stanęła w drzwiach do salonu, niepewna, jak zostanie powitana.

- Jessalyn! Wierzę, że ból głowy przestał ci już dokuczać. - Emily wróciła do układania. Podniosła żółty jak słońce kwiat. - Te wiosenne deszcze czynią prawdziwe spustoszenie wśród kwiatów w ogrodzie. Któregoś dnia będę musiała zrobić porządek na werandzie. Ale to sprawa przyszłości.

Jessalyn weszła do pokoju, w którym przeważały łagodne barwy ochry i cytryny. Meble były mieszanką rozmaitych stylów, ale w jakiś sposób pasowały do siebie.

- Już teraz można powiedzieć, że dokonałaś cudów w tym domu - zauważyła.

Emily zarumieniła się. Postawiła wazon z kwiatami na wąskim stoliku między parą srebrnych świeczników.

- Większość tych mebli pochodzi z poddasza domu mojej matki.

Jessalyn przyszło na myśl, że wie wszystko o łowieniu sardeli i tresowaniu koni, lecz do prowadzenia i urządzania domu nie ma talentu. Wprawdzie Emily była córką handlarza zbożem, ale znacznie bardziej nadawała się na żonę hrabiego niż Jessalyn.

- Obecnie nie możemy sobie pozwolić na wiele - powiedziała Emily głosem słodkim i melodyjnym. Jakby całkowicie nie dbała o to, że cały świat wiedział o katastrofalnym stanie finansów jej męża. A jednak Jessalyn dostrzegła, że dziewczyna nerwowo skubie frędzle chusty, która okrywa jej ramiona. - Caerhays

powiada, że już wkrótce Wheal Patience zacznie przynosić dochody. Spodziewa się przyływu gotówki, którym chce spłacić odsetki od olbrzymiej pożyczki na budowę kolei.

- Przecież jest jeszcze dziecko. - Jessalyn nie mogła się powstrzymać, aby o tym nie przypomnieć. - Kiedy się urodzi, twój ojciec przekaże wam pieniądze.

Emily położyła dłoń na powiększonym brzuchu.

- Ach, rzeczywiście. Założywszy, że się szczęśliwie urodzi i będzie chłopcem.

Chociaż nie pogodziłabym się z tym, że wtrącają hrabiego do więzienia. I poza tym wolałabym, by nie musiał korzystać z tej formy ocalenia. Jest człowiekiem bardzo dumnym. Cieszyłabym się, gdyby zdołał poradzić sobie sam. - W smutnych niebieskich oczach, które spoczęły na Jessalyn, była troska i tęsknota. - Jestem pewna, że nie należy do tego gatunku mężczyzn, którzy żenią się dla pieniędzy. Wprawdzie twierdzi, iż to jest zgodne z tradycją Trewlanych, ale opowiada o tym z taką goryczą w głosie...

Emily zastygła na odgłos kroków na kamiennej posadzce korytarza. Rumieńce spływały na jej policzki. Zdawało się, że wstrzymuje oddech. Potem obie usłyszały głęboki, dudniący głos Duncana i w odpowiedzi chichot B-eki.

- Ojej! - wykrzyknęła Emily, lekko wzdychając. - Myślałam, że to może... Caerhays pojechał do Penzance pracować nad tą swoją drogocenną maszyną. Wczoraj coś mu tam dostarczono dyliżansem z Birmingham. Zdaje się, że miedziane rury czy coś w tym rodzaju. I tak nie mam zielonego pojęcia, do czego by to miało służyć.

Twarz Emily wyraźnie ożywiła się, kiedy mówiła o lordzie. Raz po raz zerknęła na drzwi, jakby nadal miała nadzieję, że się w nich pojawi, chociaż nie należało się go spodziewać.

Jessalyn wyobraziła sobie, jak małżonkowie podczas śniadania rozprawiają o jego wynalazkach. Albo jak spacerują plażą przy Crookneck Cove, gonią rybitwy i fale. Śmieją się, gdy on obiecuje, że Emily będzie jedną z pierwszych osób, które odbędą przejażdżkę jego lokomotywą. Może właśnie nocą szepcze o swoich marzeniach, prosi, by dzieliła je z nim, i jednocześnie

trzyma ją w ramionach, a ona dotyka ciała swojego męża, obcuje z jego duszą. W takich chwilach Jessalyn odrywała wzrok od pogodnej i ślicznej twarzy Emily, ponieważ nie mogła znieść tych myśli.

Mimo wszystko teraz, w środku deszczowej i wietrznej nocy, powracały do niej nieproszone, niechciane, nie do zniesienia: Emily w ramionach McCady'ego, dotyka go, dotyka...

Odepchnęła się od okna. Naraz zapragnęła poczuć na twarzy furię deszczu, pozwolić, by ją wchłonał mrok nocy, wysmagał wiatr. Chciała rozłożyć ramiona, wziąć sztorm w objęcia i dać się oczarować.

Zrzuciła nocną koszulę i włożyła zgrzebną sukienkę pani Bab-bage, nie troszcząc się przy tym ani o bieliznę, ani o gorset. Nie miała peleryny, lecz wiedziała, że w kuchni znajdzie nieprzemakalne buty i sztormowe okrycie. Bez tego nie ruszyłyby się z domu żaden Kornwalijszyk. Wziąwszy świecznik, wyszła na korytarz.

Tylko pojedyncza lampka oświetlała wyłożone orzechową boazerią przejście.

Jessalyn minęła drzwi do sypialni Emily, następnie zaś do jego sypialni. Wzorem wszystkich nowoczesnych małżeństw nie dzielili wspólnego łóża. Przystanąła pośrodku holu, nadstawiając uszu, nasłuchując, czy zza starej żelaznej balustrady przed jego sypialnią nie dobiegną słowa lub odgłos kroków.

Naraz drzwi się otworzyły. Przestraszona, nieomal upuściła świecę. Prysnał rozgrzany wosk i sparzył jej dłoń. Patrzyła na Trewlany'ego szeroko otwartymi oczami, ssąc piękący fragment skóry między palcem wskazującym a kciukiem. Pokój za jego plecami tonął w mroku, rozświetlony jedynie migoczącym pomarańczowym blaskiem ognia z kominka. Na jego twarzy kładły się ostre cienie. Do pasa był nagi. Wypukłości i zagłębienia torsu ginęły nieco pod ciemnymi loczkami. Stał, tak mocno napierając ręką na węgar, że pod skórą wyraźnie zarysowały się żyły. Wyobrażała sobie, jak ta moc spływa na nią przez dotyk jego dłoni.

- Ciągle jeszcze nie śpisz? - posępny głos zdradzał nastrój, w jakim się znajdował. - Sądziłem, że cierpisz na ból głowy.

Odetchnęła głęboko.

- Chciałam się wybrać na przechadzkę wzdłuż zatoczki.

- Dzisiaj jest tam wysoka fala. Woda uderza w klify i nawet nie ma co marzyć, aby przejść po plaży suchą nogą. Powinnaś odstąpić od swojego zamiaru.

Postąpił krok w jej kierunku. Woda ściekała z jego długich, zmierzwionych na wietrze włosów. Wilgotne skórzane spodnie kleiły się do ciała, śliskie i połyskujące jak futro fok.

Zwilżyła wargi, przełknęła.

- Widzę, że walczyłeś trochę ze sztormem. - Nie odpowiedział. - Hm, może więc poczytam. Czy mogłabym dostać od ciebie jakąś książkę?

Wzruszył ramionami. Pod skórą torsu drgnął mięsień.

- Oczywiście.

Odwróciła się i majestatycznie, z godnością ruszyła wzdłuż korytarza w kierunku schodów. Lecz w środku coś w niej kipiało i pieniało się. Stare drewno skrzypiało jak suche kości pod każdym jej stąpieniem.

Przystanąła i odwróciła się tak gwałtownie, że prawie na nią wpadł. Chwycił ją za ramię. Natychmiast go odepchnęła, ale nie dość szybko. Musiała chwilę odczekać, nim zdołała wykrztusić słowa:

- Sama potrafię zejść po schodach. Milczał. Kiedy zaczęła schodzić, ruszył za nią.

Otworzył przed nią drzwi biblioteki i stanął na progu, tak że musiała przejść obok, ocierając się o jego obnażoną pierś. Pachniał deszczem i garbowaną skórą. Stwardniały jej brodawki, nagie pod skromnym odzieniem. Przesunęły się boleśnie po szorstkim płótnie. Nigdy bardziej niż teraz nie była świadoma swojego ciała. Miała wrażenie, że jest rozpalona, jak gdyby jej ciało spuchło i nie mieściło się już w dotychczasowej powłóce.

Zapalił mosiężną lampę, która stała na masywnym sekretarzyku. Pod nią w nieładzie piętrzyły się papiery. Zauważyła, że było to zestawienie kosztów prowadzenia Wheal Peace, wypełnione czerwonym atramentem. Nalał do szklanki brandy, opróżnił ją. Znowu sobie nalał. Z ożywczym trunkiem podszedł do pieca i dosypał węgla. Płomienie skoczyły w górę komina, rozjaśniając pokój i nadając skórze McCady'ego złocisty poblask. Teraz wyraziście, jak nigdy wcześniej, dostrzegła w nim mężczyznę. Silne, ale cienkie ścięgna jego opalonych dłoni. Sposób, w jaki jego nagi tors wznosił się i opadał podczas każdego

oddechu. I to, jak skórzane bryczesy przywierały do szczupłych bioder i długich, sprężystych ud.

Niespodziewanie się odwrócił. W licznych płaszczyznach jego szklanki zatańczyły odbite płomienie. Uniósł brew, milcząco składając propozycję.

Zaschło jej w gardle. Zanim mogła cokolwiek wykrztusić, musiała przełknąć.

- Nie, dziękuję.

Postąpił krok w jej stronę, lecz ona obeszła go z daleka, jakby na swej drodze zobaczyła węża. Stała za biurkiem i wydawała się zafascynowana zawartością półek z książkami, które były w większości puste.

Jego głos dobiegał z tyłu.

- Nie mamy tutaj żadnej kolekcji, przykro mi. Ród Trewla-nych nigdy nie miał szczególnego pędu do wiedzy, a te książki, które były, doskonale nadawały się do upłynnienia, kiedy ktoś z rodziny tonął w długach i akurat był w wielkiej potrzebie. Podniosła głowę i ujrzała jego odbicie w podzielonym na prostokąty szkłe drzwiczek. Twarz miał posępną i zamyśloną. Ich spojrzenia się spotkały. Jessalyn bezwiednie wstrzymała oddech. Na zewnątrz wiatr zawodził i deszcz gwałtownie bębnił o szczelnie pozamykane okiennice.

McCady sięgnął na półkę. Wyciągnął pierwszy z brzegu tom, cienki i oprawiony w skórę. Nawet nie sprawdził tytułu.

Odstawił kieliszek z taką siłą, że szkło aż zadźwięczało. Kiedy się odwróciła, znalazł się bezpośrednio przed nią, zagradzając odwrót. Postąpiła kilka kroków w tył, póki nie natrafiła plecami na ostry kant sekretarzyka. Jej imię, niesione gorącym oddechem, zginęło w zawrocie wiatru.

Strumyki wody spływały mu z włosów na ramiona i tors. Połyskiwały na nagim ciele, skręcały włosy w małe loczki wokół brodawek. Spływały po wystęпах mięśni i układając się w trójkąt, śladem ciemnej strzały ginęły pod pasem obcisłych, nisko zsuniętych spodni, których dwa górne guziki były niedbale rozpięte.

Czym prędzej uciekła spłoszonym wzrokiem ku jego twarzy.

Kiedy zrobił krok w jej kierunku, z jej ust wydobył się cichy, tęskny jęk. Wykrzywił usta w bezlitosnym grymasie, a w jego dotychczas ponurych oczach zalśniły dwa jaskrawe słońca. Pach-

niał brandy i płonął najpierwotniejszą żądzą. Ledwie kontrolowana namiętność zdawała się sycić powietrze niczym fale gorąca z kowalskiego pieca. Jak gdyby był dzikim zwierzęciem, nazbyt długo trzymanym w klatce i właśnie uwolnionym z zamknięcia.

Posiądzie mnie - pomyślała - posiądzie mnie tutaj na podłodze biblioteki. To nic, że jego żona jest teraz na górze. Podejrzewała, że posiądzie ją gwałtownie i żarliwie, weźmie ją jak mężczyzna kobietę, której pożąda.

A ona mu na to pozwoli.

Nagle odwrócił się na pięcie. Drżał. Z trudem wydobywał słowa.

- Odejdź stąd, Jessalyn. Natychmiast.

Jessalyn uciekła z biblioteki i zatrzymała się dopiero we własnej sypialni, gdy zamknęła drzwi na zasuwę. Oparła się o ścianę. Ciężko oddychała.

Nic się nie wydarzyło. Przecież nawet jej nie dotknął, tylko mówił do niej i patrzył. Mimo to czuła się zgwałcona.

XX

Jessalyn przeszła po czarnym od sadzy bruku podwórza. Stukot drewnianych podeszew przypominał odbity echem odgłos kamieni spadających na dno pustej studni.

Po End Cottage pozostał jedynie wysoki, zdobiony komin. Samotny komin z gzymsem na szczycie i wzorem w szachownicę, ułożonym z czerwonych i żółtych cegieł. Sterczał samotnie wśród połamanych, poczerniałych belek oraz gruzu niczym dawno zapomniana odpustowa piszczałka.

Jessalyn czuła w ustach popiół. Zapach spalenizny drażnił ją w nozdrza. Żal i smutek były też w niej. W tym domu zaznała miłości, tutaj czuła się bezpieczna. Ale ostatecznie powiedziała sobie, że przecież nie dzięki budynkowi odczuwała to wszystko. Najważniejsze elementy jej życia ocalały: ludzie, o których się troszczyła i którzy troszczyli się o nią; Kornwalia z wrzosowiskami, klifami i morzem.

Kępki pierwiosnków kwitły jak zawsze na ogrodzeniu wybiegu dla koni. Zerwała jeden kwiat i powiodła nim po policzku.

Przymknąwszy oczy, pozwoliła, by delikatny, przyjemny zapach zastąpił swąd spalenizny i zniszczenia.

Do jej uszu przeniknęło gniewne zawrodożenie. Napoleon przemknął przez podwórze, ale tuż przed nią zatrzymał się i zaczął kroczyć powoli, jak gdyby ujrzenie jej nie sprawiło mu najmniejszej przyjemności. Roześmiała się i pochyliła, aby go podnieść.

- Gdzieś się podziewał, ty okropny kocie? - powiedziała, pocierając nosem o jego pyszczek. Nikt go nie widział od dnia pożaru i już się obawiała, że uciekł na dobre. Napoleon zaczął głośno mrużyć. Ledwie minęła chwila, a kapryśny zwierzak wygiął się, dając do zrozumienia, że należy go uwolnić. Machając ogonem, zaczął podchodzić dżozda, który między kamieniami szukał mchu na budowę gniazda. Jessalyn ruszyła w stronę cypla. Ostatnio dużo padało i jaskrawa żółtość kwitnących kolcolistów kłuła w oczy. Wrzosa układały się w paletę barw ziemi, od jasnej, groszkowej zieleni świeżej trawy po jasny, ciastkowy brąz skał pokrytych skorupą soli. Tylko morze przygnębiało ponurą szarością, mamrotaniem i pojękiwaniem na piaszczystej plaży. W zatoczce flotylla rybackich łodzi ustawiała żagle, aby chwycić w nie wiatr. Dwie rybitwy walczyły na piasku o rybią głowę.

Znajomy niebieski materiał z wełny zatrzepotał przy żywopłocie rosnącym nad krawędzią klifu. Jessalyn zawołała Bekę po imieniu.

Dziewczyna zaczęła biec, potem się zatrzymała i zwróciła twarz w stronę kamieni. Drżały jej ramiona. Jessalyn słyszała zduszony szloch. Podeszła powoli, nie chcąc dziewczyny spłoszyć.

Dotknęła jej pochylonej głowy.

- Beka, moja droga, co się stało?

Odpowiedź Beki zniekształcał płacz. Czerwona bawełniana chustka przysłaniała twarz.

Jessalyn odsunęła z twarzy Beki kosmyki wilgotnych włosów.

- Chodzi o Duncana?

Beka hałaśliwie wydmuchwała w chusteczkę różowy jak agrest nos. Policzki miała blade i wilgotne od łez, tak że wyglądały jak rozmoczone bułeczki. Tylko blizna była czerwona, lekko opuchnięta, jakby świeża.

- Och, moje serce! Rozpęka mi serceeee! - rozpłakała się, a ostatnia sylaba przeszła w zawodzenie.

Jessalyn przytuliła Bekę i zaczęła gładzić ją po drżących plecach.

- Jeśli on cię skompromitował, zmuszę go, aby się z tobą ożenił.

Beka aż się wzdrygnęła.

- Och, uchwaj Boże! Nigdy nie poślubię pana Duncana. Nigdy! - Jej oczy zrobiły się okrągłe jak monety. - Przecież panienska nie może mnie zmusić, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Jeśli ty nie chcesz, to na pewno nie. Pulchna broda Beki powędrowała do góry.

- Ano pewnie, że nie chcę. Niby czemu miałabym chcieć! Przecie z kogoś takiego jak ja nie miałby nijakiego pożytku. Nie więcej niż z muła, co ma drewnianą nogę. - Ruchem głowy odrzuciła do tyłu włosy, wystawiła twarz w kierunku bezlitosnego oka słońca. - Niech no panienska spojrzy. Czy jakiś mężczyzna pragnąłby kobiety, która tak wygląda?!

- Pewnego dnia pojawi się jakiś mężczyzna, skromny, miły człowiek, który pokocha cię taką, jaka jesteś - cicho powiedziała Jessalyn.

Z oczu Beki popłynęły łzy.

- Ani chybi, a do tego sam będzie ohydny jak dwugłowa żaba. Ani trochę taki jak pan Duncan. - Głęboko westchnęła. -I wcale mnie nie skomplikował, bo mu na to nie pozwoliłam. Może i pocałował mnie raz albo nawet dwa, ale nie więcej. I choćby moje serce miało się rozpaść na milion kawałków, nie zobaczy panienska, jak historyzuję, drapię się i wrywam włosy z głowy z powodu mężczyzny. Niech no panienska spojrzy na moje ręce. Jakie są spokojne.

Jessalyn przyjrzała się czerwonym, spękany dłoniom z poobgryzanyimi paznokciami i łzy zakręciły się w jej oczach. Chwyciła za szorstkie palce służącej, ale ta wyrwała się i ruszyła biegiem po skalnej ścieżce. Najpierw chciała za nią biec, ale po zastanowieniu doszła do wniosku, że chyba nie zdoła pocieszyć dziewczyny. Musiała spotkać się z tym okropnym Dunca-nem i ostatecznie wyjaśnić kilka kwestii.

Wróciła do rezydencji i dowiedziała się od jednego ze stajennych chłopców, że sługa hrabiego udał się do Wheal Patience.

Podobno coś zaczęło grzechotać w silniku pompy, a Duncan, obok samego hrabiego, należał w okolicy do wąskiego kręgu ludzi umiejących złożyć do kupy piekielną maszynę. Pragnąc rozmówić się z nim bezzwłocznie, Jessalyn podążyła do kopalni. Po drodze minęła wózek załadowany koszami z cyną. Spracowany muł ciągnął platformę po szynach do mennicy w Penzance. Wyglądało na to, że w księgach rachunkowych hrabiego czerwone zapisy kosztów miały szanse znaleźć przeciwwagę w czarnych zapisach zysków. Kiedy w zasięgu jej wzroku znalazła się kopalnia, jednocześnie usłyszała śpiew grupki dziewcząt piorących bieliznę w jednej z przy kopalnianych chat i stukot prasy do cyny.

Akurat rozpalono ogień. Gęsty dym unosił się z komina i układał nad pokaleczonymi wrzosowiskami. Z tyłu kołysało się morze; miało barwę butelkowej zieleni jak oczy Clarence'a Tiltwella. Dziwne, że pomyślała o nim akurat teraz. A może wcale nie takie znowu dziwne po tej całej rozmowie o małżeństwie. Jeśli miałyby teraz kogoś poślubić, to nikogo innego, tylko Clarence'a. Mimo wszystko ciągle się wahała. Nie umiała zdecydować się ostatecznie ani na tak, ani na nie. Znalazła Duncana w maszynowni. Przykucnął przed kotłem. Kawalek mosiężnej obudowy stał obok, a on sięgał dłońmi między rury tak splątane, że przypominały ułożony na talerzu makaron włoski. Wykręcał coś, pomagając sobie kluczem. Jessalyn dziwiła się, że jeszcze nie poparzył sobie palców, bo para syczała i skraplała się, spadając na posadzkę. Słyszała miarowe dudnienie, odgłos ssania i chlupot wody, co oznaczało, że pompa pracuje.

Maszynownia straciła kolorowy wystrój z dnia otwarcia. Stała się teraz sercem funkcjonującej kopalni. Pełno tu było kilofów i łopat, lamp sztormowych i beczek z prochem. Wybielone ściany poszarzały od dymu, a brudne buty górników pozostawiły ślady zakrzepłego tłuszczu i wyschniętego błota na kamiennej podłodze. Za to Duncan wyglądał wspaniale. Miał na sobie koszulę i grubą, żółtą kamizelkę, która kolorem pasowała do jego włosów. Mięśnie jego ramion i pleców napinały się przy każdym poruszeniu nadgarstka.

Pomiędzy jedną a drugą zmianą, tak jak teraz, w budynku nie było ludzi. Prócz Duncana przebywał tu tylko jeden górnik,

ale i on właśnie wszedł do metalowego wiadra, zwanego przez Kornwalijczyków kiblem, i wkrótce zniknął w szybie, pozostawiając Jessalyn sam na sam ze służącym McCady'ego.

Na odgłos jej kroków Duncan odwrócił się i podniósł głowę.

- Panna Letty? Jeśli panienka szuka wielmożnego pana, to niestety nie ma go tutaj... Stała przed nim, dłonie zaciśnięte w pięści oparła na biodrach.

- Złamałeś dziewczynie serce. Teraz pragnę usłyszeć, co zamierzasz z tym zrobić. Upuścił klucz na posadzkę gestem niemal gniewnym. Podniósł się, wytarł dłonie w poplamioną szmatę.

- Moje serce nie mniej ucierpiało. Ona mnie nie chce. Jessalyn wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Poprosiłeś o jej rękę?

- Ano tak. Chciałem, aby się zgodziła, więc rzuciłem jej chusteczkę - powiedział pospiesznie i z wyraźną goryczą. -A ona mi ją zwróciła. Powiedziała, że jest ohydną córką pijaka i że zawstydzam ją swoją propozycją. Podobno nie jestem szczery. Jeśli jednak jestem szczery, to tym gorzej dla mnie, bo wkrótce i tak tego pożałuję. Dodała, że za jakiś czas nie mógłbym znieść widoku jej oszpeconej twarzy i poszedłbym z pierwszą lepszą lafiryndą albo rusałką, która by mi wpadła w oko. A to ostatnie zawstydziłoby ją jeszcze bardziej.

- Och, Beka, prze... Potrząsnął głową.

- Akurat! Ona myśli, że to żądza szeptala mi do ucha słowa, które do niej wypowiedziałem. Panna Beka uważa, że jakaś czarownica rzuciła na mnie zły urok. Ponoć stałem się bardzo lubieżny. Nawet dała mi coś, żeby przeciwdziałać magii. - Rozsunął koszulę i wyciągnął zielonobrazową bryłkę czegoś wyschniętego, zawieszoną na kawałku szpagatu. Podniósł to i wzruszył ramionami. - I teraz muszę nosić ten drobiazg, bo w przeciwnym razie zraniłbym jej uczucia. Nie wie panienka, co to jest?

- Zmumifikowana żaba.

Upuścił amulet, jakby nagle ów martwy przedmiot pod wpływem prądu elektrycznego zmienił się na powrót w żywą istotę i próbował zeskoczyć z jego dłoni. Jessalyn wybuchnęła śmie-

chem, w końcu zaś i on się do niej przyłączył, choć z początku starał się zachować powagę.

- Och, ta Beka, Beka... - westchnęła Jessalyn. Spojrzała na twarz mężczyzny, na delikatny kształt nosa i policzków, zmysłowe usta. - Musisz wiedzieć, że jesteś przystojnym mężczyzną, Duncan. Łatwo sobie wyobrazić, że... to znaczy, że kobiety mogą...

Jego ładne usta wykrzywiły się w coś, co nie było całkiem uśmiechem.

- Tak, tak, ma panienka rację. Codziennie golę tę swoją fizys. Wiem, że mam to, co panienka nazywa ładnymi rysami. I nie zaprzeczam, że bywało czasem, iż korzystałem z tego, aby tej czy tamtej kobiecie dostać się pod spódnicę. Ale prosty nos i ładnie zarysowane usta... to przypadek. Nie zawsze za ładną twarzą kryje się dobre serce, tak samo jak nie zawsze diabeł wciela się w brzydotę. - Zerknął na nią brązowozłotymi oczami, głębokimi i czystymi jak wodne źródło. - Panna Poole jest bardzo miła i ma dobre serce. Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo tak wyjątkowego. Uważałbym się za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem, gdyby zechciała dzielić ze mną życie. Już ja bym się postarał, aby nigdy nie pożałowała swojego wyboru.

- Och, Beka, Beka... Może porozmawiam z nią, spróbuję przekonać...

Potrząsnął głową i ułożył usta do łagodnego uśmiechu.

- Nie. Niech się pani nie martwi, panno Letty. Myślę, że uda mi się skłonić ją do przyjęcia mojego sposobu myślenia. To kwestia czasu. - Jego uśmiech pogłębił się, tworząc wokół oczu cienkie linie zmarszczek. - I daję słowo dżentelmena: nie wezmę jej do łóżka, póki nie zostanie moją żoną.

Jessalyn zaczęła się zastanawiać, czy może bardziej gorące okazywanie względów z jego strony nie zdołaby przekonać Beki o szczerości jego zamiarów. Już otwierała usta, aby w delikatnych słowach przedstawić odpowiednią sugestię, kiedy pod jej stopami zatrzęsa się kamienna posadzka, jak gdyby ziemia dostała zimnicy.

Ogarnięta przerażeniem, spojrzała na Duncana. Mężczyzna skierował wzrok w stronę głównego szybu. Moment później wybuch wstrząsnął maszynownią, a ziemia zakołysała się, zbijając

Jessalyn z nóg. Z ciemnego wykopu zaczęły się wydobywać skłębione chmury brązowego kurzu. W powietrzu zawisła nikła woń siarki.

O ściany maszynowni odbiły się echem krzyki; zastukały buty o kamienną posadzkę. Przez mgłę i kurz Jessalyn dostrzegła koniec drabiny i powieki mrugające jak u kreta na usmolonej twarzy. W otepiającej ciszy, która nastąpiła po wybuchu, usłyszała kapanie wody. Zamigotała świeczka umieszczona na kapeluszu górnika.

- Na siódmym poziomie nastąpił zawał! - krzyknął, kiedy Duncan skoczył mu na pomoc. - Fatalny. Zatrzymało tam czterech albo pięciu. - Zakaszłał. - Nie ma czym oddychać. I napływa woda.

Kolejny mężczyzna pojawił się na powierzchni, zdarł z głowy kapelusz i cisnął nim o ścianę.

- Załamały się belki w przejściu między sąsiednimi poziomami. Jakiś cholerny głupiec odpalił tam ładunek.

Coraz więcej górników wylaniało się z otworu w ziemi. Wszyscy wyglądali niczym bagienne stwory. Mieli ubłocone twarze i wilgotne, brudne ubrania. Zwłaszcza jeden, przysadzisty, o grubych nogach, wydatnym brzuchu i splątanych, tłustych włosach. Podniósł rękę do kapelusza, przysłaniając pochłapaną błotem twarz. Zgarbiwszy plecy, przeszedł pod wielką ruchomą belką i zniknął za pompą. Ale na jedną krótką chwilę ich spojrzenia spotkały się i Jessalyn mogłaby przysiąc, że wpatrywała się w wężowe szare oczy Jacky'ego Stouta.

Właśnie wtedy ktoś krzyknął z dołu, że wyciągają na powierzchnię mężczyznę ze złamaną ręką. Jessalyn czym prędzej podbiegła do krawędzi szybu, aby sprawdzić, czy nie będzie mogła pomóc. W pewnej chwili dobiegły do niej słowa, które, mogło się zdawać, napłynęły wraz ze wstęgą kurzu i dymu:

- Jeśli panienka rozgląda się za jego wielmożnością, to zszedł na dół...

Chwyciła ramię Duncana tak mocno, że niewiele brakowało, a oboje wpadliby do szybu.

- Gdzie jest lord Caerhays? Odwrócił do niej spopielałą twarz.

- Jeden z górników odkrył nowy pokład rudy cyny. Jego wielmożność i sztygar poszli to sprawdzić na miejscu. - Kolor

zdawał się odpływać z jego oczu. - Na siódmym poziomie. Jest na siódmym poziomie.

Jessalyn potrząsnęła głową, jak gdyby w ten sposób mogła cofnąć jego słowa.

- Nie, o Boże...

Coś ścisnęło ją w piersi, pozbawiając tchu. McCady był gdzieś tam głęboko w ziemi, zagrzebany pod setkami ton ziemi i skał, w wodzie, która się podnosiła, zalewała usta, tłumiała krzyk... Wydobyć go! Musiała go wydobyć.

W jednym kącie maszynowni leżał stos narzędzi górniczych. Podbiegła, najpierw chwyciła łopatę, potem zobaczyła coś lepszego: świder. Pospiesznie wróciła do krawędzi szybu.

Duncan chciał wyrwać jej z rąk ciężkie narzędzie, ale trzymała je zbyt mocno. Nie potrafiła znieść myśli, że McCady umiera, podczas gdy ona nic nie robi.

- Odczep się ode mnie, do licha!

- Nie może pani tam iść, panno Letty - powiedział Duncan, kładąc ciężką rękę na jej ramieniu, unieruchamiając ją. - Będzie pani tylko przeszkadzać. Jest ktoś, komu będzie pani znacznie bardziej potrzebna. Myślę o lady Caerhays.

Starła się odetchnąć, ale zdawało się, że nie może zaczerpnąć dość powietrza. W końcu udało się jej wziąć głęboki oddech. Jednocześnie ogarnęła ją prymitywna, dzika furia. Nic bardziej niż bezsilność nie doprowadzało ją do wściekłości. Do licha z nim! Do licha z McCadym Trewlanym! Znowu próbował ją opuścić. Ciągle, tak, ciągle ją opuszczał.

- Nigdy mu tego nie zapomnę - wyrzekała głośno. - Co mu przyszło do głowy? Jest teraz hrabią i nikt się nie spodziewał, że będzie wchodził do kopalni.

Duncan westchnął. Zdjął z haka na ścianie lampę i nacisnął na głowę twardy kapelusz.

- Słyszałem, że nowy pokład jest zasobny, a pan rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, panno Letty.

Jessalyn wypuściła z rąk świder. Grzbietem dłoni otarła łzy. Wiedziała, że nic nie może zrobić. Mogła jedynie czekać.

- Nie żyje?

Emily szła chwiejnym krokiem po skalnej ścieżce. Wiatr tar-

gał połami jej płaszcza, który ściśle przylegał do sterczącego brzucha. Twarz miała szczupłą, bladą, a skórę na niej niemal przejrzystą.

- Proszę, powiedz, że on żyje.

Jessalyn chwyciła ją za ramię, pomagając utrzymać równowagę. Wydawało się jej, że dziewczyna jest tak delikatna i krucha jak wyschnięty liść, który może porwać nawet lekki podmuch wiatru.

- Został odcięty przez zawał, ale inni starają się do niego przekopać. -

Wypowiadając te słowa głośno, mogła wierzyć, że są prawdziwe. Że McCady wyjdzie z tego cały i zdrowy.

Ścisnęła mocniej rękę Emily, kiedy doktor Humphrey minął je na wąskiej ścieżce. Długie poły jego fraka uderzały o nogi. W jednej dłoni dźwigał swoją czarną torbę, drugą przytrzymał perukę. Emily zakołysała się, zdezorientowana jego obecnością.

- Nie wolno ci się wspinać - powiedziała Jessalyn, popychając ją lekko w przeciwnym kierunku. - To zbyt niebezpieczne. Musisz myśleć o dziecku. Chodź, poczekam z tobą na urwisku.

Usiadły ramię przy ramieniu, opierając się plecami o skałę w miejscu, gdzie łąd stromo schodził bezpośrednio do morza. Wysoka ceglana wieża Wheal Patience wznosiła się do góry z położonego poniżej cypla niczym działo przygotowane do odpalenia. Z tyłu zachodziło słońce, otaczając wieżę srebrną la-mówką światła. Wiatr od morza chłodził twarz Jessalyn. Podrapała się w brodę, która, oparta na podciągniętych kolanach, kleiła się od brudu i potu. Nadal czuła w ustach kredowy smak brązowego pyłu. Pod sobą wyczuwała wibrowanie maszyny pompującej wodę z głębi ziemi, gdzie on leżał pogrzebany, ale nie martwy... Boże, tylko nie martwy... Kopalniany dzwon milczał tego popołudnia, ale mężczyźni na nocną zmianę i tak przyszli. Wieść o zawale rozprzestrzeniła się, więc się zjawili, dzierżąc w rękach oskardy, łopaty i świdry. Przybyły również ich kobiety, które zazwyczaj późnym popołudniem nabierały ciepłej wody do prania, i zostały, by czuwać.

Jedynie resztki dziennego światła pozostały na horyzoncie, ginąc za chmurami, które były tak postrzępione i porozrywa-

ne jak żebraczy płaszcz. Pieniste fale błyskały bielą niczym ostrza noży. Mrok uczynił oczekiwanie jeszcze gorszym. Tam na dole, gdzie się znajdował McCady, bezwzględny i absolutny mrok miał zapach śmierci. Tutaj, na górze, strach o niego był krzykiem, który w każdej chwili mógł się z niej wydobyć. Otoczyła ramionami podkurczone nogi, starając się opanować.

Emily poruszyła się. Wiatr przyniósł jej głos brzmiący delikatnie i cicho.

- Ty także kochasz go, prawda?

Jessalyn poczuła ucisk w gardle i piekące łzy napłynęły jej do oczu. Zbyt była znużona, zbyt udręczona, by silić się na kłamstwa.

- Chyba zawsze go kochałam.

Fale uderzały o skały ciągle od nowa. Emily zerwała garść suchej trawy, posyłając maleńką lawinę kamyków do morza.

- Jestem jego żoną, a ty jego... Chciałam powiedzieć, że ukochaną, ale to nie jest odpowiednie słowo. Jesteś jego obsesją. Tak mi się zdaje.

Jessalyn znieruchomiała. Bała się poruszyć, bała odezwać. Emily odwróciła się do niej. Jej twarz o zmierzchu wyglądała jak kruchy stary pergamin.

- Ale jest moim mężem. Caerhays należy do mnie.

- Wiem... wiem.

Emily skuliła się, przycisnęła kostki do ust.

- O Boże, tak go kocham. Jest moim dniem i moją nocą. - Opuściła pięści, podnosząc twarz ku niebu. - I... i jest dla mnie bardzo dobry, choć już nic poza tym.

Palce Jessalyn zaciskały się miarowo na miękkiej wełnie płaszcza.

- Tamtej nocy, kiedy się paliło, zaczęłam iść w stronę biblioteki i z jakiegoś powodu zatrzymałam się... Duncan podszedł, aby mi powiedzieć, że deszcz zgasił płomienie i że ogień nie będzie się rozprzestrzeniał. Usłyszałam przez zamknięte drzwi krzyk hrabiego: „Do licha, Jessalyn”, mówił, prawie krzyczał, jakby był na ciebie wściekły. Wobec mnie zawsze zachowuje się jednakowo, czyli nienagannie uprzejmie. Nieważne, co zrobię ani co powiem. Kilka razy usiłowałam go sprowokować, aby zaczął żywić wobec mnie jakieś uczucie, choćby to miała być

nawet złość. Ale zawsze najzwyczajniej lekceważył mnie, wychodząc z pokoju. - Wyładowała swoje żale na trawie, wyrwijając ją z korzeniami. - Uprzejmość! Myślę, że za to można by nawet zabić...

- Panno Letty! - Żony górników zebrały się pod osłoną krzewów głogu. Mała Jessalyn oderwała się od całej grupy i dreptała przez trawę, dźwigając koszyk prawie tak duży jak ona sama. -Panno Letty, niech pani zobaczy! - Podniósłszy wieko wiklinowego kosza, uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wewnątrz znajdował się gliniany talerz z ciastkami pieczonymi na smalcu, stary czajniczek i dwa cynowe kubki.

- Mama powiedziała, że panienka musi coś przekąsić, bo inaczej całkiem straci siły. - Z kieszonki fartucha wyjęła zgniecione zawiniątko, które okazało się wędzoną sardelą między kawałkami czarnego chleba. - To jest moje, ale panienka może i to wziąć.

Jessalyn ze strachu ciągle odczuwała mdłości, lecz przyjęła sandwicza i jeszcze zdobyła się na uśmiech.

- To bardzo miłe z twojej strony, kochanie.

- Mogę nalać. Panienka pozwoli mi nalać. - Mała Jessie przykucnęła przy nich.

Napełniała szklanki w skupieniu, wydymając usta. Para zasnęła jej spiczastą, nawiedzoną twarzą. Herbata była gorąca, czarna i pachniała jaśminem.

Jessalyn podniosła kubek, ogrzewając dłonie o boki naczyń.

- Czy od dnia otwarcia kopalni widziałas jeszcze kiedyś swojego dziadka, Jessie? Dziewczynka potrząsnęła głową tak gwałtownie, że warkoczyki smagnęły jej pierś.

- Nie, psze panienki. Mamusia powiedziała, że na pewno się pomyliłam. Dziadek czmychnął do Ameryki, bo ciągle ktoś mu deptał po piętach. Czy mogę zostawić koszyk, panno Letty?

- Tak, bardzo proszę. Podziękuj ode mnie mamie.

Emily obserwowała, jak mała dziewczynka biegnie, błyskając białymi pantalonami.

- Mała Jessie. Czy ona tak się nazywa po tobie? Jessalyn roześmiała się niepewnie.

- Tak. Biedne maleństwo. - Odłamała kawałek ciasta i rzuciła okruch wodnym ptakom. - Dobrze mieć imienniczkę, która

może sprawić, że ludzie zapomną, w jakie tarapaty wpadałam, będąc w jej wieku...

- To ona jest tym dzieckiem, które ty i Caerhays znaleźliście w kopalni - powiedziała Emily. Jessalyn nie podniosła głowy znad ciasta, odłamując następny kawałek. - Pewnego razu opowiedział mi o tamtych czasach. Oświadczył, że to były najszczęśliwsze dni jego życia.

Jessalyn, zdziwiona, odwróciła się gwałtownie.

- Ale przecież to było tylko jedno lato.

- Lato, które zmieniło jego życie. Nie wątpię, że jeśli wtedy myślał o małżeństwie, to właśnie ty byłaś jedyną kandydatką na jego żonę.

Jessalyn popatrzyła na spokojne, czarne morze, jak gdyby ono również istniało tylko po to, aby czuć.

- Tamtego lata poprosiłam go, aby ożenił się ze mną. Właściwie nie prosiłam, tylko błagałam. Ale nie chciał mieć ze mną niczego wspólnego i powiedział mi to w sposób całkowicie niewyszukany.

- Mężczyźni chyba się bardzo różnią od kobiet, jeśli chodzi o sposób, w jaki kochają - powiedziała Emily - i w jaki okazują miłość. Dla nas miłość jest ostoją. Dla mężczyzny może być największą z piekielnych udręk.

W ciemności Jessalyn mogła jedynie podziwiać doskonałość profilu Emily i jej przystrzyżone, lekko połyskujące włosy. Czuła na sercu coraz większy ciężar. Przyszło jej do głowy, że może cierpi karę, bo pozostała wierna dawnej miłości, choć jej ukochany ożenił się z inną. Grzechem było pożądać czegoś, co należało do Emily. Mężczyźnie, którego kochała, żałowała miłości innej kobiety wyłącznie dlatego, że owo uczucie nie pochodziło od niej. Ale on już ustąpił z jej życia. W myślach postanowiła, że jeśli McCady przeżyje, wtedy wypędzi go również ze swojego serca. I zaraz złożyła taką przysięgę Bogu.

Poruszyła się, chcąc wyciągnąć rękę po dłoń Emily, ale w końcu zdecydowała się tego nie robić.

- Jesteś jego żoną, a ja nie mam z nim niczego wspólnego - oświadczyła przez ściśnięte gardło. - Być może on jeszcze o tym nie wie, ale naprawdę miał ogromne szczęście, że spotkał w życiu ciebie.

Emily podniosła głowę i przez chwilę Jessalyn sądziła, że się

uśmiechnie, lecz przeciwnie - jej twarz się ściągnęła. Wyglądała tak, jakby się miała rozsypać niczym lód pod uderzeniem drewnianego młota. Chwyciła Jessalyn za ramię, wbijając paznokcie boleśnie w jej ciało.

- Wynoszą kogoś.

Jessalyn poderwała się na nogi. Przed maszynownią kołysały się i migotały lampy. Mężczyźni wspinali się po skalnej ścieżce, dźwigając jakieś ciało na brezentowej płachcie, rozciągniętej między dwoma drążkami.

Emily chciała pobiec, ale potknęła się i upadła na kolana i ręce. Jessalyn przystanąła, aby pomóc jej się podnieść. Trzymały się za ręce, czekając, kiedy dojdzie do nich grupa ratowników.

Duncan był wyższy od pozostałych, dlatego jego jasna czupryna pierwsza pojawiła się nad krawędzią skały. Niósł w górze zapaloną pochodnię. W jej świetle Jessalyn dostrzegła, że ciało miało włosy o wyblakłej żółtej barwie starego siodła. Dłoń, która się bezwładnie kołysała, była pokryta starczymi plamami. Mężczyźni położyli nosze na ziemi, po czym przykryli je prześcieradłem. Jedna z kobiet zaczęła zawodzić.

Jessalyn czuła, że Emily wzdycha głęboko i sztywnieje. Dziewczyna podniosła głowę i postąpiła kilka kroków w przód. Zdaniem Jessalyn Emily chyba nigdy wcześniej nie wyglądała bardziej na żonę hrabiego.

- Znaleźliście mojego męża?!

Duncan potrząsnął głową, wpatrując się we własne buty.

- Nadal kopujemy, milady. - Zamilkł, jakby nie był pewien, czy powinien coś dodać.

- Nadal istnieje nadzieja, milady - rzekł, ale wyczuwało się kłamstwo w jego głosie.

- Tak, oczywiście - powiedziała Emily. - Dziękuję, Duncan. Proszę, podziękuj w moim imieniu wszystkim. Za wszystko, co robią.

Duncan i pozostali mężczyźni wrócili do kopalni. Kobiety McCady'ego stały przy krawędzi skały i przyglądały się, jak odchodzi. Po chwili Emily objęła Jessalyn w pasie i oparła głowę na jej ramieniu... Czekały.

Przynieśli go po upływie kolejnej godziny. Leżał na noszach jak wszyscy inni. Lecz w przeciwieństwie do tamtych żył.

Na jego widok Jessalyn zdusiła w sobie szloch. Może i był żywy, ale na takiego nie wyglądał. Zamknięte oczy tkwiły głęboko w oczodołach. Poprzecinana na policzkach skóra była biała niczym kości wieloryba. Pierś unosiła się i opadała prawie niezauważalnie. Z rany na głowie sączyła się krew.

Emily jęknęła z rozpaczy i chwyciła Jessalyn za rękę. McCady otworzył oczy. Powiódł spojrzeniem po otaczających go twarzach, na koniec zaś zatrzymał się na jednej z nich.

- Jessalyn... - Zaczerpnął powietrza w agonalnym oddechu. Sprawiał wrażenie poważnie zranionego. Głęboko wewnątrz, z czego miał się już nigdy nie wyleczyć. I wtedy zrobił rzecz niewiarygodną: uśmiechnął się. - Zgubiłem się... trochę.

Po twarzy Jessalyn spływały łzy.

- Głuptasie, przecież nie można zgubić się trochę.

Emily mocno ścisnęła jej dłoń w milczącym geście pocieszenia. Ale po chwili Jessalyn wyswobodziła się i została w tyle, pozwalając Emily iść samotnie obok noszy, na których spoczywał jej mąż.

Przeszli może jeszcze trzy kroki, kiedy Emily drgnęła i odwróciła się, opadając na kolana. Rozłożyła ramiona i rozcapierzyła palce dłoni. Jessalyn czuła, że wzbiera w niej krzyk. Nie żyje - pomyślała. O Boże, nie żyje.

Lecz krzyczeć zaczęła Emily.

XXI

Deszcz ściekał z daszka cmentarnej bramy, grzechotał na błyszczącej, lakierowanej powierzchni drewnianej trumny, wsiąkał w hebanowy aksamit chorągiewek zdobiących karawan. Czarne pióropusze przy końskiej uprzęży opadły, nasączone wilgocią. Pogoda dostroiła się do żałobnego nastroju pogrzebu.

Mieszkańcy całej okolicy zebrali się na cmentarzu. Niektórzy jak zwykle przybyli na wieść o tragedii. Inni chcieli okazać hrabiemu szacunek. Wszak czyż to nie on zapewnił im pracę? Salome Stout podkreśliła to w rozmowie ze swoją panią, żoną

wielebnego Troutbecka. On jedyny spośród wszystkich niegodziwych Trewlanych pomyślał o Kornwalii. Wprawdzie całe przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem, ale człowiekowi należało oddać honor. Przynajmniej spróbował.

Trumny przeniesiono pojedynczo do miejsca, gdzie na świeżej wiosennej trawie, pośród krzywych, powyżeranych przez sól nagrobków, leżała przyma czarnej ziemi. Do dźwignięcia drugiej trumny, zupełnie małej, nie potrzeba było wielu rąk.

- Jest nie większa niż koszyk na homary - powiedziała mała Jessie, narażając się na upomnienie ze strony swojej matki. Gdyby dziecko przeżyło, jak stwierdził doktor Humphrey, byłoby chłopcem.

Szeptem pełnym czci opowiadano sobie, jak tamtej przerażającej nocy, kiedy w kopalni nastąpił zawał, lady Caerhays straciła dziecko na występie skalnym nad Wheal Patience. I jak trawiona gorączką, krwawiąc, umarła dwa dni później. Hrabia nawet jeszcze nie rozumiał dobrze, co się działo, kiedy biedactwo odeszło na zawsze.

Panna Jessalyn była przy niej w ostatniej godzinie życia, chociaż wcześniej miała przecież miejsce jeszcze inna tragedia. Ledwie minął tydzień, odkąd ona oraz lady Letty straciły dom i mieszkanie. Nie uratowało się prawie nic. A mimo wszystko przywiązała do kapelusza czarną wstążkę, bo miała szacunek dla śmierci. Tak właśnie określiła to pani Troutbeck w rozmowie z panią Childrens, żoną piekarza. Wyrosła na prawdziwą damę ta panna Letty, choć kiedyś była trzpiotem.

Wielebny Troutbeck czytał z książki do nabożeństwa. Dwa razy się zgubił. Niewielu zwróciło na to uwagę, ponieważ wszyscy zbyt byli pochłonięci studiowaniem wizerunku hrabiego. Kobiety myślały, że wygląda romantycznie, jak postać z którejs z książek w błękitnych okładkach, a biały bandaż wokół głowy podkreślał tylko posępne rysy jego atrakcyjnego oblicza. „Jakież ogromne cierpienie wyzierało z jego oczu! - szeptano. - Jakże musiał kochać swoją młodziutką żonę!” Mężczyźni - jeśli akurat wiedzieli, że jednocześnie odbywał się pogrzeb jego nadziei na zdobycie trzydziestu tysięcy funtów - sądzili, że rozpacz łatwo może go doprowadzić do szaleństwa.

Obok hrabiego stała Jessalyn. Zerknęła na niego piekącymi, zbolalymi oczami. Widziała twarz złożoną z ostro zarysowanych

kości i głębokich cieni. Był spokojny i zamknięty w sobie. Pusty wzrok kierował na trumny. Niczego poza nimi nie widział... może poza świadectwem kolejnego niepowodzenia.

Zmaga się tym - pomyślała Jessalyn. Jak mnich, który biczuje swoje plecy powiązanymi w supły powrozami, póki nie zacznie krwawić, bo taką sobie wyznaczył pokutę za grzechy. Pragnęła przytulić się do niego, przycisnąć głowę do jego piersi. Wyjąć bicz z jego dłoni i po kolei ucałować każdą pręgę na poranionych plecach. A jednocześnie bała się, że gdy tylko dotknie jego ramienia w geście współczucia, odwróci się od niej i odejdzie.

Wielebny Troutbeck mówił o prochu, co obraca się w proch. Deszcz padał coraz rześystszy, coraz głośniej uderzał o trumny. Jessalyn patrzyła w stronę bramy, pod którą stał karawan, gdzie pewnej wietrznej niedzieli zatrzymała się z Emily na rozmowę. Znalazła wtedy pierwsze kwitnące pierwiosniki. Emily sprawiała wrażenie szczęśliwej, śmiała się, rozkwitała w swym błogosławionym stanie i nowo odkrytej miłości do Kornwalii: „Teraz wydaje mi się, że nigdy nie będę chciała stąd wyjechać...”

Ogromny żal wezbrał w sercu Jessalyn. Ciężko przełknęła ślinę. Starła się nad sobą zapanować, ale mimowolnie wydała z siebie cichy jęk. McCady drgnął, jak gdyby dotknęła go mimo wszystko.

Podniosła głowę. Widziała go przez łyzy. Rzucił w jej stronę krótkie, pełne złości spojrzenie. Odwrócił się na pięcie i odszedł od niej, odszedł od trumien żony oraz syna. Mocno utykał i pozostawiał z tyłu długie ślady w gęstej zielonej trawie. Białe płótno jego koszuli odcinało się ostro na tle szarego, cynowego nieba. Morze toczyło ciężkie, czarne fale, przelewało się nad jego butami, rozbijało w pianę. Zbliżała się do niego po mokrym piasku. Deszcz zaczął. Krople z niespokojnym pomrukiem żłobiły dzioby w piasku i wodzie. McCady stał zwrócony twarzą ku morzu. Zostawił gdzieś swój płaszcz; koszula przywierała do jego pleców. Była tak przemoczona, że widać było przez materiał ciemną karnację skóry. Zwilżyła usta, czując smak soli i strachu. W końcu zaś wypowiedziała jego imię.

Sądziła, że nie dosłyszał, ponieważ nadal stał całkowicie nieruchomo. Dygotała, mokra i przemarznięta w rześystym deszczu. Chronił ją zaledwie cienki kaszmirowy szal, który dostała od Emily po pożarze. Pomyślała, że powinna odejść, ale wbrew sobie postąpiła kolejny krok w jego stronę.

Kiedy się wreszcie odezwał, miała odczucie, że jego głos trafił ją mocno i boleśnie jak smagnięcie. Usłyszała go na tle urywanych, chrapliwych westchnień morza.

- Pragnąłbym zaznaczyć, panno Letty, iż nie może pani dłużej liczyć na to, że będę odgrywał rolę dżentelmena. Od tej chwili, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, postaraj się trzymać ode mnie z daleka.

Postąpiła jeszcze jeden krok i oparła policzek na jego plecach.

Obrócił się, tracąc niemal równowagę po przeniesieniu ciężaru ciała na niesprawną nogę. Wyprostował rękę, kierując palec wzdłuż plaży.

- Uciekaj stąd, do licha!

Delikatne drzenie ogarnęło jej nogi, w oczach zapiekły łzy. Tęsknota dławiła ją, hamowała oddech. Nie, nie mogła go opuścić.

Ciemne włosy przywierały do jego głowy, opadały na biały bandaż. Deszcz spływał po ostrych "wypukłościach twarzy. Patrzyły na nią znękane, nieco szalone, błyszczące oczy. McCady przyłożył pięść do torsu.

- Och, Chryste! Jessa, proszę...

- Kocham cię.

Chwycił ją boleśnie, przyciągnął do siebie z taką siłą, że zupełnie straciła oddech.

Nachylił się i zmiądzzył jej usta. Wokół kołysało się morze, fale nadciągały i rozbijały się o brzeg. Z nieba lał się deszcz.

Całował ją mocno, gorączkowo... namiętnie. Przytrzymała się jego ramion, wbiła paznokcie w twarde ciało, gdy tymczasem on zawładnął jej wargami. Zerwał jej z głowy czepek, odwinął szal, po czym jedno i drugie cisnął na skały. Wsunął palce w jej włosy, zdjął z włosów upiętych w kok siateczkę i powyciągał spinki. Trzymał ją za głowę jedną ręką, drugą zaczął ścisnąć jej piersi. Przez cienki, śliski od deszczu muślin staniczka i bawełnianą koszulkę drażnił brodawki opuszkami palców.

Był wobec niej za bardzo gwałtowny, sprawiał jej ból, ale

nie przejmowała się tym. Zbyt długo tęskniła. Bała się poruszyć, bała się wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Z obawy, że mógłby przestać.

Oderwał od niej usta i pociągnął na mokry piasek, obramowany koronką morskiej piany.

Zamajaczyła nad nią jego sylwetka. W kolczyku przy jego uchu odbił się promień jakiegoś wiecznego światła. Złoto zalśniło w jego włosach niczym spadająca gwiazda. Ciemne oczy w szarej krainie deszczu miały złociste fasety. Nie było w nich delikatności. Nie było litości w twardych, łakomych ustach, które gniotły jej wargi. Tylko niepowstrzymana, przerażająca żądza.

Uległa całkowicie. Nawet ryk morza i deszczu nie mógł zagłuszyć tego, co się działo z jej sercem. Gorączkowo przesuwiała dłońmi po ciele McCady'ego, poznając, choć przecież знаła to wszystko. Znała jego smak i kształt, jeszcze zanim go w ogóle spotkała.

Fala rozbiła się o brzeg. Opadł na nich słony pył. McCady powiedział coś szybko i surowo, ale całkowicie niezrozumiale, zadzierając jej spódnicę i halkę. Chwycił ją za uda i rozchylił je. Klękając między jej nogami, wyprostował się. Twarz miał poważną i skupioną, niemal okrutną. Cichy jęk w jego ustach najwyraźniej świadczył o tym, jak bardzo jej pragnął. Jego męskość jak sprężyna wyskoczyła na zewnątrz z cienia włosów i bielizny. Błyszczącymi, rozkojarzonymi oczami ledwie to zauważyła. Potem pochylił się nad nią. Po omacku poszukał rozcięcia w jej pantalonach, chwycił za krawędź materiału i rozdarł jednym szarpnięciem.

Z trudem chwyciła haust powietrza, wygięła ciało w łuk, a kiedy palcem wślizgnął się w nią głęboko, westchnęła znowu. Naraz całkowicie znieruchomiała i wydawała się zawieszona we wszechświecie cudownych odczuć, połączona z nim jedynie tym twardym, gorącym palcem. Tam w środku zaczęło powstawać i rozprzestrzeniać się wilgotne ciepło, jak gdyby się roztopiała.

Zadrżał. Ostry, pełen rozpaczyny głos wydobył się z jego gardła. - Boże, ja muszę...

Jessa, słodka, nie mogę, wybacz, ale nie mogę...

Nie wiedziała, o co mu chodzi; obawiała się najgorszego. Że zechce dać spokój, że odejdzie. Nie mogła znieść samej myśli.

Otoczyła go ramionami i trzymała przy sobie mocno, ściskając paznokciami cienkie płótno koszuli.

- Proszę - szepnęła.

Wsunął w nią jeszcze jeden palec. Poczuła ostry, przenikliwy ból. Zesztywniała. Coś gładkiego, twardego, coś gorącego wsunęło się między jej nogi, penetrując wejście, rozciągając ją nieprawdopodobnie szeroko. Przez moment przeżywała strach i wtedy wdarł się w nią całkowicie. Przycisnęła usta do jego ramienia, by stłumić krzyk.

Uderzył znowu, docierając głębiej. Czowała, jak ją wypełnia, twardy i pulsujący. Sprawiał jej ból, który stopniowo przeradzał się w coś więcej - przyjemne napięcie. Dobrze, że był w niej tak głęboko, że zespolił się z nią w jedno.

Poruszył się, niemal wyszedł na zewnątrz, lecz zaraz powrócił - brutalnym pchnięciem, tarcie, którym - jakby się posługiwał krzesiwem - zakrzesał w niej ogień. Przywarła do niego, wyginając się ku górze, gdy tymczasem w środku płomienie stawały się coraz gorętsze. Unosił się nad nią i opadał, oddech miał urywany, chrapliwy.

- Proszę... - powiedziała znowu, pragnąc czegoś więcej, nie wiedziała tylko, czego. Odrzucił do tyłu głowę, zacisnął powieki i skrzywił twarz. Ostatnie uderzenie było potężne, silniejsze niż wszystkie poprzednie. Zdawał się sięgać aż do jej serca, kiedy zaczął gwałtownie dygotać, napierając w przód długo i uparcie.

W końcu opadł na nią bezwładnie. Czowała na sobie bicie jego serca i drżenie przebiegające po jego torsie. Jakiż słodki był ten ciężar, który gniótł jej ciało! McCady oddychał coraz spokojniej. Stoczył się z niej i znieruchomiał, leżąc plecami na piasku. Niemał od razu odczuła jakąś pustkę.

Krople deszczu padały bezpośrednio na jej twarz i otwarte usta. Morze dosięgało jej nóg, uderzało, cofało się w pulsującym rytmie bicia jej serca. Usiadła. Nagle zażenowana, obciągnęła spódnicę, która skłębiła się w nieładzie powyżej talii. Zdobyła się na nieśmiałe spojrzenie w jego stronę. Siedział, opierając łokieć na podkurczonym kolanie, skrywał twarz w dłoni i miarowo zaciskał palce wplątane w błyszczące od deszczu włosy. Cisnęły się jej na usta słowa: „Kocham cię”, ale połknęła je.

Podniósł głowę. Ręka mu opadła i zawisała bezwładnie. Popatrzył na wzburzone morze. Ciężko przełknął. Odwrócił się, przyjrzał badawczo jej twarzy. Światło całego świata zdawało się mieć źródło w jego oczach.

- Znowu cię pragnę.

Westchnienie uniosło jej pierś i uleciało. Oparła się o niego.

- Och, McCady, weź mnie. Weź.

Objął ją, przyciągnął i zamknął jej wargi długim, głębokim pocałunkiem, od którego zabrakło jej tchu.

Minęła wieczność, nim oderwał się od jej ust, pochylił głowę i zaczął składać całą serię lekkich jak tchnienie pocałunków na jej zziębniętej, wilgotnej skórze. Lekkie drżenie zaczęło ogarniać jej całe ciało. Podniósł głowę. Ściągnął usta, dotknąwszy kciukiem jej czerwonych, opuchniętych ust.

- Ależ ze mnie zwierzę! Zraniłem cię.

Tak rzeczywiście było, tyle że ona o to nie dbała. Cieszyła się na myśl, że znowu będzie go miała w sobie. Podobała się jej intymność zespolenia. Poza tym słyszała, że tylko za pierwszym razem odczuwa się ból.

Uśmiechnęła się, podnosząc twarz, prosząc bezwiednie i bez słów o następny pocałunek. Obrysował językiem kształt jej ust, rozdzielił wargi. Smakował deszcz, morze i pożądanie - ostre i gorące. Ich usta zetknęły się, rozstały, by zaraz do siebie wrócić, znowu i ciągle od nowa, jak gdyby tak musiał się zaczynać i kończyć każdy oddech obojga.

McCady wplótł palce w długie włosy Jessalyn, odchylił do tyłu jej głowę i sięgnął gorącymi, wilgotnymi ustami do jej szyi. Musnął lekko pulsujące miejsce.

- Och, Jessa, smakujesz jak grzech. Kiedy już raz się z tobą zaczniesz, nie sposób skończyć. - Podniósł głowę, cofając się nieco. Oczy mu płonęły żywym blaskiem ognia.

Miękkimi opuszkami palców przesunęła po wyrazistym rysunku jego ust. Wargi poruszyły się pod jej dotknięciem.

- Boże, zdaje się, że pada deszcz - powiedział. - I mam piasek w miejscu, którego w porządnym towarzystwie w żaden sposób nie wypada wymieniać. Poszukajmy jakiegoś łóżka.

W stróżówce było ciemno i wilgotno.

Zapalił lampę i zawiesił ją na przybitym do ściany haku. Niewiele tu stało mebli: porysowany stół, dwa krzesła ze skórzanymi oparciami oraz stare drewniane łożo zasłane żołnierską derką i zgrzebnym płótnem. Wszystko to wyglądało na stare, ale czyste. Przy palenisku leżały ułożone w stos wysuszone polana. Izba została niedawno wysprzątana. W powietrzu pachniało smażonym boczkiem i tytoniem. Czowała się zawstydzona i nieco zdenerwowana. Była tu sam na sam z mężczyzną. Jednocześnie wiedziała, co ma nastąpić, i zdawała sobie sprawę, że on myśli o tym tak samo jak ona.

- Czy ktoś tutaj mieszka? - zapytała. Przyklękawszy na jedno kolano, zajął się rozpalaniem ognia.

Skórzane spodnie ciasno opinały jego twarde uda; mokra koszula przywierała do masywnych mięśni pleców.

- Teraz już nikt - odparł. - Z początku sypiał tu Duncan. Póki nie znalazło się dla niego miejsce w rezydencji.

Drewno zajęło się ogniem. Zaczął je lizać płomień; unosiła się wstęga dymu. McCady wyprostował się i ruszył do niej na środek pokoju. Musiała napiąć mięśnie, aby powstrzymać się przed ucieczką. Słyszała wycie, jakby w dalszym ciągu jej uszy bombardowały odgłosy morza i deszczu. Kiedy się zatrzymał, dzielila ich ledwie szerokość dłoni. Stał tak blisko, że czuła delikatny zapach mydła do golenia i wilgotnego krochmalu koszuli. I ostry zapach mężczyzny po wydarzeniu na plaży.

- Rozbierz się - powiedział tonem rozkazu.

- Mam zdjąć ubranie? - Nie pomyślała o tym, że będzie chciał, aby się rozebrała.

Nigdy dotychczas nie obnażała się przed żadnym mężczyzną. Nawet Beka nigdy nie widziała jej bez bielizny. Ale lepka wilgoć między jej nogami przypominała o chwili intymności, jaką już przeżyła z tym mężczyzną.

Ujął ją pod brodę i podniósł głowę tak, aby spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich odbicie ognia, światło błyszczące niczym sztormowe lampy na twarzy ściągniętej żądzą.

- Chcę zobaczyć cię nagą, Jessalyn.

Drżącymi rękami sięgnęła do niewidocznych sznurówek przy staniczku. Bała się, że nie spodoba mu się jej ciało. Była taka szczupła i koścista.

Miała trudności, by wyswobodzić się z obcisłych, długich

rękawów. Cienki muślin zdawał się przywierać do jej ramion. Jednakże wkrótce materiał sukienki utworzył pomarszczoną kałużę wokół jej kostek. Nie miała na sobie gorsetu, jedynie koszulę i pantalon. Pantalony, które były rozdarte w taki sposób, że czuła, jak chłodne powietrze owiewa najbardziej intymne części jej ciała. McCady oddychał coraz bardziej niespokojnie, płytko i szybko.

- Wszystko - wykrztusił ochryłym szeptem. Przełknęła ślinę przez zaschnięte gardło. Rozwiązała tasiemki

przy pantalonach i ta część garderoby także opadła na podłogę. W końcu ściągnęła przez głowę koszulę i opuściła ją po wyprostowanych palcach. Kosmyki mokrych włosów opadały na ramiona. Strumczyki wody rozlewały się na piersiach i brzuchu. Palila ją skóra, choć woda była zimna. Jessalyn stała, nie podnosząc głowy.

- Pragnąłem cię od czasu, kiedy skończyłaś szesnaście lat - zachrypiał. - Kiedy składałaś się prawie wyłącznie z nóg i w ogóle brakowało ci piersi. Miałaś spalony na słońcu nos i całe mnóstwo piegów na policzkach.

Nie spuszczał wzroku z jej piersi. Czuła, że powoli rozlewa się w niej fala ciepła, jakby napiła się brandy. Spojrzała w dół. Ciemne, okrągłe brodawki sterczały sztywno niczym dwa kamyki.

- Nadal nie ma specjalnie na co patrzeć. Roześmiał się cicho.

- Och, nie. Jeśli o to chodzi, jest pani w poważnym błędzie, panno Letty. - Nieco drżącą ręką odsunął włosy z jej policzka. Przesunął palcami wzdłuż jednego z pasm, które przykleiło się do wilgotnej skóry pod gładką, skierowaną ku górze pierś. Do skóry, która płonęła. - Tak się złożyło, że jako znany hulaka stałem się koneserem kobiecych piersi. - Ujął jedną w dłoń, uniósł ją lekko. Jessalyn powstrzymała jęk. - A twoje są naprawdę cudowne. Okrągłe, złociste, jakby obsypane cynamonem.

- Razem przyglądali się, jak jego długie, twarde palce, bardzo ciemne na tle bieli jej skóry, znaczą kształt tej części kobiecego ciała; drażnią brodawkę, która w końcu zdawała się pulsować i drżeć. - Wiele razy marzyłem, jak by to było, gdybyś mi pozwoliła zlizać z nich kolejno każdą cynamonową plamkę.

Jessalyn miała wrażenie, że staje się coraz cięższa i pali ją skóra. Dygotały jej nogi, gotowe w każdej chwili ustąpić. Ona również musiała go dotknąć. Położyła dłonie płasko na jego torsie, przesunęła nimi po mokrej koszuli, zachwycając się sposobem, w jaki jego mięśnie kurczyły się i rozkurczały, kiedy ciężko oddychał. Pod palcami wydawał się nierówny, pełen występów jak skała i jednocześnie podatny na dotyk jak miękka czarna ziemia.

- Jesteś taki silny - powiedziała. - Taki twardy. Pochylił się.

- Jessalyn - wykrztusił w jej włosy. Porwał ją w ramiona i przeniósł na łóżko.

Zaskrzypiały stare konopne sprężyny. Wojskowa derka była szorstka pod jej plecami; piekł ją każdy skrawek skóry, zbyt wrażliwej, by znieść chociażby oddech. McCady leżał obok, przykrywając ją częściowo ciałem. Jego koszula ocierała się boleśnie o jej piersi. Podążał wzrokiem za własną dłonią, którą wodził po kształtach Jessalyn - trawiący wszystko płomień wzdłuż ścieżki ognia.

- Wiedziałem, że włosy między twoimi nogami będą miały ten kolor - rzekł. -

Płonącej pochodni. - Dotknął jej tam lekko, jak najlżej. Westchnęła i wyprężyła się nad łóżkiem, jak gdyby przyłożył ogień do lontu i odpalił wewnątrz niej jakiś pocisk.

Zamknął jej usta długim, żarliwym pocałunkiem, potem uwolnił ją i usiadł. Szarpnął za opierające się buty. Zdarł koszulę przez głowę, aż poodrywane guziki pospadły na podłogę. Wstał. Nawet nie poprawił spodni, które rozchyliły się poniżej pasa, odsłaniając trójkąt gęstych czarnych loczków. Stał bokiem, dlatego doskonale widziała, że spodnie kryją spore wybrzuszenie. Zsunął z bioder wilgotny materiał, ukazując jej zafascynowanym oczom muskularny, owalny półksiężyc pośladka... uwalniając sterczący członek, gruby i pokryty żyłkami, purpurowoczerwo-ny, niemal błyszczący. Przez jej rozchylone usta uleciało ciche westchnienie.

- Wzdychasz, bo się boisz, czy może czujesz respekt? - Stanął przed nią, szczerząc zęby, dobitnie męski i całkowicie tego świadomy.

Zaczął się w niej budzić śmiech - chrapliwy, wprawiający

powietrze w wibrację. Zaraz jednak zamilkła, spostrzegłszy purpurowoczerwoną szramę biegnącą wokół jego uda. Wyciągnęła rękę i powiodła palcem po twardej, pomarszczonej linii.

- Mogłeś zginać - powiedziała. Przeraziła ją ta myśl. Że życie było takie niepewne. Że mogła go stracić. Ta jego niewielka cząstka, którą miała tylko dla siebie, zginęłaby na wieki.

Chwycił jej dłoń i podniósł do ust. Usiadł na łóżku obok, nie spuszczać z niej oczu. Zdawało się, że napina się skóra na jego policzkach i ściągają usta, jakby go coś bolało.

- Mogłabyś roześmiać się jeszcze raz?

- Po co? - Uśmiechnął się, a ona dziecinnie zachichotała. - Przecież nikt... - Znowu zachichotała. - Przecież nie sposób śmiać się na zawołanie. To nie... - Wybuchnęła śmiechem; jej wibrujący głos znowu rozedrgał powietrze radosną zmysłowością. Zawtórował jej, chowając twarz między jej piersi.

- Uwielbiam twój śmiech - oświadczył. - Wystarczy, że usłyszę, jak się śmiejesz, a robię się twardy.

Spojrzała na nich oboje, leżących bok przy boku, na twarde, opalone ciało McCady'ego i na swoje, kremowobiałe i bardziej delikatne. Na grubą i ciężką męskość opartą na jej biodrze.

- Właśnie teraz jesteś twardy. Dźwignął się odrobinę i otarł o jej brzuch.

- Czujesz? Oto do czego mnie doprowadzasz. Jesteś z siebie zadowolona?

Chyba jednak była z siebie zadowolona. I zadowolona. Koniuszkami palców powiodła lekko wzdłuż twardej mękości, zdziwiona jedwabistą gładkością i palącym ciepłem jej powierzchni. McCady zadygotał i gwałtownie wciągnął do płuc powietrze.

Wziął jej rękę i zamknął wokół siebie.

- Chwyć mnie i mocno trzymaj.

Wypełnił jej dłoń. Ścisnęła go delikatnie i instynktownie przesunęła palce aż do podstawy grubego trzonu. Dźwięk, który z siebie wydał, przypominał szloch zranionego zwierzęcia.

Uwolniła go.

- Sprawiałam ci ból? Nie chciałam. Roześmiał się, pieszczotliwie trącając ją nosem.

- Och, Jessa, nie. Nie sprawiasz mi żadnego bólu. Jest mi dobrze, nie wyobrażasz sobie, jak...

Przez jedną długą chwilę, dłuższą niż wieczność, patrzył na nią, jak gdyby rzeźbił w pamięci wizerunek jej twarzy. Potem pochylił się i liznął jej pierś w miejscu, gdzie zaczynała się wznosić poniżej ramienia. Obrysował językiem jej kształt, musnął skórę poniżej i zaczął się wspinać w górę łagodnej wyniosłości do drżącego szczytu, który na koniec wciągnął głęboko w usta.

Wielkie nieba...

Jeszcze nigdy nie doświadczyła podobnych wrażeń. Trzymał w ustach jej brodawkę i ssał ją jak małe dziecko. Nie miała pojęcia, że coś takiego robią mężczyźni; to było takie niestosowne i zarazem cudowne. W jej wnętrzu szaleńczo zawirowały kręgi fajerwerków, by moment później przygasnąć i przejść w pulsujący żar w głębi łona.

Składał lekkie pocałunki na jej piersiach i brzuchu, ssąc miejsca, na istnienie których dotychczas nie zwracała uwagi. Jego długie włosy laskotały ją, zapalały maleńkie iskierki. Czowała na sobie oddech gorący jak płomień. Pod jej ruchliwymi dłońmi plecy McCady'ego drżały, wydawały się coraz bardziej ściągnięte i śliskie od potu.

Niemal krzyknęła, gdy przykrył dłonią jej łono. Zaplątał palce w rudym gniazdku, obwiodł zagłębienia jej ciała w miejscu, gdzie łączyły się nogi. Wsunął w nią palec, a potem wsuwał go i wyciągał długimi, rytmicznymi ruchami, które zdawały się harmonizować z szaleńczymi uderzeniami jej serca. Opuszkami kciuka przesunął po jej płatkach, sięgnął wyżej i natrafił na jakieś wyjątkowo wrażliwe miejsce. Serce jej stanęło. Kurczowo ścisnęła prześcieradło; rzuciła głową. Zafalowała biodrami, wychodząc naprzeciw poruszeniom jego dłoni. Zaczęło w niej narastać przerażające napięcie. Otworzyła usta, aby mu powiedzieć, I by przestał, lecz wydobyła z siebie zaledwie jęk. Wielkie nieba...

I przecież zaraz umrze, jeśli McCady nie przestanie. Wygięła plecy

w łuk. Napierała na jego rękę. Prosiła bez słów, prosiła, prosiła, prosiła...

Z trudem chwytiała powietrze. Jego usta były na niej, dotykały w pocałunku. Mówił w nią:

- Jeszcze nie, Jessalyn. Jeszcze nie teraz...

I wtedy poczuła, że rozszarżona, twarda męskość dotyka wilgotnego, wrażliwego miejsca, gdzie wcześniej były jego palce.

Wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł je nieco. Z obawy przeszedł ją dreszcz; pamiętała, jak bolało ją poprzednim razem. Wchodził w nią powoli, stopniowo, cał po calu, póki nie zagłębił się w niej aż do podstawy.

- Spokojnie - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Poczekał... chwilę... - Pochylił głowę, oddychał szybko i płytko. - Jessalyn, jesteś tam taka ciasna. Mokra i gorąca jak usta. Opadając, wydał z siebie niski, rozdzierający jęk. Instynktownie otoczyła nogami jego biodra, wciągając go w siebie jeszcze głębiej. Zaczął się w niej poruszać. Położył otwartą dłoń na jej brzuchu, a potem skradał się palcami w dół, aż odnalazł ją w gęstwinie rudych loczków. Gładził ją w rytm miarowych, gwałtownych uderzeń. Rozkosz była tak przejmująca, że krzyk sam wyrwał się z jej gardła. Stare łóżko skrzypiało i stękało, drewniana rama stuknęła w ścianę, dudniąc, dudniąc, dudniąc... i w końcu nie była w stanie tego znieść, nie mogła wytrzymać... Ekspłodowała od środka, dygocząc, rozpadając się na tysiące kawałeczków, umierając...

Zbudziwszy się, poczuła jego zapach. Lecz kiedy wyciągnęła rękę, okazało się, że przestrzeń obok niej jest zimna i pusta. Wtuliła twarz w poduszkę, bojąc się otworzyć oczy, by stwierdzić, że została sama. Właśnie wtedy usłyszała cichy odgłos, jakby westchnienie, i powoli odwróciła głowę.

Zapomniany ogień już dawno wygasł. W izbie nie było światła, ale przez pojedyncze okno zaglądał do środka świt. Mężczyzna stał przed oknem, odwrócony do niej plecami. McCady Trewlany, ów człowiek o mrocznej duszy, którego kochała całą mocą swego kobiecego serca.

Obserwowała go, bojąc się oddychać. Przez wieczór i jedną noc należał do niej. Do niej należały jego brutalne i tkliwe dotknięcia, żarliwe pocałunki, tkwiąca w niej głęboko męskość. Zawsze podejrzewała, że oddając mu swoje ciało, zrzeknie się władzy nad własną duszą. Że będzie narażona na cierpienie przekraczające wszelką miarę. Mimo wszystko nie mogła już

zmienić tego, co było w jej sercu. Kochała go. Wobec tej miłości duma, wstyd czy żal nie miały najmniejszego znaczenia.

Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo zeszytywniał i odwrócił się. Jego twarz upadłego anioła wydawała się niebywale piękna w rozproszonym świetle. I odległa niczym gwiazdy.

Zbliżył się do niej o krok, zatrzymał. Był ubrany i naraz zawstydzila się własnej nagości, poczuła się bezbronna. Przysłoniła prześcieradłem piersi.

- Jutro wyjeżdżam do Londynu - rzekł.

Jego słowa zabolaty ją jak mocne uderzenie. Zamknęła oczy, aby ukryć łzy, i zdusiła w sobie szloch. Nie będzie płakała. Ani nie zapyta go o powody. Odezwał się jednak, jak gdyby odpowiadając na pytania.

- Bo muszę podjąć ostatnią, beznadziejną próbę ratowania mojej Kompanii. Bo powinienem dopilnować pewnej sprawy w Londynie jeszcze przed sierpniowym konkursem. Bo - utknął, a przez jego twarz przemknął grymas cierpienia - bo pragnę cię tak bardzo, że ledwie mogę oddychać, kiedy jesteś blisko. Jakżebym mógł mieszkać dalej z tobą w jednym domu i nie dotykać cię?

Wyprostowała nogi i podparła się na łokciach. Między udami czuła pieczenie. I dziwne pulsowanie głęboko w brzuchu, jak gdyby dreszcze, które przeszywały ją przez całą noc, błąkały się w niej jak echo.

- Chyba nie chciałabym dalej żyć, gdybyś miał mnie już nigdy nie dotknąć.

- Jessalyn... nie rozumiesz. - Z linii jego ust odczytała upór. Zaczęła ją ogarniać panika. Nagle nie mogła złapać tchu. Traciła McCady'ego, wymykał się jej, a ona nie wiedziała, co uczynić, aby go zatrzymać. Nie wiedziała, czego od niej chciał.

-Jestem u kresu wytrzymałości, stracony, przybity - ciągnął tonem kpiny, ale jego oczy nie kłamały. Widać w nich było cierpienie. - Nie wiem, dlaczego z każdą inną kobietą potrafię iść do łóżka i potem odejść, nie poświęcając jej więcej ani jednej myśli. Tylko z tobą zawsze... Do licha, Jessalyn, staram się cię nie zranić, ale zamiast tego bez przerwy sprawiam ci ból. Prawdopodobnie w ciągu najbliższych miesięcy osadzą mnie w więzieniu dla dłużników. Nie chcę, abyś zrujnowała sobie życie wraz ze mną.

- A jeśli nie dbam o to, co się ze mną stanie, póki jesteś przy mnie? - wykrztusiła ochryplym głosem przez gardło ściśnięte cierpieniem.

Podszedł i stanął nad nią. Jego wzrok zdawał się dostrzegać wszystkie jej wysiłki, by powstrzymać szloch i o nic nie prosić; przenikał do samej duszy.

- Ale ja o to dbam - rzekł niepewnie.

Pochylił się i po pewnej chwili pocałował ją tak lekko i szybko, że ledwie to zauważyła. Było to tylko przelotne wspomnienie nocnych pocałunków.

- Kocham cię - powiedziała. Lecz w izbie nie było już nikogo, kto by ją słyszał.

XXII

Las białych rąk wyrósł z za krat. Brudne dłonie chwytaly powietrze. Jessalyn przygryzła wargi, aby nie krzyknąć, i jednocześnie się cofnęła. Miała przed sobą twarz schowaną za gęstą białą brodą. Patrzyły na nią ciemne oczy szaleńca. Ale głos, który do nie przemówił, należał do osoby wykształconej i przy zdrowych zmysłach.

- Czy nie miałabyś jakimś cudem zbędnego pensa, by wspomóc biednego dłużnika, drogie dziecko? Choćby nawet ćwierci, aby ulżyć cierpieniom zagubionej duszy, skazanej okrutnym zrzędzeniem losu na pobyt w tym piekle na ziemi.

Jessalyn przeszukała po omacku dno torby, póki nie natrafiła na pół korony. Rzuciła monetę przez kraty, zamiast podać ją mężczyźnie bezpośrednio do ręki. Rechocząc z radości, brodaty mężczyzna rzucił się za datkiem.

Ruszyła szybko przez Fleet Market, ale nie potrafiła się powstrzymać, aby nie obejrzeć się przez ramię. Czuła wyrzuty sumienia, że potraktowała biedaka, jakby nie był istotą ludzką. Ale wyglądał i cuchnął, jakby go trawiła gorączka.

Piekło na ziemi.

Więzienie Fleet. Z żółtej mgły wyłaniały się masywne mury, podziurawione i czarne od sadzy, ponure ściany z kratami w maleńkich oknach zatłoczonych i zarobaczonych cel. Tego

mógł się spodziewać McCady Trewlany, jeśli nie uda się jej zrealizować planu uratowania go.

Zaczęło się od niejasno ukształtowanego pomysłu. Jednak pierwsza myśl przybierała kształt coraz bardziej wyrazisty w miarę pokonywania każdej mili przez dyliżans pocztowy, którym jechała do Londynu, w miarę upływu każdej godziny spędzonej nad piwem z melasą na oświetlonych pochodniami podwórcach, wraz z mijanymi wioskami, kiedy podkowy koni stukały po bruku i rozlegał się sygnał grany na rogu przez woźnicę.

Musiała znaleźć jakiś sposób, aby go ocalić.

Nadal nie mogła zapomnieć ostrzeżenia babki, które usłyszała tamtego ranka, kiedy wyjechał McCady.

Starszą damę zastała w łóżku. Lady Letty miała na głowie olbrzymi czepek z kokardami i wstążkami. Siedziała okryta prześcieradłem i ukradkiem zażywała tabaki.

Mniejsza z tym, czy babka ukradła tabakierę, czy też jedynie ją pożyczyła. Owych kilka sztuk, które miała ze sobą w Korn-walii, strawił ogień podczas pożaru. Na szczęście niemal cała kolekcja pozostała w Londynie.

- Babciu, jesteś niepoprawna - upomniała ją Jessalyn. - Przecież wiesz, co sądzi doktor o tego tpdzaju zgubnych nawykach. Zwłaszcza kiedy oddaje się im kobieta w twoim wieku.

Prychnięcie lady Letty zakończyło się kichnięciem.

- Kobiecie w moim wieku nawet żyć nie przystoi. Jessalyn usiadła na cytrynowej narzucie w pasy i wzięła starszą kobietę za rękę.

- Postaraj się myśleć o wyzdrowieniu. Przecież chcesz czuć się na tyle dobrze, aby w przyszłym miesiącu pojechać na derby do Epsom.

Podniosła głowę, aby dostrzec, że cynowoszare oczy babki spoczywają na jej twarzy.

- Zatem ostatniej nocy uczynił z ciebie kobietę, prawda?

Jessalyn zarumieniała się i czym prędzej opuściła głowę. Czyżby to było po niej widać? Czyżby McCady pozostawił ją w takim stanie jak trawiąca długo choroba? Z gorączką w oczach, z osłabionym sercem. Jasne słoneczne światło wpadało przez okna, lecz w tym momencie Jessalyn zatęskniła za okropną kornwalijską mgłą.

- Aha! Przynajmniej jeszcze się czerwienisz. Oj, on cię jeszcze poślubi, moje dziecko, albo ujrzę go w piekle.

Jessalyn nie odpowiedziała. Daleka była od informowania babki, że nie może być mowy o małżeństwie, skoro McCady Trewlany nie chciał jej nawet jako kochanki. Pochyliwszy się do przodu na stosie poduszek, lady Letty strzepnęła ze staniczka brązowy pył.

- Pasujesz do naszego hrabiego. Hulaka to najlepszy materiał na męża, wie, jak zadowolić kobietę. Bóg mi świadkiem, że twój dziad wiedział. - Poszperała pod prześcieradłem i wyjęła tabakierę. W zadumie pogładziła wieczko. - Kochał mnie, skończony głupiec. Nigdy nie przyszło mu do głowy, aby mi o tym powiedzieć. Ani razu, dopiero w dniu swojej śmierci. Mało brakowało, a zabiłabym go własnoręcznie za to, że kazał mi czekać tak długo. Mężczyźni nigdy nie wiedzą, czy myślą głowami, czy kuškami.

- Babciu!

Lady Letty parsknęła śmiechem.

- Za moich najlepszych dni znaleźmy wszystkie słowa i posługiwaliśmy się nimi bez żenady. No, i jaki był? Sprawił się dobrze? Zawsze tak na ciebie patrzył, jakby chciał cię pożreć. I pewnie uczynił to ostatniej nocy.

Rumieniec Jessalyn przybrał głębszy odcień. Próbowwała jakoś pozbierać myśli i nawiązać do pierwotnego celu wizyty u babki.

- Babciu, muszę jechać do Londynu.

Błysk zrozumienia pojawił się w oczach starszej kobiety.

- Chcesz ruszyć jego śladem, prawda? Wyrażę zgodę, jeśli zabierzesz ze sobą Bekę. Rozumiesz, moje dziecko: pozory. To wprowadzie tak jakby zamknąć zagrodę, dopiero gdy się koń spłoszył, ale musisz mi przyrzec, że nie wejdiesz więcej do jego łóżka, póki nie spotkacie się przed ołtarzem.

- Nie chcę za nim gonić, babciu. On nawet nie może wiedzieć, że wyjechałam. Poza tym nie zostawię cię tutaj samej...

- Zadba o mnie służący. Damy sobie radę. On tak jak ja dorastał obok kopalnianych hałd. - Jej sękaty, pokryte cętkami palce chwyciły za szczupłą dłoń Jessalyn. - Co, jest zrujnowany! Dlatego nie chce cię poślubić. Siedzi w tym po uszy, więc przyszło ci do głowy, że teraz tylko ty jesteś w stanie go uratować.

Jessalyn westchnęła. Niczego nie dało się ukryć przed jej babką.

- Zamierzam spróbować - odparła. Lady Letty mruknęła:

- Uważaj tylko, żebyś przy okazji nie naraziła na szwank jego męskiej dumy. Tego nie wybaczy żaden mężczyzna.

- Więc będę musiała zadbać o to, by nigdy się nie dowiedział.

„...zadbać o to, by nigdy się nie dowiedział”.

Jessalyn odwróciła się plecami do więzienia Fleet. Poprawiła pod szyją pelerynę, dłonie wbiła głębiej w muflę z lisiego futra i pochyliła się pod wiatr. Mgła była zmrożona i gęsta. Wokół unosił się odór gorszy niż w warsztacie u garbarza. Pogoda pasowała bardziej do stycznia niż do kwietnia.

Mijała ceglane domy odziane w sadzę i ściśnięte obok siebie jak książki na półce.

Sklepy, w których sprzedawano sznurowadła i tace do herbaty. Czują zapach gotowanej kapusty i pieczonych ziemniaków.

Okazało się, że zmierza w kierunku zaniedbanego magazynu przy rzece, od którego pachniało konopiami i herbatą. Z pobliskiej gospody dochodziły hałaśliwe śmiechy, tytoniowy dym mieszał się z zimnym powietrzem. Coś się poruszyło pod werandą i Jessalyn szarpnęła za spódnicę, spodziewając się, że ujrzy szczura.

Dostrzegła siedzącą w kucki kobietę, która trzymała małe dziecko w wysłanej słomą skrzynce na jaja. Patrzyła przerażona, jak kobieta zanurza słodki gałganek w kubku z ja-łowcówką i wtyka dziecku do ust.

Ze zdenerwowania poczuła skurcz w żołądku. Dostępu do jedyne go okna magazynu broniła żelazna krata, z drzwi schodziła czarna farba. Gdyby nie mała tabliczka z napisem PRZEDSIĘBIORSTWO TILTWELLA, sądziłaby, że nie trafiła we właściwe miejsce. Przez moment zastanawiała się, czy nie zapukać, potem po prostu nacisnęła klamkę i weszła do małego, mrocznego pomieszczenia.

Przy stołach przodem do ściany siedzieli kopiści. Kiedy pisali, w powietrzu szaleńczo kołysały się pióra. Wewnątrz było tak samo zimno jak na dworze.

Wszyscy mężczyźni mieli połatanе surduty, a ich szyje otaczały zamiast szalików worki na ziem-

niaki. Spod grubych, przyciętych rękawic wystawały niebieskie palce.

Skrzypnęło krzesło pod mężczyzną, który podniósł się, by ją przywitać. Otarł rękawem nos, czerwony i okrągły jak miedziana gałka.

- Chciałabym zamienić słowo z panem Tiltwellem, jeśli pan pozwoli - powiedziała Jessalyn. Z jej ust wydobywały się małe obłoczki pary.

Skryba zmierzył ją wzrokiem przez rogowe okulary, na których widać było tłuste odciski palców.

- Niestety, nie zastała go pani. Jest zajęty zbieraniem czynszów.

- W takim razie poczekam na jego powrót.

Mężczyzna kichnął w apaszkę pod szyją i gestem zachęcił, aby za nim poszła.

W pokoju, dokąd ją zaprowadził, było nieco cieplej, ponieważ na palenisku żarzyły się węgle. Na skąpe umeblowanie składało się kilka zniszczonych szafek, drewniany wieszak i prosty sekretarzyk z dębowego drewna. Ze ścian odchodziła stara tapeta. Pojedyncze, zabrudzone okno wychodziło na ciemne podwórze, na którym znajdowała się tylko zardzewiała pompa i mokra przyzma popiołu.

Jakiś czas później Jessalyn usłyszała głosy: Clarence'a, skryby oraz jeszcze jeden, niższy i brzmiący bardziej z wiejska.

Drzwi otworzyły się i wszedł Clarence, przynosząc z ulicy przenikliwy chłód i odór smogu. Był wysoki, przystojny i prezentował się wspaniale w płaszczu z doskonałej wełny i cylindrze. Mimo wszystko na jego widok nie zadrżały jej nogi, nic nie działało się z żołądkiem, a ciężar na duszy zrodził się nie ze smutku i nie z tęsknoty.

Uśmiechnął się szeroko, pokazując przerwę między przednimi zębami. Na jej widok rozbliły butelkowozielone oczy.

- Jessalyn, co za miła niespodzianka! - Zdjął futrzane rękawice i złożył dłonie. - Brr. Na dworze jest dzisiaj nieprzyjemnie i zimno.

- Właśnie. I już niedługo twoi ludzie pozamarzają na śmierć, Clarence. Nie mogę uwierzyć, że nie dostarczasz tym biednym ludziom opału, że taki z ciebie sknera.

- Rzeńskie powietrze skłania ich do wysiłku. Aby osiągnąć

to, co ja osiągnąłem, trzeba włożyć bardzo wiele pracy - powiedział beznamiętnie, sypiąc węgiel do ognia. Wyprostował się i rozejrzał po pokoju, jakby znalazł się tutaj po raz pierwszy.

- A gdzie twój lokaj? Przecież nie przyjechałaś sama.

- Nie mam lokaja. Dobrze o tym wiesz, Clarence.

- W takim razie twoja służąca. Powinnaś choć zabrać ze sobą tę dziewczynę z okropną szramą.

- Beka nie czuje się dobrze. Podobno okropnie boli ją głowa. Ale już dosyć, Clarence - warknęła. - Nie jestem tu po to, abyś robił mi wykład.

Clarence wyswobodził się z płaszcza, który powiesił na drewnianym wieszaku. Chociaż nie widzieli się zaledwie kilka miesięcy, młody Tiltwell wyglądał na zmienionego. Inaczej czesał włosy, do tyłu, co przy powiększającej się łysinie sprawiało, że jego twarz wydawała się pełniejsza. Poza tym jego usta sprawiały wrażenie bardziej ściągniętych.

- Przepraszam, że tak cię upominam - rzekł, podchodząc do niej. - Przecież wiesz, że to wszystko wynika z głębokiej troski o ciebie... - Zaczął unosić jej palce do swoich ust, kiedy na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Odwrócił jej dłoń grzbietem w dół. - Co ty sobie zrobiłaś? To mi wygląda na oparzenia.

Zgięła palce, chowając zniekształcone miejsca. Rany goiły się dobrze, choć nadal były zbyt bolesne, aby mogła nosić rękawice.

- Nasz dom spłonął; Babcia i ja ledwie uszliśmy z życiem.

- Byłyście wewnątrz. Tylko... - Zamilkł. Rozpacz zaciągnęła chmurą jego oczy, które przybrały barwę mchu porastającego kamienie. Jessalyn była pod wrażeniem jego reakcji.

Wyswobodziła dłoń i podeszła do okna. Na podwórzu stał mężczyzna. Pochylał się nad korytem z wodą i skrapiał sobie włosy. Na krótką chwilę wyprostował się i odwrócił. Jessalyn ujrzała pokrytą dziobami puciołowatą twarz Jacky'ego Stouta pod zmierzwionymi strąkami mokrych włosów. Mężczyzna zakręcił się na pięcie i zniknął w drzwiach budynku.

Jessalyn zdrętwiała, pewna, że to... ależ nie... Dobry Boże, przecież od dnia pożaru dosłownie wszędzie dostrzegała twarz Jacky'ego Stouta.

Odwróciła się od okna. Clarence przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem.

- Muszę przyznać, Jessalyn, że jeszcze wyładniałaś. Coś się wydarzyło?

- Clarence... - Złączyła za plecami dłonie i zmusiła się, aby spojrzeć mu w oczy. - Jestem tutaj, bo chciałam ci powiedzieć, że nie mogę zostać twoją żoną.

Znieruchomiał. Potem cicho westchnął.

- Rozumiem. A skąd wzięła się ta twoja ostateczna decyzja?

- Clarence, już kiedyś próbowałam ci to wytłumaczyć... Uwielbiam cię. Jesteś wspaniałym przyjacielem, ale po prostu nie kocham cię w taki sposób, w jaki byś sobie życzył. A ostatnio zrozumiałam, że nie pokocham cię już nigdy.

- Wybacz, ale nie podzielałam twojej pewności. Miałem nadzieję, że z czasem...

- Clarence, nie wyjdę za ciebie. Nigdy.

Dwoma palcami ścisnął grzbiet nosa między oczami. Zacisnął powieki. Potem odrzucił do tyłu głowę i odszedł, zaciskając pięści wzdłuż boków. W pokoju zrobiło się tak cicho, że słychać było pijackie śpiewy dochodzące z pobliskiej gospody.

Jessalyn przygryzła dolną wargę, kiedy patrzyła na jego wyprostowane plecy.

Dotychczas wszystko przebiegało nie najłatwiej, ale najtrudniejszą część sceny była dopiero przed nią.

Odetchnęła głęboko, jak gdyby wraz z powietrzem mogła zaczerpnąć odwagi.

- Wiem, że wypada to nie najlepiej, najpierw odrzucić twoją propozycję i prawie natychmiast prosić cię o wielki gest, lecz... - Przełknęła przez zaschnięte gardło.

Dobry Boże, to godziło w jej dumę jak smagnięcie szpicrutą w twarz. - Lecz znalazłam się w przymusowej sytuacji. Clarence, powiedz, czy... czy... wolno mi poprosić cię o pożyczkę?

Otworzył dłonie, odkaszlnął. Podeszedł do sekretarzyka. Oparł się biodrem o róg i patrzył na swoje złożone ręce. Twarz Clarence^ była tak biała jak płótno jego koszuli.

- Ile... - Głos mu się załamał, więc odchrząknął i spróbował ponownie. - Ile ci potrzeba?

Palce Jessalyn zajęte były bezskuteczną próbą skręcenia węzła z materiału spódnicy.

- Dzie... dziesięć tysięcy funtów. Tylko obawiam się, że nie

mam zbyt wiele do zaoferowania w charakterze zabezpieczenia. Dom w Londynie jest obciążony hipoteką od komina po piwnice. Ale są konie. - Zignorowała ból, który przeszył jej serce. - Nie wydają się wiele warte, ale jeśli Błękitny Księżyc wygra derby...

Kiwał butem do przodu i w tył, tam i z powrotem. Podniósł głowę. Chociaż jego usta układały się w coś w rodzaju uśmiechu, oczy - ku jej konsternacji - zaszkliły się łzami.

- Moja droga! Wiesz, że jeśli mnie poślubisz, zaspokoję każdy twój kaprys, nieważne jak będzie wymyślny czy kosztowny. A jeśli będziesz... Tak, jako twój mąż będę zobligowany pokryć wszystkie długi.

- Już ci wyjaśniłam, dlaczego za ciebie nie wyjdę, Clarence. Natomiast pieniędzy potrzebuję ze względów natury... osobistej.

- Jessalyn, Jessalyn... - Pokręcił głową, jak gdyby upominał nierozumne dziecko. - Uważasz mnie za głupca? Potrzebujesz ich dla niego... dla hrabiego Caerhaysa. W końcu dopiął swego, prawda! Uczynił cię swoją nałożnicą.

Fala gorąca uderzyła jej do głowy.

- Jak śmiesz!

- Przecież ten człowiek jest żonaty. Nie masz wstydu!

- Emily nie żyje! - wyrzuciła z siebie. Poczucie winy sprawiło, że niemal wykrzyknęła te słowa.

Clarence wyprostował się, a jego blada twarz nagle się ożywiła.

- Nie żyje, na Boga! A berbeć? Byłby chłopcem czy dziewczynką? - Odchylił do tyłu głowę i parsknął śmiechem pod sam sufit. - Biedny kuzynek. Być tak blisko celu i co, cyk - pstryknął palcami - nie ma! - Przemierzył długość pokoju, chichocząc do siebie. Nagle zatrzymał się, odwrócił i wbił wzrok w Jessalyn. - Sądzisz, że się z tobą ożeni! Teraz, kiedy bardziej niż kiedykolwiek zbliżył się do stanu całkowitej ruiny i hańby! Pograżył się ostatecznie. Nie może już mieć nadziei, że uniknie więzienia, kiedy nie żyje jego spadkobierca.

Jessalyn nie spuszczała z niego oczu, przypominając sobie szczupłą twarz chłopca, który na swych nagich ramionach unosił ją wśród wrzosów. Chłopca, z którym biegała nad Claret Pond i rywalizowała w nurkowaniu. Młodego mężczyznę, który przy ognisku świętojańskim obdarzył ją pierwszym pocałunkiem.

Tamten Clarence z pewnością otworzyłby portfel, aby ocalić swojego kuzyna. Wyciągnęła ku niemu rękę, jakby sięgała poprzez czas do chłopca, którym był.

- Och, Clarence, dobrze rozumiem, dlaczego duma nie pozwala McCady'emu poprosić cię o to osobiście. Tylko co cię powstrzymuje przed pożyczaniem mu pieniędzy, których tak bardzo potrzebuje?

- Moja droga, po pierwsze, musi je oddać właśnie mnie, bo podpisane przez niego skrypty dłużne znajdują się w moim banku. - Przeszedł przez pokój, gestykulując. Potem złożył dłonie jak do modlitwy. - Na Boga, wiele lat czekałem na tę chwilę. Kiedy McCady Trewlany padnie na kolana. Jeśli rzeczywiście jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie, to on wkrótce podąży śladem swoich braci, a ja będę mógł wystąpić o tytuł. Na razie wystarczy mi satysfakcja... - Zatrzymał się i niemal zawirował w miejscu. Zmrużył oczy. - Musi być naprawdę w rozpaczliwym położeniu, skoro przysłał cię do mnie.

- Nie przysłał. I nie możesz mu powiedzieć, że do ciebie przysłał. Bardzo cię o to proszę, Clarence. Nigdy by mi nie wybaczył, gdyby... - Zamilkła. Mówiła do niego, jakby był dawnym Clarence'em. Ale przecież tego człowieka w ogóle nie znała. Młody Tiltwell wyglądał na zatopionego we własnych myślach. Poprawił chustkę pod szyją, wygładził klapy surduta, jak gdyby żałował wcześniejszego wybuchu. Wrócił za sekretarzyk i usiadł. Przekreślił mankiet, zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął coś pisać w księdze oprawionej w czerwoną skórę.

Jessalyn nabrała powietrza w płuca, aby coś powiedzieć, ale tylko cicho westchnęła. Zdjęła z wieszaka płaszcz, mufę i podeszła do drzwi.

- Otrzymasz od mnie dziesięć tysięcy funtów, Jessalyn.

Odwróciła się, nie sięgnawszy klamki. Patrzyła na jego pochyloną głowę, bojąc się oddychać. Nadal coś pisał, skrzypiąc hałaśliwie piórem po papierze.

- Naprawdę, Clarence? A co będę musiała dać ci w zamian? Odrzuciwszy pióro, wyprostował się na krześle. Sięgnął do kieszonki w kamizelce i zaczął się bawić monetą. Jego spojrzenie było zimne i bezlitosne.

- Dasz mi siebie, rzecz jasna.

- Rozumiem. - Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je, mrugając powiekami. - Wiem wszystko o tego rodzaju transakcjach. Kiedyś ktoś mi objaśnił, na czym polegają, nie szczędząc przy tym szczegółów. Mam zostać twoją kokotą. Na jedną noc?! Czy wolałbyś może dłuższy kontrakt?!

- Och, nie, moja droga. Nadal chcę, żebyś została moją żoną. Tak, tak, zostaniesz moją żoną.

Powietrze uwięzło w gardle Jessalyn, jakby się miała udusić. Dziwne, ale myśl o zostaniu żoną tego mężczyzny była jej stokroć bardziej wstrętna niż myśl, by być jego utrzymanką.

- Nie - odparła krótko. Uniósł leniwie jedną brew.

- Nie?! Nawet jeśli nie ma innego sposobu na ocalenie życia twojego kochanka! Życie ma swoją cenę, nawet we Fleet. Swoją wartość mają ciepłe okrycia, jedzenie, jałowcówka, maty do spania. Wszystko można tam dostać, ale za pieniądze. Trzeba zapłacić nawet za zdjęcie kajdanów z nóg, w przeciwnym razie jesteś przykuty do podłogi. Wszystko kosztuje, Jessalyn. McCady długo nie pożyje, jeśli nie będzie miał pieniędzy.

Jessalyn poczuła w ustach smak spalonego papieru. Nie chciała słuchać słów Clarence'a. Nie chciała dokonywać takich wyborów.

Clarence znowu wziął pióro i zaczął nim przesuwając tam i z powrotem w dłoni.

- Jak to powiadają filozofowie... nie samym chlebem człowiek żyje? Ludzie mają plany, marzenia, są ambitni. Aby ułożyć czterdzieści mil kolejowego szlaku, McCady już do tej pory musiał się czołgać, płaszczyć, pocić i krwawić. Nawet chwycił za kilof, jeśli historyjki, jakie mi opowiadano, są prawdziwe. -Jego głos brzmiał teraz ciszej i groźniej. - Możesz zachować marzenia o nim, Jessalyn.

- Ale ja nie... - Wolno pokręciła głową. Czowała się bezwładna i bezsilna jak motyl, który wpadł do wiadra z melasą. Zdawało się, że całą swoją energię zużywa tylko na myślenie. - Nie rozumiem. Dlaczego chcesz naraz uratować człowieka, którego zacząłeś niszczyć?

- Ponieważ bardziej niż na zrujnowaniu jego zależy mi na tobie. Ciebie pragnę mieć wyłącznie dla siebie.

Obudziły się w niej wspomnienia. Przepływały kolejno niby seria papierowych obrazków. McCady jedzie na drewnianym koniu; twarz McCady'ego rozjaśnia uśmiech, wokół światła zaś wirują niczym gwiazdy szczupłe, pokryte bliznami palce, a w dłoniach maleńkie dziecko: „Niemowlęta oraz powabne dziewice zawsze sprawiały, że trzęsły mi się kolana i kołatało serce”. McCady wrzuca do ognia węgiel, para kłębi się wokół jego głowy otoczonej ciemnymi włosami: „Chciałabym zabrać się z panem, poruczniku Trewlany...”

Ciemne oczy jaśnieją rozpalone namiętnością; dostrzegają piękno jej ciała, dotykają: „Pragnąłem cię od czasu, kiedy skończyłaś szesnaście lat...”

Jessalyn splotła dłonie na plecach i wyprostowała się. Podniosła brodę i popatrzyła z góry na wnuka prostego kopacza z kopalni.

- Możesz mnie mieć, panie Tiltwell! - rzekła. - Ale dziesięć tysięcy funtów to kwota zbyt mała. Masz umorzyć wszystkie jego skrypty dłużne. Nie wystarczy tylko odstąpić od odsetek. Zapłacić jego wszystkie długi do ostatniego pensa.

Głowa odskoczyła mu do tyłu.

- Ależ ty mówisz o czterdziestu tysiącach!

- Nie zamierzam się targować. Innej oferty nie przedstawię. Możesz ją tylko przyjąć albo odrzucić.

Wstał, podszedł do niej, pragnąc wyrzucić na niej wrażenie swym autorytetem.

Zacisnął usta w wąską linię i wpatrywał się w nią, starając ocenić, na co naprawdę jest zdecydowana. Jessalyn śmiało odpowiadała spojrzeniem. Pod spódnicą dygotały jej łydki, ale nawet nie mrugnęła.

Wydał wargi i głęboko odetchnął.

- Bardzo dobrze, Jessalyn. - Chwycił ją za rękę i groźna nuta znowu zabrzmiała w tonie jego głosu. - Ale ja także mam swoje warunki. Kiedy zostaniesz moją żoną, nie zbliżysz się do niego nawet na krok. W mojej obecności nie wypowiesz nigdy jego imienia. A tak, między nami, będziemy uważali, że on nie żyje.

Czuła się tak, jakby ość stanęła jej w gardle. Nie była w stanie wykrztusić słowa.

Jedynie zdecydowanie skinęła głową.

- W takim razie dogadaliśmy się. Zostaniesz moją żoną, a ja

oddam ci skrypty dłużne, rzecz jasna splecione, w naszą noc poślubną. Popatrzyła na bladą, szczupłą twarz człowieka, którego uważała niegdyś za najdroższego przyjaciela. Łzy wypełniły jej oczy. Nie udało się jej ich powstrzymać. Spłynęły po policzkach.

- Jak możesz, Clarence? Myślałam, że go kochasz. Myślałam, że kochasz nas oboje. Otarł jej łzy palcami. Twarz mu złagodniała.

- Mogę cię uszczęśliwić, Jessalyn. Przekonasz się, że potrafię tego dokonać. Za jakiś czas zapomnisz o nim. Przestaniesz go kochać i zamiast niego zaczniesz kochać mnie, bo tak to miało być od samego początku.

- Nigdy o nim nie zapomnę. Ani nie przestanę go kochać. Drgnęły cienkie nozdrza Clarence'a, ale mówił dalej, jakby ona wcale się nie odzywała.

- Musimy się pobrać bezzwłocznie. Nie powinienem mieć kłopotów z uzyskaniem specjalnego pozwolenia...

- Nie. Pobierzemy się w tydzień po derby.

Wcisnął koniuszek języka w szparę między zębami i wolno pokręcił głową.

- Jessalyn, po co mielibyśmy to odkładać? Czemu by to miało służyć... jaki pożytek miałby z tego mieć on?

Cofnęła się i po omacku za plecami zaczęła szukać klamki. Musiała natychmiast opuścić to przygnębiające pomieszczenie. Robiło się jej niedobrze.

- Ponieważ derby to moje marzenie. Nie chcę, aby wypadło ponuro tylko dlatego, że przeżyję je jako twoja żona.

Skierował ku niej swoją twarz, ona zaś odwróciła głowę w bok. Ujął ją pod brodę, przytrzymał i wycisnął na jej ustach twardy, karzący pocałunek.

- Postąpiłaś niewłaściwie, oddając mu coś, co należało do mnie - powiedział, owiewając jej wargi gorącym oddechem. - Minie sporo czasu, zanim zdołam ci to wybaczyć.

Wyrwała się z jego uścisku, ocierając usta wierzchem dłoni.

- Nie jestem pańską własnością, panie Tiltwell.

- Ależ przeciwnie, moja droga. Właśnie kupiłem cię za czterdzieści tysięcy funtów.

Topper szedł wzdłuż Fleet Street w przeświadczeniu, że chwycił szczęście za rogi. Gwizdnął przez szparę w uzębieniu na dziewczynę o pulchnych policzkach, która wyszła z tawerny, by opróżnić wiadro z pomyjami. Rzucił pensa beznogiemu żebrakowi, który poruszał się na wózku i grał na fujarce. Na zakręcie pojawił się mężczyzna, który za pomocą specjalnej tyczki podpalał uliczne latarnie. Wkrótce jeden za drugim w mglistym mroku zaczęły się ukazywać maleńkie punkciki światła. Topper wyobraził sobie, że jest to sznur pereł.

Uchyliwszy kapelusza, zszedł z drogi pewnemu dżentelmenowi, przed którym kroczył dumnie lokaj ubrany w liberię i z laską w dłoni. Kiedyś będę wyglądał jak ten ważniak - pomyślał Topper. Nadejdą czasy, że on również będzie bogaty, będzie nosił świecące stroje i jeździł ze służbą powozami zaprzęganymi zawsze w parę identycznych koni. A jeśli będzie miał ochotę na spacer, zabierze ze sobą lokaja, aby torował mu drogę.

W pewnej chwili chwycił w nozdrza aromat gorących bułeczek, który dochodził z pobliskiego sklepiku, gdzie sprzedawano pieczywo. Kupił sobie bułkę z pasztetem z baraniny, a na deser ciastko z truskawkami. Zbliżały się derby i kto zamierzał dosiąść konia, musiał uważać na wagę. Jednak nastanie kiedyś dzień, że będzie mógł wypychać sobie policzki truskawkowymi ciastkami, aż zacznie przypominać kota. Taki będzie bogaty.

Taki bogaty jak mój szef... - myślał Topper, odchodząc od Fleet Street w bok i zmierzając ciemnymi uliczkami w kierunku rzeki. Wyteżał wzrok, starając się nie dać zaskoczyć miejscowym złodziejom, dla których uderzyć kogoś pałką w głowę znaczyło zaledwie tyle co splunąć. Bogaty jak król był ten jego szef, chociaż nie wiadomo było dokładnie, gdzie prowadzi swoje interesy. No, ale jeśli mieszkało się niedaleko ludzkich bud i kamienic czynszowych, rozum nakazywał nie kłuć w oczy gotowizną. A pieniądze szefa w znacznej części pochodziły z tych samych bud i kamienic czynszowych, dwa szylingi od głowy na tydzień.

Topper doskonale wiedział, jak jest w takich miejscach: ciemne, zawilgocone pokoje, oświetlone tylko cuchnącymi łojowymi kagankami; robactwo pełzające po ścianach. Dobrze też wiedział, co to znaczy być tak głodnym, żeby jeść ogryzki zbierane ze

śliskiego od plwocin chodnika. Albo roztopiać kawałeczki świec w wodziance, aby oszukać głód.

Jakieś drzwi otworzyły się i niepewnym krokiem wyszedł na ulicę kominiarczyk, niemal zbijając Toppera z nóg. Zgięty wpół, dźwigał worek z sadzą. Jego mistrz okładał go po nogach kijem od szczotki. Topper czym prędzej zniknął im z oczu. I o tym też wiedział co nieco. Co się czuje, kiedy bladym świtem zrywają cię zmarzniętego ze słomy i worków na sadzę i zapędzają do czyszczenia kominów bogaczy. Kiedy na kolanach i łokciach twardej ci skóra do tego stopnia, że po jakimś czasie otwierają ci się tam rany i nie możesz znieść bólu. Kiedy cię zmuszają, abyś wciskał się do kominów zbyt wąskich nawet dla szczura, póki nie utkwisz w którymś z nich i nie będziesz mógł się ruszyć ani w górę, ani w dół...

Topper otrząsnął się z tych wspomnień. Co było, minęło. Należało o wszystkim zapomnieć. Ale znał jeszcze gorsze sposoby wegetowania na granicy śmierci głodowej. Na przykład przy skręcaniu katgutów w fabryce albo w domu rozpusty sprzedając swe ciało jak kobieta. A gdyby cię przyłapali na odcinaniu torebek z pieniędzmi, musiałbyś iść do więzienia. Topper zadygotał na samą myśl. Dostawał mdłości, wyobrażając sobie, że siedzi zamknięty w małej celi. Kilka razy zdarzyło się, że utknął między ścianami komina w nieprzeniknionych ciemnościach i musiał oddychać gęstym powietrzem. Potem już zawsze śmiertelnie obawiał się mrocznych miejsc.

Tylko jednej rzeczy bał się jeszcze bardziej, mianowicie smolistych brodawek. Dostawali ich czasem kominiarczykowie, którzy wyrosli na tyle, aby spać z dziewczętami. Nie mogli sypiać z nimi zbyt długo, jeśli już dopadła ich ta piekielna choroba, która jeszcze przed śmiercią doszczętnie wyżerała genitalia.

Podejrzane zmiany zauważył przed sześcioma miesiącami.

Jego umysł nie dopuszczał najgorszych myśli. Nie było powodu do zmartwień. Po prostu złapał coś od dziewczki, którą sobie przygruchał po gonitwie Cromby'ego.

Wypił wtedy za dużo jałowcówki. Gdyby chodziło o smoliste brodawki, odczuwałby jakiś ból. A przecież te wypryski nie sprawiały żadnego bólu. Były twarde i łuskowate; wbijał na przykład w nie kolec i niczego przy tym nie czuł. Nie, w żadnym razie nie mogło

być mowy o smolistych brodawkach. Jedynie złapał jakiś drobiazg od tamtej turkawki.

Tego wieczoru w gospodzie panował tłok. Mężczyźni stali w trzech rzędach przy barze, aby przepłukać gardło szklaneczką wódki za dziewięć pensów. Topper wszedł do magazynu bocznym wejściem. Spod zamkniętych drzwi do gabinetu pryncypała światło padało na taborety, formując na ścianie cień, który wyglądał jak pajęczyna.

- Ty zapluty głupcze! - Usłyszał lodowaty i gniewny głos dżentelmena. - Miałeś nie podpalać domu, gdyby ona była w środku.

- No to kiedy miałem to zrobić, jak nie w nocy? - brzmiała odpowiedź przypominająca zawodzenie. To był Jacky Stout, osiłek, który pomagał pryncypałowi w egzekwowaniu czynszów i wykonywał dla niego inne nieczyste zlecenia. - Przecież nie mogłem podpalić domu w biały dzień.

Topper zawahał się. Nie chciał wchodzić do gabinetu szefa, kiedy w środku przebywał Stout. Nigdy nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że człowiek wykształcony, pełen oglady zetknął się z kimś takim jak Jacky Stout. Stout chełpił się, że on i pryncypał mają za sobą wspólną drogę. Podobno kiedyś w Kornwalii, gdy pryncypał był zaledwie młodzieńcem, wynajął go do stania na czatach podczas przemytu, nawet mu zapłacił, tylko w ostatniej chwili sam stchórzył i wycofał się z całego przedsięwzięcia.

Topper otarł rękawem spoconą twarz i sięgnął do klamki.

Pryncypał podniósł głowę znad biurka. Jego ładną twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

- Topper, a więc jesteś... Możesz mi pogratulować, chłopcze. Panna Letty znowu obiecała zostać moją żoną.

Topper spróbował się uśmiechnąć.

- W takim razie ślub mimo wszystko się odbędzie. - Zerknął przelotnie na Stouta. Mężczyzna z ospowatą twarzą przerzucił górniczy młotek - ulubioną broń, z którą chodził po pieniądzu - z jednej mięsistej dłoni do drugiej. Uśmiechał się, odsłaniając zęby, które zdaniem Toppera równie dobrze mogłyby należeć do ściekowego szczura.

Młodzieniec przeniósł wzrok na pryncypała. Starał się nie myśleć o pannie Jessalyn i o tym, jaki ją czeka los, gdy poślubi człowieka, który dorobił się fortuny na czynszach.

- Przyszedłem odebrać swoje pieniądze. Należy mi się pięćset funtów gotówką.
- Przykro mi, ale jeszcze nie zapracowałeś na nie - oświadczył pryncypał.
- Ale miałem je dostać tamtego dnia, kiedy panna Letty przegrała wyścig i obiecała, że zostanie pańską żoną.

Jacky Stout odłożył młotek na kolana i strzelał kostkami swych potężnych dłoni.

Topperowi przeszły ciarki po grzbiecie, ale nie spojrzął w stronę osiłka, aby nie dać mu satysfakcji.

Trzymał głowę prosto i spoglądał bezpośrednio na szefa. Mężczyzna opierał brodę na splecionych dłoniach i przygryzał w zamyśleniu kciuk. Na biurku stał wymyślny srebrny świecznik. Płomienie niespodziewanie się zakołysały. Zapadła intensywne cisza. Topperowi wydawało się, że słyszy bicie własnego serca.

- Dlatego, że nadal chce uczestniczyć w wyścigu - powiedział w końcu pryncypał. - Twoja rola będzie polegała na tym, że jeszcze przed derby w Epsom musisz podtruć Błękitnego Księżyca. Tym razem załatw sprawę bardziej skutecznie, najlepiej na trwałe. Jeśli ta cholerna szkapa wygra choćby o długość wąsa, oberwę ci jaja.

- Ale skoro panienka obiecała "wyjść za pana, to dlaczego pan chce jej jeszcze wyrządzić krzywdę? Myślałem, że w tym wszystkim chodzi tylko o jedno. - Topper machnął ręką, pokazując gestem, że ma na myśli wszystkie podtrute konie z ostatnich dwóch lat i ułożone wyścigi. - Unieszczęśliwić ją tak bardzo, aby musiała zwrócić się do pana o pomoc.

Usta pryncypała uniosły się w łagodnym uśmiechu, uśmiechu, któremu Topper nie ufał nawet przez chwilę.

- Otóż coś takiego nazywamy ubezpieczeniem, mój drogi chłopcze.

Topper machnął głową do tyłu i w przód.

- Nie zrobię tego. Nigdy więcej. Nie ma takich pieniędzy, które by mnie do tego skłoniły. - Przyjemnie mu się słuchało własnych słów, ale jednocześnie wiedział, że w głębi serca tak nie myśli.

Pryncypał oparł się na krześle. Sięgnął do kieszeni i wyjął dwie złote gwinee. Zaczął je przekładać między bladymi, szczupłymi palcami.

- Topper, mój drogi chłopcze, na pewno widziałeś, jak taki młotek kruszy skały. - Jacky Stout zaczął bawić się młotkiem. Bum-bum... bum-bum... bum-bum... i cała odwaga uleciała z Toppera. - Pomyśl, co takim młotkiem można zrobić dłoniom dżokeja - ciągnął pryncypał spokojnym tonem. - Ludzie powiadają, że talent dżokeja spoczywa w jego dłoniach...

Młotek tak twardo uderzył w podłogę, że zadygotał cały budynek.

Topperowi zrobiło się niedobrze. Pochylił się i zwymiotował pasztet barani na swoje ładne buty z metalowymi sprzączkami. Nie wyprostował się. Pochylony, dyszał, a pot spływał mu po bokach. Otarł usta rękawem jasnożółtego surduta.

- Pójdę na policję - wychrypiał. Pryncypał roześmiał się.

- Zatem dalej, pospiesz się. Sądziysz, że ktoś da wiarę twojej opowieści! Że prędzej uwierzą tobie niż członkowi parlamentu?! Nie, bardziej prawdopodobne będzie to, że trafisz do więzienia. Do celi. Ciemnej celi.

Topper nie potrafił opanować drżenia. Jacky Stout parsknął śmiechem, kwiczał jak świnia, której wrzucono do koryta jedzenie. Pryncypał gwałtownie zwrócił twarz w jego stronę.

- Spokój, Jacky. Dla ciebie mam inne zajęcie. Nalana twarz Stouta zastygła jak roztopiony lód.

- He? Przecie sprawę załatwiłem należycie. Dom spalony do szczętu. Kopalnia rozwalona jak się patrzy i do niczego się nie nadaje. Naprawy pochłonęłyby więcej, niż ten zakichany lord może kiedykolwiek mieć.

- Wiesz, jak wygląda lokomotywa, Jacky?

- He?

Pryncypał westchnął ciężko.

- Nie szkodzi. Przemyślę szczegóły i wyłożę ci to wszystko później.

- Co pan chce, abym zrobił tej lokocośćam?

- To samo, co zrobiłeś z kopalnią - rzekł pryncypał, przywołując na twarz nikły, zimny uśmiech. - Wysadzisz ją w powietrze.

342

XXIII

Na tle przydymionego czerwonego nieba ich sylwetki wyglądały jak cienie, jak upiorni jeźdźcy z legendy, podążający po jego duszę. Galopowali wzdłuż szczytu wzniesienia, zatoczyli szeroki łuk i zaczęli się zbliżać ku niemu w porannej mgle. Wydawało mu się, że tętent zlewa się z szaleńczymi uderzeniami jego serca. Ściągnął usta, dostrzegłszy ognistego gniadosza. Zacisnął ręce, jakby już wcześniej zdążył je położyć na jej gardle.

Konie przegalopowały przed zagajnikiem starych buków. Między drzewami szkła lunet błyszczały jak srebrzyste krople deszczu. Tego ranka niemal wszystkie konie wyprowadzono na ostatni treningowy galop przed wielkim wyścigiem.

Ognisty gniadosz oddzielił się od grupy i zatrzymał przy jednorękim mężczyźnie, który siedział w siodle i wszystkiemu się przyglądał. Jeździec na gniadoszu wyprostował się. Po chwili jednoręki mężczyzna odwrócił się i wyciągnął dłoń.

McCady uśmiechnął się powściągliwie. Jechała do niego.

Ściągnęła wodze, zeskoczyła na ziemię i podeszła. Z tyłu jej głowy formowały się pióropusze pary, wylatujące z nozdrzy gniadosza. Przed porannym chłodem chronił ją męski wełniany surdut i czapka. W przymglonym świetle błyszczała jej twarz; na McCady'ego spoglądały duże, szare oczy.

Ściągnęła czapkę i odchyliła do tyłu głowę. Jej włosy rozsypały się na ramiona kaskadą roztopionej miedzi. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział czegoś równie pięknego. Nagle zapragnął pochwycić ją w ramiona i skryć twarz w tych włosach. Wyszarpnął z kieszeni złożony „Morning Post” i cisnął gazetę w jej twarz.

- Czy to prawda?

- Tak. - Ciemne, burzowe chmury zaciągnęły jej oczy i pojawiło się w nich uczucie, którego nie umiał nazwać.

Odrzucił gazetę w bok i chwycił Jessalyn za ramiona. Przysunął się do niej tak blisko, że dostrzegał, jak jego oddech porusza kosmyki jej włosów.

- Do licha z tobą, Jessa. Jesteś moja. Wyszarpnęła się i cofnęła kilka kroków.

- Nie należę do nikogo, tylko do siebie! Swoim życiem kieruję sama. Jeśli chcę poślubić kogoś dla pieniędzy...

- Dla pieniędzy!

Oddech nieco gwałtowniej wstrząsnął jej piersią.

- A tak, dla pieniędzy! Co w tym straszego? Sam to zrobiłeś. Może mam już dosyć własnej biedy.

Przyjrzał się uważnie jej bladej, pięknej twarzy.

- Kłamiesz.

- McCady, proszę... - Wciągnęła do wewnątrz dolną wargę, potem uwolniła ją i wtedy ogarnęło go takie przemożne pragnienie pocałowania jej, że musiał zacisnąć zęby, aby powstrzymać jęk. - Proszę - powtórzyła - Nie utrudniaj tego wszystkiego. I tak jest mi już bardzo ciężko.

- Bo to, do diaska, nie powinno być łatwe. Wypowiadała słowa, które nie pasowały do wyrazu udreki

w jej oczach. Kłamała. Przecież ją znał. W pewnym sensie znał ją lepiej od siebie. Wiedział, że nie poślubiłaby Tiltwella dla jego pieniędzy. Nie poślubiłaby żadnego mężczyzny, dopóki nie byłaby pewna, że go kocha. „Kocha go...”

Serce przeszył mu gwałtowny ból. Nigdy dotąd nie cierpiał w taki sposób. Nie wiedział, jak zdoła to znieść. Miał ochotę ją zabić. Pragnął zgnieść ją w ramionach i złączyć z nią usta. Chciał wbić się w nią głęboko, bez litości... aż w końcu musiałaby przyznać, że należy do niego i tylko do niego.

Zacisnął dłonie na ramionach Jessalyn i wściekłym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. Opadł na jej wargi otwartymi ustami, całując ją brutalnie i zarazem rozpaczliwie. Chwyciła za klapy jego surduta, przywarła do niego, językiem odnalazła jego język i, och, Boże, jeszcze nigdy nie smakował takiej słodyczy. Pachniała koniem, wilgotną trawą, pierwszokowym mydłem i przez chwilę krótką jak uderzenie serca wypełniła mu świat.

Póki nie oderwała od niego ust i nie pchnęła go tak mocno, że prawie się przewrócił. Cofała się przed nim, wolno potrząsając głową, trzymając drżące palce przy wilgotnych i opuchniętych ustach. Jej oczy były jak dwa płynne księżyce na bladej twarzy.

Nabrał w płuca powietrza i żałośnie westchnął.

- Jessalyn, na miłość boską, nie... - Słowa same formowały

się w jego ustach. Nieproszone, raniące jego dumę. - Zamierzasz poślubić Clarence'a Tiltwella?

- Tak.

- Wobec tego do diabła z tobą! - warknął, obrócił się na pięcie i odszedł sztywnym krokiem, miażdżąc pod stopami gęstą trawę.

- McCady!

Drgnęły jego plecy, jakby smagnięte biczem, ale nie odwrócił się. Stracił ją i dręczyło go to jak najgorsza śmiertelna choroba. Ale szedł nadal i nie spojrzął do tyłu. Nawet wówczas, kiedy szloch, wstrząsający jej piersią, zabrzmiał tak, jakby rozrywał jej serce.

Jak w duszy diabła - pomyślał Topper. Noc była czarna jak dusza diabła. Przycupnął pod ukośną ścianą. Ogarnięty paniką, oddychał ciężko. Ze świstem wciągał do płuc powietrze nasycone końskim potem i zapachem świeżego łajna. Jakże było ciemno! Gdyby tak mógł zapalić świecę! Nie śmiał ryzykować, kiedy Sierżant Major spał, chrapiąc na maleńkim poddaszu między krokwiami i słomą.

Zaszeleściło siano, kiedy zbliżał się do boksu Błękitnego Księżyca. Topper wzdrygnął się i ledwie pohamował, aby nie krzyknąć. Drżącą ręką otarł spoconą twarz, chociaż noc była chłodna. Boże uchowaj, był zdenerwowany jak pchła na rozgrzanym piecu.

Wielki gniadosz przywitał go cichym parsknięciem i dotykiem aksamitnego nosa. Do oczu Toppera napłynęły piekące łzy. Nie mogę tego zrobić - pomyślał. Nie zrobię tego. Ale już zdjął ze słoja korek i wlał zawartość do wiadra z wodą gniadosza.

Była to odrobina wina kanarkowego, zaprawionego trutką na szczury, w ilości wystarczającej do zabicia każdego konia.

- Popatrz, co mam dla ciebie, mój śliczny - zanucił Błękitnemu Księżycowi do ucha, a jego słowa jak zwykle zapowiadały smakołyk. Koń zastrzygł uszami i pochylił głowę do drewnianego wiadra. Topper na razie trzymał je poza zasięgiem zwierzęcia. Błękitny Księżyc uwielbiał wino. Otrzymywał je jako coś specjalnego po każdej gonitwie albo solidnym galopie.

Nie mogę tego zrobić... - myślał.

Młotek uderzył w podłogę z taką siłą, że pozostawił w podłodze wgniecenie wielkości spodka do herbaty. Nic innego, tylko właśnie to Topper ciągle widział oczami wyobraźni: młotek unosi się i opada, unosi, opada. Na jego dłonie.

Zduszone kwilenie przedostało się przez jego ściśnięte gardło. Tak kurczowo ścisnął wiadro, że zawartość zaczęła się wylewać na słomę. Błękitny Księżyc zarżał i trącił go w ramię.

- Przepraszam, mój drogi, ale muszę. Przepraszam, przepraszam...

Nadstawił wiadro, a Błękitny Księżyc pochylił głowę.

Powstrzymując rozdzierający szloch, Topper zawirował w miejscu i cisnął wiadro o ścianę. Wylądowało niedaleko, zawadziwszy o belę siana. Rozległ się tylko cichy łomot i chlupot. Ale Topper o tym nie wiedział, bo już zdążył zniknąć w mroku nocy.

- Topper gdzieś się zapodział - powiedział Sierżant Major. Patrzył na swoje buty, ale i tak dostrzegła połyskliwą wilgoć w jego oczach.

Oparła się łokciami o drzwi przegrody. Błękitny Księżyc patrzył na nią pustym wzrokiem. Ale w końcu był to dzień wyścigu, a on zawsze wydawał się tego dnia znudzony.

- Och, te wszystkie wypadki... - westchnęła. Serce wypełnił jej nieopisany smutek. Najpierw zawiódł ją Clarence, a teraz ta historia z Topperem. Mogło się zdawać, że wszyscy ludzie należący do jej świata okazywali się inni, niż sobie wcześniej wyobrażała. Czuli się zdradzeni i przybiti. - Sądziłam, że wszystkiemu było winne fatalne szczęście Lettych. A wygląda na to, że los wyręczył się Topperem.

Sierżant Major mruczał coś pod nosem, otwierając gniadoszowi szczękę. Obejrzał szorstki język, powąchał oddech.

- Może i podtruł go, trudno powiedzieć. To teraz bez różnicy. Nie ma Toppera, więc koń i tak nie pobegnie.

Jessalyn weszła do boksu. Pogłaskała gniadosza po gładkiej sierści. Przesunęła dłonią w dół zadu, zatrzymując się przy stawie, który został uszkodzony ostatniej jesieni. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku.

- Ja pojedę zamiast niego - rzuciła. Sierżant Major splunął w słomę.
- W żaden sposób. Kobieta nie może wziąć udziału w wyścigu.
- Tak? Przecież nie mogą nas zdyskwalifikować za złamanie zasady, która formalnie nie istnieje. Zresztą nikt się nie zorientuje. Jestem odpowiedniego wzrostu, szczupła i jeszcze będę miała na sobie strój dżokeja. Powiesz po prostu, że mamy nowego chłopaka. - Na jej drżących ustach pojawił się uśmiech nadziei. - Spodziewam się, że mimo wszystko wygramy.

Marszcząc czoło, Sierżant Major patrzył na nią nad grzbietem gniadosza. Zacisnął pełne wargi, schował głowę w ramionach i znowu splunął w słomę.

- Mnie i Błękitnego Księżyca znajdzie panienka przy wadze. Niech no panienka się nie rozgląda i trzyma język za zębami. Rzuci panienka jedno słowo, a kot tak szybko nie wskoczy na płot, jak szybko wszyscy będą wiedzieć, że mają do czynienia z kobietą.

Czarno-szkarłatna koszula z tafty i skórzane bryczesy Toppera wisiały na kołku przy ścianie. Sierżant Major z poświęceniem sam wszystko wyczyścił. Nawet zagniecenia rozprasował nagrzanym gładkim kawałkiem żeutZa. Jessalyn zdjęła szeleszczącą cichutko taftową koszulę. Łzy napłynęły jej do oczu, ale ponieważ była sama, tym razem pozwoliła im spłynąć.

Na odgłos szurania skórą po żwirze odwróciła się gwałtownie, prawie pewna, że ujrzy skruszonego chłopca.

W drzwiach przybudówki stanął McCady Trewlany. Oparł się ramieniem o futrynę i swobodnie skrzyżował ręce na piersi. W oddali za nim wschodziło słońce, dlatego rysy jego twarzy ginęły w cieniu. Poza oczami, które zdawały się świecić niczym oczy kota, dzikie i błędne. Kochała go. Miłość w jej sercu wzbierała tak wielka, że cierpiała na sam jego widok. Nie była w stanie oderwać od niego wzroku.

Westchnął głęboko.

- Jessalyn!

Przedzielił ich długi cień.

- Ach, tutaj jesteś, moja droga - rzekł Clarence Tiltwell. Wszedł do przybudówki, opanowany i elegancki w tabaczkowym surducie i obcisłych szarych bryczesach. Rozejrzał się,

marszcząc gładkie, wysokie czoło. - Właśnie przed chwilą widziałem, że twój stajenny prowadzi Błękitnego Księżycza na wagę. Jestem tobą rozczarowany, Jessalyn. Że mimo wszystkich moich próśb, mimo cierpliwego nakłaniania do czegoś innego, nadal jesteś zdecydowana uczestniczyć w tej rywalizacji.

- Idź sobie pogadać na jakiś inny piknik, Tiltwell - powiedział McCady tonem świadczącym o najwyższym stopniu irytacji. - Ona jeszcze do ciebie nie należy. - Hrabia nawet się nie poruszył. Pozostał w niedbalej pozie, ale wrogie nastawienie obu mężczyzn wydawało się tak rzeczywiste, jak mocno napięta struna, za którą Jessalyn mogłaby szarpnąć.

Mruczając pod nosem jakąś prostą melodyjkę, Clarence zajrzał do pustego boksu.

- A gdzie się podziewa twój dżokej? Chciałem dać mu gwineę na szczęście.

Jessalyn przycisnęła do piersi czarno-szkarłatną taftową koszulę, jak gdyby trzymała w ręku tarczę.

- Mogę sama mu ją dać, jeśli pozwolisz. Czeka na mnie przy wiacie pomiarowej.

Clarence uśmiechnął się promiennie do kuzyna, odsłaniając przerwę między zębami.

- Tak, Caerhays. Pewnie już słyszałeś, że Jessalyn i ja zamierzamy się pobrać w najbliższy piątek. Przyszedłeś, aby życzyć jej szczęścia!

McCady uniósł i opuścił jedną brew.

- Sądzisz, że można być szczęśliwym w piekle? Śmiech Clarence'a nie zabrzmiał ani wyraźnie, ani pewnie.

- Daj spokój, kuzynku. Wszystko uchodzi na wojnie i w miłości, czyż nie tak powiadają? Co to, Jessalyn, płakałaś? - zapytał, zachowując się w taki sposób, jakby właśnie dopiero przed chwilą to zauważył. Musnął jej policzek kostkami palców.

McCady zeszywniał, wydając z siebie taki odgłos, jakby ktoś go dusił.

Przez wzgląd na człowieka, którego kochała, Jessalyn zniosła dotknięcie Clarence'a.

A nawet zdobyła się na uśmiech.

- To nic. Po prostu denerwuję się przed wyścigiem, mój drogi - dodała, chociaż ostatnie słowa miały posmak żółci.

Clarence klasnął językiem.

- Biedactwo. No, ale w końcu kobieca wrażliwość powinna

być bardziej delikatnej natury - rzekł. - Kiedy więc zostaniemy małżeństwem, będziesz się oddawała zajęciom, które nie wywołują nadmiernych wzruszeń, a przez to bardziej godnym małżonki członka parlamentu.

Poklepał ją po policzku, jak gdyby była posłusznym zwierzęciem. Odwrócił się, by odejść, ale jeszcze przystanął w drzwiach i demonstracyjnie przyjrzał się kuzynowi od czubków jego wypolerowanych butów po jedwabny cylinder na głowie.

- Wiesz, jaki jest z tobą kłopot, Trewlany? Nie dostrzegasz momentu, kiedy powinienes ustąpić. Zwłaszcza że już całkowicie przegrałeś.

- A wiesz, jaki ty masz kłopot, Tiltwell? - powiedział hrabia Caerhays znudzonym, obraźliwym tonem. - Taki mianowicie, że nie jesteś Trewlanym i niestety już nigdy nim nie będziesz.

Clarence zacisnął palce w pięści. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem niczym psy gotowe skoczyć sobie do gardeł.

Młody Tiltwell ułożył usta w uśmiech.

- Zobaczymy się na ślubie, kuzynku! W każdym razie przyjdź choć na śniadanie następnego dnia. Kto wie, może znajdziesz fasolkę w cieście panny młodej i twoje życie znowu się odmieni.

Po ostatnich słowach Clarence'a zapadła cisza. Jessalyn zebrala drżącymi dłońmi resztę rzeczy Toppera. Na zewnątrz przemaszerował sprzedawca węgorki zapiekanych w cieście. Wiatr przywiał zapach spalonego tłuszczu i siana. Unikała wzroku McCady'ego, ale czuła na sobie jego spojrzenie.

Aby znaleźć się na zewnątrz przybudówki, musiała minąć go w drzwiach. Kiedy się zbliżyła, chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Nie wychodź za niego, Jessalyn! - powiedział. - Widzisz przecież, jaki on jest. W końcu nie będzie ci wolno samodzielnie oddychać.

Popatrzyła na jego długie, twarde palce, ciemne na tle jej bladoporóżowego zakietu. Czuła, jak rozchodzi się w niej fala gorąca. Jak topi się niczym cienki jedwab, do którego przystawiono płomień świecy.

- Muszę iść - rzuciła, gwałtownie oddychając. Przytrzymał ją jeszcze mocniej.

- Nie wychodź za niego, Jessa! - powtórzył. Nie myliła się, w tonie jego głosu było cierpienie.

- Sie... Czeka na mnie Sierżant Major - wykrztusiła przez ściśnięte gardło i uciekła. Gdyby tego nie zrobiła, pewnie powiedziałaby mu wszystko. Ale wówczas na pewno przyspieszyłaby jedynie chwilę jego ostatecznego upadku.

Błękitny Księżyc stał z rozstawionymi nogami na czterech kamiennych płytach, podczas gdy mężczyźni drewnianą tyczką mierzyli jego wysokość w kłębie. Potężny gniadosz kiwał łbem, jakby drzemał w słońcu.

Jessalyn chyłkiem podeszła do Sierżanta Majora. Miała wrażenie, że ściąga na siebie uwagę i że lada moment ktoś krzyknie, pokaże na nią palcem i nazwie oszustką. Jak najstaranniej upięła włosy blisko głowy i przykryła je jasnoszkarłatną czapką, następnie roztarta odrobinę ziemi na policzkach, aby ukryć kobiecą bladość. Obwiązała piersi, poza tym nie musiała się zbytnio martwić o figurę. Zawsze miała szczupłe biodra i długie golenie, a jej stopy doskonale pasowały do lekkich skórzanych butów chłopca.

- Jak wyglądam, Sierzancie? - zapytała, znizywszy głos. Trener zerknął w jej kierunku.

- Jak zwyczajny dżokej,, tylko całkiem niepotrzebny jest ten chód ulicznej dziewczki. Za dużo kręcenia i kołysania biodrami. Dżokej kroczy sztywno i puszy się.

- Kroczy sztywno, w porządku. - Jessalyn przybrała odpowiednią pozę, wystawiając do przodu jedno biodro. Spróbowała splunąć przez zęby i niemal trafiła we własne buty. Rzuciła okiem na Błękitnego Księżyca, któremu głowa opadała do kolan. - Wygląda na wpółuspionego. Jesteś pewny, że nie podano mu czegoś?

- Nasz chłopiec nigdy się wcześniej nie ożywia. Dopiero jak wyjdzie na ostatnią prostą i zobaczy cel. Przecież wiadomo. Niech no teraz panienska idzie się zważyć i przestanie mleć językiem.

Jessalyn przystawiła palec do ust i mrugnęła do niego konspiracyjnie. Odpowiedział najsroższą ze swoich min, na co zareagowała szerokim uśmiechem.

- Chryste Panie, niechże panienka nie błyska tymi perłami! -zawołał. - Żaden chłopak na świecie nie wygląda tak ślicznie jak panienka, gdy się uśmiecha.
- Coś takiego, a jednak wierzę, że powiedziałaś mi komplement, bo tak naprawdę masz miękkie serce. Ucałowałabym cię za to, gdybym nie była w przebraniu.

- Mmm. No to powodzenia!

Sierżant Major nadal coś gderał i mamrotał, kiedy wręczał jej kilka cienkich kawałków ołowiu dla dopełnienia wagi. Wsunęła je w specjalne otwory w siodle, przeznaczone specjalnie do tego celu. Potem przeszła opanowanym, dumnym krokiem do wagi. Trzymała język za zębami, a mężczyzna, który ją ważył, zerknął na nią tylko przelotnie, dokładając ciężarki do pojemnika po przeciwnej stronie szali. Skinął głową, zrobił znak na łupkowej tabliczce i pomógł Jessalyn zejść z wagi.

Sierżant Major wziął od niej ekwipunek. Jedną ręką, ale bardzo sprawnie i szybko osiodłał wierzchowca, a potem pomógł jej wspiąć się na szeroki koński grzbiet.

Przyjrzał się uważnie jej sylwetce i postanowił skrócić odrobinę strzemiona.

Popatrzyła z góry na jego pochyloną głowę, na łyse miejsce pośród stalowoszarych włosów, które były przycięte tuż nad pokrytą bliznami i guzkami skórą.

- Czy babcia wie, co robimy?

- Aha. Powiedziałem jej. - Popatrzył w górę i Jessalyn gotowa byłaby przysiąc, że niemal się uśmiechnął. - Powiedziała, że lepiej zginąć w walce niż umrzeć tchórzem. Nerwowy śmiech wyrwał się z jej gardła. Natychmiast powstrzymała się, przygryzając dolną wargę. Wyczuwała na podeszwach butów, jak szybko i mocno uderza jej serce. - Czy powinnam zrobić coś szczególnego?

- Aha. Niech panienka nie spadnie.

Kiedy jechała na linię startu, ostatnia przestroga nadal dźwięczała jej w uszach.

Musiała omijać mnóstwo powozów i widzów kręcących się wszędzie na koniach.

Większość uczestników była już na miejscu. Jessalyn najbardziej obawiała się dżokejów. Wszyscy oni bardzo dobrze znali Toppera i na pewno spodziewali się, że ujrzą go na grzbiecie Błękitnego Księżyca. Naciągnęła czapkę tak mocno na uszy, że ledwie cokolwiek widziała pod sztywnym daszkiem.

Inni krążyli wokół, upewniając się, czy popręgi są dobrze podciągnięte i czy strzemiona są na odpowiedniej wysokości. Nie mogło być lepszej pogody na wyścigi. Słońce było kulą

O rozmazanych konturach na niebie koloru brzozy kory. Światło zmieniało się stosownie do podmuchów wiatru, to było jasne i jaskrawe, to przymglone. Konie połyskiwały jak pokryta rosą trawa.

Jessalyn nigdy jeszcze nie widziała w jednym miejscu tak wielu ludzi pragnących obejrzeć wyścig. Siedzieli na dachach powozów, tłoczyli się na trybunie, przepychali przy stanowiskach bukmacherów. Królewski biały pawilon z blankami i gotyckimi łukami wyglądał jak miniaturowy zamek. Król był nieobecny na wyścigach, ponieważ ostatnio zanadto zajmowały go przygotowania do własnej koronacji. Dzięki urokowi osobistemu

1 łapówkom Jessalyn zdołała wcześniej zdobyć miejsce w pawilonie dla swojej babki. Nie dochodziły tam promienie słońca i nie tłoczyli się ludzie.

Czapka oddzielała Jessalyn od nerwowej paplaniny innych dżokejów i bardziej odległego pomruku widowni. Ze strachu i podniecenia kurczyły się jej mięśnie. Błękitny Księżyc, jakby udzielał mu się jej nastrój, przestępował nerwowo z nogi na nogę i drobił w miejscu. Jessalyn odetchnęła głęboko, aby uspokoić i siebie, i konia. Napełniała płuca zapachem darni, dzikiego tymianku i jałowca. Przed nią niczym sukno na stole bilardowym rozciągał się dywan zielonej trawy. Biały parkan wokół toru przypominał koronkę. Na nic się zdawała wiedza, że żerdzie są delikatne i kruche, że z łatwością ustąpią pod każdym pechowym dżokejem.

Jako ostatni dołączył do całej stawki faworyt dnia, Merlin, ciemny kasztan z gwiazdką na czole. Obok jechał sztywnie ubrany mężczyzna o kruczoczarnych włosach i kogucich oczach, który udzielał ostatnich rad swojemu dżokejowi.

- Na finiszu okładaj go bez opamiętania. Wypruj mu bebechy, jeśli będziesz musiał. Ale przyjedź jako zwycięzca.

Jessalyn pomyślała, że Merlin prezentuje się wspaniale. Był duży, silny i dobrze umięśniony. Tyle że wydawał się cokolwiek nerwowy. Nie wyglądał na konia, który dobrze znosi razy pejczem.

- Hej ty, chłopcze! - Wzdrygnęła się i odwróciła tak gwał-

townie, że niewiele brakowało, a byłaby wypadła z siodła. Dżokej dosiadający srokatego wałacha gapił się na nią oczami o kolorze spaniela. - Widzę, że siedzisz na miejscu Toppera.

Jessalyn splunęła przez zęby. Tym razem prawie trafiła w błyszczący czubek buta innego dżokeja.

- Co ci do tego! - mruknęła.

Wąskie, wróblowate usta młodzieńca rozciągnęły się w grymasie przypominającym uśmiech, kiedy zwiniętym końcem pejsza smagnął ją w twarz.

Gdyby nie cofnęła się w ostatnim momencie, mogłaby stracić oko. W tej samej chwili szarpnęła gwałtownie za wodze i Błękitny Księżyc stanął dęba. Ledwie nad nim zapanowała, kiedy odezwał się dzwon startowy. Oboje nie byli na to przygotowani.

Wyścig rozpoczął się, a Jessalyn nie widziała nic poza chmurą kurzu.

Wydawało się jej, że upłynęła wieczność, zanim dogonili stawkę. Trzymała się z tyłu, chociaż wszystko w niej aż kipiało pragnieniem popędzenia naprzód. Jakże trudno było pozwolić innym wyprzedzać się, patrzeć na rozwiane ogony biegnących z przodu koni i zbyt wcześnie nie ponaglać Błękitnego Księżyca do nabrania maksymalnej prędkości

Na razie starała się nie zwracać na siebie uwagi i jednocześnie obserwowała dokładnie, co się dzieje wokół. Widziała rozlane i migające barwy tęczy. Powietrze owiewało jej głowę jak podczas łagodnej wichury, gwizdało jak zimą morze. Tętent kopyt rezonował w jej żyłach. Czowała smak kurzu, trawy i walki.

Dostrzegła nieco miejsca przy parkanie i zdecydowała się to wykorzystać. Błękitny Księżyc skoczył do przodu jednym potężnym uderzeniem zadu, uprzedzając jej sygnał o ułamek sekundy. Weszli w wąską przestrzeń jednocześnie ze srokatym wałachem.

Dwa konie otarły się o siebie bokami i dżokej srokatego rzucił spojrzenie w jej stronę. Uderzył kolaniem, zaczepiwszy o jej udo, i wyrzucił ją z siodła.

Jej stopy wysunęły się ze strzemion. Nie spadła tylko dlatego, że przytrzymała się gęstej grzywy Błękitnego Księżyca. Balansowała przy końskim boku, podczas gdy ziemia z niewiarygodną szybkością uciekała przed jej oczami. Być może łatwiej byłoby

jej wspiąć się po wysmarowanym tłuszczem słupie. Miała wrażenie, że wisi tylko na włosku. W końcu zdołała z powrotem wsunąć stopę w strzemiono i wrócić do pionu. Pomyślała przy tym, śmiejąc się w duchu, że w swoim życiu nie wykonała jak dotąd równie trudnej akrobacji.

Chociaż przez jakiś czas walczyła o utrzymanie się na końskim grzbiecie, Błękitny Księżyc nie został w tyle. Nadal szedł łeb w łeb ze srokatym wałachem. Dżokej, spostrzegłszy ją kątem oka, odwrócił głowę. Widziała, że unosi rękę z pejczem. Zamachnęła się szeroko, jakby miała w ręku rakieta do krykieta, i trafiła rywala pięścią w kark. Potem zobaczyła tylko podeszwy jego butów.

Pozbawiony jeźdźca, srokaty wałach zwolnił, a Błękitny Księżyc zajął swoje miejsce przy barierce. Jessalyn rzuciła szybkie spojrzenie do tyłu. Chłopak nie zrobił sobie krzywdy. Przetaczał się na bezpieczną stronę parkanu, miotając przekleństwa.

Zbliżali się teraz do ostatniej prostej i gapie zaczęli wjeżdżać galopem na tor. Jessalyn patrzyła prosto przed siebie między przyciętymi uszami Błękitnego Księżyca. Wodze trzymała luźno, pozwalając gniadoszowi wyciągać głowę. Jej uda i łydki lekko ścisnęły koński bok, ramiona płynnie poruszały się to w przód, to w tył. Błękitny Księżyc równym, długim krokiem uderzał w darń, każde drgnienie jego mięśni Jessalyn czuła w sobie.

Z łatwością oderwali się od głównej grupy, gdy do pokonania pozostało im ćwierć mili płaskiej zielonej trawy. O dwieście jardów wyprzedzał ich ciemny kasztan, faworyt gonitwy.

Błękitny Księżyc wciągnął w nozdrza zapach wyścigu, który jak narkotyk zaczął płynąć w jego żyłach. Zew zwycięstwa popychał go do przodu. Koń dawał z siebie wszystko, starając się, wyężdżając wszystkie siły w rytm uderzeń swego wielkiego serca. Zmierzali do mety po zwycięstwo i nagle Jessalyn uświadomiła sobie, że chyba nie dadzą rady. Błękitny Księżyc biegł, jakby miał skrzydła, ale to nie mogło wystarczyć. Zbyt długo zwlekała.

Dżokej na Merlinie usłyszał, że się do niego zbliżają. Odwrócił się przez ramię. Wytrzeszczył oczy w zdumieniu, że są tak blisko. Zaczął gwałtownie smagać konia pejczem, jak gdyby trzepał dywan. Szaleńczo poruszały się jego łokcie. Merlin po-

łożył uszy po sobie i jakby przysiadł, podczas gdy Błękitny Księżyc wyciągnął szyję i minął linię mety. Wygrywając o długość wąsa.

Nic nie słyszała, póki nie zwolnili do stępa. Dopiero wtedy zaskoczył ją niebywały zgiełk, choć na pewno trwał już od dłuższego czasu. Ogarnęła ją fala entuzjazmu. Błękitny Księżyc zatrzymał się niezgrabnie na rozstawionych nogach. Kołysały się jego zmydlone boki. Jessalyn pochyliła się nad jego szyją i przytuliła policzek do wilgotnej sierści. Jej serce wezbrało miłością do zwierzęcia. I dumą, za jego odwagę i wytrzymałość.

- Byłeś cudowny - szepnęła mu pieszczotliwie do ucha. Był naprawdę równie osobliwy i rzadki jak błękitny księżyc.

Konie i ludzie tłoczyli się wokół. Klepano ją po plecach, szarpano za rękawy, zadawano pytania. Sierżant Major przedzierał się przez tłum.

- Z drogi, do licha! - wołał. - Z drogi!

Jessalyn zsunęła się z siodła. Sierżant Major stanął przed nią, powstrzymując napór tłumy.

- Nieźle - powiedział opryskliwy z natury trener. A potem ku jej zdumieniu ni z tego, ni z owego cmoknął ją w policzek. Coś uwięzło jej w gardle, coś pomiędzy radością a wyczerpaniem. Nie mogła wyrzucić słowa.

Nagle poczuła, że robi jej się miękko w nogach. Osunęłaby się pewnie na ziemię, gdyby Sierżant Major nie chwycił jej pod łokieć i nie podtrzymał

- Nie czas teraz, ażeby zamieniać się z powrotem w delikatną panienkę - mruknął, mocując się ze sprzączką przy popręgu. -Pora, by się zważyć.

Szła do wagi, kiedy go ujrzała. Swego upadłego anioła. Stał przy namiocie w czerwono-białe pasy, gdzie sprzedawano piwo. W dłoni trzymał skórzane naczynie. Spojrzeli sobie w oczy. Nie było wątpliwości: poznał ją. Czyż nie powiedział kiedyś, że pozna ją wszędzie?

Uchylił przed nią kapelusza, ale się nie uśmiechnął. Chlusnął resztką piwa na ziemię, po czym, odwróciwszy się na pięcie, ruszył między graczy i oszustów tłoczących się przy stolikach do gry. Podążał szybko swym długim, nierównym krokiem.

Jessalyn dała się zważyć, a mężczyzna przy wadze obok nazwiska Letty postawił na tabliczce drugi haczyk. Potem poży-

czyła surdut od jednego z dżokejów, aby ukryć pod nim szkar-łatno-czarną taftową koszulę i niepostrzeżenie przemknąć się przez tłum. W pośpiechu minęła wszystkie namioty z łopoczącymi flagami i budy pełne nieprzyjemnych zapachów, kiedy zaś zbliżała się do królewskiego pawilonu, prawie już biegła. Żałowała, że nie mogła zobaczyć twarzy babki, gdy ona i Błękitny Księżyc mijali słupek oznaczający metę, ale przynajmniej chciała ujrzeć ją teraz.

Wspinała się po schodach, pokonując dwa stopnie naraz. Na górze zatrzymała się, aby wyjąć coś z ukośnej kieszeni taftowej koszuli. Aby zdobyć pieniądze na ten wydatek, zastawiła naszyjnik z granatami, jedyną biżuterię, jaka została jej po matce. Teraz myślała o tym jako o przynoszącym szczęście amulecie. Zabrała to ze sobą na tę szaleńczą gonitwę i pewnie to dodało jej odwagi, gdy ruszyła na ostatnią prostą bezpośrednio po zwycięstwo. W rezultacie wygrała nie tylko ona.

Lady Letty siedziała na krześle przy balustradzie balkonu. Patrzyła przed siebie, na falujące wzgórza, krajobraz, który wie-lekroć oglądała w ciągu tych wszystkich lat, które przeżyła u boku swojego baroneta.

Przez chwilę Jessalyn stała za nią. Widziała biały parkan wzdłuż ostatniej prostej i znowu słyszała grzmot tysiąca oklasków i gwizdy. Łzy napłynęły jej do oczu. Była dumna z siebie i Błękitnego Księżyca. Przepelniała ją radość, bo wreszcie spełniło się jej marzenie. Położyła dłoń na ramieniu lady Letty i wyszła zza fotela, aby przykleknąć obok.

- Udało się nam, babciu. Wygraliśmy derby.

Lady Letty siedziała sztywna, wyprostowana, milcząca.

Jessalyn usiadła przy niej na piętach. Tymczasem zadźwięczał dzwon, obwieszczający rozpoczęcie następnego wyścigu. Z dala dochodziły odgłosy sporu między dwoma dżentelmenami, którzy zajmowali miejsca na balkonie piętro niżej. Promienie słońca roztopiły pozostałości mgły, tak że wzgórza wydawały się skąpane w olśniewającym świetle. Zerwała się bryza, niosąc zapach koni i trawy. I słodki, podniecający zapach zwycięstwa.

- Och, babciu... - szepnęła. I zamknęła martwe palce starszej kobiety wokół tabakiery z masy perłowej.

XXIV

Zasłony z brokatu w kolorze morwy rozsunięły się niemal radośnie, wywołując grzechot karnisza, z którego zwisały.

McCady Trewlany podniósł głowę znad sekretarzyka i spojrział na świat zamglonymi oczami. Jaskrawe światło, które wpadało do środka przez okno, kłuło go boleśnie w oczy niczym szewskie szydło.

- A niech to lichy porwie! - jęknął.

Morderczym spojrzeniem zmierzył potwora, który udawał, że jest jego służącym. Duncan odwzajemniał się spojrzeniem skupionych złocistobrazowych oczu. Nawet zakonnica w burdelu nie wyglądałaby bardziej na uosobienie niewinności.

- Coś mi się zdawało, że słyszę dzwonek, wasza wielmożność. McCady ciężko przełknął ślinę. W ustach czuł taki posmak, jakby dostał się tam zdechły szczur. Pod ręką miał kieliszek z brandy. Wypił ostatni łyk trunku, aby przepłukać gardło i przyspieszyć krążenie krwi.

- Brakuje dwóch kwadransów do dziesiątej, sir.

- I co z tego? - warknął hrabia. - Marzył o dolaniu sobie brandy, ale jakiś idiota zostawił karafkę obok fotela przed kominkiem. Rzucił okiem w tamtą stronę. Stała daleko, bardzo daleko. W dodatku jakiś idiota całkowicie ją opróżnił.

- Dwa kwadransy do dziesiątej, sir - powtórzył Duncan. Właśnie zaczął się zastanawiać, na ile głośno powinien uklepać poduszki i zbierać poszczególne sztuki odzieży, które jakiś głupiec porozwieszał w różnych miejscach pokoju. - Bo o dziesiątej pan Tiltwell i panna Letty zostaną połączeni węzłem małżeńskim.

- Cierpliwie pytam: i co z tego?

Za wygadywanie tych bzdur McCady miał ogromną ochotę zdzielić służącego pięścią. Tyle że to by się łączyło z wydatkowaniem olbrzymiej porcji energii. Poza tym nie było pewności, czy rykoszetem nie dostanie się także jego własnej, jakże obolałej głowie. Skoro już te diabelne zasłony zostały rozsunięte, to może by wstał i wyjrzał przez to diabelne okno, sprawdził, cóż to za diabelny dzień nastał. Czerwone i brązowe kominy wbijały się w niebo szare jak kit. Na zewnątrz krzatali się ludzie, prze-

jeźdźą powozy. Cóż takiego ważnego ich gnało i dokąd? Mogło się zdawać, że raptem wszyscy mają coś pilnego do roboty, skoro się tutaj znaleźli.

W oddali biły kościelne dzwony.

Niemal z każdego miejsca w Londynie widać potężną kopułę i dwie bliźniacze wieże katedry św. Pawła. Właśnie tam Jessalyn miała się stać panią Tiltwell.

Zerknął na zegarek. Za dwadzieścia minut.

Przypuszczał, że ona i Clarey urządują sobie dom w Londynie. Jeśli będzie przezorny, już nigdy jej nie zobaczy. Nie będą mieli tych samych przyjaciół, nie będą prowadzili wspólnych czy podobnych interesów. Clarey będzie ją ciągał po wszystkich rautach, balach, na spotkania w salonach Almacka i w ciągu pięciu lat uczyni z niej nudną i znudzoną matronę z wyraźnymi zmarszczkami wokół ust. Jessalyn zwiędnie w Londynie jak zerwany pierwiosnek. Gdyby miał na to jakiś wpływ, na zawsze pozostałaby dzikim dzieckiem jałowych wrzosowisk i skalistych plaż.

To zadziwiające - myślał - jak jedna osoba może zmienić życie innej. Kiedyś jego świat nie miał innych barw, tylko szarą. Potem pewnego lata spotkał dziewczynę o włosach w kolorze słońca, piegowatym nosie, o szerokich, roześmianych ustach i na jakiś czas ten świat nabrał barw radosnego ognia.

Wyobraził sobie, że wraca nad Crookneck Cove i przeżywa tamte chwile od nowa. Tylko że tym razem ufał szczęściu. Chciał leżeć u jej stóp. Pragnął podtrzymać w jej oczach lśniący blask, który towarzyszył ich zbliżeniom. I chciał czuć szczęście z zatrzymania jej przy sobie, w swoich ramionach, gdy pożądanie wygaśnie.

A może... może przydarzyłyby się im ów cud, że pożądanie nie wygasłoby nigdy.

- Pewnie nie powinienem niczego takiego mówić, sir - powiedział Duncan, podając jego lordowskiej mości szklaneczkę prosto do ręki. - Ale coś się kroi, coś wisi w powietrzu. Gotów jestem postawić swoje miejsce w niebie na to, że panna Letty kocha właśnie paskudną fizys jego lordowskiej mości.

- Ty sentymentalna kapuściana głowo! Ona wychodzi za niego dla pieniędzy.

Przynajmniej tak powiedziała. Tylko że on jej nie wierzył.

Cóż z tego, gdy druga możliwość była jeszcze gorsza: wychodziła za Tiltwella, ponieważ kochała go bardziej niż... Do licha z nią! W końcu czym niby ta jedna różni się od wszystkich innych kobiet na świecie? Nie chciał czuć do niej tego, czego doznawał. Do tej pory nie wiedział, że w ogóle było możliwe przeżywanie czegoś takiego. Przecież w końcu chodziło tylko

O jakieś swędzenie między nogami i ogień we krwi. Niczym echo słyszał w głowie własne słowa: „Idę z dziewczyną do łóżka

1 do rana wszystko mija". Dlaczego więc utrata Jessalyn raniła go tak bardzo? Ból po jej stracie zdawał się koncentrować w piersi, obejmować duszę, aż w końcu stał się częścią każdego oddechu, każdego uderzenia serca.

- Wychodzi za niego dla pieniędzy - powtórzył McCady zdecydowanie. Ale to ani trochę nie ulżyło jego diabelnemu sercu.

Duncan potężnie westchnął.

- Może i tak...

- Sprawa przedstawia się dokładnie tak, jak powiedziałem! -McCady wypił spory łyk ze szklanki, którą trzymał w ręku, sądząc, że to brandy. Niewiele brakowało, a udławiłby się gorzką miksturą, którą z podziwu godną konsekwencją służący przygotowywał dla niego w takie ranki jakMen. - A niech to wszyscy diabli!

Duncan pokiwał głową nad żalonym stanem paproci, która rosła w skrzynce przy oknie.

- Biedna roślinka już długo sobie nie pożyje - powiedział, podnosząc jeden z nienaturalnie zwiniętych liści. - Gdybym nie wiedział, gotów bym pomyśleć, że ktoś specjalnie podlewał ją trucizną każdego ranka. Czy pamięta pan, sir, jak pewnego razu w Hiszpanii musieliśmy przejść przez most, którego broniło ponad pięćdziesięciu Francuzów, a nas było tylko pięciu? I co pan nam powiedział? McCady spiorunował go wzrokiem, aż go zaboląły gałki oczne.

- Nie, nie pamiętam. Więcej: nic mnie to nie obchodzi.

- Powiedział pan: „Weźmy się za nich! Wyciągnijmy tych cholernych bękartów z nieszczęścia!"

McCady patrzył prosto na służącego, ale go nie dostrzegał. Spoglądał we własną przyszłość i widział jedynie okropną, prze-

rażającą samotność. W pokoju panował taki spokój, że słyszał bicie własnego serca. Miał przed oczami kobietę o rudych jak ogień włosach, która leży w łóżku; Clarence'a Tiltwella, który wbija swą męskość między owe długie, jakże długie nogi, ssie brązowe brodawki, plądruje językiem skóre do śmiechu usta.

- Duncan...

Duncan uniósł jedną jasną brew.

- Tak, wasza wielmożność?

- Doprowadziłeś do porządku mój frak?

Duncan podniósł wzrok na obramowanie kominka i stojący na nim połączony zegar.

- Aha. Ale jeśli wasza wielmożność zechce mi wybaczyć, dodam, że niestety jest nieźle pocięty.

- Do króćset!

Ze swojego miejsca w faetonie niewiele mógł zobaczyć. Wóz załadowany belami słomy przysłaniał widok i blokował wjazd na The Strand. Utknęli w grupie najrozmaitszych land, kolebek, dorożek i prostych wozów. Z przodu dobiegały wołania i przekleństwa, ryczał osioł, coś buczało na rogu. W oddali dźwięczały cymbały i rozbrzmiewał tryl werbli. Straż wojskowa przechodziła z koszar do Hyde Parku. Przechodziła codziennie o dziesiątej.

Wyskoczył z faetonu i zaczął biec.

Zderzył się z chłopcem, który akurat w tym momencie zdecydował się ruszyć na ulicę z szufelką i wiadrem po końskie łajno. Dźwignął chłopaka na nogi, otrzepał z ziemi i znowu poderwał się do biegu.

Za rogiem skręcił w Tempie Bar i wpadł na mężczyznę przybranego guzikami, którymi handlował. Odwrócił głowę, aby przeprosić, i niemal przewrócił się o miotłę zamiatacza ulic. Podązał wzdłuż ulicy w amoku, objijając się o ludzi i ściany jak bilardowa kula. Przeciął alejkę, gdzie pachniało mydlinami, i wpadł na sznur z bielizną, rozwieszony między dwiema klamkami. Wielka para damskich niewymownych została mu na głowie, tworząc coś w rodzaju turbanu. Zdarł je i cisnął w powietrze, zrywając z głowy perukę przechodzącemu adwokatowi.

Dyszząc, dobiegł do Ludgate Hill. Przed nim wyłoniła się

katedra z bliźniaczymi wieżami i kopułą. Ledwie pomyślał, że zdąży na czas, czternastostopowe serce uderzyło w wieniec dużego dzwonu.

Przeskoczył nad słupkiem i ból przeszył jego chorą nogę. Przystanął na chwilę wytchnienia i pozwolił oczom przywyknąć do mroku. Była tam, stała na samym końcu nawy przy drewnianej balustradzie, naprzeciwko arcybiskupa kościoła anglikańskiego. Spokojnie stała, a Clarence Tiltwell trzymał ją za rękę i chciał jej włożyć na palec obrączkę.

- Jessalyn! - krzyknął McCady. Jego głos odbił się echem od wysokiego sufitu. Zaczął biec w głąb nawy, mijając marmurowe kolumny i rozdziawione usta zebranych. - Jessalyn!

Ona i Clarey odwrócili się niemal jednocześnie.

- Jak śmiesz... - zaczął pan młody i zamilkł, nadziejąc się na pięść McCady'ego. Ponieważ Trewlany wiedział, że dzięki temu znacznie poprawi sobie samopoczucie, silnym uderzeniem kolana uderzył go jeszcze w krocze.

Powietrze uleciało z Clarence'a. Osunął się na kolana i skulił.

McCady odwrócił się do Jessalyn. Sam też wyglądał tak, jakby dostał pięścią w szczękę. Z twarzy odpłynęła mu cała krew, oczy skrzyły się niczym krążki kutego srebra. Patrzył na nią w taki sposób, jak gdyby była-jedyną kobietą na świecie, nie zwracając najmniejszej uwagi na biskupa, który bulgotał jak kwoka.

- Powiadam, powiadam, powiadam, nie możesz tego zrobić...

- Idziesz ze mną - powiedział McCady zupełnie spokojnie, aby jej nie przestraszyć.

- Nie! - szepnęła, gwałtownie łapiąc oddech. Ale i tak chwycił ją za nadgarstek i pociągnął za sobą do wyjścia.

- Zatrzymajcie go!

Aż do tej pory gromadka gości była zbyt wstrząśnięta, aby zareagować, ale na polecenie biskupa kilku dżentelmenów ruszyło z miejsca.

Do boku każdego rzędu kościelnych ław stał przymocowany wysoki trójramienny żelazny świecznik. Zdając sobie sprawę z własnej siły, McCady oderwał jeden z nich i cisnął niczym ognisty oszczep pod nogi swych prześladowców.

Po chwili znowu biegł, ciągnąc Jessalyn za sobą.

Trzymał ją mocno za nadgarstek, ale gdyby chciała, mogłaby

się uwolnić. Ponieważ nie uczyniła tego, jego serce zabiło nadzieją. Kiedy pędzili ulicami, przyszło mu do głowy, że przecież może się przydać faeton, który pozostał przy wjeździe na The Strand. Z ulgą stwierdził, że jakiś dozorca ściągnął powóz na jedną stronę ulicy i pilnował koni. Jego okrągła jak księżyc twarz była purpurowa ze złości.

- Sir! - zaprotestował dozorca. - Nie wolno tutaj zostawiać żadnych powozów.

- Masz całkowitą rację - odparł McCady, podnosząc Jessalyn i sadowiąc na wysokim siedzeniu. - Ale teraz, jeśli nie usuniesz się posłusznie z drogi, sam cię z niej uprzątę.

Spojrzał na nią dopiero wtedy, gdy dotarli do względnie spokojnej okolicy Regent's Park. Rude włosy spływały na szyję i nagie ramiona - żywy ogień unieruchomiony wiankiem z maleńkich białych kwiatów. Miała na sobie elegancką suknię w blado-szarym, smutnym kolorze, odpowiednim do stanu żałoby. Błada twarz przybrała odcień połyskliwego jedwabiu sukienki, a usta wydawały się bezkrwiste.

- Jessalyn?

Wolno odwróciła głowę i w jej oczach ujrzał błyskawice.

- Niech cię diabli, McCady Trewlany! - rzuciła. - Wszystko zaprzepaściłeś.

- A teraz na pewno macie państwo życzenie udać się do jednej z uroczych małżeńskich sypialni, które mamy na górze - powiedział pan Hargraves, prezentując w uśmiechu brak kilku przednich zębów.

Mężczyzna przywykł do nerwowych par, ponieważ od dawna zawodowo trudnił się występowaniem w charakterze profesjonalnego świadka uwierzytelniającego śluby, których udzielano w Gretna Green. Pan Hargraves pełnił tę funkcję, kiedy akurat nie stał za barem, serwując trunki miejscowym amatorom czegoś mocniejszego.

Ująwszy żonę pod łokieć, McCady poprowadził ją między stołami i ławami w kierunku schodów. Zaczepiła o wystającą kamienną płytę i wpadła na niego.

Natychmiast zdrętwiała i wyprostowała się sztywno. Nie trzymała się pewnie na nogach, ale

on także nadal odczuwał wstrząsy i kołysanie. Nie mogło być inaczej po tylu godzinach spędzonych w powozie.

Podczas podróży z Londynu, która trwała kilka dni i nocy, wymienili ze sobą zaledwie kilka słów. Zanim na dobre opuścili miasto, zdążył zastawić swoją szpadę, aby podczas podróży mieli czym zapłacić za jedzenie i zmianę koni. Kupił też słomę pod jej nogi i owinął ją kocami, jakby była ze szkła.

Właśnie kiedy delikatnie wsuwał kawałek wełnianego koca pod jej brodę, odezwała się jeden jedyny raz.

- Przypuszczam, że chcesz mnie gdzieś zaciągnąć i pojąć - powiedziała wówczas.

- Niczego innego nie pragnę, i zrobię to - odrzekł. Spróbował uśmiechnąć się, gładząc jej policzek wierzchem dłoni. - Gdy tylko cię poślubię.

Nic nie odpowiedziała, jedynie spojrzeniem przestraszonych ogromnych szarych oczu boleśnie kłuła go w serce. Jeśli rzeczywiście kochała Tiltwella, nie mógł liczyć na przebaczenie.

Jechali w ciszy, jeśli nie liczyć zwyczajnych w podróży odgłosów turkotania i dudnienia kół czy dźwięczenia podków uderzających o twardą drogę. Nie potrafił nakłonić Jessalyn do jedzenia, gdy zatrzymywali się po drodze w gospodach. Tylko raz, stojąc przed ogniskiem, wypła "Szklaneczkę wina.

Nie mógł nasycić oczu jej widokiem. Miał jej do powiedzenia tak wiele. Czuł, że musi wytłumaczyć się ze swojego postępowania. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Brakowało mu słów. Właściwie miałby kłopoty z wytłumaczeniem tego wszystkiego samemu sobie. Wiedział jedno. Porwał ją dlatego, że już dłużej nie mógł znieść życia bez niej.

W ciszy pokonywali milę za milą, jechali po trawie złoconej kwiatami jaskółczego ziela i mniszka, mijali prostokątne pola usiane mnóstwem zielonych i żółtych plamek. Na początku podróży drogi były suche. Jadąc, wzbijali kurz, który osiadał na drzewach i bielił je. Potem zaczęło padać. Nie patrzyła na niego, ale był świadomy jej każdego westchnienia.

Kiedy zasnęła, niemal spadając z wysokiego siedzenia powozu, zatrzymali się na kilka godzin, by odpocząć. Nie śmiał jej zostawić samej, dlatego siedział na krześle przy kominku, w którym bardzo leniwie palił się torf, podczas gdy ona leżała w ubraniu na rozkładanym łóżku. Znajdowali się dokładnie nad karczmą

i podłoga drżała od krzyków i pijackich śmiechów. Nie spała. Leżała cicho i spokojnie w ciemności i tylko czuł na sobie pełne udreki spojrzenie jej szarych oczu. Gdy w końcu przybyli do Gretna Green, dobrze opłacił uwierzytelniającego świadka, aby nie przywiązywał szczególnej wagi do wielce ważnej odpowiedzi na pytanie, czy znalazła się tu z własnej i nieprzymuszonej woli. Lecz to nie było konieczne. Pojedyncze słowo nie było głośne, ale bez wątpienia brzmiało „tak”. Zbyt późno się zorientował, że ma tylko swój własny sygnet, który w charakterze ślubnej obrączki może jej wsunąć na palec lewej ręki. Kiedy to się już stało, musiała zacisnąć palce, aby pierścień nie spadł.

- Co Bóg połączy - powiedział na koniec pan Hargraves -człowiek niech się nie waży rozdzielać. - I była jego.

Oczywiście wolałby, aby małżeńska sypialnia wyglądała bardziej elegancko. Stało tutaj solidne łóżko z wyblakłymi zielonymi draperiami i mała szafa na ubrania. Na podłodze leżał turecki dywan w przygaszonych barwach. Jedynie luźno utkana jedwabna zasłona w oknie ożywiała nieco izbę.

Jessalyn przekroczyła próg i natychmiast podeszła do okna. McCady wątpił, by miała na co patrzeć. Dzień był ponury i deszczowy. Osadę Gretna Green znano jako miejsce zawierania potajemnych związków, bo chyba nikt nie przyjeżdżał tutaj dla malowniczej scenerii: kilku kamiennych chat, jodłowego zagajnika, małego drewnianego mostu nad rzeką.

Rozniecił ogień w kominku, potem za pomocą kawałka papieru zapalił świece na metalowym świeczniku. Pasterz i pasterka, gipsowa para, siedzieli na obramowaniu kominka. Długo spoglądał na figurki, jak gdyby mogły przemówić i podpowiedzieć mu, w jaki sposób ma namówić żonę do czegoś, czego ona nie chciała.

Podszedł do okna, stanął wystarczająco blisko, by jej dotknąć, ale nie uczynił tego. Patrzył na jej pochyloną głowę. Zaprzagnął przycisnąć usta do tego miejsca, które wydawało się blade i bezbronne pośród płomieni jej włosów, ale tego również nie uczynił. Zamiast tego próbował złożyć kilka zdań, zanim zdecydował się na jedno, najbardziej bezpośrednio. Ale kiedy postanowił się odezwać, zabrakło mu tchu.

Odetchnął, dygocząc.

- Jessalyn... bardzo bym chciał kochać się z tobą. Dotknęła palcem koronkowej lamówki przy zasłonie.

- Wydaje mi się, że mąż nie musi koniecznie pytać o pozwolenie, by osiąść swoją żonę.

- Chcę cię osiąść... ale też chcę, żebyś i ty miała na to ochotę.

- Coś takiego! - Odwróciła się tak gwałtownie, że aż się cofnął. - Zatem dlatego uprowadziłeś mnie sprzed ołtarza, kiedy już miałam poślubić innego mężczyznę?! Wzięłeś sobie mnie, nie troszcząc się specjalnie o to, co ja myślę. - Uderzyła pięścią w jego tors tak gwałtownie, że biały wianek ześlizgnął się jej na czoło. Zerwała go z głowy i przyjrzała się mu z wyrazem udręki w swych ogromnych szarych oczach. Wówczas pomyślał, że już naprawdę jest zgubiony. Odetchnęła i wtedy szloch wstrząsnął jej barkami. - Niech cię licho, McCady, nie masz pojęcia, co zrobiłeś. Twarz miała bladą jak świeży śnieg przyprószony złotymi płatkami. Włosy, ciemne od wilgoci, przypominały odcieniem ostatnie jesienne liście. Widział własne odbicie w niespokojnych głębinach jej oczu. Jakżeż była piękna! Jej uroda przejmowała bólem. Gotów był błagać. Gotów był osunąć się na kolana i prosić, by pozwoliła mu położyć głowę-na swoich piersiach, by mógł zakosztować smaku jej ust.

- Nie mogłem pozwolić, aby cię dostał, Jessalyn - wykrztusił. - Wiem, że nie jestem nic wart, ot, zdegenerowany Trewlany, tkwiący po uszy w długach. Ale jesteś wszystkim, czego kiedykolwiek w życiu tak naprawdę pragnąłem. - Wyciągnął do niej dłoń. - Straciłem całą dumę. Wszystko ofiarowałem tobie.

Przechyliła głowę na bok. Drżały jej szerokie usta. Jej głos, tak, jej głos zabrzmiał uczuciem, słowa zaś natchnęły jego duszę nadzieją.

- Ty wariacie - powiedziała. I rzuciła się w jego ramiona.

Poczuł zapach deszczu w jej włosach, spróbował, jak smakuje deszcz na jej wargach. A potem zamknął jej usta pełnym słodczy pocałunkiem.

Zamierzał kochać się z nią powoli, rozkoszować każdą chwilą niczym wyśmienitym wiekowym winem. Ale trawiła go zbyt wielka żądza. Należał do niej - smukłej marchewki, o dzikim,

chrapliwym śmiechu i ponad wszelką miarę szerokich wilgotnych ustach. Należał do niej duszą i ciałem. I chciał od niej czegoś w zamian, nawet jeśli miałyby to być tylko szalona, eksplodująca rozkosz wiania w nią nasienia, długotrwała i przemijająca do głębi.

Odsunął ją od siebie gwałtownie.

- Rozbierz się - syknął chrapliwie. Tak piekielnie jej pragnął. - Szybko.

Patrzyła na niego przez kilka chwil. W jej spojrzeniu dostrzegła owo poważne, głębokie uczucie, którego nigdy nie potrafił nazwać, a którego zawsze się obawiał. Potem odwróciła się, sięgnęła do tyłu i uniosła włosy, aby rozpiąć staniczek. Gdy pochyliła głowę, musnął ustami biały występ jej karku i poczuł pod wargami leciutkie drżenie jedwabistej skóry.

Zaczął manipulować przy haczykach.

- Nie cierpię tej sukienki - powiedział, poruszając oddechem maleńkie kosmyki włosów, które przypominały wachlarz i ocieniały jej kark. - Założyłaś ją dla niego.

- Nie - odparła niemal bezgłośnie. - Nie dla niego, McCady. Po prostu miałam ją na sobie, to wszystko.

Sukienka spłynęła na podłogę z szeptem szarego jedwabiu. Dłonie McCady'ego zamknęły się wokół szczupłej kibici. Odwrócił Jessalyn przodem do siebie. Nie patrzyła na niego. Palce miała zajęte wstążkami bielizny. Z powodu tych zakładek, koronek, falban, w które ubrała się dla Tiltwella, nie dla niego, nie mógł ścierpieć także i tej części garderoby. Brutalnie odsunął jej dłonie, zaczepił palce o koronkowe zakładki i rozerwał.

Uwolnił piersi, ujął je w dłonie. Chrapliwy jęk wyrwał mu się z gardła. Jessalyn zadygotała spazmatycznie i przywarła do niego. Niewiele myśląc, porwał ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Opadli na nie w poprzek. Przekreślił ją na plecy i przycisnął ciężarem swojego ciała. Patrzyła na niego. Widział dwa krążki roztopionego srebra, a wewnątrz nich oddanie. I własny triumf.

- Jesteś moja - powiedział. - Żono!

Jej włosy rozsypały się wokół głowy; wyglądały na poduszce jak rozlane kanarkowe wino. Zatopił w nich twarz, wciągnął powietrze i westchnął.

- Pierwiosnki - rzekł. - Zawsze pachniesz pierwiosnkami. Poruszył biodrami. Musiał coś zrobić z bólem, który mu do-

skwieriał. Jeszcze nigdy nie czuł się tak twardy. Musiał ją mieć teraz, natychmiast. Dłużej tego nie zniesie. Później będzie czas, aby smakować jedwabistą powierzchnię skóry po drugiej stronie jej kolan, musnąć językiem piersi, chwycić zębami brodawkę, obwieść ustami łagodną krągłość pośladków. Później. Zmagał się z tasiemką przy jej pantalonach.

- Do licha!

- Tylko nie rozrywaj od razu.

- Nie... niech to! - Nie, na szczęście udało się. Uniosła biodra, a on ściągnął z niej oporną część garderoby. Zostawił na niej pończochy, bo przyszło mu do głowy, że wygląda w nich cudownie nieprzyzwoicie. Że jest olśniewająco naga pod cienkimi kawałkami jedwabiu, które osłaniały nogi zgrabne jak u żrebaka, i białymi podwiązkami wokół szczupłych ud. Szeroko rozsunął jej nogi kolanami i znalazł się pośrodku.

Spojrzał w dół. Z czcią i dziwnym odczuciem posiadania położył dłoń na ognistym wzgórk. Wsunął palec wewnątrz niej i, och, jaka była tam gorąca i obficie wilgotna! Dla niego. Dla niego była taka gorąca, dla niego była taka wilgotna. Coś uwięzło mu w gardle, w oczach zapiekły łzy. To nie była żądza. Nie, nie tylko żądza. Nie chciał tego rozumieć... odpędził tę przeklętą myśl.

Wyprostował się tylko po to, aby rozpiąć bryczesy i zsunąć je z bioder.

Wyswobodzona męskość wyskoczyła jak sprężyna, lecz nie odczuł ulgi. Był twardy i obolały. Kiedy Jessalyn otoczyła palcami gruby trzon, niemal krzyknął. Zaczęła go ścisnąć i ciągnąć, aby stał się twardszy i jeszcze grubszy. Oddychał ze świstem, pojękiwał.

Przytrzymał jej rękę.

- Chcesz tego teraz, Jessalyn?

- Tak. - Oczy miała prawie czarne, usta rozchylone i wilgotne.

- To dobrze, to dobrze. Trudno o lepszą chwilę.

Podparł się na rękach, by widzieć jej twarz. Powiódł krągłym, gładkim końcem między gorącymi, śliskimi płatkami. Upajał się cichutkim skomleniem, które rodziło się wewnątrz wygiętej w łuk szyi, świadomością, że wewnętrzna strona szczupłych ud drży niczym lizana wiatrem powierzchnia jeziora.

Wszedł w nią jednym mocniejszym ruchem. Odziane w je-

dwab nogi otoczyły jego biodra, zmuszając go, by wypełnił ją głębiej, budząc w nim przenikliwy jęk. Czuł pulsowanie w gorących, wilgotnych objęciach. Uniósł biodra, wycofując się niemal zupełnie, a następnie wrócił gwałtownym pchnięciem, znowu wycofał się i wrócił, wycofał, wrócił, coraz szybciej, coraz energiczniej.

Wychodziła mu naprzeciw uniesieniami bioder, dlatego mogło się zdawać, że docierał za każdym razem głębiej. Powoli zbliżała się chwila wyzwolenia.

Przypominał kocioł, pod którym płonie coraz większy ogień, wiedział, że lada chwila wybuchnie i że nikt nie zdoła poskładać tych wszystkich kawałeczków, na które się rozpadnie. „Jeszcze nie, proszę, jeszcze nie. Jeszcze nie, jeszcze nie, nie, nie...”

Odrzucił do tyłu głowę, wykrzywiając usta w grymasie rozkoszy i cierpienia.

Jessalyn odwracała go na drugą stronę, niwecząc ostatecznie, ale nie dbał o to. Była niebem, piekłem i wszystkim, co się znajdowało między jednym a drugim.

Ale należała do niego.

XXV

Promienie słońca bezlitośnie ogrzewały jej głowę ukrytą pod słomkowym kapelusikiem. Lekka bryza niosła gorzki zapach soli i wodorostów.

Jessalyn Trewlany szła wzdłuż plaży po piasku, miłkim i suchym jak zmielony cukier. Przystanąła, aby nogą odwrócić kawałek drewna. Poskręcane wodorosty zaplatały się wokół jednego końca, przypominając kosmyk włosów czarownicy.

Jessalyn już miała się schylić, ale ostatecznie dała sobie spokój. Dostrzegła mężczyznę stojącego na skraju urwistego cypla. Zaczął schodzić skalną ścieżką.

Uśmiechnęła się. „Idź dzisiaj ze mną na plażę” - powiedział tego dnia rano. Czytała jego intencje z twarzy, ze sposobu, w jaki na nią patrzył nieco sennym wzrokiem spod ciężkich powiek, ze szczególnego napięcia mięśni. Doszło nawet do tego, że robili to bez namysłu, bezzwłocznie, na stole między filiżankami do kawy i stojakami do grzanek.

Pragnęli się zawsze. Dobry Boże, jakżeż się pragnęli! Targała nimi żądza gwałtowna i wyniszczająca jak kornwalijskie wichu-

ry. Wichury, co zdmuchują dachy z chat i wyrrywają krzewy. Wichury smagające wszystko i na zawsze zmieniające życie tych, których napotkają na swej drodze. Oboje byli całkowicie bezsilni wobec tego żywiołu.

Zmrużyła oczy przed promieniami słońca. Doszedł do podnóża wzniesienia i przystanął, by zdjąć kapelusz i otrzeć czoło. Światło odbiło się od złocistych włosów. Jessalyn wstrzymała oddech.

Ostrygojad z krzykiem zanurkował nad jej głową, po chwili zaś, głośno trzepocząc czarnymi skrzydłami, poleciał w stronę klifu. Stał przed nią Clarence Tiltwell.

Była wstrząśnięta jego widokiem. Pod oczami miał głębokie cienie, posępne usta.

Przez moment było jej żal chłopca, jakim niegdyś był, dawnego przyjaciela.

Uważnie przyjrzał się jej twarzy. Musiała odwrócić głowę, bo nie była w stanie znieść wyrazu udręki w jego oczach.

- Jessalyn, czy on zrobił ci krzywdę?! Potrząsnęła głową.

- Nie, w żadnym razie. Clarence, po co się tutaj zjawieś? Dlaczego nie możesz zostawić nas w spokoju?

Odchylił do tyłu głowę, jak gdyby go uderzyła.

- Nie potrafię. Za bardzo cię kocham. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić ani rozgniewać. Chciałem jedynie uczynić cię moją żoną.

- Och, Clarence... - Mimo tego wszystkiego, co próbował jej zrobić i co starał się zrobić McCady'emu, nie było jej łatwo. - Jest za późno.

- Wcale nie jest za późno. Mogę postarać się o unieważnienie ślubu. Powiesz tylko, że wszystko odbyło się wbrew twojej woli. Cały Londyn widział, jak cię porwał. Brzegiem morza zbliżał się do nich McCady. Kuśtykał, pozostawiając na plaży wyraźne ślady. W sercu wezbrała jej miłość. Całe jej ciało stężało na wspomnienie jego dotyku.

- On nigdy nie pozwoli mi odejść - powiedziała Jessalyn. - Zresztą ja sama nie chcę odejść. Kocham go.

Clarence dostrzegł zmianę w jej twarzy. Zesztywniał, ale nie odwrócił się.

- Sprowadzi na ciebie nieszczęście, nic więcej. Niedługo trafi do więzienia, Jessalyn. Za to ręczę. Co wtedy zrobisz?

- Wynajmę pokój niedaleko Fleet Street i będę go codziennie odwiedzała - powiedziała. Wiedziała, że McCady ją słyszy. Chciała, aby ją słyszał. - Wezmę do domu jakąś pracę. Będę sklejała pudełka na cygara; będę sprzedawała rzeżuchę na placu przed Covent Garden. Zrobię wszystko, aby przeżyć, póki nie będziemy mogli być znowu razem.

Clarence postąpił krok w jej kierunku. W jego oczach pojawił się wyraz zdumienia i paniki. Chwycił Jessalyn za ramię, jakby chciał ją zabrać siłą.

- Jessalyn...

- Dla ciebie lady Caerhays, Tiltwell. I zabieraj z niej swoją łapę. - McCady objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Strach przed tym, co mogło się wydarzyć i co mogło się stać jemu, przyprawił ją o zawrót głowy. Wydawało się jej, że czuje powolne, bolesne dudnienie własnego serca. Spojrzała błagalnie na Clarence'a, ale Tiltwell kierował swój wzrok, pełen nienawiści i złości, na McCady'ego.

- Ty bękarcie - rzekł.

Powoli złośliwy uśmiech wykrzywił usta lorda.

- Na pewno nie. Moi rodzice... byli małżeństwem, drogi kuzynie.

Lekkie drzenie wstrząsnęło patykowatą sylwetką Clarence'a. Twarz mu pobladła, przybierając chorobliwy, szary odcień, barwę starego wosku.

- Swojego czasu zmusiłeś mnie, abym przyrzekł, że będę dla niej dobry. Tymczasem to ty ją porwałeś i poślubiłeś nad kowadłem w jakiejś norze.

- W rzeczywistości była to karczma.

- Nie obchodzi cię to, co jej zrobiłeś! Całkowicie zrujnowałeś jej życie.

- Postąpiłem nikczemnie, dobrze już, zgoda. I nie twierdzę, że jest inaczej. Ale Jessalyn się nie skarży. - Spojrzał na nią sennie spod ciężkich powiek. - Prawda, Jessa?

- McCady, przestań z niego kpić, to nie w porządku...

- Ona się boi - rzekł Clarence i zdobył się na wymuszony, piskliwy śmiech. - Czyż nie tak, moja droga? Boisz się, że powiem mu o naszej małej umowie.

- Clarence, nie...

Przerwał jej McCady surowym tonem.

- O jakiej umowie?

- Miałem jej oddać twoje skrypty dłużne. W naszą noc poślubną. Nadal je mam. W ciągu dziesięciu dni musisz się zjawić z dziesięcioma tysiącami funtów. Po upływie terminu nasyłam na ciebie komorników. - Dłonie zacisnął w pięści i mówił przez zaciśnięte zęby. - Masz ją teraz, Caerhays, ale ostatecznie będzie należała do mnie. To tylko kwestia czasu. - Odwrócił się na pięcie i odmaszerował w takim pośpiechu, że poły surduta uderzały o jego nogi i spod stóp sypał się w górę piasek. McCady zmierzył ją wściekłym spojrzeniem.

- Mówił prawdę?!

- McCady...

Chwytał ją brutalnie za ramiona i mocno nią potrząsał.

- Czy mówił prawdę?!

- Zrobię dla ciebie wszystko.

Uwolnił ją tak niespodziewanie, że aż się zatoczyła na piasku.

- Rozumiem - powiedział z drwiną, jaką potrafił się posługiwać bezlitośnie. - Czy byłabyś też gotowa sprzedawać się z tego powodu jak pierwsza lepsza ladacznica spod Covent Garden?

- Tak! - rzuciła mu w twarz, podnosząc się na palcach i wychylając w jego stronę. - Gdyby to w jakiś sposób mogło ocalić cię przed więzieniem. Czy to takie straszne?

- Do czorta, tak! - odpowiedział tym samym tonem. W jego oczach płonęła wściekłość, rozpacz i coś więcej: zdumienie. Jak gdyby to ona była nieodgadniona, nie on.

Wychyliła się na palcach jeszcze bardziej. Stali twarzą w twarz.

- Kocham cię! - krzyknęła. - Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Dlaczego, do licha, tak bardzo cię to złości?!

- Nie wiem! - krzyknął w odpowiedzi. Odwrócił się od niej i zaczął odchodzić.

- Dokąd idziesz?! - zawołała za nim.

Nie zatrzymał się. Nawet się nie zawahał. Uniosła brzeg spódnicy i ruszyła w jego stronę, kołyszając się w sypkim piasku.

- A niech cię, McCady, przecież nie możesz ode mnie odejść. - Siłą rozpędu rzuciła mu się na plecy. Powaliła go na kolana, z głowy zsunął się jej kapelusik. Szeroka satynowa wstążka zacisnęła się na szyi. Zerwała go i cisnęła w trawę.

McCady przetoczył się, pociągając ją na siebie.

- Do króćset, co...

- Nie pozwolę ci odejść! - Zaczęła bębnić pięściami w jego tors. - Znowu ode mnie odchodzisz, słyszysz, McCady! - Chwyliła go za włosy i opadła ustami na jego usta. I stało się tak, jakby przystawiła do prochu płonąca pochodnię. Ich wargi złączyły się, posiadły i pożarły. Kiedy to się skończyło, drżeli, jakby przeszedł po nich potężny i gwałtowny sztorm.

Oddychała chrapliwie tuż nad jego szyją.

- Nigdy więcej - wykrztusiła. Wyraźnie czuła, jak mocno bije jej serce. - Już nigdy więcej mnie nie opuścisz.

Jego przyspieszonemu oddechowi towarzyszyło głębokie westchnienie.

- Wyjeżdżam jutro. Do Penzance. Tak czy owak muszę rzucić okiem na lokomotywę. Konkurs odbędzie się bez względu na to, czy będę w więzieniu... czy nie. Do diaska! - Jego męskość, duża i twarda, zaczęła ją uwierać w brzuch. Czuła to przez ubranie. Bez żenady poruszyła się, zataczając zmysłowe kręgi. Słyszała, że oddech zaczyna mu się rwać.

- Chryste, nawet jak jestem na ciebie wściekły, odzywa się we mnie ta nieodparta żądza... - Zamilkł, zacisnął dłonie na jej ramionach, chcąc ją odepchnąć.

Mocno do niego przywarła, jak gdyby mogła połączyć ich ciała w jedno. Musnęła językiem jego dolną wargę.

- Zrobię dla ciebie wszystko, McCady - powiedziała w jego otwarte usta. - Wszystko poza jednym. Nie przestanę cię kochać.

Zanurzywszy palce w rudych włosach, przyciągnął jej głowę tak, aby ich usta mogły się złączyć. Z początku całował ją brutalnie, jakby ją karał. Wkrótce jednak pocałunek stał się łagodny, uwodzicielski. Poruszał ustami, rozdzielił jej wargi i wprosił się do środka. Jęknął...

I odsunął głowę. Patrzyła bez tchu na surowe piękno jego twarzy. Jakież chmury zaciągnęły słońca w jego oczach.

- A bodajby cię... że też mimo wszystko jesteś zdolna do czegoś takiego. - Zepchnął ją z siebie i jednym zgrabnym ruchem znalazł się na nogach.

I już go nie było.

Leżała na piasku, póki nie przestały pulsować jej usta. Rozchyliła je w szerokim uśmiechu, rozłożyła ramiona, obejmując

świat. Kocha mnie - pomyślała. Naprawdę mnie kocha. Tylko że jego szaleństwo nie pozwala mu się do tego przyznać.

Ośloniła oczy przed ostrym światłem. Promienie słońca paliły bez litości. Jeszcze chwila, a pojawiłaby się setka nowych piegów, które McCady potem próbowałyby może zlizać. Podniosła się i otrzepała z piasku.

Usiadła na wystającym z piasku kawałka skały, poziomym i równym jak półka. Rozpięta i zdjęła szare buty z koziej skóry, ściągnęła podwiązki. Wbiła nagie stopy w wilgotny piasek. Chłodny i gładki, wypełnił przestrzeń między jej palcami, pobudzając ją niczym dotyk kochanka. Jego dotyk. Spojrzała w morze, na rozjaśnione słońcem niebo, po którym, niczym figurki w teatrzyku cieni, przepływały strzępy wspomnień.

Uśmiechnęła się znowu na myśl o tamtym lecie sprzed lat, o dniach, kiedy poranna bryza łagodnie spryskiwała jej policzki. Kiedy fale zdawały się uderzać o skały w takim samym rytmie, w jakim szaleńczo biło jej serce. Kiedy każdego dnia nad jej głową rozciągało się bezmierne, puste niebo tak nasyczone błękitem, że dusza nie była w stanie tego znieść. Kiedy pokochała tego mężczyznę całym swoim sercem i nie prosiła o nic.

Jedynie o to, by odwzajemnił jej miłość.

W kowalskim piecu jarzyły się węgle, oświetlając niesamowitym czerwonym blaskiem wnętrze budynku. Lokomotywa stała obok na fragmencie torów. W dokładnie wypolerowanej miedzi odbijał się żar, dlatego mogło się zdawać, że metal jest rozgrzany od środka. Z ustawionymi stromo cylindrami wyglądała, jakby przycupnęła i na coś czekała. Sprawiała wrażenie szybkiej.

Lord Caerhays stał w cieniu pary potężnych miechów. Opierał się o stół.

Zmierzwił włosy opadały mu na czoło. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci; naga skóra błyszczała od potu. Pachniał parą i smarem.

Duncan, jego sługa, miał na kanciastej brodzie, dokładnie pod lekkim zagłębieniem, plamę zielonej farby. Obaj mężczyźni dzierżyli w dłoniach skórzane kubki z przemyconą francuską brandy. Wcześniej pracowali, teraz przystąpili do świętowania.

Duncan podniósł ociekający farbą pędzel i dużej literze „T”

na kotle domalował poprzeczkę. Opadł na pięty i przyjrzał się swemu dziełu jednym okiem.

- KOMETA. Właściwa nazwa, sir. Bardzo pasuje. Drgnął mięsień na ocienionym zarostem policzku lorda.

- Jej wielmożność ją wymyśliła.

Dokuczał mu tępy ból w piersiach. Brakowało mu jej. Powinna być przy jego boku. Zamierzał zabrać ją ze sobą, ale doprowadziła go do stanu wrzenia z wściekłości. Ilekroć o tym pomyślał, od nowa się złościł. Tylko że za diabła nie wiedział, dlaczego. Chciał kogoś atakować - ją, Tiltwella, siebie. Ona jednak wiedziała, że w końcu złość mu przejdzie i będzie odczuwał jedynie pustkę. I będzie za nią tęsknił. Porzucił te myśli i po raz kolejny obszedł maszynę. Kocioł został obłożony filcem i przykryty ściśle dopasowaną brezentową plandeką w kolorze pierwiosnków. Wykonał ją rzemieślnik z Mousehole, który zwykle szył żagle. Koła lokomotywy pomalowali, zgodnie z sugestią Duncana, na jasnozielono. Każdą śrubę, nakrętkę czy nit zamocowali ręcznie. Całość nie przypominała niczego, co by świat dotychczas widział.

Z Birmingham sprowadził wykonany na zamówienie specjalny system rur, przeznaczony do kotła płomieniówkowego o wielu przegrodach. Innowacji dał początek pomysł zbudowania bezkonnego powozu. Kiedy przed sześcioma laty próbował to zrealizować, powaliła go na ziemię pewna długonoga marchewka o roześmianych ustach. Ostatecznie uzyskał kocioł znacznie lżejszy i wydajniejszy w maszynie, która była w stanie przemieszczać ładunek i pasażerów z jednego miejsca ładunku na drugie.

Wrócił do stołu. Duncan odsunął stos kluczy i śrub, płasko położył dłonie na starej, poniszczonej powierzchni i dźwignął się na miejsce obok. Pomachał nogami. Obaj mężczyźni zgodnie opróżniali kubki. Pierwszy odezwał się lord.

- Piękna jest, nie sądzisz, Duncan? - Czuł ciepło wokół serca oznaczające, jak mniemał, zadowolenie z tego, co zbudował. -Piękna, silna i wydajna. Szkoda, że chyba nie dowiem się, jak pracuje.

- Ano tak. Grał pan w kości i wypadło na oczy węża. Zdarza się - podsumował Duncan, upijając łyk brandy.

Nikły uśmiech nieco złagodził surową linię ust hrabiego.

- Cóż, ująłeś to niezwykle zwięźle i głęboko. Grałem i przegrałem. Po co płakać, narzekać i rozdzierać szaty. - Masz trzeźwą głowę, Duncan.

Duncan wyszczerzył zęby.

- Wielkie dzięki. Hrabia zmarszczył czoło.

- Inaczej niż pewna moja znajoma nie pozwalasz na to, aby uczucia odebrały ci zdrowy rozsądek. Szkoda, że nie możemy być małżeństwem.

Duncan wytrzeszczył szeroko oczy, w zagłębieniach zginęły gdzieś jego brwi.

Hrabia podniósł bukłak w uspokajającym geście, rozlewając brandy na buty.

- Daj spokój, nie mam na myśli niczego złego. Chodzi mi o to, że byłoby łatwiej znieść małżeńskie więzy, gdyby osoba, której jest się poślubionym, jednostka, że tak się abstrakcyjnie wyrażę, była mężczyzną.

Duncan, który obserwował ruch kubka hrabiego, musiał kilka razy zmrużyć oczy, nim zdołał wykrztusić słowo.

- Rozumiem, co pan chce powiedzieć... chyba.

- Pewnie, że rozumiesz. Rozumiesz, bo jesteś mężczyzną. - Poklepał Duncana po ramieniu. - Gdybym więc ocalił twoją szesnastoletnią cnotę, narażając na uszczerbek stan swego organizmu, że nie wspomnę o spokoju duszy, i, co więcej - znowu poklepał Duncana po ramieniu - gdybyś bez przerwy baraszkował po okolicy, obdarzony uśmiechem, który krew każdego mężczyzny doprowadza do wrzenia, z ustami stworzonymi do robienia mężczyźnie rzeczy, które tylko diabeł mógłby wymyślić... - Przerwał na chwilę, by przełknąć spory łyk brandy. - Do licha, im dłużej o tym myślę, tym bardziej się przekonuję, że jestem święty. Ale czy ona mi za to podziękuje? Ha!

Duncan odpowiedział poważnym skinieniem głowy.

- Ja bym panu podziękował. Byłbym tak wdzięczny, że pocałowałbym... znaczy podziękowałbym panu. Sir.

- Pewnie, ty byś mi podziękował. Wymaga tego zwykła uprzejmość. I gdybym tak, dajmy na to, ocalił cię od losu gorszego niż śmierć...

- Co może być gorsze niż śmierć?

- Małżeństwo z Tiltwellem.

Duncan zadygotał.

- Uznałbym, że postępując jak rycerz, wcale pan nie zwariował.

- Pewnie, że byś tak uznał. Jesteś w końcu mężczyzną. Tak samo jak nie uciekałbyś się do takiego idiotycznego, kretyńskiego, głupiego pomysłu, żeby wdać się w małżeństwo z zarozumiałym, skąpym bękartem tylko po to, aby ocalić mężczyznę, którego ko... na którym ci zależy, od uwięzienia.

Duncan dolał sobie brandy. Włożył kubek między nogi i gapił się na migotliwą złocistą powierzchnię.

- Powiedział pan swojej milady, że ją kocha, sir? Hrabia zmierzył go wzrokiem.

- Tego rodzaju pytania stawiają kobiety. Obawiam się, że mimo wszystko pod tym względem nie pasujemy do siebie.

Duncan wzruszył wielkimi ramionami.

- Moje serce jest już zajęte. Panną Poole. Tylko że ona mnie nie chce. Podobno nie nadaje się dla niej. Jestem zbyt przystojny.

Wsparty sporem łykiem brandy, McCady poświęcił temu stwierdzeniu kilka chwil namysłu.

- Właśnie doszedłem do istotnej konkluzji. Takiej oto, że kobiet nie da się zrozumieć. Sprawa wygląda na beznadziejną. Zdaje się, że będziemy musieli udać się do domu.

Duncan miał trudności z podążaniem za meandrami logiki hrabiego. Postanowił zatem poczynić uwagę praktyczną.

- W żaden sposób. Jesteśmy pijani, a na dworze ciemno. Hrabia wstał. Świat nieco się zakołysał, więc hrabia czym prędzej usiadł.

- Wystarczy, że wrócimy jutro. - Przechylił szyjkę butelki nad kubkiem Duncana i napełnił naczynie po brzegi. - Tymczasem musisz zebrać siły, by stawić czoło wszelkim przeszkodom. Bo kiedy wrócimy do domu, chwycisz pannę Poole za włosy i zaciągniesz ją do Gretna Green. Tam będziesz mógł ją poślubić, nie bacząc na jej wolę.

- Naprawdę, sir?

- W moim przypadku to się sprawdziło, no nie! Przynajmniej częściowo. Do licha, no, sprawdzi się, kiedy Jessalyn wreszcie zaakceptuje fakt, że należy do mnie. I że jeśli ktoś tak naprawdę potrzebuje ratunku, to nie ja, tylko ona. I to ja będę ją ratował. Nie kobieca to rzecz - ocalać. Mężczyzna to wie.

- Nadal myślę, że wszystko może się ułożyć lepiej. Wystarczy, by jej pan powiedział, że ją kocha.

- Pilnuj swoich spraw, Duncan. Duncanowi odbiło się.

- Tak jest, sir.

Black Charlie siedziała zadumana pod arkadami końskiego targu Tattersalls. Przed nią stały równiutkie rzędy poukładanych w stosy monet najrozmaitszych nominałów. Charlie wypłacała wygrane w zakładach z ostatniego tygodnia.

- Witaj, Charlie - powiedziała lady Caerhays spod dużego, miękkiego kapelusza stajennego chłopca.

Bukmacherka pokazała w uśmiechu rząd brązowych zębów, błysnęła glinianą fajką.

- Nie może być! Panna Jessalyn. Nie poznałam panienki w tym stroju. Jeśli chodzi o forse, to chyba jesteśmy kwita, nie? Wydawało mi się, że jesteśmy rozliczone.

- Pewnie, pewnie. Jestem tutaj, ponieważ mam wyprzedaż. Szczeciniaste brwi bukmacherki zniknęły pod wysmarowanym kapeluszem.

- Naprawdę?! Chyba już panienka*nie ma serca do wyścigów, kiedy starsza pani odeszła, co? Niezłą pulę panienka ostatnio zgarnęła. Ten Błękitny Księżyc panienki to ekstraszuka. Dobry biegacz, nie ma co.

Uśmiech Jessalyn wydawał się nieco wymuszony.

- Zgadza się. Dobry biegacz, nie ma co... - Nagle łzy zalśniły w jej oczach. Musiała zamrużyć i odwrócić głowę.

Właśnie wtedy podszedł jakiś firecyk w pasiastych zielonych spodniach i purpurowym surducie z mosiężnymi guzikami wielkości kurzych jaj. Chciał postawić dwadzieścia pięć funtów na faworyta w gonitwie Rowleya, która miała się odbyć w przyszłym tygodniu. Jessalyn czym prędzej odeszła. Na końskim targu najczęściej transakcji dokonywano w poniedziałki. Tego dnia konie szły pod młotek, a bukmacherzy wypłacali wygrane w wyścigach z poprzedniego tygodnia.

Żadna kobieta, oczywiście z wyjątkiem Black Charlie, nie śmiała postawić swojej filigranowej stopki w obrębie targu Tattersalls. Właśnie dlatego Jessalyn zdecydowała się przywdziać

męski strój, tym razem chłopca stajennego: filcowy kapelusz, drelichowe bryczesy i stary sukienny płaszcz. Do tego zawiązała pod szyją czerwoną chustkę. Musiała kontrolować chód i odpowiednio spluwać, aby przejść nie dostrzeżona przez zgromadzenie szlachejnych mężczyzn.

Woźnice kroczyli dumnie, spluwając przez szpary w zębach i kołysząc biodrami. Dandysi najrozmaitszych odmian krążyli przed białą świątynią pośrodku placu, prezentując nowy krój surdutów do jazdy i lśniące buty. Eksperci w handlu końmi wymieniali uwagi, oglądali towar w boksach i starali się oszacować maksymalne ceny, za które zdecydują się na kupno.

Jessalyn spostrzegła Sierżanta Majora, który kręcił się w pobliżu boksów, strzegąc ich ulubieńców. Odstraszał ponurymi minami i gderaniem każdego, kto wyglądał na potencjalnego nabywcę.

Sierżant Major nie odzywał się do niej. Gdy powiedziała mu

O swoich zamiarach, odniosła wrażenie, że starszy mężczyzna po prostu się rozpląca.

- Starsza miłady przewróci się w grobie, kiedy się o tym dowie - rzekł i Jessalyn pierwsza zaczęła ronić łzy.

Błękitny Księżyc wystawił z boksu ciemnoczerwony łeb

I oczy Jessalyn znowu powilgotniały. Otarła nos rogiem czerwonej chustki. Dobry Boże, zamieniała się w zwykłą konewkę. Młotek uderzył w drewnianą podkładkę i zamarło jej serce. Rozpoczęła się aukcja. Pod młotek poszły siodła, konie pociągowe i przeznaczone na polowania. W końcu przyszła kolej na konie wyścigowe.

Na pierwszy ogień poszła Annabella, pięcioletnia klacz. Sierżant Major przeprowadził ją tam i z powrotem pod arkadami, aby biorący udział w aukcji mogli lepiej zobaczyć, na co się decydują. Rozproszone zielone światło, przefiltrowane przez okienne szkło, sprawiało, że starannie wypielegnowana czarna sierść konia miała hebanowy odcień. Klacz została sprzedana szybko za siedemset funtów.

Dwa następne konie, sprawdzone ogiery, poszły za sumę jeszcze większą. Jessalyn dodała w myślach wylicytowane liczby. Do tej pory zarobiła dwa tysiące dziewięćset funtów. Po zsumowaniu z wygraną w ostatnich derbach dawało to razem trzecią część potrzebnej jej kwoty.

W końcu przyszła kolej na Błękitnego Księżycza.

Sierżant Major wyprowadził z boksu potężnego gniadosza. Jessalyn postąpiła kilka kroków w przód, aby odebrać lejce z rąk trenera. Po jego wklęsłych policzkach płynęły łzy, oczy miał opuchnięte i zaczerwienione. Głowa zginęła mu między przygarbionymi barkami. Nie patrzył na swoją panią.

Licytator stał za drewnianą mównicą przy końcu pasażu pod arkadami. Jessalyn zaczęła iść w jego kierunku z przeciwnej strony. Drżały jej nogi. Bała się, że w każdej chwili może się potknąć i przewrócić. Za to Błękitny Księżyc zdawał się wiezieć, że stał się bardzo sławny, bo paradował, rzucał głową i wysoko podnosił ogon.

- Teraz, panowie - zaczął licytator - uprzejmie proszę o uwagę. Macie przed sobą Błękitnego Księżycza po Tulipanie i Do-gońmnie. Trzylatek. Reprezentując barwy Lettych, po bardzo zaciętej walce wygrał tegoroczne derby w Epsom. Młody i silny. Wygra jeszcze wiele gonitw i spłodzi pierwszorządne potomstwo. Sądzę, szanowni panowie, że mogę powiedzieć dwa tysiące. Dwa tysiące to cena wywoławcza. Kto da więcej? Czy wolno mi powiedzieć dwa i pół tysiąca? Dwa i pół tysiąca po raz pierwszy. Trzy? Zwycięzca Derby, panowie. Trzy i pół? Trzy i pół tysiąca po raz pierwszy...

Jessalyn odwróciła głowę, aby zobaczyć, kto prowadzi w licytacji. Starszy mężczyzna z gęstwiną siwych włosów i monoklem tkwiącym mocno w jednym oku. Wyglądał na dobrego człowieka. Miała nadzieję, że nie zapomniałby dać swojemu koniowi odrobiny kanarkowego wina po wyczerpującej gonitwie.

- Przeciwno panu, sir. Pięć tysięcy. - Licytator pokazał na mężczyznę z monoklem. Mężczyzna uniósł rękawiczkę. - Zatem pięć tysięcy pięćset. Dziękuję, sir. Czy mogę powiedzieć sześć? Kolej na pana, sir. Nie? Kończymy na sześciu? Sześć po raz pierwszy, drugi, sprzedany. Sprzedany za sześć tysięcy funtów. - Licytator stuknął młotkiem w mównicę i Błękitny Księżyc zmienił właściciela.

Podbiegł jakiś chłopiec stajenny i chwycił za uździenicę gniadosza.

Jessalyn przytuliła twarz do połyskującej szyi Błękitnego Księżycza. Stała nieruchomo, póki chłopiec nie dotknął jej delikatnie.

- Już ja się o niego zatroszczę, chłopie - powiedział. - Będę go rozpieszczał jak małe pisklę. Nic się nie martw.

Jessalyn przygryzła dolną wargę i skinęła głową. Puściwszy szyję Błękitnego Księżyca, cofnęła się. Łzy rozmazały jego sylwetkę, kiedy chłopiec stajenny prowadził go do nowego właściciela z monoklem, mężczyzny o siwych włosach i życzliwej twarzy. Koń jakby przestawał dla Jessalyn istnieć.

A jej w dalszym ciągu brakowało dwustu funtów.

XXVI

Beka Poole zupełnie nie wiedziała, co ma myśleć. Mieszało się jej w głowie od tych nieustannych przyjazdów i wyjazdów, a jej ciało coraz bardziej zbliżało się do wrót śmierci z wyczerpania i nerwowych spazmów.

Z początku panna Jessalyn była zdecydowana wyjść za pana Tiltwella i Beka bardzo się z tego cieszyła. Bo po smutnym odejściu milady panna Jessalyn, biedaczka, została sama ze złamanym sercem.

Ale potem, w dniu, który miał być szczęśliwy, hrabia piekiel porwał panienkę.

Wykradł ją prosto z domu bożego, niechaj niebiosa mają ją w swojej opiece.

Powiózł do barbarzyńskiej Szkocji i zgwałcił. Beka cała się trzęsła na samą tę myśl.

Następnie podniósł się z łóżka, ten szalony hrabia, i zabrał ją z powrotem do

Kornwalii. Dopiero wtedy posłano po Bekę do Londynu, gdzie pozostawiono ją samą wśród krokodyli i sfinksów, chyba na pastwę upiorom i Bóg jeden wie czego jeszcze. Popłynęła statkiem i od tamtej pory nie pozbyła się kłopotów z żołądkiem.

Było jej tak niedobrze, że przez wiele dni żywiła się wyłącznie ciasteczkami i wodą z sodą. W końcu stała się taka słaba, że tylko z największym trudem mogła podnieść łyżkę do ust.

Ledwie wrócili do Kornwalii i Beka osądziła, że znowu jest bezpieczna - o ile twoje ciało może być bezpieczne, gdy pan Duncan patrzy na ciebie tym swoim lubieżnym wzrokiem - a już z powrotem wyruszyli do Londynu. Beka nie śmiała za to winić panny Jessalyn, bo ten hrabia piekiel trzymał ją w łóżku dniami i nocami, gwałcąc ciągle od nowa. Beka dostawała gęsiej

skórki na całym ciele, ilekroć o tym pomyślała. Do Londynu jechali dyliżansem pocztowym. Po tej podróży zachowała się pamiątka na jej derierze w postaci ciemnych jak smoła siniaków. Najbardziej jednak ucierpiały jej kości. Wydawały się rozbite i zgruchotane, jakby je ktoś wyjął z jej ciała i grał nimi w krykieta. Nie miała ani jednej spokojnej chwili, by się z tego wszystkiego otrząsnąć, ponieważ nie dalej jak wczoraj panna Jessalyn sprzedała Błękitnego Księżyca. Beka nigdy w życiu by nie pomyślała, że cokolwiek jest w stanie rozdzielić młodą panienkę i tego konia, którego przecież tak bardzo kochała. Całe to wydarzenie całkowicie wytrąciło ją z równowagi. Płakała całą noc, nie pozwalając nikomu zasnąć, dlatego rano Beka musiała zwlec się z łóżka mimo okropnego bólu głowy. Który pannie Jessalyn wcale nie dokuczał. Ona zerwała się o poranku i znowu gdzieś zniknęła. A teraz, po południu, pojawiła się znowu. Śmiała się od ucha do ucha i ścisnęła w rękę jakiś papier.

- Udało się, Beko! - powiedziała panna Jessalyn, śmiejąc się i zarazem płacząc, podskakując na palcach i wirując w miejscu, tak że od samego patrzenia kręciło się w głowie.

Beka dotknęła amuletu i pomodliła się do wszystkich świętych. Zaczynała się obawiać, że małżeństwo z szalonym hrabią piekiel doprowadziło pannę Jessalyn do obłądu. Dokładnie w taki sam sposób, w jaki serwatka dodana do śmietany wprowadza gorzycz.

- Niby co się udało? - zapytała ostrożnie.

- Teraz już nie pójdzie do więzienia! Och, wścieknie się na mnie, jak się dowie, czego dokonałam. Potem będzie się bocył, bo przecież jest upartym, aroganckim Trewlanym do szpiku kości. Ale koniec końców szybko mi wybaczy. Wszystko, co będę musiała zrobić... - Zreflektowała się i rumieniec spłynął na jej policzki. - Tak, kiedy poślubisz Duncana, zrozumiesz, co mam na myśli.

- Przecież mówiłam, że nie wyjdę za pana Duncana. Przenigdy i...

Nagle przerażające dudnienie dobiegło od frontowych drzwi. Krzyknąwszy, Beka chwyciła się za szyję. Panna Jessalyn wbiegła do holu, za nią zaś Beka, przekonana, że za moment chwyci

ją atak serca i dopiero wtedy panu Duncanowi będzie przykro, jak ją zobaczy martwą w trumnie.

- Jessalyn! Otwórz te cholerne drzwi albo je wyważę. Beka chwyciła za mosiężny stojak na kapelusze, pewna, że już wkrótce zemdleje.

- Na rany Chrystusa!

Panna Jessalyn patrzyła na drzwi, jakby lada moment miały wyskoczyć z zawiasów.

- Caerhays - powiedziała, jak gdyby to była jakaś wielka niespodzianka.

Beka spojrzała na swoją panią, jakby ta ostatnia już nie wyglądała na normalną. I pewnie już taka nie była. Wolno skinęła głową.

- Ano, jego wielmożność lord, ani chybi. Okropnie wściekły. Panna Jessalyn uniosła wysoko brodę.

- Nie przyjmę go - powiedziała wystarczająco głośno, aby ją było słychać po drugiej stronie pomalowanych na czarno dębowych drzwi.

- Do licha ciężkiego, przyjmiesz mnie, przyjmiesz, żono - odparł lord dostatecznie głośno, aby z kolei jego było słychać. -Przyjmiesz mnie całego, co do centymetra. Beka chwyciła się za serce.

- Na rany Chrystusa! On chce panienkę zgwałcić. Znowu. Co za potwór!

Wyglądniały potwór.

Panna Jessalyn odwróciła się plecami do drzwi.

- Beka, odczekasz, póki nie udam się do swojego pokoju. Potem otworzysz jego wielmożności lordowi. Wprowadzisz go do salonu i wyjaśnisz, że dla niego nie ma mnie w domu.

- Oj, panienko, to wszystko dzieje się za szybko. W żołądku wszystko mi się przewraca i bierze mnie kołysanie serca... -Beka zacisnęła powieki i usiłowała zemdleć. Chociaż była bardzo słaba i roztrzęsiona, zbawienny mrok się nie pojawiał. Otworzyła oczy. Panna Jessalyn już zdążyła odejść.

- Panno Poole, proszę otworzyć.

Tym razem nie był to głos hrabiego, tylko Duncana. A to wcale się Bece nie podobało. Niby skąd się tutaj wziął, żeby jej wydawać polecenia! Nie pracowała dla niego i nie była jego żoną, więc niby...

- Beka! - wrzasnął Duncan.

Dłonie Beki drżały jak podczas wichury liście na drzewie. Otworzywszy drzwi, dygnęła przed hrabią, zbyt przerażona, aby spojrzeć w twarz tego czorta.

- Dobry wieczór, milordzie. Dziwnie to wypadło, ale pomyślał pan o złożeniu wizyty panience Jessalyn, kiedy akurat wyszła...

Hrabia przemknął się obok niej bez słowa i ruszył w pośpiechu po schodach, aby zapewne od razu gwałcić. W drzwiach pojawiły się szerokie ramiona Duncana. Sługa hrabiego patrzył tak jakoś dziwnie, jak gdyby i on miał to samo na myśli. Beka zadarła do góry brodę, chociaż jak zwykle pamiętała, by włosy przysłaniały nieszczęsną bliznę.

- Proszę trzymać się ode mnie na odległość, panie Duncan.

- A ja ciebie proszę, żebyś założyła czepek, rękawiczki i ciepły płaszcz. Ponieważ idziesz ze mną.

- Będziesz mnie uprowadzał?! - krzyknęła Beka, cofając się i ściskając materiał staniczka tak kurczowo, że odpadł jeden guzik.

Duncan odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się, jakby miał koklusz.

- A jakże, dziewczyno. Urowadzam cię. Weźmiemy ślub.

- Przecież mówiłam już, mówiłam[^] że nigdy za ciebie nie wyjdę.

- A ja twierdzę coś przeciwnego. Chcesz czy nie, będziesz moją żoną, będziesz spać w moim łóżku i będzie ci się to cholernie podobało!

Beka przygryzła dolną wargę i spuściła głowę. Potem podniosła ją znowu i odgarnęła włosy z twarzy.

- Chcesz na mnie patrzeć?! Duncan postąpił krok do przodu.

- Patrzę na ciebie.

- Nie! Wcale nie. Spójrz na mnie!

Postąpił kolejny krok i stanął, prawie jej dotykając. Dobry Boże, jaki był duży!

- Widzę bliznę - mruknął. - I jeśli człowiek, który ci to zrobił, jeszcze żyje, zabiję go za to. - Położył wielką dłoń po ładnej stronie jej twarzy, tak że blizna była wystawiona na bezlitosne światło wpadające przez otwarte drzwi. Pochylił głowę i pocałował ją. - No to masz. Nie ma o czym mówić.

- Ale... - Beka dotknęła policzka, wyczuwając pod palcami szkaradną szramę.
- Nie ma o czym mówić. Kiedy na ciebie patrzę, moja miłości, widzę niebo, a ono jest śliczne.

McCady poradził sobie z mizernym zamkiem jednym uderzeniem buta. Drzwi zatrzymały się na ścianie, wprawiając w drżenie parę egipskich urn pogrzebowych stojących na obramowaniu kominka.

Jessalyn siedziała przed toaletką na masywnym krześle, którego nogi kończyły się pazurami; po drugiej stronie oparcia znajdowała się wyrzeźbiona głowa lwa.

Zajęcza łapką pudrowała sobie twarz. Spojrzała na niego z lustrą wzrokiem chłodnym i nieobecnym. McCady chwycił za drzwi i zatrzasnął je za sobą. Egipskie urny zagrzechotały.

- Nie przypominam sobie, abym słyszała pukanie - oświadczyła. - Nie pamiętam też, bym pozwoliła ci wejść.

- Nie potrzebuję żadnego pozwolenia. - Kiedy ruszył na nią, poderwała się tak gwałtownie, że zachwiało się ciężkie krzesło. Zaczęła się cofać w stronę tapety w kwiaty lotosu i splecione liście winorośli. Zatrzepotała dłonią przy szyi, a jej oczy stały się dwiema filizankami ze srebra, wypełniając całkowicie owal twarzy. Bała się jego gniewu - bardzo dobrze. Zasłużyła sobie na to, ponieważ niemal stracił rozum ze strachu, kiedy wróciwszy do domu, stwierdził, że jej nie ma.

Uwięził ją przy ścianie między rękami i zaczął napierać biodrem na jej żołądek. Był porywczy i surowy i chciał, aby o tym wiedziała.

Widział z bliska, jak czarne kręgi w samym środku jej oczu pochłaniają niemal całą szarość.

- Byłaś u Tiltwella?! - zapytał przez zęby. Zaczepnęła powietrza, ocierając się piersiemi o jego tors.

Z trudem wykrztusiła jedno słowo:

- Tak.

- Dotykał cię? - Otoczył dłonią jej szyję. Czuł pod palcami szaleńcze pulsowanie. Na całym świecie nie było niczego bardziej gładkiego niż jej skóra. Rozchylone usta, drżące i wilgotne,

wyglądały tak, jakby je ktoś przed chwilą całował... albo właśnie miał pocałować. -
Pozwoliłaś, aby cię dotknął, Jessa?

- Nie.

Nie wiedział, czy powiedziała prawdę, ale już nie dbał o to. Teraz pragnął od niej tylko jednego i zamierzał zacząć od przypomnienia sobie smaku jej ust.

Ujął ją pod brodę, zmusił, by jej usta rozstały się pod jego ustami, i wypełnił je językiem. Krzyknęła, najpierw z gniewu, potem z oddania. Objęła jego szyję i wplątała palce we włosy. Wessała jego język, wciągając go głębiej.

Kciukami przesunął po jej brodawkach, aż pod miękkim materiałem sukienki zamieniły się w twarde paki. Zaciśnęła dłonie na napiętych mięśniach jego pleców. Kochali się ustami, ssąc, przewracając językami, odpowiadając pocałunkiem na pocałunek. Niecierpliwymi palcami odnalazła i odpięła górny guzik przy jego spodniach. McCady zadygotał, gdy wierzchem dłoni przesunęła po jego podbrzuszu. Resztę guzików porozpinał sam i wsunął pulsującą męskość między jej dłonie.

Szarpnęła go niemal brutalnie, sprawiając mu ból, jakby chciała zaznaczyć, że jeśli nie posiadzie jej natychmiast, wtedy już może będzie za późno.

Zebrał jej spódnicę wokół pasa i chwycił za miękkie płócienne pantaloney.

- McCady, proszę, nie rozrywaj...

Za późno, ustały. Kiedy wsunął w nią palec, jęknęła, wyginając się w łuk. Była bardzo wilgotna i bardzo gorąca.

Tak długo drażnił ją palcem, aż zaczęła dygotać. W końcu, chwyciwszy ją oburącz pod jedwabiste pośladki, powoli w nią wszedł. Krzyknęła i odrzuciła do tyłu głowę tak gwałtownie, że uderzyła nią o ścianę. Otwartymi ustami opadł na pulsujące miejsce na jej szyi i wsunął się w nią jeszcze głębiej.

Przytrzymał nieruchomo jej biodra, aby móc drażnić i uderzać. Ścisnęła zębami jego ramię i wbiła paznokcie w plecy. Tymczasem on nie ustawał, pozwalając, by napięcie rosło, rosło, rosło, przeszło we wrzenie, po którym wreszcie nastąpiła gwałtowna eksplozja...

Nie mieli dość.

Jessalyn oparła głowę na jego ramieniu i na chwilę zmiękła, gdy po nim przebiegały ostatnie dreszcze. Lecz już całował ją

znów. Znow poruszał się w niej i przyspieszał. Chwycił jej głowę, uwolnił ze spinek włosy, które rozlały się nad dłonią i nadgarstkiem niczym płynny jedwab. Skierował jej twarz ku górze.

- Nie skłamałaś?! - Zwilżyła sobie usta. On je polizał. -Nie dałaś mu się dotknąć?! Oczy miała szkliste i błyszczące.

- Nie dotknął mnie - odparła w jego otwarte usta. Lekkim poruszeniem sięgnął w nią głębiej.

- Już nigdy nie wrócę do pustego domu.

- Wyjaśnię...

- Później. Wyjaśnisz później. W tej chwili chcę, abyś wbiła sobie do głowy jedną rzecz. Nigdy nie może tak się zdarzyć, bym powracając, nie zastał cię w domu. Bez mojego pozwolenia nie spędzisz ani jednej nocy poza moim łóżkiem. A ponieważ zamierzam spędzić w swoim łóżku wszystkie noce - oświadczył, akcentując słowa uderzeniami bioder - jest w najwyższym stopniu wątpliwe, czy kiedykolwiek pozwolenie zostanie wydane. Czy zrozumieliśmy się, lady Caerhays?!

- Tak, milor...

Zmiażdżył jej usta w głębokim pocałunku, sycąc się ich smakiem, lecz to nie wystarczyło. Nigdy nie wystarczało. Poruszał się wolno i rytmicznie, gdy tymczasem ona obejmowała go, chwytając, ścisnęła, ciągnęła, lecz i to nie wystarczyło. Napierał biodrami, a jej głowa zaczęła uderzać o ścianę.

- McCady... do łóżka - zdołała wykrztusić między jednym a drugim zduszonym jękiem. - Dlaczego... nie... możemy... robić... tego... w łóżku?

- Tak, tak. W łóżku. - Ujął ją w pasie, ona ścisnęła go wokół bioder silnymi udami. Próbował przenieść ją do łóżka.

Łoże było prawdziwym monstrum stojącym na potężnych nogach krokodyla. Na czarnych zasłonach widniały wyszyte złotą nitką hieroglify. McCady potknął się o wystający pazur i oboje opadli na łóżko, tworząc płataninę rąk, nóg. Towarzyszył im urywany chichot.

McCady przekręcił się na jedną stronę i podparł na łokciu, aby na nią spojrzeć. Jej włosy były letnim wschodem słońca, rdzawe i czerwone jak burgund, z kilkoma kosmykami w kolorze żywej pomarańczy. Usta wyglądały na splądrowane, sponie

wierane, a kiedy na nie patrzył, rozchyliły się, uniosły w kącikach i wydobył się z nich jątrzący dźwięk. Ustami stłumił ów chichot, który rozpałił w nim ogień.

Poszukał dłońmi jej piersi i nagle poderwał się, przeklinając.

- Dlaczego ciągle dzieli nas jakaś zakichana bielizna? - Złapał za górną krawędź sukienki, która sięgała prawie po samą szyję.

- McCady, nie rozrywaj...

- Zatem zrzuć to.

Ich ubrania poszybowały w powietrze. Kiedy znów wziął ją w ramiona, była w końcu cudownie naga.

Miała duże brodawki, różowobrazowe jak laskowe orzechy. Zwilżył śliną każdą z osobna, potem wciągnął jedną głęboko w usta. Uwielbiał to odczucie, twardej, pomarszczonej skóry na języku, i przepadał za dźwiękami, jakie temu towarzyszyły: drżące, błagalne szepty Jessalyn.

Ustami i językiem zmierzał nie istniejącą ścieżką po klatce piersiowej i wzdłuż brzucha, póki nie znalazł się na krawędzi powyginanych loczków. Jej uda zamknęły się wokół jego ramion, drżały, rozgrzewając go do czerwoności.

Rozwarł jej nogi i zanurzył twarz w płomieniach. Pachniała nim, jak gdyby na podobieństwo jakiegoś dzikiego zwierzęcia zaznaczył ją swoim zapachem.

Wsunąwszy w nią język, ssał i lizał. Zaczepił zębami o maleńki występ rozkoszy i zaczął go ścisnąć wargami. Szczupłe uda otworzyły się jeszcze szerzej. Trzymała dłonie po obu stronach jego głowy, wijąc się, popiskując, zraszając obficie pracowite usta.

Począł, kiedy opuszczą ją ostatnie dreszcze, rozkoszując się jej smakiem i zapachem. Podniósł się, aby w nią wejść. Ale powstrzymała go, kładąc mu dłoń na torsie.

- Połóż się na plecach.

Posłusznie przetoczył się na plecy, wtedy usiadła na nim okrakiem. Pochyliła głowę, zebrała włosy i pozwoliła, by powoli opadły na jego pierś. Ześlizgiwała się po jego spoconym ciele i ocierała o nie, wypełniając jego zmysły zapachem pierwiosnków. Nigdy wcześniej nie doświadczył tego rodzaju czystej, dogłębnej rozkoszy.

Wzięła jedną z jego brodawek w usta, uszczypnęła, sprawiając, że wydał z siebie urywany jęk. Potem powędrowała niżej,

muskając drżący brzuch i dotykając językiem skraju ciemnych, mocno skręconych włosów. Bliski był śmierci z rozkoszy, gdy zębami leciutko, jak najlżej przemierzyła długość jego twardego, sterczącego członka i otworzywszy szeroko usta, wciągnęła go do środka.

Przesunęła ustami po pulsującej męskości, tam i z powrotem, w górę i w dół. McCady dłużej już nie był w stanie tego znieść. Wpląawszy dłonie w rude włosy, uniósł Jessalyn, osadził na wierzchu i wszedł w nią głęboko.

Jessalyn unosiła się i opadała, unosiła, opadała, coraz szybciej i mocniej w szaleńczej jeździe. Słyszała, jak McCady nuci jej imię:

- Jessa, Jessa, Jessa...

Chwilę później odrzucił do tyłu głowę, otwierając szeroko usta. Cichy krzyk rozkoszy przeszył powietrze, gdy oboje niemal jednocześnie osiągnęli spełnienie. Kiedy znowu byli w stanie spokojnie oddychać, McCady zsunął ją z siebie i powiódł wzrokiem dookoła. Popatrzył na zasłony w hieroglify, na tapetę w splecione liście i na coś, co przypominało sfinksa. Zdawało się, że kamienne egzotyczne stworzenie spogląda na nich zagadkowo znad kominka.

- Czy w tym pokoju w ogóle daje się spać? - zapytał. Usłyszał jej wibrujący śmiech - dziki, zmysłowy i zaraźliwy.

Nosem i brodą trąciła go w szyję, zębami szarpnęła lekko za złoty kolczyk.

- Naprawdę sądziłeś, że mogłabym cię zostawić dla Cla-rence'a?

Spojrzał na nią w szyderczy, typowy dla siebie sposób. Zdawał sobie sprawę, że pozwalała sobie na to, być może, po raz ostatni, i tylko dlatego, że ona nie może tego widzieć.

- Ależ skąd! Nie jestem idiotą. Sądziłem, że wbiłaś sobie do głowy pomysł, aby mu się sprzedać na jedno popołudnie w zamian za te cholerne skrypty dłużne. I nie patrz tak na mnie! Przecież powiedziałaś, że zrobiłabyś dla mnie wszystko. - Podniósł jej głowę tak, że mógł jej spojrzeć w twarz. - Zatem co zrobiłaś?!

Wyswobodziła się z jego objęć, wstała i podeszła do toaletki. Gdy spod słoiczka z pudrem i zajęczką łapką wyciągała ciężki plik dokumentów, on cieszył oczy widokiem jej włosów piesz-

czących nagie biodra. Wróciła do niego i podała mu leżący na wierzchu dokument. Było to poświadczenie, sporządzone wprawną ręką urzędnika, że roczne odsetki od wszystkich skryptów dłużnych zostały zapłacone w całości. Podpis należał do Tiltwella, chociaż wydawał się nieco rozchwiany. Wagi dokumentowi przydawała solidna pieczęć.

McCady spojrział w szare oczy.

- Co zrobiłaś?

Głębokie wzruszenie odmalowało się na jej twarzy. Odwróciła głowę.

- Sprzedałam Błękitnego Księżyca.

- Och, do diabła, Jessalyn... - Jego oczy zalśniły łzami. Miał ochotę rozplakać się jak dziecko, głośno i bez opamiętania. I bić pięściami w podłogę. Gdyby tylko mógł cofnąć czas, postarałby się wszystko ułożyć jak należy. Tak bardzo chciał podarować jej świat, a okazało się, że to ona podarowała świat jemu.

Wstał, ujął jej głowę w dłonie i kciukami zebrał łzy, które roniła.

- Byłaś do niego tak przywiązana. Ten koń był dla ciebie ważniejszy niż cokolwiek innego na-świecie.

Zdołała uśmiechnąć się przez łzy.

- Teraz tylko to, co nas łączy, ma naprawdę znaczenie. Przytulił ją mocno do siebie.

- Inne konie także musiałam sprzedać - powiedziała zduszonym głosem. Czuł na skórze gorące łzy. Przełknął ciężko, ale nadal coś ścisnęło go w gardle. - I jeszcze mi nie wystarczyło -ciągnęła, łaskocząc go oddechem. - Nie zarobiłam na nich tyle, by mi wystarczyło. No więc sprzedałam tabakiery babci.

- Chryste...

Przez moment trzymał ją w ramionach, nie odzywając się słowem.

- Jesteś na mnie wściekły? Uścisnął ją.

- Nie, raczej na siebie.

Przechylił jej głowę do tyłu, aby, patrząc jej w twarz, zyskać potwierdzenie, że mówi prawdę.

- Nadejdzie taki dzień, że wynagrodzę ci wszystko.

389

Skierowała na niego skupione spojrzenie swych szarych, wielkich w tej chwili oczu.

- Czegoś takiego nie sposób wynagrodzić, McCady. Nie istnieje ani taka powinność, ani potrzeba. Nie wówczas, gdy chodzi

O dar serca.

Oniemiał, porażony mądrością i czystością jej duszy. Jego serce przepelniła dziwna mieszanina uczuć: zdziwienia, obawy

i radości. Działo się tak, ilekroć na nią spojrzał, dotykał jej, gdy o niej myślał.

Zauważył, że drżała. Ściągnął brwi.

- Na miłość boską, Jessa, przecież zamarzniesz! - zawołał. - Wrzuć coś na siebie.

Wysunęła usta, robiąc nadąsaną minę. Miał ochotę całować je bez opamiętania.

- Niby po co? I tak byś wszystko porozdzierał.

Podeszła jednak do szafy. Obserwował ją, karmiąc oczy widokiem jej nagiego ciała, póki nie okryła go orientalnym jedwabiem. Sam włożył spodnie i wyciągnął się na monstrualnym łóżku. Czekał, kiedy Jessalyn do niego powróci.

Usiadła obok. Tajemniczy uśmiech błąkał się wokół jej ust.

- Nie cierpię tego.

- Czego?

- Kiedy się uśmiechasz, jakbyś wiedziała coś, czego ja nie wiem.

Uśmiechnęła się szerzej i pogodniej.

- Myślę, że bardzo cię kocham, McCady Trewlany. Poglądził białą skórę jej nagiego ramienia. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Jessalyn... ja...

- Tak?

- Już nic.

Wstała i podeszła do okna. Szukał słów, które mogłyby sprawić, by powróciła. Ale w obcowaniu z nią słowa przestawały być jego najmocniejszą stroną. Przychodziły z trudem i zazwyczaj były to te najmniej odpowiednie. Krople deszczu bębniły o szyby, pozostawiając na ich powierzchni deszczowe piegi. Przez twarz Jessalyn przesuwaly się poszarpane cienie. W pokoju robiło się coraz bardziej chłodno.

Zbliżyła twarz do szyby i popatrzyła z wyrazem zdziwienia.

- McCady, Duncan jedzie gdzieś z Beką twoim powozem.
 - Nie ma powodu do niepokoju, lady Caerhays. Uciekają.
- 0 ile się orientuję, zdarza się to czasem nawet bardzo porządnym ludziom. Odwróciła się na pięcie. Pokój wypełnił się jej wibrującym śmiechem.
- Ten przystojny czort... powiedział, że ją do tego przekona!
 - Idę o zakład, że raczej ją do tego skusił - powiedział z uśmiechem, bo Jessalyn śmiała się znowu. - Jest to jedyna i wypróbowana metoda, w dodatku skuteczna.
 - O, czyżby?
 - W rzeczy samej. Chodź tutaj do mnie i pozwól, że ci to udowodnię.
- Podeszła szybko i chętnie. Wsunąwszy dłonie pod jedwabny szlafroczek, zapoczątkował powolny, cudowny proces ponownego pobudzania nasyconych zmysłów. Jej palce błądziły w gęstwinie jego włosów.
- McCady? Duncanowi w żaden sposób nie uda się wrócić z Gretna Green przed rozpoczęciem konkursu.
 - Nie... - Na chwilę zabrakło mu powietrza. - Nie, chyba że mu wyrosną skrzydła.
 - W takim razie nie będzie miał Jjto ci pomóc przy lokomotywie.
- Wtedy przyszło mu do głowy, że jednak może dać jej coś w zamian.
- Przeciwnie. Pani mi pomoże, lady Caerhays.

XXVII

Wymalowany zieloną farbą napis KOMETA widniał na jasno-żółtym kotle lokomotywy. Litera „O” zapadała się i przypominała ugotowane jajko ze stłuczoną skorupką. „T” było przechylone na bok i miało długi daszek, który mógłby wprawdzie uchodzić za ogon komety, ale Jessalyn nie przypuszczała, aby taka była intencja twórcy napisu.

W zamyśleniu oderwała wzrok od lokomobili i spojrzała na pochyloną głowę oraz szerokie ramiona swojego męża, który klęcząc na jednym kolanie, oliwił piastę zielonego koła.

- McCady, co za szaleniec pomalował...

- Ja nie - odparł szybko. Zbyt szybko. Podniósł się i zerknął na nią, zmieszany. - Nie ja. To inny tuman.

Jessalyn przygryzła dolną wargę, aby nie wybuchnąć śmiechem.

- Dobry Boże! Ten człowiek musiał być nieźle odurzony.

Jej mąż zacisnął usta. Wyjął z kieszeni szmatkę i zaczął ścierać z powierzchni miedzianej obudowy Komety nie istniejące plamy i odciski palców. Starał się wyglądać na uosobienie niewinności, ale z bardzo mizernym skutkiem, ot, jak typowy Trew-lany. W piersi Jessalyn narastał chichot. Z trudem hamowała się, aby nie zacząć się śmieć bez opamiętania. Przepęłniała ją radość. Dzień był cudowny. Słońce zasłane przejrzystymi chmurami zalało okolicę mlecznym światłem.

Powietrze wydawało się gęste jak mleko. Wiatr szumiał jej w uszach.

Podobno ponad tysiąc ludzi zebrało się wzdłuż dwudziesto-kilometrowej trasy, na której miała się odbyć próba maszyn. Zewsząd dobiegały nawołujące dźwięki rogów, głosy sprzedawców pieczywa, rżenie koni i płacz dzieci. Linia startu znajdowała się na wysokości gospody „Pod Krzywą Laską”, gdzie już od pewnego czasu brakowało jałowcówki, a zapas piwa był na wyczerpaniu. Wielu jej klientów było robotnikami, prostymi i silnymi mężczyznami, którzy pracowali przy wykopach i tunelach, a także układali tory pod kolej McCady'ego. Kiedy nie kopali i nie pili, pasjonowali się zapasami.

Pojedynek, który trwał już od pewnego czasu, nagle dobiegł końca, kiedy jeden z zawodników zwyczajnie uniósł drugiego i niczym piłkę do krykieta rzucił go na stos beczek po piwie. Zwycięzca odwrócił się i otrzepał dłonie jak po dobrze wykonanej robocie. Ku swojemu zdumieniu Jessalyn stwierdziła, że ów hipopotam jest kobietą. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy się okazało, że behemot zmierza dokładnie w jej kierunku. Postąpiła krok do tyłu; behemot nadchodził. Postąpiła jeszcze jeden krok. Już miała podnieść brzeg spódnicy i rzucić się do ucieczki, kiedy behemot się uśmiechnął.

- Jesteś jego kobietą?! - ryknął behemot z głębi swej potężnej piersi. Pewnie tylko przypadkiem nie powalił Jessalyn intensywny odór surowej cebuli.

Stłumiła kichnięcie grzbietem dłoni i starała się oddychać przez usta.

- Czyją kobietą?

- Jak to czyją? Jego wielmożności. Hrabiego, co to zbudował tę całą kolej.

Jessalyn zaniepokoiła się, czy behemot nie zamierza wyzwać jej na pojedynek rozstrzygający o prawie do ciała McCady'ego. Była w stanie zrobić wiele dla swego męża, ale ostatecznie każda kobieta powinna znać pewne nieprzekraczalne granice. Pokazała na Kometę.

- Jest tam.

- Aha. Porządny jest człowiek z jego wielmożności. - Kobieta wyjęła z kieszeni dużą żółtą cebulę i zaczęła ją jeść jak słodkie jabłuszko. Była ubrana jak robotnik w grube drelichowe spodnie. Szyję przewiązała kolorową chustką. Miała mięśnie na miarę Duncana. - Nie raz i nie dwa jego wielmożność chwycił za łopatę i stawał z nami w jednym rzędzie, kiedy budowaliśmy tę jego trasę. Nie bał się pobrudzić rąk ani wychylić kielicha jak my wszyscy. - Zmierzywszy Jessalyn od stóp po głowę, pokręciła nosem, wielkim i zakrzywionym jak słup latarni. - Jesteś jego kobietą czy nie?!

- Zdaje się, że tak. Jesteśmy małżeństwem. Jakkolwiek by na to patrzeć.

- Pewno jeszcze nie za długo, daję głowę. Widziałam, jak na ciebie patrzył. -

Kobieta odchyliła do tyłu głowę i zachrypiała jak klakson przy powozie. - No, no, jesteś wcale ładna, muszę przyznać. Wyciągnęła rękę, chwyciła Jessalyn za ramię i mocno ścisnęła. - Tyle że będziesz potrzebowała trochę więcej ciała, jeśli zechcesz go przy sobie zatrzymać. Kiedyś powiedział mi, że poprowadzi linię kolejową z jednego końca tej wyspy na drugi. Wyobraź sobie!

Jessalyn uśmiechnęła się z dumą.

- Dokona tego. Z jednego krańca Anglii na drugi.

- Właśnie tego chce! Tego chce! - Kobieta skierowała szkliste od cebuli oczy na Jessalyn. - Teraz muszę nakarmić małe, ale potem mogłabyś wypić ze mną kielicha. Niejedno bym ci opowiedziała o tym twoim mężczyźnie. Urodził się w piekle, ale w jego piersi bije miękkie serce. Aha, miękkie serce! - Znowu kichnęła i wolnym krokiem odeszła.

Jessalyn została na chwilę sama. Wygładziła górę kostiumu do konnej jazdy. Zwilżyła dłonie i przebiegła nimi po włosach, zbierając do tyłu wszystkie wolne pasma. Spojrzawszy w dół, dostrzegła kurz na swoich półbutach. Szybko wyciągnęła z rękawa chusteczkę i przetarła je. Dobry Boże, dlaczego zawsze wyglądała jak kocmołuch? A przecież ludzie będą na nią patrzeć. Znajdzie się w centrum uwagi, gdy stanie przy boku hrabiego na platformie Komety. Chciała, aby był z niej dumny.

Poczuła na sobie czyjś wzrok, podniosła głowę i ujrzała swego diabolicznego kochanka. Zaczerwieniła się i ostrożnie zapytała:

- Jak wyglądam?

Przebiegł po niej wzrokiem i w jego oczach zapaliły się iskierki pożądania.

- Niewiele mogę powiedzieć. Może to, że kiedy cię wreszcie dopadnę sam na sam, lepiej będzie, jeśli zawczasu pozbędziesz się tego wszystkiego, bo nie będę mógł wówczas ręczyć za stan twego stroju.

- McCady, dałbyś już spokój. Jeśli wciąż będziesz niszczył moje ubrania, niedługo pozostaną mi same łachmany.

Uśmiechnął się, i już jakaś odpowiedź błąkała się na jego ustach, kiedy przywołał go jeden z przedstawicieli rządu, by wręczyć mu dokument przystrojony wstążkami i pieczęciami.

Jessalyn zaczynała się niepokoić. Przynajmniej godzina pozostała do startu Komety. Lokomotywy wyruszały kolejno w półgodzinnych odstępach. Zwyciężyć miała maszyna, która odcinek dwudziestu dwóch mil pokona w najkrótszym czasie. Zwycięstwo równało się uzyskaniu kontraktu rządowego na dostarczanie maszyn wszystkim angielskim liniom w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Zwycięstwo oznaczało bogactwo i spełnienie marzeń.

Jej babka często powtarzała: „Nie wolno pokonywać przeszkód przed opuszczeniem stajni”. Zatem Jessalyn przemaszerowała obok innych maszyn, aby ocenić rywali.

Jedna z nich, w kolorze jabłkowej czerwieni, była dwakroć większa niż Kometa.

McCady usadowił się na platformie Komety i z posepną miną zaglądał do pustego paleniska.

- Sokół wygląda na wielkiego i silnego, McCady. Jak sądzisz, czy możemy go pokonać?

Rzucił spojrzenie wzdłuż torów na inne lokomotywy.

- Jest za duży. Przyjrzyj się. I zbyt ciężki. Aby się utrzymać, powinien mieć trzy pary kół. Nie będzie w stanie pokonać długiego wzniesienia za Exeter. Nie, nie, zagrożenia należy się dopatrywać ze strony Błyskawicy Essexu.

Skinął brodą w stronę lśniącej żelaznej maszyny w kolorze pomarańczowym z czarnymi obrzeżami.

- Jest szybka - ciągnął McCady. - Jej słabą stroną jest położenie kotła, do którego w razie awarii trudno będzie się dostać. Ale na pewno okaże się nielecho szybka.

- My będziemy szybsi - powiedziała Jessalyn z emfazą. Nie miała żadnych wątpliwości.

McCady uśmiechnął się do niej olśniewająco i zeskoczył z platformy. Spojrzała w twarz kochanego upadłego anioła. Tego dnia jego oczu nie zasnuwał żaden cień. Świeciły pełnym blaskiem. Nigdy wcześniej nie widziała, aby był aż tak radosny. Jej serce biło miłością do niego. Musiała to powiedzieć, nawet gdyby chmury miały znowu przysłonić blask jego spojrzenia.

- McCady Trewlany, kocham cię.

- Jessa... - Chwycił ją tak mocno za ramiona, że poczuła ból. Ciężko przełykał, jakby miał ogromne kłopoty z wydobyciem jakichkolwiek słów. - Jessalyn, ja...

- Co takiego?

- Widzisz... jest coś, co powinienem ci powiedzieć. - Przytulił ją do siebie, zamknął usta namiętnym, dzikim pocałunkiem i zaraz odszedł w pośpiechu, niemal biegł.

Patrzyła za nim, póki nie zniknął na podwórzu gospody „Pod Krzywą Laską”, gdzie robotnicy pili piwo i zmagali się w zapasach. Nigdy nie rozumiała go do końca.

Przypuszczała, że właśnie dlatego tak ją ekscytował. Myśl, iż spędzi resztę życia z tym fascynującym dzieckiem piekiel była taka cudowna, że uśmiechnęła się do siebie. Ruszyła na poszukiwanie kobiety hipopotama, aby wspólnie wypić z nią kieliszeczek i posłuchać opowieści o tym, jak McCady Trewlany budował linię kolejową.

Cienkie usta Clarence'a Tiltwella ułożyły się w nikły szyderczy uśmiech, kiedy czerwono-niebieska lokomotywa, sapiąc i dysząc, zmierzała w kierunku Exeter.

Sokół. Cóż za głupia,

wydumana nazwa! Czy takie klekoczące, dudniące monstrum przypominało pod jakimś względem płynny, ślizgowy lot szlachetnego ptaka?

W następnej lokomotywie płonął żywo ogień. Pod niebo wyleciał z gwizdem strumień pary. Tiltwellowi przyszło do głowy, że mrowienie, które poczuł na karku, przypomina mu letni dzień nazajutrz po burzy. Jakaś jego cząstka ulegała bezwiednie ekscytacji, podobnej do tej sprzed lat, kiedy McCady zbudował pojazd do jazdy po szynach w kopalni jego ojca. Pamiętał tamte długie popołudnia w Penzance, jak pod dachem huty McCady składał maszynę, a on tylko się przyglądał. I wysłuchiwał marzeń kuzyna. Chciał i nie chciał w nie wierzyć. Ale koniec końców nawet był zadowolony, że McCady'emu się nie powiodło.

Tego dnia Sokół ciągnął ładunek worków z piaskiem, poukładanych na wózkach jeden za drugim niczym winogrono. Naraz Clarence wyobraził sobie, jak by to było, gdyby wózki załadowano węglem i belami siana. Widział w myślach szczipione ze sobą powozy na specjalnie dostosowanych kołach, wszystkie wypełnione ludźmi. Właśnie tak to opisywał McCady. Mieszane uczucia ogarniały Clarence'a na wspomnienie tamtego lata. Pragnął cofnąć się w czasie i od nowa przeżyć popołudnia spędzone w hucie czy w kuźni, gdzie pot ciurkiem spływał im po torsach, a stukot młotków maltretował uszy. McCady mówił niemal bez przerwy, roztaczał swoje wizje i szczyrzył zęby w swoim diabelskim uśmiechu.

Te popołudnia... zanim weszła pomiędzy nich Jessalyn.

Clarence wiedział, że tego dnia jest tutaj. Szukał jej wzrokiem, choć na razie nie zamierzał do niej podchodzić. Tę chwilę odłożył na później. Wiedział, że potem Jessalyn będzie go potrzebowała - jego otwartych ramion i słów ukojenia. Teraz chciał się tylko rozejrzeć.

Nietrudno było ją odnaleźć, wysoką dziewczynę o włosach w kolorze jesiennych liści. Nic się w niej nie zmieniło i to go trochę zdziwiło. Sądził, że wszystko będzie wypisane na jej twarzy, wszystkie noce spędzone w łóżku Trewlany'ego. Zobaczył tę samą dziewczynę co zawsze. Dziewczynę ze zbyt żywą barwą włosów, zbyt szerokimi ustami i nadto długimi nogami, poruszającą się jak młody żrebak przed ułożeniem. Tę samą

Jessalyn, którą pocałował przy ognisku świętojańskim przed sześciu laty. Obserwował ją. Widział, jak bardzo jest ożywiona. Całe jej ciało zdawało się skrzyć podnieceniem. Przez chwilę nawet myślał, że to dla niego przeznaczony jest ten szeroki, pogodny uśmiech. Już nawet ruszył w jej stronę. Ale właśnie wtedy przez wahadłowe drzwi gospody „Pod Krzywą Laską” wyszedł McCady i wolnym krokiem zaczął zmierzać w jej stronę.

Wybiegła mu naprzeciw drobnymi, lekkimi krokami. Powiedział coś do niej, ona się roześmiała. Radosny, wibrujący śmiech wzbil się w powietrze. McCady otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie, a ona stała przy jego boku i nadal się uśmiechała. Nie do wiary, wyglądała tak, jakby jej to bardzo odpowiadało.

Mężczyzna o potarganych włosach i dziobatej twarzy usiadł przy kamiennym murku. Posiłał się chlebem, serem i przepłukiwał to piwem. Przy nim pośrodku talerzyka stała zapalona świeca, nieco dalej zaś puszka z prochem. Od czasu do czasu spoglądał przez pęknięcie w murku na wąwóz, którego dno opadało lekką pochyłością prosto do wlotu tunelu, wydrążonego niedawno w żółtym granicie wzgórza,

Jacky Stout skończył obiad, otarł pot z czoła brudną szmatką, która pozostawiła po sobie smugi czarnego prochu. Jego wzrok zatrzymał się przypadkiem na młotku i czym prędzej uciekł w bok. Ilekroć Jacky spojrzał na młotek, tylekroć odczuwał mdłości.

Boże, ależ ten chłopak krzyczał!

Krzyczał jak kurczak tuż przed poderżnięciem gardła. Odgłos uderzenia młotka był jeszcze gorszy. Taki sam wydają rozdeptane żuki żyjące na dole w kopalni. Krew tryskała na wszystkie strony i było widać pogruchotane kości między kawałkami poszarpanego, białego mięsa. Unosząc po raz drugi młotek, Jacky szlochał tak jak chłopak.

Nie opowiedział o tym szefowi. Że nie był w stanie uderzyć młotkiem powtórnie. Że załatwił tylko jedną rękę.

Dlatego tym razem chciał wykonać zadanie bez zarzutu. Ładunek, który umieścił pod torami, był tak duży, że po wybuchu zagrzechotałyby cynowe talerze we wszystkich kuchniach sta-

rego Londynu. Miał wystarczającą ilość prochu, żeby zamienić setkę lokocośćam w stos nitów i drzazg.

Dreszcz przebiegł po plecach Jacky'ego. Odwróciwszy się na pięcie, skierował wzrok w stronę zagajnika. Na drzewie usiadły dwie kawki i zaczęły się nawoływać. Królik wskoczył w kol-colisty, błysnąwszy białym ogonem. Jacky podrapał się w wydatny nos i wzruszył ramionami. Słuch go zawodził, dlatego że nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. Przebywał na prywatnym terenie, po którym kręciły się psy i strażę, aby trzymać ciekawskich z daleka, zwłaszcza że akurat rywalizowały ze sobą te lokocośćam. Nie, w żadnym razie nie należało się spodziewać, że ktoś zdoła się podkraść, a on tego nie zauważy. Cała okolica należała do szefa. Właśnie dlatego był tutaj Jacky Stout, bez świadków, z zapaloną świecą i wystarczającą ilością prochu, by zrobić bum jak jasna cholera.

Szef powiedział, że ta lokocośćam będzie jechała przez tunel około czwartej. Jacky wyjął z kieszeni surduta pozłacany zegarek. Dostał go od szefa jako wyraz uznania za to, że zajął się rękami chłopaka... to znaczy ręką. Jeszcze raz zerknął na młotek i zadygotał. Rzucił okiem na tarczę zegarka, na czarne cyferki. Nie śmiał powiedzieć szefowi, że patrząc na to urządzenie, nie jest w stanie określić godziny.

Najpierw usłyszał sapanie, które przypominało odgłos, jaki wydaje stojący na ogniu imbryk z wrzącą wodą. Z tunelu buchnęła para, która układała się w białe, skłębione chmury. Za-kląwszy, Jacky Stout zrzucił z kolan młotek, chwycił za talerz ze świecą i jak kot przedostał się przez mur. Z tunelu wytoczył się ziejący ogniem żelazny potwór na kołach; potwór czerwono-niebieski.

- Chryste! - zawołał Jacky. - Czerwono-niebieski!

Stanął jak wryty. Aż go zatkało. Twarz oblał mu pot. Czerwono-niebieski, niech to szlag! Lokocośćam, o którą mu chodziło, była żółto-zielona.

Powlókł się z powrotem na swoje stanowisko za murem. Przekroczył instrukcje szefa jeszcze pod jednym względem. W momencie pojawienia się żółto-zielonej lokocośćam miał odpalić lont. Zdażył już odmierzyć czterysta pięćdziesiąt kroków od wylotu tunelu i umieścić ładunek w skale, na której ułożono tory. Postąpił podobnie jak wówczas, gdy zakładał ładunek pro-

chu pod ziemią w Wheal Patience. Stalowym świdrem wywiercił otwór w skale i wrzucił do środka skrzynkę z prochem. Wsunął w proch żelazny gwóźdź, wierzch zaś przykrył gliną. Potem wyciągnął gwóźdź, pozostawiając wąską dziurkę, w którą wetknął łądygę wypełnioną czarnym prochem.

- Kiedy zobaczysz, że to coś wychyla się z tunelu, podpalisz zapalnik - powiedział szef, wyciągnąwszy kawałek papieru z jakimiś gryzmołami. Wygadywał jakieś bzdury o lokocośćam, co niby przy takiej to a takiej prędkości przemierza taką to a taką odległość w takim to a takim przedziale czasu. Jacky nie zrozumiał z tego ani słowa. Ale wcale nie musiał. Wiedział, co należało wiedzieć: umieścić proch w odległości czterystu pięćdziesięciu kroków od miejsca, gdzie kończy się tunel; podpalić lont, kiedy żółto-zielona lokocośćam pojawi się na zewnątrz. Tylko że nikt go nie przestrzegł, jak cholernie trudno będzie rozróżnić kolory, gdy ta przeklęta rzecz wyłoni się z czarnej dziury w kłębach dymu i pary.

Mięśnie ramienia McCady'ego kurczyły się i rozkurczały, gdy sypał węgiel w palenisko. Krople potu piekły go w oczy. W nozdrzach czuł zapach pierwiosnków. Odrzucił włosy z twarzy energicznym ruchem głowy, uderzając jednocześnie łopata w stos węgla. Ale przez cały czas spoglądał na wysoką, szczupłą dziewczynę w zielonym kostiumie do konnej jazdy. Słomkowy kapelusik przykrywał włosy w kolorze zachodzącego nad morzem słońca, lecz dość światła znalazło się pod szerokim rondem, aby nadać policzkom złocistą poświatę. Wyglądała smakowicie. Stał na pomoście, ona na stopniu lokomotywy i czubkiem głowy sięgała mniej więcej połowy jego torsu. Wychyliła się do przodu, jakby chciała mu coś powiedzieć, i wsunęła rękę pod materiał jego koszuli. Delikatne palce przebiegły po śliskim od potu ciele, skubnęły lekko włosy, otarły się o brodawkę. W sekretnej pieśczoćie, której nikt nie widział i która rozpałała w nim gorący ogień.

- Przyleciały gołębice z notowaniem czasu Błyskawicy Essexu! - zawołała, przekrzykując syk pary. - Dwadzieścia dwie minuty.

Do licha, szybko - pomyślał McCady. Mruknął coś pod nosem, ładując do paleniska kolejną szufłę węgla. Stosownie do regulaminu konkursu każdy uczestnik rozpoczął rywalizację z zimnym kotłem i pustym paleniskiem. Każda chwila poświęcona teraz na wytworzenie odpowiedniej ilości pary wydłużała czas, jaki musiał upłynąć do osiągnięcia mety. Wokół rozlegało się sapanie. Dwadzieście dwie minuty. A niech to! Tak bardzo pragnął wygrać, że wyczuwał tego smak w ustach, żelazisty i słony jak krew. Pragnął podarować zwycięstwo Jessalyn. Ogień był teraz dokładnie taki jak trzeba. McCady cisnął szufłę w stos węgla i spojrzał na żonę. Znieruchomiał, przejęty dojmującym i słodkim uczuciem. Jessalyn. Jego Jessalyn. Była wyjątkową kobietą. Bez niej nie znaczył nic. Dzięki niej mógł jeszcze dosięgnąć i księżycy, i gwiazd.

Jessalyn, jego żona, oparła dłonie na biodrach, odrzuciła do tyłu głowę i przeszła go szerokim, olśniewającym uśmiechem.

- Chcę panu towarzyszyć, lordzie Caerhays.

Podał jej rękę i wciągnął na pomost obok siebie. Dobrze pamiętał przejażdżkę tamtym pojazdem owego odległego lata: sposób, w jaki ocierała się o niego; jej oddech na swojej szyi, pytania, które stawiała niczym mała, podekscytowana dziewczynka; naiwność, niewinność i szczerą radość dziewczyny. Już wtedy pragnął jej tak jak wcześniej niczego i nikogo na świecie. I jego uczucie się nie zmieniło.

Kiedy wreszcie uporał się z tamtym wspomnieniem, chwycił ją w wąskiej talii i przeniósł na tender. Miała jechać przy koszach z węglem i beczce z wodą.

- Tym razem chyba nic nie wybuchnie, prawda?! - zakpiła. Wiedziała, że ich myśli krążą wokół tego samego cudownego wspomnienia.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Zwycięzimy, Jessalyn.

Spojrzała na niego swymi szarymi oczami. Zobaczył w nich postanowienie równie niezłomne jak klify Konwalii.

- Jedźmy jak najszybciej. Wygrajmy. Wszystko albo nic!

Posłał jej szatański uśmiech, odwrócił się, wcisnął pedał i posługując się z wielką wprawą dwiema małymi dźwigniami, sprawił, że maszyna zaczęła pracować.

Sparzył sobie kostki rąk, dotknąwszy obudowy paleniska. Zawory, przekładnie, tłoki za-

400

częły się poruszać tak szybko, że pewnie straciłby kilka palców, gdyby nie miał w tym wprawy.

Lokomotywa szczęknęła, zagrzechotała, kaszlnęła i dysząc, ruszyła. Z początku powoli, potem nabierała prędkości szybko, coraz szybciej. Zbędna para uchodziła w powietrze i wracała, gnana bryzą, zwilżając im twarze i niosąc zapach sadzy. Zostawili z tyłu gospodę „Pod Krzywą Laską”. Wzdłuż torów stało mnóstwo wiwatujących ludzi. Jedni uderzali w blaszane przedmioty, inni dęli w rogi. Jessalyn roześmiała się, pomachała ręką i wydała okrzyk radości na widok potężnej kobiety ubranej w spodnie, podrzucającej w dłoniach coś, co przypominało dużą żółtą cebulę.

Kiedy Kometa zerwała się do lotu, wszystko wokoło zamieniło się w wielobarwną plamę i słychać było tylko jednorodny stukot kół. Pierwszy etap trasy wiódł w dół łagodnej pochyłości i wkrótce mknęli po torach. Udoskonalona dzięki ostatniemu wynalazkowi McCady'ego lokomobila dygotała mimo wszystko jak galopujący myśliwy. Usprawnienie wymagało jeszcze dopracowania: powinna się bujać jak dziecko w kołysce.

Wiatr rozwiewał jego włosy i wydymał rękawy koszuli. Czuł pulsującą moc maszyny, wibrowanie pod podeszwami butów, ustawiczne dudnienie, bum, bum, które zdawało się brzmieć jak życiodajne bicie serca. Między jednym a drugim zmrużeniem oczu zobaczył chatę ze słomianym dachem. Pędzili w głębokim wykopie, potem przez otwarte pole ze stogami siana. Po drewnianym wiadukcie o trzech łukach, nad gęstwiną krzewów i strugą srebrzystej wody. Przed nimi powiększał się otwór w zboczu góry. Przypominał usta rozwierające się do ziewania, coraz większe i większe.

To moje dzieło - pomyślał McCady w nagłym przypływie dumy. Nareszcie Trewlany naprawdę coś zbudował. Rzecz, która przetrwa.

Wpadli do tunelu. Nagle znaleźli się w gęstym mroku. Z początku nic nie widział. Odgłosy pracującej maszyny wydawały się głośniejsze niż uderzenia pioruna w środku burzowej chmury. Potem jego oczy wydobyły z mroku blask sączący się wokół drzwiczek paleniska oraz iskry wylatujące z komina. Czarny świat wypełnił się dymem, parą i echem radosnego śmiechu Jessalyn.

Wypadli z ciemności w promienie słońca. McCady zamrugał, oślepiiony jasnym światłem. I widokiem ukochanej żony, która nadal się śmiała.

I nagle uwierzył. Uwierzył, że ogień płonący w jej oczach nie zgaśnie nigdy. Że przetrwa namiętność, która ich łączyła. Że jeśli nawet teraz przegra, jeśli pozna smak nędzy i hańby, nie zostanie sam. Wierzył w to. Był tego tak pewien jak swego swobodnego oddechu. Wierzył, że będą mieli dzieci i wspólnie się zestarzeją, przeżywając chwile szczęście i rozczarowania, tragedie i radości. Razem, zawsze razem.

Mieli przed sobą wspólne, pełne pasji życie.

Zielono-żółta. Jacky Stout wdrapał się na murek i popędził w dół, skacząc między skałami jak ścigany zając. Przystanął za krzewem głogu, potem rzucił się w stronę nasypu. Zielono--żółta...

- Do stu diabłów! - Niewiele brakowało, a zgasłaby świeca. Zdjął z głowy kapelusz i delikatnie pomachał jego brzegiem nad dymiącym knotem, póki nie pojawił się ogień. Przytknął płomień do lontu, który zapalił się z trzaskiem i sykiem.

W pośpiechu odwrócił się i pochylony ruszył w stronę ogrodzenia. Wspiął się na mur i trąc plecami o kamienie, spadł na szeroko rozstawione nogi, aż mu się zatrząsał duży brzuch. Ciężko dyszał.

Zerknął przez szparę. W porządku, lokocość tam już była, zielono-żółta, prawie w jednej linii z krzewem głogu. Czteryście pięćdziesiąt kroków. Zaczął się śmiać. Teraz już lada chwila, lada chwila i bum. Zielono-żółta, zielono-żółta... Bum! Zielono...

Z tyłu coś się poruszyło. Jakby kawałek skóry otarł się o skałę. W jednej chwili przez jego ciało przebiegł dreszcz. Jacky Stout odwrócił się, przysłaniając oczy przed ostrymi promieniami słońca. I ujrzał czarny, tępy koniec górniczego młotka...

A potem nie widział już nic.

Coś gniotło Clarence'a w żołądku. Wyciągnął zegarek, zobaczył, która godzina, i wsunął niewielki przedmiot z powrotem

do kieszonki. Mniej więcej o tej porze Kometa miała dojeżdżać do tunelu.

- Nie ma drugiego takiego jak on, jego wielmożność.

Clarence podniósł wzrok na haczykowaty nos pośrodku twarzy największej kobiety, jaką kiedykolwiek widział. Bo była to kobieta, choć jej płeć mogła uchodzić za wątpliwą. Clarence wyciągnął chusteczkę i przytknął ją do nosa. Od kobiety cuchnęło cebulą.

- Prawdziwe z niego dziecko piekieł, ale tak w ogóle to ma miękkie, szczerzłote serce.

Clarence odetchnął ostrożnie przez chusteczkę, nim wysunął z niej nos.

- Co proszę?

- Jego wielmożność. Caerhays. Każdy robotnik wie, że kobieta może machać kilofem jak facet. Ale że coś takiego przyszło do głowy dżentelmenowi, Chryste! Rzadko się spotyka, aby szlachcic uszanował swoją kobietę, jak przed chwilą jego wielmożność. Pozwolił jej pojechać żelaznym koniem, jakby była mu równa.

Miękkie, miękkie serce, nie ma co, hę?

Clarence'owi wydawało się, że krew przestała w nim krążyć. Zachwiał się i przez chwilę czuł zawroty głowy. Chwycił za twarde jak stal ramię kobiety. ~<

- Powiadasz, że lady Caerhays jest na Komecie?

- Aha. Przy jego boku, jakby była mu równa. I do tego jak ładnie wyglądała! Istna królowa.

- Dlaczego?! Przecież nie mógł się na to zgodzić. Nie mógł... Kobieta w zdumieniu otworzyła usta...

Rozpaczliwy, pełen udręki krzyk wstrząsnął zgromadzonym tłumem.

XXVIII

Zabił! O Boże, zabił ją!

Clarence Tiltwell siedział za sekretarzykiem w swoim pokoju nad gospodą. Za oknem gasło światło późnego popołudnia. Do oczu napływały mu piekące łzy i szloch wzbierał w piersi. Otworzył usta, próbując wydobyć z nich jakiś dźwięk, ale

bez

394

skutku. Ciągłe od nowa otwierał usta i tylko łykał powietrze niczym topielec. Wstał, ociężały i sztywny, jak gdyby miał nogi z kamienia. Podeszedł do kufru podróżnego i wyjął z niego inkrustowany kością słoniową futerał z francuskimi pistoletami. Podczas podróży miał je zawsze ze sobą. Człowiek nigdy nie jest dość ostrożny - pomyślał, podnosząc śmiertelną broń z wyłożonego czerwonym pluszem zagłębienia. Nigdy nie jest się zbyt ostrożnym, nie, na pewno nie, przynajmniej póki pozwala się bandytom czy złodziejom krążyć swobodnie po kraju i dopuszczać się zbrodniczych czynów.

Potarł kciukiem wyryty w srebrze relief. Układał się on w scenę myśliwską: mężczyzna na koniu skacze nad przeszkodą, pędząc za sforą chartów. Clarence zawsze patrzył na tę scenę z ukłuciem bólu w sercu. Myślał wówczas o ojcu. Nie o Tiltwellu, rzecz jasna, bo przecież Henry nie cierpiał polowań. Myślał o... Trewlanym.

Przeniósł futerał na biurko i zapalił świece na wieloramien-nym cynowym świeczniku, aby lepiej widzieć. Pogładził gładką, zimną lufę. Obrócił pistolet o sto osiemdziesiąt stopni i wymierzył w swoją twarz.

Dawno temu, kiedy był jeszcze małym chłopcem, poszedł popływać do Crookneck Cove. Przeżył wówczas kilka przerażających chwil, gdy porwał go prąd morski. Tamtego dnia czuł nieopisany strach, tym głębszy, że w obliczu otaczającego go żywiołu był całkowicie bezradny. Próbował się wytłumaczyć, przedstawić wszystko jako pomyłkę: przecież tak naprawdę to wcale nie chciał pływać. Obiecywał, że już nigdy, naprawdę nigdy więcej tego nie zrobi, że zawsze już będzie dobrym chłopcem, jeśli tylko ten raz, ten jedyny raz będzie mu darowana kara, na którą zasłużył. Ale prąd nic sobie nie robił z małego Clarence'a Tiltwella. Gdyby nie przypadek, zatopiłby go mimo wszystkich zaklęć i próśb.

Pomyślał o Jessalyn. O śmierci, którą spowodował. To było właśnie coś podobnego - ostatecznie pochwycił go nieubłagany prąd.

Zamknął usta wokół wylotu lufy.

Smakowała gorzko, spaloną siarką, metalem, śmiercią. Wy-

jąwszy lufę z ust, oblizwał wargi, przełknął. Wolno odłożył pistolet na suszkę i wytarł drżące, spocone dłonie o skórzane spodnie.

Nie słyszał, że ktoś wszedł do pokoju, dopóki nie doszedł do niego odgłos szczęki klamki.

- Czołem, szefie!

Gwałtownie rzucił głową i poderwał się niezgrabnie na nogi. W kręgu światła pojawił się Topper. Clarence czuł, że mu szczeka opada ze strachu: chłopiec bardziej przypominał upiora niż człowieka. Wewnątrz wychudłej, bladej twarzy błyszczały oczy szaleńca. Usta zaciskały się mocno wokół zębów, jakby wstrzymywały śmiech. Albo krzyk.

Wzrok Clarence'a powędrował na ręce chłopca. Jedna była zawinięta w zakrwawione łubki i bandaże; rozłożona sztywno dłoń przypominała szpony sokoła. W drugiej, szczupłej i bladej, tkwił górniczy młotek. Metalowa nasada wydawała się czarna i wilgotna w migotliwym świetle.

Topper podniósł zniekształconą rękę i Clarence przygryzł dolną wargę, powstrzymując jęk.

- To on mi zrobił, twój osiłek.

- Ale przecież nie... nie wykonałeś moich poleceń! - jęknął Clarence, podnosząc pod koniec głos, jakby Topper był niespełna rozumu, skoro nie pojmował, że jeśli ktoś nie wykonuje poleceń, to powinien być za to ukarany.

Topper dźwignął mały oskard, jak gdyby zamierzał uderzyć. Clarence skulił się.

- Ano, odpłaciłem już Stoutowi za to, co mi zrobił. Rozwaliłem mu ten jego cholerny łeb. Teraz przychodzę, aby odpłacić tobie.

Clarence chwycił za pistolet i wycelował go w pierś chłopca.

- Wystrzełę.

Topper przeniósł spojrzenie z twarzy Clarence'a na pistolet i z powrotem. Wydawał się nieco zdziwiony, ale nie przestraszony. Pomyślał chwilę i uśmiechnął się tak nieznacznie, że nawet nie pokazała się przerwa w jego przednich zębach. Wzruszył kościstymi ramionami.

- Nieważne. Jak mi się nie uda dzisiaj, szefie, to przyjdę odpłacić ci za wszystko jutro. Mogę poczekać. Nie mam niczego lepszego do roboty, nie! Konno już sobie raczej nie pojeżdżę.

- Zawiśniesz na szubienicy, chłopcze - powiedział Clarence.

A przynajmniej wydawało mu się, że mówi. Czuł, że porusza ustami, ale nie dochodził z nich żaden dźwięk. Topper znowu wzruszył ramionami.

- Dla mnie to żadna różnica. Dostałem smolnych brodawek. Słyszałeś o smolnych brodawkach, szefie? Chorobie dżokejów? Nie szybciej zawisnęła szubienicy, niż zobaczę, jak mi wszystko gnije między nogami. Nie minie rok, a tak czy owak nie będę żył. Nie, nie, wolę raczej w ten sposób - oświadczył, gładząc się po policzku nasadą młotka. - Zrobię to delikatnie, jak kochanka. Pomyśl o tym, szefie. Zawsze będę się kręcił gdzieś w pobliżu, gotowy do działania, kiedy mi się zachce. Może jutro, co? Albo pojutrze. Tak albo owak. Tak albo nie. Zobaczymy. Nie mam nic do stracenia. Kiedy jakiś gość nie ma nic do stracenia, wtedy ani trochę nie dba o to, co się stanie. Liczy się tylko odwet. Tylko że kiedy stoisz nad grobem, to i zemsta nie zawsze jest słodka. Dlatego póki życia starczy, trzeba i z tego zrobić przyjemność. Na przykład teraz przyjemnie jest popatrzeć, jak szefuńcio się poci.

Clarence oblizwał wyschnięte wargi. Pistolet zadrżał nieco w jego dłoni. Wprawdzie nie wierzył do końca w brak woli chłopca, ale na razie zachowywał życie. Choć tak naprawdę pozostawał obojętny. Był martwy. Jaka to różnica, co się stanie, skoro już był martwy!

Topper musiał wsunąć młotek za pasek, aby podnieść klamkę zdrową ręką. Przystanął na progu, odwrócił się i tym razem odsłonił w uśmiechu przerwę po brakujących zębach. Wyglądał teraz młodo, jak chłopiec, który chce spłatać jakiegoś figla, kiedy nauczyciel wyszedł z klasy.

- Och, zapomniałem o czymś, szefie. Nie słyszałeś najnowszej nowiny? Jego lordowska mość, hrabia Caerhays, przyjechał na metę jako zwycięzca. Wygrał bez żadnego wysiłku, bez trzymanki, jak to mówią.

- Co takiego! - Serce Clarence'a zamarło, by nagle odezwać się mocnymi, dudniącymi uderzeniami, które brzmiały w jego głowie jak salwa armatnia. - Ale wybuch...

Topper zarechotał.

- To ci dopiero była niespodzianka, ten cały wybuch. Dmuchnęło dobrych dwadzieścia stóp za nimi. Szczęśliwie dla jego lordowskiej mości, że akurat przejechał, kiedy to diabelstwo

walnęło. - Śmiech pozostał na twarzy Toppera, ale przygasły jego oczy, stały się surowe i chytre. - Z dwojga złego Clarence wołał dostrzegać w nich szaleństwo. - Może żelazny koń okazał się szybszy, niż myślałeś, szefuńciu. Albo twój osiłek źle policzył kroki. Zresztą zawsze był głupi, ten Stout. Wielki facet, ale głupi.

Clarence patrzył na drzwi, widział, jak się zamykają, słyszał, że opadła klamka, ale nie był tego świadomy. W jego głowie zaświtała nowa myśl. Jessalyn żyła! Żyła, żyła, żyła! Ale po fali bezbrzeżnej radości nadszedł przejmujący strach.

Jeśli ona żyła, to przeżył również Caerhays.

Z powrotem usiadł za biurkiem i podniósł pistolet. Odwrócił się na krześle w taki sposób, aby widzieć okno. W alejce między gospodą a stajnią grała w kręgle grupka mężczyzn. Kilku robotników zdawało się rywalizować, kto więcej wypije trunku. Podawali sobie dzbanki i klepali się po plecach. Starsza kobieta podeszła do nich, ciągnąc wózek. Przez szparę w oknie dochodził zapach pieczonych kasztanów. W jego rozkojarzonej wyobraźni słońce tuliło się do wzgórz, nadając łanom zboża rdzawą barwę koloru włosów Jessalyn i zamieniając marzenie McCady'ego - żelazną drogę - w ogniste wstęgi. Przypuszczał, że hrabia domyśli się, kto spowodował wybuch.

I przybędzie bez zwłoki, aby go zabić.

Zaczynał zapadać mrok. Na podwórzu przed gospodą ucichło, tylko pies szczekał. Pomywaczka czerpała wodę ze studni. Od czasu do czasu przez otwarte okna izby karczemnej dobiegały salwy śmiechu.

Clarence obserwował wierzchowca, który podążał wzdłuż torów od strony Exeter. Widział, jak jeździec skręca na podwórze gospody „Pod Krzywą Laską”, zsiada, chłopcu stajennemu rzuca wodze i monetę, po czym znika pod słomianym okapem wejścia.

Clarence uniósł pistolet i odwrócił krzesło w kierunku drzwi. Obcasy zastukały na drewnianej podłodze holu. Widział, że poruszyła się klamka. Tak mocno zacisnął dłoń nie gładkiej rękojeści pistoletu, że zaboląły go palce. Drzwi się otworzyły.

Spojrzał w twarz kuzyna, w twarz swojego brata. I pociągnął za spust.

Kurek opadł, posypały się iskry. Clarence zamknął oczy i skulił się w oczekiwaniu na huk. Drgnęła mu ręka. I nic się nie stało.

McCady nadal szedł prosto w jego stronę. Clarence'owi pociemniało w oczach.

Pomyślał, że zaraz zemdleje. Drgnął, gdy McCady wyjął mu pistolet z ręki.

Hrabia obejrzał broń krytycznym okiem żołnierza, pokręcił głową i cmoknął kilka razy, jak gdyby Clarence był rekrutem.

- Clarey, Clarey... Zawilgocony proch. Rdza w lufie. Dziwię się, że ten cholerny gruchot nie rozerwał ci ręki.

- Przysięgam, że nic o niej nie wiedziałem - wykrztusił Clarence przez ściśnięte gardło. - Nie miałem pojęcia, że zabrałeś ją ze sobą na Kometę. Daję słowo, Mack. Musisz mi wierzyć. Słowo, nie wiedziałem. Za nic w świecie nie chciałbym jej zranić. Za nic w świecie.

McCady uniósł jedną brew, ale nic nie powiedział. Nogą przesunął dębowe krzesło, tak że mógł usiąść po drugiej stronie sekretarzyka. Clarence patrzył w odrętwieniu, jak jego kuzyn szczupłymi, poparzonymi dłońmi najpierw powoli wyciągnął ze schowka w pistolecie wycior, a potem usunął z lufy kulę i proch.

- Mack...

To jest jak prąd w Crookneck Cove - pomyślał Clarence. Wyjaśniasz, usprawiedliwiasz się i nic.

- Nigdy bym nie skrzywdził Jessalyn. Kocham ją.

- Pamiętasz Jacky'ego Stouta, Clarey? - zapytał McCady. Clarence poczuł, że jakiś ciężar zaczyna go gnieść w piersi.

McCady wyjął z futerału kawałek naoliwionego materiału i pomagając sobie wyciorem, zaczął przesuwając nim w górę i w dół wewnątrz lufy.

- Kiedyś brał udział w kontrabandzie, którą obaj przeprowadzaliśmy... wtedy, kiedy ktoś na nas doniósł strażnikom celnym.

Oczyścił ze spalonego prochu zamek. Podniósł oczy i przeszył Clarence'a przenikliwym wzrokiem.

- Ktoś go walnął w głowę. Biedny Jacky Stout. Żył jeszcze jakiś czas.

Wystarczająco długo, by powiedzieć to i owo.

Nagle wyrzucił rękę i chwycił Clarence'a za szyję. Podniósł się z krzesła, zmuszając kuzyna, aby również wstał. Zbliżyli do siebie twarze na tyle blisko, że Clarence czuł gorący oddech

McCady'ego i w jego ciemnych oczach dostrzegł dziwny blask, jakby małe, ruchliwe ogniki. Były to oczy człowieka, który dopóty tnie szpadą, dopóki ciała wrogów nie zalegną wokół pokotem. Znowu w ustach miał gorzki smak chłodnej lufy pistoletu. I śmierci.

McCady ściągnął usta.

- Spaliłeś jej dom, parszywy bękarcie. Podtruwałeś jej konie i układałeś wyścigi. Jednak skrzywdziłeś ją.

- Ja chciałem tylko, aby za mnie wyszła. Byłbym dla niej dobry. Sprawilibym, że byłaby szczęśliwa.

McCady puścił Clarence'a, który opadł bezwładnie na kant krzesła i byłby się przewrócił, gdyby w ostatniej chwili nie przytrzymał się sekretarzyka.

- Zrezygnujesz z miejsca w parlamencie.

Clarence obliznął wargi. Usta miał tak spieczone, że nie mógł przełknąć.

- Nie masz dowodu. Żadnego dowodu.

- Nie potrzebuję dowodów. Mam wpływy. - McCady wyjął z futerału kolbę z prochem i wypełnił nią panewkę. - Wiesz, na czym to polega, prawda, Clarey? Z twoim patronem żyję w przyjaźni. Znamy się bardzo dobrze, lord Arbury i ja. - Nasypał prochu do lufy i zaczął go upychać wyciorem. - Na kontynencie walczyłem ramię w ramię z jego jedynym synem. Tak się przy tym złożyło, że uratowałem chłopakowi życie. Wystarczy, że szepnę lordowi do ucha jedno słowo, a może się okazać, że nie dostałbyś nawet posady pastucha w najbiedniejszym rejonie Walii. - Owinał kawałeczkiem płótna ołowianą kulę i wepchnął ją na sam wierzch ładunku. Jeszcze raz podniósł wzrok i Clarence mógł się przekonać, że w oczach McCady'ego nie było ani odrobiny litości.

- Clarey, tak się rozprawię z tobą i zniszczę reputację, że nie znajdziesz w Londynie takiego klubu ani rezydencji, gdzie byłbyś mile widziany. Skończą się zaproszenia na rauty do tego czy tamtego lorda, na domowe przyjęcie w majątku tego czy tamtego diuka. Potrafię odebrać ci wszystko, czego najbardziej pragniesz, i zachować cię przy życiu tylko po to, abyś musiał się bez tego obejść.

Clarence zrozumiał, że McCady przygotował mu przerażającą karę, teraz jednak potrafił skupić się tylko na jednym.

- Proszę, nie mów Jessalyn, co zrobiłem. Proszę, nie mów jej.
- Ona wie. Wie o wszystkim. I nie chce cię więcej widzieć. Nigdy, Clarey.
Clarence spojrział przez okno. Pies już nie szczekał. Pomywaczka odeszła od studni. Czuł tylko wielką, przerażającą pustkę. Utracił Jessalyn na zawsze. Nie wiedział, jak przyjdzie mu to znieść.
- Ale ja ją kocham - rzekł.
Kątem oka dostrzegł, że McCady robi jakiś ruch, i odwrócił głowę.
Lufa pistoletu zatrzymała się dokładnie między jego oczami. Wydawała się ogromna, niczym wrota do piekła. Słowa McCady'ego dołatywały do niego niczym śmiertelne pociski.
- Ona należy do mnie, Tiltwell. Musisz się nauczyć z tym żyć.
Palec McCady'ego spoczął na spuście.
Clarence zaczął się trząść jak ciężko chory starzec. Gorące łzy napłynęły do jego oczu i stoczyły się po policzkach. Zacisnął powieki. Czekał, czekał... Podskoczył, kiedy szczęknęła klamka. Otworzył oczy. McCady'ego nie było. Pistolet leżał przed nim na suszce. Naładowany i gotowy do strzału.
McCady zatrzymał się na szczycie schodów. Dłoń położył lekko na poręczy.
Odczekał kilka chwil. Spodziewał się wystrzału, ale nic takiego nie nastąpiło. W ten sposób została rozstrzygnięta przynajmniej jednak kwestia.
Trewlany w takiej sytuacji bezsprzecznie pociągnąłby za spust.
Nie znalazł jej od razu i już zdążyła go ogarnąć panika, że być może nigdy jej nie odnajdzie.
Widział wyraz twarzy Clarence'a, kiedy ten człowiek ostatecznie pojął, że stracił Jessalyn na zawsze. McCady bardzo dobrze rozumiał ten rodzaj cierpienia. Dlatego musiał ją szybko odszukać i upewnić się, że ciągle należy do niego.
Spotkał ją na szczycie niewielkiego wzniesienia na drodze za szalasami z darni i migającymi ogniskami. Ledwie ją zauważył w zapadającym mroku. Stała, patrząc w dół na wykop, gdzie tory niczym szew ciągnęły się wzdłuż świeżo okaleczonej ziemi.

Tracił niechcący kamień. Odwróciła się i jej twarz rozjaśnił olśniewający uśmiech. Pragnął jej.

Pragnął jej gorąco. Drżał z pożądania, jak gdyby nie miał kobiety od lat. Wybrał tę jedyną i nie chciał już żadnej innej. Ani jakiegokolwiek, ani najpiękniejszej na świecie. Tylko tę, z jej wibrującym, zmysłowym, radosnym śmiechem, z jej długimi, smukłymi nogami. Pragnął usłyszeć owe cichutkie, gwałtowne westchnienia, które wydawała z siebie, gdy w nią wchodził; czuć łaskotanie jej włosów na swoim nagim brzuchu. Pragnął Jessalyn, swojej Jessy. A co najważniejsze - co czyniło go bez reszty szczęśliwym, co napełniało go radością i sprawiało, że miał ochotę śmiać się w głos - wiedział, tak, wiedział, iż ona pragnęła go w taki sam sposób.

Już dawno powinien powiedzieć jej o tym wszystkim. Zależało mu na tym, aby wiedziała. Ale nie potrafił wydobyć z siebie odpowiednich słów. Za każdym razem, kiedy tę próbę podejmował, więzły mu w gardle. Dlatego teraz wziął Jessalyn w ramiona i przemówił pocałunkiem. Pocałunkiem, który szybko stał się tak gorący, tak gwałtowny...

- McCady! - wykrztusiła, poprawiając słomkowy kapelusik, który znowu przekrzywił się na jej głowie. Jej piersi, drżąc, szybko unosiły się i opadały. Miał wieiką ochotę znowu ją pocałować, lecz wcześniej musiał coś powiedzieć.

- Jessalyn...

- Cieszę się, że przyszedłeś, bo właśnie sobie myślałam... - powiedziała podekscytowana, pogodnie, głosem pełnym szczęścia. Chwyciła go za rękę i odwróciła się. Oboje patrzyli teraz na skaliste, porośnięte kolcolistami zbocze. - Co widzisz?

Potrząsnął głową. Nie widział niczego poza nią.

- Nie wiem. Jest dosyć ciemno. Trawę, skały, kilka drzew. - Cmoknęła ze zniecierpliwieniem. Roześmiał się. - No dobrze, dobrze, widzę linię kolejową. Moją linię kolejową.

Mocniej zacisnęła palce. Podniosła jego dłoń do swoich piersi. Spojrzał na jej twarz, na wystające kości policzkowe, pełne usta. Lęk budził się w jego sercu na myśl, że należy do niego. Lęk i słodki, przejmujący ból.

- Nie rozumiesz? - zapytała. Twarz miała ożywioną. - Nawet jeśli zdołają powstrzymać ciebie, nie powstrzymają idei. Daleko

zaszedłeś, udało ci się. To - w mroku błysnęła bielą jej dłoń - prowadzi w przyszłość. Niedługo zmieni obraz świata. - Odwróciła się do niego twarzą i spojrzała mu prosto w oczy czystym i głębokim spojrzeniem. - A to jest nasza przyszłość. - Powoli przesunęła jego dłoń w dół do swojego brzucha. Nagle roześmiała się gardłowo i pochyliła do przodu, by otrzeć się policzkiem o jego tors. - Będziemy mieli dziecko, McCady.

Z jego piersi wyrwało się głębokie westchnieniem. Oczy się zaszkliły.

- Boże!

Przestrzeń wypełniła się wibrującym, radosnym śmiechem.

- O tak, on także ma coś z tym wspólnego, ale głównie to twoja sprawka. Kochany mój!

Nigdy tak do niego nie mówiła. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Chciał, aby się czegoś dowiedziała, musiał jej to powiedzieć... Spróbował słów, ale znów zeszywniał mu język.

- Jessa, wiesz... - Spojrzała na niego z uśmiechem. Spodziewała się czegoś, a on, do licha, nie mógł odzyskać władzy nad swoim gardłem. Położyła dłoń na jego policzku.

- Głuptasie! Czy kwiaty, które ściskasz w dłoni, miały być dla mnie?

Rosły na kamiennym murku. Zobaczył je i zerwał całkowicie bezwiednie, kiedy szukał Jessalyn. Pierwiosnki o bladej żółtych kwiatkach. Ten kolor budził w nim wspomnienie tamtego odległego lata. Poczł się nieswojo, jak idiota, ale wręczył jej kwiaty.

Kiedy jednak na twarzy Jessalyn ujrzał szeroki uśmiech najszczerzej radości, oładnęło nim zadowolenie. Pochyliła się, aby je powąchać. I kiedy podniosła głowę, miał nadzieję, że znowu się uśmiechnie, ale na jej twarzy nagle odmalowało się podniecenie. Podniosła rękę i pokazała w kierunku osady za jego plecami.

- Och, McCady! Spójrz. Spójrz na księżyc.

Wisiał nad czubkami rosnących w dali drzew - wielka złota kula na tle aksamitnej purpury wieczoru. Niczym soczysta brzoskwinia, na tyle dojrzała, aby zerwać ją z nieba.

Westchnęła cicho, wtuliła się w ramiona swego upadłego anioła i oparła głowę na jego ramieniu.

- To drugi księżyc, błękitny. Nie sądzisz?

- Nie wiem - odparł przez ściśnięte gardło. Niewiele o to dbał. Od kiedy ją poślubił, wszystkie księżycy były błękitne, niezwykle i pełne...

- Jessalyn, wiesz... - Boże, dlaczego było mu tak trudno? Przecież dla niej żył. Była dla niego spełnieniem, obietnicą raju i w jakiś sposób przebłyskiem piekła. Gdyby ją stracił, cierpienie byłoby nie do zniesienia. I w końcu zrozumiał, że przecież...

- Kocham. Kocham cię, Jessalyn.